



Mesfwo

JOHN
GWYNNE

Spis treści

Karta tytułowa.....	7
Karta redakcyjna	8
Podziękowania	10
Rozdział pierwszy. UTHAS	12
Rozdział drugi. CYWEN.....	16
Rozdział trzeci. VERADIS	23
Rozdział czwarty. MAQUIN	34
Rozdział piąty. CORBAN	44
Rozdział szósty. MAQUIN	55
Rozdział siódmy. LYKOS	62
Rozdział ósmy. EVNIS	73
Rozdział dziewiąty. CORBAN	85
Rozdział dziesiąty. TUKUL	96
Rozdział jedenasty. CYWEN	100
Rozdział dwunasty. EVNIS	109
Rozdział trzynasty. CAMLIN.....	112
Rozdział czternasty. FIDELE.....	119
Rozdział piętnasty. VERADIS	122
Rozdział szesnasty. EVNIS.....	128
Rozdział siedemnasty. CORBAN	133
Rozdział osiemnasty. CYWEN	140
Rozdział dziewiętnasty. MAQUIN	145
Rozdział dwudziesty. CYWEN	157
Rozdział dwudziesty pierwszy. CAMLIN.....	165

Rozdział dwudziesty drugi. VERADIS	172
Rozdział dwudziesty trzeci. UTHAS	184
Rozdział dwudziesty czwarty. CORBAN	191
Rozdział dwudziesty piąty. CORALEN	197
Rozdział dwudziesty szósty. CYWEN	201
Rozdział dwudziesty siódmy. CORBAN	208
Rozdział dwudziesty ósmy. FIDELE	216
Rozdział dwudziesty dziewiąty. VERADIS	219
Rozdział trzydziesty. UTHAS	227
Rozdział trzydziesty pierwszy. CORBAN	232
Rozdział trzydziesty drugi. MAQUIN	238
Rozdział trzydziesty trzeci. CAMLIN	245
Rozdział trzydziesty czwarty. CYWEN	251
Rozdział trzydziesty piąty. EVNIS	255
Rozdział trzydziesty szósty. VERADIS	259
Rozdział trzydziesty siódmy. CYWEN	263
Rozdział trzydziesty ósmy. CORBAN	270
Rozdział trzydziesty dziewiąty. FIDELE	281
Rozdział czterdziesty. CORALEN	286
Rozdział czterdziesty pierwszy. UTHAS	289
Rozdział czterdziesty drugi. MAQUIN	291
Rozdział czterdziesty trzeci. LYKOS	298
Rozdział czterdziesty czwarty. MAQUIN	302
Rozdział czterdziesty piąty. LYKOS	307
Rozdział czterdziesty szósty. CORBAN	311
Rozdział czterdziesty siódmy. VERADIS	316
Rozdział czterdziesty ósmy. CORBAN	325

Rozdział czterdziesty dziewiąty. UTHAS	329
Rozdział pięćdziesiąty. CORBAN	331
Rozdział pięćdziesiąty pierwszy. EVNIS	335
Rozdział pięćdziesiąty drugi. MAQUIN	346
Rozdział pięćdziesiąty trzeci. CORBAN	352
Rozdział pięćdziesiąty czwarty. VERADIS.....	359
Rozdział pięćdziesiąty piąty. FIDELE	368
Rozdział pięćdziesiąty szósty. CAMLIN	375
Rozdział pięćdziesiąty siódmy. MAQUIN.....	383
Rozdział pięćdziesiąty ósmy. CYWEN	391
Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty. TUKUL	398
Rozdział sześćdziesiąty. CORBAN	407
Rozdział sześćdziesiąty pierwszy. MAQUIN	420
Rozdział sześćdziesiąty drugi. FIDELE	426
Rozdział sześćdziesiąty trzeci. CORBAN	432
Rozdział sześćdziesiąty czwarty. VERADIS.....	441
Rozdział sześćdziesiąty piąty. CORALEN.....	450
Rozdział sześćdziesiąty szósty. TUKUL	454
Rozdział sześćdziesiąty siódmy. CYWEN.....	461
Rozdział sześćdziesiąty ósmy. CORBAN.....	465
Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty. MAQUIN	472
Rozdział siedemdziesiąty. CAMLIN	478
Rozdział siedemdziesiąty pierwszy. VERADIS.....	481
Rozdział siedemdziesiąty drugi. CORBAN	483
Rozdział siedemdziesiąty trzeci. VERADIS	490
Rozdział siedemdziesiąty czwarty. CORBAN	494
Rozdział siedemdziesiąty piąty. CORALEN.....	501

Rozdział siedemdziesiąty szósty. CORBAN	504
Rozdział siedemdziesiąty siódmy. LYKOS.....	507
Rozdział siedemdziesiąty ósmy. CORBAN.....	509
Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty. VERADIS	517
Rozdział osiemdziesiąty. MAQUIN	522
Rozdział osiemdziesiąty pierwszy. CORBAN	530
Rozdział osiemdziesiąty drugi. FIDELE.....	534
Rozdział osiemdziesiąty trzeci. CORBAN	539
Rozdział osiemdziesiąty czwarty. CYWEN	547
Rozdział osiemdziesiąty piąty. CAMLIN	551
Rozdział osiemdziesiąty szósty. MAQUIN	556
Rozdział osiemdziesiąty siódmy. CORBAN	560
Rozdział osiemdziesiąty ósmy. TUKUL	565
Rozdział osiemdziesiąty dziewiąty. CORBAN.....	568
Rozdział dziewięćdziesiąty. CORALEN	580
Rozdział dziewięćdziesiąty pierwszy. TUKUL	582
Rozdział dziewięćdziesiąty drugi. CORBAN.....	589
Rozdział dziewięćdziesiąty trzeci. LYKOS.....	594
Rozdział dziewięćdziesiąty czwarty. CORBAN.....	601
Rozdział dziewięćdziesiąty piąty. VERADIS	611
Rozdział dziewięćdziesiąty szósty. MAQUIN	615
Rozdział dziewięćdziesiąty siódmy. CYWEN	623
Rozdział dziewięćdziesiąty ósmy. CAMLIN	628
Rozdział dziewięćdziesiąty dziewiąty. CORBAN	638
Rozdział setny. MAQUIN	644
Rozdział sto pierwszy. VERADIS	648
Rozdział sto drugi. UTHAS	656

Rozdział sto trzeci. TUKUL	661
Rozdział sto czwarty. FIDELE.	668
Rozdział sto piąty. CYWEN	671
Rozdział sto szósty. CORALEN	675
Rozdział sto siódmy. MAQUIN	678
Rozdział sto ósmy. CORBAN	681
Rozdział sto dziewiąty. UTHAS	684
Rozdział sto dziesiąty. CYWEN.	690
Rozdział sto jedenasty. MAQUIN	693
Rozdział sto dwunasty. CORBAN	698
Rozdział sto trzynasty. CAMLIN	702
Rozdział sto czternasty. CYWEN	708
Rozdział sto piętnasty. MAQUIN	714
Rozdział sto szesnasty. CAMLIN	720
Rozdział sto siedemnasty. CORBAN	728
Rozdział sto osiemnasty. CYWEN	733
Rozdział sto dziewiętnasty. CORBAN	735
Rozdział sto dwudziesty. CORBAN	743
Postacie	747
Ziemie wygnańców – Mapa	753

JOHN GWYNE

Męstwo

KSIĘGA DRUGA
WIERNYCH I UPADŁYCH

PRZEŁOŻYŁ MARCIN MORTKA

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2018

Tytuł oryginału: *Valour. The Faithful and the Fallen – Book Two*

Copyright © 2014 by John Gwynne

Copyright for the Polish translation © 2018 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Anna Włodarkiewicz

Korekta: Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce: Paul Young

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydanie II

ISBN 978-83-7480-835-4

Wydawca: Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel./fax 228134743

e-mail: kurz@mag.com.pl

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227213000

www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

*Dla Harriett,
najdzielniejszej duszy, jaką znam.*

Dla mamy i taty.

Żałuję, że nie możecie tego widzieć. Tęsknię za wami.

*I oczywiście dla Caroline,
za to, że jesteś sobą.*

Podziękowania

Praca nad *Męstwem* okazała się niezwykle doświadczeniem. Podobnie jak w przypadku *Zawiści* skorzystałem z pomocy wielu wspaniałych ludzi.

Na początku chciałem podziękować mojej żonie Caroline oraz dzieciom, zarówno za ich wsparcie, jak i za to, że znosili moje humory, gdy myślami wciąż przebywałem na Ziemiach Wagnanych.

Muszę również podziękować agentowi, Johnowi Jarroldowi, za wiarę w moje powieści oraz cenne rady. John, łączysz w sobie znakomitego profesjonalistę i równego faceta, a w naśladowaniu Michaela Caina nie masz sobie równych.

Dziękuję także mej krwiożerczej redaktorce w Tor UK, Julie Crisp, za jej niecodzienny talent, dzięki któremu była w stanie nadać moim wysiłkom konkretny kształt, oraz za życzliwość, z jaką od początku podchodziła do *Wiernych i Upadłych*.

Dziękuję wspaniałemu zespołowi Team Tor UK oraz Jessice Cuthbert-Smith, redaktorce, która pracowała nad tekstem, za pieczołowitość, z jaką dbała o szczegóły.

Dziękuję także wszystkim, którzy wzięli do ręki *Męstwo* i poświęcili sporo swego czasu na czytanie tej niemałej w końcu książki! Są to Mark Roberson, Rhiannon Ivens, Sadak Miah (wybaczam ci to, że tak długo nawet nie tknąłeś *Zawiści*) oraz Edward i William Gwynne, którym jestem winien wdzięczność za szczególne zaangażowanie, łącznie z odegraniem większości scen bitewnych z powieści. Ich trud miejscami wymagał sięgnięcia po plastry.

*Nastala wojna wieczna między Wiernymi a Upadłymi,
Gniew nieskończony zstąpił do świata ludzi.
Niosący Światło wypełza z kotła, w ciało obleczony,
Zrywa kajdany i wojna znów się budzi.
Dwaj zrodzeni z krwi, pyłu i popiołu dokonają
Wyboru
Między Ciemnością a Światłem.*

*Czarne Słońce utopi ziemię w krwi,
Zaś Jasna Gwiazda musi odnaleźć Skarby.
Poznacie ich po mianach.
Rodobójca, Mściciel, Przyjaciół Olbrzymów, Jeździec Draigów,
Mroczna Moc przeciwko Niosącemu Blask.
Jeden z nich będzie Falą, a drugi Skalą na rozszalałym morzu.*

*Jeden z nich wezwie tarczę i burzę na swe rozkazy,
Za drugim Czyste Serce i Czarne Serce staną.
U boku jednego pojedzie Ukochana,
Obok drugiego podąży Mszcząca Dłoń.
Za jednym staną Zrodzeni z Mocy, szlachetni Ben-Elim,
Skupieni wokół Wielkiego Drzewa,
Za drugim zbiorą się Wyklęci, złowieszczy Kadoshim,
Którzy próbują przekroczyć most
I rzucić świat na kolana.*

*Wypatrujcie ich, gdy świat obiegnie wezwanie Najwyższego Króla,
Gdy wojownicy cienia wyruszą na szlak,
Gdy opustoszeje Telassar, otoczony białymi murami,
Gdy na północy zostanie odnaleziona księga,
Gdy białozmije wyroją się z gniazd,
Gdy Pierworodni odbiorą to, co zostało utracone,
Gdy przebudzą się uśpione Skarby.
Tak ziemia, jak i niebo wykrzyczą ostrzeżenie,
zwiastując Wojnę Rozpaczy.
Krwawe łzy popłyną z kości ziemi, a gdy zima dobiegnie połowy,
Jasny dzień stanie się czarną nocą.*

Rozdział pierwszy

UTHAS

Rok 1142 Ery Wygnańców, Księżyc Narodzin

Wykonany z czarnego żelaza, ogromny kocioł spoczywał na podwyższeniu na samym środku ogromnej komnaty. Na ścianach zatknięto pochodnie jarzące się błękitnym światłem, które tu i ówdzie rozpraszało ciemności. W cieniach wokół nich wiły się złowieszcze, wydłużone kształty.

Uthas z olbrzymów Benothi podszedł do kotła. Jego cień przesuwiał się po ścianie. Wszedł po stopniach podwyższenia i się zatrzymał. Kocioł był całkiem czarny i wydawał się zasysać, wręcz pochłaniać blask pochodni, nie dając nic w zamian. Jedynie przez krótką chwilę można było odnieść wrażenie, że zadrżał i zadygotał lekko niczym chore serce.

Olbrzymia dobiegła prośba, wypowiedziana stłumionym głosem przez kogoś, kto stanął na progu komnaty, ale nawet nie drgnął. Stał i wpatrywał się w kocioł.

– Co tam? – odezwał się w końcu.

– Nemain cię wzywa, Uthasie. Mówi, że Śniąca się budzi.

Olbrzym westchnął i odwrócił się, by wyjść z komnaty. Zatrzymał się jednak jeszcze na moment i musnął palcami zimne podbrzusze kotła. Zamarł.

– Co się dzieje?! – zawołał z progu jego przyboczny, Salach.

Uthas przechylił głowę na bok i zamknął oczy.

Głosy, pomyślał. Głosy mnie wzywają.

– Nic – mruknął, nie wiedząc, czy usłyszał, czy też wyczuł szepty ze środka kotła. – Jeszcze nie teraz – powiedział cicho i oderwał palce od zimnego żelaza.

Z cieni wyłonił się ogromny, pełzający kształt, który zastąpił idącemu olbrzymowi drogę i owinał się wokół niego. Był to żmij o lśniących, białych łuskach, który uniósł płaski łeb i przyjrzał mu się zimnymi, bezdusznymi oczami. Uthas zatrzymał się i w milczeniu pozwalał żmijowi zasmakować w swoim zapachu. W jego sercu zaczął już narastać niepokój, ale w końcu białożmij odpełził. Uthas patrzył, jak jego potężne mięśnie napinają się przy każdym ruchu, jak podążał ku cieniom, by dołączyć do reszty łęgu.

– Chodźmy więc – rzucił olbrzym, mijając Salacha. – Wiesz, jak to jest z Nemain. Lepiej, żeby nie czekała za długo.

Przeszli we dwóch obok pilnujących wejścia strażników o ponurych minach, ubranych w futra i zbroje. W ciszy wędrowali korytarzami Murias, ostatniej twierdzy Benothi, wykutej i wydrążonej pośród szarej, spowitej mgłami krainy, aż dotarli do szerokich schodów, pnących się w ciemność. Wkrótce Uthas zaczął narzekać pod nosem, gdy w jego kolanie odezwał się stary ból.

– *Bitseach* – zaklął, myśląc o Nemain, czekającej na niego na samym szczycie najwyższej wieży.

Podążający za nim Salach zachichotał.

W końcu stanęli przed drzwiami komnaty strzeżonej przez Sreng, przyboczną królowej. Salach powitał ją skinieniem głowy, a ona otworzyła przed nimi drzwi.

Komnata była skromnie umeblowana. Nie znajdowało się w niej wiele sprzętów poza ogromnym, nakrytym futrami łóżem, na którym spoczywała kobieta, smukła, szczupła i mokra od potu. Jej ciało co rusz przeszywały serie drgawek. Na krześle obok łóżka siedział ogromny, siwowłosy mężczyzna, który trzymał ją za rękę. Spojrzał na Uthasa i Salacha, wchodzących do komnaty. W miejscu jednego z oczu znajdowała się poszarpana, brzydka blizna.

– Witaj, Jednooki. – Uthas się uklonił. – Jak się trzyma Śniąca?

Balur Jednooki wzruszył ramionami.

– Gdzie jest Nemain?

– Tu jestem – odpowiedział kobiecie głos.

Uthas spojrzał ku przeciwnej ścianie, gdzie w zwieńczonym łukiem przejściu stała samotna olbrzymka, opromieniona bladym blaskiem dnia.

Była to Nemain, królowa olbrzymów Benothi. Na balkonie za jej plecami

gromadziły się kruki, z których jeden wskoczył jej na ramię.

– Moja pani. – Uthas pochylił głowę.

– Witaj z powrotem – odpowiedziała Nemain. Jej mlecznobiałą, kanciastą twarz okalały długie kosmyki koloru zmierzchu. – Czy przynosisz jakieś wieści?

– Dużo się dzieje na południu – odparł Uthas. – Narvon toczy wojnę z Ardanem, a wojownicy Cambrenu maszerują na wschód. – Urwał i odetchnął głęboko. Kolejne słowa zamarły mu na ustach. Obawiał się odpowiedzi, którą spodziewał się usłyszeć. – Nasi wrogowie walczą sami ze sobą. Nadeszła pora, by zaatakować i odebrać to, co należy do nas.

Proszę, Nemain, wydaj rozkaz!, błagał ją w myślach. Oszczędź mi tego, co będę musiał zrobić, jeśli odmówisz.

Nemain uśmiechnęła się bez wesołości.

– Mielibyśmy uderzyć na południe? Jesteśmy pogwałconym, wytępionym narodem, Uthasie, i sam dobrze o tym wiesz. Jest nas zbyt niewiele, by obsadzić tę fortecę, nie mówiąc już o krainach południa, które kiedyś należały do nas. Poza tym, stoi teraz przed nami inne zadanie.

Znów wyszła na balkon, a Uthas westchnął i podążył za nią. Zimne powietrze kąsało jego skórę. Skalna ściana, z której wyrósł balkon, opadała ostro ku ziemi, spowita u stóp kłębamii mgły. W oddali ciągnęły się ciemne, granitowe skały i białe połacie śniegu, spod którego tu i ówdzie wyłaniał się sztywny wrzos. Wokół balkonu kołowały kruki, unosząc się na podmuchach wiatru.

Jeden z nich zakrakał i skręcił, by wylądować obok Nemain. Królowa w zamyśleniu pogłodziła go po łebku, a ten zakłapał dziobem w odpowiedzi.

– A co się dzieje na zachodzie? – spytała. – Co z Domhainem?

– O tym akurat wiemy niewiele. – Uthas wzruszył ramionami. – Przypuszczam, że Eremon się starzeje i cieszy się z tego, że nie musi się niczym zajmować. Ten *bandraoi* Rath stoi nam jednak na drodze – parsknął. – Nie poddaje się. Poluje na naszych zwiadowców i najeżdża nasze ziemie na czele swoich łowców olbrzymów. Polała się już krew.

– Ach – zasyczała Nemain, a jej oczy błysnęły czerwienią. – O niczym nie marzę bardziej niż o dniu, gdy wyruszę na czele armii i odbiorę to, co utraciliśmy! Gdy przypomnę Rathowi o tym, dlaczego nas nienawidzi.

– No to na co czekamy?! – zawołał Uthas. Jego krew zaczęła krążyć żywiej, a w sercu zajaśniała nadzieja.

– Nie możemy ruszyć na wojnę – przypomniała Nemain. – Musimy strzec kotła. Nie możemy dopuścić do tego, by ktokolwiek jeszcze zrobił z niego użytek. Nie może wpaść w niepowołane ręce.

Dla Uthasa te słowa były równie bolesne jak uderzenie młotem. Decyzja królowej określiła jego przyszłość.

– Ale musimy wiedzieć, co się dzieje za granicami. Domhain nie może skrywać przed nami swych tajemnic. Weźmiesz oddział i wyruszysz na południe, by poznać plany Eremona.

– Jak rozkażesz, moja pani – rzekł Uthas.

– Sam dobierz ludzi, ale nie zabieraj ze sobą zbyt wielu. Silny oddział niewiele ci da, lepiej, byś był w stanie szybko się przemieszczać. I nie zwracaj na siebie uwagi Ratha.

– Postąpię zgodnie z twoją wolą.

Z komnaty za ich plecami dobiegł przenikliwy krzyk. Kobieta, która jeszcze przed chwilą leżała na łóżku, siedziała teraz wyprostowana, a pociemniałe od potu włosy kleiły się do jej twarzy. Wytrzeszczone oczy lśniły dziko. Balur złapał ją za rękę i szeptał coś do niej.

– Ethlinn, co widziałaś? – zapytała Nemain.

Błada kobieta nabrała tchu, drżąc na całym ciele.

– Nadchodzą – szepnęła. – Kadoshim są coraz bliżej. Czują obecność kotła. Czarne Słońce chce, by stali się cielesni. Idzie po kocioł.

Rozdział drugi

CYWEN

Cywen przebudziła się powoli, jakby stopniowo zalewana przez falę świadomości.

Najpierw ocknęło się jej czucie. Tępy, pulsujący ból w głowie, ramieniu, biodrze. Bolało ją całe ciało, ale w tych miejscach najbardziej.

Potem zaczęła słyszeć. Ciche jęki i postękiwania, czyjeś głośne kroki, chropowaty szelest, jakby ktoś włókł wielki ciężar. Krzyk mew i odległy szum morza.

Próbowała otworzyć oczy, ale jedno z nich zaropiało i powieki nie chciały się rozchylić. Blask słońca wbił się w głąb jej głowy niczym ostrze noża.

Gdzie ja jestem? Rozejrzała się i dostrzegła wojowników w czerwonych płaszczach, którzy wlekli ciała po wybrukowanym kamieniami dziedzińcu, pozostawiając rozmazane, krwawe ślady. Ciała lądowały na wielkim stosie nieopodal.

Niespodziewanie przytłoczyły ją wspomnienia. Rozmowa na murze z Marrockiem, Ewnis na dziedzińcu, wojownicy w czerni w twierdzy, otwierające się bramy, Conall...

Poczuła coś miękkiego pod sobą i naraz uświadomiła sobie, że leży na ciele jakiejś kobiety, nieruchomym i wpatrującym się w nią pozbawionym życia wzrokiem. Poderwała się niezdarnie i zatoczyła, gdy świat zawirował na moment wokół niej.

Kamienna Brama stała otworem, a na moście trwał ożywiony ruch. Wśród ludzi, którzy opuszczali fortecę bądź do niej wracali, przeważali ci w czerwonych płaszczach Narvonu. Bładoniebieskie niebo brudziły kolumny czarnego dymu, szarpane przez lekki wiatr znad morza tak, że

trudno było rozpoznać, gdzie kończył się dym, a zaczynało niebo.

Bitwa została przegrana. Dun Carreg wpadło w ręce wroga.

Wtedy inna, nowa myśl przecięła mgłę, która wypełniała umysł Cywen.

Moja rodzina.

Spojrzała na rozrzucone wokół ciała i przypomniała sobie upadek wraz z Conallem, ale nie widziała go nigdzie pośród zmarłych. Przez myśl przemknęły jej oblicza mamy i taty, a potem Corbana i Gara. Gdzie się wszyscy podzieli?

Nikt jej nie przeszkadzał, gdy opuściła dziedziniec i ruszyła uliczkami przed siebie, przyglądając się zabitym. Wszędzie natrafiła na ciała, czasami pojedyncze, kiedy indziej spiętrzone w stosy w miejscach, gdzie trwały najbardziej zacięte walki; niektóre wciąż były splecione w makabrycznym uścisku. Kierowała się w głąb fortecy, a z każdym jej krokiem smród dymu i ognia stawał się intensywniejszy. Sama nie wiedząc jak, dotarła do stajni, gdzie natrafiła na sporą grupę wojowników w czerwonych płaszczach, zajmujących się przestraszonymi, rozglądającymi się dziko końmi. Na wybiegu dostrzegła Tarczę, ogiera Corbana, ale chwilę później koń znikł w kłębowisku innych.

Gdzie jest Gar?, zastanawiała się Cywen.

Szła przed siebie jak we śnie, wpatrując się w twarze poległych, szukając wśród nich członków swej rodziny. Czuła ulgę za każdym razem, gdy kolejne pozbawione życia oblicze okazywało się obce. Nie ustawała jednak w poszukiwaniach, owładnięta coraz większym szaleństwem, aż uświadomiła sobie, że dotarła na niewielki dziedziniec przed salą biesiadną.

Wznosiła się tam jeszcze jedna sterta trupów, większa niż ta przed Kamienną Bramą. Wszędzie dookoła Cywen widziała rannych wojowników, brudnych od popiołu i krwi. W kącie dostrzegła kilkunastu mężczyzn w szarych szatach Ardanu, pokonanych, skupionych razem, niektórych poranionych. Strzegł ich oddział króla Owaina.

Z wnętrza sali biesiadnej dobiegał dziki lament. Dziewczyna dostrzegła ludzi wynoszących coś dużego – blat stołu bądź drewnianą ściankę, którą następnie z głuchym stuknięciem oparto o jedną z kolumn przy wejściu. Do desek przytwierdzono ludzkie ciało, zalane krwią, ale nadal rozpoznawalne. Cywen poczuła gwałtowny skurcz.

Król Brenin. Wisiał z kołyszącą się głową i wykrzywionymi ramionami, z nadgarstkami i kostkami przybitymi do desek. W jego klatce piersiowej ziała krwawa jama. Cywen wypluła żółć na poplamione krwią kostki bruku. Wokół powoli opadały płatki popiołu, przypominające czarny śnieg.

Otarła usta i potykając się, podeszła do wejścia, wpatrzona w ciało Brenina.

– Proszę cię, Elyonie, Ojcie Ojców – modliła się – ocal mą rodzinę.

Zatrzymała się przed trupem króla i trwała tak, wpatrzona w niego, aż potrącił ją jakiś wojownik i nakazał zejść sobie z drogi. Smagnęła go niechętnym spojrzeniem.

Z sali biesiadnej znów dobiegły jakieś odgłosy. W środku trwało zamieszanie. Krzykom wielu mężczyzn odpowiadał głuchy warkot. Burza?

W ułamku sekundy Cywen znalazła się w środku i zamrugła, by jej oczy szybciej dostosowały się do ciemności. W sali panował nieład. Stoły i krzesła leżały przewrócone, a kolumny i belki były poczerńiałe od ognia. Pod sufitem nadal kłębił się dym po dopiero co ugaszonym pożarze. Uwagę dziewczyny przyciągnęli jednak przede wszystkim ludzie, którzy się tam zgromadzili. Ujrzała Owaina rozmawiającego z Nathairem, a wokół niego grupkę odzianych na czarno wojowników, którzy natarli na bramy. Towarzyszyli im również Ewnis oraz Conall. Cywen poczuła nagły przypływ gniewu, a jej dłoń odruchowo sięgnęła po nóż, ale skrzywiła się, przypomniawszy sobie, że wykorzystała wszystkie ostrza podczas walki zeszłej nocy na murach.

Chwilę później dojrzała powód zamieszania, który przyciągnął jej uwagę jeszcze na dziedzińcu. Grupa wojowników otaczała coś, co warczało i kłapało szczękami.

– Zabij to i tyle – rzekł jeden z nich.

Wśród ludzkich postaci dziewczyna dostrzegła błysk ostrych, białych zębów, płaski pysk i brązowe, pręgowane futro.

– Buddai – szepnęła i podbiegła bliżej, przepychając się między wojownikami.

Ci utworzyli półokrąg wokół psa. Buddai stał naprzeciwko nich z pochylonym łbem i obnażonymi kłami.

Cywen wyhamowała, łapiąc równowagę. Buddai obrócił ku niej wielki łeb i kłapanął szczękami, ale nagle ją rozpoznał. Zaskomlał i zamerdał ogonem niepewnie, nie wiedząc, jak zareagować na widok kogoś znajomego w miejscu przepełnionym śmiercią, kogoś, kto należał do jego watahy. Dziewczyna skoczyła w stronę psa, otoczyła go ramionami i wtuliła twarz w jego futro. Trwała tak przez dłuższą chwilę, a jej łzy wsiąkały w psią sierść. Po chwili cofnęła głowę, odepchnęła pysk liżącego ją po twarzy psa i spojrzała w dół.

– A więc to dlatego tu jesteś – szepnęła.

Jej ojciec leżał na podłodze. Jego oczy były szkliste i bez życia, a ciało pokrywały rozliczne rany. Zasnęta krew zdążyła już poczernieć. Szlochając, Cywen uklękła obok ciała Thannona i delikatnie musnęła końcami palców jego policzek.

A więc wszyscy zginęli, tak?, pomyślała.

Przycisnęła głowę do piersi Thannona. Buddai wtulił się również i trącił pyskiem dłoń wielkiego kowala, która bezwładnie opadła na podłogę.

– Dziewczę! – rozległ się czyjś głos.

W plecy Cywen wbił się tępy koniec włóczni.

– Czego?

– Zmykaj stąd! – rzekł mężczyzna, starszy wojownik z siwymi kosmykami w rudej brodzie.

– Nie! – odparła Cywen i jeszcze mocniej wtuliła się w ojca.

– Musimy wysprzątać tę salę, dziewczę, a ten pies nie pozwala nam się do niego zbliżyć! – Wojownik trącił końcem włóczni but Thannona, na co Buddai warknął głucho. – Jeśli uda ci się zabrać tego psa, to tym lepiej, bo w przeciwnym razie trzeba będzie go zabić.

Zabić Buddaia? Tylko nie to... Dość już śmierci..., pomyślała Cywen.

– Ja... Tak... – wyjąkała i wytarła nos oraz oczy.

Uklękła przed psem i przesunęła dłońmi po jego ciele. Jego przednią łopatkę pokrywała zasnęta krew i zwierzę zaskomlało, gdy dotknęła rany.

– Chodź ze mną, Buds – szepnęła. – Bo i ciebie zabiją.

Pies przechylił lekko łeb i wpatrywał się w nią, nie rozumiejąc niczego.

Cywen wstała, odeszła kilka kroków i zawołała. Ogar niechętnie zrobił krok ku niej, ale obejrzał się na nieżyjącego pana i zaskomlał z żalnością.

– Chodź! Buds, do nogi! – Cywen poklepała się po udzie i pies tym razem podszedł do niej. Rudobrody wojownik skinął głową i przystąpił do pracy.

Nikt nie zwracał na Cywen uwagi. Dziewczyna wydawała się być tylko kolejną, zakrwawioną i brudną uczestniczką nocnej tragedii. Mężczyźni w sali zajęci byli sprzątaniami i opatrywaniem ran towarzyszy. Owain i Nathair wciąż rozmawiali, choć Cywen zauważyła, że przyboczny króla Tenebralu, odziany na czarno wojownik zwany Sumurem, wbił w nią wzrok.

– Chodź, Buddai – powiedziała. – Wynośmy się stąd.

Odwróciła się ku drzwiom i wtedy na kogoś wpadła.

– Uff! – stęknął młodzieniec. – Patrz pod nogi, ty... O, to ty.

Cywen zamarła. Człowiekiem, z którym się zderzyła, był Rafe.

Syn łowczego wbił w nią wściekłe spojrzenie. Buddai zawarczał i Rafe zrobił krok w tył.

Miał wilgotne, przybrudzone popiołem włosy, a pod zaczerwienionymi oczami widniały ciemne plamy. Widać było, że jeszcze przed chwilą ulegał rozpaczce. Odniósł ranę tuż nad kolanem, którą obwiązał postrzępionym bandażem – schnąca krew ściekła aż po jego buty.

– To sprawka twego brata – oznajmił, gdy zauważył, że dziewczyna wpatruje się w jego nogę. – Kolejny dług do spłacenia.

– Ban... – szepnęła Cywen. Wzmianka o bracie obudziła ból w jej sercu.
– A więc on żyje?

Ledwo odważyła się wypowiedzieć tę myśl na głos.

– Może, ale nie na długo. Dorwiemy go! Dorwiemy ich wszystkich!

– Wszystkich? Kogo jeszcze? Moją mamę? Gara?

Rafe spojrzał na nią i uśmiechnął się powoli.

– A więc zostałeś sama jak palec, malutka? Cóż, przyzwyczaj się lepiej do tego.

Cywen poczuła przypływ gniewu. Nigdy dotąd nie nienawidziła nikogo tak jak Rafe'a w tym momencie. Znów sięgnęła po noże i zakłęła w myślach, gdy przypomniawszy sobie, że przecież ich nie ma.

– Ty zdrajco! – zasyczała.

– Zdrajca? Wszystko zależy od tego, z której strony na to patrzysz – odparł Rafe, ale mimo to zmarszczył czoło. – Ja widzę to tak, że Ewnis

jest moim panem i wypełniam jego rozkazy. Co więcej, zdaje mi się, że postawił na właściwego konia!

– Póki co – mruknęła Cywen.

– Wiele spraw właśnie uległo zmianie. – Rafe pogroził jej palcem. – I biada ci, jeśli szybko się z tym nie pogodzisz. Osobiście radzę, byś od tej pory zwracała uwagę na swoje zachowanie. Wszyscy twoi obrońcy zniknęli bez śladu. Nie jesteś nikim wyjątkowym, skoro cię porzucili, prawda? – Uśmiechnął się szyderczo. – Przemyśl to sobie.

Cywen chciała go uderzyć. Słowa Rafe’a był ostre niczym jej noże i raniły do żywego. Zacisnęła pięści, świadoma, że jakikolwiek przejaw agresji w tej chwili byłby raczej kiepskim pomysłem.

Rafe spojrział przez ramię, a dziewczyna zerknęła w tym samym kierunku. Ewnis, któremu nadal towarzyszył Conall, przyzywał właśnie chłopaka do siebie.

– Jeszcze się zobaczymy – rzekł Rafe. – I nie martw się, znajdziemy dla ciebie twą rodzinę.

Skrzywił się nieprzyjemnie i przeciągnął palcem po gardle, od ucha do ucha. Cywen nie mogła tego dłużej znieść. Nim się zorientowała, przypadła do Rafe’a i wbiła kolano w jego krocze. Chłopak zgiął się w pół i skulił na podłodze, jęcząc.

– Trzymaj się z dala ode mnie i mojej rodziny! – warknęła na niego.

Za jej plecami rozległ się śmiech. Rudobrody wojownik wraz z kilkoma innymi przyglądał się jej z rozbawieniem.

– Pasujecie do siebie z tym psem – powiedział i uśmiechnął się szeroko, a Cywen zarumieniła się i zdusiła ciętą ripostę, pojmując, że najlepiej będzie się stąd wynieść. Pochyliła głowę i skierowała się ku wyjściu. Buddai podążył za nią. Nim wyszła na światło słoneczne, spojrzała na Rafe’a, który podnosił się z trudem. Sumur nadal się jej przyglądał.

O niczym tak nie marzyła, jak o tym, by znaleźć się w domu. Pognała ulicami wraz z utykającym psem.

Pchnęła drzwi do kuchni, niemalże spodziewając się, że za moment ujrzy mamę krzątającą się przy piecu i ojca siedzącego za stołem, zajadającego coś pysznego. Zawołała nawet głośno, licząc na to, że ktoś jej odpowie. Przeszukała wszystkie pokoje, a potem wróciła do kuchni.

Dom był pusty i pozbawiony życia w tym samym stopniu co spojrzenie

jej ojca.

Gdzie oni byli?

– Zniknęli – szepnęła.

Rozpacz narastała, aż dziewczyna wybuchnęła płaczem, wsparta o stół kuchenny.

Wszyscy zniknęli. Odeszli. Porzucili mnie, pomyślała.

Słowa Rafe'a rozbrzmiewały jej w głowie.

Jak oni mogli to zrobić? Jak mogli mnie porzucić?

Spojrzała na Buddaia, a ten zerknął na nią z ufnością. Znów przypomniało jej się ciało ojca, pokryte płátami zaschniętej krwi, i jego przerażające, puste oczy. Żałowała, że nie ma mamy, która mogłaby ją przytulić i pocieszyć. Że nie ma Bana, jej brata i najlepszego przyjaciela. Dlaczego ją zostawił?

Kolejna fala rozpaczki okazała się silniejsza od poprzedniej. Cywen osunęła się na podłogę, opłotła Buddaia ramionami i płakała rozdzierająco, a pies lizał jej mokre od łez policzki i wtulał się w nią z troską.

Rozdział trzeci

VERADIS

Veradis napił się z bukłaka, po czym wylał trochę wody na głowę oraz szyję. Wraz ze swymi ludźmi stał w półkrygu naprzeciwko wielkich wrót Haldis, ostatniej twierdzy olbrzymów Hunen. Chwilę temu Calidus i Alcyon zniknęli w środku, prowadząc oddział dwustu wojowników.

Ci, którzy przeżyli starcie z olbrzymami, docierali powoli na polanę i Veradis wysłał grupę zwiadowców, by pomagali maruderom.

– Pić się chce od tej roboty, co nie? – Bos, jego towarzysz walk, uśmiechnął się szeroko. – Nieźle się człowiek naużera z tym zabijaniem olbrzymów.

Ogromny wojownik krwawił ze skaleczonego ucha. Krew zlepiła mu włosy. Veradis przyjrzał się uważniej i odkrył, że to więcej niż tylko skaleczenie. Jego przyjacielowi brakowało części ucha.

– Gdzie twój hełm? – zapytał.

– Zgubiłem gdzieś. – Bos wzruszył ramionami i spojrzał na zakrwawione palce. – Lepiej stracić hełm niż głowę.

– To kwestia względna – oznajmił Veradis i podał towarzyszowi bukłak. Ten pił przez moment.

– Mamy dla Rauki niezłą opowieść, co?

– Pewno – odparł Veradis. – O ile uda nam się stąd wydostać.

Spojrzał na otaczające ich kopce, z których każdy był dwakroć wyższy od dorosłego mężczyzny. Chłodny wiatr nadal przynosił odgłosy bitwy, mało wyraźne i zniekształcone echem. Za kopcami wznosiły się drzewa lasu Forn.

Za plecami Veradisa ciągnął się nagi klif oznaczony wieloma rytami, a brama u jego stóp prowadziła prosto w ciemność.

Uniesienie bitewne powoli opadało. Zastępował je ból mięśni, znużenie i pulsujący ból twarzy. Veradis uniósł dłoń i wyciągnął z policzka drzazgę, pozostałość po wściekłym starciu z jakimś olbrzymem, którego topór przerąbał żelazne obramowanie tarczy i wszedł głęboko w drewno, obsypując młodzieńca rojem odłamków.

Wielu wojów z jego liczącego pięciuset mężczyzn hufca padło w bitwie wśród kurhanów, ale ci, którzy przeżyli, czuli dumę. Wiedzieli, że odwrócili losy starcia. Gdyby nie ich mur tarcz, ludzie ponieśliby klęskę.

Hufce Brastera i Romara zostały zdziesiątkowane przez magię i oręż olbrzymów. Braster odniósł rany w starciu pośród kopców, ale zdołał przeżyć. Przybocznicy wynieśli go nieprzytomnego z pola bitwy. Zaś Romar, król Isiltiru, na czele reszty ludzkich drużyn rzucił się do pościgu za Hunen, którzy umknęli przez czarne wrota.

Calidus uważał Romara za ciernię w ich boku, gdyż ten przy niemalże każdej okazji sprzeciwiał się Nathairowi i jego przybocznym, ale Veradis współczuł królowi Isiltiru. Trudno mu było sobie wyobrazić koszmar walki wręcz w ciemnych tunelach.

Calidus wspomniał, że nadszedł czas, by powziąć drastyczne środki przeciwko opornemu władcy, ale była to tylko i wyłącznie jego sprawa. Veradis nie sprawował żadnej kontroli nad Calidusem. Nathair powiedział mu bez ogródek, że jego doradca ma pełną swobodę działania oraz dysponuje wojownikami Jehar, którzy mieli spełniać jego życzenia.

Co ma być, to będzie, pomyślał Veradis.

Nie dbał o Romara, ale u jego boku walczyło teraz dwóch jego przyjaciół: Kastell i Maquin. Obaj należeli do Gadrai, elity wojowników Romara. Nie chciał, by coś im się stało, ale ostrzegł ich, a przynajmniej próbował. Cóż jeszcze mógł zrobić?

Znów spojrzał na wejście do ciemnego tunelu, z którego dobiegał szczepek oręza i stłumione wrzaski.

Bos poklepał go po ramieniu i wskazał ruchem głowy kopce. Powrócił jeden ze zwiadowców.

– Znalazłem coś! – wysapał, zdyszany.

– Co?

– Ukryte wejście. Usłyszałem jakieś głosy, a po nich coś jeszcze. To było dziwne...

Veradis zebrał wokół siebie około tuzina zbrojnych, pozostawił resztę pod pieczę Bosa i ruszył w ślad za zwiadowcą. Ten poprowadził ich ścieżką między kopcami, gdzie nagle otoczyła ich osobiwa, niepokojąca cisza.

Po chwili kopce ustąpiły miejsca kamiennym budowłom, pustym i przepełnionym jedynie cieniami. Veradis i jego ludzie zwolnili i rozglądali się uważnie, bojąc się zasadzki ze strony przyczajonych olbrzymów.

– Tam! – Zwiadowca wskazał coś w ścianie klifu.

Veradis wyteżył wzrok, ale nie widział niczego niecodziennego.

– Nie, źle patrzycie! – Zwiadowca podszedł bliżej i zatrzymał się przed klifem. Odsunął stopą ziemię i pokazał wszystkim uchwyt przymocowany do włazu pod ich stopami.

Veradis uklęknął i przyłożył ucho do ziemi. Z początku nie usłyszał nic, ale po chwili dotarły do niego jakieś stłumione odgłosy. Miał wrażenie, że słyszy płacz dziecka.

Wskazał na wąż i szepnął kilka rozkazów. Dwóch wojowników złapało za uchwyt, a reszta zgromadziła się wokół nich z dobytą bronią.

– Teraz! – rozkazał Veradis.

Wojownicy szarpnęli za klapę i otwarli zejście w dół.

Do środka wpadło światło słoneczne. Oczom młodzieńca ukazały się wprawdzie szerokie, kamienne schody, a potem wpatrzone w mężczyzn twarze. Dziesiątki twarzy, co do jednego olbrzymów, choć Veradis od razu uświadomił sobie, że jest w nich coś dziwnego. Niecodziennego.

Nim zdołał zareagować w jakikolwiek sposób, rozległ się dziki ryk i ze środka wypadła jakaś postać, wymachująca ogromnym młotem wojennym. Za jego plecami rozległy się wrzaski. Veradis uskoczył na bok – młot minął go o cal i uderzył w innego wojownika. Chrupnęły łamane kości, a mężczyzna padł na ziemię. Olbrzym, nie zwlekając, rzucił się do dalszej szarży, roztrącając kolejnych wojów.

Veradis i jego ludzie otoczyli wroga, który obrzucał ich wyzwiskami, nie przestając wymachiwać bronią. Młodzieniec wybrał odpowiedni moment, skoczył, dźgnął i się cofnął. Olbrzym zaryczał i zawirował, ale kolejni wojownicy szli za przykładem dowódcy, przypadali i pchali włóczniami bądź mieczami. Przeciwnik znów zaryczał z wściekłości, rzucił się do ataku, powalił kolejnego człowieka. Błysnęły spadające miecze. Olbrzym zrobił jeszcze kilka kroków, ale zachwiał się i padł na ziemię. Trawę

poplamiała krew.

Veradis stał przez moment nieruchomo i oddychał ciężko, a potem podszedł do trupa i obrócił go butem, by upewnić się, że nie żyje. Następnie zwrócił się w stronę wjazdu.

– Wyłaźcie! – zawołał.

Odpowiedziała mu cisza. Zajrzał więc do środka i ujrzał postacie kryjące się pośród cieni, poza zasięgiem słońca.

– Nie jestem głupi i nie mam zamiaru schodzić na dół. Jeśli tam zostaniecie, spłoniecie co do jednego! – zawołał głośniej.

Nadal nie było odpowiedzi. Wzruszył więc ramionami i odwrócił się.

– To tylko dzieci! – krzyknął jakiś ochryply głos z ciemności. – Wyjdziemy, ale proszę, nie zabijaj ich!

Dzieci olbrzymów. Co za dzień...

– Wyłaźcie. Jeśli jest tak, jak mówisz, nie utoczmy krwi jako pierwsi! – zawołał Veradis i uniósł rękę, ostrzegając pozostałych.

Z dziury w ziemi wyłonił się pojedynczy olbrzym, wysoki i barczysty. Była to kobieta, choć muskulaturą dorównywała mężczyznom swego gatunku. Jej pierś przecinały czarne, skórzane pasy, a w ręku kołysał się młot wojenny. Jej ciemne oczy omiotły Veradisa, a potem olbrzymka leżącego twarzą do dołu na trawie. Na jej obliczu pojawił się żal.

Veradis kazał jej podejść bliżej. Olbrzymka z wahaniem zrobiła kilka kroków i powiedziała coś, po czym za jej plecami pojawili się inni.

Veradis zamrugał. Było ich dwudziestu, może trzydziestu. Niektórzy niżsi od niego, inni wyżsi, wielu mniej więcej jego wzrostu. Umięśnieni, ale smuklejsi od dorosłych olbrzymów. Ich kończyny zdawały się dłuższe, chudsze, niemalże niezdarne niczym u nowo narodzonych żrebaków. Twarze niektórych z nich porastał już meszek, choć w większości były nagie i zdawały się przez to łagodniejsze od ostrych, kanciastych obliczy dorosłych. Paru z nich trzymało broń – sztylety długie niczym miecz Veradisa, a kilku większych dzierżyło nawet młoty i topory, ale wszyscy wyglądali na skrajnie przerażonych, jakby lada chwila mieli się rzucić do walki bądź ucieczki.

Veradis wyczuwał napięcie. Wiedział, że wystarczy jeden przypadkowy ruch, by doszło do rzezi. Opiekunka znów powiedziała kilka słów i ci spośród jej podopiecznych, którzy dzierżyli broń, opuścili ją lekko.

Olbrzymka również czuła zagrożenie.

– To tylko dzieci – powtórzyła, a w jej głosie duma zlewała się z błaganiem.

Dzieci, pomyślał Veradis.

– Większość z nich jest wyższa ode mnie! – parsknął i przeczesał dłonią włosy. – Nie zrobimy krzywdy ani im, ani tobie, chyba że ktoś z was będzie się jednak palił do walki.

Olbrzymka patrzyła to na niego, to na jego ludzi.

– A więc już po bitwie – powiedziała.

– Tak. Złóżcie broń. Wszyscy! – oznajmił Veradis.

A potem się zastanowię, co właściwie z wami począć, dodał w myślach.

Zerknął na niewielki oddział za swymi plecami. Wiedział o tym, że olbrzymy, choć młode i niedojrzałe, przewyższały ich liczebnie, i nie było mu z tą myślą do śmiechu.

Olbrzymka warknęła coś za siebie. Broń z grzechotem wylądowała na ziemi. Kilku starszych wahało się i opiekunka musiała podnieść głos, ale sama dla przykładu odrzuciła własny młot. W tej samej chwili dostrzegła coś kątem oka. Między jej grubymi brwiami pojawiła się zmarszczka.

Alcyon zmierzał ku nim. Obok niego szedł Calidus, a wokół nich kroczyli Jehar, rozstawieni niczym czarny płaszcz.

– I cóż my tu mamy? – spytał Calidus.

– Chowali się w tej dziurze – rzekł Veradis. – Ale poddali się.

Nie podobało mu się twarde, zacięte spojrzenie Calidusa ani to, że mężczyzna oparł dłoń na rękojeści miecza.

– *Dia duit* – rzekł Alcyon i ruszył ku nim. Dotknął dłonią czoła.

Olbrzymka przyglądała mu się podejrzliwie, ale odwzajemniła gest, a potem uniosła głowę i powąchała powietrze niczym ogar, który pochwyił zapach. Zmrużyła oczy i skupiła spojrzenie na Calidusie.

– *Cen fath coisir tu racan ar dubh aingeal.*

Alcyon wzruszył ramionami.

– Podjąłem własną decyzję – zagrzmiał, choć przez jego oblicze przemknęły ledwie zauważalne emocje.

Czy to wstyd?, zastanawiał się Veradis.

– Nie możemy ich oszczędzić – rzekł Calidus, stojący za Alcyonem.

– To tylko dzieci! – Olbrzym zmarszczył brwi i uniósł rękę.

– Ale nie będą nimi wiecznie. Będą chciały pomścić swój ród i to, co zostało im odebrane.

– A co takiego zostało odebrane? – spytała powoli olbrzymka. Wypowiadała słowa flegmatycznie, krzywiąc się przy tym, jakby walczyła z nieprzyjemnym smakiem w ustach.

– Topór z gwiazdnego kamienia – odparł Calidus.

Olbrzymka zerknęła na Alcyona, a Veradis zwrócił uwagę na topór, przewieszony przez jego plecy. Oręż, od rękojeści aż po ostrze, wykonano z matowego, czarnego surowca. Wpatrzony w topór Veradis miał wrażenie, że przez jego umysł przemknął jakiś dźwięk. Nie umiał go nazwać. Może był to szmer wiatru? Może szept odległych głosów? W każdym razie trwał zaledwie uderzenie serca i ucichł.

Młodzieniec zamrugnął, a olbrzymka warknęła coś, pochwyciła swój młot i rzuciła się na Alcyona. Ten cofnął się, złapał za topór i zablokował cios, który mógłby ściąć mu głowę.

Kilkoro wyrostków również pochwyciło porzuconą broń i skoczyło w ślad za opiekunką. Jehar jednocześnie wyciągnęli oręż, a towarzyszący temu odgłos przypominał łoskot załamującej się fali.

Veradis cofnął się, unosząc tarczę i miecz, ale coś powstrzymało go przed wmieszaniami się do bitwy. Nie chciał zabijać tych olbrzymów. Nie chciał nurzać miecza w ich krwi. Przecież to były tylko dzieci.

To twój wróg!, rozległ się jakiś głos w jego głowie.

A co z miłosierdziem? Wszak nawet wróg na nie zasługuje?, pomyślał.

Alcyon parował uderzenia olbrzymki drzewcem nowego topora. Ciosy padały błyskawicznie, zewsząd, a wielki wojownik powoli się cofał. Wydawało się, że nie ma ochoty przelewać krwi. Wszędzie dookoła odziani na czarno Jehar zwarli się z niedorosłymi olbrzymami, które furią nadrabiały braki w wyszkoleniu. Nie wystarczało to jednak i jeden po drugim padały martwe.

Alcyon przeszedł wreszcie do kontrataku i rąbnął tępym końcem drzewca w czaszkę olbrzymki, która zatoczyła się i padła na jedno kolano. Walka wokół niej zamierała. Jej ocalali pobratymcy wpatrywali się w nią z przestachem.

– Opuść broń! – wychrypiał Alcyon.

Wtedy między nimi pojawił się Calidus. Alcyon wrzasnął na

srebrnowłosego towarzysza, ale ten zignorował go, zamachnął się mieczem i jednym uderzeniem ściął olbrzymce głowę. Jej podopieczni wrzasnęli z rozpaczą. Kilku z nich znów rzuciło się do desperackiej walki, ale inni wyrwali się i skryli wśród kopców.

Alcyon pochylił głowę.

Jehar błyskawicznie rozprawili się z pozostałymi olbrzymami i walka dobiegła końca.

– Miło cię ujrzeć, Veradisie! – zawołał szeroko uśmiechnięty Calidus, krocząc ku niemu i wycierając miecz w swój płaszcz. Akar, dowodzący wojownikami Jehar, szedł za nim, jak zwykle z kwaśną miną.

Veradis skinął na powitanie, ale jak zahipnotyzowany wpatrywał się w głowę olbrzymki i rozrzucone dookoła ciała wyrostków.

– Jak poszły walki w tunelach? – spytał, próbując oderwać od nich wzrok.

– Dość dobrze. Hunen są już rozbici, a my zdobyliśmy wielki łup dla Nathaira.

– Łup? Co takiego?

– To. – Alcyon uniósł topór. – Jeden z Siedmiu Skarbów.

Mimo to oblicze nadal miał pochmurne.

Veradis podszedł bliżej i ujrzał, że stylisko topora wykonano z drewna poznaczonego ciemnymi żyłami, wzmocnionego na całej długości żelaznymi pierścieniami, wyszlizganego i gładkiego. Podwójne ostrze było zaś matowoczarne i wydawało się zasysać światło, samemu wcale go nie odbijając.

Spojrzał dalej i ujrzał Jehar oraz kilku innych wojowników. Rozpoznał wśród nich Jaela.

– A gdzie reszta? – spytał. Przeszyło go zimno, gdy znów pomyślał o Kastellu i Maquinie.

– Ponieśliśmy straty. – Calidus wzruszył ramionami. – Tak to już bywa podczas bitew, że ludzie giną, Veradisie.

– Ludzie? Jacy ludzie? Ilu zginęło?

– Wielu – warknął Calidus. – Padł Romar i wielu spośród jego wojowników.

– Wszyscy – poprawił go Alcyon.

– Wszyscy – powtórzył chłodnym głosem Calidus. – To wielka tragedia,

ale tak to już bywa na polach bitewnych.

Veradis wpatrywał się w niego. Miał wrażenie, że twarze Kastella i Maquina unoszą się przed nim.

Próbowałem ich ostrzec, pomyślał.

– Chodźmy, Alcyonie – rzekł Calidus i odwrócił się. – Doprowadź się do porządku, Veradiesie. Spotkamy się później i naradzimy, co robić dalej.

Alcyon ruszył za Calidusem, oparłszy czarny topór na ramieniu. Akar pozostał przy Veradiesie. Marszczył czoło i sprawiał wrażenie, jakby chciał coś powiedzieć, ale odwrócił się i poszedł za tamtymi dwoma, prowadząc swych czarnych wojowników.

* * *

Veradis wpatrywał się w twarz Calidusa, opromienioną migotliwymi płomieniami ogniska. Światło zdawało się tańczyć na niej z cieniami. Starzec był pogrążony w rozmowie z Lotharem, wojewodą króla Brastera z Helvethu.

Za doradcą, skryty w mroku, zasiadał Alcyon, który nie otrząsnął się z ponurego nastroju, jaki prześladował go od chwili śmierci młodych olbrzymów. Czarny topór złożył na kolanie, a w jego dłoni pojawiła się długa, cienka igła, z której końca ściekał czarny atrament. Veradis przyglądał się z fascynacją, jak olbrzym rytmicznie dźgał nią w swe ramię, przydając kolców wijącym się pnączom. Każdy kolec odpowiadał jednemu przeciwnikowi, który padł z jego ręki w bitwie.

Młodzieniec skrzywił się. Czy Kastell i Maquin również zostali w ten sposób upamiętnieni?

Akar siedział przy ogniu z ciemnowłosą dziewczyną z Jehar. Nieznajoma miała ostre rysy twarzy i była młoda – z tego, co Veradis widział, nie była wiele starsza od niego samego. Zmarszczył brwi, nadal nie mogąc się przyzwyczaić do widoku kobiet noszących broń, a co więcej tak dobrych w zabijaniu jak Jehar.

Lothar pożegnał się i odszedł w mrok. Nikt nie chciał obozować wśród cichych grobów Haldis, a więc zwycięska armia rozłożyła się na zboczach, które prowadziły do miejsc pochówku, niedaleko stanowiska, z którego Veradis przyglądał się rano natarciu. Miał wrażenie, że to wydarzyło się

w innym życiu.

Wśród wzgórz migotały ognie, które rozgrzewały ocalałych z bitwy. Ku Haldis ruszyła blisko czterotysięczna armia, z której zostało mniej niż tysiąc ludzi. Połowa spośród nich należała do drużyny Veradisa oraz Jehar. Z hufca Romara przeżyło jedynie kilkudziesięciu wojów, w tym Jael. Resztę stanowiły niedobitki oddziałów króla Brastera, które wyniosły jego zakrwawione ciało z pola bitwy.

– Jak się czuje król Braster? – spytał Veradis nad płomieniami.

– Jego rana nie jest śmiertelna – odparł Calidus. – Wrogi młot zmiażdżył mu ramię. Wedle Lothara uzdrowicielom udało się nastawić jego kości, a więc przeżyje, choć miecza już pewnie do ręki nie weźmie.

– To dobrze – powiedział młodzieniec. Lubił Brastera i jego szorstką, bezkompromisową szczerłość. – Jak wygląda teraz nasz plan?

– Musimy odnaleźć Nathaira. Już wystarczająco długo nie mamy z nim kontaktu.

– Doskonale – rzekł Veradis.

Odczuwał wielką dumę z tego, że powierzono mu dowództwo nad tą kampanią, tym bardziej, że jego hufiec sprawdził się w walce i nie poniósł wielkich strat, nawet jeśli do sukcesu wielce przyczynili się Calidus i Alcyon, którzy skutecznie kontrowali działanie elementalistów Hunen. Przez cały czas jednakże dręczył go lęk o Nathaira. Wiedział, że jego król i przyjaciel wypłynął na nieznane wody w poszukiwaniu zaginionego kotła, a on był przecież jego pierwszym mieczem i powinien trwać u jego boku.

– Jak go znajdziemy? – spytał. – W chwili naszego rozstania miał wyruszyć do Ardanu, ale któż może wiedzieć, dokąd tak naprawdę dotarł.

– Otrzymałem już wieści. – Calidus postukał się w czoło. – Nie zapominaj, że przez wiele lat byłem szefem wywiadu Vin Thalun. Nathair przebywa w Dun Carreg w Ardanie i tam się udamy. Potrzebuje nas. Potrzebuje swoich doradców. Co więcej, ściągnę tam również Lykosa.

– Hmm... – mruknął Veradis. Nie był pewien, czy chciał wiedzieć, w jaki sposób Calidus tego dokona. Nie miał nic przeciwko temu, by pozostawić ten las za plecami, ale wciąż nie mógł się pozbyć podejrzliwości na samą wzmiankę o Vin Thalun. W głębi serca nadal im nie ufał. – Czyli

wyruszymy jutro? – zapytał.

– O brzasku. Udamy się z Jaelem na wschód do Isiltiru, a stamtąd do Ardanu.

– Z Jaelem? – powtórzył Veradis. Nie darzył kuzyna Kastella sympatią od chwili, gdy ujrzał go po raz pierwszy. Nie miał wiele wspólnego z Kastellem i Maquinem, których uznał za swoich przyjaciół, a którzy leżeli teraz martwi gdzieś w tunelach pod Haldis. Nie miał pojęcia, z czyjej ręki padli i chyba nie chciał tego wiedzieć.

Z drugiej strony, nie mógł przestać o tym myśleć.

Odpuść, szepnął ów głos w jego głowie.

– Tak, z Jaelem – rzekł Calidus. – Masz z tym jakiś problem?

– Nie – odparł Veradis. Miał ochotę podzielić się własnymi przemyśleniami, ale postanowił zachować je dla siebie.

– To dobrze. Po śmierci Romara Jael ma niemałe prawa do tronu Isiltiru, a Nathair poprze jego roszczenia.

– Dziwne – powiedział Veradis, nim się dobrze nad tym zastanowił. – Jak to możliwe, że Romar i wszyscy jego przyboczni zginęli w tych tunelach, a Jael przeżył?

Uniósł przy tych słowach głowę i wbił wzrok w Calidusa. Na mocno zaciśniętych ustach doradcy pojawił się chłodny uśmiech.

– Trwa wojna. Takie rzeczy się zdarzają.

Calidus miał rację. Podczas bitew ginęło wielu ludzi i Veradis wolał nie myśleć o tym, ilu towarzyszy broni sam utracił. Co więcej, niektórzy z nich byli jego przyjaciółmi. Wiedział też, że nie wszystkie rzeczy w życiu da się logicznie wyjaśnić, ale to? To, co wydarzyło się w tunelach, zakrawało na zdradę.

– Byliście świadkami śmierci Romara? – naciskał. – Widzieliście, kto go zgładził?

– Och, tak – odezwał się Calidus. Jego twarz była nieporuszona niczym z kamienia. – Zabił go jakiś olbrzym. Skup się może lepiej na żywych, Veradisie. Martwym daj już spokój. Wszak wszyscy służymy Nathairowi. Wszystko, co tu miało miejsce, służy większemu dobru. Zrobiliśmy to dla Nathaira. – Zmrużył oczy i dodał: – Mam nadzieję, że jesteś gotów służyć swemu królowi z całego serca i z pełnym przekonaniem.

– Oczywiście, że tak! – odparł Veradis. – Nie podawaj w wątpliwość

mojej lojalności wobec Nathaira!

– Dobrze. – Calidus uśmiechnął się lekko. – Cóż, na mnie już pora. Jutro musimy wczesnie wstać, czeka nas długa podróż.

Alcyon również się podniósł i udał się za Calidusem w mrok. Akar chciał pójść w ich ślady, ale zatrzymało go pytanie Veradisa:

– A ty? Widziałeś śmierć Romara?

– Tak.

– I?

– Calidus powiedział prawdę – odparł Akar. – Romara zabił olbrzym.

– Och – westchnął Veradis. W sercu poczuł zarówno zdziwienie, jak i ulgę. Miał bowiem pewność, że Calidus był zamieszany w śmierć króla Isiltiru.

– Olbrzym zbrojny w topór z czarnym ostrzem – dodał Akar, po czym odwrócił się i odszedł w mrok.

Rozdział czwarty

MAQUIN

– Zaraz cię uwolnię. Tylko nie rób niczego głupiego.
Słowa docierały do Maquina niczym z wielkiej odległości.

Gdzie ja jestem?, pomyślał.

Otworzył oczy, choć w pierwszej chwili nie zauważył różnicy. Otaczała go nieprzenikniona ciemność, twarz miał opartą o zimny kamień, a jego ramię pulsowało bólem.

– Ostrożnie. Wprawdzie odeszli już jakiś czas temu, ale w tych tunelach każdy dźwięk niesie się echem – dodał ten sam głos.

W tunelach?

Niespodziewanie załaza go fala wspomnień. Haldis, bitwa pod ziemią, Romar kłócący się z Calidusem o topór. Zdrada. Śmierć. Kastell...

– Kas... – szepnął.

Przez dłuższą chwilę trwała cisza, po czym ów głos oznajmił:

– Nie żyje. Nikt nie przeżył.

Kastell...

Maquin widział, jak Jael wbija młodemu wojownikowi ostrze w ciało i wiedział, że był to śmiertelny cios. Próbował go dopaść, ale Orgull, kapitan Gadrai, złapał go i zawlókł w mrok, podczas gdy wokół nadal trwała bitwa. Maquin nie miał jednak najmniejszej wątpliwości, że Romar, król Isiltiru, został zdradzony przez Calidusa z Tenebralu. Oraz Jaela.

Kastell zaś został zabity.

Wpierw Maquin stawił Orgullowi czoła. Próbował wyrwać się z jego rąk, ale kapitan władał niewyobrażalną wprost siłą. Szamotał się przez chwilę, a potem... Nic.

– Nie pamiętam wszystkiego. Co się stało? – wychrypiał.

– Szarpałeś się jak draig. Robiłeś wszystko, by mi uciec i dać się zarznąć. Musiałem ci przyłożyć – wyjaśnił mu Orgull.

Maquin poczuł, jak mężczyzna wzrusza ramionami, jego plecy przeszła kolejna fala bólu.

– Przykro mi – dodał kapitan.

Nagle Maquin uświadomił sobie, że do ziemi przygniata go wielki ciężar.

– Czy ty na mnie siedzisz?

– Musiałem mieć pewność, że nie zerwiesz się w chwili, gdy się przebudzisz.

– Nie ma mowy – stęknął Gadrai. – Złaź.

Poczuł, jak ciężki Orgull się podnosi. Maquin również przetoczył się na jedno kolano i wstał ze stęknięciem, odruchowo sięgając po miecz.

– Nie pomieszało ci się we łbie? – Orgull zmarszczył brwi.

– Nie. – Maquin się skrzywił.

Zrobił kilka wymachów ramion, rozciągając zeszywniałe mięśnie, a wtedy w jego plecach eksplodował potężny ból. Pamiętał już, że znalazł się na drodze opadającego młota wojennego, dzierżonego przez olbrzyma. Ramię pulsowało mu falami wściekłego bólu, ale mimo to zacisnął zęby i rozejrzał się po podziemnej sali.

Pochodnie nadal płonęły, a nad żelaznymi misami, wypełnionymi jakimś olejem, migotały błękitne ogniki. Misy zaś rozstawiono wokół kamiennego tronu, na którym nadal spoczywało truchło nieżyjącego od dawna króla. Wszędzie leżały ciała zabitych.

Maquin i Orgull spojrzeli po sobie i bez słowa wrócili na pole bitwy, stąpając uważnie wśród zwłok.

Jesteśmy ostatnimi spośród Gadrai, szeptał głos w głowie Maquina. Nie przeżył nikt poza nami. Nikt.

Zamknął oczy i znów ujrzał Jaela, który wbija miecz w brzuch Kastella.

Orgull uklęknął obok Vandila i zamknął mu powieki. W piersi jego dowódcy ziała ogromna jama, pozostałość po straszliwym ciosie olbrzyma Alcyona.

Maquin podszedł do miejsca, w którym widział padającego Kastella. Młodzieniec leżał na brzuchu, a wokół jego talii zgromadziła się kałuża czarnej krwi. Uklęknął przy nim i odwrócił go na plecy, a potem przytulił do piersi.

– Och, Kas... – szepnął.

W jego oczach pojawiły się łzy, które zdusiły pozostałe słowa. Pamiętał chwilę, gdy Kastell przyszedł na świat. Pamiętał swą dumę, gdy ojciec chłopca mianował go jego przybocznym, pamiętał też, gdy wyciągnął go spomiędzy ognia i zniszczeń, spowodowanych atakiem Hunen. Pamiętał słowa przysięgi, w której obiecywał strzec go aż po kres swych dni.

Łzy ściekały mu z nosa i rzeźbiły kanaliki na brudnej twarzy Kastella.
Zawiodłem cię.

Kochał go niczym syna, którego nigdy nie miał, a tymczasem pozwolił, by zginął z ręki Jaela. W jego sercu rozlała się zimna wściekłość.

Z wielką czułością starł brud z twarzy Kastella, a potem ułożył go ostrożnie na ziemi. Odnalazł jego miecz, wsunął rękojeść między sztywniejące palce chłopaka i położył ostrze na jego ciele. Następnie uklęknął i wyszeptał słowa modlitwy, w której błagał o wybaczenie i składał nową obietnicę.

I tej nie złamię nigdy, mówił sobie w myślach, chyba że śmierć stanie mi na drodze. Przysięgam, że Jael zginie z mojej ręki.

Wyszarpnął sztylet z pochwy przy pasie i przeciągnął ostrzem po dłoni. Kilka kropel krwi spadło na Kastella.

Orgull podszedł bliżej i stanął za nim z pochyloną głową.

– Jael go zabił – wymamrotał Maquin.

Kapitan pokiwał głową. Blask błękitnych pochodni odbił się w jego oczach.

– Jael coś mocno trzymał się z tym całym Calidusem – burknął. – Powinienem był to zauważyć. Obaj mają wiele na sumieniu. – Zamyślony, szarpnął za warkocz wojownika, który zaplótł na brodzie. – Myślę, że to coś więcej niż tylko krwawy zatarg między wujem i siostrzeńcem. Wydaje mi się, że Jael ma chrapkę na tron Isiltiru.

– Tron? – spytał Maquin.

– Zgadza się. Ile lat ma syn Romara? Dziesięć? – rzekł Orgull. – A Jael jest przecież krewnym Romara, choć stosunkowo dalekim. Będzie mógł sięgnąć po tron, jeśli usunie tych, którzy są bliżej spokrewnieni z królem.

– Tak jak usunął samego króla – rzekł Maquin.

– Oraz jego – dodał Orgull, patrząc znacząco na martwego Kastella.

Maquin wtarł zaciśnięte pięści w oczy.

– Jael zapłaci mi za to!

Orgull przyjrzał mu się uważnie.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że najlepszą zemstą będzie pokrzyżowanie jego planów zagarnięcia tronu.

– Ostrze miecza wbitego w serce załatwi sprawę – rzekł Maquin.

– A jeśli ci się nie uda? Nie wiemy, jak wygląda sytuacja, ale założę się, że Jael otacza się przybocznymi, a do tego nie rozstaje się z tym Calidusem, jego olbrzymem i Jehar. Nie sądzę, by udało ci się choć do niego zbliżyć. Możesz próbować, ale coś czuję, że cię zabiją, a wówczas Jael przejmie tron. Nie nazwałbym tego udaną zemstą.

Maquin wbił wściekły wzrok w Orgulla. Musiał przyznać, że w jego słowach kryje się prawda, choć w tej chwili logiczne myślenie było mu obce.

– Trzeba przekazać wieści do Isiltiru. Powinni dowiedzieć się o wszystkim, począwszy od zdrady Jaela. Nie chcę, by śmierć naszych braci poszła na marne.

Orgull pochylił się nad ciałem Romara, podniósł jego broń i owinął ją płaszczem.

– Nie po to cię uratowałem, byś rzucił się na miecze obstawy Jaela tuż po wyjściu na powierzchnię!

– To nie ty decydujesz o tym, co zrobię z własnym życiem – odparł Maquin. – Mam zamiar zabić Jaela i tyle.

Orgull pochylił się, by spojrzeć Maquinowi w oczy.

– Potrzebuję twojej pomocy. Nie rozumiesz, że chodzi tu o wiele więcej niż tylko zemstę jednego człowieka? Pomóż mi, proszę! Mieszkańcy Isiltiru muszą poznać prawdę o tej rzezi! – Urwał, wiążąc spojrzenie Maquina, po czym potrząsnął głową i rzekł: – Zawrzyjmy umowę. Pomóż mi, a ja pomogę tobie. Razem zabijemy Jaela albo zginiemy na ostrzach jego obstawy. Przysięgam na cześć naszych poległych braci!

Maquin wciągnął głęboko powietrze, zastanawiając się nad słowami Orgulla. Dostrzegał w nich wiele sensu – gdyby teraz próbował pomścić śmierć Kastella, przypuszczalnie sam by zginął i niczego nie osiągnął.

– Zgoda – szepnął, spoglądając na ciało podopiecznego.

Uścisnęli sobie z Orgullem przedramiona.

– Najpierw jednak będziemy musieli jakoś się stąd wydostać – rzekł.

– Trudno się sprzeczać. Jesteś ranny?

– Bywało lepiej.

Nie mógł poruszyć lewym ramieniem, a jego bladą twarz pokrywała warstewka potu.

– Zatrzymałem ramieniem opadający młot.

Orgull stanął za nim i ostrożnie obmacał zarówno jego ramię, jak i bark.

– Na szczęście jest zwichnięte, a nie złamane. Masz, zagryź na tym zęby.

Podał towarzyszowi gruby rzemień, a potem zacisnął ogromną dłoń na jego ramieniu i oparł drugą między łopatką a kręgosłupem. Następnie pociągnął z całej siły.

Rozległ się głośny trzask. Maquin zasyczał i się zatoczył.

– Następnym razem spróbuj skorzystać z tarczy – poradził Orgull.

– Świetna rada – wymamrotał Maquin, po czym wypluł rzemień i osunął się na kolano.

– Bierz, co ci się spodoba – rzekł Orgull i pochylił się, by podnieść tarczę poległego wojownika. – Potem musimy poszukać drogi wyjścia.

Maquin z trudem pozostawił ciało Kastella i zaczął się rozglądać. Najpierw sięgnął po swój bukłak i napił się do syta, a potem uzupełnił jego zawartość z bukłaków poległych. Po chwili odnalazł zwykłą drewnianą tarczę, obwiedzioną żelazną listwą i zaopatrzoną w umbo. Na jej powierzchni dostrzegł jedynie płytkie cięcia. Uniósł ją, sprawdził paski i zarzucił ją sobie na plecy. Znalazł też włócznię z szerokim ostrzem. W międzyczasie Orgull podniósł topór, który należał do jednego z nieżyjących od dawna olbrzymów, strzegących swego władcy. Na oczach Maquina uniósł go nad głowę i uderzył nim w kamienną posadzkę, aż strzeliły iskry. Z żeleźca odpadła rdza. Kapitan przesunął wówczas palcem po ostrzu i z satysfakcją pokiwał głową.

– Chcesz sobie wyrąbać drogę na zewnątrz? – spytał Maquin.

– Jeśli będzie trzeba. Topór jest nadal dość ostry. – Orgull uśmiechnął się bez wesołości. – Nie za bardzo podoba mi się jednak pomysł wyjścia stąd przez frontowe drzwi. Nie wydaje mi się, by Calidus zostawił je otwarte bądź bez straży. Jeśli zaś zacznę walić w nie toporem, zbudzę wszystko, co żywe w tym lesie.

– Słusznie – odparł Maquin.

– Widzisz te płomienie?

Stary wojownik spojrział na błękitne ognie, które migotały i strzelały, poruszane lekkim przeciągiem.

– Przekonajmy się, skąd dobiegają te podmuchy i miejmy nadzieję, że to coś więcej niż tylko szczelina w ziemi.

Niespodziewanie między ciałami poległych rozległ się głuchy, stłumiony jęk. Maquin nachylił się i odciągnął na bok ciało wojownika Jehar, uwalniając czyjąś rękę. Ta poruszyła się, a palce drgnęły.

Był to Tahir, jeden z ich braci Gadrai, młody wojownik, niewiele starszy od Kastella.

Przyjaźnili się, pomyślał Maquin.

Wraz z Orgullem wyciągnęli młodzieńca spod trupów i obejrzeliby uważnie, ale okazało się, że nie licząc wielkiego guza na czaszce, wojownik wyszedł z bitwy bez szwanku.

– Co tu się działo? – wymamrotał, nie mogąc skupić wzroku.

Orgull streścił mu opowieść o zdradzie Jaela.

– A Vandil? – spytał Tahir i podniósł się niepewnie. Z oszołomieniem spoglądał na rozrzucone dookoła ciała.

– Nie żyje. Zabity przez oswojonego olbrzyma Calidusa – odparł Orgull.

Tahir gwizdnał cicho i pokręcił głową, ale zaraz zrobił minę, jakby tego pożałował.

– I co teraz?

– Najpierw musimy wydostać się z tej nory. Jedna rzecz naraz.

Maquin podarł kilka płaszczów na paski, zamoczył je w oleju i obwiązał nimi drzewca włóczni oraz topora, by stworzyć pochodnie. Podpalone, zamigotały tym samym błękitnym światłem.

Wspólnie podeszli do ściany i zaczęli uważnie się rozglądać w poszukiwaniu wyjścia. Po chwili odkryli zwieńczone łukiem przejście, niemalże zasłonięte gęstymi pajęczynami, trącanymi lekkimi podmuchami wiatru. Maquin przytknął do nich pochodnię. Błękitne ogniki skoczyły naraz we wszystkich kierunkach, pochłaniając pajęczynę aż do gołego kamienia.

Orgull spojrział na obu towarzyszy, a potem wkroczył w ciemność. Tahir ruszył za nim, ale Maquin zatrzymał się na moment i znów spojrział na salę, która zamieniła się w pobojuwisko.

– Żegnaj, Kastellu – powiedział. Po długiej chwili zacisnął zęby i zagłębił się w tunel.

* * *

Brnęli naprzód w ciszy. Błękitnawe promyki odbijały się od wysokiego sklepienia i ścian tunelu. Co chwila natrafiali na kolejne odnogi, w których czaiły się gęste cienie. Maquin przyglądał się im z podejrzliwością. Wszak znajdowali się w lesie Forn – lub pod nim – a Forn był mrocznym, dzikim sercem Ziem Wygnanych. Mało kto spośród jego mieszkańców budził zaufanie, a większość była bezlitosnymi drapieżcami.

Myślami powrócił do tych, których pozostawił za sobą – do Vandila i innych poległych braci Gadrai, do Romara, a nade wszystko do Kastella. Oczyma wyobraźni znów ujrzał Jaela, który staje przed nim i dźga go bez litości. Powinien był trzymać się bliżej. Znowu poczuł łzy i wściekle przetarł powieki. Zacisnął pięści.

Naraz jakiś dźwięk przyciągnął jego uwagę. Z głębokich cieni bocznego tunelu dobiegł głośny chrobot. Maquin wyteżył wzrok i wydawało mu się, że dostrzega jakiś ruch, ale blask pochodni nie sięgał na tyle daleko, by udało mu się ujrzeć cokolwiek ponadto. Wiedział tylko tyle, że było to coś wielkiego. Potem dostrzegł jakiś błysk. Syknął ostrzegawczo do pozostałych i wyciągnął miecz.

– Co się dzieje? – spytał Tahir.

Orgull podszedł do nich.

– Coś tam jest – mruknął Maquin.

– Co?

– Nie wiem. Coś!

Maquin uniósł wysoko pochodnię i wszedł w boczny tunel. Ciemność ustępowała przed blaskiem płomieni. Nie widział niczego poza pustką dookoła.

– Nic już nie słyszę – rzekł Tahir.

– Chodźmy – odezwał się Orgull. – Tahir, pilnuj tyłów.

– Się robi.

Przyśpieszyli. Tunel zmierzał teraz w górę, co zlany potem Maquin uznał za dobry znak.

O wiele lepiej iść w górę niż w dół, przemknęło mu przez głowę, ale po chwili zauważył, że ściany zaczynają się zężać, a sufit obniżać. Odkrycie obudziło w nim niepokój. Co to oznacza? Czyżby tunel miał się po prostu skończyć? I co wtedy poczną?

Niedługo potem Orgull zatrzymał się. Wyciągnął rękę i dotknął sufitu, gdzie po chwili wymacał poskręcany, twardy korzeń.

– Jesteśmy blisko powierzchni – stwierdził Maquin.

– Przeszliśmy ponad milę – dodał Tahir.

– Zgadza się. Jesteśmy już za Haldis, ale niezbyt daleko – rzekł Maquin.

– Co tam u ciebie, Tahir? – spytał Orgull. – Wszystko dobrze na tyłach?

– Niczego nie widzę.

– Dobrze. Idziemy – oznajmił kapitan i ruszył przed siebie.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy znów się zatrzymał. Tunel kończył się kilkoma stopniami, które pięły się w górę, ku płaskiemu, okrągłemu głazowi w suficie. Orgull wszedł po stopniach i ostukał kamień toporem. Potem podszedł jeszcze wyżej, oparł się barkiem o głaz i pchnął ze wszystkich sił. Głaz zazgrzytał i przesunął się nieco. Z sufitu posypała się ziemia.

– Pomóżcie mi! – stęknął Orgull.

Stopnie były szerokie na tyle, by pomieścić dwie osoby. Maquin stanął więc obok Orgulla i naparł wraz z nim. Głaz przesunął się jeszcze dalej, a ich głowy obsypały grudki spadającej ziemi. Do środka wpadł powiew świeżego powietrza, błysnął też blask księżyca.

– Jeszcze trochę! – mruknął Orgull. – Pchaj!

Wtedy rozległ się krzyk Tahira. Maquin i Orgull obrócili się błyskawicznie.

Coś dopadło ich towarzysza. Z tego, co mogli dojrzeć, stworzenie miało wiele odnóży, było pokryte chityną i sterzącymi szczecinami, miało wielkie ślepia i kły. Szerokością dorównywało dorosłemu dzikowi, ale było od niego o wiele dłuższe, a jego podzielone na segmenty ciało niknęło wśród cieni. Tahir wrzeszczał i tłukł bestię włócznią, ale na marne.

Maquin skoczył naprzód i dźgnął własną włócznią, która ześlizgnęła się po twardym, lśniącym pancerzu. Wówczas pchnął pochodnią, ale twarde, pajęczce odnoże wytrąciło mu ją z ręki. Błękitne światło przygasło na ziemi.

Pchnął ponownie włócznią. Ostrze znów ześlizgnęło się po pancerzu, ale wtedy wnikło w szczelinę między segmentami. Potwór wydał z siebie przeraźliwy pisk, porzucił Tahira i poderwał się, obnażając kły i machając odnóżami. Sięgał prawie na całą wysokość tunelu.

Maquin złapał Tahira za nadgarstek i odciągnął go do tyłu. Bestia runęła za nimi, choć rana w jej boku broczyła już zieloną, galaretowatą substancją. Potwór zatopił kły w nodze Tahira, tuż pod kolanem. Ten wrzasnął, rozpaczliwie próbując się uwolnić.

Naraz pojawił się Orgull. Ryknął na Maquina, by się cofnął, i na Tahira, by leżał na ziemi. Zamachnął się nowym toporem i z całej siły wyrzucił nim w łeb zwierzęcia. Rozległ się obrzydliwy trzask. Odnóża bestii zadrgały wściekle, czułki zafurkotały, ale zaraz potem potwór osunął się na ziemię. Tam zadygotał spazmatycznie raz jeszcze i znieruchomiał.

– Wyjmijcie mi to! – syczał Tahir. W jego nodze nadal tkwił kiel potwora. Maquin pochylił się i wyrwał go z rany. Tahir sapnął, a po jego łydce spłynęła krew.

Orgull podniósł nogawkę rannego aż pod kolano, obmył ranę wodą i zawiązał nad nią opatrunek.

– Jak to wygląda? – spytał Tahir. W jego głosie pojawiła się panika.

– Nie najgorzej, choć tu w podziemiach nic nie wygląda dobrze – mruknął Orgull. – Wolałbym przemyć ją czymś mocniejszym od wody. Możesz wstać?

– Jeśli dzięki temu będę mógł się stąd wydostać – szepnął Tahir i wsparł się na włóczni.

Orgull ujął drzewce topora i jednym szarpnięciem uwolnił broń z czaszki stworzenia. Cisnął pochodnią w głąb korytarza. Płomień zakołysał się, ale nie zgasł.

– Maquin, odsuń ten przeklęty głaz. Któż może wiedzieć, z kim jeszcze dzielimy te tunele.

Stary Gadrai wbiegł po stopniach i napał na kamień. Ten nie ustąpił. Podjął kolejną próbę, stękając i napinając mięśnie.

– Nie dajesz rady?! – zawołał Orgull.

– Ciężkie to! – mruknął Maquin. – Przydałaby mi się twoja pomoc!

– Nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie – odparł kapitan. – Lepiej się przyłóż, bo pochodnie już przygasają.

W chwili, gdy wypowiedział te słowa, wyrzucona przez niego pochodnia zasyczała, parsknęła i zgasła. Ciemność przybliżyła się, powstrzymywana teraz już tylko przez ostatnią pochodnię, kurczowo utrzymaną przez Tahira.

Maquin zdwoił wysiłki, lęk przed uwięzieniem w ciemnościach dodał mu sił. W końcu głaz przesunął się i zazgrzytał, trąc o inny kamień. Wojownik wbił tępy koniec włóczni w szczelinę i napał na nią ze wszystkich sił. Na czoło wyszły mu żyły z wysiłku, ale kamień wreszcie się odsunął. Wojownika opromieniło światło księżyca.

Wyciągnął rękę na zewnątrz, ciesząc się chłodnym powietrzem na twarzy i dotykiem trawy. Złapał jakiś korzeń i wyciągnął się z dziury. Słyszał cichy szum wiatru między gałęziami drzew, odległy szmer głosów, niewyraźną pieśń. Między pniami zaś dostrzegł poblask ognisk.

A więc znów wrócili do Fornu, a on spoglądał na obozowisko tych, którzy przeżyli bitwę. Na chwilę jego myśli wypełniło wyobrażenie Jaela, który siedzi przy ognisku, je, pije, świętuje. Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, wstał i zrobił kilka kroków naprzód, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

– Przydałaby się pomoc! – szepnął ktoś z dołu.

Maquin zamarł, przypomniawszy sobie słowa Orgulla i umowę, jaką zawarli w podziemnej sali.

Już niebawem, Jaelu.

Księżyc skrył się za postrzępionymi chmurami i znów zapadła ciemność. Maquin nachylił się, by pomóc pozostałym wyjść na zewnątrz, po czym cicho niczym polujące wilki wniknęli w las. Byli ostatnimi wojownikami Gadrai.

Maquin spojrział raz jeszcze za siebie i podążył za towarzyszami.

Rozdział piąty

CORBAN

Corban trzymał się relingu łodzi i wpatrywał się w dal.

Dun Carreg już dawno zniknęła za widnokregiem i wszędzie jak okiem sięgnąć ciągnęły się szare, upstrzone plamkami piany fale.

Było już późne popołudnie i Corbanowi burczało w brzuchu. Nie jadł nic od poprzedniego wieczora, podobnie zresztą jak inni na łodzi. Nikt nawet nie pomyślał o jedzeniu podczas ich rozpaczliwej ucieczki.

Dun Carreg, pomyślał, żałując, że nie widzi już fortecy, że nie widzi Ardanu, że nie widzi domu.

Nie mam już domu.

Wszystko zmieniło się tak gwałtownie. A Thannon i Cywen pozostali w Dun Carreg, oboje martwi, porzuceni. Nie było komu wznieść nad nimi kopca. To nie było w porządku. Oczy Corbana wypełniły łzy.

Mama spała na stercie sieci. Wyglądała na starszą niż kiedykolwiek wcześniej, jej zmarszczki wydawały się głębsze, a pod oczami pojawiły się plamy. Obok niej siedział Gar, który pochylił głowę i również spał. Większość uciekinierów znajdowała się w podobnym stanie. Mieli za sobą długą, ciężką noc. Bardzo ciężką.

Corban usłyszał czyjeś kroki. Uniósł głowę i ujrzał Haliona, swego nauczyciela walki z Jarzębinowej Łąki, który szedł ku niemu po pokładzie łodzi rybackiej. Mężczyzna skinął głową ponuro i podszedł do Mordwyr, ojca Datha, który trzymał rumpel.

– Musimy zbliżyć się do lądu. Poszukać czegoś do jedzenia i picia.

– Uhm – zgodził się Mordwyr. Miał przekrwione oczy, a na jego twarzy zastygł żal. Wszak jego córka Bethan zginęła obok wielu innych ludzi w Dun Carreg.

Nie ja jeden straciłem tej nocy kogoś bliskiego, pomyślał Corban.

Mordwyr pokazał coś na północnym horyzoncie. Chłopak zmrużył oczy i wypatrzył ciemny zarys lądu.

– Musimy podjąć ryzyko – stwierdził Halion. Poklepał Mordwyrę po ramieniu i wrócił do Edany, która siedziała na dziobie z pochyloną głową.

Księżniczka Ardanu i dziedziczka tronu nie odezwała się ani razu od chwili wejścia na pokład łodzi. Ostatnim odgłosem, który padł z jej ust, był wrzask rozpaczy, gdy patrzyła na śmierć ojca.

Straciła ojca i matkę. Mnie przynajmniej pozostała jeszcze mama. Mam z kim się dzielić żalem, pomyślał Corban.

Burza trąciła pyskiem jego dłoń. Pociągnął ją za ucho i skrzywił się, gdy jego ciało przeszył ból. Brina opatrzyła ranę, którą wyniósł z walki w sali biesiadnej. To Helfach zadał mu cios. Wciąż widział krew łowczego, zaschniętą wokół długich kłów wilkunicy. Brina zapewniła go, że rana była płytka oraz czysta, ale mimo to nadal bolała.

Spojrzał na uzdrowicielkę, która przechwyciła jego spojrzenie i przywołała go do siebie. Craff, nieokrzesany kruk, siedział na relingu nad głową swej pani.

– Cor-ban! – wychrypiał, gdy chłopak ukucnął przed Briną.

– O czym gadali Halion i Mordwyr? – spytała.

– Czas zejść na ląd. Znaleźć coś do jedzenia.

– Aha. Z deszczu pod rynnę – mruknęła Brina.

– Co masz na myśli?

Staruszka spojrzała ponad burtą na coraz bliższą linię lądu.

– To nie Ardan, choć trzeba przyznać, że są teraz na świecie bezpieczniejsze miejsca. Cambren jednakże do nich nie należy. Patrzysz na brzegi władztwa Rhin.

– Och! – Corban zmarszczył brwi. Dobrze pamiętał uprowadzenie matki Edany, królowej Alony, w głąb Ciemnego Boru, gdzie zginęła zarówno ona, jak i wielu innych. Przyczyną wszystkiego była Rhin. – Ale przecież nie mamy wyboru.

– Pewnie tak – westchnęła Brina i starła kroplę deszczu z czubka szpiczastego nosa.

– Mokro – mruknął Craff.

– A czemu ci to niby przeszkadza? – warknęła uzdrowicielka do

rozczochanego ptaka. – Jesteś krukiem czy nie?

– Zimno – burknął Craf. – Ogień.

– Rozpuściłam cię – rzekła Brina.

Deszcz przybrał na sile, a chłodny wiatr ciskał roje kropli w twarz Corbana. Ciemna smuga lądu w oddali przybliżała się, choć jej kontury zacierał deszcz. Stalowoszare fale, upstrzone białą pianą, stawały się coraz wyższe, smagane przez nieustępliwy wiatr. Corban złapał za reling i napiął mięśnie, a łódź, kierowana przez Mordwyrę, wspięła się na wyższą falę i runęła w jej dolinę. Jedyne żagiel łodzi wydał się, a grube liny poskrzypywały. Chłopak poczuł, jak w jego brzuchu wzbiera panika, a potem ujrzał Datha, który wspina się między żaglem a linami. Przyjaciel spojrział na niego i uśmiechnął się nieśmiało.

Nie wydaje się tak przejęty, pomyślał Corban.

* * *

Słońce, które teraz było zaledwie jaśniejszą plamą ukrytą wśród grubych chmur, chyliło się już ku zachodowi, gdy dotarli do brzegu. Mordwyr wprowadził niewielki skiff do wąskiej, otoczonej stromymi klifami zatoczki, gdzie powitała ich wąska, piaszczysta i na szczęście pusta plaża. Craf wystrzelił w powietrze, kracząc hałaśliwie. Wszyscy zeskoczyli do wody – choć Burza potrzebowała odrobiny zachęty ze strony Corbana – a po chwili skiff został bezpiecznie wciągnięty na brzeg.

Marrock, Camlin i Dath wyruszyli, by się rozejrzeć i spróbować upolować coś do jedzenia. Brina oraz Heb, stary znawca obyczajów króla Brenina, wyprowadzili Edanę z wąskiej plaży i posadzili ją pośród jarzębin i cisów na osłoniętej polance, przeciętej pluskającym wesoło strumieniem z lodowato zimną wodą. Burza doskoczyła do strumienia, a potem odbiegła w gęstniejący mrok.

Halion postawił dwóch ludzi na straży, a reszta zabrała się do rąbania drewna oraz przygotowywania miejsca na ognisko oraz nocleg. Wkrótce poniósł się trzask płomieni, chciwie pożerających szczapy, a grupka przemoczonych uciekinierów zgromadziła się wokół ognia. Wcisnął się między nich nawet kruk.

Było już ciemno, gdy wrócili myśliwi. Dath niósł na ramieniu dwa zające,

które zostały błyskawicznie obdarte ze skóry, wypatroszone i pocięte na drobne kawałki, które następnie wrzucono do kotła z bulgoczącą wodą.

Craf parsknął z obrzydzeniem, posilając się wnętrznościami zajęcy.

Niedobrze mi się robi, jak słucham tego ptaka, pomyślał Corban, ale wcale nie odebrało mu to apetytu. Miał wrażenie, że nigdy nie jadł niczego równie pysznego jak ta potrawka, choć rozum podpowiadał mu, że jest wodnista, a mięso żylaste.

Dwóch innych ludzi powstało, by zmienić wartowników. Jednym z nich był Vonn. Dath odprowadził go niechętnym spojrzeniem.

– Jego ojciec zdradził nas wszystkich – mruknął do Corbana. – I on ma teraz nas strzec?

– Dość tego gadania. – Halion usłyszał jego słowa. – On cierpi tak samo jak my. Stracił kogoś bliskiego.

– Ale to była moja siostra! – burknął Dath.

– I moja córka – rzekł Mordwyr. – Ten chłopak ją kochał. Daj mu spokój.

Dath zacisnął mocno usta, ale nie powiedział już ani słowa.

Ich niewielka grupka siedziała wokół ognia, otoczona zewsząd głębokimi ciemnościami. Drzewa osłaniały ich przed impetem ulewy. Rozpacz unosiła się wokół nich niczym ciężka mgła. Corban siedział w milczeniu i słuchał. Czuł się wyczerpany i odrętwiały. Wystarczyło, by zamknął oczy, a pojawiły się przed nim twarze jego ojca oraz siostry.

– A więc, Halionie – odezwał się Marrock, przerywając wszystkie rozmowy. – Opowiedz nam o swoim planie zabrania Edany do Domhainu. To daleka, niebezpieczna droga. Moglibyśmy zamiast tego pożeglować do Dun Crin i mokradeł na południe od Ardanu.

– Prawda. – Halion zerknął na Edanę, która siedziała nieruchomo i wpatrywała się w ogień. Nie wydawała się w najmniejszym stopniu zainteresowana rozmową.

To Edana powinna nami przewodzić, ale nie może, pomyślał Corban. Marrock jest jej krewnym, a więc on miałby do tego prawo, ale Halion jest jej strażnikiem. Sam Brenin, umierając, powierzył mu to zadanie.

– Domhainem włada Eremon, który jest odległym krewnym Edany. Znam go i wiem, że jej nie wygna ani też nie zdradzi – rzekł Halion.

– Ciebie wygnał – odezwał się Marrock.

Halion przez moment wpatrywał się w niego w milczeniu.

– Opowiedz nam o swoim ojcu – zabrał głos Heb. – Wesprze nas przeciwko Owainowi?

– Mój ojciec jest starym człowiekiem. – Halion się skrzywił. – Przeżył już ponad siedemdziesiąt wiosen. Gdy widziałem go po raz ostatni, jego umysł nadal był ostry jak brzytwa. Jestem jego nieślubnym synem, zrozumcie, a nie dziedzicem, ale zawsze traktował mnie sprawiedliwie.

– To dlaczego opuściłeś Domhain? – spytał Marrock.

Halion rozejrzał się dookoła i westchnął.

– Conall, mój brat, ma... Cóż, miał niezły temperament – rzekł i urwał na moment. – A do tego był bardzo dumny, przez co ustawicznie popadał w tarapaty. Gdy byliśmy młodzi, nie mieliśmy wielu zmartwień, bo ojciec troszczył się o naszą matkę, która była jedną z wielu jego kochanek. Jednakże gdy zaczął się starzeć, uświadomił sobie, że nie pozostawi po sobie następcy. Wybrał więc na żonę Roisin, młodą, piękną kobietę, która dobrze traktowała zarówno nas, jak i naszą mamę. Rzadko spotyka się podobną życzliwość. Niedługo trzeba było czekać na jej pierwsze dziecko, którym okazał się chłopiec, nazwany później imieniem Lorcan. Wówczas wszystko się zmieniło. Roisin stała się zazdrosna. Obawiała się, że ja i Conall mamy nadzieję przejąć kiedyś tron Domhainu. Nie tylko my, wszak nasz ojciec miał wielu bękartów. Wtedy zaczęło dochodzić do wypadków. Śmiertelnych wypadków. Nasza matka stała się ofiarą jednego z nich. – Urwał i dorzucił gałązkę do ognia. – Conall oczywiście nie przyjął tego z wyrozumiałością. Uznał, że matka została zamordowana, odwiedził Roisin i powiedział kilka rzeczy, których mówić nie powinien. Wkrótce po tym ojciec wezwał nas i oznajmił, że znajdzie dla nas miejsce u boku króla Brenina. – Halion wzruszył ramionami i dodał: – I wyjechaliśmy.

– A więc dlaczego chcesz nas tam zabrać, skoro twoje własne życie jest tam zagrożone? – naciskał Marrock.

– W tej chwili nie ma dla nas bezpiecznych miejsc – rzekł Halion. – Ale pewien jestem, że mój ojciec udzielił Edanie schronienia. Miał o Breninie dobre zdanie. Może też pomoże nam w innych kwestiach. Nie sądzę, by wsparł nas wojskiem, ale przynajmniej znajdziemy się daleko poza zasięgiem Owaina.

Marrock zmarszczył brwi, myśląc nad tym, co właśnie usłyszał.

– Jest w tym sporo sensu. Ale osobiście wolałbym zrobić coś

konkretniejszego. Wolałbym chwycić za broń, a nie uciekać. Wiem, że każdy z nas stracił kogoś bliskiego, ale w Dun Carreg pozostawiliśmy wielu innych, którzy wciąż mogą żyć. Wojowników gotowych nas poprzeć. I innych, bezbronnych i niewinnych, jak moja Fionn.

Opuścił głowę i wbił wzrok w płomienie.

Fionn, jego żona, pomyślał Corban. Ależ on musi cierpieć.

– Nie będę was obciążał moimi udrami. – Marrock uniósł głowę – Moim zadaniem jest opiekowanie się Edaną, ale mimo to nie podoba mi się, że uciekamy. Wystarczy, że Owain pośle za nami swoich ludzi i wygubi nas jednego po drugim... Nie, nie podoba mi się to, a na samą myśl o tym, że Owain zasiada teraz w sali biesiadnej Brenina...

Wojownik wykrzywił usta i warknął pod nosem, a pozostali pokiwali głowami.

Corban patrzył to na Haliona, to na Marrocka. Widział sens w słowach ich obu, ale osobiście skłaniał się ku temu, co mówił Halion. Pamiętał z ich wspólnych lekcji na Jarzębinowej Łące, że jego nauczyciel ma strategiczny umysł i ogromną cierpliwość. Jego zdaniem wycofanie się teraz dawało większe szanse na sukces w przyszłości, a na pewno czas na zaplanowanie walki. Słowa Marrocka jednakże obudziły w nim złość. Nie chciał uciekać.

– Ja też czuję gniew – odezwał się inny głos.

Corban uświadomił sobie, że była to Edana. Nareszcie przemówiła. Nadal wpatrywała się w płomienie, a na jej policzkach widniały blizny, pamiątka rozpacz po śmierci Alony. Wyglądała przez to dziko, niemalże nieludzko.

– I kiedyś odbiorę Dun Carreg – dodała. – Póki co jednak przystanę na plan Haliona. Potrzebuję czasu.

Spojrzała na były pierwszy miecz Ardanu i skinęła mu zdawkowo. Powoli wśród uciekinierów znów zagościła ciężka cisza.

Gdzieś poza kręgiem światła roztaczanym przez ognisko trzasnęła jakaś gałązka, a po chwili pomiędzy cieni wyłonił się ogromny kształt. Była to Burza, niosąca martwą sarnę w paszczy. Wilkunica przeszła przez ich grupę i ułożyła sarnę u stóp Corbana, po czym trąciła ją nosem i usiadła, czekając.

– Wygląda na to, że jesteś przywódcą watahy – rzekł Halion.

– Przynajmniej ona tak uważa.

Corban położył dłoń na sarnie, przyjmując dar od Burzy. Wyciągnął nóż i zaczął oprawiać zwierzę.

* * *

Niedługo później Corban zlizywał gorący tłuszcz z palców i ścierał go z podbródka. Burza ułożyła się u jego stóp i miażdżyła w potężnych szczękach jedną z kości, by wyssać szpik.

Gwenith pochyliła się i ścisnęła dłoń syna.

– Pora, byśmy porozmawiali – odezwała się cicho, a potem, nie patrząc na niego, wstała i odeszła na skraj światła rzucanego przez ognisko. Corban podniósł się i ruszył za nią. Towarzyszył mu Gar.

Gdy chłopiec zrównał się z matką, ta wzięła go za rękę i zaprowadziła w ciemność. Usiadła obok jarzębiny o gładkiej korze i poklepała trawę przed sobą.

Corban dołączył do niej niepewnie, czując narastający niepokój. Nie było tu tak ciemno, jak mu się wydawało, gdy siedział przy ognisku. Blask księżycy posrebrzył włosy matki i padał na jej twarz. Częściowo zakrywały ją cienie, ale widział ją na tyle, by wiedzieć, że coś ją dręczy. Przygryzła dolną wargę, a Gar usiadł obok niej, przyglądając się chłopcu z intensywnością, od której spływały mu dreszcze po plecach.

– Mam ci wiele do opowiedzenia, Ban – rzekła mama drżącym głosem.

– Niemalże zbyt wiele. I teraz, gdy przychodzi co do czego, nie wiem, od czego zacząć. – Urwała.

– Nie wiem, o co ci chodzi, ale czy nie możesz z tym poczekać? – spytał Corban. – Nie widzisz, że wszyscy jesteśmy półprzytomni ze zmęczenia i rozpacz?

– Wiem – odparła mama. – Ale...

– To nie może czekać – przerwał jej Gar. – Z każdym dniem oddalamy się od naszego prawdziwego przeznaczenia.

– Nie rozumiem.

– Po pierwsze – rzekła dobitnie matka – pamiętaj, że cię kocham. Że wszyscy cię kochamy. I że za wszystkim, co zrobiliśmy i co jeszcze zrobimy, kryją się dobre intencje. Chcieliśmy cię chronić i służyć Elyonowi.

– Elyonowi? – spytał zaskoczony Corban.

Matka pokiwała głową.

Elyon, Ojciec Ojców, zawsze wydawał się Corbanowi dość odległym pojęciem, kimś albo czymś, co znał, ale nigdy go szczególnie nie dotyczyło. Pamiętał, jak Brina opowiadała mu o Ojcu Ojców i o tym, jak przekazał rasie ludzkiej władzę nad światem. Pamiętał, że po Wojnie Skarbów oraz Pladze Elyon odwrócił się od ludzkości i wyrzekł się wszystkiego, co stworzył.

Corban pamiętał również to, co uzdrowicielka opowiadała mu o Asrothu, mrocznym aniele z Zaświata, który pragnął otrzymać ciało i zniszczyć wszystko, co stworzył Elyon.

Przeszył go dreszcz.

– Ale przecież Elyon nas porzucił. Po co mamy mu służyć?

– Po co? – Gar zamrugał, zaskoczony pytaniem. – Ponieważ jest naszym stwórcą. Ponieważ powróci. Ponieważ racja stoi po jego stronie!

Corban wzruszył ramionami.

– A dlaczego siedzimy w ciemności i rozmawiamy o tym akurat teraz? Jaki to ma związek ze mną?

Jego matka nabrała głęboko tchu.

– Wiesz, że wiele się ostatnio dzieje. Że dochodzi do dziwnych zdarzeń. Dzień stał się nocą podczas Dnia Zimowego Przesilenia, a w ciemnych zakątkach pojawiły się białozmije.

– Wiem o tym – rzekł Corban, przypominając sobie węża, który zaatakował ich w podziemiach pod Dun Carreg.

– To wszystko znaki, iż nadciąga coś wielkiego. Wojna Bogów.

Corban poczuł mrowienie na skórze. Włoski podnosiły mu się na ramionach.

Wojna Bogów...

Słyszał o tym plotki, głównie od Edany, która podsłuchiwała ojca po jego powrocie z narady w Tenebralu. Nawet wtedy opowieści budziły w nim niepokój, ale teraz, pośród mroku, wiele, wiele mil od domu...

– Nie jesteś zwykłym dzieckiem, Corbanie – ciągnęła matka. – I bynajmniej nie chodzi mi o to, że dla każdej matki jej własne dziecko jest szczególne. Ty jesteś inny. Ty zostałeś wybrany.

Urwała, przyglądając mu się uważnie i szukając czegoś w wyrazie jego

twarzy, ale on po prostu spoglądał na nią z oszołomieniem.

– Wybrany? Mamo, o co w tym chodzi? Przez kogo? Po co?

– Przez Elyona. I masz ważną rolę do odegrania w Wojnie Bogów. Z tego właśnie powodu jesteś ścigany od chwili, kiedy przyszedłeś na świat.

– Ścigany? Przez kogo?

Gwenith rozejrzała się, jakby chciała się upewnić, czy nikt się nie podkradł, by ich podsłuchać.

– Przez Asrotha – szepnęła.

– Wybrany i ścigany? – Corban uśmiechnął się kpiąco, ale spoważniał, gdy ujrzał wzrok matki.

Ona w to wierzy, pomyślał. Naprawdę w to wierzy. Ciężko znosi rozpacz i wyczerpanie.

– To Thannon powinien ci o tym wszystkim opowiedzieć. – Mama potrząsnęła głową. – Ja nie wiem, jak to ująć w słowa – szepnęła i spojrzała na Gara. Po jej policzku spłynęła łza.

Gar zmarszczył brwi i się nasrożył.

– Twoja matka mówi prawdę. Musisz przyjąć do wiadomości, Ban, że jesteś częścią nadciągających zdarzeń. Jesteś częścią Wojny Bogów. To, co miało miejsce w Dun Carreg, to dopiero początek. Ziemie Wygnanych niebawem pogrążą się w chaosie.

W umyśle Corbana powstawało pytanie za pytaniem, aż wyłoniło się spośród nich najważniejsze:

– Skąd to wszystko wiecie?

Gar machnął ręką.

– Mamy ci wiele do powiedzenia. Zbyt wiele jak na jeden raz, ale odpowiem na wszystkie twoje pytania podczas podróży, o ile oczywiście będę w stanie.

– Chodzi ci o drogę do Domhainu?

– Nie, Ban. My musimy udać się do Drassil.

– Co? Do Drassil? – Corban pokręcił głową.

Mieli się udać do rozświetlonego w opowieściach miasta w sercu lasu Forn? To wszystko nie trzymało się kupy.

Nagle przypomniała mu się tajna rozmowa ojca, matki i Gara, którą podsłuchał jeszcze w Dun Carreg. Rozmawiali o przybyciu Nathaira i jego przybocznego Sumura. Mówili coś o wyjeździe, pojawiła się wzmianka

o Drassil, ale nie zrobiło to na nim aż tak wielkiego wrażenia. Wówczas wszystko brzmiało i wyglądało inaczej. Wszak ojciec i Cywen nadal żyli.

– Tak. Do twierdzy olbrzymów. To bardzo ważne, byśmy we dwójkę udali się do Drassil.

Przez twarz Gara przemknęło coś nowego. Czyżby tęsknota?

– Będziesz tam bezpieczny.

– Ale... ale co z resztą? – Corban spojrział przez ramię na ciemne postacie zebrane wokół migoczącego ogniska.

– Musimy się z nimi rozstać.

Corban zakołysał się, jakby go ktoś uderzył.

Opuścić ich?

Myśl ta wydawała mu się śmieszna, wręcz niedorzeczna. Przecież ta garstka niedobitków była wszystkim, co pozostało z Dun Carreg. Wszystkim, co pozostało z domu. A teraz matka i Gar domagali się, by ich porzucił? By zostawił Edanę?

Nagle oczami wyobraźni ujrzał Jarzębinową Łąkę i poczuł smak morskiego powietrza. Zerknął na dłoń, przez którą biegła sina pręga, blizna upamiętniająca przysięgę, którą wówczas złożył. Powierzył swe życie królowi i jego rodzinie. Król już nie żył, ale Edana była jego dziedziczką. Gdyby odszedł, złamałby przysięgę.

– Nie – usłyszał własny głos.

– Ban... – odezwała się matka.

– Nie mamy wyboru! – nalegał Gar.

– Nie! Wszystko, co kochałem, zostało zepsute, zabite lub zniszczone! – Chłopak napałł pięściami na skronie. – Tata, Cywen... – Uniósł wzrok i spojrział mamie w oczy. Po jej policzkach płynęły łzy. – To wszystko, co pozostało z domu – rzekł, wskazując ręką na ognisko. – To teraz nasza rodzina.

– Ban, istnieją sprawy ważniejsze od każdej rodziny i każdej przyjaźni – rzekł Gar. Głos drgnął mu lekko, co świadczyło o głębokich, choć tłumionych emocjach, które starał się ukryć. – Tu chodzi o to, by postąpić tak, jak należy. By zrobić to, co należy, bez względu na koszty. Proszę, zaufaj nam. Musimy się rozdzielić.

– Złożyłem Edanie przysięgę. Nie chcę stać się tym, który słynie z łamania danego słowa.

Wstał i poczuł, że kręci mu się w głowie. Nie chciał już tego słuchać, ani słowa. Nie chciał słuchać tych bzdur o Elyonie i Asrothu, o Fornie i Drassil czy wreszcie o rozstaniu. Czuł, że zaraz pęknie mu głowa. Mama wyciągnęła rękę, by złapać go za dłoń, ale wyrwał się i uciekł w mrok.

Rozdział szósty

MAQUIN

Maquin wszedł za Tahirem w głąb lasu i niemalże wpadł na młodego wojownika, gdy ten zatrzymał się niespodziewanie za plecami Orgulla.

– Co się dzieje? – syknął Maquin i rozejrzał się w poszukiwaniu zagrożenia.

Orgull mruknął coś pod nosem, z czego zrozumieć dało się zaledwie kilka przekleństw. Spoglądał na ognie obozowiska, migoczące daleko między drzewami.

– Coś nie tak, szefie? – spytał Tahir.

– Nie możemy jeszcze wyruszyć w drogę – burknął ogromny mężczyzna. Wyglądał, jakby żałował, że mówi te słowa.

– Czemu nie? – pytali dwaj pozostali niemalże jednocześnie.

– Bo muszę porozmawiać z królem Brasterem. – Orgull się skrzywił.

– Dlaczego? – spytał Tahir. – Nie wiemy nawet, czy nadal żyje.

Orgull wciągnął powietrze.

– Walczyłem w szeregach Gadrai przez niemalże pół mego życia, ale jestem również związany z innym bractwem – rzekł i omiótł ich długim, taksującym spojrzeniem. – Braster również do niego należy. Jeśli jest szansa, że przeżył bitwę, muszę opowiedzieć mu o tym, co się stało. Wszyscy wiemy, że nie ma żadnej gwarancji, że uda nam się wydostać z Fornu. Czeka nas długa wędrówka w ślad za naszymi wrogami, którzy w każdej chwili mogą się domyślić, że nie są sami. Jeśli nie uda się dotrzeć do Isiltiru i rodziny Romara, Jael odniesie zwycięstwo. Nie wiem jak wy, ale mnie się to nie podoba.

Maquin musiał się z nim zgodzić. Na samą myśl o tym, że tak poważna zdrada miałyby ujść Jaelowi na sucho, ogarnął go zimny gniew.

– Co to za bractwo? – spytał Tahir.

– Raczej grupa ludzi połączona wspólnym celem – odparł Orgull. – Nadciąga Wojna Bogów, a my wszyscy zostaniemy w nią wciągnięci, czy nam się to podoba czy też nie. Zresztą, jeśli się nie mylę, już do tego doszło. Tu chodziło o coś więcej niż tylko uporanie się z Hunen. Ów czarny topór...

Maquinowi przypomniał się Veradis, który opowiadał o przepowiedni, Nathairze, Jasnej Gwieździe i Czarnym Słońcu.

Orgull przetarł dłonią oczy.

– Dawno temu poznałem pewnego człowieka, który opowiedział mi o tym, na co się zanoszą. Powiedział też, że któregoś dnia będzie potrzebował mojej pomocy, by walczyć z reprezentantem Asrotha. Złożyłem więc przysięgę, iż pozostanę lojalny wobec niego i jego sprawy.

– Tak po prostu? – zdziwił się Tahir.

– Nie, nie tak po prostu! – warknął Orgull. – Sprawa była o wiele bardziej złożona, ale nie będę wam teraz opowiadał o tym słowo po słowie. Chcę tylko, byście mi uwierzyli, że zostałem przekonany, a nie należę do ludzi, których łatwo przekonać do czegokolwiek. Muszę więc odnaleźć Brastera i opowiedzieć mu o wszystkim lub przynajmniej przekonać się, że nie żyje. Jeśli macie ochotę ruszać w dalszą drogę, nie krępujcie się. Wiem, że brzmi to jak gadanina szaleńca.

– Ja pójdę z tobą – rzekł Maquin. – Będę strzegł ci tyłów w miarę możliwości. Tahir, zaczekaj za nami w lesie. Być może będziemy musieli szybko się przemieszczać, a ty z dziurą w nodze tylko byś nas spowalniał. Co więcej, jeśli nie wrócimy, ruszaj do Isiltiru i opowiedz tam o wszystkim.

Orgull spojrział na Maquina i skinął głową.

– Będę ci wdzięczny – rzekł ponuro. – To ruszajmy – rzucił i ruszył ku ogniskom.

Dotarli do miejsca, gdzie drzewa zaczynały się przerzedzać, i na zboczach ujrzeli obozowisko tych, którzy przeżyli bitwę. Ogniska skupione były w grupach, a największe płonęły w dole. Maquin dostrzegł mężczyzn z mieczami przytroczonymi do pleców.

Jehar, pomyślał.

– Gdzie chłopaki Veradisa? – szepnął Orgull.

– Tam! – rzekł Maquin i wskazał część zbocza bliżej lasu. Wznosił się

tam spory namiot otoczony garścią ognisk.

Powoli podkradli się bliżej, aż wielki namiot oraz ogniska znalazły się między nimi a obozem strzeżonym przez Jehar. Przy wejściu do namiotu stało dwóch wojowników. Pomarańczowy blask płomieni pełgał po ich tarczach, na których wymalowano czarne młoty.

– To oni – szepnął Tahir. – To młot Helvethu!

– A więc dobrze – rzekł Orgull i potarł dłonią łysą czaszkę. – Nie ma na co czekać.

Z tymi słowami podał Tahirowi jakiś przedmiot. Maquin spostrzegł, że był to miecz Romara, ale gdy znów spojrział na Orgulla, ten wstał i wyszedł z lasu, unosząc wysoko ręce. Maquin pośpieszył za nim, nagle przestraszony, że któryś ze strażników Brastera weźmie Orgulla za jednego z Hunen, tym bardziej, że przytroczył sobie wielki topór do pleców.

Strażnicy zatrzymali ich okrzykami. Napięcie przybrało na sile, ale obaj Gadrai zdołali wyjaśnić, iż nie stanowią żadnego zagrożenia i po chwili zostali przyprowadzeni przed oblicze Lothara, wojewody Brastera. Ten wysłuchał ich, marszcząc brwi, a potem poprowadził do wielkiego namiotu. Jeden ze strażników uchylił przed nimi klapę.

– Musicie zostawić tu swą broń – rzekł Lothar. Był wysokim mężczyzną ze szpiczastym nosem i ciężkimi, opadającymi powiekami, ale jego spojrzenie było bystre i przenikliwe. Wskazał wojownika stojącego przed namiotem.

Maquin niechętnie odpiął miecz i odłożył go obok szerokiego miecza i topora Orgulla, po czym Lothar poprowadził ich dalej w głąb namiotu.

Na poduszkach, ułożonych na zwykłej pryczy, spoczywał ogromny mężczyzna, potężnie zbudowany, ale również otyły. Kosmyki spoconych, rudych włosów kleiły mu się do czoła. Prawe ramię miał złożone na temblaku.

Patrzyli na Brastera, króla Helvethu.

Obok niego stał inny mężczyzna, który na oczach gości pochylił się, by podać rannemu królowi kubek. Braster ujął go, obwąchał zawartość i się skrzywił.

– Musisz to wypić – rzekł mężczyzna. – Ulży twoim cierpieniom i pomoże ci szybciej dojść do zdrowia.

Braster upił niechętnie łyk.

– Wszystko! – napomniał go obcy, po czym uklonił się i wyszedł.

– Idiota – mruknął Braster w ślad za odchodzącym uzdrowicielem.

Lothar podprowadził Orgulla i Maquina bliżej.

– Natknęliśmy się na tych ludzi na obrzeżach obozu, panie – rzekł Lothar. – To Gadrai z Isiltiru. Utrzymują, że przynoszą ważne wieści, których nikt poza tobą nie może usłyszeć.

Orgull podszedł bliżej i uklonił się niezdarnie. Braster uśmiechnął się, rozpoznając wojownika. Chciał się podnieść, ale skrzywił się z bólu i poblady opadł na poduszki.

– Patrzcie tylko – rzekł. – Jakiś olbrzym strzaskał mi ramię młotem i do niczego się już nie nadaję.

– Powinieneś wypić swe lekarstwo, panie – odezwał się Orgull.

– Smakuje jak szczyny – wymamrotał Braster. – Cieszę się, że przetrwaliście tę jatkę. Słyszałem, że wszyscy Gadrai zginęli.

– Zostaliśmy zdradzeni – rzekł poważnie Orgull. – A Romara zamordowano.

Następnie opowiedział wszystko, od śmierci króla Romara począwszy, a skończywszy na walce między Gadrai a Jehar i ludźmi Jaela. Braster nie przestawał przeklinać. Lothar, nie mówiąc ani słowa, stał za Maquinem, który chwiał się na nogach, wyczerpany do cna. Nie pamiętał, kiedy po raz ostatni porządnie się wyspał. Miał wrażenie, że minęło wiele, wiele dni.

Zamrugął, próbując się skupić na słowach Orgulla.

– Calidus i jego oswojony olbrzym, co? – oznajmił Braster, kiedy Orgull skończył. – Wiedziałem, że Romar już nie znajdzie dla siebie przyjaciół w Tenebralu, ale nie sądziłem, by sprawy mogły zabrnąć aż tak daleko.

– Gra się toczy o znacznie większą stawkę – rzekł Orgull. – Myślę, że ów topór, o który toczyła się walka, jest jednym ze Skarbów.

– Co takiego? A co się z nim stało?

– Ma go olbrzym Calidusa. A przynajmniej miał go, gdy widzieliśmy go po raz ostatni.

– Meical musi się o wszystkim dowiedzieć. – Braster się skrzywił.

– Też tak pomyślałem – odparł Orgull. – Dlatego właśnie tu przyszliśmy. Chcę niebawem wyruszyć w drogę, a nie mam pewności, czy uda mi się przebyć ten przekłety las...

– Słusznie postąpiłeś. – Braster znów się skrzywił, zmieniając pozycję. –

Cieszę się, że powiedziałeś mi o wszystkim. I jesteś pewien, że Jael jest w to zamieszany?

– Widziałem, jak powala Kastella, bratanka Romara – rzekł Maquin.

– Jael – mruknął Braster. – Nigdy nie przepadałem za tym mazgającym się kurduplem.

Lothar niemalże bezszelestnie cofnął się i stanął za Maquinem.

– Pytanie brzmi: dlaczego? – ciągnął król. – Dlaczego mieliby ryzykować tak bardzo? Myślę, że masz rację, Orgullu. To wszystko jest elementem o wiele większej rozgrywki, a jeśli tak, to z pewnością za wszystkim stoi Nathair. Ten człowiek jest bezlitosny, a los Mandrosa jest najlepszym na to dowodem. – Pokręcił głową i dodał: – Odkryliśmy więc tożsamość Czarnego Słońca. Ale co teraz począć? Chętnie ruszyłbym prosto do ich obozu i odrąbał Calidusowi głowę, ale obawiam się, że źle by się to dla mnie skończyło. Moja drużyna została zdziesiątkowana i mam tylko kilkaset mieczy do dyspozycji, a ja sam ledwie potrafię sobie tyłek podtrześć, nie mówiąc już o pochwyceniu za broń.

Przez moment bębnił grubymi palcami zdrowej dłoni o drewnianą ramę łóżka.

– Muszę udawać, że o niczym nie wiem, Orgullu, póki nie opuszczę tego przeklętego lasu i nie wrócę do ojczyzny. A wy dwaj nie zwracajcie na siebie uwagi. Co ty na to, Lotharze?

Nagle za plecami Maquina rozległ się głuchy łoskot. Wojownik odwrócił się i ujrzał, jak strażnik pilnujący ich broni osunął się na ziemię. Lothar trzymał w ręku zakrwawiony miecz. Naraz odwrócił się ku nim, przebiegł obok Maquina i wbił miecz prosto w pierś króla.

Ciało Brastera przeszło dreszcz. Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie, a potem z kącika ust pociekł strumyczek krwi. Bez życia padł na poduszki.

Lothar cofnął się. Miecz nadal tkwił w piersi króla.

Maquin z narastającym przerażeniem uświadomił sobie, że broń należy do niego.

– Dlaczego? – spytał Orgull, patrząc na Lothara.

Wojewoda oderwał wzrok od twarzy Brastera.

– Ponieważ to Nathair jest przyszłością. Nie myśl, że przyszło mi to łatwo. Kochałem mojego króla, ale wy dwaj musieliście tu przyjść i opowiedzieć o tym, co się wydarzyło w katakumbach pod Haldis! Braster

wydałby wojnę Tenebralowi, a ja nie mogłem do tego dopuścić.

Z tymi słowami Lothar wyciągnął własny miecz i zawołał strażę.

Dwóch innych wojowników niemalże natychmiast wpadło do namiotu. Najpierw ujrzeni zabitego towarzysza, a potem nieżyjącego króla. Dobyli broni i ruszyli powoli ku Gadrai, a na zewnątrz rozległ się już tupot wielu kroków.

Orgull zarzucił tarczę na ramię i runął na obu wojowników. Maquin poszedł w jego ślady. Zawahał się na moment, ale złapał miecz sterczący z ciała Brastera – jego własny miecz! – i szarpnął. Ostrze wyszło z młażnięciem.

Zerknął na Lothara, ale wojewoda wycofywał się. Zrobił krok ku niemu, a w tej samej chwili Orgull wpadł na wartowników, trzymając przed sobą tarczę niczym taran. Jeden z nich, odepchnięty, zderzył się ze słupem namiotu i osunął na ziemię, a Orgull padł wraz z drugim.

W środku pojawiali się kolejni zbrojni, dwóch, czterech, sześciu, a za nimi następni. Jeden zamierzył się na Orgulla, który zmagił się ze swoim przeciwnikiem na ziemi, ale Maquin skoczył naprzód i odbił jego ostrze, krzesząc iskry. Kopnął wojownika w brzuch i pchnął go na innych, którzy tłoczyli się w wejściu. Wtedy z góry spadł na niego cios. Odruchowo zasłonił tarczą głowę i ciął napastnika. Jego ostrze wbiło się w coś. Poczł chrzęst łamanych kości, przypuszczalnie żeber, ale natychmiast uwolnił miecz i zasłonił się przed kolejnym ciosem. Wojownicy Helvethu otaczali go teraz, a ciosy padały ze wszech stron.

Zerknął na Orgulla, który poderwał się już znad ciała nieruchomego przeciwnika i złapał za topór.

– Padnij! – ryknął.

Maquin padł na podłogę i poczuł podmuch powietrza, przecinanego ostrzem topora. Rozległ się wrzask nie jednego, ale kilku ludzi. Na twarz starego Gadrai padły krople gorącej krwi.

– Nie podnoś się! – nakazał mu Orgull i znów machnął toporem.

Tym razem przeciął słup, podtrzymujący dach namiotu, który runął na nich. Zewsząd słycać było krzyki i jęki uwięzionych ludzi, a potem buchnęło gorąco, gdy materia stanęła w ogniu od pochodni. Wrzaski przybrały na sile.

Ktoś złapał Maquina za ramię i szarpnął.

– Tędy! – burknął Orgull i przeszedł obok nieruchomego ciała Brastera, kierując się na tył namiotu. Rąbnął po drodze w kilka innych słupów. Płótno osuwało się, pochodnie skwierczały i rozjarzały się.

Maquin dostrzegł na moment Lothara, ale widok przesłonił mu dym oraz kolejne płachty opadającego płótna. Prowadzący go Orgull jednym cięciem rozdarł tylną ścianę namiotu i wybiegł na zewnątrz. Maquin wyskoczył za nim i obaj pognali ku linii drzew.

Wciąż byli na otwartej przestrzeni, gdy rozległy się czyjeś okrzyki. Maquin usłyszał tupot wielu kroków. Serce nigdy nie biło mu tak głośno jak teraz. Spodziewał się, że lada chwila ktoś wbije mu włócznię w plecy.

Jego płuca płonęły. Kroki goniących przybliżały się i miał wrażenie, że już go doganiają, gdy nagle zarejestrował jakiś ruch na skraju widoczności, a potem rozległ się cichy syk. Zaryzykował pośpieszny rzut oka. Jakieś ciało zaległo na ziemi z włócznią sterczącą z piersi.

Potem wbiegli między drzewa, gdzie otoczyła ich ciemność.

– Tędy! – szepnął ktoś. Przed uciekinierami wyrósł Tahir, który poprowadził ich w mrok.

Rozdział siódmy

LYKOS

Oddychający chrapliwie Lykos otworzył nagle oczy. Przez moment nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Kurczowo zaciskał dłonie na poręczach krzesła, na którym siedział. Zamrugął parokrotnie, próbując odpędzić resztki snu, w którym spoglądały na niego żółte ślepia, po czym się rozejrzał.

Lekkie kołysanie i skrzypnięcia kadłuba przypomniały mu o wszystkim. Drżącymi dłońmi nalał sobie kubek wina, rozlewając trochę, i łapczywie wypił zawartość.

Niepewnym krokiem podszedł do okna kajuty. Strumień światła słonecznego, który przezeń wpadał, przecinał półmrok panujący w pomieszczeniu. Lykos spoglądał na czarne mury Jerolin, wznoszące się nad jeziorem, na którym kotwiczył jego okręt. Fidele zaproponowała mu oczywiście apartament gościnny, ale Lykos był władcą Vin Thalun i wolał pozostać na okręcie, bliższym mu niż jakiegokolwiek miasto czy jakakolwiek budowla. Co więcej, nie ufał tym ludziom i wiedział, że swą uprzywilejowaną pozycję w tym mieście zawdzięcza tylko i wyłącznie Nathairowi.

Upił jeszcze trochę wina, zarzucił pas z mieczem w pochwie przez ramię i wyszedł z kajuty, gdzie bez słowa dołączył do niego przyboczny Deinon. Razem wspięli się na pokład, gdzie oślepił ich ostry blask słońca. Lykos, mrużąc oczy, skinął kilku żeglarzom, z których większość służyła mu i walczyła wraz z nim od wielu lat. Niektórzy spośród nich należeli jeszcze do załogi jego ojca.

– Czy moja łódź jest gotowa? – spytał.

– Gotowa, kapitanie – rzekł Deinon. Jego głos był ochrypły, niewyraźny,

co zawdzięczał feralnej walce w jamach, która kosztowała go połowę nosa.

– Dobrze – odparł Lykos i podszedł do burty. Przeskoczył na drugą stronę i zręcznie zszedł po drabince sznurowej do sporej łodzi, w której pomieściłoby się dwunastu ludzi. Czekał tam na niego Thaan, brat Deinona.

Obaj przybocznicy złapali za wiosła i zaczęli wiosłować w równym tempie w stronę brzegu. Minęli przystań rybacko-handlową na brzegu jeziora i skierowali się prosto ku Jerolin. Po chwili łódź ugrzęzła wśród mułu i trzciny, a Lykos wskoczył do płytkiej wody i z pluskiem dobrnął na ląd. Tam się zatrzymał, by z podziwem przyjrzeć się szeregowi dwunastu wyciągniętych na brzeg okrętów. Co do jednego były to wojenne galery o płytkim zanurzeniu, smukłe, śmigłe i wciąż pachnące smołą. Były pierwszymi jednostkami zwodowanymi jeszcze w Księżycu Kruka w zeszłym roku, tuż przed nastaniem zimy. Najzimniejsze miesiące spędziły pod grubymi płachtami nasmołowanego brezentu, a teraz były gotowe do wypłynięcia na pełne morze. Wiosną rozpoczęła się też budowa pięciu innych, których szkielety piętrzyły się już na brzegu. Do żeber z drewna świerkowego mocowano już pierwsze dębowe deski poszycia. Nathair życzył sobie floty godnej Vin Thalun i Lykos miał zamiar spełnić jego prośbę.

Uniósł rękę, by powitać starego Alazona, swego mistrza-szkutnika, który siedział na skończonym w połowie kilu z młotkiem w ręku i kilkoma gwoździemi w ustach. Chętnie podszedłby do niego, rozejrzał się po stocznicy, porozmawiał z ludźmi, ale niechętnie ruszył w stronę miasta. Miał inne, ważniejsze sprawy na głowie, a na ich czele stało spotkanie z Fidele. Wszedł na tę ścieżkę szesnaście lat temu, gdy po raz pierwszy spotkał się z Calidusem i przypieczętował swą przyszłość, i nie miał zamiaru zawahać się teraz ani na moment.

Trzech Vin Thalun dotarło po chwili do drogi, która prowadziła do bram Jerolin. Ciągająca się naokoło łąka była większa niż kiedyś, gdyż wiele drzew ścięto pod budowę okrętów. Zgromadzono tu wiele setek wojowników, którzy ćwiczyli walkę w słynnym murze tarcz Nathaira. Formacja na lądzie w istocie robiła wielkie wrażenie, ale Lykos skrzywił się ironicznie.

Na pokładzie okrętu nie zda się na wiele, pomyślał, choć w głębi duszy wiedział, że to mało logiczny wniosek. Wszak Ziemi Wygnanych nie podbije się z morza.

Za szeregami wojowników z Tenebralu ciągnęły się rzędy namiotów, przed którymi dwa tysiące Jehar trenowało walkę na miecze. Ich styl walki przypominał taniec, któremu Lykos przyglądał się z narastającym poczuciem lęku.

Oto wojownicy, których byle co nie złamie, pomyślał. Dobrze, że jesteście po tej samej stronie. Przynajmniej na razie.

Zerknął na galery wojenne na brzegu jeziora, na oddziały z Tenebralu i Jehar z Telassar. Świat szykował się na wojnę, a on znalazł się w samym centrum przygotowań. Ba, wspierał je od prawie dwóch dekad.

Nikt go nie zatrzymywał, gdy przechodził przez bramę fortecy. Ludzie schodzili mu z drogi, gdy maszerował ulicą.

Jakiś mężczyzna stał przed stajniami z ramionami skrzyżowanymi na piersi i przyglądał im się niechętnie, spode łba.

Oto ktoś, kto niewątpliwie żywi do nas pretensje, pomyślał Lykos i zapamiętał sobie jego twarz. Nie mógł pozwolić na to, by wielkie dzieło, nad którym pracował przez większość świadomego życia, zostało zniweczone pchnięciem noża pod żebro.

Drzwi do twierdzy stały przed nim otworem. Lykos wkroczył do środka, przeszedł przez salę biesiadną i ruszył w górę po spiralnych schodach wieży ku komnatom królowej. Drzwi strzegł tuzin orlich gwardzistów w czarnych, wypolerowanych zbrojach i srebrnych hełmach – elita tenebralskich wojowników. Po zamordowaniu Aquilusa ich liczebność została zwiększona.

Fidele siedziała za szerokim biurkiem. Czarne włosy ocieniały jej bladą, ale wciąż piękną twarz. Lykos zawsze podziwiał urodę królowej i miał ją za bliską perfekcji, nawet jeśli w jej włosach pojawiły się już siwe pasma, a wokół oczu i ust – zmarszczki, ale opanował chęć wpatrywania się w nią.

Nigdy nie pozwól, by ktoś wiedział, że ma na ciebie wpływ, mawiał jego ojciec, a Lykos uważał tę radę za cenną.

Fidele nie była sama. Towarzyszył jej inny orli gwardzista, Orcus, wojownik żyłasty niczym stare drzewo. Jego nos nosił ślady wielokrotnych

złamań, a ciemne oczy wpatrywały się bystro. Królowa skinęła na mężczyznę, a ten rozlał ciemnoczerwone wino do trzech kielichów, z których jeden wręczył Lykosowi.

– Dziękuję – mruknął żeglarz i upił łyk, choć miał ochotę błyskawicznie wychylić całość.

– Od dłuższego czasu nie mam żadnych wieści od mego syna. Wiesz może, co się z nim dzieje? – spytała Fidele z pozornym spokojem, ale Lykos wyczuwał w jej głosie skrywane emocje.

– Nie. Wiem tylko tyle, że dotarł do Dun Carreg – rzekł.

Choć dowiem się o nim wszystkiego na długo przed wami, pomyślał. Nie muszę wszak korzystać z tych waszych przestarzałych metod.

Opanował dreszcz, gdy przypomniały mu się dzisiejsze sny, a z nimi świadomość istnienia czegoś obcego w jego umyśle oraz duszy.

– Calidus dysponuje złożoną siecią posłańców – dodał.

– Jasne, jasne – odparła Fidele, bez powodzenia próbując ukryć kwaśny grymas. – Wraz z moim mężem współpracowaliśmy jakiś czas temu z Calidusem, ale okazało się, że nie zawsze jest w stanie pomóc. Poza tym Calidus walczy z olbrzymami gdzieś w lesie Forn, a Nathair dotarł do Ardanu.

– Calidus ma dobrą łączność ze swoimi kontaktami, a przez to niemalże ciągły dostęp do informacji. Jestem przekonany, że przez cały czas wie, co się dzieje z Nathairem, bez względu na to, gdzie ten przebywa. Jeśli się dowiem czegokolwiek o twoim synu, przekażę ci wszystko bezzwłocznie.

– Dziękuję. A jak ci idzie wykonywanie zadań, które powierzył ci mój syn?

– Okręty powstają bez przeszkód. Dwanaście jest już gotowych na brzegu jeziora, a druga stocznia na wybrzeżu sprawuje się jeszcze lepiej. Piętnaście galer wojennych i siedem jednostek transportowych o głębszym zanurzeniu. Postępy mogłyby być jednak większe, gdyby dostawy drewna nie były tak sporadyczne.

– Jestem przekonana, że wystarczy drewna na twoje potrzeby.

– To prawda. Zarówno tu, jak i na wybrzeżu rośnie wystarczająco dużo wiązów i dębów, ale potrzebuję również drewna świerkowego i cedrowego, o które nieco trudniej. – Lykos urwał i upił łyk wina. – Mogę mówić bez ogródek?

– Oczywiście.

– Baroni zajmujący się dostawami nie współpracują tak chętnie, jak by mogli. Mam na myśli Marcellina na północy i Lamara na południu.

– Na północy mamy pewne problemy, co być może wpływa na linie zaopatrzenia – odparła Fidele. – Olbrzymy Kurgan urządzają wypadki ze swoich górskich twierdz. Wysłałam już Peritusa, by się z nimi uporał.

– Nie tłumaczy to jednakże niechęci do współpracy na południu – rzekł Lykos. – Pozwól, że wypowiem się szczerze. Jestem przekonany, że Marcellin i Lamar stwarzają problemy, ponieważ jestem Vin Thalun.

Fidele rozsiadła się i zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

– Tak, myślę, że możesz mieć rację.

Lykos uniósł brew.

– Podpisaliśmy traktat i stworzyliśmy sojusz.

– Tak, to prawda. A skoro już rozmawiamy szczerze, pora, bym i ja coś powiedziała. Układy między naszymi ludami to dla nas nowość, a sposób myślenia nie zmienia się w ciągu dni, tygodni czy miesięcy.

– Nasz traktat został podpisany prawie dwa lata temu – rzekł Lykos.

– Tak, ale wcześniej trwały dekady wrogości.

– Nie pod moimi rządami! – warknął Lykos, w którym niespodziewanie rozbudził się lęk. – A ludzie, którzy wówczas władali moimi rodakami, cóż... – Urwał i szarpnął za żelazny pierścień wpleciony w brodę, co zawsze pomagało mu okiełznać gniew. – Ci ludzie złożyli mi hołd albo ich bezgłowe zwłoki od dawna gniją w grobach.

– Mimo to – Fidele zbyła jego słowa lekceważącym machnięciem dłonią – mamy za sobą długą historię wzajemnych wrogości, a ród Lamara od wielu lat własnymi piersiami zasłaniał Tenebral przed wami. Baron widział wiele rozlanej krwi i nie pali się, by chętnie wybaczyć.

– Prawda. Lamara jestem w stanie zrozumieć, ale Marcellin? Przecież jego ziemie rozciągają się u stóp gór Agullas i nie ma chyba w Tenebralu drugiego terytorium równie odległego od morza. Mam wrażenie, że Marcellin trzyma się blisko Peritusa...

Lykos urwał. Dobrze wiedział, że Peritus, wojewoda Aquilusa, nie darzył Vin Thalun przyjaźnią i otwarcie wypowiadał się przeciwko sojuszowi z nimi, choć dopiero po tym, jak Nathair odpłynął na zachód. Chciał w ten sposób pokazać Fidele, że nie jest głupcem i rozumie zarówno politykę,

jak i ludzi, którzy mieszkali w tej krainie.

– Porozmawiam z nimi – rzekła Fidele. – Niemniej sama słyszałam wiele o waszych praktykach, które utrudniają zrozumienie, i mogę się założyć, że do Lamara i Marcellina dotarło to samo.

Lykos westchnął. Przeczynał, że wie, co zaraz usłyszy.

– Mam na myśli wasze jamy gladiatorów – ciągnęła Fidele, krzywiąc się z obrzydzeniem. – Na swoich wyspach róbcie wszystko, co się wam żywnie podoba, ale w Tenebralu zmuszanie jeńców i niewolników do walki dla waszej rozrywki jest nie do przyjęcia.

Jamy gladiatorów były częścią tradycji Vin Thalun, odkąd Lykos sięgał pamięcią, a można było do nich trafić na wiele sposobów. Lądowali tam jeńcy pojmani podczas zbrojnej wyprawy, ludzie winni czyjejś śmierci, a nawet nierozważni amatorzy hazardu, a wydostać się mógł tylko ten, kto potrafił to sobie wywalczyć. Po zakończeniu wojen między wyspami Vin Thalun i ustanowieniu Lykosa ich władcą jamy tylko zyskały na popularności. Mieszkańcy wysp nie byli bowiem pokojowym ludem, a załogi, które pozbawiono możliwości udziału w walce i łupieży, musiały się na czymś skupić, by nie zwrócić się przeciwko sobie. Jamy okazały się więc nie tylko rozrywką, ale i sposobem na odwrócenie uwagi.

Lykos próbował ograniczyć popularność jam dopóty, dopóki jego ludzie przebywali w Tenebralu. Rozumiał bowiem, że miejscowym przypuszczalnie nie przypadną one do gustu, ale coraz trudniej było mu się zmagać z narastającym napięciem wśród wojowników i niedługo potem zgodził się na pierwsze walki. Sądził jednak, że jego rodacy zachowają większą dyskrecję.

Wzruszył ramionami, nie chcąc przyznawać się do kłamstwa, które później mogłoby zostać użyte przeciwko niemu.

– Przyjrzę się tym plotkom.

– Oboje wiemy, że to nie plotki! – warknęła Fidele i pochyliła się ku niemu. – Nie dalej jak dziesięć noc temu sam uczestniczyłeś w jednej z tych waszych walk! Nie życzę sobie, by te barbarzyńskie zwyczaje pojawiały się w obrębie granic Tenebralu! Chcę, byś położył im kres.

– Sądziłem, że to Nathair tu rządzi! – odezwał się Lykos, nim zdołał się opamiętać.

– Nathaira tu nie ma, a ja rządę pod jego nieobecność – odparła Fidele.

- Oczywiście – mruknął Vin Thalun i nalał sobie kolejny kielich wina. Póki co, pomyślał, a głośno dodał:
- Dołożę wszelkich starań, by jamy pozostały na wyspach. Fidele pochyliła głowę.
- A ja sprawię, by dostawy docierały na czas.

* * *

– Jak poszło, szefie? – spytał Deinon, gdy szli traktem w stronę jeziora. Lykos spojrzał na niego krzywo. Przyjmowanie rozkazów od Nathaira, człowieka tak młodego, iż mógłby być jego synem, nie przychodziło mu łatwo, ale wiedział, że przynajmniej na razie nie ma wyboru. A teraz miał słuchać jego matki? Kobiety?! To, że lubił się jej przyglądać, straciło w tej sytuacji jakiegokolwiek znaczenie.

- Ona wie o jamach – mruknął.
- To jakiś problem? – spytał Thaan.
- Oczywiście, że tak! Te lądowe szczury są miękkie i tchórzliwe. Królowa domaga się, byśmy zamknęli jamy.
- Chłopakom się to nie spodoba.
- Pewnie, że nie! Mnie zresztą też nie! Tak więc nie zamkniemy ich. Wystarczy, byście urządzali walki z większą głową. Nie tak blisko Jerolin, nie tak regularnie i tyle.

– Dobrze – rzekł Deinon. Powietrze świstało przez jego zmasakrowany nos, gdy mówił. – Nie sądziłem, że kiedyś pozwolisz jakiejś kobiecie, żeby mówiła ci, co masz robić. Nawet jeśli będzie na czym oko zaczepić.

– Lepiej zważaj na słowa – warknął Lykos i spojrzał na Deinona kwaśno. Nie miał pojęcia, że kolejne etapy planu okażą się tak skomplikowane. Podbicie wysp było o wiele łatwiejsze niż polityka na stałym lądzie, bardziej krwawe, ale nie takie trudne. Uniósł głowę i przekonał się, że południe już dawno minęło.

- Wszystko w porządku, szefie? – spytał Thaan.

Niebawem znów miała zapaść noc. Dlaczego każdy dzień mijał tak szybko, a każda noc przeciągała się w nieskończoność? W żołądku Lykosa znów rozlał się zimny lęk na myśl o koszmarach, które miały nadejść, a to znów wyzwoliło w nim gniew. Jak mógł powiedzieć swemu

przybocznemu, że bał się ciemności?

* * *

Resztę dnia spędził w stoczni. Najpierw obejrzał galery, na których zakończono już roboty, a potem dołączył do budowniczych kolejnych łodzi i szybko zatracił się w rytmie pracy. Gdy słońce chowało się za odległymi górami, zajął miejsce przy wiosle obok Deinona. Razem ruszyli w stronę okrętu, zakotwiczonego na zatoce. Ból mięśni pleców był niemalże przyjemny.

– Ile tu jeszcze będziemy siedzieć, szefie? – spytał Deinon.

– Może z tydzień. Dopilnujcie, by Alazon otrzymał wszystkie materiały, a potem wracamy na wybrzeże, by sprawdzić, jak idą postępy w drugiej stoczni.

– Miejże litość – mruknął Thaan.

Litość jest dla głupców, pomyślał Lykos, niemalże słysząc głos swego ojca, szepczącego mu te słowa do ucha.

– Nie podoba ci się łatwe życie? – spytał.

– Wolę już rozbijać łby i tracić forszę na zakładach w jamach – burknął Thaan.

– Z jamami nie jestem w stanie więcej poradzić – rzekł Lykos. – A jeśli chodzi o rozwalanie łbów...

Słowa Fidele dręczyły go przez resztę dnia, ale nie mógł zrozumieć, o które mu chodziło. Z tego też powodu spędził ten czas z młotkiem w ręku, co zawsze pomagało mu w myśleniu. Niebawem dotarli do okrętu, przycumowali łódź i wspięli się na pokład po drabinie sznurowej.

Większość załogi nocowała na lądzie, otrzymawszy wcześniej surowy zakaz zagładania do którejkolwiek z gospód Jerolin. Na pokładzie pozostało jednakże kilku żeglarzy, gdyż na okręcie zawsze było coś do zrobienia. Lykos rozejrzał się uważnie, przyglądając się każdej twarzy, aż natrafił na człowieka, którego szukał.

– Jak ktoś z was natknie się na Jace’a, przyslijcie go do mnie – powiedział, kiwając głową, po czym odwrócił się i nie oglądając się za siebie, zszedł pod pokład.

Nie musiał długo czekać, aż ktoś zapukał do drzwi kajuty. Do środka

wszedł Deinon, a po nim Jace. Thaan pozostał na zewnątrz, by pilnować drzwi.

– Napij się – rzekł Lykos i wcisnął Jace’owi kielich wina.

Ten przyjął naczynie, uśmiechnął się szeroko i upił drobny łyk. Był nowym członkiem załogi – dołączył zaledwie dziesięć dni temu, zasłużony sobie na miejsce przy wiosle po ostatniej walce w jamie, której Lykos był świadkiem. Władcy Vin Thalun podobał się jego styl – podczas starcia ogarniała go furia, ale ani na moment nie tracił panowania nad sobą. Jace był szczupłym, ale dobrze zbudowanym mężczyzną, a jego ramiona i barki pokrywały liczne blizny. Wyglądał na starszego niż swoje osiemnaście, może dziewiętnaście lat, ale jamy na każdego tak działały.

– Chciałem napić się z tobą wina i powitać cię w załodze. Postępuję tak w stosunku do każdego nowego chłopaka.

Jace rozluźnił się ledwie zauważalnie.

– Usiądź – rzekł Lykos, choć był to raczej rozkaz niż prośba.

Jace zerknął na drzwi, a potem usiadł, powoli i ostrożnie, w każdej chwili gotów się zerwać.

Ani na moment nie zapomina o czujności, pomyślał pirat, a głośno rzekł:

– Jak ci się podoba nowe życie?

– W porządku, szefie. Lepiej niż w jamach, bez dwóch zdań.

Deinon zszedł Jace’owi z oczu i stanął za jego plecami.

– Zgadza się. Życie wśród Vin Thalun nie należy do łatwych. Są tacy, którzy uznaliby je za najcięższe z możliwych, ale korzyści... – Lykos uśmiechnął się i delikatnie odstawił kielich na stół obok Jace’a. – Wystarczy, byś nie dał się zabić za szybko, a któż może wiedzieć, co zdobędziesz. Srebro? Własną galerę wojenną? Mnóstwo kobiet? Dobrze mówię, Deinonie? Nawet takiemu brzydaliowi jak ty się powiodło.

– Pewno, szefie. – Deinon uśmiechnął się szeroko.

Lykos stanął przed chłopakiem. Czuł, jak narastają w nim emocje, które przeradzają się w gniew.

– W zamian domagam się tylko lojalności.

Jace bez ostrzeżenia zerwał się i uderzył go głową w brzuch. Lykos spodziewał się ataku, ale chłopak i tak go zaskoczył.

Na bogów, nie marnowałeś czasu w jamach, zdołał pomyśleć, choć zgiął się wpół, nie mogąc złapać oddechu.

Jace próbował się cofnąć i pochwycić za nóż za pasem, ale Deinon złapał go za włosy i rąbnął drugą pięścią w głowę, tuż ponad uchem. Jace zatoczył się, ale nadal utrzymywał równowagę. Wówczas Lykos przypadł do niego i z całej siły rąbnął go czaszką w twarz. Trzasnęła pękająca chrząstka, z nozdrzy chłopaka trysnęła krew. Padł bezwładnie na krzesło, próbując podnieść głowę.

– Lojalności! – warknął Lykos. Krew Jace’a ściekała mu z twarzy. – Dałem ci nowe życie, ale to ci nie wystarczyło? Musiałeś uciec do Fidele? Dlaczego?

– Ale ja niczego nie zrobiłem! – wybelkotał Jace. – Niczego nie rozumiem!

– Nie okłamuj mnie! – syknął Lykos. – Deinon!

Przyboczny złapał Jace’a za nadgarstek i przygniół go do stołu, a Lykos w okamgnieniu wyrwał nóż i przybił nim dłoń chłopaka do blatu. Ten wytrzeszczył oczy i wrzasnął z przerażenia oraz bólu.

– Dlaczego? – powtórzył Lykos i pochylił się, by spojrzeć Jace’owi w oczy. – Powiedz mi prawdę, a wtedy ból się skończy.

Jace wpatrywał się w niego bez słowa.

– Dobrze więc – rzekł Lykos. – Wygląda na to, że potrzeba ci jeszcze odrobiny perswazji.

Westchnął i wyciągnął kolejny nóż, tym razem z buta, wąski i ostry. Przez moment trzymał go nad przybitą do stołu dłonią chłopaka, a potem jednym ruchem odciął mu jeden z palców.

Jace wrzasnął i potrząsnął dziko głową. Deinon trzymał go mocno.

– Ja tak mogę przez całą noc – oznajmił Lykos. – A odcinać można nie tylko palce.

– Kiedy mnie pojmano – szepnął Jace. – Cała moja rodzina... Wszyscy. Matka, ojciec, siostra... Wszyscy zostali zamordowani. Przez was.

– Ile miałeś wówczas lat, chłopcze?

– Pię... piętnaście.

Lykos westchnął i wyduł usta.

– Szkoda, że nie wyciągnąłeś żadnych wniosków.

– Że co? – wychrypiął Jace. Jego twarz była wykrzywiona z bólu.

– Że to ja jestem władcą twego życia i śmierci – oznajmił Lykos i skinął głową Deinonowi, który nadal trzymał w garści włosy Jace’a. Ten szarpnął do tyłu, odchylił mu głowę i poderżnął gardło.

– Zabierzcie go na środek jeziora, przywiążcie do czegoś ciężkiego i utopcie – przykazał Lykos i cofnął się przed krwią, rozlewającą się u jego stóp. Nalał sobie jeszcze wina.

– Nie chcesz, by to ciało zostało znalezione? By Fidele wiedziała, jaki los spotyka kapusiów?

– Nie – odparł Lykos. – O ile znam tę sukę, byłaby gotowa postawić mnie przed sądem za morderstwo.

Deinon zachichotał, po czym nachylił się, zarzucił sobie ciało Jace’a na ramię i skierował się ku drzwiom.

Lykos zaś rozsiadł się na krześle i zaczął pić. Na zewnątrz zapadł zmrok i ożywienie, które wzbudziła w nim walka z Jace’em, już go opuściło. Czuł się znużony. Nie, wyczerpany. Wiedział, że zaraz nadejdzie sen. Znów upił nieco wina, przerażony perspektywą.

– Ojczy, kim ja się stałem? Kim i czym? – wymamrotał i przechylił głowę, jakby spodziewał się, że usłyszy odpowiedź. Nie doczekawszy się jej, wzruszył ramionami i pił dalej, puchar za pucharem, aż zmorzył go sen.

Zbudził go własny krzyk. Zerwał się z wybałuszonymi oczami. Thaan wsunął głowę do środka.

– Wszystko w porządku, szefie?

– Co? Eee... Tak – wymamrotał Lykos i wparł dłonie w oczy.

Powinien był się domyślić, że pakt z diabłem będzie go sporo kosztować. Odruchowo sięgnął po dzban z winem. Na dnie odnalazł jedynie zgęstniałe resztki, ale i tak wypił wszystko.

– Mam dla ciebie dobre wieści – rzekł. – Zmiana planu. Zgarniamy jutro Jehar i zabieramy ich do Ardanu, a potem, co ci się spodoba, będziemy mieli okazję rozbić kilka łbów. Ba, więcej niż kilka.

– Do Ardanu? – spytał Thaan.

– Tak. Zostaliśmy wezwani.

Rozdział ósmy

EVNIS

Zamyślony Ewnis skubnął płatek róży i patrzył, jak ten pada na kamienie u jego stóp.

– Wszystko zamienia się w popiół, Fain – szepnął.

Stał przed kamiennym kurhanem. Błady blask słońca przenikał zza murów Dun Carreg i docierał aż na dziedziniec. Zewsząd dobiegały odgłosy budzącego się życia. Psy szczekały, a dzieciaki drażniły się z nimi, podsuwając im odpadki z kuchni. Wiatr niósł zapachy pieczonego chleba i podsmażanej szynki. Słońce nie podniosło się jeszcze na tyle, by rozpędzić chłód nocy i Ewnis zadrżał, mocniej otulając się płaszczem. Nabrał głęboko tchu, by uspokoić się i przygotować na nadchodzący dzień, ale wszelkie próby obracały się wniwecz. Bez względu na to, na czym próbował się skupić, jego myśli powracały do jednego tematu.

Do Vonna.

Gdzie się podział jego syn?

Pokłócili się na krótko przed upadkiem forticy. Vonn nie chciał rozmawiać o niczym innym jak tylko o Bethan, córce pijaczyny z Havan. Ewnis kazał mu o niej zapomnieć i skupić się na sprawach istotnych, co tylko pogorszyło sytuację. Po tym, jak przedstawił mu część swoich planów, Vonn wypadł na ulicę i uciekł w mrok.

I zaginął gdzieś pośród chaosu, jaki rozpełtał się w Dun Carreg. Znikł, nim Ewnis zdołał z nim porozmawiać i wszystko naprawić.

Proszę cię, o, Upadły, nie daj mu zginąć...

Ewnis spędził większość czasu na poszukiwaniach. Osobiście przyjrzał się każdemu trupowi, który zalegał na ulicy, przepytał też tych, którzy ocaleli. Niektórzy widzieli Vonna z Edaną i jej garstką obrońców.

Odetchnął głęboko. Jego syn z Edaną, córką Brenina. W innych okolicznościach ironia losu tej sytuacji na pewno by go rozbawiła.

Dun Carreg padło przed dwoma dniami. Od dwóch dób nad zamkiem zamiast wilka Brenina powiewał dzik Owaina z Narvonu. Ewnis nie pamiętał dobrze swej walki z Breninem. Wszystko przesłoniła czerwona mgiełka, gdy tłumione od roku wściekłość i żal wreszcie zostały uwolnione. Świadomość powróciła, gdy wbił mu nóż w pierś. Tak, tę chwilę pamiętał wyraźnie i wiedział, że nigdy jej nie zapomni. Wciąż pamiętał krótki opór, jaki stawily na początku materia, a potem skóra i kości, wciąż pamiętał gorącą krew i uchodzące z Brenina życie, nieuchwytny niczym ptak zrywający się do lotu.

Coś ścisnęło go w sercu.

Wstyd? Być może.

Fain, jego żona o łagodnym sercu, z pewnością by go za to potępiła. Ale nie było jej tutaj. Jej ciało gniło pod kamieniami kurhanu, przed którym teraz stał, a winę za jej śmierć ponosił sam Brenin i jego decyzje. Gdyby Brenin pozwolił mu wywieźć ją z Dun Carreg i zabrać do kotła, wszystko ułożyłoby się inaczej. Tak, Fain zasługiwała na pomstę. Ewnis dostrzegał sprawiedliwość w tym, jak rozegrały się wydarzenia. Wszak Brenin, sprawca całego zła, zginął z jego ręki.

– Panie! – Czyjś głos przerwał jego zadumę.

Szedł ku niemu utykający Conall, a z nim kilku zbrojnych.

– Nadszedł czas – powiedział.

Ewnis skinął głową, zmiażdżył różę w dłoni i rozrzucił jej płatki nad kurhanem. Pokonał dziedziniec swego dworu, minął zagrody, w których syn Helfacha karmił właśnie ogary, i przeszedł przez szerokie bramy. Conall i jego ludzie, wśród których również wyczuwał napięcie, otoczyli go ze wszystkich stron. Podobnie jak on zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Twierdza co prawda upadła, ale bynajmniej nie było w niej bezpiecznie, a wielu ludzi po obu stronach konfliktu życzyło teraz Ewnisowi śmierci. Spoglądał na budynki przy ulicy i zaglądał w cienie, szukając ukrytych zamachowców.

Rzuciłem kośćmi, pomyślał. Nie ma już drogi odwrotu.

Zerknął na Conalla, który wciąż utykał. Wojownik spadł z muru nad Kamienną Bramą i przeżył tylko dlatego, że trafił na walczących na dole.

Emanował pewnością siebie i zawadiackością, był skory zarówno do śmiechu, jak i gniewu, ale jego dzika arogancja maskowała bystry umysł. Conall widział dużo i Ewnis gratulował sobie, że przeciągnął go na swoją stronę, choć musiał sięgnąć po dodatkowe metody perswazji. Powoli uczył się mocy ziemi i poznawał sekrety zawarte w księdze odkrytej w tunelach pod fortecą. Istniało wiele sposobów na to, by wpłynąć na człowieka, a nawet przejąć nad nim władzę. Nadal czuł się jak nowicjusz, który błądzi w ciemnościach, ale nauczył się już tyle, iż był w stanie wzmocnić magią swój głos i wpłynąć na słuchacza, zwłaszcza takiego, który się wahał. I w ten oto sposób zdobył lojalność Conalla.

– Nie czujesz żalu z powodu porzucenia brata? Wszak znaleźliście się z Halionem po przeciwnych stronach.

Conall spojrział na niego z zaskoczeniem, a kąciki jego ust drgnęły. Na jego twarzy przez moment malowała się udręka.

– Nie – rzekł mimo to. – Cieszę się, że wyszedłem wreszcie z jego cienia. Halion zapewniał mnie o swojej miłości, a mimo to odwracał się ode mnie. Nie mam wątpliwości, że wołał pochlebstwa Brenina od mego towarzystwa. – Skrzywił się i dodał: – Wszyscy żyjemy z konsekwencjami naszych czynów, prawda?

– Zgadza się – mruknął Ewnis i zerknął na starą bliznę na dłoni, pamiątkę po pewnej nocy w Ciemnym Borze, kiedy to zawarł pakt z Asrothem, swoim władcą, któremu oddał życie i duszę. Był przekonany, że Asroth kazał mu później wesprzeć Nathaira; Ewnis bez wahania był gotów pomóc młodemu królowi Tenebralu. Gdyby miał odnieść z tego tytułu jakieś korzyści, tym lepiej.

Z bocznej uliczki wyłoniły się jakieś postacie. Conall złapał już za miecz, ale okazało się, że to tylko dzieci, które biegły ze śmiechem, szczując wychudzonego psa kością.

– Zaczynamy się bać własnych cieni – rzekł Ewnis.

– Cóż, nie jesteś najbardziej popularnym człowiekiem w fortecy – powiedział Conall, wiodąc gniewnym wzrokiem za dziećmi. – Większość ludzi w Dun Carreg zapewne pragnie twej śmierci.

– Ilość moich wrogów nie interesuje mnie tak bardzo jak to, do czego są zdolni – mruknął Ewnis, myśląc o Owainie.

– Słyszałem wielokrotnie podobne zdania, choć najczęściej wygłaszały

je kobiety.

Evnis parsknął i niemal się uśmiechnął. Wśród jego eskorty poniosły się śmiechy.

– Wysoko sytuowani wrogowie. Sam kiedyś miałem ten problem – rzekł Conall.

– Serio? I co począłeś?

– Uciekłem.

– Rozumiem – powiedział Evnis i przyjrzał się Conallowi w milczeniu, rozmyślając o nieznanym mu przeszłości swego nowego przybocznego. – Miejmy nadzieję, że znajdzie się mniej drastyczne rozwiązanie.

Jak choćby wysoko sytuowani przyjaciele lub w tym przypadku przyjaciel. Nathair. Młody król przybył do niego osobiście, by wypytać o Benothi, starożytnych władców Dun Carreg, oraz ich skarby. Evnis wiedział o tym sporo, być może nawet więcej od starego Heba czy Briny. Podzielił się więc tym i owym, dając do zrozumienia, że jest w stanie dowiedzieć się więcej. Oczekiwał, że to wystarczy, by zachować życie do czasu przybycia Rhin. Zakładał, że Nathair będzie go chronił, przynajmniej dopóki leżało to w jego interesie. W każdym razie Evnis miał taką nadzieję.

Owain był bowiem nieprzewidywalny. Pomagając królowi Narvonu dostać się do fortecy, Evnis podjął wielkie ryzyko, ale skoro Nathair poprosił go o pomoc, spełnił jego życzenie. Z pewnością otwarcie Kamiennej Bramy przysporzyło mu wiele łask u Owaina, ale nie wiedział, czy nie zaprzepaścił swych szans, zabijając Brenina. Nikt przecież nie przepadał za królobójcami, a zwłaszcza inny król.

– Czas okaże się naszym sędzią – mruknął.

– Pewno. Jak to zwykle bywa – odparł Conall.

Resztę drogi pokonali w milczeniu. Evnis nawet nie spojrzął na stertę zwęglonych, poczerniałych trupów obrońców, choć smród ich spalonych ciał nadal wisiał w powietrzu. Wszedł do zamku królewskiego i szedł korytarzami, aż dotarł do komnat Nathaira.

Na straży stał jeden z odzianych na czarno, straszliwych wojowników, których Nathair przemycił do wnętrza fortecy przed szturmem. Mężczyzna pozwolił Evnisowi wejść do środka, ale stanął na drodze Conallowi.

– Tylko ty – powiedział do Evnisa.

Ten skinął Conallowi oraz jego towarzyszom, a strażnik zamknął za nim drzwi.

W środku siedział Nathair, który sączył wino z pucharu. Jego przyboczny Sumur stał przy otwartym oknie. Zza ramienia sterczała mu rękojeść miecza. Przy stole po drugiej stronie komnaty rozparło się kilku orlich gwardzistów, skupionych wokół zjedzonej w połowie gomółki sera i świńskiej nogi. Obrzucili Evnisa podejrzliwymi spojrzeniami, a potem powrócili do jedzenia. Ewnis, patrząc na nich, przypomniał sobie, że wielu spośród ich towarzyszy zginęło owej feralnej nocy, gdy padło Dun Carreg. Uformowawszy mur tarcz, osłaniali jego, Brenina i Nathaira, a większość zabił Gar, stajenny kaleka. Wyglądało na to, że ta noc pozostawiła wiele tajemnic, które aż prosiły się o rozwikłanie.

– Witaj, Ewnisie – rzekł król Tenebralu. Wstał i uścisnął gościowi nadgarstek. – Dziękuję, że przybyłeś tak szybko. Jesteś głodny? A może chciałbyś się czegoś napić? – Wskazał gestem stół.

– Już śniadałem – odparł Ewnis. – Ale wina napiję się chętnie.

– Oczywiście. – Nathair napełnił dla niego kielich. – Miałem nadzieję, że będziesz mógł mi pomóc.

– Jeśli tylko zdołam, mój panie.

– Jestem przekonany, że dasz sobie radę. Przybyłem do Ardanu w ramach dłuższej podróży. Planowałem bowiem udać się na północ i nadal trzymam się tego zamiaru. Nie wiem jedynie, kiedy stąd wyjadę. Wydarzyło się tu wiele rzeczy, które mogą mieć wpływ na moje sojusze i na naszą wspólną przyszłość, ale póki co sytuacja jest płynna i lada moment może się zmienić i to dramatycznie. Zgodzisz się ze mną?

– Idealnie to podsumowałeś, panie – rzekł Ewnis.

– Jestem rozdarty, Ewnisie. Ciągnie mnie na północ, ale mam wrażenie, że być może powinienem tu zostać i przyjrzeć się rozwojowi wydarzeń. Może należałoby zyskać pewność, czy ułożą się korzystnie dla mnie i mego sojuszu.

– Rozsądna decyzja, mój panie – odparł Ewnis.

Oto człowiek, który najpierw myśli, a potem mówi, przyszło mu do głowy.

– Zapewne zastanawiasz się, dlaczego ci to mówię – ciągnął Nathair.

Ewnis uśmiechnął się i uklonił lekko na znak, iż w istocie o tym myślał.

– Wierzę, że odgrywasz w tej sytuacji zasadniczą rolę. I jestem pewien, że wiesz więcej, niż mi powiedziałaś.

– Czy ktokolwiek zdradza wszystko, co wie, mój panie? – odparł Ewnis. – Wszak wiedza to władza.

Robi się niebezpiecznie, pomyślał.

– Mądre słowa – rzekł Nathair z uśmiechem. – Nieraz już je słyszałem, ale pozwól, że będę wobec ciebie całkiem szczery. Obaj znaleźliśmy się w sytuacji, w której możemy sobie pomóc. Przebywam w nieznanym sobie kraju, gdzie zewsząd otoczyła mnie wojna. Nie znam powodów, dla których wybuchła. Muszę podjąć decyzje, a tymczasem brakuje mi wiedzy, czy obieram właściwy kurs. Ty posiadasz tę wiedzę, rozumiesz miejscowe układy i znasz szczegóły tego konfliktu. Tymczasem zewsząd otaczają cię wrogowie. Ardanem zawładnął Owain, człowiek, który zabił ci brata. Potrzebujesz więc przyjaciela, potężnego, obdarzonego wpływami sojusznika. Innymi słowy, potrzebujesz mnie.

Nathair nabrał tchu. Spojrzenie jego intensywnie błękitnych oczu zdawało się więzić byłego doradcę Brenina.

– Powiedz mi więc, Ewnisie, czego pożąda twoje serce?

Ten zamrugnął, zaskoczony pytaniem i nagłą zmianą tematu.

– Ja... – zaczął, ale urwał.

Co tu się wyprawia? Uważaj...

Oczy Nathaira przewiercały go na wylot. Stały się całym jego światem.

Czy on rzuca na mnie urok? Sięga po moc ziemi?

– Chcę odnaleźć syna! – usłyszał własne słowa. Z zaskoczeniem skonstatował, że w jego głosie pojawiło się drżenie.

– Uciekł z Edaną, jeśli wierzyć plotkom. – Nathair machnął dłonią. – Nawet tu, jak widzisz, mam dostęp do pewnych informacji. Mógłbym ci pomóc go znaleźć. Troszczę się o tych, którzy mi służą.

– Służą ci?

– Tak. Szukam wpływowych ludzi, którzy mają w sobie odwagę, by podejmować ryzyko i pomóc mi budować nowy porządek. Ba, nowy świat! Myślę, że jesteś takim człowiekiem. Służ mi, a zyskasz więcej, niż możesz sobie wyobrazić, ale w zamian muszę mieć pewność, że okażesz mi lojalność. Niezachwianą, ślepą lojalność.

I tak już ci służę, pomyślał Ewnis.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zamarł, przygwożdżony twardym spojrzeniem Nathaira, który nadal wpatrywał się w niego bez mrugania. Coś w jego słowach wzburzyło krew Evnisa, coś kazało mu poprzec z całego serca zarówno jego, jak i jego wizję. Czuł, że stanąłby za nim, nawet gdyby sam Asroth nie zażądał tego od niego.

Przecież ty dbasz tylko o siebie, wyszeptał jakiś głos w jego głowie.

– Będę ci służył ze wszystkich sił – powiedział.

– Dobrze. Bardzo dobrze. – Nathair się uśmiechnął. Ponownie napełnił pucharki winem i razem spełnili toast. – Przejdźmy więc do konkretów – rzekł. – Czy Rhin odgrywa jakąś rolę w konflikcie między Owainem i Breninem?

– Tak. Ta wojna jest owocem jej intryg – odparł Ewnis, zastanawiając się, ile może powiedzieć.

Przecież Rhin nie będzie zadowolona, jeśli dojdzie do wniosku, że ją zdradziłem!, pomyślał, ale nawiązał kontakt wzrokowy z wpatrującym się w niego Nathairem i podjął decyzję.

– Rhin doprowadziła do tego, że Owain ruszył na Brenina. Chodziło jej o to, by oba królestwa wykrwawiły się w walce. W międzyczasie szykuje się, by wykonać atak na Owaina. Rhin pozostaje najważniejszym graczem na zachodzie. Jej największym rywalem był Brenin, ale już nie żyje. Pozostał Owain, który nie jest już w stanie stawić jej czoła. Nie ma w sobie tyle siły woli czy sprytu, by ją przechytryć. Jedynie Brenin mógł tego dokonać. Na arenie pozostaje jeszcze król Eremon, władca Domhainu, ale jest zbyt stary i nie interesuje się sprawami poza granicami swego królestwa. Tylko patrzeć, jak Rhin stanie się władczynią całego zachodu.

– To na nią zawsze trzeba było mieć oko – mruknął Nathair. – Ostry język i jeszcze ostrzejszy umysł.

– W istocie.

– A ciebie co z nią łączy, Ewnisie?

Kiedyś byliśmy kochankami, pomyślał mężczyzna. A zawsze spiskowcami.

– Mam z nią pewien kontakt. W przeszłości pomagaliśmy sobie w drobnych sprawach.

– Rozumiem. – Nathair podszedł do otwartego okna i rzucił okiem na Sumura. Ten odwzajemnił spojrzenie. – Chciałbym również się z nią

skontaktować. Możesz to załatwić?

– Chyba tak.

– Wspaniale.

Sumur wyszeptał coś tak cicho, że Ewnis nie był w stanie tego usłyszeć.

– Jest jeszcze coś, co mnie intryguje. Owej nocy, kiedy padło Dun Carreg, w twierdzy przebywał pewien chłopak z wilkunem...

– Tak. To Corban.

– Znasz go?

– Nie bardzo, choć miałem z nim pewne przejścia. To bezczelny, nieposłuszny dzieciak.

– A rodzina?

– Jego ojciec Thannon poległ w wielkiej sali. Jego matki na razie nie odnaleziono, ale niektórzy uważają, że uciekła wraz z nim i Edaną. Siostra Corbana natomiast przebywa na miejscu.

– A co z Garem? – odezwał się Sumur chrapliwym, gardłowym głosem.

– Co go łączy z chłopakiem?

Ewnis przypomniał sobie wściekłą walkę, którą Sumur stoczył ze stajennym. Obaj władali bronią z nieopisanym wprost mistrzostwem. Nigdy dotąd nie widział tak sprawnych szermierzy. Ale zaraz... Czy Gar nie posłużył się przypadkiem mieczem podobnym do tego, który Sumur przytoczył sobie do pleców? Tajemnica stawała się coraz bardziej intrygująca...

– Gar był stajennym Brenina. Zawsze miał bliskie związki z chłopakiem i jego rodziną, ale nie wiem, dlaczego tak się działo. Mieszkali tu na długo, zanim przybyłem do Dun Carreg. Spróbuję się czegoś o nich dowiedzieć.

– Tak, zrób to – rzekł Nathair. – A w międzyczasie chcę ujrzeć jego siostrę. I to szybko.

– Zajmę się tym.

– Dobrze. – Nathair znów napełnił sobie puchar i pociągnął za coś, co wisiało na łańcuszku na jego szyi. Czy to był wielki ząb? – Póki co mam jeszcze jedną sprawę. Owa misja na północy, o której wspomniałem, ma na celu odnalezienie czegoś. Pamiętasz pewnie, jak mówiłem o olbrzymach Benothi?

– Tak.

– Wydaje mi się, że w ich posiadaniu znalazła się rzecz, której

potrzebuję. Rzekomo jest to kocioł. Jeden z Siedmiu Skarbów.

Evnis miał wrażenie, że krew odpływa mu z twarzy. Odkaszlnął, by zamaskować zaskoczenie. Kocioł... Ileżby dał, by ujrzeć go na własne oczy, by zabrać do niego Fain, gdy jeszcze pozostało mu trochę czasu i mógł sięgnąć po jego moc. By ją ocalić.

– Słyszałem o nim – odparł.

– Doprawdy? – Nathair wpatrywał się w niego z zaciętością. W jego spojrzeniu nie było ani śladu ciepła. – A co takiego słyszałeś?

Czas zaryzykować, pomyślał Evnis i rzekł:

– To artefakt o wielkiej mocy. – Urwał, przełknął ślinę i dodał: – I wiem, gdzie on jest.

– Gdzie?

– Na północy, na ziemiach Benothu. W fortecy zwanej Murias.

Nathair uderzył pięścią w dłoń.

– A więc Calidus miał rację! – oznajmił i ponownie skupił uwagę na Ewnisie. – Skąd o tym wiesz?

– Kiedyś miałem do czynienia z Benothi.

Cóż, a właściwie to z jednym z nich.

Na twarzy Nathaira pojawiła się zaduma.

– Jesteś bardziej użyteczny, niż sądziłem – rzekł i poklepał Ewnisa po ramieniu.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka wszedł strażnik, Jehar.

– Król Owain przysłał posłańca z wiadomością, że czeka w wielkiej sali i jest gotów z tobą rozmawiać.

– Oczywiście – rzekł Nathair. – Wkrótce znów porozmawiamy, Ewnisie, a póki co chodź ze mną.

Nathair i jego otoczenie ruszyli w drogę wysoko sklepionymi korytarzami, a Evnis i jego przyboczny udali się w ślad za nimi. Liczebność ich grupy rosła w miarę, jak dołączali do niej kolejni Jehar, którzy w milczeniu wyłaniali się z bocznych korytarzy. Wspólnie zmierzali ku wielkiej sali.

Owain stał przy jednym z palenisk. Był człowiekiem o ciemnych włosach i ostrych rysach twarzy, ale wydawał się znużony, wręcz wynędzniały.

Sięgnąłeś po zdobycz, której nie potrafisz udźwignąć, pomyślał Evnis.

Król Narvonu pogrążony był w rozmowie ze zbryzganym błotem

wojownikiem. Wokół nich stała grupka przybocznych w czerwonych płaszczach.

– Witaj, Nathairze – odezwał się i uważnie przyjrzał się eskortie młodego króla. Zmarszczył brwi, gdy zauważył Evnisa.

– Miło mi cię ujrzeć. – Nathair uśmiechnął się szeroko. – Jak się rozwija twoja kampania?

– Nieźle – odparł Owain. – Właśnie otrzymałem wieści z Dun Maen, która po rozbiciu hufca Dalgara przestała odgrywać jakiegokolwiek większe znaczenie. Jej murów broniła jedynie garstka kobiet, starców i wyrostków.

– A więc Ardan jest twój – rzekł Nathair.

– Wszystko by na to wskazywało – westchnął Owain. – Wprawdzie nadal dochodzi do potyczek stąd aż po bagna na zachodzie, ale myślę, że nie mają one większego znaczenia.

– Czyli dopiąłeś swego.

– Tak, ale niewiele w tym zwycięstwie radości. Uthan wszak nadal nie żyje. – Owain skrzywił się. – Czasami miałem wrażenie, że odziedziczył po mnie wszystko, co najlepsze, a teraz nie ma go już wśród nas.

– Ale przynajmniej jego śmierć została pomszczona.

– Nie do końca. Edana wciąż żyje. – Owain uniósł głowę i zacisnął usta w wąską linię. – Nie spocznę, póki oddycha. Zetrę z tej ziemi wszelkie ślady po Breninie.

– Natknęliście się na coś? Macie pomysł, dokąd mogła uciec?

– Nie, jak na razie nic. – Owain wzruszył ramionami. – Nie mam nawet pojęcia, w jaki sposób uciekła z fortecy. Zastanawiam się, czy przypadkiem nadal jej tu nie ma. Może się po prostu dobrze ukryła.

– Wątpię – odparł Evnis. – Przeszukałem Dun Carreg kamień po kamieniu.

Owain przyjrzał mu się z uwagą.

– Na pewno istnieją inne sposoby, by opuścić fortecę. W jaki sposób przemyciłeś tu tych wojowników? – Wskazał Jehar stojących wokół Nathaira.

Tunele!, ta myśl uderzyła Evnisa z mocą młota kowalskiego. Na pewno uciekli tunelami. Może nawet wciąż tam są!

– Istnieje wiele odcinków muru, które w ogóle nie są strzeżone – zwrócił się do Owaina, starannie maskując wszelkie uczucia. – Zwłaszcza

od północy. Brenin nazbyt wierzył w moc murów, by stawiać tam strażę, ale wystarczyłaby lina, by się wdrzeć do środka. Może Edana uciekła tamtędy?

Nathair spojrział na niego, ale nie powiedział ani słowa.

– Niewykluczone – mruknął Owain. – Choć trudno mi uwierzyć na słowo komuś, kto zdradził własnego króla.

– Ewnis bardzo nam się przysłużył – rzekł Nathair i zrobił krok ku byłemu doradcy Brenina. – Bez niego nadal koczowałibyście przed Kamienną Bramą.

– Tak czy owak... – Owain patrzył niechętnie na Ewnisa.

Ten wbił wzrok w kamienne płyty, z których ułożono podłogę.

Czy mój syn kryje się teraz w tunelach pod moimi stopami?

Potrząsnął głową i z niemałym trudem skupił się na słowach Owaina.

– Jeśli zdecydujesz się mu ufać, to twoja sprawa i nie będę cię od tego odwozić – mówił król Narvonu. – Ale lepiej miej na niego oko. Jeśli ktoś zdradzi raz...

Ewnis poczuł przyływ gniewu, ale zdusił go z niemałym trudem i znów przywołał uśmiech na twarz.

Owain długo wśród żywych nie zabawi, powiedział sobie. Trzeba tylko zrobić wszystko, by go przeżyć. To będzie w pełni satysfakcjonująca zemsta. Nadciąga Rhin, a wraz z nią chwila, gdy głowa Owaina spadnie z jego ramion.

– A co z tobą, Nathairze? – spytał Owain. – Zostajesz czy ruszasz dalej?

– Zostanę tu jeszcze jakiś czas. Wezwałem kilku moich doradców, z którymi muszę się naradzić, nim wyruszę w dalszą drogę.

– Jak sobie życzysz.

– Mam jednakże do ciebie prośbę. Raczej nietypową.

– Słucham więc. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Na moim okręcie, kotwiczącym na wodach zatoki, trzymam coś niezwykłego, rzadkiego i bardzo dla mnie ważnego.

– Cóż to takiego? Skarb, którego należy pilnować?

– Poniekąd. To draig, choć jeszcze niewyrośnięty. Trzeba go sprowadzić na ląd, znaleźć dla niego stajnię i karmić go.

– Draig? Dlaczego... – Owain urwał.

– To taki eksperyment. – Nathair się uśmiechnął. – I będę wdzięczny za

twą pomoc.

– Oczywiście. – Skrzywiony Owain również spróbował się uśmiechnąć.
– Przecież nie osiągnąłbym tego wszystkiego bez twego wsparcia. Jestem twoim dłużnikiem. Przygotujemy stajnię i zarżniemy wołu.

– Dziękuję.

Od dziedzica dobiegł tętent kopyt na bruku, który po chwili zastąpiły pośpieszne kroki biegnącego człowieka. Do sali wpadł mężczyzna, który przypadł do Owaina i uklęknął na jedno kolano.

– Powstań – przykazał mu król. – Jakie wieści przynosisz? Pojmaliście w końcu Edanę?

– Nie, mój panie! – Zdyszany posłaniec nabrał tchu. – Mamy złe wieści z Narvonu. Rhin najechała nasze ziemie. Uthandun padło.

Rozdział dziewiąty

CORBAN

Corban poruszył się nerwowo. Korzeń, o który się opierał, dźgał go w plecy. Nie spał tej nocy wiele, jeśli w ogóle zmrużył oko. Kropla deszczu spadła mu na nos.

– Cudownie – mruknął i naciągnął płaszcz na głowę.

Chciał po prostu spać, choć wiedział, że należy się podnieść. Trzeba spojrzeć ludziom w oczy, trzeba porozmawiać z mamą i Garem.

Słowa, które usłyszał zeszłej nocy, nadal wirowały mu w głowie. Wstrząsnęły nim i wzbudziły w nim zarówno gniew, jak i poczucie winy. Rzeczy, które mu powiedzieli, z pewnością zrodziły się z rozpacz i wyczerpania.

I poprosili mnie, bym wyjechał!

Miał wrażenie, że to najgorsza rzecz, jaką mógł teraz zrobić – opuścić ich niewielką grupę uciekinierów. Odmówił, a jakże. Nigdy dotąd nie sprzeciwił się mamie czy Garowi. Bywało, że sprzeczał się z nimi w myślach lub sarkał pod nosem po jakiejś ostrej reprimendzie, ale nigdy nie powiedział im tego wprost.

A potem pojawiły się wyrzuty sumienia. Trudno było sobie wyobrazić gorszy moment na kłótnię z mamą, tym bardziej, że oboje nadal byli w rozpacz po utracie ojca i Cywen, ale przecież to, o co go poprosili, nie miało sensu!

Gdy poczucie winy przygasło, w sercu chłopaka zapłonął gniew.

Jak oni mogli postawić mnie w takiej sytuacji?, pomyślał i poczuł żal, że w ogóle doszło do tej rozmowy.

I tak oto noc minęła mu na ponurych rozmyślaniach. Jego duszą targały wyrzuty sumienia bądź złość, od czasu do czasu przerywane chwilami

rozczulania się nad sobą. Teraz jednakże, gdy na niebie zajaśniał świt, po prostu poczuł się samotny. Nikt nie był już tym, kim był kiedyś. Mama i Gar wydawali mu się obcymi ludźmi.

Ktoś poklepał go po ramieniu.

Corban wysunął głowę spod płaszcza i mrużąc oczy, spojrzał na ciemną postać, ledwie rozpoznawalną w szarym świetle świtu. Był to Gar.

– Chodźmy, chłopcze – szepnął mężczyzna i szturchnął go czymś.

– Dokąd?

– Czas na trening.

– Co? – spytał Corban. – Żartujesz sobie?

– Wciąż musisz się wiele nauczyć – rzekł Gar i wzruszył ramionami. – Chodź. Nie mamy wiele czasu, a niedługo trzeba będzie znów wsiadać do tej łodzi.

Corban podniósł się i skrzywił, prostując zeszywniałe nogi. Spojrzał z grymasem na swego nauczyciela.

– Nie chcę tego – powiedział cicho. – Ty i mama...

Nie potrafił wyrazić, jak się czuł. Nie umiał odnaleźć odpowiednich słów, nie wiedział nawet, od czego zacząć.

– Tędy – rzekł Gar i ruszył przed siebie.

Corban skrzywił się, ale podążył za mężczyzną. Burza zerwała się i poczłapała za nimi.

Marrock stał na straży. Jego sylwetka zlewała się z cieniem drzewa, o które się opierał. Spojrzał badawczo na Gara i Corbana.

Były stajenny zatrzymał się przy strumieniu.

– Daj mi swój miecz – powiedział, a potem owinął ostrze chłopaka płótnem, obwiązał je mocno i oddał mu z powrotem. Następnie bez słowa rozpoczął swój taniec miecza. Jego zakrzywione ostrze było zawinięte podobnie jak ostrze Corbana.

Chłopak przyglądał mu się z ponurą miną, a w jego głowie krążyły dziesiątki pytań i słów oskarżenia. Istniało tyle rzeczy, o które chciał zapytać, ale wszystkie one związane były z rozmową, która miała miejsce zeszłej nocy, a tego tematu chciał unikać za wszelką cenę.

Gar zamarł i wbił w niego wzrok.

– Nie myśl. Działaj. Na pytania i rozmowy przyjdzie czas jutro. To ci pomoże.

I powrócił do wykonywania płynnych ruchów mieczem.

Corban westchnął, uniósł ostrze i przybrał postawę nurkującego sokoła, pierwszą pozycję tańca miecza. Skóra i mięśnie wokół rany na jego plecach rozciągnęły się i znów poczuł ból, ale wytrzymał, a potem płynnie przeszedł do kolejnej pozycji. Gar miał rację i niedługo Corban poczuł, jak jego umysł się uspokaja, a myśli umykają. Niebawem całkiem pochłonął go rytm tańca.

Gdy skończyli, wody strumienia migotały już w blasku słońca. Z nosa chłopaka ściekał pot, a rana na plecach pulsowała tępo. Gar stanął naprzeciwko niego i uniósł miecz, na co Corban wzruszył ramionami i przyjął wyzwanie. Zwarli się w walce. Wkrótce chłopak dostrzegł ruch wokół siebie. Odwrócił się i zobaczył pół tuzina ludzi z obozowiska, którzy przyglądali się ćwiczącym, ale ułamek sekundy później oberwał od Gara w żebra.

– Dość – oznajmił były stajenny i zerwał płótno z obu mieczy. Ignorując publiczność, ruszył z powrotem w stronę obozu.

Corban, który również nie miał nastroju na rozmowę, udał się w ślad za nim, celowo ignorując spojrzenie Briny. Dołączył do nich jednakże Halion, który położył dłoń na ramieniu Gara i zatrzymał go.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział.

Mężczyzna przystanął i nabrał głęboko tchu.

– Walczysz inaczej niż inni – rzekł Halion. – Przemierzyłem zachód Ziem Wygnanych i nigdy nie widziałem nikogo, kto władałby mieczem w twoim stylu.

Gar wpatrywał się w Haliona spojrzeniem pozbawionym emocji.

– Aż do nocy, kiedy padło Dun Carreg. Ów mężczyzna, z którym walczyłeś, Sumur... Marrock twierdzi, że w bitwie wzięło udział wielu takich jak on i to właśnie oni otworzyli Kamienną Bramę dla Owaina. Walczysz tak jak Sumur i rozmawiałeś z nim. Znacie się?

Gar zerknął na Corbana i z powrotem na Haliona.

– Tak.

– A więc opowiedz mi o nim i o sobie. Kim jesteś? Skąd przybywasz?

– Słyszałem, jak wielu ludzi zadawało tobie te same pytania, a ty zbyłeś je milczeniem – odparł Gar. – Moja przeszłość to moja sprawa.

– Zgadza się, nie chcę, by ludzie plotkowali o mnie i o moim życiu.

Niemniej sytuacja zmieniła się i opowiedziałem wszystkim o tym, skąd pochodzę. Uznałem bowiem, że to ważne. Teraz wiesz, kim jestem i kto jest moim ojcem. Ja muszę usłyszeć to samo od ciebie. Znasz tego Sumura?

Gar zamknął oczy i odetchnął.

– Znałem go wiele lat temu. Corban wkrótce opowie wam więcej.

Chłopak uniósł brew ze zdziwieniem.

– To za mało. Jestem mieczem i tarczą Edany, a ty wiesz o naszych wrogach więcej niż ktokolwiek z nas. Ba, można by cię wręcz wziąć za jednego z nich. Muszę zrozumieć, co tu się dzieje. Muszę to zrozumieć dla Edany! Czy ty stanowisz dla niej zagrożenie?

– Nie – westchnął Gar. – Nie stanowią dla niej zagrożenia. Widziałeś, że walczę z Sumurem, i to musi ukoić twój niepokój. Powiedziałbym ci więcej, ale Corban musi usłyszeć to jako pierwszy. Do tego czasu nie będę o tym rozmawiał ani z tobą, ani z nikim innym.

Halion wciąż zaciskał dłoń na ramieniu mężczyzny. Przez dłuższą chwilę patrzył mu w oczy, aż wreszcie opuścił rękę.

– Poczekam, ale niedługo. Wkrótce wrócimy do tego tematu.

Gar pokiwał głową i odszedł.

– O co tu chodzi, Corbanie? – spytał Halion.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co on ma ci do powiedzenia, ale lepiej tego wysłuchaj – rzekł mężczyzna.

Corban burknął coś pod nosem i udał się za Garem do obozu, gdzie wszyscy przygotowywali się już do odpłynięcia. Jedyne Edana siedziała w całym środku zamieszania, skulona, oparta o drzewo. Brina powróciła i zaczęła pomagać Gwenith w przygotowaniu jedzenia. Zimna dziczyzna o dziwo smakowała bardzo dobrze.

Mama chciała przechwycić spojrzenie Corbana, więc odwrócił głowę, choć natychmiast poczuł wyrzuty sumienia.

Przecież ona właśnie straciła męża. Mego ojca...

Mimo to nie był w stanie do niej podejść.

Niebawem wszyscy na powrót wspięli się do łodzi. Mordwyr i Dath ustawili żagiel na wiatr i wypłynęli z bezpiecznej zatoczki, by ruszyć w dalszą drogę wzdłuż wybrzeża. Niebo było jasnoniebieskie, a szczyty fal połyskiwały w słońcu. Corban zakopał się w stercie sieci niedaleko

rufy, a Burza skuliła się obok niego. Nie przestawała węszyć, poruszona silnym zapachem ryb.

* * *

Mijał dzień za dniem. Łódź sunęła wzdłuż wybrzeża, coraz dalej od Dun Carreg, coraz dalej od domu. Noce spędzali skuleni wokół niewielkich ognisk – o ile odważyli się je rozpalić – a jedli to, co udało się upolować Marrockowi i Camlinowi, choć to Burza zazwyczaj odnosiła znacznie większe sukcesy łowieckie. Corban nadal nie rozmawiał z mamą ani z Garem, choć Gwenith nie raz próbowała odciągnąć go na bok. Wciąż odmawiał, choć w głębi serca zaczynał już nienawidzić się z tego powodu. Jednakże bez względu na wszelkie przemyślenia, na samą myśl o tym, że miałby opuścić niewielką grupkę przyjaciół, od razu budził się w nim gwałtowny gniew. Los odebrał mu już wszystko, dlatego był gotów trzymać się resztek tego, co nazywał domem z desperacją rozbitka tonącego na burzliwym morzu.

Co rano budziło go szturchnięcie Gara, który zmuszał go do treningu tańca miecza, ale nie próbował wciągnąć go w rozmowę. Corban widział jednak jego spojrzenia i wiedział, co oznaczają.

I tak porozmawiamy. Prędzej czy później.

Piątego dnia po upadku Dun Carreg Corban siedział w swoim ulubionym miejscu, a Burza leżała obok niego. Dath, ledwie widoczny z pokładu, wspinał się na maszt. Niespodziewanie pojawił się Farrell, który podszedł do Corbana, stąpając niepewnie po kołyszącym się pokładzie.

– Podziękuj twej wilkownicy ode mnie – powiedział, siadając na sieciach obok niego.

– Za co?

– Za jedzenie na dzisiejsze śniadanie i wczorajszą kolację. Nie lubię być głodny. Zły się od tego robię.

– Cóż, tego byśmy nie chcieli. Przynajmniej dopóki nosisz ten młot na plecach.

Farrell zachichotał i poklepał młot Thannona, którego bijak sterczał mu nad ramieniem. Corban pomyślał o swoim ojcu, leżącym bez życia w Dun Carreg, i jego dzielnym psie, kulącym się u jego boku. Poczul ukłucie winy

na myśl o tym, że robi sobie żarty tak wcześnie po jego śmierci. Pokręcił głową.

– Jak żeś tak wyrósł? – spytał i zerknął na Anwartha, ojca Farrella, który był niskim mężczyzną i zdawał się być absolutnym przeciwieństwem syna, choć ich twarze wykazywały spore podobieństwo. Mieli podobne szczęki i oczy niemalże skryte pod gęstymi, krzaczastymi brwiami.

– Nie widziałeś mojej mamy, co? – odparł Farrell. – Zawsze mówiła, że to po niej odziedziczyłem grube kości. Wygląda na to, że ojciec lubił wielkie kobiety...

Corban się uśmiechnął. Czuł, jak napięcie zaczyna uchodzić z jego ramion. Dobrze było tak po prostu siedzieć i gawędzić z przyjacielem.

– Mam nadzieję, że nic jej nie jest – mruknął Farrell i zmarszczył czoło. – Ona potrafi o siebie zadbać. Ja i tata możemy za to poręczyć. – Spróbował się uśmiechnąć, ale nie wyszło mu to najlepiej. – Byłem dziś na twoim treningu.

Corban pokiwał głową.

– Niezłe widowisko. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

– Gar szkoli mnie już od jakiegoś czasu. Od około dwóch lat.

– To już wiemy, skąd się bierze twój talent do miecza. Nie mogłem uwierzyć, gdy pokonałeś Rafe'a.

Corban wzruszył ramionami.

– Ale nie wiem, gdzie Gar się tego wszystkiego nauczył. Zawsze sądziłem, że pochodzi z Helvethu.

Urwał. Wyglądało na to, że Gar wcale nie pochodził z Helvethu. Wyglądało na to, że większość z tego, co wiedział o jego przeszłości, okazała się nieprawdą. Kłamstwo ścigało kłamstwo.

Czas płynął. Łódź rytmicznie unosiła się i opadała na falach, a Corban czuł narastające znużenie. Wyczerpały go zarówno kotłujące się w nim emocje, jak i wydarzenia minionych kilku dni. Gwenith i Gar siedzieli obok siebie. Oczy mamy były zaczerwienione i podkrążone, a twarz blada i wynędzniała.

Burza trąciła go nosem w dłoń, a chłopak nieobecny gestem podrapał ją po głowie. Rzeczy, które matka powiedziała na jego temat, wirowały mu w głowie niczym szczątki okrętu porwane przez wir lub podskakujące na falach. Nic z tego nie rozumiał. Że niby jest ścigany przez Asrotha? Jak to

możliwe? Nigdy się nie zastanawiał nad Asrothem czy Elyonem. Nie był nawet pewien, czy wierzy w istnienie obu bogów, bo jak dotąd nigdy się nimi specjalnie nie przejmował.

Znał opowieści i wiedział, że Elyon jest stwórcą wszystkiego, a Asroth jego wielkim wrogiem, przewodzącym armiom Upadłych. Pamiętał również historię o tym, jak Asroth doprowadził do zepsucia wśród pierwszych ludzi i olbrzymów, z czego wyniknęła Wojna Skarbów, a później Plaga. Jak do tej pory miał jednakże wrażenie, że to tylko bajki opowiadane dzieciom przed snem.

Spojrzał na swoich przyjaciół, rozsianych na łodzi, a potem za burzę, gdzie ciągnęła się cienka linia brzegowa, gęste lasy oraz klify. Uniósł dłoń i przyjrzał się własnym palcom, czarnym śladom brudu, który tu i ówdzie wgrzył się w jego skórę oraz wirującym kręgom linii papilarnych.

Życie nie powstało samo z siebie, pomyślał. Ktoś musiał chyba je stworzyć. Ale żeby Asroth na mnie polował?

Pokręcił głową.

Brina usiadła obok niego. Farrell zerknął na uzdrowicielkę i odwrócił wzrok. Bez względu na wpływ, jaki wywarły na nich ostatnie wydarzenia, Brina wciąż cieszyła się tą samą reputacją. Corban znosił jej ciężkie, milczące spojrzenie najdłużej jak mógł.

– Gdzie Craff? – spytał, nie mogąc już wytrzymać ciszy.

– Tam – odparła i skinęła głową.

Kruk siedział na dziobie i wpatrywał się w dal niczym rozczochrany, sfatygowany galion.

– Chciałem cię o coś spytać – burknął Corban.

– To ci niespodzianka – parsknęła Brina. – Dobra, ale tym razem ja też chcę ci zadać kilka pytań. Odpowiada ci taki układ?

– A co ja mogę wiedzieć z rzeczy, które by cię mogły zainteresować?

– Mamy umowę czy nie?

– Sam nie wiem. – Corban przyglądał się jej podejrzliwie. – Posłuchajmy najpierw tych pytań. Potem zadecydujemy.

Brina skrzywiła się.

– No? – ponagliła go.

– Pamiętasz, gdy uciekaliśmy z Dun Carreg tunelami? Ty i Heb... – Chłopak odkaszlnął. – Ta mgła... Czy to ty...

– Ach, doskonałe pytanie. – Brina niemalże uśmiechnęła się do niego. – A więc pora na moje pytanie. Gar.

Corban westchnął. Wiedział, że zapyta o stajennego.

– No, mów.

– Przybył do Dun Carreg, gdy ty i Cywen byliście jeszcze małymi dziećmi?

Na wzmiankę o Cywen chłopak znów poczuł ból w sercu. Pokiwał głową.

– Chciałabym się dowiedzieć, skąd ma ten swój krzywy miecz i gdzie się nauczył tak walczyć. Chciałabym wiedzieć, dlaczego rozmawiał z pierwszym mieczem króla Tenebrału jak z równym. A przede wszystkim chcę wiedzieć, dlaczego tak bardzo interesuje się tobą. – Dźgnęła go przy tych słowach palcem w pierś.

– To aż trzy pytania. Ja zadałem ci jedno – zauważył Corban.

– Moje są ze sobą związane – odcięła się Brina, ale chłopak uniósł jedynie dłonie.

– Wierz mi, że ja również chciałbym usłyszeć te odpowiedzi.

– A więc nic nie wiesz?

– Nie. Choć chciałbym się dowiedzieć.

– To idź i go zapytaj – rzekła. – Potem możesz tu wrócić i mi wszystko opowiedzieć.

– Nie! – parsknął, o wiele ostrzej, niż zamierzał. – To wszystko jest dość skomplikowane i...

Brina spojrzała na niego, a potem podniosła się ze stęknieniem i powiedziała:

– A więc spróbuj to uprościć, a potem znajdź mnie i opowiedz mi o wszystkim. Wówczas powiem ci prawdę o mgle.

I odeszła.

* * *

Minęło południe. Corban stał przy relingu i wpatrywał się w dal. Brzeg znajdował się tak daleko, że musiał wyteńczyć wzrok, by dostrzec plamy lasu czy skały. Czasami udawało mu się dojrzeć słupy dymu znad wsi czy gospodarstw. Mordwyr i Dath trzymali się możliwie najdalej od brzegu

i jak dotąd Corban wypatrzył tylko jedną łódź pod żaglami, odległą, zaledwie ciemny punkt na horyzoncie.

Na dziobie rozległ się okrzyk. Marrock wskazywał coś w oddali. Halion ruszył w jego kierunku, a pozostali za nim. Obaj wojownicy naradzili się pośpiesznie i wezwali Mordwyrę. Rybak powierzył rumpel synowi i podążył na dziób.

Kiepsko to wygląda, pomyślał Corban, patrząc na rybaka. Był blady, a jego twarz zrosił pot. Chłopak ruszył za nim i wychylił się za burzę, by spojrzeć na to, co widzieli już inni.

Dokładnie przed nimi w sporej odległości znajdowała się flotylla ciemnych punktów. Były to okręty, rozstawione w sporej odległości od siebie, aż po wybrzeże.

– Co to? – spytał Halion Mordwyrę.

Rybak w milczeniu wpatrywał się w dal.

– Łodzie – mruknął. – Mnóstwo łodzi.

– To sam widzę – warknął Halion. – Ale co one tu robią? Czego szukają?

Z każdą chwilą byli coraz bliżej i Corban widział coraz więcej szczegółów. Łodzie przed nimi różniły się wielkością i kształtem, ale większość z nich była podobna do łodzi rybackiej, na której się znajdowali. Corban naliczył przynajmniej trzydzieści jednostek. Wychodziły na otwarte morze, zostawiając za sobą sporej wielkości wioskę na brzegu.

– Nie mam pojęcia – mruknął Mordwyr. – Ale najwyraźniej kierują się do Ardanu. Czyżby kolejna sprawka Owaina?

– Płyniemy wzdłuż brzegów Cambrenu – oznajmił Marrock. – A tu rządzi Rhin.

– Nie wiem, o co chodzi, ale musimy się znaleźć na brzegu. I to szybko. Módlcie się też do Elyona, byśmy nie zostali zauważeni już wcześniej – stwierdził Mordwyr i ruszył do pracy. Zręcznie przebiegł na tył łodzi, wykrzykując polecenia do syna. Złapał też za koło sterowe, a Dath przypadł do żagla. Corban z oszołomieniem patrzył, z jaką wprawą i prędkością ciągnie za liny. Płótno po chwili zwiśło, pozbawione wiatru, a łódź rybacka powoli obróciła się, wytrącona z poprzedniego rytmu. Morze niespodziewanie stało się potężniejsze i groźniejsze. Corban złapał za reling, gdy łódź nagle podskoczyła, wdzierając się na falę. Wzdłuż burt strzeliły bryzgi.

Dath jednakże już obiegł maszt i szarpnął za liny po drugiej stronie. Żagiel znów zaczął wypełniać się wiatrem. Zafalował i wydał się, a łódź wystrzeliła ku brzegom, zostawiając za sobą spieniony, biały kilwater.

Mordwyr doprowadził ją do kamienistej plaży, za którą wznosiły się trawiaste wydmy. Przed oczami mieszkańców wsi chroniły ich wzniesienia. Jeden po drugim uciekinierzy pośpiesznie zeskakiwali na brzeg. Serce Corbana biło mocno, gdy biegł na plażę, a chrzęst kamieni pod stopami wydawał mu się oszałamiająco głośny. Po chwili znaleźli się na skraju lasu jesionów i platanów.

– Zostaniemy tu na jakiś czas – rzekł Halion. – Rozłożymy tu obóz i zaczekamy na wolną drogę. Żadnych ogni – dodał.

Wyznaczył wartownika na wzniesieniu, by miał oko na ich łódź i upewnił się, że nikt się do nich nie zbliża, a potem zwrócił się do Camlina:

– Weź ze sobą kilku ludzi i sprawdź, czy nie znaleźliśmy się za blisko nieprzyjaznych oczu czy uszu. – Wskazał przy tych słowach gęstwinię leśną.

– Jasna sprawa – rzekł były banita. – Dath, zabierz łuk. Corban, przydałby nam się też czuły nochał twej wilkunicy.

Wyruszyli w głąb lasu. Corban zauważył, że Dath na odchodnym obrzucił spojrzeniem ojca, który usiadł pod drzewem i ukrył twarz w dłoniach. Ręce mu drżały. Chłopak zawahał się, ale naraz ujrzał, jak obok Mordwyrza siada Vonn. Potrząsnął wówczas głową i pośpieszył za Camlinem.

Gdy las dookoła nich zgęstniał, Corban usłyszał za sobą kroki. Kiedy się odwrócił, ujrzał Gara.

– A co ty tu robisz? – spytał.

– Będę cię pilnował.

– Po co? Nie jestem dzieckiem!

– Ban, niepotrzebnie strzepisz sobie język. Idę z tobą bez względu na to, czy ci się to podoba czy nie. Musiałbyś mnie przywiązać do drzewa, jeśli jesteś przeciwny.

Camlin spojrział na Gara i wzruszył ramionami.

– Ja tam nie mam nic przeciwko – oznajmił. – Widziałem cię raz w akcji i wiem, że przyda nam się twój miecz, jeśli wpadniemy w jakieś

tarapaty.

Corban nie powiedział już nic i ruszył za Camlinem. Podążali naprzód w ciszy. Burza biegła naokoło, szeleszcząc wśród poszycia. Naokoło kwitł czosnek niedźwiedzi i dzwonki – ich mocny zapach unosił się w powietrzu.

Wkrótce las się zmienił. Wkroczyli w zalaną głębokimi cieniami buczynę, z której wyszli na skraj pagórkowatej łąki. W oddali widzieli strome wzgórza, a bliżej wieś, z której wypłynęła flotylla łodzi. Nad brzegiem morza wznosiły się wędzarnie, a na obu brzegach przecinającej osady rzeki ciągnęły się rzędy chat krytych strzechą. Dalej widać było liczne namioty oraz zagrody dla koni, między którymi kręciło się dużo ludzi. Wzdłuż rzeki ciągnęła się droga, wybiegając w dal. Zmierzali nią liczni jeźdźcy.

Camlin wciągnął powietrze przez zęby i splunął.

– Co się dzieje? – szepnął Dath.

– Jeśli się nie mylę, patrzymy na obóz wojenny – mruknął Camlin. – Ale na pytanie, co się tu wyrabia, chyba ci nie odpowiem.

Naraz rozległ się tętent wielu kopyt. Zza pagórka na łące wyłoniło się kilku zbrojnych we włócznie jeźdźców – pięciu albo sześciu – rozciągniętych w szereg. Blask słońca odbijał się od ich kolczug i ostrzy. Camlin przeklął.

– Między drzewa! – parsknął. – A ty, Dath, miej łuk w pogotowiu.

Rozdział dziesiąty

TUKUL

Tukul zamrugał, by pozbyć się potu z oczu, i zacisnął zęby. Nadal utrzymywał postawę z tańca miecza. Skupił się na tym, by ostrze miecza treningowego było całkowicie nieruchome. Uda i ramiona płonęły mu bólem i dygotały z wysiłku.

W którym momencie to wszystko zaczęło się robić trudniejsze?, zastanawiał się. Mam przecież zaledwie pięćdziesiąt osiem lat! Nie jestem jeszcze tak stary!

Skoncentrował się na równym, rytmicznym oddychaniu, a potem, jakby w odpowiedzi na dźwięk niesłyszalnego dzwonu, odprężył się. Machnął kilkakrotnie ramionami, by ulżyć mięśniom, a następnie spojrzął na resztę mężczyzn i kobiety, z którymi stał w szeregu. Było ich około sześćdziesięcioro, wszyscy złani potem.

Każdy z nas jest już starszy, pomyślał, krzywiąc się. Choć mam nadzieję, że nie jesteśmy za starzy.

– Już niedługo – szepnął, a jego słowo było jednocześnie modlitwą, jak i obietnicą.

Zgromadzili się na dziedzińcu między korzeniami ogromnego drzewa, które górowało wysoko nad nimi. Gałęzie wznosiły się i przesłaniały słońce, a pień był grubszy od jakiegokolwiek innego na świecie.

Drassil.

Owiane legendami miasto w lesie Forn, zbudowane przez olbrzymy wokół i pod korzeniami Wielkiego Drzewa, zaginione i ukryte przez setki pokoleń, aż on tu przybył na czele swej drużyny wojowników. Było ich z początku około setki, ale z czasem liczebność się zmniejszyła. Niektórzy padli ofiarą chorób, inni drapieżników, grasujących w puszczy. Z jednym

rozstali się podczas podróży, a teraz cierpliwie na niego czekali.

Stracił kroplę potu z nosa.

– A może nie wystarczająco cierpliwie? – mruknął, krzywiąc się.

Wokół niego rozpoczęły się już walki treningowe. Trzask zderzających się ze sobą mieczy ćwiczebnych niósł się daleko i odbijał echem od drzew. Tukul rozejrzał się w poszukiwaniu kogoś, z kim mógłby się zmierzyć, ale wtedy usłyszał pośpieszne kroki.

Na dziedziniec wpadła Enkara. Długie, czarne włosy, miejscami przyprószone siwizną, miała związane z tyłu głowy, a znad ramienia sterczała jej rękojeść miecza. Odnalazła go spojrzeniem.

– Ktoś nadciąga! – zawołała drżącym głosem.

Wszyscy zamarli.

Tukul bez słowa opuścił dziedziniec i zatrzymał się jedynie po to, by podnieść swój zakrzywiony miecz. Zarzucił pas na ramię i pewnym krokiem ruszył w stronę zewnętrznego muru.

Mieszkali w Drassil od czternastu lat i przez ten czas zmienili twierdzę w miejsce ponownie nadające się do życia. Co więcej, znów nadawała się do obrony, po tym jak zerwali dzikie pnącza z murów, załatali dziury i wyrysowali dokładne mapy labiryntu katakumb, które ciągnęły się przez długie mile pod ich stopami. Tukul skrzywił się ze smutkiem, gdy spojrzał na rządęk ich własnych kurhanów. Ten, w którym pochowano jego Darię, zawsze przyciągał jego wzrok.

Wszyscy, którzy przebywali na dziedzińcu, ruszyli za nim w milczeniu. Enkara na pół biegła, by nadążyć za jego długimi krokami. Tukul wbiegł po schodach, przeskakując dwa stopnie na raz, aż stanął na strażnicy, z której rozciągał się widok na cały Forn.

Wokół murów oczyszczono pas ziemi długości stu kroków, by powstrzymać napierającą zewsząd puszczę. Dzięki temu widać było teraz samotnego człowieka w kapturze, który kroczył ku bramom. U boku miał miecz.

Zatrzymał się, odrzucił kaptur i spojrzał na mury.

Tukul zmrużył oczy, ale się uśmiechnął.

– Otwórzcie bramy! – zawołał, przebił się przez tłum, który zebrał się za nim, zbiegł po schodach i wypadł na zewnątrz. Uścisnął przybyszowi nadgarstek, a potem przytulił go mocno do piersi. – Cieszę się, że cię

widzę, Meicalu – szepnął, patrząc na ciemnowłosego mężczyznę.

– Wzajemnie, mój stary druhu.

Wkrótce obaj stanęli pośród murów Drassil, a wokół nich zgromadzili się wszyscy obecni.

– Nie próżnowaliście – rzekł Meical, rozglądając się dookoła.

– Bynajmniej – parsknął Tukul. – Mieliliśmy wystarczająco dużo czasu.

Spojrzał na Meicala i uświadomił sobie, że mężczyzna wcale nie wygląda inaczej niż w chwili, gdy widzieli się po raz ostatni. Jego włosy nadal były atramentowo czarne, a zmarszczki wokół oczu dopiero zaczynały się pojawiać. Wciąż robił wrażenie, jakby przeżył wielką wojnę i został przez nią naznaczony.

Zarówno na ciele, jak i na duszy, dodał w myślach Tukul.

Przez jedną stronę twarzy Meicala biegły srebrne blizny.

– Dlaczego do nas przybyłeś? – spytał Tukul.

– Mam smutne wieści. Aquilus nie żyje.

– Co takiego? – szepnął wstrząśnięty Tukul. – Przecież Aquilus był dla nas ważny! Miał swą rolę do odegrania! A co z dzieckiem?

– To już nie dziecko – rzekł Meical. Blizny skrzywiły się, gdy na twarzy przybysza pojawił się uśmiech. – Ale ma się dobrze. A przynajmniej miał się dobrze, gdy widziałem go po raz ostatni.

– Widziałeś go? Kiedy?

– Prawie rok temu. Pozostawiłem go i wyruszyłem, aby cię odszukać. Niełatwo jest odnaleźć to miejsce.

– Ha! – Tukul parsknął śmiechem. – Dobrze o tym wiem. A... a mój syn? Z nim również się widziałeś?

– Tak. Wyrósł z niego wspaniały mężczyzna. Służy ci wiernie i jest powodem do dumy.

Tukul uśmiechnął się szeroko i zamrugał, strząsając łzy.

– Ale to nie wszystkie wieści, z którymi przybywam – rzekł Meical. Nabrał tchu i wypuścił go powoli. – Sytuacja na świecie się zmienia, szybciej, niż sądziłem, i w o wiele bardziej nieprzewidywalny sposób. Na południu trwa wojna, pogłoski mówią o innej na zachodzie. Asroth już wykonuje posunięcia. Myślę, że czeka nas zmiana planu.

Tukul poczuł ucisk w żołądku, a potem przeszedł go dreszcz ekscytacji. Tak długo czekali, tak długo się przygotowywali.

– Powiedz mi, ilu ludzi trzeba, by włócznia była bezpieczna?

– Dziesięciu. – Tukul się uśmiechnął.

Meical pokiwał do siebie głową, jakby w duchu podejmował ważną decyzję, po czym oznajmił:

– A więc pozostaw tu dziecięciu ludzi, ale reszta nie powinna tu być. Zamiast czekać, aż Seren Disglair przybędzie do was, powinniście sami się do niego udać. On was potrzebuje.

– Mamy się do niego udać? – powtórzył Tukul. Krew popłynęła żwawiej w jego żyłach, a na twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Ha, słyszeliście?! – zawołał, obracając się dookoła, by spojrzeć na wszystkich.

– A więc co sądzisz, stary przyjacielu? – spytał Meical. – Zgadzaście się?

– Czy się zgadzamy? Tak, zgadzamy się! – krzyknął Tukul, a w ślad za nim wszyscy jego towarzysze. Jak jeden mąż dobyli mieczy i wyjąć dziko, wzniesli je ku niebu. – Gotujcie się! – dodał Tukul. – Gdyż jutro wyruszamy, by odnaleźć Seren Disglaira!

Rozdział jedenasty

CYWEN

Cywen celowała przez chwilę, po czym cisnęła nożem. Usłyszała znajome młaśnięcie i z satysfakcją zauważyła, że ostrze utkwilo dokładnie tam, gdzie mierzyła – w sfatygowanym słupie stojącym w ogrodzie. Nie odrywając od niego oczu, wyciągnęła kolejny nóż z za pasa, wycelowała i rzuciła. A potem jeszcze jednym. I kolejnym.

Gdy za pasem nie miała już ani jednego ostrza, podeszła do słupa i zaczęła wyciągać nóż za nożem i wsuwać je do pochewek. Po upadku Dun Carreg obiecała sobie, że już nigdy nie dopuści, by skończyły się jej ostrza. Te, którymi teraz trenowała, znalazła w beczce przy drzwiach kuchennych. Były zardzewiałe i wyszczerbione. Ojciec miał się kiedyś nimi zająć.

Najlepsze ostrza, te, które mama trzymała w szufladzie w swoim pokoju, znikły. Cywen przypuszczała, że mama zabrała je ze sobą.

Mama. Wystarczyło, by o niej pomyślała, a w jej sercu odzywał się ból. Miała pewność, że jej mama przeżyła szturm – przeszukała wszak całą fortecę i przemogła się, by spojrzeć na każdego trupa zrzuconego na stos w obrębie murów, ale nie odnalazła ani mamy, ani Corbana, ani Gara. Słyszała też krążące po twierdzy plotki o Edanie. Niektórzy twierdzili, że się ukrywa, inni, że uciekła na zachód, północ, południe. Jedno było pewne. Nie zginęła w bitwie, a byli tacy, którzy szeptem przyznawali, że widzianą ją z Corbanem.

Na pewno przeżyli. Na pewno są razem. Nie mam co do tego wątpliwości, pomyślała Cywen.

Oparła głowę o słup, w który rzucała. Ostre krawędzie poszczerbionego drewna drapały ją po nosie. Buddai zaskomlał, skulony w cieniu za

jabłonką. Cywen poczuła słony smak łzy, która spłynęła po jej policzku, a potem na usta.

Minęły cztery noce od chwili, kiedy przebudziła się na dziedzińcu przed Kamienną Bramą. Każdy z nich rozmazały łzy, każdy został naznaczony niepokojem i samotnością, każdy stał się koszmarem pełnym majaków. Pierwszej nocy próbowała zasnąć w łóżku, ale przebudziła się przed kuchennym paleniskiem, wtulona w Buddaia. Później zasypiała już tam co noc.

Trochę pomagało.

Dlaczego mnie porzucili? Bo nie mieli wyboru, pomyślała. Pewnie uznali, że nie żyję.

Mimo to wciąż czuła ból, a świadomość, że została porzucona, nie opuszczała jej ani na chwilę.

Potem w jej udrękę niespodziewanie wkradł się promyk nadziei. Poprzedniego dnia, gdy znów przeczesywała całą fortecę, dotarła w okolice studni. Przypomniała sobie wówczas o tunelach i uświadomiła sobie, że jej rodzina wciąż może się w nich chować i na nią czekać. Na samą myśl o tym poczuła ukłucie tęsknoty tak wielkiej, że mało nie straciła równowagi. Tak, to miało sens. Czy istniało inne wyjaśnienie, dlaczego tak wiele osób znikło bez śladu? Poza tym Corban dobrze znał tunele. Niewykluczone, że nadal się tam kryli. Zerwała się, chcąc natychmiast tam pobic, ale uświadomiła sobie, że dookoła roi się od wojowników w czerwonych płaszczach, którym zależało na tym samym co jej – na odnalezieniu uciekinierów. Musiała więc zaczekać na odpowiednią chwilę.

Buddai warknął. Cywen odwróciła się i ujrzała postać na progu domu, ciemny kształt w półmroku kuchni.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – rzekł mężczyzna i stanął w blasku słońca. – Nie przerywaj sobie.

Conall.

Cywen syknęła przez zęby i odruchowo sięgnęła po nóż.

– Powoli. – Wojownik uniósł rękę. – Nie ma potrzeby. Bitwa już dawno się zakończyła, a poza tym ostatnio te twoje koziki jakoś nie wyrządziły mi krzywdy. – Uśmiechnął się. – Tym razem nie będzie inaczej.

Oparł lekko dłoń na rękojeści miecza, ale Cywen wiedziała, że bez

wątpienia potrafi go dobyć w mgnieniu oka. Widziała już, jaki jest szybki.

– Jak się tu dostałeś? – spytała.

– Zostawiłaś otwarte drzwi.

– Nieprawda.

– Miałem na myśli to, że ich nie zakłuczyłaś, co sprowadza się do tego samego. – Conall wzruszył ramionami. – To co? Chciałabyś porzucać sobie do mnie?

– Próbowaleś mnie zabić!

– Prawda. Choć gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że ty również chciałaś zabić mnie. Ja jednakże jestem gotów o tym zapomnieć. – Musnął policzek, na którym wielki siniak zaczynał już zielenieć. – Jestem skory do przebaczenia.

– Słyszałam, że raczej do gniewu – mruknęła Cywen.

– Tak, do tego też. – Uśmiechnął się szeroko.

Słyszałam, jak ludzie mówią to samo o mnie, pomyślała dziewczyna, a na głos zapytała:

– Czego chcesz?

– Ktoś pragnie z tobą porozmawiać.

– Kto?

– Ktoś ważny. Chodź, a sama się przekonasz.

Cywen zastanowiła się.

– Nie – rzekła, wyszarpując kolejny nóż ze słupa, by schować go do pochewki.

Conall westchnął.

– Widzisz, przypomniało mi się coś, co moja mama zwykła mówić za każdym razem, gdy chciała mnie wykąpać. Nie pamiętam dokładnie jej słów, ale było to coś na kształt: „Możesz pójść do balii dobrowolnie albo szarpać się i szamotać, ale prędzej czy później i tak do niej trafisz. Twój wybór”.

Wszedł do ogrodu. Buddai warknął i podbiegł do Cywen.

Conall skrzywił się, patrząc na psa. Zacisnął mocniej dłoń na rękojeści miecza.

– Zaczyna mnie już to nudzić, dziewczę. Jeśli ten pies spróbuje zacisnąć na mnie zęby, będzie to ostatnia rzecz w jego życiu. Chodź.

– Kto chce mnie zobaczyć? Ewnis?

– Będzie tam, ale zaproszenie wyszło od kogoś innego. Od Nathaira, a to przecież koronowana głowa. Powinnaś się czuć zaszczycona! Chodź, kolejny raz nie powtórzę.

Nathair... Czego on może chcieć?

Cywen wiedziała, że to beznadziejny pomysł, ale mimo to poczuła w sobie narastającą ciekawość.

– Dobra – mruknęła. – Mogę cię zabić kiedy indziej.

– Och, jak miło z twojej strony – odpowiedział Conall.

– Ale tylko dlatego, że jestem zbyt zmęczona, by zakopać twoje ścierwo – oznajmiła dziewczyna, podchodząc bliżej.

Conall cofnął się o krok i zasłonił dłonią genitalia.

– Nie za blisko! – burknął. – Widziałem, co zrobiłaś chłopakowi Helfacha. Ja bardzo cenię swe klejnoty!

Cywen zdusiła uśmiech i wyszła z domu. Buddai dreptał za nią.

Na brukowane ulice padały już długie cienie. Zachodzące słońce otaczało chmury różową poświatą. Gdy mijali stajnie, dziewczyna szybko rozejrzała się po wybiegu i odnalazła wzrokiem Tarczę, srokiego ogiera Corbana, który powitał ją radosnym rzeniem. W ciągu ostatnich kilku dni Cywen często wracała do stajni i oddawała się dawnym obowiązkom, by choć na chwilę zapomnieć o bólu dzięki rutynowym, niewymagającym myślenia czynnościom. Stajnię zarządzali wojownicy w czerwonych płaszczach, ale nikt jej nie zatrzymywał, ani też nikt nie próbował jej wygonić. Robotnicy byli wszak potrzebni.

Pracując przy koniach, Cywen podsłuchiwała rozmowy, wśród których pojawiały się wieści z dalekiego świata. Rozbierała każde zdanie na czynniki pierwsze, próbując dowiedzieć się z nich czegokolwiek o losie swojej rodziny.

Wszyscy mówili tylko o tym, że Rhin najwyraźniej najechała Narvon, złupiła Uthandun, a teraz obozowała po drugiej stronie Ciemnego Boru. Bez wątpienia szykowała się do inwazji na Ardan.

No i dobrze, myślała Cywen. Mam nadzieję, że odrąbie Owainowi łeb.

Choć, szczerze powiedziawszy, nienawidziła Rhin równie mocno jak Owaina, a może nawet bardziej. Przecież to Rhin stała za tym wszystkim. To ona pociągała za sznurki i prowadziła wszystkich uczestników swej

intrygi ku tragedii. Cywen wciąż pamiętała Ciemny Bór i Ronana, który wyslizgnął jej się z ramion, pamiętała, jak usiłowała zatamować ranę na jego szyi i dosłownie zatrzymać wyciekające z niego życie. Zamrugła, gdy w jej oczach pojawiły się gorące łzy, które rozmazały świat wokół niej.

Owain zbierał siły do starcia z Rhin. W chwili obecnej jego oddziały były rozrzucone po całym Ardanie, gdzie toczyły walki z niedobitkami hufca Dalgara, czającymi się wokół Dun Carreg. Jeśli na tym świecie istniała jakaś sprawiedliwość, Owain i Rhin powinni nawzajem się pozabijać. Cywen parsknęła pod nosem. Wiedziała, że jedyną sprawiedliwością, jakiej doczeka, będzie ta, którą wymierzy sama. Oстрыm nożem.

Dotarli na dziedziniec, który znajdował się przed wielką salą. Zalegająca tam sterta trupów zamieniła się już w stosik poczerniałych, poskręcanych kości oraz popiołu. Obok leżała kupa ciemnego gnoju, o wiele większa od tej, którą mógłby pozostawić największy nawet koń. Cywen wiedziała, jakie stworzenie ją pozostawiło – był to draig, prowadzony ulicami Dun Carreg przez Nathaira. Wzdrygnęła się na samo wspomnienie bestii. Draig nie był jeszcze w pełni wyrosnięty, a już zasługiwał na miano najbardziej przerażającej istoty, jaką w życiu widziała.

Przypominał jaszczurkę i poruszał się na czterech wygiętych, zakończonych pazurami odnóżach, unosząc tors nisko przy ziemi. Miał szeroką, płaską czaszkę i kwadratową szczękę z wystającymi kłami, pomiędzy których co rusz wymykał się język. Największy lęk w sercu dziewczyny budziły jednakże jego ślepia. Nie było w nich ciepła i inteligencji jak w oczach jej ukochanych koni. Ślepia draiga były małe, puste i czarne, bezlitosne jak u zabójcy.

Conall przyspieszył kroku, wyminął ją i wszedł do wielkiej sali jako pierwszy. Zignorował całkiem strażników w czerwonych płaszczach, którzy wpatrywali się w nich oboje.

W miarę, jak zagłębiali się w korytarze twierdzy, Cywen zaczęła zauważać kolejnych spośród odzianych na czarno wojowników, którzy przypuścili szturm na Kamienną Bramę. Z początku miała wrażenie, że to cienie, które wręcz zlewają się ze ścianami, ale gdy jej wzrok przyzwyczał się do ciemności, dostrzegała ich coraz więcej. Stali w korytarzach, w kątach. Czowała na sobie ich spojrzenia.

– Jesteśmy na miejscu – odezwał się Conall, gdy zatrzymali się przed

drzwiami pilnowanymi przez kolejnych dwóch strażników. Spojrzał na Buddaia i dodał: – Ten pies nie może wejść do środka.

– Będzie wył, jeśli go tu zostawię. Przecież on nie stanowi dla nikogo zagrożenia, chyba że ktoś zagrozi mnie. A nie jestem chyba w niebezpieczeństwie, czyż nie? – Cywen uśmiechnęła się słodko.

– Nie. Dobra, weź go, ale oddaj mi pas.

Cywen spojrzała na niego.

– Widziałem, jak sobie radzisz z nożami – rzekł Conall. – Nie ma mowy, byś zabrała ten arsenał do środka.

– Co ci do głowy strzeliło? – warknęła Cywen, choć jej uwagę przyciągnęli milczący wojownicy, wpatrujący się w nią. – Że mam ochotę na samobójstwo?

– A kto cię tam wie? – Conall wzruszył ramionami. – Nigdy nie rozumiałem kobiet. Oddawaj pas.

Cywen burknęła coś pod nosem, ale odpięła pas i podała go wojownikowi.

– To wszystko? Przeszukam cię, jeśli będę musiał.

Dziewczyna skrzywiła się, nachyliła i wyjęła ostrza ukryte w butach oraz jeszcze jedno zapasowe, przypięte do ramienia.

– Dziękuję. – Conall uśmiechnął się, oddał noże strażnikom i wszedł do komnaty, a dziewczyna podążyła za nim.

W środku stało trzech mężczyzn – Nathair, jego przyboczny Sumur oraz Ewnis. Cywen skupiła swą uwagę na królu, ignorując pozostałych dwóch. Król Tenebrału był szczupłym, muskularnym mężczyzną, który emanował siłą. W jego spojrzeniu dostrzegła zdecydowanie. Wciąż miał te same dwa miecze, które nosił w chwili przybycia do Dun Carreg, jeden długi, a drugi krótki.

– Witaj, Cywen – odezwał się i uśmiechnął szeroko. – Dziękuję, że do nas przybyłaś.

Podał jej puchar z nalany z dzbana trunkiem, ale dziewczyna pokręciła głową.

– Czego ode mnie chcesz? – spytała.

Sumur zesztywniał.

– Tylko grzeczniej – mruknął Conall.

– Chciałem z tobą porozmawiać. – Nathair nie przestawał się uśmiechać.

– O twojej rodzinie i o tobie.

– Po co?

Conall westchnął.

– A nie mówiłem? – odezwał się Ewnis. – To nieokrzesana dziewczucha. Nie nadaje się, by rozmawiać z takim jak ty.

– Przeżyła ogromną tragedię. – Nathair machnął dłonią. – Nic dziwnego, że wciąż się nie pozbierała.

Słyszając jego słowa, Cywen poczuła nagły ból serca. Zapiękły ją łzy, aż zamrugowała ze złością, by je przegonić.

Wyjdiesz na idiotkę, zganiła sama siebie.

– Ile masz lat? – spytał Nathair.

– Przeżyłam osiemnaście dni mojego imienia.

– I jak rozumiem, masz brata. Dowiedziałem się, że ma na imię Corban.

– Tak – odparła Cywen, która nagle poczuła się niekomfortowo. – I co z tego?

– Widziałem go w wielkiej sali owej nocy, gdy padła forteca. – Twarz Nathaira stwardniała. – Zaintrygował mnie.

– Dlaczego?

– Ja zadaję pytania, a ty na nie odpowiadasz. Teraz ów stajenny, Gar. Słyszałem, że był blisko związany z twoją rodziną.

– Sporo ci już powiedziano – mruknęła Cywen, zerkając na Ewnisa.

– Odpowiedz na pytanie. Stoisz przed obliczem króla! – napomniął ją Ewnis. – Gar był blisko związany z twoją rodziną, tak?

– Tak. – Cywen spojrzała niechętnie na Ewnisa, co dodało jej odwagi.

– A nie było przy nim innych? – Sumur zrobił krok ku niej. – Ludzi takich jak on?

– Nie. Co ma znaczyć „takich jak on”?

Sumur nie odpowiedział. Wpatrywał się w nią do chwili, gdy odwróciła spojrzenie.

– Opowiedz mi o tym Garze. – Nathair zerknął na Sumura.

– A co tu mówić? – Cywen wzruszyła ramionami. – Był tu stajennym i tyle. Zawsze był członkiem mojej rodziny, traktowałam go jak kogoś bliskiego.

Nathair stukał palcami w brzeg pucharu, nie spuszczając z niej wzroku.

– Co jeszcze? Skąd pochodził?

– Chyba z Helvethu?

– Helveth leży niezły kawał drogi stąd. Co go tu sprowadziło?

– Nie wiem. – Cywen wzruszyła ramionami. – Nigdy nie mówił o swojej przeszłości. Chyba wydarzyło się u niego coś złego i Brenin udzielił mu Schronienia. On był dobrym królem, słynącym ze swej mądrości i dobrego serca.

Patrzyła na wszystkich z niechęcią, dobrze wiedząc, że każdy z nich przyczynił się do śmierci jej władcy. Na ustach Nathaira pojawił się uśmiech, co rozgniewało ją jeszcze bardziej. Czy on się z niej naigrywał?

– A dlaczego był tak mocno związany z twoją rodziną?

Znów wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Przyjaźnił się z moim ojcem.

Znów załamywała ją wspomnienia, a jej głos się załamał. Urwała. Nie spodobał jej się ten wniosek, ale wiedziała już, że pytania króla są czymś uzasadnione. Bez wątpienia skrywała jakiś zamysł, a dziewczyna uzmysłowiła sobie, że jeśli będzie grać wedle jego zasad, być może go odkryje.

– Twój brat miał ze sobą wilkunice – odezwał się Sumur z chropowatym akcentem. – Jak do tego doszło?

– Chodzi o Burzę? Corban ocalił ją od śmierci, gdy była szczeniakiem.

– Co takiego? – szepnął Nathair. Na jego czole pojawiła się bruzda.

– Burza. Tak brzmi jej imię – rzekła Cywen i przeniosła wzrok na Evnisa. – On może wam powiedzieć więcej. Był przy tym obecny.

– Podczas polowania natknęliśmy się na watahę wilkunów. Pozabijaliśmy je wszystkie, choć nie bez strat. – Ewnis urwał na moment. – Vonn, mój syn, niemalże wyzionął ducha.

– No i? – ponaglił go Sumur.

– Wataha broniła miotu szczeniaków. Pozabijałem je wszystkie z wyjątkiem jednego. Corban zabrał go, a gdy kazałem mu go oddać, powołał się na królewską sprawiedliwość. Brenin był wówczas nieobecny – przypuszczam, że uczestniczył w naradzie u twego ojca – a więc wyrok wydała Alona, jego żona. Pozwoliła chłopakowi zatrzymać zwierzę. Skrajna głupota.

– A właśnie, że nie! – warknęła Cywen. Zaciśnęła powieki i miała wrażenie, że niemalże widzi Burzę i czuje jej zapach. A przy niej dostrzega

Corbana.

– To bydlę prawie oderwało Rafe’owi ramię, a potem zabiło Helfacha – syknął Ewnis. – Trzeba było je skazać na śmierć i tyle!

W sercu Cywen zapłonął gniew.

– To ciebie trzeba było skazać! – warknęła na Ewnisa. – To ty jesteś zdrajcą, który wpuścił Owaina do fortecy! Gdyby nie ty, nie wydarzyłoby się nic złego. Wszyscy wciąż by tu byli: Corban, moja mama, Gar, a mój ojciec nadal by żył!

Gniew przerodził się w ślepą, szaloną wściekłość. Cywen chciała złapać za nóż, ale jej dłoń natrafiła na pustkę. Z głośnym jękiem przypomniała sobie, że została rozbrojona przy wejściu, ale nie powstrzymało jej to. Bez namysłu skoczyła na Ewnisa i zacisnęła palce na jego gardle.

Ten cofnął się, zaskoczony, ale Sumur i Conall okazali się szybsi. Każdy złapał za jedną rękę Cywen. Buddai warknął i kłapnął szczękami, nie wiedząc, kogo ugryźć pierwszego. Sumur chwycił za miecz.

– Spokojnie, dziewczę – syknął jej Conall do ucha. – Bo twój kundel zaraz przez ciebie zginie!

Cywen natychmiast przestała się opierać. Jej gniew umknął, wyparty troską o Buddaia.

– Siad! – rozkazała mu. – Siad, Buddai.

Pies zamarł, wpatrzony w nią.

– Puśćcie mnie – powiedziała. – Już będę spokojna. Życie Ewnisa nie jest warte życia Buddaia.

Conall wypuścił dziewczynę i skinął Sumurowi. Odziany na czarno wojownik trzymał ją jeszcze przez chwilę, po czym ją uwolnił.

– Nie mogę tu zostać – rzekła Cywen. – Rzygać mi się chce od smrodu tego człowieka.

Obrzuciła Ewnisa spojrzeniem pełnym obrzydzenia i odwróciła się ku drzwiom. Conall jednakże ani myślał ich otwierać.

– Pozwól jej odejść – rzekł Nathair – choć być może będę chciał się jeszcze z tobą zobaczyć, Cywen.

– Pod warunkiem, że jego tu nie będzie – powiedziała dziewczyna i wyszła.

Rozdział dwunasty

EVNIS

Evnis wpatrywał się z wściekłością w zatrzaśnięte drzwi, życząc Cywen śmierci.

Za kogo się ta smarkula uważa?

– Podoba mi się ta mała – powiedział Nathair. Wydawał się zadumany i rozkojarzony.

– Mnie też – rzekł Conall. – Choć próbowała mnie zabić.

– Naprawdę? – Nathair uniósł brew i skupił spojrzenie na wojowniku.

– Tak, podczas bitwy na Kamiennej Bramie. Rzuciła we mnie nożem, a kiedy nic jej to nie dało, zrzuciła mnie z muru. W ten sposób dorobiłem się tego. – Wskazał posiniaczony policzek. – Oczywiście pociągnąłem ją za sobą, bo odruchowo uznałem, że powinna zginąć razem ze mną.

– W takim razie podoba mi się jeszcze bardziej.

Evnis parsknął i doprowadził ubranie do ładu.

– Przydała się, panie?

– Tak, bardzo – odparł Nathair i wymienił spojrzenie z Sumurem, jakby coś uzgadniali wzrokiem. – Miej na nią oko – dodał, zwracając się ponownie do Evnisa. – Nie chcę, by zaginęła w poszukiwaniu rodziny. Mam wrażenie, że jeszcze nam się przyda. To, co mówiła, budzi pewne skojarzenia. – Upił łyk i skrzywił się. – Ohydny ten miód. Oddałbym wiele za dzban dobrego wina.

– Niestety, w Ardanie mamy więcej pszczoł niż winogron – odparł Evnis.

– Trudno. Wiadomo coś o Rhin?

– Dowiedziałem się, że obozuje nad brzegami rzeki Rhenus, na północnym skraju Ciemnego Boru.

– I co poczniesz teraz?

– Przypuszczam, że ruszy na południe, pokona puszcę i wędruje się do Ardanu, nim Owain zbierze armię na tyle silną, by ją tam zatrzymać. Kiedy zajmie Ardan, Owain nie zdąży już jej pokonać. To przynajmniej sam bym zalecał.

– Zgadza się. – Nathair upił jeszcze łyk miodu i zamyślony zmarszczył brwi. – Muszę się z nią spotkać. Tak, by Owain się o tym nie dowiedział.

– Nie będzie to łatwe – rzekł Ewnis.

– Wiem o tym, ale tak czy owak musi do tego dojść.

– Oczywiście – odparł mężczyzna. – Zrobię, co w mojej mocy, panie.

* * *

Było już późno, ale nie mógł zasnąć. Ba, nie chciał zasypiać. Sny były teraz ostatnią rzeczą, której pragnął, a wiedział, że na pewno nadejdą. Obrócił kubek z *usque* i wypił go powoli, rozkoszując się ciepłem oleistego napoju, który spływał przez jego przełyk. Ciepło rozlewało się po całym jego ciele.

Był zmęczony, wręcz wyczerpany próbami nadążania za wszystkimi intrygami, w które się zaangażował.

Dzięki protekcji Nathaira mógł się czuć na razie bezpieczny. Jeśli dopisze mu szczęście, Rhin niebawem dotrze i zetnie Owainowi głowę. Ale jak królowa Rhin zareaguje na ostatnie wydarzenia? Jak przyjmie jego uległość wobec Nathaira?

Niezbyt dobrze, podpowiedziało mu przecucie. Rhin słynie z zazdrości.

Co więcej, wydarzenia wokół Nathaira były naprawdę intrygujące i zagmatwane. Ewnis miał wrażenie, że dostrzega jedynie skrawek większej całości. Sądząc po spojrzeniach, jakimi wymienili się Nathair i jego przyboczny, młody król Tenebrału skrywał niejedno.

– Co łączy Gara z Sumurem? – szepnął.

Bez wątplenia wywodzili się z tego samego ludu – widział ich starcie i zwrócił uwagę na podobieństwa w ich stylu walki. Władali też podobną bronią.

Ale jak to możliwe?, pomyślał. Sumur pochodzi z Tarbeshu, które leży ponad tysiąc mil stąd. Jak doszło do tego, że Gar zjawił się tutaj? I, co ważniejsze, po co?

Gara jednakże już tu nie było. Uciekł z Edaną i Vonnem...

Evnisa zaskoczyła nagła fala emocji, która wywołała chwilową duszność. Zacisnął powieki, a po jego policzku spłynęła łza, niemalże natychmiast rozbudzając w nim gniew.

Głupcze, łzy ci w niczym nie pomogą! Rusz lepiej głową, bo bez tego już dawno nie byłoby cię wśród żywych.

Myślami powrócił do tuneli pod fortecą. Na pewno uciekli tamtędy. Ba, być może nadal tam przebywali. Postanowił, że poprowadzi ekspedycję w głąb podziemi, ale najpierw musiał zgromadzić wystarczająco dużo wojowników. Gdyby uciekinierzy nadal się tam ukrywali, mogłoby się zrobić niebezpiecznie.

Uśmiechnął się do siebie. Miał własnych zbrojnych, a co więcej dysponował księgą, odnalezioną głęboko w tunelach wykopanych przez Benothi, prastary klan olbrzymów, budowniczych Dun Carreg. Księgą pełną wiedzy i mocy. Dzięki niej zaczął poznawać sekrety mocy ziemi, magii, jak określiłby to ignorant.

Wystarczyło, by pomyślał o księdze, a natychmiast za nią zatęsknił. Ostatnio łapał się na tym coraz częściej, zupełnie jakby zawarta w niej wiedza była czymś na kształt niewidzialnego narkotyku, który przyciągał go do siebie niewidzialnymi nićmi.

Nim zdał sobie z tego sprawę, szedł już ku sekretnym drzwiom ukrytym w dębowej boazerii. Otworzył je z cichym szcęknięciem i wszedł do niewielkiej komnaty, w której miejsca starczało jedynie dla niewielkiego stołu i jednego krzesła. Tylko Fain i Vonn wiedzieli o jej istnieniu. Wskazał im ją, by mieli gdzie się ukryć na okoliczność ataku Owaina. Oboje parsknęli wówczas z niedowierzaniem, ale Evnis wiedział, że plan Rhin przyniesie kiedyś owoce.

Odpalił pochodnię, uniósł ją wysoko i krzyknął cicho.

Księga zniknęła.

Rozdział trzynasty

CAMLIN

Camlin zaklął w duchu.

Kucając za rozrośniętą, szeroką brzozą, patrzył między gałęziami głogu na szereg przybliżających się jeźdźców. Naliczył ich siedmiu.

– I co my teraz poczniemy? – szepnął Dath, który zerkał to na jeźdźców, to znów na cięciwę, na którą niezdarnie próbował nałożyć strzałę.

– Jeszcze nie wiem – mruknął Camlin.

Spojrzał na Gara, ale ten bynajmniej nie miał zamiaru pomóc mu w podjęciu decyzji. Jego twarz była pusta, pozbawiona jakichkolwiek emocji.

– Wszystko zależy od tego, po co wjeżdżają w te lasy – dodał, wpatrzony w jeźdźców, wojowników z ponurymi twarzami, w kolczugach i skórzanych pancerzach. – Nie wyglądają na takich, którzy przyjechali tu nazbierać kwiatów.

Szukają krwi, a nie kwiatów, pomyślał. Walczyć czy uciekać?

Charknął, splunął i rozejrzał się po otaczającym ich lesie. Przyczaili się na samym skraju, wśród młodych drzew. Nieopodal przechodził wąski trakt, który kilkanaście kroków dalej ginął w cieniu rzucanym przez większe, masywniejsze brzozy i kasztany. Gdyby jeźdźcy chcieli tędy przejechać, musieliby ustawić się jeden za drugim. Westchnął ciężko, podjąwszy w myślach decyzję.

– Corban i Gar, wy przyczajcie się tu. Ja i Dath schowamy się głębiej między drzewami, skąd spróbujemy nieco zmniejszyć ich przewagę liczebną. Nie róbcie niczego, póki nie ujrzycie naszych strzał. I nie pozwólcie, by ktokolwiek z nich uciekł na łąkę.

– A czemu my to w ogóle robimy? – wymamrotał Dath. – Może oni po

prostu tędy przejeżdżają...

– Nie sądzę – rzekł Camlin. – Ten trakt prowadzi tylko na plażę. Przypuszczam, że ktoś zauważył naszą łódź, a ci zostali wysłani na zwiad. Nie ma czasu wracać, by ostrzec resztę, a więc zrobmy wszystko, co w tej chwili zrobić można.

Raz jeszcze spojrzął na Gara, ale tym razem wojownik mu przytaknął.

Corban i Gar wślizgnęli się w półmrok między drzewami. Obok nich czaiła się wilkunica, niemalże idealnie zlewająca się z cieniami dzięki pręgom na sierści.

– Dath, za mną! – warknął Camlin i ruszył przed siebie, nie oglądając się, by sprawdzić, czy chłopak podąża za nim. Wyczuwał, że Dath wciąż nie może odnaleźć w sobie zdecydowania i odwagi, a z doświadczenia wiedział, że w tej sytuacji łagodne słowa niewiele pomogą.

Przemknęli w głąb lasu, tam, gdzie trakt chował się w niewysokim wąwozie.

– Oto dobre miejsce – rzekł Camlin.

Wyciągnął z kołczana garść strzał i powbił je w równej linii w miękką, czarną ziemię poszycia. Gestem nakazał Dathowi, by zrobił to samo. Wówczas zauważył, że dłonie chłopaka dygoczą. Złapał go za nadgarstek.

– Odetchnij głęboko, chłopcze. I nie zapomnij nabrać tchu przed każdym kolejnym strzałem. Mierz w centrum kolumny. Celuj w klatki piersiowe bądź w konie. Strzelaj, by zabić.

Dath pokiwał pośpiesznie głową. Oczy miał szeroko otwarte.

Camlin poczuł przypływ poczucia winy. Pamiętał chwilę, gdy jego brat padł, ścięty przez najeźdźców. Pamiętał paraliżujący strach, który go wówczas ogarnął, i następujący po nim wstyd.

– Pociesz się myślą, że za moment tamci znajdą się w nie lada bagnie, kiedy wypuścimy pierwsze strzały. Utkną na środku traktu, nie mając pojęcia, gdzie jesteśmy, a nim się zorientują, przyjdzie im się spotkać z wilkunicą twego przyjaciela.

Dath zaśmiał się cicho.

Tętent kopyt się przybliżał.

Co ja tu właściwie robię?

Ta myśl pojawiła się tak niespodziewanie, że Camlin miał wrażenie, jakby ktoś wyszeptał mu ją do ucha.

Talentu do opowiadania się po właściwej stronie konfliktu nie mam za grosz. Może trzeba jednak było pozostać z Braithem. Towarzyszyłem mu przecież przez kilka ładnych lat w Ciemnym Borze, a teraz, gdy Rhin jest potężniejsza niż kiedykolwiek wcześniej, jego znaczenie również wzrosło. Nie jest już panem trzech zagajników i polanki. Mógłbym w każdej chwili odwrócić się, zniknąć i ani razu nie obejrzeć się za siebie. Ludzie, z którymi się złączyłem, nawet by się nie zorientowali, a nawet gdyby, to co? Kim oni dla mnie są?

Zerknął na Datha.

Cóż, ten chłopak ma nadzieję, że pomogę mu jakoś to przetrwać.

Znów spojrzął na trakt i jeźdźców, którzy płynnie uformowali pojedynczy szereg. Gałęzie wznosiły się nad ich głowami, a trakt zamienił się w płataninę cieni i plam słońca. Były banita nałożył strzałę na cięciwę, ale nie napinał jej jeszcze. Kątem oka dostrzegł, że Dath naśladuje każdy jego ruch. Jeźdźcy byli już tak blisko, że widać było wyróżniające ich cechy. Ten, który podążał na czele, miał gęstą brodę; warkoczyk wojownika wystawał mu spod żelaznego hełmu. Trzymał pochyloną włócznię, a przytroczona do siodła tarcza podskakiwała w rytm końskich kroków.

Camlin napiął mięśnie i odciągnął cięciwę.

Odejdź!, szepnął głos w jego głowie.

Nie dziś, pomyślał Camlin i wypuścił strzałę.

Grot wbił się pierwszemu jeźdźcowi w gardło. Trysnęła krew. Wojownik złapał za drzewce, krztusząc się, ale chwilę później zwałił się z siodła. Obok ucha Camlina bzyknęła strzała Datha, która wbiła się w łopatkę srokiego ogiera. Ten stanął dęba i zrzucił jeźdźca.

Camlin złapał kolejną strzałę, napiął cięciwę i zwolnił ją. Grot ześliznął się po poderwanej pośpiesznie tarczy.

Nie było wątpliwości, że mają naprzeciwko doświadczonych wojowników. W ich oczach widać było lęk, ale w zachowaniu Camlin nie dostrzegał ani śladu paniki. Któryś z nich warknął rozkaz i dwóch innych spięło wierzchowce i próbowało przemknąć obok powalonego konia, który przygniótł nogę swego jeźdźca.

Camlin i Dath napięli łuki niemalże jednocześnie. Jedna strzała wbiła się w ramię któremuś z przeciwników, inna odbiła się od wzniesionej

tarczy. Chwilę później były banita zdołał trafić w koński bok. Zwierzę zarżało przeraźliwie, ale jeździec ściągnął ostro wodze i powstrzymał dzikie wierzgnięcie. Spoglądał ku nim, usiłując wypatrzeć ich pośród zarośli.

Trzech wojowników, którzy zamykali kolumnę, zawróciło konie i rzuciło się do ucieczki. Camlin zerknął w ich kierunku i ujrzał Corbana, który wyskoczył na trakt z mieczem w jednej ręce i tarczą w drugiej.

Co ty wyczyniasz, chłopcze? – pomyślał. Przecież oni cię stratuja!

Corban przybrał pozycję do walki, ale nagle pojawił się Gar, który wysforował przed niego, wznosząc długi, zakrzywiony miecz.

Zaszeleściły głośno liście, gdy spomiędzy drzew wypadł wielki ciemny kształt i zderzył się z pierwszym jeźdźcem.

Burza.

Wilkunica wpiła się kłami w koński kark i swoim ciężarem ściągnęła na ziemię zarówno rumaka, jak i jego jeźdźca. Camlin usłyszał trzask łamanych kości, a potem wrzask. Pozostali kłębili się na trakcie, nie będąc w stanie wyminąć szamoczącego się konia, pogrążonego w desperackiej walce z wilkunicą.

– W nogi! – W uchu Camlina rozległ się czyjś krzyk, a potem poczuł pchnięcie Datha. Ziemia zadudniła pod kopytami ruszającego do szarży jeźdźca. Pędził prosto na nich, a kopyta jego rumaka wbijały się już w zbocze wąwozu. Uciekający Dath potknął się o jakiś korzeń. W tej samej sekundzie pierś i łeb konia przebiły się przez zarośla, za którymi się kryli.

Wojownik zamrugał, by szybciej przystosować wzrok do półmroku, a potem warknął, gdy ujrzał Datha, rozciągniętego na ziemi. Uniósł miecz.

Camlin napiął strzałę i wypuścił ją prosto w mężczyznę, który znajdował się tak blisko, iż mógł go właściwie dotknąć. Grot trafił go prosto w twarz z taką siłą, że odrzucił jego głowę do tyłu, a Camlina obryzgała krew przemieszana z wybitymi zębami. Ranny przechylił się w tył, z jedną nogą nadal uwięzioną w strzemieniu, po czym jego ciało zwisło, gdy koń skoczył naprzód, wlekąc martwego po poszyciu.

– Nic ci nie jest? – Camlin spytał Datha.

Chłopak pokręcił głową, złapał towarzysza za rękę i podniósł się

z trudem.

– Pora to zakończyć – oznajmił Camlin. Przewiesił łuk przez plecy, dobył miecza i wyszedł spomiędzy drzew.

Zastał tam jednego śpieszonego wojownika, który usiłował pomóc towarzyszowi wydostać się spod końskiego ciała. Camlin ześlizgnął się po ścianie wąwozu, świadom, że Dath podąża za nim. Kątem oka dostrzegł, że Burza, uporawszy się z koniem, doskoczyła do jeźdźca i zacisnęła kły na jego gardle. Pozostali dwaj wojownicy zdołali jakoś ją wyminąć i rzucili się na Gara i Corbana.

Gar poruszał się tak szybko, że Camlin nie był w stanie nadążyć za nim wzrokiem. Klinga błysnęła w promieniach słońca. Cięty po nogach koń zarżał przeraźliwie i zarył piersią oraz łbem w ziemię.

Camlin był już na trakcie i nie spuszczał oczu z przeciwnika. Ten zaczynał godzić się z faktem, że nie zdoła uwolnić towarzysza spod ciężaru zabitego konia. Przygnięciony wojownik zresztą i tak nie byłby w stanie daleko uciec, gdyż jego noga była wykrzywiona pod nienaturalnym kątem.

Camlin dał znać Dathowi, by zaszedł wroga z prawej, a sam ruszył nań z lewej. W chwili, gdy mężczyzna ich dostrzegł, były banita rzucił się do zdecydowanego ataku. Ciął mocno i bez litości w głowę. Przeciwnik pośpiesznie odparł pierwsze dwa ciosy, cofając się, aż się potknął, a wówczas Camlin wraził miecz między jego szyję a ramię. Chrupnęła przerąbywana kość, buchnęła krew. Wojownik wyszarpnął ostrze, a jego ofiara osunęła się na ziemię.

Obrócił się dookoła i podszedł do człowieka uwięzionego pod koniem. Bez wahania przebił mu pierś mieczem. Gdy uniósł głowę, ujrzał Datha, który patrzył na niego szeroko otwartymi oczami.

– Uderzaj pierwszy – powiedział. – W przeciwnym razie być może w ogóle ci się to nie uda. Pierwsza lekcja życia w Ciemnym Borze.

Dath przełknął ślinę.

Gdzieś na trakcie zarżał jakiś koń.

Któryś z jeźdźców nadal trzymał się w siodle, a teraz zamierzał się mieczem na Corbana, który zrobił unik, próbując jednocześnie ściągnąć wroga na ziemię. Gar zbliżał się z przeciwnej strony. Burza otaczała konia, przyczajona przy ziemi, gotowa do skoku. Jeździec, który w pełni

zrozumiał już zagrożenie, z rozpaczą kopnął końskie boki, chcąc uciec. Corban uskoczył, gdy wierzchowiec runął naprzód i pognał traktem.

Camlin w biegu zerwał z pleców łuk. Przypadł do konia zabitego przez Burzę, oparł stopę na jego boku i naciągnął strzałę, aż jej pióra musnęły go w ucho. Przez chwilę celował w uciekającego jeźdźca, po czym wciągnął powietrze w płuca, przytrzymał je i zwolnił strzałę. Ta pomknęła wysoko, zatoczyła łuk i opadła. Jeździec wyprężył się i zwałił na plecy na miękką ziemię. Koń przebiegł jeszcze kilka kroków, aż zwolnił, zatrzymał się i zaczął skubać trawę.

– Wspaniały strzał – szepnął Dath.

– Celowałem w konia – burknął Camlin i uśmiechnął się z rezygnacją.

* * *

Za długo to wszystko trwało, pomyślał, gdy niemalże dotarli do ich zaimprovizowanego obozu.

Zawlekli ciała zabitych wojowników w zarośla, po czym Camlin kazał Dathowi zebrać tyle strzał, ile będzie w stanie.

– Musimy to zrobić? – spytał chłopak.

– Gdy kiedyś nauczysz się samemu wyrabiać strzały, nigdy już żadnej nie porzucisz, chyba że będziesz zmuszony. Poza tym czeka nas jeszcze długa droga. Co pocniemy, gdy nam ich zabraknie?

Dath pokiwał głową i zabrał się do pracy, a potem spędzili konie i związali je w sporej odległości od traktu. Zabrało im to najwięcej czasu, ale gdyby tego zaniechali, któreś ze zwierząt mogłoby dotrzeć do obozowiska, przyciągnąć uwagę i przypuszczalnie pchnąć obcych do pościgu. Szanse grupki uciekinierów rosły, gdy wierzchowce pozostawały ukryte. Bez Gara, który miał prawdziwy talent do koni, nigdy by się to nie udało.

Później ruszyli biegiem do obozu. Musieli jak najszybciej znaleźć się na łodzi i zyskać jak największą przewagę nad rozwścieczoną drużyną, która bez wątpienia za jakiś czas rzuci się za nimi w pogoń. To było tylko kwestią czasu.

Marrock wyszedł zza drzewa.

– Co się stało? – spytał z niepokojem, spoglądając na ich twarze.

– Wpadliśmy na... na... towarzystwo – wysapał Camlin. – Musimy uciekać!

– Ścigają was? – Marrock usiłował przeniknąć wzrokiem las.

– Ci akurat już nikogo nie będą ścigać, ale pojęcia nie mam, kiedy ktoś zacznie za nimi tęsknić.

Marrock uniósł brew, ale odwrócił się i odprowadził ich do obozu, gdzie zgromadziła się wokół nich reszta. Camlin pośpiesznie opowiedział o tym, co się wydarzyło, a Dath przerywał mu komentarzami, głównie wychwalając jego męstwo, talent łuczniczy i szermierczy oraz genialną strategię. Camlin obrzucił go w końcu gniewnym spojrzeniem.

– I co teraz? – spytała Brina, oparłszy dłonie na biodrach.

– Wracamy na łódź i wiejemy stąd. Najdalej i najszybciej jak się da – odparł Marrock i spojrzał na Haliona, który pokiwał głową.

– A co zrobimy, jeśli te łodzie dalej tam są? – spytała Edana suchym, ochrypłym głosem.

– Zajmijmy się jednym problemem na raz, moja pani – odparł Halion. – A nie ma wątpliwości, że nie możemy tu pozostać.

Brina cmoknęła z dezaprobatą, pochyliła się i szepnęła coś krukowi do ucha. Na widok Crafa Camlin nadal czuł się nieswojo. W czarnych, paciorkowatych oczach kruka kryło się zbyt wiele inteligencji jak na jego gust.

Craf zakrakał z protestem, ale rozłożył skrzydła i wzbił się w powietrze, by zniknąć między drzewami.

– To dobry zwiadowca – rzekła Brina. – A chyba nie zależy nam na kolejnych niespodziankach, nieprawdaż?

Grupa rozbiegła się, by pozbierać bagaże i napełnić bukłaki. Wtedy pojawili się Vonn i Farrell, którzy przybiegli z plaży.

– Obok naszej łodzi właśnie przybiła inna! – wyrzucił z siebie Vonn. – Pełna zbrojnych!

Rozdział czternasty

FIDELE

Fidele spoglądała z okna wieży. Kryte śniegiem szczyty odległych Agullas połyskiwały w letnim słońcu. Zielone, trawiaste równiny, które zaczynały się u ich stóp, ciągnęły się aż po brzegi jeziora. Na jego falach, wciąż zimnych od wiosennych roztopów, kołysały się niezliczone statki, a na ich pokładach uwijali się rybacy, kupcy, żeglarze i wielu innych ludzi.

Jej ludzi. Jej podwładnych.

Fidele poczuła gwałtowny przypływ miłości i dumy.

Kocham ich wszystkich. Kocham ten kraj, pomyślała.

Jej spojrzenie powędrowało na południe, ku rzece, która wycinała dla siebie drogę ku morzu. Czarne okręty Vin Thalun już dawno stąd odpłynęły, a jedyną pozostałością po ich obecności w Jerolin była opuszczona już stocznia, wzniesiona na brzegu jeziora. Lykos przekazał Fidele, że będzie kontynuował budowę okrętów na południu, niedaleko Ripy, ale póki co musi przerwać pracę. Ludzie byli mu bowiem potrzebni na pokładzie, a wybierał się do Ardanu, na spotkanie z Nathairem.

Znikaj stąd i nigdy już nie wracaj, pomyślała.

Dobrze wiedziała, co skłoniło Nathaira do podpisania traktatu z Vin Thalun i była pewna, że ich umiejętności przydadzą się podczas nadciągającej wojny, ale utrzymywanie pokoju między narodem piratów i własnymi poddanymi nie było łatwe. Wielu lat krwawych napaści nie da się zapomnieć w kilka księżyców.

Wyszła z komnat w towarzystwie swego przybocznego Orcusa. Szybkim krokiem przemierzała korytarze wielkiej wieży w Jerolin, schodząc coraz niżej, aż wreszcie odetchnęła świeżym powietrzem na dziedzińcu. Następnie skierowała się na północ, gdzie miasto było cichsze. Po chwili

dotarła do kurhanów.

– Brakuje mi Ciebie – szepnęła ledwie słyszalnym głosem.

Stała przed kurhanem swego męża, Aquilusa, króla Tenebralu, Najwyższego Króla Ziemi Wygnanych, zamordowanego we własnej komnacie przez króla zdrajcę.

Szkoda, że nie mamy już dla siebie czasu, dodała w myślach i dotknęła jednego z wielkich głazów kurhanu, porośniętego już mchem i żółto-czerwonymi porostami. Aquilus był człowiekiem tak rozumnym i skupionym, tak silnym. Zawsze wiedział, jaką decyzję należy podjąć, zawsze znajdował w sobie mądrość, by przewidzieć wszelkie konsekwencje.

Żałuję, że nie zdążyłeś się podzielić ze mną całą swą mądrością, pomyślała. Żałuję, że nie wtajemniczyłeś mnie w swoje plany.

Wiedza o Wojnie Bogów i nadciągających awatarach musiała być ogromnym ciężarem i wiele Aquilusa kosztowała, ale znosił swe brzemie bez słowa skargi. Niestety, nie uznał za stosowne, by podzielić się swymi tajemnicami z innymi, a więc teraz, po jego śmierci, przyszłość wydawała się Fidele niejasna. Obawiała się tego, co miało nadejść, bała się niebezpieczeństw, które mogły zagrażać jej synowi.

Jej biedny Nathair robił wszystko, co mógł, by zasłużyć sobie na szacunek ojca, ale teraz, gdy Aquilusa zabrakło, zastąpił go z godnością. Nie dość, że stanął na czele królestwa, to jeszcze szykował się, by ocalić Ziemię Wygnanych. Był gotów poświęcić za nie własne życie.

Ojcowie i synowie... Dlaczego to wszystko jest tak skomplikowane?, pomyślała Fidele i westchnęła.

– Nie zawiodę Cię – szepnęła. – Ani Ciebie, ani Nathaira.

Naraz usłyszała za sobą ciche kroki, które urwały się nagle. Nieznajomy przez moment zachowywał wymaganą szacunkiem ciszę, aż niecierpliwie poruszył nogą i zakaszłał.

– Tak? – Fidele się odwróciła. Wszelkie emocje znikły z jej twarzy.

Miała przed sobą Peritusa, wojewodę jej męża, niskiego, żylastego i niepozornego, ale śmiertelnie niebezpiecznego człowieka.

– Jest coś, co musisz zobaczyć, pani – powiedział z poważną, ponurą miną.

* * *

– Gdzie go znalazłeś? – spytała Fidele.

– Łowiłem ryby jakąś milę na północ stąd – odparł rybak. – Wyciągałem nasze kosze z krabami, a on był zaplątany w jeden z nich.

Stali na pokładzie łodzi rybackiej średniej wielkości w towarzystwie sześciu innych rybaków. Choć świeciło słońce, wiatr był chłodny. Dało się w nim wyczuć zimno górskich lodowców. Fidele otuliła się szczelnie płaszczem.

Wzdłuż jednej burty stały wielkie kosze, w których uwięziono liczne, kłapiące szczypcami kraby. Obok nich na deskach pokładu leżało posiniałe ciało, rozdęte i nadgniłe. Wodorosty, oplecione wokół kończyn, wlokły się po deskach niczym rozciągnięte palce.

– Kraby, rzecz jasna, to i owo sobie nadgryzły – dodał rybak.

Peritus pochylił się i odwrócił gnijące ciało. W istocie, tu i tam brakowało kawałków, ale Fidele rozpoznała twarz zdenerwowanego młodzieńca, którego przyprowadzono do jej komnat zaledwie dziesięć noc temu. Tego samego, który opowiedział jej o jamach Vin Thalun.

Miał na imię Jace. Jego gardło zostało fachowo poderżnięte.

Peritus splunął na pokład.

– A więc tak oto Lykos słucha twoich rozkazów.

Rozdział piętnasty

VERADIS

Armia maszerowała przez spowity mgłami las Forn, prowadzona przez ogromnego Alcyona. Veradis był otepiały i rozdrażniony, gdyż przez całą noc dręczyły go koszmary. W jednym z nich gnał konno przez niekończącą się łąkę z głową króla Mandrosa, nadzianą na trzymanej wysoko włóczni. Morderca, szeptała do niego bez końca głowa. Coś odbijało się od jego nogi. Gdy spojrział w dół, ujrzał głowę Kastella, przytroczoną do siodła. Zdrajca!, oskarżał go przyjaciel.

Potrząsnął głową i rozpedził koszmar. Chwilę później ujrzał Calidusa, który zmierzał ku niemu wzdłuż kolumny.

– Tu jesteś – powiedział siwowłosy starzec, zrównawszy się z nim. Od chwili, gdy wyłonił się z katakumb pod Haldis, emanował nową energią, a na jego obliczu zastygła determinacja. – Mamy niezłe tempo – dodał.

W istocie, odkąd opuścili Haldis cztery dni temu, armia szła z dużą prędkością.

Pierwszą rzeczą, którą Veradis usłyszał następnego dnia po bitwie, była wieść o tym, że król Helvethu Braster został zamordowany w swym namiocie przez niedobitków Gadrai, elitarnych wojowników z Isiltiru. Dla Veradisa nie miało to żadnego sensu – królestwa Isiltiru i Helvethu pozostawały przecie w dobrych układach – ale wojewoda Brastera Lothar był świadkiem zabójstwa i bezzwłocznie opowiedział o wszystkim Calidusowi. Ten, zaniepokojony rozwojem wypadków, nakazał pośpieszne zwinięcie obozowiska i natychmiastowy wymarsz z Haldis.

„Musimy przekazać wieści Jaelowi – powiedział wówczas. – Niech się nie waha i bez namysłu sięga po tron Isiltiru”.

– Rozmawiałem z Jaelem – zwrócił się teraz do Veradisa. – Żałuję, że

chłopak nie jest bardziej zdecydowany, ale jest naszym sojusznikiem i nie mamy nikogo innego, a potrzeba nam wsparcia Isiltiru.

Veradis zmarszczył brwi, wpatrując się w Calidusa. Nie miał pojęcia, dokąd zmierza ta rozmowa, ale budziła jego nieufność.

– Poddani Romara będą wstrząśnięci na wieść o jego śmierci. Pojawią się inni, którzy będą chcieli skorzystać z sytuacji i zagarnąć tron dla siebie. Jedną z tych osób może być porzucona żona Romara.

– A co z jego synem? – spytał Veradis.

– Chłopak ma dopiero dziesięć lat. Jael będzie rządził w jego imieniu, dopóki chłopiec nie osiągnie pełnoletniości.

– Chyba że jego matka będzie miała coś do powiedzenia w tej sprawie.

– Otóż to. Co więcej, ona właśnie sprawuje nad chłopcem opiekę, co daje jej przewagę. Zwłaszcza jeśli niedobitki z Gadrai dotrą do Isiltiru przed nami i opowiedzą jej o wszystkim, co tu się zdarzyło – stwierdził Calidus. – Jelowi przydałaby się jakaś karta przetargowa. Na przykład hufiec wojowników.

– Ma ludzi. – Veradis wskazał kolumnę, w której maszerowali również wojownicy z Isiltiru.

– Trochę. Kilka dziesiątków tu, kilka w Mikil, ale to za mało, by okazać się przekonującym w wypadku jakiegoś sporu. Potrzebujemy Isiltiru. Nathair potrzebuje tego królestwa. Byłoby dobrze, gdybyśmy mogli okazać mu jakieś wsparcie.

– Nie – rzekł Veradis. – Jestem pierwszym mieczem Nathaira i udaję się prosto do niego.

Calidus uniósł brew. Przez moment sprawiał wrażenie, jakby chciał nalegać, ale w końcu wzruszył ramionami i odparł:

– Jak sobie życzysz. Poza tym chyba nie jesteś najlepszym kandydatem do wykonania takiego zadania. Lykos i jego Vin Thalun natomiast... Cóż, oni podołają wyzwaniu bez trudu.

– Nim zdążysz przekazać wieści do Tenebralu, a Lykos dotrze do Isiltiru, może już być za późno.

– Tak, chyba że Lykos już opuścił Tenebral i płynie pod pełnymi żaglami, by spotkać się z nami w Ardanie – rzekł Calidus z lekkim uśmiechem, ledwie widocznym pośród brody.

– Jak to możliwe?

Calidus mrugnął do niego.

– Zapewne wydaję ci się pomarszczonym staruszkciem, ale pozory mogą mylić. A jeśli człowiek czegoś bardzo chce...

Na przedzie maszerującej armii powstało jakieś zamieszanie. Alcyon nakazał postój. Kolumna, falując, zatrzymywała się.

– Chodź ze mną! – zawołał Calidus i ruszył naprzód.

Okazało się, że powrócił jeden ze zwiadowców, który rozmawiał teraz z Alcyonem, wskazując drzewa.

– O co chodzi? – spytał Calidus.

– Natknęliśmy się na ślady w lesie! – rzekł zwiadowca. – Pozostałości niewielkiego obozowiska!

– Ilu ludzi? – Calidus zmarszczył brwi.

– Dwóch, może trzech. Ogień już wygasł, ale popiół dalej był ciepły.

– To Gadrai – rzekł Jael, który stanął za starcem i Veradisem.

– Być może – mruknął Calidus.

– Pokażcie mi to obozowisko – rozkał Veradis zwiadowcy.

* * *

Wystarczyło zejść ze ścieżki, by las otoczył ich zewsząd niczym złośliwa rana, mroczny i zdradliwy. Zwiadowca wiódł ich przez gęste zarośla i zwisające pnącza. Konary oplatały gęste pajęczyny. Jedna z nich owijała jakiś pomarszczony kształt, być może zwłoki nietoperza.

Ziemia stała się wilgotna i wkrótce musieli przemierzyć płytki strumień. Zwiadowca zatrzymał się po drugiej stronie i wskazał na niewysoką stertę popiołu wewnątrz kręgu ułożonego z kamieni. Veradis pochylił się i roztarł nieco popiołu między palcami. W istocie, zostało w nim nieco ciepła, równie ulotnego jak blask słońca w lesie.

Alcyon przyjrzał się ziemi, a Jael i kilku jego ludzi rozeszli się po okolicy. Po chwili olbrzym podniósł coś z ziemi i obwąchał dokładnie. Był to strzęp materiału.

– Krew – oznajmił. – Jeden z nich jest ranny.

– Którędy poszli? – spytał Jael. – Skoro mają w swym gronie rannego, możemy ich dogonić.

Zwiadowca wskazał kierunek. Jael ruszył przed siebie.

– Trzymajmy się blisko – rzucił. – To Gadrai, zabójcy olbrzymów. Znają ten las o wiele lepiej od nas.

Veradis miał wrażenie, że wykrył w głosie Jaela cień paniki. Wymienił się spojrzeniem z Alcyonem.

Idziemy za nim?, zapytał wzrokiem.

– Calidus będzie niezadowolony, jeśli wrócimy bez niego – oznajmił olbrzym.

Veradis wzruszył ramionami i podążył za Jaelem. Alcyon szedł tuż za nimi.

Przedzierali się przez las. Szli wolno, szukając śladów uciekających Gadrai, aż wkrótce zaczęli się rozchodzić po okolicy. Wszyscy z wyjątkiem Alcyona przypominali ciemne cienie pośród drzew. Wielki topór, przytroczony do pleców olbrzymia, przyciągnął wreszcie uwagę Veradisa. Ciemne ostrza wisiały nad łopatkami Alcyona niczym skrzydła.

– To naprawdę jeden z Siedmiu Skarbów? – spytał Veradis.

– Tak.

– Jak stary jest ten topór?

– Ma dwa, może trzy tysiące lat. – Alcyon wzruszył ramionami. – A nie stracił na ostrości.

– Wiem. Widziałem, jak nim walczysz w Haldis.

Przez twarz Alcyona przemknął cień. Czyżby pomyślał o dzieciach Hunen? A może o ich strażniczce, którą zabił Calidus?

– Nie wiedziałem – zaczął Veradis, ale urwał. – Niczego nie wiedziałem o dzieciach olbrzymów.

Alcyon spojrzał na niego.

– Miewamy dzieci. Sęk w tym, że nie tyle co wy, ludzie. Dlatego są dla nas bardzo cenne. – Przez jego oblicze znów przemknęły silne emocje, ale je zdusił. – A pod Haldis tyle ich zginęło – szepnął i pokręcił głową.

– Tak – potwierdził Veradis. – To trudne czasy.

– Walczymy na wojnie – rzekł Alcyon. – Na wojnie, która zaczęła się tysiące lat temu.

Veradis rozejrzał się. Pozostali – zaledwie cienie wśród drzew – znajdowali się daleko.

– Cieszę się, że towarzyszy nam jeden z Ben-Elim – powiedział cichym głosem. – Trudne sprawy wydają się dzięki temu nieco prostsze.

Zapadła cisza. Zarówno człowiek, jak i olbrzym skupili się na swych krokach w drodze przez las, ale Veradis nie mógł zapomnieć uczucia, które przemknęło przez twarz Alcyona, gdy rozmawiali o dzieciach olbrzymów. Potrafił już je nazwać. Był to skrajny żal.

Czas płynął i Veradis zaczął się zastanawiać, czy nie skrzyknąć reszty i nie zawrócić, gdy nagle wzrok jego padł na pnącza, obrastające ogromny pień drzewa. Jedna z gałązek była złamana.

Przystanął. Niewykluczone, że gałązka została złamana przez Alcyona, który przeszedł obok, a teraz zniknął już w półmroku. Młodzieniec wpatrywał się w gałązkę przez chwilę, a potem omiótł wzrokiem okolicę. Na korze pnia dostrzegł coś jeszcze. Czyżby rysę?

Wtedy coś skapnęło na jego ramię. Coś ciemnego.

Veradis dotknął tego palcem, a potem wsunął go do ust. Poderwał głowę i złapał za miecz. W ustach czuł smak krwi.

Z gałęzi nad jego głową spoglądała brudna twarz. Młody wojownik nabrał tchu, by zawołać Alcyona, ale wtedy ktoś wyszedł zza drzewa. W tej samej chwili również za nim rozległ się szelest kroków. Krzyk o pomoc uwiązł mu w gardle, gdy rozpoznał człowieka przed sobą.

Patrzył na Maquina.

Siwowłose wojownik uniósł rękę i dał znać towarzyszowi, który podchodził do Veradisa od tyłu. Ten zaś uświadomił sobie, że każdy z nich ryzykował teraz życiem. Wystarczyłby jeden okrzyk, a Alcyon, Jael i tuzin pozostałych opadłoby ich ze wszystkich stron. Mimo to powoli, ostrożnie opuścił broń, nadal patrząc Maquinowi w oczy.

– Cieszę się, że cię widzę – rzekł.

Ten skrzywił się i spojrzał na postać za plecami Veradisa. Pokręcił głową. Młodzieniec miał ochotę się odwrócić, ale powstrzymał pokusę. Nie spuszczał wzroku z Maquina.

– A Kastell? – spytał.

Przez twarz wojownika przemknął żal.

– Zabity przez Jaela.

Veradis zwiesił głowę.

– Czy to ty zamordowałeś Brastera?

– Nie. Mordercą jest Lothar – zadudnił głos za jego plecami. Maquin przytaknął.

Lothar?, pomyślał oszołomiony młodzieniec. Ale przecież on współpracuje z Calidusem...

– Veradisie, gdzie jesteś? – zadudnił z półmroku Alcyon.

Rozległ się tupot zbliżających się kroków. Veradis błyskawicznie podjął decyzję.

– Ścigają was – syknął. – Właźcie na drzewa. Odciągnę ich.

– Możemy mu zaufać? – spytał człowiek za jego plecami. Maquin skinął głową.

– Przykro mi z powodu Kastella – szepnął Veradis.

Maquin znów wszedł w zarośla, ale zatrzymał się jeszcze na moment.

– Przed bitwą ostrzegałeś nas. Powiedziałaś, byśmy uważali, po czyjej stronie stajemy.

– To prawda.

– Tobie radzę to samo – rzekł Maquin. – Dobrze sobie to przemyśl.

I znikł w lesie.

Rozdział szesnasty

EVNIS

Evnis stał jak oniemiały na progu swej tajnej komnaty.

Księga znikła.

Obrzucił pomieszczenie oszalałym spojrzeniem. Skrzynia, w której ją znalazł, nadal tam stała, leżał w niej też naszyjnik, pulsujący bladym, mdłym światłem, ale księgi nigdzie nie widział. Przestał się rozglądać i wbił wzrok w naszyjnik. Pojedynczy czarny kamień rozmiarów jego pięści opleciony srebrnymi zdobieniami przyciągał spojrzenie i nie puszczał. W sercu Evnisa pojawiło się to samo podejrzenie co zwykle. Czy to możliwe, że wszedł w posiadanie naszyjnika Nemain? Jednego z Siedmiu Skarbów? Starożytnego reliktu z czasów, gdy świat był jeszcze młody, jeśli choć połowa opowieści była prawdziwa?

Nabrał tchu, by się uspokoić i zastanowić. Gdy ostatni raz korzystał z księgi, nie odłożył jej do skrzyni, a zostawił na wieku. Był tego pewien, pamiętał wyraźnie chwilę, gdy ślęczał nad otwartymi stronami, wypowiadając na głos słowa mocy, a potem położył księgę na skrzyni. Miało to miejsce jakiś czas temu, w dniu upadku Dun Carreg.

Kto mógł za tym stać?

Vonn.

Ale po co miałyby brać tę księgę? Z ciekawości? By go zdenerwować? Przecież doszło między nimi do różnicy zdań w temacie córki tego rybaka, Bethan. Może chciał posłużyć się księgą w negocjacjach? Chciał oddać mu ją w zamian za zgodę na poślubienie dziewczyny? Evnisowi niemalże spodobał się ten pomysł. Ucieszyłby się z tego, że Vonn wreszcie dorósł, ujrzał świat takim, jakim był, i zdecydował się uczynić to, co należało, bez względu na aspekt moralny. W tej sytuacji machnąłby ręką, gdyby Vonn

zabrał cokolwiek innego. Ale on ukradł księgę! Jego przepustkę do świata mocy! Ewnis poczuł, jak w sercu kotłuje mu się gniew. Z trudem nabrał tchu. Musiał, bezwzględnie musiał ją odzyskać.

Tunele. Przypuszczał, że Vonn i jego towarzysze umknęli przez tajne tunele pod fortecą, które miał przeszukać jutro.

Niech szlag trafi jutro!, pomyślał, obrócił się na pięcie, złapał pas z mieczem i wypadł z pokoju w wieży. Zbiegając po schodach, skrzyknął część wojowników, a na dziedzińcu zawołał resztę. Pośpiesznie wpadł do piwnicy, gdzie znajdowało się zabite deskami wejście do tuneli. Dopiął miecz, rozkazał zdjęcie desek i odwrócił się, by zapalić pochodnię. Miał wokół siebie niespełna dwudziestu ludzi, w tym paru rozespanych, trących oczy.

Jest już późno, uświadomił sobie. Wstrząs wywołany zniknięciem księgi sprawił, że całkiem stracił poczucie czasu. Rozejrzał się w poszukiwaniu Conalla, ale przecież, zgodnie z rozkazem Nathaira, wysłał go, by pilnował Cywen.

Za innych drzwi dobiegł go cichy szloch, który przypomniał mu o jego więźniu. Zignorował go jednakże.

– Za mną! – oznajmił i poprowadził swych ludzi w ciemność.

* * *

Słońce już wschodziło, gdy wreszcie wyszedł z tunelu w podziemiach pod swoją wieżą. Przez szczeliny w podłodze nad ich głowami przenikało blade światło. Był brudny, znużony i w ponurym nastroju.

Vonn znikł, a wraz z nim księga. Nie było co do tego wątpliwości.

Szukali go długo i z mozołem, w każdej chwili gotowi na atak ze strony popleczników Edany czy zmijów. Bezgłowy zewłok potwora, który wyklął się, gdy Ewnis odnalazł księgę, nadal się tam znajdował. Ciało zdążyło już zeschnąć, ale szkielet wciąż oplatały strzępy podartej skóry. Nawet na niego nie spojrział, choć jego ludzie długo szeptali między sobą, zaskoczeni niecodziennym znaleziskiem.

W końcu dotarli do najniższych jaskiń, gdzie natrafili na kanał, w którym burzyła się woda morska. Ewnis jako jedyny wiedział, że znajduje się tu zamaskowane magią wejście na plażę. Leżało tam

cielsko innego zmija, o wiele większego od tego znalezionego w tunelach. Zabito go niedawno, gdyż dopiero wszedł w pierwszą fazę rozkładu – spuchł i nabrzmiął na całej długości, a wokół zwiniętego ciała gromadziły się kałuże krwi i innych wydzielin. Jego czaszkę zmiażdżyło potężne uderzenie, tu i ówdzie widać było inne rany. Gdyby Ewnis miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, że przechodziła tędy drużyna Edany, chwilę później by się rozwiały, gdyż odnaleźli trupa wojownika z rozszarpaną klatką piersiową. Ewnis miał pewność, iż był to jeden z ludzi Pendathrana.

A więc zdołali uciec i przypuszczalnie znajdowali się już wiele mil za Dun Carreg. Co więcej, był wśród nich jego syn, który ukradł mu księgę.

Warknął głucho, machnięciem ręki odprawił snujących się za nim wojowników i poczłapał znużony do swej komnaty w wieży. Czekala tam na niego wiadomość od Nathaira, w której przypominał mu, że chce się spotkać z Rhin.

I jak ja mam tego dokonać? Rhin jest w Ciemnym Borze, Nathair tutaj, a Owain i jego hufce między nami!

Sięgnął po napełniony do połowy dzban *usque*, pociągnął tęgi łyk i opadł na krzesło. Zadanie było niemalże niemożliwe do wykonania, ale musiał istnieć jakiś sposób.

Myśl!

Miał wrażenie, że powoli rysuje mu się w głowie wstępny plan, ale umysł działał mu powoli i nie był już w stanie się na niczym skupić.

Muszę się przespać.

Wtedy poczuł ukłucie przerażenia. Przecież z chwilą, gdy zasypiał, pojawiały się sny! Zachichotał ponuro i pociągnął kolejny łyk *usque*. A czego się właściwie spodziewał, sprzedając duszę Asrothowi, Panu Upadłych?

* * *

Rozległo się pukanie do drzwi. Ewnis rozejrzał się po komnacie, by sprawdzić, czy wszystko jest gotowe. Nad ogniem wisiał kocioł z kipiącą wodą, a na stole stał kielich z czarnym płynem. Sięgnął po płaszcz i sprawdził, czy list nadal znajduje się w kieszeni, po czym otworzył drzwi.

Na progu stał Nathair, a za nim jego mroczny cień, Sumur.

– Proszę do środka, mój panie – rzekł Ewnis, wpuszczając Nathaira, ale uniósł rękę, by zatrzymać Sumura. – Tylko Nathair może wejść.

– To nie do przyjęcia! – oznajmił Jehar.

– Nie przejmuj się, Sumurze – odparł król Tenebralu. – Jestem pewien, że Ewnis ma ku temu sensowny powód. Nie martwię się o swe bezpieczeństwo, bo dzielą nas tylko drzwi.

Sumur zajrzał do komnaty i zastanowił się, ale w końcu kiwnął głową.

– Dopóki te drzwi są zamknięte, dopóty jesteś odpowiedzialny za życie mego pana – powiedział do Ewnisa.

– Oczywiście – odparł mężczyzna i zamknął drzwi.

Nathair rozejrzał się po pomieszczeniu i przyjrzał się kociołkowi. Potem odpiął futro z soboli i rzucił je na stół.

– Twoja wiadomość była dość tajemnicza – oznajmił. – Niemniej obudziła moją ciekawość...

– Dziękuję ci za przybycie, panie. Poczyniłem przygotowania, byś mógł odbyć rozmowę z królową Rhin.

Nathair uniósł brew.

Ewnis usiłował utrzymać spokój na twarzy i ukryć trawiący go niepokój.

Podłazsz temu!, powtarzał sobie w myślach.

W istocie, widział przecież opis rytuału w księdze i był przekonany, że zapamiętał całą treść, łącznie z inkantacją słowo po słowie. Obliznął spierzchnięte wargi, podszedł do kotła i podniósł stojący przy stole kielich.

– *Fuil glacad anios ag namhaid tor oscail an bealach* – wypowiedział, napełniając te słowa jak największą ilością mocy, po czym wylał zawartość kielicha do kotła. Była to krew utoczona wrogowi, niezbędny składnik, by otworzyć komunikację. Jego więzień, wciąż zakuty w kajdany w celi pod jego stopami, bynajmniej nie był skory, by podzielić się swą krwią. Szarpał się i próbował walczyć, ale jego wrzaski przyniosły Ewnisowi nieco ulgi, jakże rzadkiej podczas tych stresujących dni. Mógł sobie wrzeszczeć, ile chciał. W tej celi nikt nie był w stanie usłyszeć jego protestów. Ewnis nie postawił nawet strażnika przed drzwiami, gdyż nie miało to większego sensu. Więzień nie mógł uciec, a nawet, gdyby mu się to udało, nie miałyby dokąd się udać.

Evnis sięgnął do kieszeni i wyjął zmięty kawałek pergaminu. Był to list od Rhin, przekazany mu przez banitę Braitha, wypisany zamaszystym pismem królowej. Bez wahania dobył noża, naciął sobie dłoń i ujął list, by nasączyć go swą krwią. Potem wrzucił go do kotła.

– *Croi ar an comchor tor stiur an ruthag!*

W wodzie pojawiły się różowe bąbelki, z sykiem buchnęła para. Jej kłęby rozeszły się na boki, grube i połyskliwe, przywodzące na myśl sploty śluzu. Mieniły się i kłębiły, aż przybrały kształt głowy Rhin. Królowa była srebrnowłosa i miała bladą, poznaczoną głębokimi zmarszczkami twarz.

– Co tu się dzieje? – zapytała. Jej uformowana z pary podobizna obróciła się, a głos wydawał się stłumiony, jakby dochodził z daleka. Po chwili skupiła spojrzenie na Ewnisie. – O, to ty. Widzę, że znalazłeś księgę...

– Moja pani, jest tu ktoś, kto chciałby z tobą porozmawiać – przerwał jej Ewnis.

– Nie mam wątpliwości. – Rhin uśmiechnęła się lekko. – W przeciwnym razie nie zawracałbyś mi głowy. A któż to taki, mogę wiedzieć?

– Pozwól, że przedstawię cię Nathairowi, królowi Tenebralu.

Rhin splotła obie dłonie.

– Doskonale! Nie trzeba nas sobie przedstawiać, bo już się spotkaliśmy. Czarujący młodzieniec. Podejdźże bliżej, Nathairze. Przypuszczam, że mamy wiele spraw do omówienia.

Rozdział siedemnasty

CORBAN

Corban słuchał Vonna i Farrella, którzy zdyszani opowiadali o łodzi przy brzegu.

– Szukają nas! – rzekł Vonn. – Tuzin ludzi, a wszyscy uzbrojeni po zęby!

– A co z moją łodzią? – spytał Mordwyr.

– Widzieliśmy, jak się na nią wspinają – rzekł Farrell. – Nie czekaliśmy, by sprawdzić, co zrobią. Uznaliśmy, że najpierw musicie się o wszystkim dowiedzieć.

– I słusznie – rzekł Marrock.

– Musimy ukryć Edanę – oznajmił Halion.

– Zgadza się. Camlin, chodź ze mną. Reszta niech się skryje wśród drzew. Zaraz do was dołączymy.

Usłyszawszy polecenie, Corban rzucił się biegiem ku drzewom, choć w piasku i żwirze nie było to łatwe. Halion zebrał ich w miejscu, z którego nadal było widać plażę. Marrock i Camlin, rozmazani niczym ciemne cienie, skradali się wśród chudych traw.

– I co teraz poczniemy? – szepnął Dath, ale Corban jedynie pokręcił głową. Jego serce wciąż biło szybko po starciu z jeźdźcami na trakcie. Dath był błady jak ściana.

– Musimy wrócić na moją łódź. – Mordwyr zwrócił się do Haliona, który skinął głową. Ani na moment nie opuścił Edany.

– Zgoda, zgoda – warknęła Brina. – Pytanie brzmi tylko, jak to zrobić!

– Wracają! – odezwał się Gar.

Marrock i Camlin biegli po plaży. Halion wyszedł im naprzeciw, by poprowadzić ich ku reszcie grupy.

– Przynajmniej piętnastu zbrojnych – wydyszał Marrock. – Spalili naszą

łódź.

W tej samej chwili znad wydmy uniósł się słup gęstego dymu.

– Nie! – krzyknął Mordwyr i rzucił się biegiem ku plaży.

Vonn złapał go za ramię i zatrzymał.

– No i co my zrobimy? – spytał Dath.

Marrock spojrział na Edanę.

– Zajmiemy ich łódź – rzekł Halion.

* * *

Corban poprawił nieco tarczę na ramieniu i mocniej ujął miecz, usiłując uspokoić zamęt w głowie. Wyjrzał zza szczytu wydmy i odnalazł wzrokiem łódź, która była już tylko wypalonym szkieletem. Ostatnie płomienie wciąż lizały poczerńnięte żebra, a po plaży niósł się gęsty dym, porwany przez silny wiatr znad morza. Mordwyr wydał z siebie zduszony okrzyk, ale został on zagłuszony przez huk fali przyboju.

Grupa wojowników znajdowała się nieco dalej, wokół wyciągniętej do połowy na brzeg łodzi rybackiej o płytkim dnie. Kilka osób uwijało się też na pokładzie, przynajmniej dwie, z tego, co Corban zdołał ujrzeć.

Marrock ześlizgnął się po wydmy i dołączył do reszty. Wszyscy zgromadzili się blisko niego.

– Jakież pomysły? – spytał, wpatrując się w Camlina.

– Podkraść się do nich nie zdołamy, a wiatr jest zbyt silny, by posłać stąd celną strzałę – odparł były banita. – Jedyнным rozwiązaniem jest szybkie natarcie. Powinniśmy dopaść ich najszybciej jak możemy, zanim zepchną łódź na wodę. I proponuję obyć się bez dzikich wrzasków. Nie ma sensu, by nas od razu zauważyli.

Po czym bez słowa zeskoczył w dół wydmy i pognał ku obcym wojownikom, a Marrock za nim. Corban nabrał tchu, próbując opanować narastający strach, i skoczył jako trzeci.

Obcy wojownicy zauważyli ich niemal natychmiast i ostrzegli się nawzajem okrzykami. Było ich tyle samo co atakujących, ale wszyscy wyglądali na zaprawionych weteranów. Mimo to, gdy patrzyli na Corbana i jego towarzyszy, biegnących w ich kierunku, na ich twarzach pojawiła się niepewność oraz wahanie. Chłopak spojrział na rozpędzającą się

Burzę, z której kłów ściekała ślina, i miał ochotę parsknąć śmiechem. Doprawdy, wyrosnięta, rozpedzona wilkunica mogłaby odebrać pewność siebie każdemu.

Halion wydał z siebie przeraźliwy okrzyk bojowy, któremu odpowiedział dziki ryk Farrella, po czym obie drużyny z trzaskiem zwarły się w starciu.

Corban odrzucił tarczą ostrze czyjejs włóczni i uderzył ciężarem ciała w obcego wojownika. Obaj wylądowali na ziemi i przetoczyli się, aż przeciwnik znalazł się na górze i złapał Corbana za gardło. Chłopak miotał się, a w jego sercu naraz przebudziła się panika, gdy uświadomił sobie, że nie może nabrać tchu. Nagle jednak rozległo się głucho warknięcie, a potem odgłos rozdzierania i nagły chrupot. Dłonie, które zaciskały się na gardle Corbana, znikły. Chłopak zerwał się i ujrzał Burzę, która nadal targała martwym wojownikiem za gardło.

Porwał za miecz i się rozejrzał. Gar właśnie wyciągał ostrze z piersi przeciwnika. Farrell, stojący po kolana w falach, opuszczał młot na woja, który poślizgnął się i upadł na jedno kolano. Bryzgnęła krew zmieszana z masą mózgową i szczątkami czaszki. Halion sparował cios wymierzony w jego głowę, wyslizgnął się, ciął przeciwnika po żebrach i kopnięciem posłał w fale. Edana trzymała się tuż za nim, ściskając oburącz miecz i wpatrując się w człowieka, którego Halion właśnie zabił. Kilka kroków dalej Vonn zwarł się w zacieklej walce z innym przeciwnikiem, którego biegnący Marrock ciął po ścięgnach. Corban uświadomił sobie, że były łowczy królewski zmierza w kierunku łodzi, która oddala się, desperacko spychana przez dwóch ludzi na fale. Moment później jeden z nich wrzasnął przeraźliwie i runął do spienionej wody ze strzałą między łopatkami, ale drugi dalej napierał. Kolejna strzała odbiła się od burty i naraz łódź zakołysała się na falach. Ludzie na pokładzie złapali śmiałka za rękę, by wciągnąć go na deski.

Niespodziewanie ktoś złapał mężczyznę od tyłu i wbił mu miecz pod żebra, a potem chwycił go za nogę, gdy łódź nabrała tempa.

Mordwyr.

Załoga porwała za włócznie. Jeden z wojowników pchnął rybaka między ramię i szyję. Ten wydał z siebie zduszony jęk i runął do wody.

Za Corbanem ktoś wrzasnął. Był to Dath, który rzucił łuk i wbiegł

między fale. Potknął się, przewrócił, padł, ale znów się zerwał, dopadł do ojca i zaczął wlec go ku plaży.

Na brzegu walka dobiegła końca, ale uciekinierzy ponieśli porażkę. Łódź, której tak bardzo potrzebowali, odpływała. Była już zbyt daleko, by udało się ją dopaść.

Niespodziewanie coś wbiło się w kolumnę masztu. Płonąca strzała.

Nim Corban zarejestrował, co się właściwie dzieje, płomienie ogarnęły już żagle i skoczyły ku górze, pochłaniając coraz większe partie płótna. Po chwili w maszt wbiła się kolejna strzała, a uderzenie serca później trzecia spadła na pokład. Żeglarze krzyczeli, biegali, chlustali wiadrami wody. Corban spojrzął za siebie i ujrzał człowieka, stojącego po kolana w falach obok wypalonej łodzi Mordwyr. Był to Camlin, który obwiązywał swe strzały kawałkami sukna, podpalał je od płomieni, wciąż migoczących wśród resztek wraku, i bez wahania posyłał je prosto na uciekającą łódź.

Dołączył do niego Marrock i wkrótce na łodzi płonęło już dwanaście strzał. Płomienie stawały się coraz gwałtowniejsze, a buchały znad nich gęste, ciemne kłęby dymu. Przy burcie pojawiło się dwóch ludzi. Jeden wpadł z powrotem w dym, trafiony ognistą strzałą, a drugi wskoczył do wody i popłynął w kierunku brzegu.

Corban, rozbryzgując wodę, ruszył w stronę Datha, który uginał się pod ciężarem ojca. Coś mówił, ale huk fal zagłuszył jego słowa. Corban wsunął ramię pod pachę Mordwyr. Gwenith skoczyła im na pomoc i razem wyciągnęli dzielnego rybaka na brzeg. Jego krew barwiła wodę na różowo.

Dath przypadł do ojca, wołał do niego i potrząsał nim. Łzy płynęły mu po policzkach, z nosa zwisały smarki. Wystarczyło jedno spojrzenie, by Corban wszystko zrozumiał. Mordwyr odszedł. W jego oczach widniała pustka, a mięśnie twarzy rozluźniły się, jakby były z miękkiego wosku. Chłopak położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

Już po wszystkim, a ja nadal żyję, pomyślał.

W sercu czuł ulgę, powoli wypierającą strach i desperację, które całkiem go pochłonęły podczas krótkiego starcia. Rozejrzył się w poszukiwaniu matki – stała nieopodal z zakrwawioną włócznią. Płakała.

Wszędzie dookoła leżały ciała, wokół których gromadziła się krew. Morska piana stała się różowa. Tyle śmierci... Czy to się kiedyś skończy?

Corban poczuł nagle nudności. Z trudem utrzymywał zawartość żołądka.

Vonn, Farrell i Anwarth weszli do morza. Z wzniesioną bronią zbliżali się do mężczyzny, który wyskoczył z płonącej łodzi.

– Zaczekajcie! – krzyknął Marrock, który biegł za nimi, rozbryzgując wodę.

Anwarth usłyszał jego wołanie i opuścił broń, Farrell i Vonn również, choć mniej chętnie. Złapali uciekiniera i wywlekli go na brzeg, po czym rzucili na piasek blisko miejsca, w którym stał Corban z Dathem.

– Ujrzeliśmy flotyllę łodzi na morzu, a za lasami obozuje zbrojny hufiec. Co tu się dzieje? – spytał Marrock, ale wojownik skrzywił się lekko, patrząc na mężczyznę wyzywająco. Po chwili przeniósł jednak spojrzenie na Burzę, która stała w falach obok Corbana.

Niespodziewanie pojawił się Camlin, który złapał jeńca za włosy.

– Nie mamy na to czasu! – warknął i ciął uciekiniera w nogę.

Ten wrzasnął i próbował się wyrwać, ale Camlin nie puszczał i przytknął ostrze noża do jego gardła. Jeniec znieruchomiał. Zapadła cisza, przerywana jedynie jego ciężkim oddechem.

– Odpowiedz na pytanie.

– Królowa Rhin zaatakowała Narvon. Płyniemy na Ardan.

– Ilu was tu jest?

– Około tysiąca. Większość wypłynęła.

– Dlaczego nie wszyscy?

– Zabrakło łodzi. Czekamy na te, które wyruszyły wczoraj, aż wyładują ludzi i wrócą po nas.

– Ilu was tu zostało?

Jeniec wzruszył ramionami.

– Dwustu, może trzystu.

Marrock pokiwał głową z ponurą miną.

– A kto wam dowodzi?

– Morcant.

Corban zeszywniał. Dobrze znał to imię. Morcant był pierwszym mieczem Rhin, człowiekiem, który przegrał pojedynek z Tullem w wigilię Dnia Zimowego Przesilenia w Badun. To on kierował zasadzką, w której zginęła królowa Alona. To on zabił jego przyjaciela, Ronana.

– Przebywa we wsi? – spytała Edana.

Ona również wiedziała, kim jest Morcant. Wszyscy to wiedzieli.

– Nie, odpłynął wczoraj.

Marrock spojrzał na morze.

– A czemu chcieliście nas dopaść?

– Uznaliśmy was za szpiegów Owaina. Nie możemy pozwolić, by się czegokolwiek o nas dowiedział – odparł jeniec i wzruszył ramionami. Ostrze noża Camlina przebiło jego skórę.

Marrock westchnął i potarł dłonią twarz.

– Powiedziałem wam wszystko, co wiem! – Mężczyzna uderzył w błagalny ton. – Proszę, puśćcie mnie! Nic o was nie zdradzę! Powiem, że zostałem uderzony podczas bitwy i straciłem przytomność. Powiem to, co zechcecie.

– Jak masz na imię? – Marrock patrzył na niego spod zmrużonych brwi.

– Haf – odparł tamten. W jego oczach migotało błaganie.

Marrock otworzył usta, ale nim cokolwiek powiedział, Camlin poderżnął jeńcowi gardło. Buchnęła czarna krew. Wojownik zachłysnął się i opadł powoli na mokry piasek. Krew wsiąknęła w ziemię.

– Nie mogliśmy pozostawić go przy życiu – odezwał się Camlin, ze spokojem znosząc spojrzenie Marrocka. Wytarł broń o piasek i dodał: – Widział nas. Wie, ilu nas jest i na co nas stać. Widział wilkunicę, a to nasza tajna broń, która już nie raz ocaliła nam życie.

Błady Marrock trząsł się z gniewu.

– Bez względu na to, czy masz rację czy nie, to nie ty podejmujesz takie decyzje! – powiedział. – Nie jesteśmy bandą podrzynaczy gardeł! Następnym razem będziesz czekał na rozkaz! Jasne?

Camlin wytrzymał jego spojrzenie i skinął.

– Jasne, szefie.

– I co teraz? – Anwarth wypowiedział na głos pytanie, które dręczyło również Corbana. – Nie ma łodzi i nie ma jak uciec.

– A więc do wyboru pozostają dwie opcje – rzekł Halion. – Możemy albo jakąś ukraść, albo przedrzeć się lądem do Domhainu.

Omówili szczegółowo oba rozwiązania – Marrock był za tym, by ukraść łódź ze wsi, podczas gdy Halion zalecał wędrowkę lądem.

– Wygląda na to, że ucieczka do Domhainu wcale nie jest najbezpieczniejszym rozwiązaniem – rzekł Marrock.

Nikt nie ma pojęcia, co począć, pomyślał Corban. Wszyscy jesteśmy wyczerpani i przerażeni...

– Przestańcie już tyle gadać! – Głos Camlina przeciął ciszę. – Myślę, że idąc lądem, mamy większe szanse na przeżycie. Nie wiem, czy uda nam się dotrzeć do Domhainu, ale na pewno dłużej pożyjemy.

– Ale będziemy szli powoli! – rzekł Marrock. – Zbyt wolno! Może uda nam się odzyskać konie, które stoją skrepowane w lesie, ale nie starczy ich dla wszystkich, a pościg na pewno ruszy konno. Przed zachodem słońca będzie po nas!

– Cóż, nie będę się kłócił, ale oddaj mi kilku ludzi, a zdobędę dla was konie. Przy rzece stoją zagrody, a moim skromnym zdaniem konia jest łatwiej ukraść niż łódź.

Rozmawiali jeszcze chwilę, gdy nieoczekiwanie przerwał im Heb.

– Gadaniną można wiele załatwić, ale w tej sytuacji tylko ściągniemy na siebie śmierć – rzekł. – Tylko patrzeć, jak wyślą ludzi na poszukiwanie zaginionych patroli.

– Heb ma rację – powiedziała Edana.

– Choć raz – mruknęła Brina.

Rozdział osiemnasty

CYWEN

Cywen na czworakach zbierała jaja w ogrodzie. Buddai, który uznał to za zaproszenie do zabawy, co rusz trącał ją łapą, aż nieobecna, zamyślona dziewczyna po prostu go odgoniła.

Dni mijały jej jak we mgle. Od spotkania z Nathairem upłynęły już dwie noce. Próbowwała wypełnić sobie czas rutynowymi obowiązkami, takimi jak sprzątanie domu, zajmowanie się ogrodem czy praca w stajni. Martwiła się o Tarczę, ogiera Corbana. Był wspaniałym zwierzęciem i na pewno niejeden z ludzi Owaina miał już na niego chrapkę. Byłaby wielka szkoda, gdyby któryś z nich zabrał go z Dun Carreg. Cywen postanowiła, że będzie go strzegła i pilnowała do powrotu Corbana. Z niejasnych względów było to dla niej ważne.

Ani na moment nie przestawała myśleć o pytaniach, które zadał jej Nathair. Król Tenebralu chciał dowiedzieć się jak najwięcej na temat Gara i Bana. Nie było wątpliwości, że Nathair i Sumur byli w jakiś sposób związani z jej rodziną. Wiedziała już, że Sumur znał skądś Gara, choć wydawało się to niemalże niemożliwe.

W tle tych rozważań tkwiła jednak myśl – ba, nadzieja! – że Corban, Gar i jej mama kryją się w tunelach pod Dun Carreg. Trzymała się tej wizji z całej mocy. Tylko dzięki niej znajdowała w sobie siłę, by wstać z łóżka każdego kolejnego dnia, oraz energię do działania. Marzyła tylko o tym, by złapać za pochodnię i wyruszyć na poszukiwania, ale następnego dnia rano po wizycie u Nathaira dostrzegła człowieka, który niczym cień podążał za nią w drodze do stajni.

Conall.

Wiedziała też, że w nocy ktoś stał w cieniu rzucanym przez sąsiednie

domostwo i obserwował jej dom. Przez całą noc! Śledzono ją na każdym kroku, a przecież nie mogła zaprowadzić wrogów do tuneli, w których być może kryła się Edana.

Nie mogła jednak czekać całą wieczność. Potrzeba poznania prawdy stała się dla niej niemalże fizycznym doznaniem, aż nagle uświadomiła sobie, że ma już dosyć. W jej głowie zaczął powstawać plan.

Zaniosła jajka do środka. Światło dnia gasło i nadchodził zmrok. Pośpiesznie zebrała wszystko, co potrzebne – wiązkę pochodni, hubkę i krzesiwo, które wpakowała do sakwy, a potem zapięła pas z nożami. Wręczyła Buddaiowi grubą kość ze szpikiem, którą wytargowała tego dnia u rzeźnika. Chwilę później, gdy cienie pochłonał już mrok nocy, wyslizgnęła się do ogrodu i zwinnie wspięła na mur porośnięty różami, a potem niemalże niezauważalnie przemknęła przez podwórko sąsiada, skąd wymknęła się na ulicę.

* * *

Stała i wpatrywała się w plażę. Coś było nie tak. Coś było inaczej niż dotąd.

Dostała się do tuneli przez ukryte wejście w fortecy, po czym powoli zeszła na sam dół, a teraz stała w jaskini, z której roztaczał się widok na plażę i zatokę. Nadal trwała noc, a do świtu pozostało jeszcze sporo czasu, choć przeszukiwanie tuneli zabrało jej kilka godzin. Dopiero przy samym końcu natknęła się na dowód, że uciekinierzy w ogóle się tam zapuścili – znalazła martwego żmija i zabitego przezeń wojownika, którzy leżeli przy wyjściu.

Ale jej rodziny już tam nie było. Cywen czuła się wyczerpana i pokonana. Odeszli.

Co się z nimi stało? Czy umknęli do Havan, a potem do bagien na zachodzie, gdzie ponoć gromadziły się niedobitki Ardańczyków?

Księżyc w pełni opromieniał plażę i zatokę srebrnym blaskiem. Migotał na szczytach fal oraz mokrych kamykach plaży. Jedynym zauważalnym kształtem na wodzie był okręt Nathaira, który unosił się i opadał na falach. Wydawał się wielki w porównaniu do rybackich łodzi, które ciągnęły się rzędem wzdłuż plaży. Żadna nie wypływała na połów, gdyż wszyscy sprawni mężczyźni zostali zapędzeni do fortecy, gdzie harowali

przy przygotowywaniu fortyfikacji na nadejście wojsk królowej Rhin.

Mam nadzieję, że Rhin wyżre ci serce, Owain, pomyślała Cywen.

Albo on jej. Tak czy owak, byłby jeden agresor mniej do zabicia.

Potem uzmysłowiła sobie, na czym polega różnica. Brakowało jednej łodzi, tej jednej, za którą w ogóle kiedykolwiek się rozglądała. Łodzi Datha.

Upewniła się raz jeszcze. Przyjrzała się konturom wszystkich jednostek, które leżały wyciągnięte na brzeg, ale łodzi Datha na pewno nie było wśród nich. A więc odpłynęli... Jej mama, Corban, Gar, Edana i reszta. Ale dokąd? Przyszło jej do głowy, by ruszyć w ślad za nimi, ale nie miała pojęcia, dokąd się skierować. Być może popłynęli na zachód w stronę bagien, ale może nie.

Nie istniał oczywisty wybór, a uciekinierzy z pewnością byli przerażeni, być może też ranni i myśleli tylko o tym, by stąd umknąć. Cywen westchnęła ciężko, a potem zawróciła do jaskini. Gdy znalazła się w bezpiecznym miejscu za zakrętem, skąd nie było już jej widać z plaży, skrzesła ognia i zapaliła świeżą pochodnię.

Poślizgnęła się raz, idąc po mokrej od morskiej wody ścieżce, która wiała się przez jaskinię, po czym precyzyjnie przeszła przez iluzję, za którą spoczywały zwłoki żmija oraz wojownika. Nawet na nich nie spojrzała, śpiesząc do domu. Pięła się coraz wyżej szerokimi, wysokimi tunelami, wykutymi przez olbrzymy. W kątach migotały cienie, skądś niosło się echo kapiącej wody. Po jakimś czasie Cywen dotarła do kolejnej podziemnej sali, gdzie leżał szkielet innego żmija, tego samego, którego znaleźli wraz z Banem, gdy po raz pierwszy zapuścili się w tunele pod twierdzą. Niespodziewanie coś przykuło jej uwagę – na przeciwległej ścianie migotało jakieś światło. Zatrzymała się. Tęskniła już za ciepłym ogniem i ciałem skulonego obok Buddaia, ale ciekawość zwyciężyła. Unosząc wysoko pochodnię, podeszła bliżej.

Zamrugnęła. Na skalnej ścianie widniał zarys ogromnej istoty. W pierwszej chwili Cywen miała wrażenie, że została namalowana, ale gdy podniosła pochodnię wyżej, uświadomiła sobie, że się myli. Były to kości, wtopione w ścianę, skamieniałe. Istota miała pysk pełen ostrych zębów i rozłożone skrzydła, dłuższe niż łódź rybacka. Ojciec opowiadał jej o takich istotach, o całych gatunkach, które istniały przed Plagą, ale

uległy zagładzie w ogniu bądź wodzie, gdy Elyon uwolnił swój gniew. Cywen wyciągnęła rękę i musnęła palcami długie szpony.

Na kamiennej ścianie nieopodal dojrzała jakiś cień. Podeszła bliżej i przekonała się, że to wejście do tunelu, zamaskowane przez skalne wyrzucenie. Spojrzała na drogę wiodącą do domu, a potem do nowo odkrytego tunelu.

Nabrała tchu i wkroczyła do środka, znów nie mogąc się oprzeć ciekawości.

Na pierwszy rzut oka tunel nie różnił się niczym od tych, które już przemierzyła – miał wysokie, gładkie ściany, a w powietrzu czuć było wilgoć. Częściej jednak zakręcał, przez co dziewczyna miała wrażenie, że zmierza w górę po spirali, choć trudno było mieć pewność. Po chwili pojęła kolejną różnicę – dźwięki rozbrzmiewały tutaj inaczej, kapanie wody było głośniejsze, a echo głębsze. Wkrótce dotarła do niewielkiej sali, gdzie pod jej stopami otworzyła się czarna jama. W środku wisiał wielki łańcuch, który nikał w mroku zarówno nad jej głową, jak i pod nią.

To studnia fortecy!, pomyślała, patrząc w górę, ale ciemność pochłaniała blask jej pochodni. Wąska ścieżka wiodła wokół ściany i nikała w wejściu po drugiej stronie. Cywen z drżącym sercem okrążyła jamę i z westchnieniem ulgi weszła w korytarz.

Niebawem dotarła do kolejnej jamy. W pierwszej chwili uznała, że to ślepy zaułek, ale dostrzegła wąziutkie szczeliny słabego światła po przeciwnej stronie pomieszczenia. Podeszła bliżej, a wtedy syknęła i zgasła pochodnię.

Stała przed drzwiami.

Podeszła do nich powoli i po krótkich oględzinach doszła do wniosku, że to tylko framuga, którą zabito szerokimi deskami. Zajrzała przez szczelinę i ujrzała po drugiej stronie izbę wypełnioną beczkami, skrzyniami i butlami. Czyżby była to spiżarnia? Lub piwnica?

Na przeciwległej ścianie płonęła pochodnia. A więc to pomieszczenie było połączone z fortecą, a ten, do kogo należało, wiedział o tunelach i miał do nich dostęp.

Deska, o którą się opierała, niespodziewanie ustąpiła pod jej ciężarem. Gwoździe wysunęły się z ramy z głuchym skrzypnięciem, a Cywen runęła przez powstałą lukę do środka. Zawisła na deskach – górna część jej ciała

znalazła się w izbie, a nogi tkwiły wciąż tam, skąd przyszła. Zamarła przerażona, bojąc się choćby drgnąć czy głośniejszemu odetchnąć.

Ku jej wielkiej uldze nikt nie przybiegł, zaalarmowany hałasem. A więc rzeczywiście znalazła się w jakiejś piwnicy. Widziała już schody po drugiej stronie pomieszczenia, biegnące w górę i niknące przy suficie.

Wtedy rozległ się odgłos, który sprawił, że znów zamarła. Dobiegał zza zamkniętych drzwi. Już chciała rzucić się do ucieczki, gdy usłyszała go ponownie. Był to ludzki głos, cichy i słaby, szelest nieledwie.

– Daj mi coś pić, proszę...

Nim się porządnie zastanowiła nad tym, co robi, przepełzła przez dziurę i znalazła się na wyłożonej kamiennymi płytami podłodze. Podbiegła do drzwi i ujrzała, że zamknięto je na kłódkę.

– Wiem, że tam jesteś – wychrypiał głos. – Widzę cień twoich stóp.

Cofnęła się.

– Proszę, choć kroplę wody.

Cywen szarpnęła za drzwi, ale w odpowiedzi zachrzęścił łańcuch, przymocowany do żelaznego pierścienia. Wtedy dobyła jednego z noży i przyjrzała się zawiasom przy zamku, przymocowanym śrubami do futryny. Miała wrażenie, że to najsłabszy element konstrukcji, ale mimo kilku prób nie zdołała ich pokonać.

Przygryzła wargę, a potem wbiegła po schodach. Choć nikły w cieniach, zdołała dostrzec kłapę zamykającą wyjście. Podjęła więc kolejną pochopną decyzję – zbiegła na dół i złapała jeden z toporów, który stał przy zabitym deskami wyjściu. Brzęknął metal, buchnęły iskry, ale zdołała przerąbać łańcuch i otworzyć drzwi.

Ze środka buchnął ohydny zapach ludzkich nieczystości. Na szmatach leżał jakiś człowiek.

Był chudy, brudny i wynędzniały. Brodę miał w nieładzie, jego szyję opasywał niechlujny bandaż, ale mimo to rozpoznała go.

Patrzyła na Pendathrana.

Rozdział dziewiętnasty

MAQUIN

Maquin uśmiechnął się ze znużeniem, gdy wszedł na obrośnięty mchem most, rozpięty nad czarnym nurtem rzeki. Nazywała się Rhenus, biegła wśród zachodniego skraju lasu Forn i oficjalnie wytyczała wschodnią granicę Isiltiru.

Po przeciwnej stronie rzeki wznosił się wysoki, kamienny mur ze strażnicą, kruszący się i porośnięty pnączami, a za nim wyrastała szara wieża. Zwała się Brikan i była domem Gadrai. A przynajmniej kiedyś nim była, gdyż obecnie nie zostało już wystarczająco dużo Gadrai, by ją wypełnić. Z całego oddziału przeżyło ich wszak raptem trzech.

Droga powrotna z Haldis zabrała im piętnaście dni, a od spotkania z Veradisem upłynęło ich dziesięć. Młodzieniec dotrzymał słowa i poprowadził olbrzyma i resztę nagonki w innym kierunku, dzięki czemu zdołali umknąć. Maquin zawdzięczał Veradisowi życie i czuł smutek na myśl o tym, że znaleźli się po przeciwnych stronach konfliktu. Miał nadzieję, że już się nigdy nie spotkają.

Stał na dziedzińcu i wpatrywał się w milczące mury. Orgull wszedł po schodach prowadzących do wieży, a Tahir, utykając, podążył za nim. Obaj znikli wśród cieni rzucanych przez twierdzę, ale Maquin się ociągał. Stał i wspominał dzień, w którym wraz z Kastellem przyłączyli się do Gadrai. Dziedziniec rozbrzmiewał wówczas życiem, tysiącami odgłosów, a Vandil i Orgull powitali ich serdecznie i przyjęli do braterstwa. Wspominał długie godziny treningów na dziedzińcu i noce, które spędzili na warcie na murach. Wspominał cały czas spędzony z Kastellem. Znów poczuł, jak jego serce ściska żal, ale odepchnął emocje.

Poczekam jeszcze z żałobą po tobie, chłopcze, pomyślał. Najpierw

zabiję Jaela.

* * *

Siedzieli we trzech wokół trzaskającego głośno ognia, który odpędzał ciemności, i podawali sobie bukłak z piwem. Odnaleźli nieco zapasów – kilka bukłaków z piwem i amfor z winem, ser, który wciąż nadawał się do zjedzenia, oraz trochę solonej wieprzowiny w chłodni. Maquinowi smakowały niczym najwykwintniejszy posiłek.

Tahir potarł nogę. Jego rana zagoiła się zaskakująco dobrze. Maquin nieraz widział, jak ludzie umierali od zakażenia ran o wiele mniej poważnych od tej.

– Jutro wsiadamy na łódź – rzekł. – Przez jakiś czas będziesz mógł odpocząć od chodzenia.

– Dzięki niech będą Elyonowi – odparł Tahir.

Był młodym człowiekiem, niewiele starszym od Kastella. Miał długie, niezwykle umięśnione ramiona, przez co wyglądał, jakby był nieproporcjonalnie zbudowany.

– Nie będzie to przyjemna podróż – stwierdził Orgull. – Od Dun Kellen dzieli nas wiele mil.

– Mimo to wolę wiosłować, niż iść – odparł Tahir i pociągnął z bukłaka.

Ustalili, że najpierw dotrą do Brikan, gdzie czekało kilka ich łodzi, a potem popłyną na północ do Dun Kellen. Mieszkała tam samotnie była żona króla Romara, Gerda, która nim od niego wyjechała, urodziła mu syna. Chłopiec miał na imię Haelan. Miał teraz dziesięć lat i był pełnoprawnym dziedzicem tronu Isiltiru.

– A czemu Gerda nie jest królową? – spytał Tahir.

– Bo to zawzięta baba – odparł Maquin. Przez wiele lat mieszkał w Mikil i widział zarówno ślub Romara z Gerdą, jak i wyjazd Gerdy z Haelanem.

– Zawzięta? – spytał Tahir. – Co to ma oznaczać?

– Uparta jak osioł i tyle – stwierdził Orgull.

– Nie ma najmniejszej ochoty wypełniać niczyich rozkazów, nawet Romara – wyjaśnił Maquin.

– Aha. I to jej wieziemy wieści? – spytał Tahir. – Nie wiem, czy mi się to podoba.

– Gerda będzie umiała postawić się Jelowi. Nie zrezygnuje z tronu dla swego syna bez walki.

– Myślicie, że Jael ma szansę przejąć koronę? – zastanawiał się głośno Tahir.

– On jest o tym przekonany – odparł Orgull. – W jego żyłach płynie krew Romara, ma też odwagę, by sięgnąć po tron. Co więcej, ma potężnego sprzymierzeńca w postaci Nathaira. Myślę, że wszystko rozstrzygnie się na polu bitwy, a o zwycięstwie zadecyduje to, kto zbierze większą armię. Im szybciej dotrzemy do Gerdy, tym będzie miała większe szanse na uratowanie syna.

– Na większości wojowników z Isiltiru żerują teraz kruki w Haldis – odparł Maquin. – Nawet Jael nie zdoła zebrać wielu ludzi.

– Prawda. W Mikil znajdzie sporo takich, którzy będą chcieli go poprzeć, ale to za mało na hufiec. Niemniej ma silne poparcie. Z ludźmi takimi jak Calidus czy jego Jehar...

Urwał. Wszyscy trzej dobrze pamiętali śmiertelne umiejętności i szybkość, jaką odziani na czarno Jehar zademonstrowali w Haldis.

Maquin pociągnął łyk piwa. Wpatrywał się w siedzącego po drugiej stronie ognia Orgulla. Był potężnym mężczyzną o łysej czasce i karku umięśnionym jak u byka. Maquin zawsze miał wrażenie, że w przeciwieństwie do Vandila, który był inteligentnym człowiekiem, najważniejszym atrybutem Orgulla była siła fizyczna, ale wspólna ucieczka przez Forn pokazała mu, że były kapitan Gadrai jest kimś więcej niż tylko mięśniakiem. Wszystko, co powiedział o królu Brasterze i tajnym bractwie, o toporze z gwiazdowego kamienia, Wojnie Bogów i Czarnym Słońcu...

Znów się napił. Podczas ucieczki z Haldis tak naprawdę nie mieli okazji, by o tym porozmawiać, gdyż przez cały czas musieli się wystrzegać pościgu i drapieżników, ale teraz znaleźli się w Brikan i przynajmniej tej nocy mogli się cieszyć spokojem.

– Co to za tajne bractwo, o którym mówiłeś? – spytał. – To, przez które musiałeś się spotkać z Brasterem.

Orgull wpatrywał się w Maquina, a Tahir spoglądał to na jednego, to na drugiego.

– Macie prawo wszystko wiedzieć – odezwał się w końcu Orgull. –

Bo jeśli nie zaufam wam dwóm, moim braciom w mieczu, komu na tym świecie będę mógł zaufać? Jest tak, jak powiedziałem. Gdy byłem młodym człowiekiem, jeszcze młodszym od Tahira, poznałem pewnego człowieka, który odwiedził dom mego ojca. Był wojownikiem, mężczyzną silnym i sprawnym, co oczywiście obudziło we mnie podziw. Przyciągnęło mnie do niego również to, że wydawał mi się mądry. Gdy się odzywał, miałem wrażenie, że cały świat powinien go słuchać. – Urwał, wróciwszy do wspomnień. – Pewnej nocy opowiedział mi i memu ojcu o wielu dziwnych, niezwykłych sprawach. O wojnie, która toczy się od tysięcy lat. „Wszyscy ludzie wezmą udział w tej wojnie”, rzekł. „Wszyscy będą musieli opowiedzieć się po stronie ciemności bądź światła”. Byłem wówczas młodym człowiekiem, sami rozumiecie, a więc całkowicie pochłonęła mnie jego opowieść. Chciałem wszak zostać bohaterem. Kiedy powiedział, że szuka ludzi, by utworzyć bractwo i pomóc w ten sposób w nadchodzącej wojnie, z ochotą złożyłem mu przysięgę na wierność, a wraz ze mną mój ojciec. Ojciec dalej mieszka na północy wraz z braćmi i resztą rodu. Wszyscy jesteśmy zabójcami olbrzymów, co nie powinno dziwić, skoro mieszkamy tak blisko Fornu, ale ja poczułem zew Gadrai silniej od nich. Pewnego dnia po prostu wyjechałem. – Milczał przez długi moment, wpatrzony w płomienie. – Prawie zapomniałem o tym mężczyźnie i o przysiędze, którą mu złożyłem. Żyłem własnym życiem, aż znów go spotkałem. Opowiedział mi o innych ludziach, którzy złożyli tę samą przysięgę. O ludziach takich jak Braster. Przypomniał mi o wszystkich rzeczach, które kiedyś od niego usłyszałem, o rzeczach, które nie przestają do mnie szeptać. O Wojnie Bogów, o tym, że Ziemia Wygnanych staną się polem bitwy dla aniołów i demonów, o Siedmiu Skarbach, o awatarach Elyona i Asrotha. – Spojrzał na swą dłoń i przesunął palcem wzdłuż starej blizny. – Moja przysięga nadal obowiązuje.

Veradis opowiadał o podobnych rzeczach, gdy wędrowali przez góry Bairg do Fornu. Wówczas Maquin śmiał się z nich. Trudno jest uwierzyć w anioły i demony, gdy słońce błyszczy na niebie, a w powietrzu niesie się śmiech. Teraz jednak, w zimnym sercu wieży olbrzymów w Fornie, po bitwie pod Haldis i wszystkim, co ujrzeli, łatwiej byłoby przyjąć te historie do wiadomości.

Maquin potrząsnął głową. Zawsze wierzył w to, co mógł ujrzeć, czego

potrafił dotknąć, co dało się poczuć. Reszta nie miała dla niego większego znaczenia.

Nawet jeśli opowieści były prawdziwe, nadal niewiele o nie dbał.

– Mam wrażenie, że słucham bajek dla dzieci – mruknął. – Najważniejsze jest to, by pozbyć się wreszcie Jaela.

Tahir spojrzał na niego.

– Moja matka zawsze mawiała, że człowiek z żądzą zemsty w sercu powinien wykopać dwa groby.

– Nie będę miał nic przeciwko pod warunkiem, że w jednym z nich znajdzie się Jael – rzekł Maquin, ale w jego głowie nadal echem rozbrzmiewały słowa Orgulla: „Wszyscy ludzie wezmą udział w tej wojnie. Wszyscy będą musieli opowiedzieć się po stronie ciemności bądź światła”.

Po której stronie ja jestem?, zadał sobie pytanie.

– Jak się zwał człowiek, który ci o tym opowiedział? – spytał Orgulla.

– Meical.

* * *

Następnego dnia wyruszyli w drogę, jeszcze nim nad drzewami rozlał się brzask.

Maquin zanurzył wiosło w czarne wody rzeki Rhenus. Orgull usiadł obok niego i razem odbili od niewielkiego pomostu, który wychodził zza murów Brikan.

Drugiego dnia natknęli się na wielką barcę, przycumowaną przy wschodnim brzegu rzeki. Nikt nie odpowiedział na ich wołanie, więc podpłynęli bliżej z zachowaniem wszelkiej ostrożności. Orgull rozpoznał ją jako pierwszy.

– To jej strześliśmy, gdy zaatakowali ją Hunen oraz ich białozmije – oznajmił.

Maquin wyteżył wzrok i ujrzał ciała na pokładzie oraz na szerokim trakcie, ciągnącym się wzdłuż wschodniego brzegu. Zauważył stopę w bucie, czyjąś rękę, drzewce ogromnego młota wojennego i końską czaszkę. Wszyscy uczestnicy starcia nadal leżeli tam, gdzie dopadła ich śmierć, choć ich ubrania zdążyły już zgnić, a ciała padły ofiarą

mieszkańców Fornu.

W milczeniu odbili od barki i ruszyli w górę rzeki.

W południe piątego dnia podróży drzewa wokół nich zaczęły się przeredzać i rzekę opromieniły szerokie snopy światła. Niebawem puszcza ustąpiła miejsca szerokim łąkom i wzgórzom. Brzegi rzeki były tu upstrzone dzikimi kwiatami i trzej zabójcy olbrzymów mieli wrażenie, że naraz znaleźli się w krainie wiosny.

– Ile drogi pozostało do Dun Kellen? – spytał Tahir i znów podrapał się po nodze. Od dwóch dni nieustannie narzekał na obolały tyłek, obolałe ramiona i pęcherze na dłoniach.

– Dziesięć dni, może dwanaście, o ile nic nas nie spowolni – rzekł Orgull, na co Tahir jęknął głośno, patrząc na swe dłonie.

– Jeśli chcesz, możemy cię wysadzić na ląd, byś dotarł na miejsce pieszo – zaproponował Orgull.

Tahir nie odpowiedział, ale złapał mocniej za wiosło i wziął się do roboty.

Siódmego dnia po opuszczeniu Fornu przybili do brzegu, by rozbić obóz na noc. Nad rzeką wisiała ciężka mgła, lepiąca się do gęstych połaci trzciny. Orgull ujął ostry nóż i zaczął sobie golić głowę.

– Po co ty to robisz? – spytał Tahir. – Czemu nie pozwolisz, by włosy ci odrosły?

– Nosilem kiedyś długie włosy – odparł Orgull. – Były naprawdę piękne, jeśli wierzyć kobietom. Tymczasem podczas jednego z pierwszych patroli po przyłączeniu do Gadrai nadzialiśmy się na Hunen. Jeden z nich złapał mnie za włosy i zaczął szarpać mną jak lalką, aż rąbnął mną w drzewo. Obudziłem się dopiero w Brikan, gdzie dotaszczyli mnie bracia w mieczu. – Ni to się uśmiechnął, ni to skrzywił, po czym dodał: – Od tej pory gołę się na лыso.

– Hej, słyszeliście? – szepnął Maquin i przechylił głowę.

Wyteżyli słuch. Rzeka była cicha, a wszystkie odgłosy stłumiła mgła. Skądś dobiegł długi, żaloszny zaśpiew pardwy, po czym Maquin znów usłyszał to, co wcześniej: tętent wielu kopyt, chrzęst kolczug, szczęk broni.

– Do łodzi! – syknął Orgull.

Najciszej jak mogli wsiedli do łodzi i odepchnęli się od brzegu.

Niebawem mgła się rozeszła i trzech uciekinierzy mogli się lepiej rozejrzeć po okolicy. Teren był tu bardziej płaski, a jego monotonię zakłócały jedynie kępy drzew. Nigdzie nie widzieli ani śladu jeźdźców.

Choć było ciemno, wyruszyli w dalszą drogę, aż zamajaczyły przed nimi zarysy jakichś budowli. Najpierw pokazał im się kamienny most, zwieńczony wieżą na zachodnim brzegu, a za nim spora wieś, złożona z drewnianych, krytych strzechą chat. Na moście i wśród zabudowań uwijali się ludzie. Orgull syknął ostrzegawczo. Naparli na wiosła i dobili do brzegu, po czym wciągnęli łódź na ląd i skryli się wśród zarośli.

Na wieży powiewał proporzec, który łopotał na wietrze. Widniała na nim zygzakowata błyskawica na tle czarnego nieba. Był to znak Romara i herb Isiltiru, który nawiązywał do nazwy, jaką tej krainie ongiś nadały olbrzymy – „ziemie burz”. Maquin jednakże wyteńczył wzrok i dostrzegł na proporcu coś jeszcze. Coś, co splatało się z błyskawicą i wiło się wokół niej.

Była to biała zmija.

– Nie podoba mi się to – powiedział cicho.

– Mnie też nie – rzekł Orgull. – Czyj to proporzec?

– Jeśli nie spytasz, nigdy się nie dowiesz, jak mawiała moja mama – mruknął Tahir.

– Miałaś mądrą matkę – oznajmił Orgull. – Chodźmy więc i spytajmy kogoś.

* * *

Maquin przekradał się przez zarośla, krzywiąc się przy każdym głośniejszym szeleście. Wraz z Tahirem byli już blisko mostu, choć dotarcie tutaj zabrało im sporo czasu.

Przysadzistą, masywną wieżę otaczało kilka domów. Maquin wyczuwał woń końskiego łajna i słyszał dobiegające z oddali rzenie. Wokół wieży płonęły pochodnie, rzucając wokół siebie plamy światła. Nieco dalej paliły się większe ogniska. Przy drzwiach prowadzących do wieży stali uzbrojeni po zęby, czujni wojownicy. Bez wątplenia należeli do jakiejś większej formacji, ale trudno było ocenić ich liczebność w ciemnościach. Może było ich dwustu, może trzystu, może jeszcze więcej. Proporzec zwiśł

już martwo, ale Maquin nadal pamiętał białozmija oplecionego wokół błyskawicy.

– Posiedzimy tu chwilę i zobaczymy, co się wydarzy – szepnął do Tahira.

Czekali przez jakiś czas, aż drzwi do wieży stanęły otworem, a ze środka wyszło kilku mężczyzn. Na ich czele szedł Jael.

Maquin bez namysłu sięgnął po miecz, ale Tahir zacisnął dłoń na jego ramieniu.

– Nie rób tego! – syknął.

– Ale to Jael! – odszepnął Maquin.

– Wiem, ale jest ich zbyt wielu. Zabiją ciebie, a co gorsza również mnie!

Maquin walczył przez moment ze sobą, ale w końcu zrezygnował i wypuścił miecz.

Wrócili do Orgulla i opowiedzieli mu o wszystkim, co widzieli, a potem zaczekali, aż minie północ. Wówczas, mając wielką nadzieję, że większość ludzi Jaela już śpi, zepchnęli łódź na wodę i popłynęli z prądem w dół rzeki. Gdy mieli już pewność, że znaleźli się należycie daleko, złapali za wiosła i natarli na nie jak szaleni.

Gdy za ich plecami wstawało słońce, Maquin był mokry od potu. Plecy pulsowały mu bólem, a mięśnie wręcz płonęły z wysiłku. Zostawili most dobrych kilka mil za sobą, dzięki czemu mieli teraz sporą przewagę nad Jaelem. Przypuszczali, że wojownik idzie na Gerdę i Haelana, syna Romara. Chce uderzyć szybko i bez litości, nim rozniosą się wieści, a była królowa zdoła zebrać stronników. Musieli więc dotrzeć do Dun Kellen przed nim.

– Wiosłujcie! – warknął siedzący za nimi Orgull.

Maquin chciał coś powiedzieć, ale nie znalazł w sobie siły.

* * *

Wzniesiona na wzgórzu forteca Dun Kellen wyrosła z nadrzecznej mgły, opromieniona blaskiem zachodzącego słońca. Otaczające ją miasto wydawało się chaotycznym labiryntem uliczek, które spływały po zboczach. Wzdłuż rzeki ciągnęły się rzędy pomostów. Trzej Gadrai skreśliли ku nim i przycumowali łódź.

– I co teraz? – spytał Tahir. Pociągnął nosem i zrobił niechętną minę,

gdy pierwsi rybacy i handlarze zwrócili na nich uwagę. – A tak w ogóle to co tu tak śmierdzi?

Orgull ruszył przodem, wpatrując się w fortecę na wzgórzu.

– Cywilizacja – odpowiedział Maquin i ruszył za Orgullem.

Przed bramami fortecy stało kilku żołnierzy z włóczniami. Maquin od razu zwrócił uwagę na zły stan fortyfikacji – część murów całkiem się zawaliła, a lukę wypełniało drewniane rusztowanie. Podobnych fragmentów było więcej.

Kiepskie miejsce na przetrzymanie oblężenia.

– Hej, ty, wielki! – zawołał jeden z żołnierzy i wycelował w Orgulla włócznią. – Czego szukasz w Dun Kellen? – Przeniósł wzrok na Maquina i Tahira. – Najemnicy? – parsknął, widząc ich skórzane zbroje oraz miecze. – Nie potrzebujemy tu takich jak wy.

– Jesteśmy ostatnimi ocalałymi członkami Gadrai – rzekł Orgull, mierząc mężczyznę niechętnym spojrzeniem. Sięgnął pod połę płaszcza, na co strażnicy cofnęli się, unieśli włócznie i złapali za miecze. Maquin i Tahir stali po obu stronach Orgulla, również trzymając broń. Wydawało się, że od rozlewu krwi dzieli ich tylko jeden nierozważny ruch.

Orgull wyciągnął jednakże długi przedmiot zawinięty w płótno. Ściągnął je, a wtedy oczom strażników ukazał się miecz w pochwie. Zabójca olbrzymów uniósł go nad głowę.

– Oto miecz króla Romara, który leży w sercu lasu Forn, zamordowany przez własnego krewniaka. Jego morderca znajduje się maksymalnie dwa dni drogi za nami i chętnie dorzuci wasze głowy do stosu, który już usypał.

– Idealny sposób, by przyciągnąć ich uwagę – szepnął Tahir do Maquina.

* * *

Maquin zapamiętał lady Gerde jako wysoką, sprawną kobietę o mocnej budowie ciała. Nie widział jej od trzech lat, kiedy to wyjechała z Mikil z synem i przybocznym. Od tego czasu przybrała sporo na wadze, a gdy się poruszała, skóra na jej nagich, tłustych ramionach drgała lekko. Siedziała obok Varicka, swego starszego brata, mężczyzny równie potężnie zbudowanego jak ona. Miał siwiejące włosy i prostą, szczerą

twarz. W ręku trzymał miecz Romara, który wyciągnął z cichym szelestem i wznosił ku górze.

– To miecz Romara albo jestem córką rybaka – rzekła Gerda, po czym spojrzała na Orgulla. – Pytanie brzmi, czy mam wam uwierzyć?

– A po co niby mielibyśmy tu przybyć? – wypalił Tahir. – Gnaliśmy, jakby sam Asroth nas gonił, by was ostrzec! – Spojrzał na swoje zaczerwienione, pokryte pęcherzami dłonie.

– Tak. – Gerda zamyśliła się. – Po co mielibyście tu przybyć.

– Chcecie za to nagrodę? – spytał Varick, nadal wpatrzony w miecz.

– Zabijcie Jaela, a będę wam wdzięczny po kres życia – warknął Maquin. Gerda spojrzała na niego.

– Czyżbyś miał z Jaelem jakiś nierozstrzygnięty konflikt i chcesz, byśmy rozwiązali go za ciebie?

– Tak, Maquin znalazł się na wojennej ścieżce z Jaelem – rzekł Orgull. – Podobnie jak ty, pani, czy ja. Nazywam się Orgull i jestem kapitanem Gadrai, a przywiodła mnie tu lojalność wobec Isiltiru i pragnienie, by sprawiedliwości stało się zadość. Nie chcę też, by Isiltir został wykorzystany jako pionek w nadciągającej wojnie, która niebawem rozpęta się na Ziemiach Wygnanych. Jeśli was oszukujemy bądź się po prostu mylimy, nie stanie się nic złego, ale jeśli mamy rację, Jael niebawem zjawi się pod waszymi bramami i przypuszczalnie zażąda oddania Haelana pod swą opiekę. Będzie chciał przejąć nad nim pieczę do czasu, gdy chłopiec osiągnie pełnoletniość. Jael ma zamiar rozciągnąć władzę na cały Isiltir i bez wahania zdecyduje się na morderstwo czy zdradę, by swój cel osiągnąć. Już pokazał, na co go stać. – Urwał i wzruszył ramionami. – Nie wierzycie nam, to wasza sprawa – dodał. – Ale, na Elyona, okażcie rozsądek! Roześlijcie zwiadowców, by się upewnili, czy z południa nie nadciąga jakiś hufiec. Zbierzcie wojowników i przygotujcie się do walki. Na wszelki wypadek.

– Moja mama mawiała, że lepiej dmuchać na zimne – mruknął Tahir.

– I mądrze – stwierdził Orgull.

Maquin wystąpił i powiedział:

– Jael będzie chciał uśmierzyć wasze lęki i wątpliwości, ale nie dajcie mu się zwieść. Gdy tylko przejmie kontrolę nad Haelanem, bez wahania go zabije. Widziałem, do czego jest zdolny.

– Nie pozwolę, by mojemu synowi spadł choć włos z głowy – oznajmiła z furią Gerda. – Wolę sama zginąć.

Jeszcze moment i będziesz miała okazję, pomyślał Maquin.

– Roześlę zwiadowców – rzekł Varick. – I dopilnuję, by moi ludzie byli trzeźwi i gotowi. Nie zaszkodzi – dodał, patrząc na siostrę.

– Panie, wezwij pod swój znak wszystkich wojowników, którzy przysięgali ci wierność! – namawiał go Orgull. – W ciągu następnych kilku dni rozstrzygną się losy całego Isiltiru!

– Być może. Niewykluczone, że postąpię zgodnie z twoją radą, a jeśli mówicie prawdę, jestem wam winien wielką wdzięczność.

Gerda wstała i podeszła do nich. Zatrzymała się i spojrzała każdemu z trzech ocalałych Gadrai w oczy. Na jej twarzy pojawiła się zaciętość.

– Przyrowadź Haelana – rzuciła przez ramię do przybocznego, który czekał przy drzwiach. – Ja im wierzę.

* * *

– Nadchodzą – powiedział Tahir i wskazał coś długim ramieniem.

Maquin zmarszczył brwi i dostrzegł jakiś cień na horyzoncie.

– Już przekroczyli rzekę – rzekł.

Minął kolejny dzień i trzech braci w mieczu stało na murach niedaleko strażnicy nad bramą. Po obu stronach ciągnęły się rzędy wojowników. Varick wysłał umyślnych do posiadłości swych wasali, ale nie było wątpliwości, że ściągnięcie ich wszystkich zabierze sporo czasu, a tego nie mieli. Nieodległą dziurę w murze pośpiesznie załatano grubymi deskami.

Nadciągająca armia rosła w oczach, a spod końskich kopyt ku niebu szedł tuman pyłu. Maquin widział już Jaela, który jechał na czele obok swego chorążego. Proporzec łopotał na wietrze. Varick nakazał ewakuację miasta, ale mimo to tu i ówdzie nadal było widać mieszkańców. Na widok nadciągającego hufca w ich zachowaniu pojawiła się panika. Rozpychali się pośpiesznie, gnając w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia.

Wroga armia dotarła na skraj Dun Kellen. Jeźdźcy z flank odbili od głównej formacji i zaczęli okrążyć miasto, wnikając w boczne uliczki. Największa część sił Jaela szła główną ulicą prosto ku bramom Dun

Kellen.

– Pamiętam, jak wycierałam mu smarki z nosa – oznajmiła Gerda. – Ciekawe, jakie warunki zaproponuje za głowę mego syna.

Maquin spojrział na nią, ale nie powiedział ani słowa. Pamiętał, jak Jael i Kastell walczyli w podziemiach Haldis. Pamiętał, jak Jael wbił Kastellowi miecz w pierś. Zaciśnął dłonie na rękojeści.

– Zachowajcie czujność! – zawołał Orgull.

Jeźdźcy nadjeżdżali. Z miasta dobiegały dzikie wrzaski, a ludzie rozpierzchali się przed Jaelem i jego przybocznymi. Ktoś poślizgnął się i znikł pod końskimi kopytami. Jego wrzaski ucichły szybko. Chwilę później Jael zatrzymał swych wojowników jakieś sto kroków przed bramą.

– Posłuchajmy, co ma do zaproponowania – rzekł Varick i wszedł na strażnicę nad bramą.

Jael cmoknięciem popędził konia, trzymając włócznię w ręku. Towarzyszył mu tylko chorąży.

– Bądź pozdrowiony, Jaelu! Witaj w Dun Kellen, krewniaku! Co cię tu sprowadza?! – wykrzyknął Varick.

Jael nie spuszczał z niego oczu. Zataczał konno ciasne kręgi, aż w pewnym momencie cisnął włócznią. Ta przebiła gardło Varicka i odrzuciła go do tyłu, bryzgającego krwią, a wtedy Jael zawrócił konia i pogalopował ku swoim wiwatującym ludziom.

Obrońcy pokrzykiwali, zaskoczeni i przerażeni. Kilku zwolniło strzały w kierunku uciekającego Jaela, ale żaden nie trafił. Maquin spojrział w ślad za Gerdą i innymi na zakrwawione, nieruchome ciało Varicka, a potem na Jaela, który wymachując pięścią w powietrzu, dotarł do swoich ludzi. Ci zeskakiwali teraz z koni, łapali za topory i zaczęli rąbać drzwi domów.

Jael wcale nie przybył po to, by proponować jakieś warunki.

Rozdział dwudziesty

CYWEN

Cywen nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Pendathran, wojewoda króla Brenina, patrzył prosto na nią. Ale przecież on nie żył! Zginął w walce w sali biesiadnej, tej samej nocy, kiedy padło Dun Carreg, a przynajmniej takie plotki słyszała. Po co ktoś miałby go zamykać w celi?

– Co ty tu robisz, do cholery? – spytał Pendathran ochrypłym głosem.

– Nie wiem – bąknęła Cywen odruchowo.

– Masz coś do picia? – spytał.

Cywen rozejrzała się, ale nigdzie nie widziała żadnego dzbana czy beczułki. Pokręciła głową.

– Szybciej, dziewczę, pomóż mi!

Złapała go za rękę i pomogła mu się podnieść. Na odsłoniętym przedramieniu wojewody widniały głębokie nacięcia, częściowo zaschnięte, ale tu i ówdzie nadal broczące krwią. Stojący Pendathran górował nad nią. Oddychał długo, chrapliwie. Bandaż na jego szyi poczerniał od strupów.

– Obejmij mnie w talii – zaproponowała Cywen i poprowadziła rannego w stronę wejścia do tuneli. Tam pomogła mu oprzeć się o ścianę, a sama przystąpiła do zrywania desek. Była świadoma hałasu, jaki czyni, i co chwila zerknęła ku pogrążonym w mroku schodom.

– Oglądanie się za siebie nic ci nie da – wychrypiał wojewoda i ujął porzucony pod ścianą topór, by jej pomóc.

Cywen spojrzała na niego krzywo i szarpnęła ostatnią deskę, która ustąpiła ze skrzypnięciem. Wówczas wyjęła świeżą pochodnię z sakwy i roznieciła ją hubką i krzesiwem.

– Chodźmy – rzuciła i poprowadziła Pendathrana w ciemność tuneli.

* * *

Gdy w końcu wyłonili się z jaskini na plaży, Pendathran usiadł ciężko na piasku. Było jeszcze ciemno, ale księżyc już przygasał i widać było nadciągający świt.

Cywen nie mogła uwierzyć w to, że dotarli tak daleko. Pendathran zataczał się, potykał, a część drogi pokonał półprzytomny. W chwilach świadomości wypytywał ją o to, co się działo w Dun Carreg, a dziewczyna dowiedziała się, że to Ewnis go uwięził. Były doradca króla Brenina miał dostęp do tuneli i dobrze je znał.

Najgorszą częścią ich przeprawy była okrągła sala, w której znajdowała się studnia. Musieli przejść wąską ścieżką wzdłuż ściany i Cywen nie miała pojęcia, jakim cudem Pendathran uniknął upadku w głąb przepaści. Przez resztę drogi przerażenie dodawało jej sił. Co chwila zatrzymywała się i nasłuchiwała, czy nie ruszył za nimi pościg. Bała się, że zaraz usłyszy skamlenie ścigających ich ogarów Ewnisa i pośpieszne kroki jego ludzi, a potem ich krzyki, gdy ją zauważą. Na szczęście nic takiego nie miało miejsca i jakoś dotarli do plaży w Havan tuż przed wschodem słońca, który miał zdradzić ich obecność przed całym światem.

Rozejrzała się pośpiesznie, z niepokojem. Ani przez moment nie zastanawiała się, co poczną, gdy już wydostaną się z podziemi. Jej wzrok padł na łódzie – w tym na miejsce, gdzie zazwyczaj znajdowała się ta należąca do Datha – a wówczas w jej głowie pojawił się pomysł.

– Nie możemy tu odpocząć – oznajmiła i otoczyła ramieniem Pendathrana. Jęknął, ale się podniósł.

Z pluskiem przemierzali płytkie kałuże, płosząc kraby, które uciekały im spod stóp, aż dotarli do wioski. Minęli wędzarnie i Cywen ujrzała niewielką chatkę. Kiedyś mieszkał w niej Dath.

Drzwi były otwarte, a w środku powitał ich nieświeży zapach. Izba została splądrowana – stoły i krzesła leżały wywrócone, a z szuflad w kredensie zniknęła zawartość. Przypuszczalnie było to dzieło ludzi Owaina, którzy zajęli wioskę podczas oblężenia, a potem przenieśli się do Dun Carreg.

Przy tylnych drzwiach stała beczka z deszczówką. Cywen przyniosła jej trochę dla Pendathrana, który opadł na wysłużone łóżko. Wojewoda pił i pił, a strużki wody wnikały w jego brodę. W końcu Cywen musiała mu odebrać dzbanek, bojąc się, że wymiotuje.

– Przyniosę ci coś do jedzenia, gdy tylko będę mogła – powiedziała. – Spróbuję jeszcze dziś wieczorem, choć Ewnis kazał mnie obserwować.

– Dlaczego, dziewczę? – spytał Pendathran.

– Nie jestem pewna – wymamrotała. – Może sądzi, że zdołam doprowadzić go do Corbana i Edany? – Wzruszyła ramionami i dodała: – Ale ty musisz przebywać w ukryciu. Zostań tu, dopóki nie wrócę.

– Daleko i tak bym nie zaszedł – rzekł Pendathran.

Cywen stała przez moment, zastanawiając się, a potem obróciła się na pięcie i ruszyła ku drzwiom.

– Hej, dziewczę! – zawołał za nią Pendathran.

Odwróciła się.

– Dziękuję ci.

Uśmiechnęła się nieśmiało i pobiegła.

Po chwili wahania zawróciła do wsi. Z każdą chwilą rosło przecież prawdopodobieństwo, że Ewnis odkryje zniknięcie Pendathrana, a wówczas na pewno zleci przeszukanie tuneli.

Gdy wstało słońce, Cywen wmieszała się w tłum robotników, zmierzających do fortecy. Narzuciła na głowę kaptur i niezauważona przemknęła zarówno przez most, jak i przez Kamienną Bramę, a gdy znalazła się w samej fortecy, pognęła brukowanymi bocznymi uliczkami, przelazła przez mur i wskoczyła do swego ogrodu. Buddai powitał ją machaniem ogona. Cywen przebiegła przez kuchnię i wyjrzała przez okno na ulicę. Jej cień nadal trwał na stanowisku w bramie przeciwległego budynku, choć w międzyczasie zmogło go zmęczenie i teraz drzemał na chodniku. Dziewczyna czuła się wyczerpana, ale wiedziała, że jeśli się położy, przypuszczalnie prześpi pół dnia. Tymczasem nie mogła sobie na to pozwolić.

Nie mogę zrobić niczego, co wzbudziłoby podejrzliwość tego szpiega, pomyślała. Nie chcę, by złożył meldunek Ewnisowi!

Zjadła więc śniadanie, złożone ze smażonego bekonu i miodowego pieczywa, którym podzieliła się z oblizującym się Buddaiem, a potem

zabrała się za domowe obowiązki. Następnie udała się do stajni, gdzie nałożyła uprząż kilku koniom, które zostały wyznaczone do ćwiczeń na Jarzębinowej Łące. Jednym z nich był Tarcza. Spędziła z nim więcej czasu niż z innymi, wręczyła mu nadliczbowe jabłko i spojrzała krzywo na mężczyznę, który go dosiadł. Był to Drust, rudowłosy wojownik z Narvonu, ten sam, który w dzień po bitwie kazał jej zabrać Buddaia z sali biesiadnej.

Czas płynął, a dziewczyna czuła coraz większe napięcie. Musiała przecież podjąć jakąś decyzję.

Evnis z pewnością wiedział już o ucieczce Pendathrana. Nie wątpiła, że przeszukuje tunele, ale sądziła, że za dnia nie wykorzysta ujadających ogarów. Wiele wskazywało na to, że nie chce, by ktokolwiek – a tym bardziej król Owain – dowiedział się o jego jeńcu, i nie był na tyle głupi, by zaryzykować polowanie w blasku słońca. Zapewne zaczeka do zmroku.

To oznaczało, że Cywen ma jeszcze trochę czasu, by poczynić przygotowania. Zawzięła się w sobie i przystąpiła do pracy.

* * *

Słońce już zachodziło, gdy wyszła z domu z torbą na plecach. Oparła się pokusie, by odwrócić głowę i spojrzeć za siebie – wiedziała wszak, że ktoś zaraz za nią ruszy. Bez wahania udała się do stajni.

Tam wślizgnęła się do pustego boksu. Pośpiesznie związała mocno włosy i upchnęła pod tuniką tyle siana, ile zdołała, zarzuciła na ramiona płaszcz wyciągnięty z torby i założyła kaptur. Resztę rzeczy z torby przełożyła do juków. Następnie wzięła siodło, uprząż oraz same juki, nabrała tchu i pewnym krokiem ruszyła przez podwórze. Kątem oka zauważyła Conalla, który stał oparty o beczkę z wodą i wpatrywał się we wrota stajni. Uśmiechnęła się i zagłębiła w labirynt uliczek.

Gdy tylko zniknęła mu z oczu, zrzuciła siodło oraz uprząż i popędziła ku swemu celowi – wieży Evnisa. Zatrzymała się na moment pośród głębokich cieni, rzucanych przez zachodzące słońce, a potem cicho, nie zwracając na siebie uwagi, przemknęła wzdłuż muru odgradzającego posiadłość od ulicy. Gdy uznała, że znalazła się we właściwym miejscu, zatrzymała się, by palcem sprawdzić wytrzymałość zaprawy między

kamieniami. Na skutek działania wilgotnego, morskiego powietrza spoina była miękka i łatwo ustępowała pod naporem. Rozejrzała się raz jeszcze, ale ulica wokół niej była pusta i cicha. Wyciągnęła więc dwa noże, wbiła je w zaprawę i zaczęła piąć się po murze. Dath nauczył ją podstaw wspinaczki, a Cywen głęboko wierzyła w to, że syn rybaka potrafi się wdrapać dosłownie na wszystko, choć nigdy mu tego nie wyznała.

Gdy znalazła się na górze, przerzuciła ramię przez mur i uśmiechnęła się ponuro do siebie. Idealnie pod sobą widziała niski budynek, w którym Ewnis trzymał swe psy. Zębami i wolną ręką odpięła sprzączki juków.

Z szopy wyszedł wielki ogar o uszach poznaczonych bliznami. Przeciągnął się i wciągnął w nozdrza powietrze, a potem poruszył nerwowo łbem, najwidoczniej pochwycawszy już jej zapach. Dostrzegł ją i zaszczekał głośno, na co pozostałe psy wypadły z szopy i dołączyły do ujadania, skacząc i próbując ją dosięgnąć. Spanikowana dziewczyna szarpnęła raz jeszcze i z wnętrza juków wypadły skrawki mięsa. Ogary natychmiast zaczęły je pożerać, warcząc przy tym na siebie i przeganiając kłapnięciami kłów.

Ktoś krzyknął. Na dziedziniec wyszedł jasnowłosey Rafe, na co Cywen błyskawicznie puściła się muru i zeskoczyła na ziemię, a potem wskoczyła w cienie. Psy Ewnisa tej nocy na pewno nie będą się nadawały do polowania.

* * *

Cywen prowadziła Tarczę okoloną drzewami ścieżką wiodącą na Jarzębinową Łąkę. Zrobiła wszystko, by tego uniknąć i sięgnęła po każdą możliwą wymówkę, ale Drust nie dał się przekonać. Obejrzał Tarczę osobiście i uznał, że nadaje się do jazdy. Obrzucił przy tym Cywen podejrzliwym spojrzeniem, na co dziewczyna zaniechała wszelkich protestów. Dobrze wiedziała, że Drust, gdyby tylko chciał, wyrzuciłby ją ze stajni.

Teraz czekał na nią na Łące. Podszedł bliżej i uśmiechnął się do Tarczy.

– Piękne zwierzę – powiedział. Musnął dłonią przednią nogę wierzchowca i uniósł ją, by zbadać kopyto. – A nie mówiłem ci, dziewczę? Nic mu nie dolega.

– Pomyliłam się – mruknęła Cywen i oddała mu lejce.

– Nie ma wątpliwości – rzekł Drust i wskoczył w siodło. – Lepiej się do niego nie przyzwyczajaj – dodał, zataczając konno ciasny krąg. – To rumak wojenny, uwierz mi. Urodził się, by walczyć w bitwach.

Uderzył w końskie boki piętami. Tarcza skoczyła naprzód. Darń strzeliła mu spod kopyt.

Cywen przyglądała się, jak Drust rozpędza konia do galopu i szarżuje na słomiane cele po przeciwnej stronie Łąki. Z okrzykiem bojowym posłał w jeden z nich włócznię, która zadrżała, utkwivszy w tarczy.

Cywen przemknęła skrajem Łąki, kierując się ku zewnętrznemu murowi, który otaczał całą fortecę. Było wcześniej, ale słońce już świeciło mocno, a wiosna powoli zamieniała się w lato. Gdy mijiała dziedziniec, na którym szkolono się w walce wręcz, dostrzegła Rafe'a walczącego ze starszym, potężniej zbudowanym mężczyzną, bynajmniej mu nie ustępując. Na jej oczach chłopak zadał błyskawiczny cios, który całkiem zaskoczył przeciwnika, i grzmotnął go w ramię.

Na widok Rafe'a poczuła ukłucie winy, gdyż natychmiast przypomniały się jej otrute psy. Większość z nich zdechła, a przeżyło jedynie kilka, które po upływie dwóch dziesięcionocy nadal były słabe i wychudzone. Cywen była zaskoczona tym, że w ogóle przeżyły, bo dodała do mięsa wywaru, który ojciec podawał szczeniącym się sukcom jako środek uspokajający i uśmierzający ból, ale uczyniła go dziesięciokroć mocniejszym.

Rafe dostrzegł ją i ruszył ku niej. Wciąż lekko utykał po ranie, którą jej brat zadał mu w dniu upadku Dun Carreg.

– Dziewczyny mają wstęp wzbroniony na Łąkę! – oznajmił.

Cywen zignorowała go i nadal szła przed siebie, mijając po drodze wielką zagrodę, z której dobiegał ohydny smród gnijącego mięsa i jeszcze gorszych rzeczy. To tam Nathair trzymał swego oswojonego draiga. Dziewczyna kierowała się w stronę muru, w którym wykuto szerokie stopnie, dopasowane do długich kroków olbrzymów. Pnąc się na górę, spojrzała za siebie do wnętrza zagrody i dostrzegła ogon potwora, wystający z wielkiej nory, którą dla siebie wyrył. Na szczyt dotarła całkiem spocona i z ulgą powitała chłodny powiew wiatru. Wsparła się o blanki i wyjrzała poza fortecę.

Miała wrażenie, że może stąd zobaczyć cały świat. Na zachodzie ciągnęło

się morze, migoczące w blasku słońca. Niebo i horyzont były tak czyste, iż mogła niemalże dostrzec wybrzeże Cambrenu, przypominające teraz jedynie ciemne pasmo na horyzoncie. Odwróciła się ku południowemu zachodowi i spojrzała na jasną rzekę Tarin, wijącą się przez krajobraz i znikającą w mroku lasu Baglun.

Mam nadzieję, że Pendathran nadal żyje, pomyślała.

Stary wojewoda króla Brenina niedługo pozostał w porzuconej chacie Datha. Ten nocy, gdy zatrąła psy, Cywen zdołała przynieść mu coś do jedzenia i picia. Pendathran odpoczywał jeszcze przez jeden dzień, po czym w nocy wyruszył w drogę. Cywen opowiedziała mu o wszystkim, co wiedziała – o inwazji królowej Rhin na Narvon i o nadciągającym starciu między nią i Owainem. Opowiedziała mu też o plotkach, jakoby gdzieś na bagnach na zachodzie Ardanu powstawał już ruch oporu przeciwko najeźdźcom. To wystarczyło Pendathranowi. Nie powiedział jej, dokąd się wybiera, ale błysk w jego oczach zdradził jej wszystko.

– Chodź ze mną – zaproponował. – Przecież nic cię tu już nie trzyma.

Cywen poczuła pokusę, ale coś ją powstrzymało. Dun Carreg był przecież jej domem. Mogła zabrać ze sobą Buddaia, ale musiałaby pozostawić Tarczę. I kto by się nim zajął?

Mogłabym wykraść Tarczę i zabrać go ze sobą!, pomyślała, ale zaraz uświadomiła sobie, że ruszyłyby za nią pościg. Conall już nie spuszczał jej z oczu. Jeśli jej rodzina chowała się gdzieś na zachodzie, mogła przywieść Evnisa prosto do nich. Nie. Jeszcze nie. Niech najpierw Pendathran znajdzie bezpieczne schronienie, a potem może ruszę w ślad za nim, postanowiła.

– Jeśli spotkasz moją mamę i brata, przekaz im... – zaczęła, ale nie wiedziała, co powiedzieć. Że tęskniła za nimi? Że chciała, by powrócili? Czy istniało jeszcze coś, co miało sens?

– Przekażę im, że żyjesz, dziewczę. – Pendathran ujął jej dłonie. – I nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłaś.

A potem wstał i zniknął w mroku. Z tego, co Cywen zdążyła się zorientować, Ewnis nie zarządził wielkich poszukiwań. Jakże miałyby to zrobić pod nosem Owaina? Była przekonana, że oszalał z wściekłości.

Uśmiechnęła się na tę myśl.

Wówczas coś przykuło jej uwagę – jakiś ruch daleko na zachodzie,

na morzu. Wytężyła wzrok i po chwili była już pewna, że widzi okręty, mnóstwo okrętów. Wszystkie były smukłe i płynęły pod czarnymi żaglami, identycznie z tym, który stał na kotwicy w zatoce. Wkrótce zostały zauważone z murów fortecy, a wówczas ich przybycie powitały rogi. Cywen naliczyła dziesięć okrętów, potem dwadzieścia, potem jeszcze więcej...

Flotyła wpłynęła do zatoki. Na maszcie pierwszej jednostki łopotała bandera, przedstawiająca białego orła na czarnym tle.

Przybyła flota Nathaira.

Rozdział dwudziesty pierwszy

CAMLIN

Camlin poprowadził ich przez las do miejsca, gdzie spętali konie. Cztery z nich wciąż tam były.

Marrock pośpiesznie podzielił ich grupę. Edana i Halion dosiedli jednego konia, a Heb i Brina drugiego, choć starszycie nie spodobało się to, że musi się przytrzymywać swego towarzysza.

– Możesz mnie ścisnąć najmocniej jak chcesz – rzekł Heb. – Tylko wcześniej przyznaj, że sprawia ci to przyjemność.

Brina trzepnęła go w tył głowy.

Camlin wziął ze sobą Vonna, Anwartha i Datha do pomocy. Dwaj pierwsi sprawdzili się w walce i w razie potrzeby potrafili szybko działać, a trzeciego wybrał dlatego, że trzeba było go czymś zająć. Było mu przykro z powodu śmierci ojca chłopaka – dobrze wiedział, co to znaczy stracić kogoś bliskiego. Dath wyglądał, jakby osuwał się coraz głębiej w przepaść, z której ciężko mu będzie się wygrzebać.

– Pomogę wam – zaproponował Corban.

– Nie wydaje mi się, by zapach twojej wilkunicy ułatwił nam zakradanie się w pobliże wierzchowców – rzekł Camlin. – Ale ty byś się przydał, Gar. Masz rękę do koni.

– Ja nie rozstaję się z Corbanem – rzekł stajenny, a Camlin zrozumiał, że go nie przekona. Wzruszył więc ramionami.

– Ale na mnie możecie liczyć – oznajmił Marrock i się uśmiechnął. – Przyda mi się lekcja podkradania się.

– Dobra. – Camlin uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Podjedziemy tam, gdzie spotykają się te dwa wzgórza, i tam na was zaczekamy – rzekł Halion i wskazał pagórkowate łąki w oddali.

– Jeśli nie dołączymy do was przed wschodem słońca, jedźcie bez nas – dodał Marrock.

Obie grupy rozstały się. Camlin spoglądał na Haliona i Edaną, którzy odjeżdżali na czele swoich towarzyszy, kierując się ku skrajowi lasu, z dala od wsi, gdzie mogliby przyciągnąć czyjąś uwagę.

Wyczuwał nowe napięcie w stosunkach między Halionem i Marrockiem. Ostatnie wydarzenia utwierdziły Marrocka w przekonaniu, że powinni byli wrócić do Ardanu.

Czasu nie da się cofnąć, pomyślał Camlin. Dobry przywódca powinien to wiedzieć.

Lubił Marrocka i uważał go za swego przyjaciela, ale naturalnym przywódcą w ich gronie był Halion. Dowodził już ludźmi i potrafił wydawać rozkazy.

To Edana powinna nas prowadzić, rozmyślał. Zamiast tego podąża bezwolnie tam, gdzie jej pokażą.

Księżniczka w istocie wydawała się zaszczuta i przygnębiona, a od czasu starcia na plaży nie odezwała się ani słowem. Camlin wiedział, że nie nadaje się nawet do tego, by prowadzić kucyka za uzdę, nie mówiąc już o bandzie zdesperowanych niedobitków, którzy muszą się przedrzeć przez terytorium wroga.

Czy naprawdę warto jej bronić? Czy warto przechodzić dla niej przez to wszystko?

Znowu przemknęła mu przez głowę myśl o tym, by się wymknąć i zniknąć gdzieś bez śladu, ale wiedział, że to nie dla Edany wciąż tu jest. Jego miejsce w grupie uciekinierów wyznaczały dziesiątki rozmaitych okoliczności oraz poczucie lojalności wobec przyjaciół, których tu poznał. Wobec Marrocka, Datha, Corbana...

Lojalność? Co się ze mną dzieje?, zastanawiał się.

Z Braithem i jego banitami w Ciemnym Borze łączyła go świadomość wspólnoty, ale z drugiej strony dobrze wiedział, że w razie potrzeby każdy z nich poderznąłby mu w nocy gardło. Tutaj sytuacja przedstawiała się inaczej. Przyjaciele, jakich tu poznał, również byli inni. Camlin wreszcie czuł, że stał się członkiem jakiejś społeczności i postępuje tak, jak należy.

Pewnie nie potrwa to długo, pomyślał, ale póki co nie miał zamiaru nikogo porzucać.

Przynajmniej nie dziś.

Sprzeczką Briny i Heba powoli cichła w oddali. Pozostałych koni dosiedli Gwenith i Farrell, a Corban i Gar pobiegli za nimi. Wilkunica uskoczyła w bok i wnet stała się jasną plamą wśród długich traw i łąkowych kwiatów. Z koron drzew dobiegł jakiś wrzask. Wyfrunął stamtąd Craff, który podążył za jeźdźcami. Wkrótce stał się tylko ciemną plamką na niebie.

– Bierzmy się do roboty – oznajmił Marrock.

– Tak jest, szefie.

Słońce chyliło się ku zachodowi i słało wydłużone cienie, gdy ruszyli w stronę zagród. Dookoła wznosiły się niewysokie pagórki, porośnięte długimi, kołyszącymi się z szelestem trawami, dzięki czemu przez większość czasu byli niewidoczni dla mieszkańców wsi.

Nim dotarli do pierwszego z budynków, minęło sporo czasu. Camlin zatrzymał się przy ogrodzeniu. Hufiec obozował głównie po drugiej stronie rzeki – w miarę, jak zapadał zmierzch, widać było coraz więcej ognisk, a wiatr przynosił strzępy śpiewów.

W zagrodzie zgromadzono przynajmniej pięćdziesiąt koni, które zajadały trawę, głównie w środku zabudowania. Z tyłu, usytuowana na brzegu rzeki, wznosiła się wędzarnia. Przy otwartych drzwiach stał wojownik, opromieniony światłem padającym ze środka. Wyglądało na to, że budynek został przejęty na potrzeby ludzi strzegących koni.

Naraz Camlin poczuł czyjaś obecność za sobą. Odwrócił się i ujrzał podkradającego się Marrocka.

– Jak chcesz to rozegrać, szefie? – mruknął Camlin.

– Właśnie ciebie chciałem o to spytać. Jesteś w tym nieco bardziej wprawiony ode mnie i myślałem, że nauczysz mnie czegoś – rzekł Marrock. – Wiem tylko tyle, że jeśli mamy odjechać stąd na tych koniach, będziemy potrzebowali siodeł i uprzęży.

– O tym właśnie myślę – odparł Camlin i wskazał skinieniem głowy wędzarnię. – Wezmę Vonna i Datha. Zobaczę, co się uda zrobić. Zaczekajcie na mój sygnał, a potem po prostu zaczniecie łapać konie.

– Tak jest.

Camlin obszedł zagrody i wędzarnie szerokim łukiem, docierając niemalże do brzegów rzeki, gdzie wysoka trawa ustępowała miejsca turzycy i trzcinom, a ziemia była podmokła. Zaczekał na Vonna i Datha,

po czym przydzielił im zadania. Vonn spoglądał na niego z determinacją, ale młody syn rybaka wydawał się zdenerwowany i roztrzęsiony. Camlin odesłał więc Vonna na stanowisko, ale Datha przytrzymał za łokieć. Chłopak spojrział na niego.

– Wiem, że cierpisz, chłopcze, ale muszę mieć pewność, że nas nie zawiedziesz.

– Ja... ja spróbuję – wymamrotał Dath.

– Wolałbym usłyszeć jakąś konkretniejszą obietnicę. – Były banita ujął głowę Datha i obrócił ją, by móc spojrzeć mu w oczy. Czuł, że chłopak drży na całym ciele. – Twój ojciec nie żyje. To smutna prawda, ale nic na to nie poradzimy. My jednakże żyjemy i potrzebujemy twojej pomocy. Rozumiesz, co mówię? Jesteśmy teraz dla siebie rodziną. Ty, ja, Marrock, Halion, twój przyjaciel Corban, my wszyscy! Los nas związał i musimy zrobić wszystko, by pomóc sobie przeżyć, a potem pomścić tych, których straciliśmy.

Dath nabrał głęboko tchu. Drzenie powoli ustępowało.

– Przydzieliłem ci zadanie. Robotę godną mężczyzny. Zrobiłem to, bo wiem, że jej podołasz. Patrzyłem na ciebie dziś i widziałem, że dzielnie walczysz. Co więcej, dobrze sobie radzisz z łukiem.

Dath opuścił spojrzenie.

– Ale się boję.

– Wszyscy się boimy. – Camlin zachichotał. – Tylko trupy się niczego nie boją. Wykorzystaj swój strach, chłopcze. Niech doda ci szybkości, niech uczyni cię czujnym. Nie pozwól, by cię pokonał.

W oczach Datha błysnęło wówczas coś nowego. Wyglądało na to, że podjął decyzję. Skinął głową ze zdecydowaniem.

– No, dobry chłopak. Ruszaj więc i zrób, co do ciebie należy.

Po słońcu pozostała jedynie jaśniejsza plama na niebie i oświetloną wędzarnię zewsząd otoczyły ciemności. Camlin patrzył, jak Dath niknie w trawie. Dał mu wystarczająco dużo czasu, by zdążył dotrzeć do budynku i ukryć się po jego przeciwnej stronie. Potem były banita wstał i wyprostowany ruszył przez trawy. Schylił się pod ogrodzeniem i skierował prosto ku zagrodzie. Przy drzwiach nadal stał wojownik.

– Czołem! – zawołał Camlin, uśmiechając się szeroko i unosząc rękę na powitanie. – Jak leci?

Wojownik wzruszył ramionami i przyjrzał się uważnie przybyszowi.

– Znośnie. Czego tu szukasz?

– Chciałem tylko zobaczyć, co u mego konia i rozprostować nogi. Siedzenia i picia mam już serdecznie dosyć.

W drzwiach pojawił się kolejny mężczyzna, wyższy od pierwszego.

– A ja picia nigdy nie mam dosyć – oznajmił. – Masz może przy sobie coś, czym można by zwilżyć gardło?

– Nie – rzekł Camlin. Był już tak blisko, że mógł ich obu dotknąć.

– Szkoda – odparł drugi ze strażników i wrócił do środka.

– A więc cisza i spokój? – spytał Camlin i zerknął do budynku w ślad za zawracającym żołnierzem. Ze środka bił zapach ryb. Nad ogniem bulgotał garnek z czymś do jedzenia, na jednej ścianie wisiały siodła i koce, a na drugiej uprząże i poprzęgi. W środku był tylko jeden człowiek.

– Tak – odparł pierwszy z rozmówców Camlina.

– Wrócił już Haf z chłopakami?

– Kto?

– No, Haf. Pojechał z kilkoma naszymi do lasu. – Camlin machnął ręką.

– Ktoś zobaczył łódź na plaży i uznał, że to mogą być szpiedzy Owaina.

– Nic o tym nie wiem – odparł tamten i wyszedł z chaty, by spojrzeć na las. Obaj byli teraz jedynie ciemniejszymi plamami pośród zmierzchu.

– Dobra, nie będę ci zawracał głowy – stwierdził Camlin i cofnął się od światła, padającego z wnętrza chaty. – Zerknę na konia.

– Sporo ich tam jest – oznajmił wojownik.

– Daj spokój – odparł Camlin. – Stąd ją widać. To ta wielka srokata klacz. – Pokazał na stado.

– Hej, widziałeś to? – syknął nagle wojownik i zrobił kilka kroków w kierunku zagrody.

– Gdzie?

– Tam, niedaleko chaty... Wydawało mi się, że widzę... – Wojownik zrobił jeszcze krok, oddalając się od światła, a jego ręka opadła na rękojeść miecza, kiedy rozległ się świst zwieńczony cichym, wilgotnym łupnięciem.

Strażnik zachwiał się, a Camlin doskoczył do niego w okamgnieniu. Jedną ręką zasłonił mu usta, a drugą wepchnął mu nóż między żebra, przebijając płuco. Mężczyzna stęknął i osunął się, a banita ułożył go na

ziemi.

Następnie odwrócił się i wrócił do wędzarni, chowając nóż do pochwy. Vonn wyslizgnął się z mroku, gdzieś rozległy się też kroki Datha. Camlin spojrział na Vonna i wskazał mu wędzarnię, a potem sam wszedł do środka przez otwarte drzwi.

Mężczyzna w środku nachylał się nad kociołkiem i mieszał jego zawartość. Odwrócił się ku Camlinowi, a ten bez wahania wbił mu nóż w brzuch. Strażnik zdołał jeszcze pochwycić banitę za nadgarstek, ale siły opuszczały go błyskawicznie. Zatoczył się i padł na kociołek, rozbryzgując jego zawartość. Camlin zdusił i zdeptał rozprzestrzeniające się płomienie.

Spojrzał na Vonna, który wpatrywał się w niego.

– Uczciwie go nie potraktowałeś – oznajmił.

– W istocie, nie – rzekł Camlin polubownie. – Nie było w tym ani odrobiny uczciwości. Ale on jest martwy, a ja nie i to się liczy. Ty też wciąż oddychasz, jeśli chodzi o ścisłość.

Przepchnął się obok Vonna. Stanął na progu i zamachał. Dath nachylał się nad zabitym wojownikiem i wyciągał mu strzałę z piersi.

– Dobra robota! – zawołał do niego Camlin. – Pomóżcie mi teraz zabrać uprząż i siodła, nim dotrze do nas Marrock.

* * *

Dopiero nad ranem Camlin, Marrock i reszta połączyli się z grupą Haliona. Co ważne, wszyscy żyli i każdy dosiadał mocnego, szybkiego konia. Sprawy mogły się potoczyć o wiele gorzej.

Halion ruszył konno na czele ich niewielkiej kolumny.

– Domhain leży na północny zachód stąd – powiedział, obróciwszy się w siodle. – Udamy się więc w tym kierunku i to szybko, by zwiększyć przewagę nad pościgiem. Przemierzałem już Cambren, ale nigdy dotąd nie dotarłem tak daleko na południe. Wiem o pewnej wygodnej przełęczy, która prowadzi przez góry ku Domhainowi, ale znajduje się o wiele dalej na północ, a więc to tam się skierujemy.

To ruszajmy w drogę, zamiast gadać o tym, pomyślał Camlin i obejrzał się za siebie w poszukiwaniu śladów pościgu: kłębow kurzu spod kopyt,

zrywających się do lotu ptaków, czegokolwiek, ale póki co wszędzie panował spokój.

W południe zatrzymali się przy strumieniu. Camlin zeskoczył z konia, napił się do syta i opryskał szyję wodą.

Niespodziewanie w pobliżu rozległ się cichy trzask. Były banita poderwał głowę, zaalarmowany, ale ujrzał jedynie kruka Briny, który siedział na ciemnej, granitowej skale i z uciechą rozbijał wielkiego ślimaka na kawałki, po czym wyrwał jego miękkie ciało i pochłonął jednym haustem.

– Nie cierpię tego kruka – burknął ktoś nieopodal. Był to Dath.

Camlin pokiwał głową. Nie chciał mówić takich rzeczy na głos, bo jeszcze ptak mógłby go usłyszeć.

– W drogę! – zawołał Marrock.

Camlin wspiął się na siodło, gdy zauważył, że wilkunica zamarła i wpatruje się w coś za nimi. Obrócił się i wyteżył wzrok, spoglądając na przebytą drogę.

– Szefie! – zawołał.

Marrock podjechał do niego.

– Co się dzieje?

Camlin wyciągnął rękę. W oddali przesuwwały się odległe, ledwie widoczne postacie, przypominające sznurek wędrujących mrówek.

– Lepiej dajmy z siebie wszystko – rzekł. – Mamy towarzystwo.

Rozdział dwudziesty drugi

VERADIS

Veradis ściągnął wodze, gdy jego oczom ukazało się Dun Carreg. Calidus podjechał bliżej, a hufiec za ich plecami się zatrzymał.

– Nathair tam jest? – spytał młodzieniec, wpatrując się w fortecę.

– Tak. On i Lykos – odparł starzec.

Popędzili konie, a drużyna wojowników ruszyła za nimi.

Jehar podzielili się na dwie grupy i podążali teraz po obu stronach kolumny niczym czarne skrzydła rozciągnięte nad zielonymi łąkami. Na południu ciągnęły się gęste, na pozór nieprzebyte lasy, które przywodziły na myśl Forn. Od chwili spotkania z Maquinem Veradis bił się z myślami. Dotrzymał słowa i poprowadził Alcyona, Jaela i resztę zbrojnych daleko od starego Gadrai i jego towarzyszy, ratując ich w ten sposób od pewnej śmierci, choć musieli jeszcze przeżyć wędrówkę przez Forn. Wiedział, że postąpił źle, ale czuł, że jest to winien Maquinowi. Być może chciał mu w ten sposób jakoś zrekompensować śmierć Kastella. Alcyon przez resztę dnia mierzył go badawczym spojrzeniem i Veradis zastanawiał się, czy olbrzym przypadkiem nie domyślał się prawdy.

Nie to go jednak martwiło. Tak naprawdę dręczyły go słowa, które Maquin wygłosił na odchodnym: „Uważaj, po czyjej stronie stajesz. Dobrze sobie to przemyśl”.

Ale przecież przemyślał to sobie dokładnie! Dokonał właściwych wyborów.

Ale czy naprawdę?

Nathair był jego przyjacielem oraz Jasną Gwiazdą, tym, o którym mówiło proroctwo. Calidus zaś należał do Ben-Elim, anielskich wojowników, i przybył, żeby ich wesprzeć i poprowadzić przez mroczne

chwile, które ich oczekiwały. Wszak nadchodziła wojna z Asrothem oraz jego Czarnym Słońcem. Skoro jednak dokonał właściwego wyboru, skąd się brało poczucie popełnionego błędu? Dlaczego co noc, gdy układał się do snu, widział twarz nieżyjącego Kastella i czuł na sobie oskarżycielskie spojrzenie jego martwych oczu?

Trwa wojna, szepnął jakiś głos w jego głowie. Trzeba podejmować trudne decyzje i ważyć się na równie trudne czyny.

Prawda, wszystko to prawda. Veradis cieszył się w duchu z tego, że ma ze sobą Calidusa, który go prowadzi i pomaga mu w chwilach zawahania.

A wszystko to dla większego dobra, oznajmił ten sam głos w jego głowie.

– Tak. Dla większego dobra – powtórzył.

– Co? – spytał Bos, który galopował obok niego.

– Nic. – Veradis pokręcił głową.

– Gadanie do siebie to pierwsze oznaki szaleństwa, wiesz?

– Naprawdę? A więc straciłem już rozum dawno temu.

– Szlag, a mogłem cię ostrzec. – Bos się uśmiechnął.

Dun Carreg było już blisko, a u stóp wzgórza, na którym wznosiła się twierdza, rozciągała się niewielka wioska.

– Zadmij w ten swój róg, Bos. Niech wiedzą, że nadciągamy.

* * *

Wojownicy Jehar wprowadzili Veradisa do komnaty zajmowanej przez Nathaira. Wokół stołu znajdującego się pod ścianą rozstawiono siedem krzeseł. Na jednym z nich rozsiadł się Lykos. Veradis widział flotę kotwiczącą w zatoce pod Dun Carreg, złożoną ze smukłych galer wojennych Vin Thalun oraz transportowców z pękatymi kadłubami. Lykos, ujmujący kielich z winem, uśmiechnął się szeroko na widok Veradisa.

– Napijmy się! – oznajmił i wręczył młodzieńcowi pełen kielich.

Ten przyjął go z uśmiechem. Cieszył się nawet na widok Lykosa, bo przynajmniej kojarzył mu się z domem. Upił łyk i skrzywił się.

– Co to jest?

– Miód. W miarę, jak pijesz, staje się lepsze. – Lykos wyszczerzył zęby.

– Mam nadzieję. – Veradis się skrzywił. – Widziałeś gdzieś Raucę? – spytał, spoglądając na puste krzesła.

Od chwili, gdy wjechał do Dun Carreg, miał tyle spraw na głowie, że nie zdążył się nawet rozejrzeć za przyjacielem. Spotkał się za to z Nathairem, który powitał go w bramie fortecy, podniósł z klęczek i objął serdecznie.

– Tęskniłem za tobą, przyjacielu! – rzekł.

– A ja za tobą – odparł Veradis, którego serce zalała wielka ulga. Cieszył się z tego, że Nathair był cały i zdrowy, a on znalazł się znów u jego boku, by go chronić. Nie mieli jednak czasu na rozmowę, gdyż podszedł do nich wysoki mężczyzna o szczupłej twarzy. Na jego szyi wisiał złoty torkwes.

– Oto Owain, król Narvonu i Ardanu – przedstawił go Nathair.

Władca nie zrobił na Veradisie wielkiego wrażenia. Nie widział w nim królewskiego majestatu, a dostrzegł troski i zgryzotę, których ciężar Owain ledwie wytrzymywał. Miał bladą cerę i zapadłe oczy. Skinął Veradisowi, nie patrząc nawet na niego, i spojrzał na nowo przybyłą drużynę, która właśnie rozbijała obozowisko na łąkach za wsią rybaków, oraz na zatokę, na której stała flotylla okrętów z czarnymi żaglami.

– Tylu ludzi – rzekł do Nathaira. – Robisz wrażenie człowieka gotowego na wojnę.

– Bo w istocie szykuję się do walki – odparł ze spokojem młodzieniec. – Do starcia z Asrothem i jego Czarnym Sercem. Jak zapewne wiesz, niebawem wyruszę na północ, na ziemie olbrzymów z plemienia Benothi, a tylko głupiec poważyłby się na takie czyny z zaledwie garścią wojowników.

Owain przeniósł spojrzenie na Nathaira.

– Trzeba nam się naradzić, ale najpierw muszę się dowiedzieć, gdzie przebywa Rhin i co planuje – oznajmił i skierował się do wsi.

– Nie możemy tu rozmawiać – rzekł Nathair, widząc pytające spojrzenie swego pierwszego miecza. – Obawiam się, że Owain mi nie ufa. Zresztą w tej chwili Owain nie ufa nikomu, czego nauczył się niestety nieco za późno. Chodź, wskażę ci twoje komnaty, gdzie będziesz mógł odpocząć. – Pociągnął nosem i dodał: – I wykąpać się. Później po ciebie poślę, byśmy mogli porozmawiać.

Veradis wymoczył się w gorącej kąpieli, spożył normalny posiłek i założył na siebie lnianą tunikę oraz skórzany kilt, choć nie rozstał się ze swymi dwoma mieczami. Na stopy wsunął żelazne sandały, przez co każdy jego krok odbijał się echem, gdy szedł za posłańcem Nathaira do jego prywatnych komnat. Tam został poczęstowany obrzydliwym alkoholem

przez pirata z Vin Thalun. Nadal nie mógł się nadziwić, ile niezwykłych rzeczy przyszło mu przeżyć przez ostatnie lata.

Drzwi stanęły otworem. Do środka weszli Nathair, a za nim Sumur, Calidus i na końcu Alcyon. Król Tenebrału wskazał im krzesła.

– Musimy poczekać na jeszcze jednego uczestnika naszej narady – rzekł.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi i do sali wszedł człowiek, którego Veradis nigdy wcześniej nie widział. Miał jasne włosy i starannie przyciętą, wypielęgnowaną brodę. Nosił tunikę i bryczesy, a jego ruchy były pewne i oszczędne.

– Oto Ewnis, do niedawna doradca króla Brenina – oznajmił Nathair. – Przed kilkoma dniami podjął u mnie służbę i już okazał się cennym, lojalnym sojusznikiem. Możecie mówić przy nim otwarcie.

Ewnis uśmiechnął się, aż wokół jego oczu pokazały się zmarszczki, po czym usiadł przy stole.

– Cieszę się, że widzę was tu wszystkich – ciągnął Nathair. – To prawdziwy cud, że udało nam się tu spotkać, setki mil od Tenebrału.

– Dobry dowód na to, że Elyon nam sprzyja i błogosławi naszym działaniom! – Lykos podniósł kielich i upił łyk.

– A także świadectwo wielkich talentów Calidusa – dodał Nathair, ale Calidus, który wpatrywał się ze zmarszczonymi brwiami w pirata, machnął tylko ręką.

– Lykos, zacznijmy od ciebie. Jestem spragniony wieści z domu.

Z domu, pomyślał Veradis. Tęsknię za Tenebralem i Nathair również, sądząc po jego spojrzeniu.

– Twoja matka przekazuje ci pozdrowienia – rzekł Lykos.

Na twarzy Nathaira pojawił się ciepły, szczery uśmiech.

– Nic jej nie dolega?

– Z tego, co widziałem, na zdrowiu nie podupadła. Próbuje też rządzić Tenebralem najlepiej jak się da.

– Próbuje? – Nathair zmarszczył brwi.

– W królestwie szerzą się niepokoje, mój panie. Twoi baronowie próbują wykorzystać twą nieobecność oraz żalobę twojej matki.

Którzy baronowie?, pomyślał Veradis. Mam nadzieję, że nie mówi o baronie Ripy, moim ojcu...

– Co chcesz przez to powiedzieć? Matka nie informowała mnie o niczym

takim.

– Przekazała mi list do ciebie. – Lykos wyjął coś zza tuniki. – Proszę.

Nathair obejrzał uważnie pieczęć, a potem złamał ją i w milczeniu zapoznał się z treścią pergaminu.

– Nie sądzę, by chciała ci pisać o wewnętrznych problemach Tenebrału – powiedział Lykos. – Zależy jej na tym, by ci ulżyć, a nie dorzucić trosk.

– Píše, że to wy, Vin Thalun, powodujecie sporo spośród tych problemów. – Nathair spojrział na pirata.

– Twoi wrogowie wykorzystają każdą sposobność, by ci zaleźć za skórę. – Lykos wzruszył ramionami.

– Chcę usłyszeć prawdę – rozkazał król.

– Miałem wiele problemów z budową floty. Niektórzy z baronów wielce mi to utrudniali, zwłaszcza Marcellin na północy oraz – Lykos zerknął na Veradisa – Lamar na południu.

Mój ojciec, pomyślał zaskoczony młodzieniec.

– Ograniczali dopływ surowców, zwłaszcza drewna – dokończył Lykos.

To do niego podobne, uświadomił sobie Veradis. Nienawidzi Vin Thalun, podobnie jak mój brat Krelis.

– Opowiedziałem o wszystkim twej matce, a ona zainterweniowała. Ja jednakże uznałem, że dobrze by było dowiedzieć się o nich czegoś więcej.

– Czyli zacząłeś ich szpiegować – rzekł Nathair.

Mojego ojca trafiłby szlag, gdyby poznał prawdę..., pomyślał Veradis.

– Tak. I dowiedziałem się, że wielu spośród twoich ludzi jest niezadowolonych z tego, jak rządzisz Tenebralem, oraz z tego, że zawarłeś z nami sojusz – ciągnął Lykos, uśmiechając się ponuro. – Myślę, że w każdym królestwie tak się dzieje, bo ktoś zawsze pożąda więcej władzy, ale Lamar i Marcellin wygadują na twój temat mnóstwo rzeczy, a plotki się niosą. Niewykluczone, że wkrótce zrobi się z tego coś więcej niż tylko gderanie.

– Nie wierzę w to – rzekł Veradis. – Mój ojciec nie ma kryształowego charakteru, ale nie powiedziała by nigdy nic złego na ciebie, Nathairze. Jesteś jego królem.

– Być może – odparł Nathair. – Ale pamiętam, podobnie jak i ty, nasze poprzednie spotkanie. Już wtedy okazał mi brak szacunku.

Nie da się zaprzeczyć, pomyślał Veradis.

Niemalże pokłócił się z ojcem o to, w jaki sposób potraktował króla. Na samo wspomnienie obudził się w nim gniew.

– A co mówią? – Nathair zwrócił się do Lykosa.

– Że porzuciłeś ojczyznę i lud, by spełniać własne ambicje.

Twarz Nathaira zniekształcił gniew.

– Każdy mój czyn, każda myśl i słowo poświęcam dobru Tenebralu! – wykrzyknął i rąbnął zaciśniętą pięścią w stół.

– Wiem to, mój panie, ale wygląda na to, że Marcellin i Lamar nie zdają sobie z tego sprawy. Co więcej, Marcellina widywano w towarzystwie Peritusa.

– Peritusa?

– Tak.

Peritus był wojewodą króla Aquilusa, ojca Nathaira, który otwarcie skrytykował mur tarcz oraz nowe strategie bitewne. Po części z tego powodu został wyłączony poza nawias najbliższych i najbardziej zaufanych stronników Nathaira, choć jak dotąd młody władca nie kwestionował jego lojalności wobec korony.

– Martwi mnie rozwój wypadków w Tenebralu – ciągnął Lykos. – Są sytuacje, które należy rozstrzygnąć żelazną ręką, a nie sądzę, by twa matka była obecnie w stanie poradzić sobie należycie z nieposłusznymi baronami. Ludzie mówią, że od śmierci twego ojca nie jest już tą samą osobą.

– Wiem. – Nathair pochylił głowę. – Miałem nadzieję, że oddanie jej rządów pod moją nieobecność pomoże jej stanąć na nogi i otrząsnąć się z wielkiej żałoby. – Zmiażdżył list w dłoni. – Nie pozwolę, by ktokolwiek wykorzystywał jej łagodność. Ani by ktoś rzucał mi wyzwanie.

– Jehar z ochotą oczyszcza tve królestwo z wszelkiej zgnilizny – odezwał się Sumur. – Nie ma w nas lęku czy wahania. Zrobimy to, co zrobić należy.

– Nie wątpię – rzekł Nathair. – Ale dopiero co was tu wezwałem i nie chcę się z wami rozstawać. – Spojrzał na Veradisa. – Zastanowię się nad tym. Być może trzeba będzie podjąć trudne decyzje.

Trudne decyzje? W sprawie mego ojca? I braci?, pomyślał Veradis, a w jego sercu zostało zasiane ziarno niepokoju.

– Calidus opowiedział mi już z grubsza o tym, co się wydarzyło w Fornie – rzekł Nathair, który najwyraźniej pragnął szybko zmienić temat. – Zwycięstwo przyniosło nam wiele korzyści. Przede wszystkim mam na myśli odnalezienie topora z gwieźdnego kamienia.

Wszyscy spojrzeli na Alcyona, który odpiął topór z pleców i oparł go o stół.

– To doprawdy niezwykle błogosławieństwo – rzekł Calidus. – Teraz, gdy zawładnęliśmy toporem, nasza pozycja jest o wiele silniejsza. Da nam większą pewność w chwili, gdy przejmujemy kocioł.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Nathair.

– Ten topór to jeden z Siedmiu Skarbów, a jego ostrze wykuto z tego samego surowca co kocioł i pozostałe Skarby. To obca dla nas, ale potężna materia, a gdy Skarby znajdują się blisko siebie, ich moc się zwiększa. Wystarczy sama obecność topora, by zwiększyć możliwości kotła.

– Marzę i śnię od nim od tak dawna – zamyślił się Nathair. – Ani na moment nie zwątpiłem w jego wagę, ale zawsze zastanawiałem się, do czego on służy? Jaką ma w sobie moc? Dlaczego jest tak ważny w wojnie z Asrothem i jego Czarnym Słońcem?

Calidus spoglądał na Nathaira, cisza się przeciągała, aż wreszcie się odezwał:

– Siedem Skarbów nie pochodzi z tego świata – rzekł. – Wszystkie są związane z Zaświatem, a kocioł najbardziej z nich. Dzięki jego mocy nasz świat realny może złączyć się z Zaświatem.

Veradis poczuł gęsią skórkę.

– A w jakim celu?

– By sprowadzić tu mych pobratymców. By ściągnąć Ben-Elim do świata śmiertelników. Dzięki ich pomocy będziemy niezwycięzeni. Zmiażdżymy Czarne Słońce i zapewnimy rządy Elyonowi po wsze czasy.

Zapadła cisza.

– O tym właśnie marzę! – Na twarzy Nathaira pojawiła się ekstaza. – Tego pragnę i o to walczę! Czyż nie, bracie? – Zacisnął dłoń na ramieniu Veradisa. – Wreszcie będziemy mogli zaprowadzić porządek na tym świecie. Na własne oczy ujrzymy, że nasza ciężka praca i wszystkie trudne wybory nie poszły na marne.

– Tak, Nathairze – rzekł Veradis.

– Odkryłem jeszcze coś, co powinniście wiedzieć – podjął Calidus. – Otóż kocioł można zniszczyć, ale tylko wtedy, gdy wszystkie Skarby zostaną zebrane razem. Skoro mamy już topór, zyskujemy pewność, że do tego nie dojdzie.

– To dobra wieść – powiedział Nathair.

– Musimy więc teraz odnaleźć sam kocioł.

– Ewnis potwierdził, że znajduje się on w Murias – rzekł Nathair.

– To doprawdy nieoczekiwana informacja. – Calidus spojrział na Ewnisa z nowym zainteresowaniem.

– Miałem kiedyś powód, by przyjrzeć się uważnie Benothi – rzekł Ewnis. – Bywało też, że wchodziłem z nimi w układy. To od nich się dowiedziałem, że kocioł znajduje się w Murias.

Calidus pokiwał głową.

– A więc musimy się tam bezzwłocznie udać!

– Nie tak szybko – rzekł Nathair. – Równie żarliwie jak ty, Calidusie, pragnę wypełnić zadanie, które wyznaczył nam Elyon, ale póki co tu też mamy sporo do zrobienia. Mamy okazję, by wzmocnić nasz sojusz.

Mam wrażenie, że za każdym razem, gdy mówisz o sojuszu, chodzi ci o twe imperium, pomyślał Veradis. Dobrze pamiętał radę u Aquilusa i późniejszą kłótnię między nim a synem. Widział też na własne oczy niezgodę między królami Ziem Wygnanych i wiedział, że marzenie Nathaira, by zbudować imperium, miało wielki sens. Imperium było tworem o wiele mniej skomplikowanym. Jeden władca, mniej dyplomacji i polityki – już samo to przekonywało Veradisa, ale czuł, że rzeczywistość nie okaże się taka prosta. Chcąc zbudować imperium, Nathair musiałby zmusić wszystkich królów do uległości, a to było równie prawdopodobne jak dobrowolna kapitulacja samego Czarnego Słońca. Jediną opcją pozostawała więc wojna, a z nią śmierć i rzeź na niewyobrażalną skalę. Nie podobało mu się to, ale czy istniało inne rozwiązanie? Asroth szykował się, by zniszczyć każdego, kto stapał po tej ziemi, bez względu na płeć i wiek. Wobec takiej perspektywy krwawa walka o zjednoczenie Ziem Wygnanych wydawała się znośniejsza.

Przecież to dla większego dobra...

Kręciło mu się w głowie na myśl o ogromie wydarzeń, w które został wpłątany. Miał wrażenie, że kroczy po wąskim moście nad wielką

otchłania i wystarczyłby jeden fałszywy krok, by runął w dół.

Potrząsnął głową.

Pozostawię intrygi polityczne i podejmowanie decyzji Nathairowi, postanowił.

– Pozwólcie, że przedstawię wam sytuację tak, jak ją rozumiem – ciągnął król Tenebralu. – Ewnisie, popraw mnie, jeśli popełnię gdzieś błąd. Na zachodzie Ziem Wygnanych istnieje bądź istniało pięć królestw: Cambren, Ardan, Narvon, Domhain oraz Benoth na północy, zamieszkałe przez olbrzymy. Ardanem rządził Brenin, który zginął w walce, a jego władztwo zostało przejęte przez Owaina, króla Narvonu. Niedawno na arenie pojawiła się Rhin, królowa Cambrenu, która najechała Narvon, a teraz rozwija ofensywę ku Ardanowi. Planuje odebrać Owainowi zarówno Narvon, jak i Ardan.

– Uczyni to ją potężną władczynią – stwierdził Calidus.

– Tak. To ambitna kobieta i nie sądzę, by na tym poprzestała. W rejonie znajdują się jeszcze dwa królestwa: Domhain i Benoth. Myślę, że jeśli uda się jej przeprowadzić swój plan, skieruje uwagę na któreś z nich.

– Podoba mi się ta kobieta – rzekł Lykos. – Jest taka jak ja!

– Czy to nie uczyni jej nazbyt potężną? – spytał Veradis. – Pamiętam ją z rady u twego ojca. Nie budzi mego zaufania.

– Ja nie ufam nikomu poza wami – oznajmił Nathair. – A Rhin w istocie stanie się potężna, ale osobiście wolę, by zachodem rządziła jedna osoba, którą znam, niż czterech pomniejszych królów. – Wzruszył ramionami. – Carnutanem na wschodzie rządzi Gundul, który polega na moim wsparciu. Isiltirem przypuszczalnie zawładnie Jael, choć zdaniem Calidusa będzie potrzebował pomocy w walce o tron. – Przy tych słowach Nathair przeniósł spojrzenie na pirata. – Myślę, że mu się przydasz, Lykosie. Wreszcie będziesz miał coś konkretniejszego do zrobienia poza samą żeglugą.

– Trzeba rzeczywiście dać mu coś do roboty, zanim się zachleje na śmierć – mruknął Calidus.

– Muszę przyznać, że od czasu podbicia Trzech Wysp moje życie stało się cichsze. Ba, nawet nudne. Przyda mi się trochę ruchu – oznajmił Lykos i wznosił puchar z uśmiechem.

– Skoro zależy ci na ruchu, mam dla ciebie zadanie – rzekł Nathair. –

Potem przedstawię ci szczegóły. A wracając do tematu, Isiltir wkrótce znajdzie się w rękach Jaela, a władzę nad Helvethem przejmie Lothar, kolejny człowiek, któremu jestem winien wdzięczność. Gdyby więc zachód znalazł się pod władaniem Rhin, a ta zgodziłaby się uznać moją zwierzchność, większość Ziem Wygnanych znalazłaby się pod naszą kontrolą.

– A moje Trzy Wyspy od dawna są twoje – dodał Lykos.

– Tak. Innymi słowy, Czarne Słońce Asrotha będzie miał trudności ze znalezieniem królestwa, które go poprze.

– A co z Owainem? Myślałem, że on już jest w twojej strefie wpływów – naciskał Veradis. – Dlaczego nie chcesz oprzeć się na nim? Być może okazałby się wygodniejszym sojusznikiem od Rhin, a przynajmniej mniej ambitnym.

– Mniej ambitnym, co do tego mam pewność. Ale Owain to również człowiek małostkowy i skupiony na własnych sprawach, a do tego uparty i chwiejny, a to złe połączenie. Nie ma w sobie siły, która pozwoliłaby mu stawić czoła nadchodzącym trudnym chwilom. A w głębi serca nie jest zainteresowany ani mną, ani też sojuszem z innymi królestwami. Jestem o tym przekonany.

– Czyli poprzemy Rhin – rzekł Calidus.

– Tak – odparł Nathair. – A teraz musimy ustalić, w jaki sposób to zrobimy.

Ich narada trwała do późnych godzin nocnych. Ułożyli szczegółowy plan działania, w czym Evnis okazał się bardzo pomocny. Nathair nie przesadził – mężczyzna w istocie dysponował wielką wiedzą. Veradis zaś z ulgą i radością dowiedział się, że do Ardanu płynie właśnie ponad pięciuset orlich wojowników z Tenebralu, wyszkolonych do walki w murze tarcz. Mieli znaleźć się pod jego dowództwem i wzmocnić jego zdziesiątkowany hufiec.

Jego myśli znów zaczęły krążyć wokół ojczyzny, a wtedy coś sobie przypomniał.

– A gdzie jest Rauca? – zapytał.

Wszyscy spojrzeli na niego.

Nathair pokręcił głową.

– Rauca nie żyje. Poległ w nocy, kiedy forteca została przejęta przez

Owaina.

– Co?

Nathair mówił dalej, ale Veradis nie słyszał jego słów. Miał wrażenie, że jakaś siła cisnęła go prosto w ciemną, mroczną toń. Wszystko wokół niego rozmazało się i straciło wagę. Zdawał sobie sprawę, że może do tego dojść, ale jakoś nigdy nie dopuścił do siebie myśli, że przytrafi się to jego przyjacielowi. Uniósł głowę i ujrzał, że usta Nathaira nadal się poruszają.

– Kto? – spytał ostro, jakby strzelał z biczem, a świat wokół niego natychmiast odzyskał wyrazistość. – Kto go zabił?

Nathair spojrział na Sumura.

– To człowiek o imieniu Gar. – Jehar wzruszył ramionami.

– Ten sam, który zabił niemalże wszystkich spośród moich orlich strażników, i to w pojedynkę! – dodał ponuro Nathair. – Sumur, opowiedz Veradisowi o tym Garze.

Sumur opuścił wzrok i nabrał tchu. Pierwszy raz okazywał jakiegokolwiek emocje, od chwili gdy Calidus ujawnił swą prawdziwą naturę jako Ben-Elim.

– To Jehar – zaczął.

– Co takiego? – Calidus pochylił się ku niemu.

– To Jehar – powtórzył królewski przyboczny. – Pamiętasz rozmowę, którą odbyliśmy po waszym przybyciu do Telassar? Powiedziałem wam wówczas, że przed wami przybył ktoś inny, kto uwiódł część moich braci w mieczu i nakłonił do opuszczenia naszej twierdzy.

Veradis pokiwał głową.

– Gar należał do ich grona. Był wówczas młodym człowiekiem, który dopiero co został wojownikiem, ale na czele grupki omamionych odszczepieńców stał jego ojciec, a on skoczyłby za nim w ogień.

– Jego ojciec? Gdzie on się zaszły? I ilu Jehar ma ze sobą?

– Telassar opuściła równa setka mężczyzn i kobiet. Nie mam pojęcia, dokąd się udali, ale wiem, że poszukują Seren Disglaira.

– Jakoś mnie nie znaleźli – rzekł Nathair.

– Oczywiście, że nie. Przypuszczam, że wyginęli bądź rozproszyli się, świadomi swej porażki. Nie sądzę, by istniał jakikolwiek inny powód, by Gar opuścił swego ojca.

Dopadnę tego Gara, obiecał sobie w duchu Veradis, niemalże nie słuchając rozmowy. Jego myśli wypełniły wspomnienia związane z Raucą. Dopadnę go i zabiję.

Jego serce wypełniła wściekłość przemieszana z frustracją. Miał ochotę porwać za miecz i w coś rąbnąć.

– Czy ten Gar jest sam? – odezwał się Calidus. Mówił cicho, ale ton jego głosu na powrót przyciągnął uwagę Veradisa. Odkrył w nim jakąś starannie ukrywaną emocję, której nigdy dotąd nie słyszał u starca.

– Wokół nas trwała bitwa – odparł Sumur. – Panowało zamieszanie, ale wydaje mi się, że Gar chronił jakiegoś chłopaka z wilkunem.

– Zastanawiałem się nad tym. – Nathair zwrócił się do Calidusa. – Ewnis opowiedział mi trochę o chłopaku. Ponoć Gar był przyjacielem jego rodziny.

– A wilkun? – spytał Calidus.

– Właśnie – rzekł Ewnis. – Chłopak przygarnął wilkuna, choć nie powiedziałbym, że zwierzę jest oswojone. Nazywa go Burzą.

– Burzą – powtórzył Calidus i zamknął oczy. – „Jeden z nich wezwie tarczę i burzę na swe rozkazy...” – zaintonował.

Nathair gwałtownie wciągnął powietrze.

– Co to jest? O co tu chodzi? – spytał Ewnis.

– To fragment proroctwa Halvora – szepnął król Tenebralu. – A konkretnie fragment mówiący o czempionie Asrotha, Czarnym Słońcu.

Rozdział dwudziesty trzeci

UTHAS

Uthas szedł przez niekończące się wrzosowiska, posrebrzone blaskiem księżyca. Znajdował się teraz blisko południowej granicy Benothu i wkrótce miał wejść na terytorium Domhainu. Jego kolano łupało tęnym, monotonnym bólem. Zatrzymał się, wsparł na włóczni i spojrzał za siebie. Forteca Murias już dawno zniknęła za horyzontem, ale skryty w niej kocioł nadal przyciągał jego uwagę niczym padlina krążącego nad nią kruka.

Za jego plecami majaczył potężny Salach, jego przyboczny, a dalej znajdowały się pozostałe olbrzymy, ledwie widoczne w mroku. Pięciu z nich zdecydowało, że spełni prośbę królowej Nemain i wyruszy do Domhainu, by szpiegować posunięcia ich wroga Eremona, nędznego króla ze skarłalej rasy uzurpatorów i parweniuszy, która przegnała jego klan z ojczyzny. Uthas czuł smutek, gdy spoglądał na krewniaków, których wybrał do wypełnienia zadania. Wciąż byli młodzi wedle standardów obowiązujących wśród olbrzymów, a on musiał podejmować za nich trudne decyzje i narażać ich na niebezpieczeństwo.

Niemniej musimy pomścić nasze krzywdy, a w tym ponurym, przepętnionym rozpaczą życiu nie ma łatwych decyzji. Jeśli Benothi mają jeszcze powrócić na południe, trzeba podejmować ryzyko. Dołożę wszelkich starań, by tego nie pożałowali.

O ile dożyjecie tej chwili, szepnął jakiś głos w jego głowie, a Uthas poczuł, jak podnoszą mu się włosy na karku.

– Co się dzieje? – spytał Salach, podchodząc bliżej.

– Nic. Myślę.

– Miałeś na to całe lata. Teraz pora na działanie – rzekł jego przyboczny.

Nad ich głowami rozległ się trzepot skrzydeł i z mroku wypadł ciemny kształt. Na nieodległym gładzie wylądował ptak. Nemain wysłała w ślad za nimi kruka jako zwiadowcę, ale Uthas wiedział, że po powrocie do Murias ptak opowie królowej o wszystkim, co robili i co mówili. Był więc bardziej szpiegiem niż zwiadowcą.

– Co ujrzałeś, Fech? – spytał Uthas.

– Ludzie – zakrakał ptak. – Ogień. Konie. Ostre żelazo.

Granice między Benothem i Domhainem wyznaczały głównie góry o ciemnych zboczach, ale w ich łańcuchu znajdowała się przerwa, licząca kilkadziesiąt mil szerokości. Było to najwygodniejsze przejście między oboma królestwami i tam właśnie kierował się Uthas. Równinę zawsze patrolowali wojownicy z Domhainu, ale Uthas miał nadzieję, że uda im się przemknąć niespostrzeżenie pośród mroku nocy.

– A więc zbrojni – oznajmił Fray, wyłaniając się z ciemności. Cień topora wystającego mu zza ramienia, przywodził na myśl przyczajonego ptaka. – Ilu?

– Ośmiu – zakrakał kruk.

– Ośmiu? – powtórzył Struan, podchodząc do nich. – Odpowiednia ilość, by naostrzyć sobie broń, co? I zasłużyć na ciernie. Gdzie są?

– Powoli. – Uthas ostudził jego zapał. – Nemain wysłała nas, byśmy przeprowadzili rekonesans, a nie mordowali ludzi.

– Mam przemierzać cały Domhain tylko po to, by podglądać te przekłete larwy, jak rządzą się na naszych ziemiach? – spytał Fray. – Co wy na to? – zwrócił się do pozostałej trójki: Arica, Kaia i Eisy, którzy podeszli bliżej.

Uthas uśmiechnął się do siebie, choć ciemność ukryła jego satysfakcję.

Miałem nadzieję, że tacy się okażą, pomyślał.

Jego towarzysze wychowali się na opowieściach o wojnie i chwale, ale nie odegrali roli w żadnej z nich. Teraz pragnęli zbudować nowe historie, które opiewałyby ich czyny.

Wspólna walka zwiąże ich mocniej ze mną, pomyślał. Przelewana krew wyzwala wiele cnót w duszy wojownika.

Niemalże widział żądzę krwi, która nimi zawładnęła. Niczego bardziej nie pragnęli, niż wyryć pierwsze ciernie na swej skórze. Spojrzał na pnąca wytatuowane na własnych ramionach oraz rozliczne kolce, na które zasłużył głównie podczas wojen z Wygnańcami. Odebranie życia

drugiej osobie nie było wcale błahą sprawą. Chwila, gdy po raz pierwszy posłał czyjąś duszę na most mieczy, nauczyła go pokory, ale też za każdym razem, gdy spoglądał na swe tatuaże, czuł dumę. Zapewniały mu wielki szacunek wśród Benothi, a przynajmniej pośród tych, którzy przyszli na świat po wojnach. W jego klanie wciąż żyli tacy, którzy przetrwali Plagę. Ich *sgeul* budziły prawdziwy podziw.

– Powinniśmy im pokazać, do kogo należą te ziemie! – oznajmiła Eisa, gładząc kościaną rękojeść swego noża. Patrzyła błagalnie na Uthasa, a pozostali pomrukiwali z aprobatą.

– Ja tu dowodzę – rzekł Uthas. – A mamy przeprowadzić zwiad, a nie zabijać.

– A nie możemy zrobić obu rzeczy? – spytał Kai.

– Jeśli już, to w drodze powrotnej, po przeprowadzeniu zwiadu – odparł Uthas. – Tak nakazuje rozsądek. Niemniej Nemain kazała nam, byśmy działali szybko i w tajemnicy. Mamy zbierać informacje. Dziś nie ma mowy o zabijaniu.

Ostatnie zdanie powiedział głośno i dobitnie, patrząc prosto na kruka Nemain.

Jeśli już musisz coś przekazać królowej, przekaz jej to.

Jego towarzysze mruzcili z niezadowoleniem pod nosem, ale gdy Salach zaklął głośno i oparł dłoń na rękojeści topora, wszelkie słowa skargi ucichły.

– Przyjrzymy im się z bliska – rzekł Uthas. – I zobaczymy, z kim mamy do czynienia.

– A jeśli to Rath? – spytał Fray. W jego oczach nadal lśniło wyzwanie.

– Jeśli to Rath, zabijemy go – odparł Uthas. – Jestem pewien, że Nemain wybaczyłaby nam to.

Mężczyzna był wojewodą króla Eremona. Wiele lat temu drużyna Benothi zapuściła się w głąb Domhainu i spaliła jego domostwo. On sam przebywał z dala od domu, ale jego dzieci i żona zginęły w płomieniach. Od tej chwili wojownik darzył olbrzymi nieprzejednaną nienawiścią. Zgromadził wokół siebie oddział równie zawziętych ludzi i bez litości tropili i zabijali każdego Benothi, który się zapuścił za granice Domhainu.

– Fech, prowadź nas – powiedział Uthas i wspierając się na włóczni jak na lasce, ruszył w ślad za cieniem kruka.

Wkrótce ujrzeli niepozorne światełko, które prędko rozrosło się do rozmiarów obozowego ognia. Uthas pochwycił zapach gotowanego mięsiwa. Podniósł włócznię, a jego podwładni rozbiegli się na boki niczym płaszcz poderwany wiatrem. Sam Uthas powoli ruszył naprzód.

Fech nie mylił się – mieli przed sobą wojowników. Kilku zgromadziło się wokół trzaskającego ognia; byli pochyleni i odwrócenii plecami do wiatru. Dwóch innych stało nieco dalej, jeden od wschodu, a drugi od północy, gdzie ciągnęło się Benoth. Tylko on w tej chwili stanowił zagrożenie dla oddziału olbrzymów, choć istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że cokolwiek zauważy podczas bezksiężycowej nocy. Najbliżej niego znajdował się Aric, który przygarbiony skradał się wśród wrzosów, powolny i niewidoczny niczym obłok mgły. Strażnik nadal niczego nie widział.

Pora to zmienić.

Uthas wbił palce w wilgotną ziemię, a potem zaczął szeptać. Jego głos był ledwie uchwytny, choć wiedział, że Salach go słyszy. Nie miał nic przeciwko temu, bo ufał swemu przybocznemu bezgranicznie, ale nie chciał, by usłyszał go ktokolwiek inny. Nigdzie nie widział Fecha.

Wokół dłoni Uthasa zebrała się moc, która pomknęła w stronę Arica. Niespodziewanie rozległ się stłumiony trzask niczym podczas łamania wilgotnej gałęzi, a pod stopami olbrzyma rozstała się ziemia. Nie wiadomo, kto był bardziej zaskoczony – Aric czy wartownik.

Nie było jednak wątpliwości, że wojownik to usłyszał.

– Kto tam?! – wykrzyknął, wyciągając do połowy miecz. Zrobił krok w kierunku dźwięku, a jego towarzysze zgromadzeni wokół ogniska drgnęli. Jeden z nich powstał. Aric zamarł na ułamek sekundy, po czym rzucił się naprzód. Szarżując, zamachnął się młotem. Trafiony w pierś strażnik został wyrzucony w powietrze, padł na ziemię, przetoczył się i zaległ bez ruchu.

Przez moment ludzie wpatrywali się w Arica z zaskoczeniem, aż zerwali się do ataku. Wtedy wypadły na nich pozostałe olbrzymy. Strugi krwi wydawały się czarne w blasku gwiazd.

Salach chciał dołączyć do bitwy, ale Uthas położył mu rękę na ramieniu.

– Niech zasłużą na swe ciernie.

Walka zresztą i tak dobiegała już końca. Zaskoczeni wojownicy nie

byli w stanie stawić skutecznego oporu ludziom Uthasa. Na jego oczach Fray potężnym ciosem odciął człowiekowi głowę, a ta zatoczyła łuk w powietrzu i wpadła w płomienie, posyłając eksplozję iskier ku niebu.

Uthas ruszył przed siebie, patrząc na pobożowisko. Fray wznosił topór i rozglądał się za jeszcze kimś do zabicia, ale szał bitewny powoli uchodził z jego oczu. Zakrwawiona Eisa zaciskała dłoń na ramieniu. Spomiędzy jej palców spływały strumyczki krwi, a mimo to uśmiechnęła się do Uthasa.

Aric leżał na ziemi. Nadal żył, ale zaciskał dłonie na brzuchu, próbując zatamować krew, która buchała z głębokiej rany.

Kiepska sprawa, pomyślał Uthas. Rany brzucha nigdy dobrze nie wróżą.

– Prze... przepraszam – wyjąkał Aric, gdy Uthas ukucnął obok niego. – Nie wiem... – Urwał, sparaliżowany na moment kolejną falą bólu. – Nie wiem, co się stało...

To ja cię przepraszam, Aricu, pomyślał Uthas, tknięty poczuciem winy. Wiedział, że doprowadziła do tego jego własna decyzja, ale wmawiał sobie, że było to konieczne.

– Spokojnie – powiedział łagodnie. – Tylko spokojnie. Już po wszystkim.

Odpiął bukłak od pasa i wyciągnął zatyczkę. Ze środka buchnął ziemisty zapach i Uthas zmarszczył nos.

Brot, strawa olbrzymów, pomyślał. Minęły trzy tysiące lat, a my nadal nie jesteśmy w stanie wymyślić nic lepszego.

Mimo to wystarczył jeden łyk trunku, by olbrzym mógł biec bez wytchnienia przez cały dzień i pokonać dwadzieścia mil za jednym zamachem.

– Napij się – powiedział Uthas i przysunął bukłak do ust Arica. Ten przełknął łyk. – Zostań z nim – nakazał Uthas Salachowi, a sam wstał i odszedł.

Pozostali oglądali zabitych, których było ośmiu. Sądząc po wyglądzie, wszyscy byli wojownikami z Domhainu. Na ciele jednego z nich siedział Fech z gałką oczną zwisającą z dzioba. Na widok Uthasa przełknął ją i wykrakał:

– Nemain będzie zła!

– Zaatakowali nas. – Uthas wzruszył ramionami i podszedł do zaimprovizowanej zagrody, w której kłębiły się przestraszone konie. Łyskały w ciemności białkami oczu i skupiały się w kącie zagrody. –

Urządzimy sobie dziś ucztę – zwrócił się do Kaia i Struana. – Zabijcie jednego z nich.

Część koni wpadła w panikę i rzuciła się do ucieczki, zrywając liny zagrody, ale olbrzymy zdołały pochwycić jednego z nich, a celny cios topora Struana urwał jego głośnie rzenie.

Rozpalili ogień i zaczęli przysmażać potężny udziec. Uthas zapatrzył się w płomienie i przypomniał sobie inny ogień, dawno temu. W odpowiedzi zaboląły go plecy, jakby blizny po oparzeniach również miały wspomnienia.

Wiele lat temu wraz z Salachem wybrali się na zwiad na południe, na ziemi Cambrenu, ale zapuścili się zbyt blisko Dun Vaner, a tam zostali osaczeni, pojmani, zakuci w kajdany i wrzuceni do ciemnej, wilgotnej celi. Czas zatarł wiele szczegółów, ale wspomnienie tej chwili nawet teraz budziło przerażenie w sercu Uthasa. Torturowano ich wiele dni, a ich krzyki niosły się echem po korytarzach twierdzy. Pamiętał, że błagał o śmierć i płakał, gdy mu jej odmawiano.

Wtedy zjawiła się Rhin i tortury ustały. Okazała im litość, a nawet życzliwość. Na jej rozkaz opatrzone im rany, umyto ich, podawano leki i zmieniano bandaże. Uthas przeczuwał, że to fortel, ale wszystkie jego myśli przyćmiewała bezgraniczna wdzięczność.

Aż Rhin rozpałała kolejny ogień. Uthas wił się i miotał, gdyż na powrót zawładnął nim lęk, ale królowa nie miała przy sobie żadnych narzędzi tortur, które mogłaby rozgrzać. Zamiast tego zaczęła szeptać nieznane słowa, a w płomieniach pojawiła się twarz.

Twarz Asrotha.

Przemówił do nich. Opowiadał o tym, jak został zdradzony przez swych braci-aniołów, wypadł z łask i w końcu stoczył wojnę z Elyonem. Opowiadał o marzeniach i ambicjach, o nowym porządku na Ziemiach Wagnanych i tym, czym obdarzy wszystkich, którzy będą mu służyć. A Uthas i Salach słuchali.

Uthas potrząsnął głową, odpędzając wspomnienia.

Dość już czekania.

Wstał i wrócił do Arica, który leżał tam, gdzie go zostawił. Salach i pozostali siedzieli w milczeniu wokół rannego, który jęczał, zaciskając powieki. Zamrugał i otworzył oczy, gdy Uthas uklęknął obok niego. Minęła

chwila, nim ranny uzmysłowił sobie, na kogo patrzy.

Tak działa ból.

– Jesteś silny, bracie – rzekł Uthas.

– Zasłużyłem sobie na pierwszy cierń, początek mojego *sgeul* – szepnął Aric.

– To prawda – rzekł Uthas. – Salach zrobi go dla ciebie.

Dotknął palcami pulsującej powoli rany Arica, a potem przytknął je do ust.

Brot. Wyczuwał w krwi smak trunku, który podał towarzyszowi. Nie było już wątpliwości, że Aric umrze od tej rany. Rozsiadł się i patrzył, jak Salach układa liście w kamiennym moździerz i rozciera je na papkę, którą miał wprowadzić w skórę Arica kościaną igłą leżącą obok na szmatce. Eisa i Kai złapali Arica za ramię, a Salach pracował powoli. Zanurzył igłę i wbił ją w skórę olbrzyma, a potem ponownie i jeszcze raz, i jeszcze, aż stracili rachubę. Wkrótce cierń był gotów.

Ranny uśmiechnął się, patrząc na tatuaż.

– Twa rana śmierdzi brotem – rzekł Uthas.

– Wiem – szepnął Aric.

Tak będzie lepiej, pomyślał Uthas. Gdyby przeżył, musiałbym ukarać go za zlekceważenie moich rozkazów. A tak przynajmniej umrze z honorem.

– Pomóżcie mi uklęknąć – powiedział Aric.

Salach i Fray złapali go za ramiona i unieśli. Aric skrzywił się, a z jego ust wyrwało się zduszone jęknięcie. Potem spojrzał na Uthasa.

– Jestem gotów – rzekł.

Ten skinął na Salacha. Aric pochylił głowę.

Topór Salacha był ostry jak brzytwa. Aric przypuszczalnie niczego nie poczuł.

Rozdział dwudziesty czwarty

CORBAN

Corban zmienił pozycję w siodle. Od jazdy bolały go pośladki, a ramię, zranione podczas upadku w Dun Carreg, swędziało nieprzyjemnie. Od chwili, gdy Camlin zauważył pościg, upłynęło osiem dni, i chłopak był wykończony. Jak to możliwe, że siedzenie w siodle przez cały dzień jest takie męczące? I bolesne?

Halion prowadził ich bez wytchnienia na północ. Jechali wśród wzgórz, na ogół pokrytych gęstym lasem, a po zapadnięciu zmroku zsiadali z koni i szli pieszo przez kilka mil, by zwiększyć przewagę nad pościgiem. Do tego każdego ranka przed świtem Gar budził Corbana na trening tańca miecza oraz walki. Stopniowo dołączali do nich inni: najpierw Farrell i jego ojciec, potem Vonn, Halion i Marrock, a nawet Edana, która stwierdziła, że skoro ma zostać przywódczynią, musi nauczyć się wymachiwać mieczem. Marrock niechętnie się zgodził.

Tego ranka do ćwiczących dołączyła również Gwenith. Halion pokazał jej kilka technik posługiwania się włócznią, z którą nie chciała się rozstać ani na moment. Dobrze sobie poradziła, a jej determinacja i zwinność przypominały Corbanowi siostrę.

Ech, Cywen...

Wystarczyło, by o niej pomyślał, a w jego brzuchu znów budził się tępy, nieprzyjemny ból. Czasami zapominał o tym, że jego siostra nie żyje, a wtedy wystarczyła drobna rzecz – jakiś zapach, czyjeś słowa, niewinny gest – by świadomość powróciła i przygniotła go z całej siły. Pokręcił głową, rozgarniając wspomnienia niczym muchy krążące wokół głowy.

Jechali wąską ścieżką przez jasny las, a Corban znajdował się w środku ich niewielkiej kolumny. Na ziemi tańczyły plamki słonecznego

blasku, przesuujące się, gdy wiatr poruszył gałęziami drzew. Burza przypominała jedynie jasny zygzak w gęstwinie. Bez jej pomocy dokuczałby im wielki głód.

Corban zauważył, że mama oraz Gar pogrążyli się w cichej rozmowie, i się skrzywił. Właściwie nie rozmawiał z żadnym z nich od owej nocy, gdy zabrali go w głąb lasu i powiedzieli o konieczności opuszczenia grupy, wygadując wszystkie te bzdury o Elyonie, Asrothu i Drassil, ale nie przestawał o tym myśleć ani na moment. Nie podobało mu się, jak poukładały się sprawy między nimi. Cierpiał wielki smutek po utracie ojca i siostry i wiedział, że matka również jest pogrążona w rozpacz. Powinni się nawzajem wspierać i pocieszać, a tymczasem miał wrażenie, że wyrósł między nimi mur, niewidzialny, ale twardy i trudny do przebicia.

* * *

Corban wstał i podszedł do mamy oraz Gara, którzy zajmowali się swymi końmi. Było ciemno i pozostali członkowie ich grupy rozkładali już obóz. Chłopak zatrzymał się przed nimi i spojrzał na nich z wyczekiwaniem.

– Możemy pogadać? – wymamrotał.

– Oczywiście – pośpiesznie odparła matka. Gar spoglądał na niego.

– Nie porzucę naszych przyjaciół – oświadczył Corban. Gar nabrał tchu, jakby chciał coś powiedzieć, ale chłopak zawczasu uniósł dłoń. – Proszę, wysłuchajcie mnie. Mam wam coś do powiedzenia. Wiąże mnie przysięga, którą złożyłem Edanie, a nawet, gdyby było inaczej, nie mogę ich wszystkich porzucić. To moi, ba, nasi przyjaciele! To wszystko, co pozostało z naszego domu! Ani na moment nie przestaję o tym wszystkim rozmyślać i nawet, jeśli to, co powiedzieliście, jest prawdą... – Urwał, gdy znów powróciły do niego myśli o Elyonie i Asrothu oraz zasłyszane opowieści o Zaświecie, Ben-Elim i Kadoshim.

Czy to prawda? Jak to możliwe?, pomyślał.

– Nawet jeśli to prawda, nie opuszczę moich przyjaciół. Jeśli to prawda, to Elyon powinien mi o wszystkim powiedzieć, a nie wy dwoje. I nie zmienię zdania, dopóki do tego nie dojdzie. Mówcie sobie, co chcecie, ale ja zostaję tutaj. – Wbił wzrok w ziemię. – Mam nadzieję, że wszystko może być...

Słowa niespodziewanie zamarły mu na ustach. Chciał powiedzieć „tak jak kiedyś”, zanim zaciągnęli go w mrok i zaczęli wciskać mu do głowy te obłąkane historie. Spojrzał matce błagalnie w oczy. Kobieta skinęła głową.

– Jesteś już mężczyzną. Wojownikiem, który przeżył Długą Noc i sprawdził się w bitwie – oznajmiła. – Uszanujemy twą decyzję. I zaczekamy, aż Elyon czy jego Ben-Elim – dodała, zerkając na Gara – zjawią się, by zmienić twe zdanie.

Jej słowa sprawiły, że napięcie nagromadzone w sercu chłopaka niespodziewanie uszło, wyparowało niczym dym unoszący się na wietrze. W jej oczach widział to samo. Wyciągnął ręce i przytulił ją mocno. Wydawała się taka drobna, taka krucha. Gdy ją wypuścił, Gara już przy nich nie było. Szczotkował sierść swego wierzchowca i sprawdzał jego kopyta. Unikał spojrzenia Corbana.

* * *

Corban usiadł przy ogniu z Dathem i Farrellem. Zajadali suszone mięso, resztki po łani, którą Burza przytaszczyła do obozu cztery noce temu, i popijali je zimną wodą. Nie mieli nic innego do jedzenia, ale nikt nie narzekał.

Wilkunica skuliła się za Corbanem, na pół skryta wśród cieni rzucanych przez drzewa.

– Cóż za uczta – oznajmił Farrell. – Mięso twarde jak podeszwy moich butów, ale co tam.

Corban zachichotał, a potem spojrzał na Datha, który w milczeniu wpatrywał się w płomienie. Zachowywał się tak od chwili, gdy jego ojciec zginął podczas próby przejęcia łodzi. Corban chciał mu pomóc. Chciał zrobić cokolwiek, by mu ulżyć, ale rozumiał, że w takich sytuacjach człowiek jest bezsilny. Nikt nie umiał przywrócić zmarłych do życia i mógł jedynie przypominać Dathowi, że nie jest sam.

Burza warknęła cicho. Uniosła się nieco i wpatrzyła w drzewa, strosząc uszy. Pociągnęła nosem, a potem zauważalnie odprężyła się i znów ułożyła na ziemi. Corban spojrzał tam, gdzie przed chwilą patrzyło zwierzę. Wydawało mu się, że dostrzega jakiś ruch. W istocie, z ciemności

wyłoniła się jakaś postać, która cicho, bezszelestnie weszła w krąg światła rzucanego przez ognisko. Był to Camlin.

Podszedł prosto do Marrocka i Haliona, którzy siedzieli z Edaną. Wojownicy podnieśli się na jego widok i wszyscy pograżyli się w rozmowie. Corban przyglądał im się czujnie, aż Marrock skinął ze zdecydowaniem głową i podszedł do ognia.

– Pościg jest coraz bliżej – oznajmił. – Camlin szedł na ich spotkanie po naszych śladach .

– Dzielą nas zaledwie dwie mile – dodał były banita.

– Ilu ich jest? – spytał Anwarth.

– Co najmniej cztery dziesiątki.

Corban rozejrzał się i spostrzegł, że do serc jego przyjaciół zakrada się lęk.

Wtedy na skraju polany stanął Halion.

– Corbanie – odezwał się. – Chodź ze mną. Weź swą wilkunicę.

– Dlaczego? – Gwenith wyciągnęła rękę w kierunku syna.

– Pora dać im lekcję – rzekł Halion. – Nauczymy ich, że należy się nas bać.

* * *

– Zaatakujecie na twój rozkaz? – spytał Halion, gdy ruszyli przez ciemny las.

Camlin szedł na czele ich grupy, a Gar i Vonn trzymali się blisko Corbana. Chłopak nawet nie próbował odwołać byłego stajennego od decyzji pójścia wraz z nimi. Wiedział, że nie ma to sensu.

– Tak – odpowiedział na pytanie Haliona. – Nie pamiętasz? Swój i obcy?

Halion spojrział na niego i zachichotał, przypominając sobie chwilę na Jarzębinowej Łące, gdy Burza, podówczas jeszcze szczenię, pochwyciła go za nogę.

– Ależ to było dawno temu – mruknął.

Camlin zatrzymał się, uniósł głowę, a potem zmienił kierunek marszu. Schodzili teraz w dół zbocza.

– A co my właściwie robimy? – spytał Corban.

– Mamy zamiar zmniejszyć nieco ich przewagę i wstrząsnąć ich pewnością siebie. Zapewne widzieli już zabitych towarzyszy na plaży

i wiedzą, że nie wszyscy zginęli od miecza. – Spojrzał na Burzę, która sadziła niemalże bezszelestnymi susami u boku chłopaka. – Nasi prześladowcy nie mają pojęcia, że mamy ze sobą wilkunicę – ciągnął. – Jak byś zareagował na widok wojowników rozszarpanych na strzępy?

– Byłbym przerażony – rzekł Corban po chwili namysłu.

– Tak. – Halion pokiwał głową. – A mrok potęguje lęk.

* * *

Corban ukucnął wśród zarośli, zaciskając jedną dłoń na gęstym futrze Burzy. Gar czał się w pobliżu niczym cień pośród mroku. Obaj wpatrywali się w ciemność.

Prowadzący ich Camlin zatoczył szeroki łuk, by mogli podejść do wrogiego obozowiska z wiatrem.

– Mają psy – szepnął do nich wyjaśniająco, po czym obaj z Halionem przedstawili plan Corbanowi, Vonnowi i Garowi. Potem wyciągnęli noże, ubrudzili je ziemią i wraz z Vonnem znikli w mroku.

– Po co to zrobili? – szepnął Corban do Gara. – Po co natarli ostrza?

– By nie odbijały blasku ogniska czy księżycy – odparł Gar.

– Och, racja – rzekł cicho chłopak.

Myśłami towarzyszył przyjaciołom, którzy skradali się w stronę wrogiego obozu. Wiedział, że strzegą go czujni wartownicy, zawzięci weterani, ludzie wysłani po to, by ich dopaść, by ich pozabijać. Z każdą upływającą sekundą spodziewał się, że usłyszy krzyki, szcęk oręża i ujadanie ogarów, które pochwyciły ich zapach, ale nic takiego się nie wydarzyło. Przez długą chwilę słyszeli tylko oddechy własne oraz Burzy i szelest gałęzi trącanych wiatrem. W oddali wrzasnął lis.

Nagle Burza napięła mięśnie. W jej gardzieli zadudniło nabierające mocy warknięcie.

– Bądź gotów! – Z ciemności nadbiegł szept Gara.

Vonn rzucił się ku nim, ale potknął się i zatoczył. Coś wysunęło mu się spod płaszcza i łupnęło o ziemię. Chłopak padł na kolana i zaczął szukać po omacku upuszczonego przedmiotu. Gdzieś za jego plecami rozległy się czyjeś kroki. Ktoś skradał się w ślad za uciekającym chłopakiem.

A więc plan zadziałał. Halion i Camlin zamierzali pozabijać wszystkich

wartowników z wyjątkiem jednego, którego Vonn miał odciągnąć w las, do miejsca, w którym czekał Corban z Burzą.

Wojownik goniący chłopaka był już blisko i wznosił miecz.

Uciekaj! – wrzasnął w myślach zdenerwowany Corban, zaciskając mocno dłoń na sierści Burzy. Wilkunica drżała na całym ciele i warczała głucho. Vonn wreszcie odnalazł upuszczoną rzecz – pudło, księgę? – po czym zerwał się i przebiegł tuż obok Corbana.

Wojownik już miał rzucić się do pościgu, gdy przed nim zmaterializowała się Burza. Wilkunica odsłoniła długie kły i zawarczała głucho, a mężczyzna zatrzymał się jak wryty, wytrzeszczając oczy.

Corban wpatrywał się w niego. To był wróg, ale w sercu chłopaka mimo wszystko zakiełkowało współczucie i poczucie winy. Wiedział bowiem, co się zaraz wydarzy i na jaką śmierć go skazuje.

Jest jednym z tych, którzy na nas polują, pomyślał. Jest gotów zabić mnie, moją rodzinę, moich przyjaciół...

Mimo to dalej się wahał.

Wojownik otworzył usta i nabrał tchu, by wrzasnąć, zawołać o pomoc lub być może błagać o litość, ale tego Corban już się nie dowiedział.

– Wróg – szepnął Burzy do ucha, a wilkunica wystrzeliła prosto na zaskoczzonego, przerażonego człowieka.

Ten zdołał jeszcze podnieść broń, a z jego ust wyrwał się wrzask. Ułamek sekundy później, machając rozpaczliwie rękami, padł już na ziemię, przewrócony i przygnieciony przez rozpędzoną Burzę. Rozległ się trzask pękających kości. Wrzask wojownika stał się przeraźliwy i nagle urwał się, gdy pnie okolicznych drzew obryzgała czarna krew.

– Cieszę się, że ona jest po naszej stronie – mruknął Camlin.

Z oddali dobiegały pierwsze odgłosy zamieszania w obozie. Ktoś wołał, zaszczeakał pies. Burza wsparła łapę na trupie, uniosła ociekający krwią pysk ku niebu i zawyła.

Rozdział dwudziesty piąty

CORALEN

Coralen siedziała za stołem matki i wydłubywała brud z za paznokci swoim myśliwskim nożem.

– Na jak długo wróciłaś? – spytała matka.

– Nie wiem, mam. Na dzień, może kilka dni. Rath nie mówił dokładnie.

– Doprawdy nie wiem, co ty masz z tego, że całymi dniami jeździsz po bezdrożach z tą bandą dzikusów.

Nie chcę skończyć tak jak ty!, pomyślała odruchowo Coralen, ale w porę ugryzła się w język i natychmiast poczuła się winna. Matka siedziała przy oknie i przeglądała się w lustrze z wypolerowanego brązu, nakładając cień do powiek i róż.

Niegdyś była piękną kobietą i ślady jej urody wciąż były widoczne, choć jej włosy przerzedziły się i utraciły swój połysk. Nie była też już tak szczupła jak kiedyś. Coralen miała wrażenie, że decydował o tym nie tylko upływ czasu, co było dla niej tym bardziej zauważalne, że rzadko wracała do domu.

Do domu?, pomyślała. To nie jest mój dom. Zwykła drewniana buda kryta strzechą gdzieś na północnych pustkowiach Domhainu.

Jej matkę otaczała aura nieprzemijającego znużenia, która przesączała wszystko, co robiła, każde jej słowo oraz spojrzenie.

– Wypróbuj! – Kobieta podała jej miseczkę z różem.

– Nie, dzięki.

– Musisz zacząć dbać o siebie. Uroda kiedyś przeminie – oznajmiła matka i spojrzała na nią krytycznie. – Spójrz tylko na siebie! Jesteś dziewczyną w kwiecie wieku, a nie nosisz nic poza skórą i żelazem. Ba, masz przy sobie więcej noży, niż ja mam w kuchni.

– Mam już osiemnaście lat, mamo. – Coralen się uśmiechnęła. – A wszystko to – wskazała ręką miskę z różem, jakby podsumowywała w ten sposób cały styl życia matki – nie ma dla mnie znaczenia. Jestem szczęśliwa, gdy jeżdżę po bezdrożach z bandą dzikusów.

Szczęśliwa?, pomyślała Coralen. Cóż, chyba przesadziłam. Ale to i tak lepsze od życia tutaj.

Matka westchnęła i pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć: „Biedne, stuknięte dziecko”.

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka, nie czekając na zaproszenie, wtargnął wysoki mężczyzna z wielkim brzuchem, wiszącym nad paskiem. Pachniał potem i ziemią.

– Witaj, Hearne! – Matka Coralen rozpromieniła się, a cząstka jej dawnej aury nagle ożyła.

– Witaj, Naro – odparł wielki mężczyzna i powitał skinieniem Coralen. Miał malutkie oczy, zbyt małe jak na tak wielką twarz.

– Idź na spacer! – powiedziała kobieta do córki, a sama przeszła do innego pokoju.

Dziewczyna wstała. Zaszurało odsuwane krzesło.

– Nie musisz wychodzić z mego powodu – rzekł Hearne. – Możesz poczekać albo dołączyć do nas, jeśli chcesz.

Wyciągnął wielką, mięsistą dłoń i dotknął biodra Coralen.

Dziewczyna bez wahania zerwała się, złapała rękę mężczyzny i wygięła mu ją za plecami, po czym przygniotła go do ściany. Ostrze noża oparło się o skórę pod jego okiem.

– Wybij to sobie z głowy, ty tłusta, cuchnąca świnio! – syknęła.

Kropla potu spłynęła z czoła Hearne’a, pociekła wokół jego oka i zawisała na ostrzu noża.

Na zewnątrz zadudniły kopyta.

– Zbieramy się, Cora! Rath mówi, że wyjeżdżamy!

– Bądź dobry dla mojej mamy – powiedziała Coralen, po czym wsunęła nóż do pochwy i wyszła na zewnątrz.

Hearne uciekł chyłkiem w ślad za jej matką.

Coralen nabrała tchu, a jej przyśpieszony puls powoli zaczął zwalniać. Wychodząc, zostawiła sakiewkę pełną monet na stole.

* * *

– Co tu się wydarzyło? – spytał Rath. Był starym, siwowłosym mężczyzną, ale Coralen nigdy nie spotkała kogoś silniejszego czy bystrzejszego od niego. Kochała go z całego serca jako swego wuja, obrońcę i przyjaciela.

O czym oczywiście nigdy mu nie powiem, pomyślała.

W ich grupie twardych, zahartowanych ludzi byłoby to nie do pomyślenia.

Powoli stawała się jedną z nich, gdyż coś w jej sercu i duszy z całej siły broniło się przeciwko życiu, jakie wiodła jej matka. Od dziecka podążała za Rathem i swymi przyrodnymi braćmi. Miała sześć lat, gdy przyłączyła się do ich grupy. Nigdy się nie odzywała, a jedynie wpatrywała się w nich i wszędzie za nimi chodziła. Rath z początku ją ignorował, potem kazał jej schować się pod spódnicę matki, a wreszcie ofuknął, a gdy i to nie przyniosło rezultatu, wymierzył jej kilka klapsów. Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia. Wystarczyło, żeby Rath zjawił się w okolicy, by dziewczyna wymykała się z domu i chodziła za nim krok w krok. Wkrótce stała się jego cieniem, a on przyzwyczaił się do jej obecności. Patrzyła więc, jak szkoli swoich ludzi, jak ćwiczy z nimi, je i pije.

Pamiętała wyraźnie pewien dzień, gdy jako ośmiolatka wyciągnęła treningowy miecz z wiklinowego kosza. Wszyscy ludzie śmiali się głośno, jedynie Rath milczał. Przyglądał się jej z powagą, a potem kazał jej się na niego zamierzyć. Próbowala, ale skończyło się tym, że kilkakrotnie wylądowała na pupie. Rath za każdym razem kazał jej wstawać i próbować raz jeszcze. Uśmiechnęła się, wspominając tamtą chwilę.

Wojownik, który wyciągnął ją z domu matki, miał na imię Baird i służył pod rozkazami Ratha dłużej, niż Coralen chodziła po ziemi. Olbrzymy z Benothu odebrały mu zarówno rodzinę, jak i jedno oko. Wraz z Coralen dołączyli do reszty wojowników należących do niewielkiego oddziału Ratha, a wówczas ten wyjaśnił im, co się stało. Jeden z patroli nie wracał.

Bezwzględnie wyruszyli w drogę.

Coralen patrzyła teraz na ciała rozrzucone wokół wypalonego ognia, poskręcane, okaleczone. Odrąbano im głowy, które ułożono wokół usypanego nieopodal kamiennego kurhanu. Dziewczyna wymieniła się spojrzeniami z Bairdem. Ten zsunął się z siodła i zaczął odrzucać głazy

ze stosu. Coralen i pozostali przyłączyli się do niego. Wkrótce ich oczom ukazało się ogromne ciało ułożone z młotem wojennym na piersi. Baird uniósł za włosy odrąbaną głowę.

– Benothi wdarli się do Domhainu – rzekł Rath. – Myślę, że mamy robotę do wykonania.

Rozdział dwudziesty szósty

CYWEN

Cywen przebudziła się nagle. Serce waliło jej w piersi niczym bębny wojenne. Zasnęła na krześle w kuchni, a po ogniu w palenisku pozostały jedynie rozżarzone węgle.

Co mnie zbudziło?, zastanawiała się. Czy to był sen?

Wtedy usłyszała warczenie Buddaia.

Wyprostowała się i sięgnęła po nóż. Było ciemno, ale mogłaby przysiąc, że po drugiej stronie drzwi byli jacyś ludzie. Słyszała wyraźnie ich szepty. Potem ktoś nacisnął klamkę.

– Tylko nie rzucaj we mnie niczym ostrym – odezwał się czyjś głos, a wciąż oszołomiona Cywen połączyła go ze znajomą twarzą. Conall.

– Wynoś się – odparła. Buddai warczał głucho i musiała zacisnąć dłoń na jego sierści, by powstrzymać go od skoku na intruza.

– Masz gości, dziewczę – rzekł Conall. – Wszyscy byli za tym, by zarzucić ci worek na głowę i zawlec cię do wieży, ale powiedziałem im, że obudziłabyś całe Dun Carreg, a do tego większość demonów w Zaświecie. Przekonałem ich, że jeśli poprosimy cię uprzejmie, w odpowiedzi na pewno okażesz wyrozumiałość i zdrowy rozsądek.

– Jaką mamy porę? – Cywen zamrugła, gdy ktoś za plecami Conalla zapalił pochodnię. – I co to za goście?

– Późną – odparł Conall, wzruszywszy ramionami. Wszedł do kuchni, zerkając na nóż i na warczącego psa. – Masz coś do picia?

W ślad za wojownikiem do środka weszli kolejni ludzie. Pierwszych dwóch Cywen rozpoznała od razu – byli to król Tenebralu Nathair i jego cień, Sumur – ale za nimi wkroczył obcy jej starzec, siwowłosa, ale mimo to emanujący młodzieńczą energią. Wpatrywał się w nią

z zainteresowaniem.

Buddai zaskomlał, podkulił ogon i położył po sobie uszy. Starzec zmarszczył brwi, a wtedy za jego plecami pojawił się kolejny gość, wyższy i potężniej zbudowany od zwykłego człowieka. Pod masywnymi, wystającymi brwiami kryły się małe, czarne oczy. Na plecach miał wielki, czarny topór.

Olbrzym.

Cywen odruchowo uniosła rękę z nożem. Conall dostrzegł to i stanął przed nią.

– Uspokój się, dziewczę. Odłóż ten nóż. Oni przybyli tu, by rozmawiać.

Cywen zamarła. Strach przyspieszył bicie jej serca.

Ja na pewno śpię. Muszę spać. Och, niech to wszystko okaże się snem.

Instynkt wciąż nakazywał jej najpierw rzucić nożem, a potem rozmawiać.

Potem do środka wszedł piąty człowiek, młody wojownik w czarnym napierśniku ze srebrnym orłem Tenebralu. U pasa nosił dwa miecze, krótki i długi. Miał poważną, surową twarz i baczne spojrzenie, ale gdy spojrzał na dziewczynę, uśmiechnął się przeprasząco.

Opuściła nóż.

Wtedy do kuchni wszedł ostatni gość. Metalowe pierścienie, wplecione w warkocze jego brody, brzęknęły, gdy się odwrócił, by zamknąć drzwi.

– To jak będzie z tym piciem? – spytał Conall.

– W chłodni jest miód – odparła Cywen i wskazała dłonią kierunek. Wojownik powrócił po chwili z bukłakiem, wyciągnął korek i pociągnął łyk, a potem zaproponował trunek Nathairowi. Ten potrząsnął głową.

– Ja się napiję – rzekł mężczyzna z pierścieniami w brodzie.

– Po co tu przyszliście?

Srebrnowłose starzec przyciągnął sobie krzesło i usiadł przed Cywen.

– Chcę porozmawiać o twoim bracie.

* * *

Niebo było oślepiająco błękitne, a lekkie, rozrzedzone chmury nie były w stanie powstrzymać słonecznego żaru. Cywen wracała z zagród rozstawionych za Havan, w których zgromadzono dwa tysiące koni.

Nigdy dotąd nie widziała tak wielkiego stada. Rumaki bojowe Owaina mieszały się z zarekwirowanymi wierzchowcami ze stajni Brenina. Sama dosiadała Tarczy i czuła z trudem hamowaną energię, którą tętniło jego ciało. Widziała, w jaki sposób unosi kopyta i z jaką dumą zadziera ogon, i wiedziała, że marzy tylko o tym, by przejść do galopu.

Towarzyszyło jej kilkunastu innych stajennych, którym Drust kazał sprowadzić wierzchowce ze stad Brenina, nadające się do treningu na Jarzębinowej Łące. Cywen zgarnęła ich pół tuzina, wśród nich Młota, srokiego ogiera Gara, i uwiązała je wszystkie do długiej liny, którą trzymała na grzbiecie Tarczy. Gdy wyjeżdżała z zagrody, nagle naszło ją wspomnienie i odruchowo zmieniła kierunek. Zbliżyła się ku niewielkiemu zagajnikowi olch i wjechała na zarośnięty już trakt.

Zatrzymała się przed chatą Briny, a raczej przed tym, co z niej zostało. Pożar przetrwały jedynie poczerniałe fragmenty ścian oraz framuga drzwi, prowadząca ku stertom zgliszczy i popiołu. Brina miałaby wiele do powiedzenia człowiekowi, który podpalił jej domostwo. W międzyczasie jej ogród ziołowy się rozrósł, a między hodowanymi przez nią roślinami rozpleniła się trawa oraz chwasty. Cywen przypomniał się wieczór, gdy Corban zakradł się do chaty i ukradł grzebień na dowód swej odwagi. Znów zaboląło ją serce i niecierpliwym gestem starła samotną łzę, spływającą po jej policzku.

Czasem wspomnienia z przeszłości podkradają się znienacka, pomyślała.

Corban.

Ostatnia noc była dla niej wstrząsającym przeżyciem. Gdy otworzyła oczy w ciemnościach, ujrzała we własnym domu najdziwniejsze towarzystwo pod słońcem – w tym olbrzyma! Żywego olbrzyma w samym sercu Dun Carreg! Po chwili zaczęto ją wypytywać o brata.

Z początku się bała – któż zachowałby spokój, gdyby w jego kuchni stanął olbrzym? – ale wówczas srebrnowłosa mężczyzna zaczął do niej mówić. Miał niebywale spokojny głos. Nie zdradziła im wiele, a na pewno nie więcej niż podczas poprzedniego spotkania z Nathairem, ale niektórych fragmentów ich rozmowy nie mogła sobie przypomnieć. Ów starzec z osobliwymi, żółtymi oczami zadał jej tyle pytań...

Pamiętała, że chciał dowiedzieć się jak najwięcej o Meicalu, a wtedy

natychmiast się jej przypomniało, jak ujrzała mężczyznę w ich kuchni, pogrążonego w rozmowie z mamą, tatą i Garem. Oni również rozmawiali o Corbanie. W końcu Calidus poprosił ją, by dała mu coś, co należało do jej brata – element garderoby, nóż, cokolwiek. Wręczyła mu jego stary fartuch, który zakładał do pracy w kuźni, podniszczony i poznaczony płomieniami, cuchnący potem od środka. Znalazła go w kuźni ojca, gdy szukała nowych noży do rzucania, i z powodów niejasnych nawet dla siebie zabrała go do domu.

Calidus trzymał go przez chwilę, wodząc po nim palcami, po czym zaczął śpiewać, tak cicho, iż jego głos zdawał się nieledwie szeptem. Gdy otworzył oczy, oznajmił, że Corban umknął z Ardanu i udał się morzem na północny zachód. To przeraziło Cywen bardziej niż cokolwiek innego, bardziej nawet od olbrzyma, który się w nią wpatrywał. Calidus był elementalistą. Dziewczyna wzdrygnęła się na samo wspomnienie. Jej brata poszukiwał elementalista.

Corban był dla niej wciąż tylko młodszym bratem. Dlaczego ci ludzie byli tak bardzo nim zainteresowani?

Nie przestając o nim myśleć, zawróciła Tarczę i poprowadziła pozostałe konie z powrotem do Dun Carreg. Forteca oraz jej okolica tętniły życiem. Armia Owaina, rozlokowana między twierdzą oraz równinami, ciągnącymi się na południe od traktu olbrzymów, codziennie była wzmacniana posiłkami. Na północ od drogi ustawiły się siły Nathaira, które rozrosły się po przybyciu floty, a potem hufca ze wschodu. Między traktem a plażą widać było rzędy namiotów. Cywen skrzywiła się, patrząc na odzianych na czarno ludzi w Havan, posiłki dla Jehar, którzy opanowali bramę Dun Carreg i przypieczętowali los fortecy.

Wojownicy stawali się coraz drobniejsi, gdy dziewczyna pięła się traktem ku bramom. Na wodach zatoki widziała liczne okręty z orłem Tenebralu, które na wiosłach szły ku otwartemu morzu, choć ich żagle już wypełniały się wiatrem. Patrzyła, jak skręcają na wschód i powoli nikną w oddali, a w myślach zadała sobie pytanie, dokąd się udają.

W końcu z tętentem kopyt przebyła most i po brukowanych uliczkach Dun Carreg dotarła do Jarzębinowej Łąki. Drust uważnie przyjrzał się przyprowadzonym przez nią wierzchowcom i mruknął z aprobatą. Szczególną uwagę poświęcił Młotowi, ogierowi Gara, który był również

ojcem Tarczy.

– Dobra robota, dziewczę – oznajmił rudowłosy wojownik. – Masz oko do koni.

– Dziękuję – odparła bez uśmiechu.

Drust przejął od niej wodze i poprowadził zwierzęta w stronę stosu siodeł i uprzęży.

– Pomóż mi z tym! – zawołał przez ramię.

Cywen rozglądała się podczas pracy. Na Jarzębinowej Łące ćwiczyły dziesiątki wojowników, wśród których dostrzegła Rafe'a, trenującego z mężczyzną z bykiem Narvonu. Rafe, choć nadal utykał, miał przewagę wzrostu i długie ramiona, co skutecznie wykorzystywał i po chwili trafił przeciwnika w pierś. Po skończonej walce pochwycił spojrzenie Cywen i podszedł do niej, kusztykając.

– Lubisz patrzeć na mnie, jak jestem spocony? – spytał. – A może to moje umiejętności przyciągnęły twoją uwagę, co?

– Zastanawiałam się właśnie, jak wypadłeś w walce z moim bratem, gdy wyzwalesz go na Sąd Mieczy – odparła. Słyszała o ich starciu w sali biesiadnej i wiedziała, czym się skończyło. Wystarczyło kilka sekund, by Rafe został pokonany, a z miecza Corbana ściekła jego krew. – Wygląda na to, że było na co popatrzeć.

Przez twarz Rafe'a przemknęła seria emocji, zbyt licznych i nazbyt złożonych, by je odczytać.

– Nie byłem jeszcze gotów – odparł i odwrócił wzrok.

Z dziedzińca treningowego dobiegły wiwaty i oboje odwrócili się, zaciekawieni.

Na arenę wkraczał właśnie Conall z drewnianym mieczem w ręku. Z naprzeciwka szedł ku niemu młody wojownik w towarzystwie potężnie zbudowanego przybocznego z łysą czaszką i grubym karkiem. Cywen rozpoznała młodzieńca – był jednym z tych, którzy zbudzili ją w nocy. Nadal miał na sobie czarny napierśnik ze srebrnym orłem Tenebralu.

– Kto to? – spytała.

– To pierwszy miecz Nathaira – odparł Rafe. – Przybył wczoraj na czele lądowych posiłków. Chyba ma na imię Veradis. Wygląda na to, że chce zebrać baty od Conalla.

Inni wojownicy szybko opuścili arenę, by zrobić im miejsce, a Cywen

i Rafe podbiegli, by się przyjrzeć starciu. Conall uśmiechał się szeroko, czekając, aż Veradis wybierze dla siebie drewniany miecz z kosza. Przybysz z Tenebralu nie śpieszył się. Przebierał wśród broni i sprawdzał jej ciężar, aż znalazł odpowiednie ostrze dla siebie. Potem odwzajemnił uśmiech przeciwnika, podszedł bliżej i przybrał pozycję do walki. Conall rzucił się do wściekłego ataku, zasypując Tenebralczyka ciosami z góry i z dołu.

– Oto sztuczka twego brata – szepnął Rafe Cywen do ucha. – W ten sposób zaskakuje przeciwników.

Zasłonięta przez innych obserwujących Cywen nie widziała pierwszych chwil starcia – słyszała jedynie stukot zderzających się drewnianych mieczy – a kiedy znalazła szparę, przez którą mogła popatrzeć, przekonała się, że Veradis cofnął się o kilka kroków, ale bronił się skutecznie. Conall rzucił się do ponownego ataku – udał, że chce uderzyć z góry, ale zawirował i ciął Veradisa w żebra. Ten wykonał sprawny unik, odbił miecz Conalla i rąbnął go najpierw w głowę, a potem w pierś. Brat Haliona odbił pierwszy cios i umknął przed drugim.

Walka ciągnęła się, ale żaden z wojowników nie zdołał osiągnąć przewagi. Conall przypominał rozszalałe morze podczas sztormu i płynnie, acz z niegasnącą furią nacierał na nieprzeniknioną, silną niczym mur obronę Veradisa. Naraz, ku zaskoczeniu wszystkich, koniec miecza Conalla znalazł się przy gardle Veradisa, a on sam uśmiechnął się niczym tryumfujący wilk. Cywen, która z jakiegoś powodu liczyła na to, że brat Haliona przegra, skrzywiła się.

Szkoda. Ktoś powinien mu zasadzić kopniaka i odebrać trochę pewności siebie, pomyślała.

Veradis również się uśmiechnął i ruchem głowy nakazał przeciwnikowi spojrzeć w dół. Conall zerknął i ujrzał broń przyciśniętą do swojego krocza. Cywen się uśmiechnęła. Corban także ją uczył, by uderzała w to miejsce.

Conall skrzywił się, ale natychmiast parsknął śmiechem. Jedna emocja zastąpiła drugą. Veradis zrobił krok w tył i pozdrowił przeciwnika ukłonem.

– Cóż, było na co popatrzeć – szepnął Rafe. – Nie widziałem jeszcze, by ktokolwiek poza jego bratem dotknął go mieczem podczas walki.

– Co się dzisiaj dzieje? – spytała Cywen. – Mam wrażenie, że wyczuwam coś nowego w powietrzu. Jakieś napięcie.

– Nie wiesz? – spytał Rafe. – Królowa Rhin na czele swej armii wyszła z Ciemnego Boru i wdarła się na teren Ardanu. Idzie na Owaina. Idzie tu.

Rozdział dwudziesty siódmy

CORBAN

Blask świtu przesączał się między gałęziami drzwi. Corban nie spuszczał wzroku z biegnącego przed nim Vonna. Chłopak był spocony, a mokra tunika kleiła mu się do skóry. Miał wrażenie, że biegną przez pół nocy, ale nie protestował. Camlin i Halion prowadzili ich okreśną drogą z powrotem do obozowiska. Obaj byli przekonani, że prześladowcy nie wyruszą za nimi w pościg do wschodu słońca – a już na pewno nie po tym, jak znajdą ciało rozszarpane przez Burzę – ale, jak to ujął Camlin, ostrożności nigdy nazbyt wiele. Corban czuł jednakże, że powoli ogarnia go skrajne znużenie. Jego świat skurczył się do pleców Vonna. Skupiał całą uwagę na tym, by wykonać kolejny krok i znów nabrać tchu w płuca, a mimo to w jego umyśle wciąż rozbrzmiewały te same pytania. Co upuścił Vonn? Dla czego był gotów zaryzykować życiem?

Pierwszą osobą, którą ujrzał, gdy zataczając się, dotarł do obozowiska, była Gwenith. Wyglądało na to, że podobnie jak Corban nie zmrużyła tej nocy oka. Nikt już nie spał, konie były osiodłane, a ogień zagaszony. Matka podała jemu i Garowi bukłaki wody. Corban pił chciwie, a po chwili siedział w siodle. Ruszyli wąskim szlakiem przez rzedniejący las.

W południe zatrzymali się w cieniu, rzucanym przez skraj puszczy. Przed sobą mieli łagodne wzgórza porośnięte łąkami. Żując kawałki zimnego mięsa, Corban opowiedział Dathowi i Farrelłowi o tym, co się wydarzyło w nocy i czego dokonała Burza. Wówczas przypomniał mu się Vonn. Bez namysłu wstał i podszedł do młodego wojownika, który siedział blisko Haliona i Edany.

– Co upuściłeś? – zapytał.

Vonn spojrzał na niego, zaskoczony i zmieszany.

– Nocą w lesie coś wypuściłeś. Gdy gonił cię tamten wartownik. Co to było?

Wyraz twarzy chłopaka się zmienił. Odruchowo dotknął ręką płaszcza. Nie odpowiedział.

– Z pewnością to dla ciebie coś ważnego, w przeciwnym razie byś to zostawił. Ten wartownik był tuż za tobą.

Vonn rozejrzał się i uświadomił sobie, że Halion i Edana wpatrują się w niego, podobnie jak pozostali.

– To księga – rzekł cichym głosem.

– Dlaczego jest dla ciebie tak cenna?

Vonn nie odezwał się ani słowem, ale wyglądał na zapędzonego w kozi róg, niczym dziecko przyłapano na wyjadaniu miodu.

– Co przed nami kryjesz? – spytał głośno Dath.

– Nic. To moja sprawa i wara wam od niej! – parsknął Vonn i wyprostował się. Jego dłoń w obronnym geście opadła na to, co krył pod płaszczem.

– Co to takiego, Vonn? – zabrał głos Halion.

Chłopak spojrział na niego, a potem rozejrzał się dookoła, ale uwaga wszystkich skupiona była na nim. Westchnął.

– Ta księga należała do mego ojca i zabrałem mu ją w dniu upadku Dun Carreg, żeby zrobić mu na złość. Pokłóciliśmy się tego wieczoru, bo nie chciał zaakceptować Bethan. – Zerknął przy tych słowach na Datha. – Byłem tak wściekły, że nie panowałem nad sobą. Wiem, że to dziecinne, ale po prostu ukradłem mu ją i tyle.

– Co to za księga? – spytała Brina.

– Trzymał ją w tajnej komnacie, wraz z innymi rzeczami, które tak bardzo cenil.

– Nie pytałam, skąd ją masz, ale co w niej jest! – warknęła uzdrowicielka.

– CO! – wrzasnął kruk, który siedział na gałęzi nad nimi.

Dath podskoczył.

– Nie jestem pewien – rzekł Vonn. – Myślę, że jest stara, a nawet bardzo stara. Myślę, że ojciec znalazł ją w podziemiach pod Dun Carreg.

– Pokaż mi ją! – Heb podszedł bliżej.

Vonn zacisnął zęby. Nic nie wskazywało na to, że ma ochotę rozstać się z księgą.

– Dalej, Vonn – rzekła Edana. – Zrób to, o co Heb cię prosi.

Wszyscy spojrzeli na księżniczkę.

A może to już nie księżniczka, a królowa?, pomyślał Corban. Chyba tak, skoro Brenin nie żyje.

W każdym razie Edana odzywała się już często, o wiele częściej niż podczas pierwszych dni po ucieczce z Dun Carreg.

Powoli, niemalże niechętnie Vonn sięgnął za poję płaszcza, pochwycił coś i wyciągnął grubą, oprawioną w skórę księgę. Heb ujął ją ostrożnie, a Brina zerknęła mu ponad ramieniem. Starzec odwrócił okładkę.

– Na zęby Asrotha! – Uzdrowicielka otworzyła szerzej oczy.

– Co to takiego? – spytał Marrock.

– Księga – odparła Brina. – A jak już ją przeczytamy, to ci powiemy, o czym ona mówi. Bo o to chciałeś zapytać, tak?

– Tak – bąknął zmieszany Marrock.

– Przejrzemy ją i zobaczymy, co nam się uda z niej zrozumieć – odezwał się Heb nieco bardziej uprzejmym tonem. – Nie musisz być chyba tak oschła, co? – zwrócił się do Briny.

– Zamknij się i dawaj mi tę księgę – burknęła staruszka. – Muszę się jej przyjrzeć.

– Zrobisz to w drodze – stwierdził Halion. – Ruszajmy.

* * *

Jechali ostrym tempem przez całe popołudnie i wieczór, odczuwając narastające napięcie. Droga wypadła teraz przez rozległe łąki i parokrotnie musieli zmienić kierunek, by ominąć niewielkie osady i pola uprawne. Raz zauważyli jakichś ludzi, którzy płynęli czółnami po ogromnym, migotliwym jeziorze. Corban nie miał pewności, czy zostali spostrzeżeni czy nie, ale należało założyć taką ewentualność.

Gdy słońce poczęło się chylić ku zachodowi, Brina i Heb podjechali do niego z obu stron.

– Chcieliśmy porozmawiać z tobą o księdze – rzekła uzdrowicielka.

– O księdze?

– Tak. Tej, którą Vonn wyniósł z Dun Carreg.

– Ach, o tej.

– Jest zaiste bardzo stara – powiedział Heb. – Została spisana przez olbrzymy Benothi, które wzniosły Dun Carreg.

Corban uniósł brew, zaintrygowany ich słowami.

– I co? Potraficie ją odczytać? Znacie język olbrzymów?

– Oczywiście – odparł Heb, jakby Corban go uraził.

– To fascynująca księga! – Brina nie potrafiła opanować entuzjazmu w głosie. – Uczy, jak władać mocą ziemi!

– Mocą ziemi? – Corban zamrugał.

– Tak! – parsknęła uzdrowicielka, a w jej głosie naraz pojawiło się rozdrażnienie. – Pamiętasz, jak pytałeś mnie o mgłę podczas ucieczki z Dun Carreg. Wraz z Hebem wiemy co nieco o mocy ziemi. Niedużo, tyle, by móc robić proste rzeczy.

Corban o mało nie spadł z konia. Spoglądał teraz na nich szeroko otwartymi oczami.

– Naradziliśmy się z Hebem – ciągnęła Brina – i doszliśmy do wniosku, że chcemy cię tego nauczyć.

– Nauczyć?

– Corban, jeśli raz jeszcze powtórzysz to, co właśnie powiedziałam, skieruję moc ziemi przeciwko tobie.

– Przepraszam.

– A więc chciałbyś się nauczyć władać tą mocą?

– Czy chciał... – Urwał. – Tak, pewnie!

Dlaczego ja?, pomyślał.

– No – stwierdziła Brina. – Wreszcie mówisz z sensem.

Z czoła kolumny dobiegł okrzyk Haliona. Nadszedł czas na rozbięcie obozu.

– Wkrótce wrócimy do tej rozmowy – rzekła uzdrowicielka.

Niebawem wszyscy zakrzętnęli się już wokół obozowiska, a potem zasiedli przy niewielkim ogniu. Corban spoczął obok matki oraz Gara i siorbiąc, popijał aromatyczną zupę mięsną. Po chwili dołączył do nich Halion.

– Dziś w nocy też ruszymy z Burzą na naszych prześladowców? – spytał go Corban.

– Możliwe – odparł wojownik. – Zobaczymy, co Camlin powie nam po powrocie. Myślę, że pościg nieco zwolnił. Wydarzenia poprzedniej nocy

nauczyły ich przezorności.

Zerknął na Burzę, która leżała rozciągnięta u stóp Corbana i skrupulatnie rozprawiała się z kośćmi i resztkami mięsa, które wykorzystano do kolacji. Craf siedział na pobliskiej gałęzi, nieruchomy niczym głaz, i wpatrywał się w wilkunicę z zazdrością.

– Poza tym będą się dziś mieli na baczności. Lepiej odczekać chwilę. Nie ma co przyzwyczajać ich do jednej strategii – dodał Halion.

Gar mruknął z aprobatą.

– No i na pewno jesteś zmęczony. Sam padam z nóg. Lepiej przespać się dziś i odzyskać siły.

Większość z nich spała już, gdy wrócił Camlin, choć Marrock zerwał się natychmiast i powitał byłego banitę. Corban, choć w istocie był wykończony, nie mógł zasnąć. Podniósł się i skinął Camlinowi.

– Z czym przybywasz? – spytał Marrock.

– Są daleko za nami. – Camlin uśmiechnął się szeroko. Jego zęby błysnęły w blasku ognia. – Widać, że wilkunica napędziła im stracha. Nie ma potrzeby atakować ich dziś w nocy, a nawet gdybyśmy się na nich wyprawili, pewnie nie zdołalibyśmy wrócić do obozu przed świtem.

– Dobra robota, Cam – rzekł Marrock. – A teraz prześpij się, chłopie.

Corban położył się i tym razem zasnął bez trudu.

* * *

Poczuł szturchnięcie.

– Wstawaj! – szepnął mu ktoś do ucha.

W pierwszym odruchu chciał powiedzieć Garowi, by zostawił go w spokoju, ale wiedział, że ten na pewno się nie podda i będzie go trącał coraz mocniej. Stękając i marudząc, podniósł się i przetarł oczy.

Nadchodził świt. Szare światło stawało się coraz intensywniejsze i odpychało ciemność. Większość ich grupy już się zbudziła. Dostrzegł matkę z włócznią, którą Halion podarował mu w dniu sprawdzianu wojownika, Marrocka i Haliona, a także Farrella i Anwartha.

Corban wstał, przeciągnął się i udał się w ślad za Garem ku mokrej od rosy trawie. Inni rozpoczęli już trening. Halion pokazywał Gwenith techniki trzymania włóczni, a Corban i Gar odbyli taniec miecza

i przystąpili do ćwiczebnej walki. Co rusz ktoś zrywał się z posłania i przyłączał do nich – najpierw Dath, potem Camlin, a na końcu Vonn. Nawet Edana rozstawiła szeroko stopy i ćwiczyła płynne wyciąganie miecza z pochwy na biodrze, choć nie za każdym razem jej się udawało. Brina i Heb rozpalali ogień i przygotowywali śniadanie.

Corban był zlany potem, gdy Gar zrobił krok w tył i dał znak, że ich trening dobiegł końca. Gdy chłopak się odwrócił, ujrzał Haliona i Marrocka.

– Pora, byśmy porozmawiali – zwrócił się Halion do Gara. – O tym, kim naprawdę jesteś. Czekaliśmy już wystarczająco długo.

Krzątanina w obozie zamarała. Wszyscy odwracali się ku mężczyznom.

– Wiedz, że ci ufamy, Gar – dodał Marrock. – Nikomu nie przyszłoby nawet do głowy, by podważać twą lojalność, ale nie ma wątpliwości, że wiesz sporo o naszych wrogach. O wrogach Edany. To nie w porządku, byś skrywał tę wiedzę przed nami. Któregoś dnia życie Edany i nas wszystkich może znaleźć się w niebezpieczeństwie, dlatego że nie podzieliłeś się z nami tą wiedzą.

Gar spojrzał na Corbana.

Chłopak uświadomił sobie wagę tej chwili. Jeśli Gar odmówi i niczego im nie wyzna, wzbudzi gniew i zasłuży sobie na niechęć przypuszczalnie wszystkich członków ich grupy. Jeśli zaś odpowie na ich pytania... Corban również chciał się dowiedzieć czegoś o przeszłości swego przyjaciela, ale był przekonany, że ten powtórzy tę samą historię, którą swego czasu zaprezentował jemu samemu. O Asrothu, Elyonie i o tym, że Corban został „wybrany”. Na samą myśl o tym, że wszyscy mieliby to usłyszeć, przeszły go ciarki. Z błaganiem spojrzał na matkę oraz na Gara, ale uświadomił sobie, że Gar patrzy na niego. Że czeka na niego.

Były stajenny nie chciał powiedzieć ani słowa bez zgody Corbana i był gotów znieść gniew, niechęć i podejrzliwość reszty uciekinierów, gdyby ten się nie zgodził. Chłopak poczuł w sercu miłość i szacunek dla człowieka, który strzegł go przez całe życie, nawet jeśli niedawno okazało się, że jest pomyłony. Zacisnął więc zęby i skinął głową.

– Odpowiem na wasze pytania – rzekł Gar do Haliona i Marrocka.

– Dobrze – odparł były łowczy.

– Skąd znasz Sumura? – spytał Halion.

– Gdzie się nauczyłeś tak walczyć? – wtrącił Marrock.

Inni również wykrzykiwali pytania, aż Gar uniósł rękę.

– Powiem wam, kim jestem. Opowiem wam trochę o sobie i o miejscu, z którego pochodzę, a potem będziecie mogli zadać pytania, na której nie odpowiedziałem.

Rozejrzał się. Nikt nie protestował, a więc ciągnął:

– Nazywam się Garisan ben Tukul i pochodzę z Telassar, miasta leżącego w Tarbeshu, daleko na wschodzie. Sumur, wojownik służący Nathairowi, również stamtąd pochodzi. Razem należymy do kasty wojowników, do świętego zakonu zwanego Jehar.

Na polanie zapadła cisza. Corban wpatrywał się w przyjaciół, którzy trawili w milczeniu zaskakujące informacje. Brina zrobiła krok naprzód.

– To czego tu szukasz? Co członek świętego zakonu robi tak daleko od domu?

Wiedziałem, że tylko ona może zadać takie pytanie, pomyślał Corban.

Gar spojrzał na niego, jakby znów czekał na jego zgodę. Brina smagnęła chłopaka ostrym spojrzeniem, a ten skinął głową.

– Słyszeliście wszyscy o podróży króla Brenina do Tenebralu i radzie, w której wziął udział?

Wszędzie dookoła rozległo się ciche potakiwanie. Kątem oka Corban zauważył, że Edana wyprostowała się i wpatrywała się w niego intensywnie, jak nigdy od chwili ucieczki z Dun Carreg.

– I wiecie zapewne coś o przyczynie, dla której rada została wezwana? O Wojnie Bogów?

Znów rozległy się pomruki, ale tym razem kilkoro towarzyszy zmarszczyło czoła.

– A jaki ma to związek z nami? – mruknął Dath.

– Niektórzy z nas wiedzą więcej na ten temat od pozostałych – rzekł Heb, stając obok Briny. – Przedstaw to, co twoim zdaniem wszyscy powinni wiedzieć, by zrozumieć całość.

– W porządku – rzekł Gar. – Na radzie odczytano proroctwo, odkryte w mieście Drassil, w samym sercu lasu Forn, które spisane zostało przez Halvora, olbrzymia żyjącego w czasach Plagi.

W obozie zapadła absolutna cisza. Wszyscy wpatrywali się w Gara.

– Proroctwo mówi o Wojnie Bogów i znakach, które ją zwiastują.

O kamieniach, które płaczą krwawymi łzami, o białozmijach, o przebudzeniu Siedmiu Skarbów i Dniu Zimowego Przesilenia, w którym dzień staje się nocą. Wszystkie spośród nich zostały dostrzeżone. Mówi się, że bogowie Asroth i Elyon oraz służące im anioły oraz demony znów uczynią Ziemię Wygnanych swym polem bitwy, a każdego z bogów reprezentować będzie jego awatar: Czarne Słońce oraz Jasna Gwiazda.

Gar nabrał tchu i się wyprostował.

– Zwę się Garisan ben Tukul i pochodzę z Jehar. Całe swoje życie, od chwili, gdy po raz pierwszy nabrałem tchu aż do teraz, poświęciłem Elyonowi. Przypadł mi wielki zaszczyt, gdyż mogę towarzyszyć Jasnej Gwieździe i zasłaniać go własną pierśią.

– Niczego nie kapuję – szepnął Dath do Farrella.

– Zamknij się i słuchaj! – syknął Farrell i dźgnął młodego rybaka łokciem.

– No to ja powtórzę pytanie. – Brina zmrużyła oczy. – Czego tu szukasz, Gar?

– Służę Jasnej Gwieździe, Seren Disglairowi, awatarowi Elyona, którym jest Corban.

Znów zapadła cisza, którą przerwał dopiero Dath, parszcząc śmiechem.

Rozdział dwudziesty ósmy

FIDELE

Fidele przejechała przez drewnianą bramę Ripy. Towarzyszył jej Peritus oraz cztery dziesiątki orlich gwardzistów. Rozwój wypadków przyspieszył od chwili odkrycia dokonanego w jeziorze.

Od chwili odkrycia Jace'a, pomyślała Fidele. Niech jego imię nie zostanie zapomniane.

Z całą pewnością został zamordowany dlatego, że opowiedział jej o jamach Vin Thalun. Świadomość ta popchnęła Peritusa do intensywnych działań – z miejsca zabrał się za zbieranie w Tenebralu wszelkich informacji o Vin Thalun. W trakcie śledztwa okazało się, że Lamar, baron Ripy, dysponuje wiedzą, którą warto byłoby omówić podczas spotkania w cztery oczy.

Trwało późne popołudnie i słońce zmierzało w stronę horyzontu, ale nadal było ciepło. Fidele oddychała głęboko słonym, morskim powietrzem, wsłuchiwała się w pokrzykiwanie mew i monotonny, wszechobecny szum fal.

Na spotkanie wyjechała im grupa jeźdźców z Krelisem ben Lamar na czele.

– Moja pani! – powitał ją. – Najlepiej będzie, jeśli zostaniesz w Ripie. To bezpieczne miejsce, a niewykluczone, że niebawem padną ostre słowa i błysną wyciągane miecze. Mój ojciec cieszy się na spotkanie z tobą.

– Cóż, obawiam się, że będzie musiał jeszcze chwilę poczekać. Nie przejechałam stu mil po to, by siedzieć w czyjejs wieży i słuchać, jak inni opowiadają mi o tym, co się dzieje – odparła Fidele, nieco mniej uprzejmie, niż zamierzała.

– Ale... – zaczął Krelis.

– Nie ma dyskusji. Chcę sama coś sprawdzić. Mam własną straż, jak zauważyłeś.

Krelis zmarszczył czoło, ale nie powiedział już ani słowa.

Nie taki głupi, na jakiego wygląda, pomyślała Fidele.

Krelis wyprowadził ich z fortecy, a minąwszy ostatnie zabudowania, skierował się na północ. Przejechali skrajem Sarvy, ostatniego wielkiego lasu na południu. Podążali przed siebie, w miarę jak słońce zanurzało się w oceanie zielonych konarów, aż Fidele dojrzała fortecę na wzgórzu otoczonym drzewami. Ostatnie promienie słoneczne padły na zniszczone mury i wieże.

Dojeżdżali do Balary, ongiś wielkiej i dumnej fortecy olbrzymów Kurgan. Jechali po zboczu wzgórza, wśród coraz dłuższych cieni, aż minęli drzewa i ujrzeli mury.

– Udrożniono bramy – odezwał się Krelis i wskazał królowej oraz wojewodzie sterty gruzów po obu stronach łukowatego, kamiennego przejścia.

– Widzisz? – odezwał się Peritus. – Meldunki okazują się prawdziwe.

– A więc przekonajmy się, dlaczego ktoś zadał sobie tyle trudu – powiedziała Fidele.

Ruszyli ku bramom. Na murach zadęto w róg, którego wibrująca pieśń poniosła się daleko.

– Dostrzegli nas! – zawołał Krelis i popędził konia. Jego kopyta załomotały na bruku, gdy wjeżdżał do twierdzy.

Fidele oraz wojownicy z obu orszaków gnali tuż za nim, aż wpadli na szeroką ulicę. Niektórzy spośród mieszkańców uciekali w różnych kierunkach, inni stali i wpatrywali się w przybyszów. Z bliska widać było żelazne pierścienie w ich brodach.

Vin Thalun.

Część z nich zrozumiała powagę sytuacji i sięgnęła po broń. Widząc to, Krelis sam dobył miecza i płynnym ruchem ściął głowę pierwszemu z nich. Obok niego Peritus, również z mieczem w dłoni, stratował innego. Fidele zaś ściągnęła wodze swego rumaka i pozwoliła, by wojownicy przemknęli obok niej i wdarli się w boczne uliczki. Z przerażeniem przyglądała się scenom.

Kilku Vin Thalun stawiało zaciekły opór. Przypadali do atakujących,

ściągali ich z koni i rąbali toporami, ale ich sprzeciw został natychmiast zdławiony. Mieli przeciwko sobie zbyt wielką przewagę, a wojownicy Krelisa i Fidele nie mieli dla nich żadnej litości.

Czy rzeczywiście tyle nas różni od Vin Thalun? – pomyślała Fidele.

Opór po chwili załamał się, a Vin Thalun rozpierzchli się po fortecy, kryjąc się wśród cieni i w półmroku ruin. Fidele zeskoczyła z siodła i przywiązała konia. Jej przyboczny Orcus nie odstępował od niej nawet o krok, chroniąc ją własnym ciałem.

Peritus i Krelis spędzili garstkę jeńców. Jeden z nich wyrwał się przed resztę ze związanymi nadgarstkami.

– Co ty wyprawiasz, głupia suko?! – krzyknął. – Lykosowi się to nie spodoba!

Orcus rąbnął go w twarz. Mężczyzna zwałił się na ziemię. Próbował powstać, a wtedy Orcus kopnął go z całej siły.

– Dość – oznajmiła Fidele i przeniosła wzrok na Peritusa i Krelisa. – A więc to prawda?

– Tak, moja pani – rzekł Peritus.

– Pokaż mi wszystko.

Szli ulicą zasłaną gruzem ku zrujnowanej wieży, wznoszącej się przed nimi.

– Ostrożnie – ostrzegł ją Krelis, gdy przechodzili przez zawaaloną bramę.

We wnętrzu podłoga się zawaliła, odsłaniając kamienne tunele, przypuszczalnie piwnice. Poszerzono je i wyrównano tak, by powstała okrągła arena, na skraju której stanęła teraz Fidele wraz z towarzyszami. Królowa spojrzała w dół i w pierwszej chwili nie zrozumiała, na co patrzy.

Ciała. W kącie sterta trupów, w dziurach i szczelinach kałuże krwi. Cele wzniesione z desek, przywodzące na myśl niewielkie boksy w stajniach, a w nich ludzie, niektórzy wpatrujący się w nią. Młodzi, nastoletni niekiedy, inni starsi, a wszyscy poturbowani, poranieni, pokryci bliznami. Wszyscy z dzikością w oczach.

A więc plotki okazały się prawdą. Odkryli zorganizowaną przez Vin Thalun jamę gladiatorów.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

VERADIS

Veradis i Bos siedzieli w sali biesiadnej Dun Carreg. Ogromny przyboczny z apetytem pochłaniał zawartość wielkiej misy z mięsiwem i gęstym sosem. Sala nosiła ślady walki – belki nad ich głowami były osmalone od ognia, na ścianach wciąż widniały czarne ślady pozostawione przez dym, a na kamiennej podłodze odznaczały się ciemne plamy, których nie można było doszorować. Pewnie nikt już nigdy ich nie doszoruje.

Krew zawsze pozostawia ślad, myślał Veradis, wodząc palcem po bliźnie na dłoni, pozostałości po przysiędze krwi, którą złożył Nathairowi pewnej nocy dawno temu, jeszcze przed śmiercią Aquilusa. „Jesteśmy teraz braćmi” – usłyszał od swego władcy. Pamiętał dobrze, jak się wtedy poczuł. Był podekscytowany i wręcz palił się do działania, a oczami wyobraźni widział przed sobą wielkie przeznaczenie. Teraz, tysiąc mil od domu, przyszło mu się z tym przeznaczeniem zmierzyć. Jedynym, co mu tak naprawdę przeszkadzało, była nadmierna ilość polityki, stąd tak bardzo przypadł mu do gustu poranek na Jarzębinowej Łące. Cieszył się, mogąc wreszcie stanąć z mieczem w dłoni naprzeciwko innego wojownika, nawet jeśli ów miecz wykonano z drewna, a nie z żelaza.

Wtedy do środka wszedł Ewnis z garścią przybocznych. Wyglądało na to, że nikt w Dun Carreg nie robi kroku bez eskorty. Conall, wojownik, z którym Veradis toczył walkę dziś rano, nie odstępował go o krok.

– Miał sporo szczęścia – rzekł Bos, wskazując Conalla. – O mało co ci nie uległ.

– Był szybki – przyznał Veradis. – A ja straciłem wprawę w pojedynkach jeden na jednego. Spędzam zbyt dużo czasu w murze tarcz.

– Ach, te wymówki! – Bos parsknął śmiechem.

– Jakie znowu wymówki? Mówię ci, jak było. On walczył bardzo dobrze.

Veradis w istocie nie przesadzał. Od pierwszego zwania ich mieczy wydawało mu się, że jest zbyt wolny i niezdarny i zaraz po starciu podjął decyzję, że od tej pory zrównoważy swój trening i będzie poświęcał tyle samo czasu walce indywidualnej co w murze tarcz. Realizację postanowienia rozpoczął niemalże natychmiast – najpierw nadzorował ćwiczenia orlej straży Nathaira na Łące, a potem skoczył na konia i udał się na tereny za fortecą, gdzie jego ludzie ćwiczyli walkę w szyku.

Ten dzień sprawił mu wiele radości, ale należało powrócić do innych obowiązków. Wnet został wezwany na spotkanie z Nathairem i Owainem, królem Narvonu.

I wracamy do polityki, pomyślał. Doprawdy, wolałbym oddać ten temat Nathairowi i Calidusowi.

Lykos już opuścił ich grono. Okręty Vin Thalun wypłynęły z porannym pływem, zabierając wojowników z Trzech Wysp. Pomysł wyszedł od Calidusa i wszyscy mu przyklasnęli, gdyż Lykos ewidentnie potrzebował jakiegoś zadania do wykonania. W przeciwnym razie istniało spore prawdopodobieństwo, że opróżni każdą beczkę alkoholu w Dun Carreg. Zabrał ze sobą jedynie galery o płytkim zanurzeniu, gdyż tam, dokąd zmierzał, transportowce nie były mu potrzebne.

W tej właśnie chwili Calidus i Alcyon weszli do sali, jakby przywabiły ich myśli Veradisa. Jak zwykle ich obecność powitały nieprzychylnie szept. Za olbrzymem szły wrogie spojrzenia, co obudziło gniew w sercu młodzieńca. Irytowała go ludzka ignorancja, ale rozumiał, skąd brał się ten brak zaufania. Swego czasu zapewne myślałby tak samo jak tamci, ale Alcyon uratował mu życie, a młody wojownik nieraz dostrzegł u niego przebłysk człowieczeństwa. Sam był tym zaskoczony, ale polubił Alcyona i zaczął niemalże traktować go jak przyjaciela.

Calidus zauważył Veradisa i dał mu znać, by do nich dołączył. We trójkę ruszyli wysoko sklepionymi korytarzami twierdzy ku komnatom Nathaira. Po drodze Veradis dostrzegł kolejnych wojowników Jehar, czuwających dyskretnie w alkowach i ciemnych kątach. Im bliżej komnat Nathaira się znajdował, tym więcej ich widział, co przynosiło mu ulgę.

Nikt się nie zbliży do króla bez ich zgody, pomyślał. A to jedyni ludzie na świecie, którzy mają większą ode mnie obsesję na punkcie jego

bezpieczeństwa.

Nathair ledwie zauważył ich wejście. Od chwili, gdy w środku nocy przesłuchali ową dziewczynę, często bywał zamyślony i nieobecny. Veradisowi nie spodobało się nocne najście – był przekonany, że przestraszyli biedną dziewczynę na śmierć – ale wiedział, że rozmowa okazała się ważna. Wywarła wielki wpływ na Nathaira, ale nie tylko na niego. Calidus od tego czasu z trudem panował nad sobą, co nie było dla niego typowe.

„Nie powinienes był pozwolić chłopakowi uciec” – oznajmił.

Veradis nigdy dotąd nie słyszał, by ktoś powiedział do Nathaira coś równie zbliżonego do reprimendy.

– Siadajcie – rzekł król i machnął ręką. – Owain chce się niebawem ze mną spotkać, bo rozwój wypadków nabiera tempa. Niedługo dojdzie do konfrontacji z Rhin.

– Owain będzie chciał się dowiedzieć, po czyjej stronie się opowiesz – oznajmił Calidus. – Masz ze sobą sporo wojska. Wystarczającą ilość, by zdecydować o losach starcia.

– To prawda. Mam ich aż nadto, zważywszy na to, że ponad dwa tysiące z nich to Jehar, a kolejny tysiąc to orla gwardia przeszkolona do walki w murze tarcz – powiedział Nathair i uśmiechnął się ponuro do Veradisa.

– Tak czy owak, musimy zachować ostrożność – rzekł Calidus. – Strzegą cię Jehar, ale nawet oni muszą ulec znaczącej przewadze, a sypiasz przecież w samym środku nory Owaina. Doprawdy wszystko może się zdarzyć. Sytuacja w Dun Carreg i Ardanie oraz na całym zachodzie jest napięta i zmienna. Z każdą chwilą mapy tracą coraz bardziej na przydatności.

– Wiem. – Nathair się uśmiechnął. – Ekscytujące, muszę przyznać. Nowe czasy, o których tyle słyszeliśmy, o których tyle nam mówiono, tworzą się na naszych oczach. I to teraz!

– Prawda – rzekł Calidus. – Jesteś pewien swego planu?

– Tak. Chcę się go trzymać i odegrać swą rolę, by wcielić go w życie.

– A co z Evnisem? – spytał Veradis. – Przydzieliles mu ważne zadanie. Czy można mu zaufać?

– Tak – rzekł z przekonaniem Calidus.

Veradis przyglądał mu się, ale siwowłosego doradca nie powiedział już ani słowa.

– Nie przejmuj się Ewnisem – rzekł Nathair. – Przejrzałem go na wylot i wiem, na co go stać. A poza tym, nawet gdyby miał mnie rozczarować, niewiele przez to ucierpimy, a na pewno nie wtedy, gdy będziesz go śledził.

– Ja?

– Tak. Chcę, byś miał na niego oko i chronił go przed niebezpieczeństwem, bo myślę, że przyda nam się jeszcze. Poza tym dzięki tobie będziemy od razu wiedzieć, jeśli przyjdzie mu do głowy, by mnie zdradzić.

– Rozumiem. – Veradis zmarszczył brwi. – Ale ja nie nadaję się do tego typu zadań!

– Nie tylko jego nie wolno nam spuszczać z oczu – odezwał się Calidus, ignorując jego protest. – Nie zapominajmy o tej dziewczynie, Cywen. Jej brat może po nią wrócić, a my musimy go odnaleźć.

– Wiem. – Nathair skrzywił się i upił łyk z pucharu. – Nie powinienem był pozwolić mu uciec.

– Co się stało, już się nie odstanie – rzekł Calidus. – Zbyt wiele działo się wtedy naraz, ale musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by nie powtórzyć tego błędu.

– O co chodzi z bratem tej dziewczyny? – spytał Veradis.

Nathair spojrzał na niego ponuro.

– Calidus uważa, że w jego osobie kryje się Czarne Słońce Asrotha.

* * *

– Trzeba przyznać, że wy, olbrzymy, robiliście świetne drogi. – Veradis zwrócił się do Alcyona.

– W ten oto sposób możemy szybciej dopaść naszych wrogów – odparł Alcyon. – Oto filozofia naszych klanów. Zawsze gnamy ku śmierci.

Armia maszerowała traktem, a Dun Carreg stało się już tylko plamką na horyzoncie. Nad liczącymi tysiące ludzi hufcami łopotały sztandary z bykiem Narvonu. Owain uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie opuścić fortecę i rzucić Rhin wyzwanie w polu.

– Nie będę się chował za murami – rzekł, wezwawszy Nathaira do swych komnat. – Mam raporty dotyczące ich liczebności i wiem, że mam więcej ludzi od niej. Co więcej, Rhin nie będzie się spodziewać tego, że opuścimy fortecę.

Nathair zakwestionował sensowność takiego ruchu, ale Owain uparł się.

– Położę kres jej aspiracjom raz na zawsze. Ardan należy do mnie! Podbiłem tę krainę i zabiłem Brenina. To moja zdobycz i nie pozwolę tej starej pajęczycy zamknąć się w fortecy. Nie pozwolę, by zajęła moje ziemie i czekała, aż umrę z głodu.

Nathair nie mówił wiele podczas spotkania. Wolał słuchać, a Owain, bez wątpienia dręczony wieloma troskami, mówił bez końca, przeskakując z jednego tematu na inny. Niemniej wszystko, co powiedział, sprowadziło się do jednego.

– Staniesz po mojej stronie? – zapytał. – Masz tu zacy hufiec, a widziałem, do czego jest zdolna setka twoich Jehar.

– Nie mam wielkiej ochoty narażać życia moich ludzi w twoich awanturach z Rhin – odparł Nathair. – Niebawem czekają mnie moje własne bitwy.

– Walcz ze mną, a ja dołączę do twego sojuszu! – W głosie Owaina pojawił się niemalże błagalny ton.

– Już udzieliłem ci wielkiej pomocy. Otwarłem dla ciebie bramy Dun Carreg i nie pozwoliłem, by Brenin stawiał ci silny opór podczas szturm na jego fortecę. Sądziłem, że to wystarczy, byś do mnie dołączył – odparł Nathair.

– Nie będę w stanie wesprzeć twego sojuszu, jeśli Rhin nadzieje ma głowę na włócznię, a wierz mi, że okażę się o wiele lepszym sojusznikiem od niej. Tej wrednej, knującej suce nie można ufać!

– Myślisz, że Brenin nie mylił się co do niej? Że to jej intrygi doprowadziły do twojej wojny z Ardanem, a sama postanowiła uderzyć w chwili, gdy Brenin zginął, a twoje siły zostały zdziesiątkowane?

Przez twarz Owaina przemknęło zwątpienie, ale także wstyd i lęk.

– A jak to niby możliwe? Przecież widziano Marrocka, jak wychodził z komnaty mego Uthana tuż po tym, jak ten został zamordowany. Nie, ja myślę, że Rhin jest chciwą oportunistką i uznała, że za jednym zamachem może zająć dwa królestwa. Ale ja jeszcze nie zginąłem. Nie docenia

mnie!

Owain ciągnął dalej, zupełnie jakby zapomniał o ich obecności, a Nathair nie udzielił mu klarownej odpowiedzi. Powiedział jedynie, że musi porozmawiać ze swoimi doradcami, a odpowie mu następnego dnia rano. Ich spotkanie miało miejsce dwa dni temu. Veradis nie uczestniczył w kolejnej fazie negocjacji, ale najwyraźniej Nathair obiecał Owainowi jakąś pomoc, gdyż wyruszył na czele swego hufca wraz z jego armią.

Król Tenebralu jechał kilkaset kroków przed Veradisem. Dosiadał swego draiga, który wypełniał niemalże całą szerokość traktu olbrzymów. Konie omijały go szerokim łukiem, tym bardziej, że bestia spoglądała na nie, jakby chciała je zjeść. Nathair opowiedział Veradisowi, iż najtrudniejszym elementem szkolenia draiga było nauczenie go, by nie gonił za końmi i nie pożerał ich.

Króla Tenebralu otaczało całe mrowie Jehar w ciemnych kolczugach, co do jednego uzbrojonych w zakrzywione miecze, których rękojeści sterczały im nad ramionami. Za nimi widać było czerwień armii narvońskiej, która ciągnęła się aż po horyzont.

Veradis miał ze sobą tysiąc orlich strażników. Ci, którzy uczestniczyli w starciu w sercu lasu Forn, dosiadali konie, ale rekruci przywiezieni przez Lykosa maszerowali w równych szeregach. W powietrzu niósł się łoskot męskich kroków w ciężkich, podkutych żelazem sandałach. Przed formacją Veradisa jechał Ewnis wraz z kilkoma dziesiątkami własnych przybocznych. Obok nieodłącznego Conalla siedziała Cywen, a przy jej koniu dreptał brązowy ogar.

Dziewczyna przez większość czasu obrzucała Ewnisa złowrogimi spojrzeniami, co wzbudzało wesołość w sercu Veradisa, choć jeśli Cywen w istocie była tak dobra w rzucaniu nożami, jak utrzymywał Conall, właściwie powinien się martwić. Przecież Nathair kazał mu strzec Ewnisa przed niebezpieczeństwami.

– Tymczasem na końcu tego traktu nie będzie żadnych olbrzymów do zabicia – rzekł Alcyon, bardzo jak na siebie rozmowny. – Będziemy zabijać ludzi. Co o tym sądzisz, człowieku króla?

– Jeśli to wrogowie Nathaira, ich rasa nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Stanę do walki z każdym, obojętnie, czy będzie to człowiek czy olbrzym.

– Dobrze powiedziane – rzekł Calidus, który wracał wzdłuż maszerujących formacji od Nathaira. Wstrzymał konia przed Veradisem i dodał ciszej: – Zachowaj czujność i miej oko zwłaszcza na tylną straż Owaina. Król Narvonu stał się mało przewidywalny i kieruje się impulsami.

Veradis zerknął przez ramię. Za jego ludźmi jechało przynajmniej pięć setek konnych wojowników Owaina, którzy stanowili straż tylną.

– Będę czujny – obiecał.

Calidus kopnął końskie boki piętami i wrócił do Nathaira.

Czy on naprawdę odkrył tożsamość Czarnego Słońca?, pomyślał Veradis.

Zawsze sądził, iż okaże się nim jakiś król bądź ktoś dysponujący faktyczną władzą, ale z tego, co się dowiedział, ów chłopak – Corban? – był synem zwykłego kowala, człowiekiem pozbawionym jakiegokolwiek znaczenia. Może jednak Calidus miał rację. Po Asrothu wszystkiego można się było spodziewać, a więc równie dobrze mógł hodować swego czempiona w tajemnicy.

Sprytny plan, pomyślał. Calidus zresztą wie, co robi. Jak dotąd prowadził nas bezbłędnie. Mam nadzieję, że ten chłopak w istocie okaże się Czarnym Słońcem, bo wówczas będę miał okazję zmierzyć się zarówno z nim, jak i z tym jego Garem. Pomszczę śmierć Rauki.

Nathair opowiedział mu, w jaki sposób zginął Rauca. Bronił Nathaira przed atakiem ojca Corbana, kiedy do starcia wmieszał się Gar, całkowicie zaskakując gwardzistę. Rauca zdecydowanie zasłużył sobie na lepszy los. Czasu niestety cofnąć się nie dało, a martwych nie sposób przywrócić do świata żywych.

Ale można było ich pomścić.

* * *

Pięć dni po wyjeździe z Dun Carreg, tuż przed południem, Veradis usłyszał pieśń rogów, dobiegającą z czoła formacji. Wkrótce dotarły do nich wieści, iż zauważono siły Rhin, ale minęło jeszcze pół dnia, nim ludzie Veradisa ujrzeli je na własne oczy.

Armia Owaina stłoczyła się na zboczach łagodnego wzgórza. W jej szeregach panował ścisk i zamęt – rogi chrypiały, ludzie krzyczeli,

woły ryczały, sprowadzane z traktu. Na szczycie wzgórza wznoszono obozowisko.

Na północnym zachodzie ciągnęły się mokradła, sięgające aż po morze, mieniające się srebrzyście w letnim słońcu. Na równinie przed bagnami stała armia Rhin. Widać było rzędy namiotów i tłumy pieszych wojowników w centrum. Na obu flankach czekały hufce konnych. Veradis wpatrywał się w nie intensywnie, stopniowo zapominając o hałasach wokół siebie.

– Ilu? – spytał Bos.

– Sześć tysięcy. Może sześć i pół.

– A nas?

– Nathair ma pod sobą trzy tysiące mieczy, zarówno nas, jak i Jehar. Owain zaś co najmniej dziewięć tysięcy.

– Czyli Rhin jest skazana na porażkę.

Veradis spojrział na przyjaciela, osłaniając oczy przed słońcem.

– Czas osądzi, ale słyszałem, że Rhin to cwany gracz. Myślę, że zaplanowała o wiele więcej, niż pozwala nam zobaczyć.

– Zachowajmy więc czujność – rzekł Bos.

– Tak. I naostrzmy miecze.

Rozdział trzydziesty

UTHAS

Uthas pełznął w górę zbocza wśród długich traw i dzikich kwiatów. Zatrzymał się na szczycie, skąd przez chwilę spoglądał w milczeniu. W oddali widział Dun Taras, której gładkie mury odbijały blask porannego słońca. Swego czasu obok Dun Carreg i Dun Vaner stanowiła jedną z głównych twierdz ich narodu, nim ludzkie hordy dotarły do Benothu. Teraz na tronie zasiadał Eremon, który władał wszystkimi ziemiami, jakie widział ze szczytu swej wieży. Krew Uthasa zakipiała, a on sam zatęsknił za dawnymi czasami. Zamrugnął, by pozbyć się łez, przytłoczony wspomnieniem tychże zielonych łąk sprzed wielu, wielu lat, gdy zbierał się tu jego ród, by obchodzić Księżyc Narodzin. Dzieciaki bawiły się w rzece, nurkując i goniąc łososie, a mężczyźni popisywali się siłą i współzawodniczyli o miano tego, kto najcelniej ciśnie toporem bądź najdalej rzuci pniem. On zaś chodził wśród nich, śmiał się, uśmiechał...

Wizja rozplynęła się, a w jej miejsce pojawiła się inna. Ujrzał kolumny Benothi, maszerujące przez pustkowia, pozostawiając za sobą czarny, spalony krajobraz, oraz mury Dun Taras, niknące w oddali. Opuścili swą twierdzę. Uciekli przed falą ludzkości.

Odzyskamy Dun Taras. Nadciąga nowy porządek, a ja zrobię wszystko, czego trzeba, by nastał, pomyślał.

Zerknął przez ramię i ujrzał Eisę i Struana, podkradających się ku niemu. Pozostali nadal trwali niemalże niewidoczni wśród skał i drzew na dole. Młode olbrzymy zastygły po jego obu stronach i wbiły wzrok w twierdzę.

– I co teraz? – szepnął Struan po dłuższej chwili.

Uthas odwrócił się na plecy i spojrział na zachmurzone niebo.

Powietrze było wilgotne, ciężkie. Znać było nadciągający deszcz. Gdzieś między chmurami unosił się czarny punkcik. Uthas zamachał ręką, by go przywołać. Fech opadł, kołując.

– Bliżej nie podejździemy – rzekł Uthas. – Czy możesz polecieć do Dun Taras, odszukać Eremona i podsłuchać, jakie ma plany?

– Fech umie podsłuchiwać i podglądać – zakrakał ptak i pomknął ku Dun Taras.

Czy to była groźba?, pomyślał Uthas. Czy on zamierza opowiedzieć o wszystkim Nemain po powrocie do Murias?

Patrzył, jak Fech znika w oddali, a potem zszedł w dół zbocza do swych towarzyszy. Murias leżało sto pięćdziesiąt mil stąd na zimnej północy i minął już ponad miesiąc, odkąd wzniesli kurhan nad ciałem Arica i udekorowali go głowami wrogów.

Rath i inni, którzy się na niego natkną, znów będą mieli powód, by się nas bać, pomyślał. Zbyt długo okazywaliśmy lęk. Zbyt długo czailiśmy się w cieniu.

Bezszelestnie poruszali się między skałami i skarłowaciałymi drzewami na zboczach niewielkich wzgórz i w dolinkach między nimi. Wkrótce dotarli do strumienia i idąc wzdłuż niego, weszli głęboko w las, aż dotarli do ogromnej skały, ongiś stanowiącej część skalnego klifu, który wznosił się dalej. Tam Uthas odnalazł wejście do jaskini i przeszedł przez skrywającą je od setek lat iluzję. Fray rozniecił ogień i wkrótce siedzieli już wokół niewielkiego ogniska.

Czekali na powrót Fecha.

Eisa podała Uthasowi bukłak z brotem. Olbrzym skrzywił się, ale pociągnął łyk. Tajny napój utrzymywał ich przy życiu i dodawał im sił, dzięki czemu zdołali dotrzeć w samo serce wrogiego terytorium. Dwakroć o mało nie zostali odkryci, ale Fech ostrzegał ich za każdym razem, a Uthasowi bardziej zależało na szybkości niż na kolejnych zabitych ludziach. Przelał już krew ze swymi towarzyszami, czym związał ich mocniej ze sobą. Chętniej podążyliby teraz za nim niż za Nemain.

Nemain.

Na samą myśl o niej poczuł smutek. Niegdyś była wielką królową Benothi, ale upadła doprawdy nisko. Paraliżował ją teraz strach, który odbierał jej zdolność do działania.

Powinna była walczyć o nasze ziemie! Powinna była sięgnąć po kocioł, ułożyć się z Asrothem i zapewnić przeżycie naszemu klanowi. Zamiast tego nie zrobiła nic! Uznała, że jedynym celem Benothi jest utrzymanie kotła w tajemnicy, by nikt inny go nie posiadał i nie rozpętał kolejnej wojny!

Ale wojna nadciągała tak czy owak, bez względu na to, co Nemain zrobi, by jej uniknąć.

Od czasu spotkania z Asrothem w celi Rhin głęboko pod Dun Vaner Uthas czuł się jak ślepiec, któremu oddano dar widzenia, zupełnie jakby łuski opadły mu z oczu.

Droga naprzód jest tak jasna i oczywista. Dlaczego Nemain nie chce patrzeć na to w ten sposób?, pomyślał.

Próbował jej wszystko wytłumaczyć. Próbował przekonać ją do podjęcia bardziej agresywnych działań, ale królowa nie chciała go słuchać. Nadal kurczowo trzymał się nadziei, że zmieni swój sposób myślenia, zanim stanie się za późno, ale póki co musiał jej służyć, a jednocześnie współpracować z Rhin dla większego dobra. Przynajmniej udało mu się przekonać niektórych spośród swoich rodaków, a miał nadzieję, że ich liczba wzrośnie.

Cieszył się, że Nemain wysłała go na misję zwiadowczą do Domhainu. Miał nawet nadzieję, że otrzyma to zadanie, bo w ten sposób mógł pozostać w łaskach Nemain, a jednocześnie kontynuować zamysł Rhin. Podczas swej wyprawy na południe dowiedział się, że Eremon nie zwraca większej uwagi na wojnę Cambrenu z Ardanem i Narvonem. Nie zwołano poboru, nie magazynowano żywności. Eremon siedział beczynnie i popadał w gnuśność. Rhin się ucieszy. Wkrótce tu dotrze.

Kąciki jego ust drgnęły, gdy uśmiechnął się na myśl o niej. Pojmała go w niewolę, ale też go zbawiła. Ani przez moment nie wątpił, że połączyła ich silna więź, złożona, mroczna.

Ale mamy ten sam cel, a ja zrobię wszystko, by go zrealizować, nawet jeśli miałbym przez to zginąć. Czarne Słońce wkrótce się pojawi i przyjdzie po kocioł, a ja pomogę mu go odebrać.

Najważniejszą częścią czekającego go zadania było ściągnięcie uwagi Eremona na północ. Zamierzał palić, niszczyć i siać chaos, jakiego Domhain nigdy dotąd nie widział. W ten sposób mógł przywabić armię

Eremona, a gdy Rhin zakończy rozprawę z Ardanem i Narvonem i ruszy na zachód, zastanie Domhain bezbronni i nieprzygotowane do stawienia oporu.

Zwinął płaszcz i ułożył na nim głowę. Widok Dun Taras obudził w nim głęboki żal oraz tęsknotę i tylko sen mógł złagodzić jego ból. Poza tym Fech i tak miał wrócić dopiero nazajutrz.

* * *

Uthas przebudził się i zerwał. Salach siedział wsparty plecami o chłodną skałę i przesuwiał osełkę po ostrzu topora.

– Coś ci się śniło – powiedział.

Uthas dotknął czoła, lepkiego od potu.

– Jak długo spałem?

– Cały dzień – rzekł Salach, zerkając na pozostałych. Niektórzy stali, niespokojni i poruszeni, ktoś cicho rozmawiał. – Reszta nie może się nadziwić.

– Jak możesz teraz spać? – zapytał go Fray. – Przecież przebywamy wśród wrogów w sercu własnej ojczyzny!

– Byłem tu już nie raz – odparł Uthas. – Poza tym, gdybyś miał tyle lat co ja, zrozumiałbyś, że jaskinie nie są szczególnie ekscytujące, bez względu na to, gdzie się znajdują.

Salach zachichotał.

– A ile masz lat? – spytała Eisa.

– Zapomniałem. Byłem jeszcze młodzikiem o bezwłosej twarzy, gdy Plaga zmieniła oblicze naszego świata. – Pociągnął przy tym za kosmyki siwej brody, powiązane rzemykami.

– A więc to prawda? – tym razem odezwał się Kai. – Napiłeś się z kielicha?

– Tak – odparł Uthas.

Po zabiciu Skalda, pierwszego króla, ludzie i olbrzymy utracili błogosławieństwo nieśmiertelności, ale wkrótce wykuto kielich z gwiazdowego kamienia. Należał do Siedmiu Skarbów, a picie z niego dawało zdrowie i długie życie. Nie była to nieśmiertelność, ale prawie.

– Ile lat dał ci kielich? – spytał Struan.

Wszyscy zgromadzili się wokół Uthasa. Na ich twarzach widniały teraz podziw i zachwyt.

– Nie wiem. – Uthas wzruszył ramionami. – Nemain napiła się z niego przede mną, a wciąż jest z nami.

Choć marnuje swój czas i woli siedzieć na kotle, strzegąc go niczym jakaś wychudzona kwoka.

Benothi wyszli z Wojny o Skarby jako zwycięzcy, gdyż przejęli trzy z siedmiu artefaktów – kocioł, naszyjnik Nemain oraz kielich. Dwa ostatnie zostały później utracone, co wyjaśniało obsesyjną troskę królowej o kocioł. Naszyjnik ukryto w Dun Carreg, gdy mury twierdzy ustąpiły przed szturmem nacierających armii ludzi, a broniące jej olbrzymy zostały wyrżnięte do nogi. Kielich stracono gdzieś w Domhainie. Gdzieś tu.

Uthas zwiesił głowę, zawstydzony i przygnębiony. To on utracił kielich. To przecież on sprawował pieczę nad kolumną uciekinierów z Dun Taras. Wpadli w zasadzkę na bagnach na północy, a wóz, na którym wieziono kielich, zatonął. Powodowany wstydem Uthas powracał tam wielokrotnie i próbował odnaleźć zaginiony Skarb, ale nigdy mu się nie udało.

Po jaskini poniosło się echo trzepotu skrzydeł i przez iluzję przeniknął Fech. Kruk odnalazł wzrokiem Uthasa i wylądował przed nim. Chwilę chodził w kółko, a potem musnął dziobem piórka skrzydła, zerkając na olbrzyma błyszczącymi ślepiami.

– No i? – spytał Uthas.

– Eremon jest stary i boi się zmian.

– Jakie ma plany?

– Niczego nie powiedział. Jest stary i leniwy. Gapi się tylko na kobiety.

– A więc to dobre wieści.

– Nie wszystko. Nadciąga Rath.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Znalazł trupy na północy. Jest na twoim tropie. Poluje na ciebie.

Rozdział trzydziesty pierwszy

CORBAN

Było wciąż ciemno, gdy Gar zbudził Corbana szarpnięciem. Ten podniósł się płynnie i obaj bez słowa rozpoczęli taniec miecza. Niebawem nadciągnął świt i ujrzeli Vonna, stojącego na warcie, a potem innych, budzących się i szykujących do dalszej drogi.

Kilku członków ich grupy wciąż ćwiczyło szermierkę owiniętymi płótnem mieczami, gdy Corban przerwał taniec.

– A gdzie są Halion i Marrock? – spytał, zauważywszy ich nieobecność.

– Zabrali Camlina i udali się gdzieś w środku nocy – odpowiedział Vonn. Młody wojownik był cichy i nieobecny od czasu, gdy odebrano mu księgę. – Pewnie znów chcieli złożyć wizytę naszym prześladowcom. Może wybrali się na zwiad, choć przypuszczam, że mają jakiś lepszy plan.

Gar mruknął na znak, że się zgadza.

Corban nie miał pojęcia, co o tym sądzić. Atak, który przeprowadzili zeszłej nocy, głęboko nim wstrząsnął, zwłaszcza zabójstwa z ukrycia. Wiedział, że jeśli chcieli przetrwać, musieli podjąć zdecydowane działanie, ale miał wrażenie, że dopuścili się zdrady i tchórzostwa. Mimo to wspólnie podjęte ryzyko sprawiło, że ich niewielką grupkę scaliło poczucie braterstwa, a w duszy chłopaka pojawił się żal, że tym razem został pominięty.

– Nie rób tak rozczarowanej miny! – Vonn się skrzywił. – Zaproponowałem, że się z nimi udam, ale odmówili. Być może nadal mi nie ufają.

Jesteś z krwi Evnisa, nie zapominaj, pomyślał Corban. To ci nie pomoże, podobnie jak trzymanie księgi w tajemnicy.

– Na zaufanie trzeba sobie zapracować – rzekł Gar.

– Tak. Na honor również – odparł Vonn i odszedł.

Corban i Gar spojrzeli po sobie.

– Chłopcze! – zawołała Brina, podchodząc doń wraz z Hebem. – Zaczynajmy.

Corban zauważył, że staruszka trzyma zabraną Vonnowi księgę.

– Chodzi ci o naukę magii?

– Tak, Ban.

Nagle poczuł lęk, jakby stał w wejściu do mrocznego tunelu.

– Dlaczego właściwie chcecie mnie uczyć? – spytał podejrzliwie.

– Bo jesteś zbędny i nikomu niepotrzebny! – warknęła Brina. – Jeśli coś pójdzie nie tak i twoje ciało stopi się jak воск, nikt na tym szczególnie nie ucierpi.

Odeszła, a Heb westchnął.

– To był komplement, Corbanie – rzekł.

– Czy wasza decyzja ma coś wspólnego z tym, co powiedział Gar? O tym, że niby zostałem wybrany i tak dalej? – spytał chłopak. Po szukającym dla wszystkich wyznaniu Gara Corban czuł na sobie wiele milczących spojrzeń, zauważył też, że Dath i Farrell zerkają na niego z podejrzliwością. – Nie powinniście zwracać na niego uwagi – ciągnął. – Gar z całą pewnością ma mętlik w głowie... – Urwał, doskonale wiedząc, że mężczyzna nie wygląda na takiego, który myliłby cokolwiek.

Heb przyglądał mu się w milczeniu.

– Nie jeśli chodzi o Brinę.

– A więc czemu ja?

– Brina cię lubi, chłopcze. – Heb uśmiechnął się, na co Corban parsknął.

– Musisz zrozumieć, że ta księga kryje w sobie drzwi do wielkiej mocy, coś, czego należy strzec. Gdyby trafiła w nieodpowiednie ręce, mogłoby dojść do wielu tragedii. Brina darzy cię zaufaniem. Myślisz, że chciałaby uczyć kogoś innego? Datha, na przykład? Albo Farrella?

– Nie wiem – odparł Corban.

– Nie chciałaby uczyć nawet Edany czy Marrocka. Jesteś jedynym, kogo wzięła pod uwagę. Ona ci ufa.

Chłopak poczuł w sercu osobliwe zadowolenie. Ba, poczuł się wręcz zaszczycony.

– Dobra – rzekł do Heba i wspólnie udali się do uzdrowicielki, siedzącej

w cieniu drzew.

– Podejmę ryzyko. – Corban zwrócił się do niej. – Nie boję się stopić jak wosk, choć matka pewnie miałaby coś przeciwko.

Usta Briny drgnęły.

– Zaczniemy od teorii – oznajmił Heb.

– Jasne, przecież musisz się powymądrzać – mruknęła uzdrowicielka.

Heb ją zignorował.

– Kiedyś wszyscy ludzie byli elementalistami. – rzekł. – Była to część planu Ojca Ojców. Ludzie i olbrzymy mieli nadzorować i chronić proces tworzenia, a więc otrzymali nad nim władzę. Przede wszystkim zaś przekazano nam moce żywiołów ognia, wody, ziemi i powietrza.

– To dzięki temu przywołaliśmy mgłę podczas ucieczki z Dun Carreg – wtrąciła Brina.

Corban pokiwał głową, zamyślony.

– W jaki sposób się tego nauczyliście? Przyszliście z tymi mocami na świat?

– To nie jest coś, co dzieje się samo z siebie – odparła Brina. – Nie przychodzi naturalnie, jak strzelanie palcami. Przecież dziecko nie jest w stanie chwycić za miecz, prawda?

– Nie – odparł Corban. – Ale niektórym idzie to lepiej niż innym.

– Po części masz rację – rzekł Heb, marszcząc brwi. – Księga opowiada o dwóch sposobach pozyskania mocy. Ja i Brina wiemy co nieco o pierwszym, a drugi...

– A o drugim nie będziemy rozmawiać – przerwała mu uzdrowicielka.

Heb przyglądał się jej przez moment, a potem wzruszył ramionami.

– Powiem tylko, że ważne jest pochodzenie. Rzekomo ludzie z niektórych rodów mają większą moc, bo być może wywodzą się od pierwszych ludzi, a więc mają czystszy rodowód. Do tego trzeba użyć prawdziwej krwi żywego człowieka...

– Powiedziałam, że nie będziemy o tym rozmawiać! – warknęła Brina.

– Jak sobie życzysz. Zrozum, Corbanie, że nigdy nie zostało nam to wprost wyjaśnione. Wraz z Briną od wielu lat próbujemy dopasować do siebie strzępy tej wiedzy.

– Uczyliście się i studiowaliście – podjęła uzdrowicielka. – Zawsze ci powtarzałam, że sięganie do ksiąg daje wielkie bogactwo, choć

potrzebowaliśmy lat, a nawet dekad, by odnaleźć choć drobną cząstkę tego, co znajduje się w księdze.

– A więc jak się wywołuje mgłę? – spytał chłopak, wspominając ucieczkę z Dun Carreg. Otoczyła ich wówczas gęsta mgła, która ukryła ich przed prześladowcami.

Fajna sztuczka, pomyślał z narastającym entuzjazmem. W istocie dobrze będzie się tego nauczyć.

– W gruncie rzeczy kontrola nad żywiołami sprowadza się do dwóch rzeczy – ciągnął Heb tonem znawcy obyczajów. – Najpierw trzeba w nią uwierzyć, a potem powiedzieć na głos to, co się chce wywołać.

– A więc jeśli powiem mgłę, by się podniosła, to tak się stanie? Nie sądzę, by to było takie proste.

– Cóż, tak i nie – rzekł Heb z lekkim uśmiechem. – Już twe słowa skazują cię na porażkę, bo nie wierzysz, że ci się uda. Nie chodzi o to, że masz nadzieję, iż moc przyniesie jakiś skutek, a więc podejmujesz próbę. Nie. By odnieść sukces, musisz uwierzyć w to bezgranicznie. Całkowicie i bez żadnych zastrzeżeń, tak jak wierzysz w to, że krzesło utrzyma twój ciężar, a wyrzucone jabłko spadnie na ziemię.

– A ponadto nie możesz zapominać o zdrowym rozsądku – dodała Brina.

– Tak, musisz pamiętać o tym, gdzie się znalazłeś. Na przykład nie będziesz w stanie przywołać mgły na pustyni, bo mgła to wilgoć, rozproszona woda. W Dun Carreg wraz z Briną nakazaliśmy podnieść się wilgoci ukrytej w ziemi. Gdyby jej nie było, nie mielibyśmy żadnych szans. Rozumiesz?

– Tak. – Corban skinął głową. W istocie miało to dla niego sens.

To zaczyna być ciekawe, pomyślał, a głośno rzekł:

– A więc muszę uwierzyć w to, co ma się stać, a potem po prostu to przywołać?

– Tak – rzekł Heb.

– Choć nie jest to aż tak proste – wtrąciła Brina.

Jasne, pomyślał chłopak.

– Musisz bowiem posłużyć się tą mową. – Heb wziął księgę od Briny i otworzył ją. Corban ujrzał rzędy runów, które rozpoznał z inskrypcji na Kamiennej Bramie w Dun Carreg.

– To język olbrzymów? – spytał.

– Tak – odparła Brina.

– To tylko uproszczenie – rzekł Heb. – Patrzysz na pierwszą mowę. Na język aniołów, olbrzymów, ludzi. To język Elyona, samego Twórcy.

– A więc będę się musiał nauczyć mowy olbrzymów? – spytał Corban i jęknął w duchu.

– Tak – odpowiedziała Brina i się uśmiechnęła.

Z krzaków dobiegł szelest. Pojawiła się Burza, która trąciła chłopaka z taką mocą, że aż się zatoczył, a potem warknęła, spoglądając na drzewa.

– Co się dzieje? – spytał Corban, a potem ujrzał trzy postacie, wyłaniające się spomiędzy zarośli.

Rozpoznał Haliona, ale od razu domyślił się, że coś poszło nie tak. Człowiek idący w środku musiał się wspierać na pozostałych, którzy niemalże go nieśli.

Marrock.

Był blady jak ściana, a jego ramię zwisało bezwładnie. Z ręki ciekła krew.

– Co się stało?! – zawołał Corban, podbiegając do nich. Pomógł doprowadzić uszkodzonego do obozu.

– Został ranny podczas naszego wypadu! – wydyszał Halion. – Chyba dopadł go któryś z ich ogarów.

– Nie jest tak źle – wymamrotał Marrock.

– Ja to ocenię – warknęła Brina. Posłała Corbana po swój plecak, a sama nachyliła się nad ręką Marrocka.

– Szykować się do drogi! – zawołał Camlin, maszerując przez obóz. – Musimy ruszać! Chyba nas wytropili!

Gdy Corban powrócił do Briny, uzdrowicielka polewała ranę łowczego wodą z bukłaka. Chłopak dostrzegł poszarpaną tkankę oraz biel sterczącej spośród niej kości. Staruszka wzięła od Corbana plecak, grzebała w nim przez moment, aż wyjęła zakorkowany dzbanuszek.

– Zapieczę – oznajmiła, po czym odkorkowała naczynie i polała ranę znajdującym się w nim płynem.

Marrock oddychał szybko, chrapliwie. Brina zabandażowała jego rękę, nakładając liście na rany po kłach.

Z oddali dobiegł ryk rogu, któremu odpowiedziało ujadanie psów, o wiele głośniejsze, niż Corban by sobie życzył.

– Musimy ruszać! – wołał Halion.

– Dath, nałóż cięciwę i ruszaj za mną! – oznajmił Camlin, dosiadając osiodłanego konia.

Dath rozejrzył się nerwowo, ale przełknął ślinę i podążył za byłym banitą.

– Utrzymasz się w siodle? – spytała Brina zlanego potem Marrocka.

Ten pokiwał głową. Reszta w pośpiechu pomogła mu wspiąć się na siodło i cała grupa ruszyła ostrym tempem.

Nie zatrzymywali się przez kilka godzin. Przemierzali łąki i szerokie doliny, wjeżdżali między niskie wzgórza, a w miarę, jak teren piął się w górę, drzewa liściaste powoli ustępowały miejsca świerkom. Daleko na północnym zachodzie widać było ciemne pasmo gór. Corban bez przerwy spoglądał za siebie w nadziei, że wreszcie ujrzy Datha i Camlina.

W południe zatrzymali się na moment, by dać chwilę wytchnienia wierzchowcom, po czym znów wyruszyli w drogę i jechali do wieczora. Gdy słońce wisiało już nisko nad horyzontem, Halion nakazał wszystkim rozciągnąć się w długi szereg. Ziemia była zasłana miękkimi igłami sosnowymi, które częściowo wygłuszały tętent kopyt i mogli w ten sposób nadal podróżować w dobrym tempie.

Pokonaliśmy niezły szmat drogi, pomyślał Corban. Na pewno zostawiliśmy pościg w tyle. Ale gdzie Camlin i Dath?

Wtedy Marrock zsunął się z siodła i runął na ziemię jak worek ziarna.

Rozdział trzydziesty drugi

MAQUIN

Wschodziło słońce. Maquin spoglądał na ulice Dun Kellen, zasłane ciałami, nad którymi bzyczały muchy.

Mieli za sobą długą, krwawą noc. Hufiec Jaela nacierał na mury twierdzy z narastającą desperacją i Maquin kilkakrotnie spodziewał się, że lada chwila usłyszy rogi, wzywające do odwrotu do wieży, ale jakimś cudem udało im się utrzymać zewnętrzny mur. W znacznej mierze zawdzięczali to Orgullowi. Jael skupił swe ataki na najsłabszych, remontowanych częściach muru, a tam, gdzie walki były najbardziej zacięte, natychmiast pojawiał się Orgull, siejąc śmierć toporem ongiś należącym do olbrzyma. Maquin nie odstępował go na krok, gdyż nienawiść do Jaela dodawała mu niespożytych sił. Gdy walki przycichły, a staremu wojownikowi udało się wreszcie odpocząć, poczuł ból naderwanych mięśni i ścięgien i tępe pulsowanie ramienia. Oczy szczypały go od potu i krwi.

Ale przeżyłem, pomyślał.

Jego myśli znów odpłynęły ku Kastellowi i poczuł ucisk w żołądku. Spojrzał na ulice w poszukiwaniu Jaela.

Jego ludzie byli pochłonięci pracą. Wyrwali deski i belki z zawałonych domów, by konstruować prowizoryczne drabiny oraz tarany. Kilka wykonanych uprzednio machin oblężniczych leżało już porzuconych u bram twierdzy, otoczonych wieńcami trupów. Naraz oczom Maquina ukazał się niewielki oddział atakujących, z których wyszedł Jael. Zatrzymał się w bezpiecznej odległości od bramy, otoczył usta dłońmi i krzyknął:

– Pozostał wśród was ktoś, kto ma jakąś ranę? Chcę rozmawiać!

Na murach poniosły się szmery. Pojawiła się Gerda, która przywdziała źle dopasowany napierśnik, a do ręki chwyciła krótki miecz. Maquin

się uśmiechnął. Władczyni twierdzy urosła w jego oczach przez noc. Ani na moment nie zeszła z murów, bez chwili wytchnienia nakłaniając swych ludzi do stawienia zacieklego oporu i obrzucając Jaela oraz jego wojów straszliwymi przekleństwami. W pewnym momencie, gdy niewiele brakowało, by napastnicy przebili się przez mur, sama rzuciła się do walki. Otaczali ją teraz wojownicy, pomni losu Varicka i gotowi w każdej chwili zasłonić ją tarczami.

Maquin uświadomił sobie, że ktoś za nim stanął. Był to Tahir, który również chciał rzucić okiem na ulice. Na policzku miał paskudne rozcięcie i wgniecenie na kolczudze, ale wydawało się, że nie odniósł żadnych poważnych ran. Uśmiechnął się do Maquina.

– Wciąż żyjesz? – spytał.

– Ledwie – odparł stary Gadrai, na powrót kierując wzrok na Jaela.

– Czego chcesz?! – krzyknęła Gerda.

– Tylko ty pozostałaś z całego Dun Kellen? – Jael parsknął śmiechem. – Nie macie tam jakiegoś wojewody czy lorda, który dowodziłby obroną? Pozostała wam tylko stara, gruba baba?

– Kogo ty nazywasz babą, co?! – odkrzyknęła Gerda, na co jej wojownicy również się roześmieli. – Nie jestem ani zbyt stara, ani za gruba, by udzielić ci kilku lekcji w sztuce wojennej, obsmarkany gówniarzu!

Śmiech przetoczył się wzdłuż murów. Jej wyzwiska rozbawiły nawet Maquina i kilku towarzyszy Jaela.

– Jeśli pozostał wśród was ktoś, z kim mogę się układać, zrobię to z ochotą! – wrzasnął Jael. – Jeśli pozostała wam tylko ta baba, Dun Kellen już właściwie padło! Niech wszyscy, którzy mają trochę oleju w głowie, zapamiętają sobie raz na zawsze, że Gerda i jej syn Haelan już nie żyją! Patrzycie jedynie na straż przednią mej armii! Nadciągają kolejne oddziały i wieście, że tej bitwy nie wygracie. Nim minie nów, zatknę wasze głowy na ostrzach włóczni. Oddajcie mi Gerdę i jej smarkacza, a pozwolę wam żyć! Ba, powitam was nawet w swej drużynie! Walczcie zaś dalej, a pozbijam was wszystkich, a potem wasze żony, kobiety i dzieci. Nie będzie żadnych jeńców, żadnego poddawania się!

– Gadkę to on ma – mruknął Orgull, podchodząc do Maquina i Tahira.

Maquin rozejrzył się i zobaczył lęk w oczach wojowników stojących na murach.

– Ostre słowa kości nie łamią, jak mawiała moja matka! – odkrzyknął Tahir.

– Dobrze powiedziane! – roześmiała się Gerda.

– Poczekajcie tylko! Łamać też wkrótce będę! – odparł Jael, po czym odwrócił się i machnął ręką. Z cieni wyskoczyli wojownicy, którzy rzucili się biegiem w kierunku murów, a gdy rozległa się pieśń rogów, wyhamowali i wyrzucili rój włóczni.

Trzej Gadrai schowali się w porę, ale wojownik stojący niedaleko Tahira zorientował się zbyt późno i runął w dół z włócznią w piersi. Maquin wyjrzał z kryjówki i dostrzegł kolejnych wojowników Jaela, którzy biegli z drabinami. Inni zasłaniali tarczami mężczyzn dźwigających ciężki taran.

Na murach rozległy się okrzyki ostrzegawcze, a na napastników poleciały strzały i głązy. Jakaś drabina oparła się o mur tuż obok Maquina. Wojownik wychylił się i dźgnął wspinającego się po niej napastnika. Ostrze miecza ześlizgnęło się po żelaznym hełmie i wbiło się w ramię mężczyzny, który wrzasnął i runął w dół, natychmiast zastąpiony przez innego, który ciął Maquina po wyciągniętym ramieniu. Orgull szarpnięciem odciągnął starszego towarzysza i zamachnął się toporem. Głowa napastnika wystrzeliła w górę w fontannie krwi, a bezgłowe ciało utknęło wśród szczebli drabiny. Orgull zaparł się toporem i odepchnął drabinę od murów. Ta zachwiała się i runęła z głośnym trzaskiem na ziemię, przygniatając nacierających, którzy nie zdążyli odskoczyć.

W międzyczasie pojawiły się kolejne drabiny i Maquin zatracił się w walce. Rytm wydarzeń wytyczały miarowe, niekończące się uderzenia tarana, które rozmywały się w umyśle szalejącego na murach wojownika. Ciął, pchał i charczał przekleństwa, ani na moment nie ustając w walce przeciwko szturmującym legionom. Orgull i Tahir, jego bracia Gadrai, walczyli z nim ramię w ramię i wspólnie spychali falę nacierających.

Maquin zatrzymał się na moment, by złapać tchu. Z trudem unosił zmęczone ramiona, a płuca paliły go z każdym nabieranym oddechem. Uniósł wzrok i ujrzał Gerdę, która stała na murach nad bramą, zagrzewając wojowników do boju, a nawet sama podrywała głązy i ciskała je na głowy wojowników Jaela. W pewnym momencie na dźwigających taran mężczyzn poleciały słoje z jakąś cieczą – czyżby z naftą? – a w ślad za nimi

płonące pochodnie. Rozległ się syk płomieni, a potem straszliwe wrzaski. Maquin wychylił się i ujrzał, że zarówno taran, jak i trzymający go ludzie stanęli w ogniu. Niektórzy tarzali się po ziemi, inni biegli z wrzaskiem przez ulice miasta. Buchnął gryzący w gardło, ohydny zapach płonącego mięsa i Maquin schował się za blankę.

Po murze biegały teraz dzieci, które podawały walczącym bukłaki z wodą. Maquin przywołał do siebie jednego z chłopców, wziął od niego bukłak i pociągnął tęgi łyk. Wtedy padł na nich cień rzucany przez Orgulla. Chłopiec otworzył szeroko oczy, widząc krew ściekającą z jego topora.

– Pić się chce od tego zabijania – mruknął Orgull między jednym łykiem a drugim.

Walka znów przycichła. Gerda szła po murze, aż natknęła się na nich.

– Dobrze znasz Jaela? – spytała Maquina.

– Był kuzynem mojego pana – odparł wojownik i wzruszył ramionami.

– Mieszkaliśmy razem w Mikil, ale Jaela i Kastella, mego pana, nigdy nie połączyła przyjaźń.

– Twierdzi, że przybywają posiłki. Myślisz, że mówi prawdę?

– To wąż, a nie człowiek. Własną matkę by okłamał. Zdradził swego wuja i zamordował kuzyna w podziemiach pod Haldis. Nie uwierzę w nic, co pada z jego ust. Przypuszczalnie chce tylko wzbudzić lęk wśród twoich ludzi w nadziei, że któryś z nich cię zabije i wykona pracę za niego. Nie, Jael też musi się dowiedzieć, że masz więcej ludzi na sąsiednich ziemiach. Przerazi się na wieść o tym, że czas gra na jego niekorzyść.

– Też o tym myślałam – oznajmiła Gerda, a potem zawołała: – Jael to kłamca! Nie czeka na żadne posiłki! Musimy stawić mu opór i wytrzymać do czasu przybycia drużyn z okolicznych ziem!

Odpowiedziały jej ochryple wiwaty. Kobieta odeszła.

Wtedy ktoś wykrzyknął ostrzeżenie. O mur oparły się kolejne drabiny.

– No to wracamy do roboty! – rzekł Orgull i poklepał swój topór.

Znów pograżyli się w walce. Czas przestał mieć dla Maquina jakiegokolwiek znaczenie. Ludzie Jaela raz za razem przypuszczali szturm na mury, ale bezskutecznie, aż pod wieczór, gdy zachodzące słońce zabarwiło nisko wiszące chmury na czerwono, rozległy się dzikie wrzaski i napastnicy wreszcie wdarli się na twierdzę.

Maquin walczył nad bramami, strzegąc boku Orgulla. Ten zamachnął

się toporem na wojownika, który właśnie zeskoczył z drabiny. Napastnik przez chwilę nie mógł złapać równowagi i ostrze topora przebiło się przez jego kolczugę, skórzaną przesywanicę i żebra. Buchnęła krew i strzępy ciała. W tej samej chwili Maquin usłyszał za sobą nowe okrzyki bojowe. Odwrócił się i ujrzał ludzi Jaela, wdzierających się na mury. Bez namysłu skoczył na nich, krzycząc ostrzeżenie do Orgulla i Tahira, ale nie miał pewności, czy ktokolwiek go usłyszał.

Wpadł na pierwszego napastnika z takim impetem, że aż mu zęby zaklekotały. Wypchnął go za mur tak gwałtownie, że tamten nie zdążył nawet wrzasnąć, a potem złapał miecz oburącz i natarł na kolejnego. Ciął go po żebrach, a potem pchnął od dołu i przebił jego szczękę. Przeskoczył nad osuwającym się ciałem, tnąc i pchając. Któryś z ludzi Jaela zablokował jego cios z taką siłą, że nacierającemu Maquinowi zdretniało ramię. Ktoś go pochwycił i szarpnął do przodu, a obrońca potknął się o jakiegoś trupa i padł na kolano. Kątem oka ujrzał przed sobą wojownika z wzniesionym mieczem i żądzą krwi w oczach. Maquin z dzikim warknięciem wyrwał nóż z za pasa, rzucił się naprzód i wbił go po rękojeść tuż pod napierśnik przeciwnika. Szarpnął ostro. W oczach wojownika pojawił się strach, a siły natychmiast zaczęły go opuszczać. Maquin odepchnął konającego na bok i skoczył na następnego z mieczem w jednej ręce i sztyletem w drugiej.

– Gadrai! – usłyszał za sobą.

Uśmiechnął się szeroko, wiedząc, że jego dwaj bracia w mieczu znów są z nim. Ekstaza bitewna zawładnęła nim całkowicie. Inni brali ją za szaleństwo, ale dla niego kryła się w niej tylko czysta, odurzająca radość. Odślonił zęby w drapieżnym uśmiechu, ciął i rąbał, a napór napastników zelżał, aż ocaleli ludzie Jaela rzucili się do ucieczki przed trójką rozszalałych wojowników Gadrai.

Pozostali napastnicy na murach byli stopniowo wyrzynani lub zrzucani na dół. Atak się załamał, a rogi wezwały resztę wojów do wycofania się, co też skwapliwie uczynili. Ocaleli obrońcy odetchnęli z ulgą. Maquin złapał Tahira za ramię i uśmiechnął się do niego, zbyt wyczerpany, by odezwać się choć słowem.

Nastąpiła przerwa w walce. Obrońcy na murach wykorzystali okazję, by coś zjeść czy wypić, a niektórzy układali się nawet do snu. Słońce skryło się już za horyzontem, zewsząd podkradał się mrok. Przed zapadnięciem

całkowitych ciemności Orgull wyrzał poza mur i zmarszczył brwi. Dostrzegł ludzi, którzy wybiegali z bocznych uliczek, niektórzy z naręczami drewna, a inni słomy. Podbiegali do bramy i tych odcinków muru, gdzie ubytki kamienia uzupełniono belkami i w mig ułożyli przy nich wysokie stosy.

– Nie podoba mi się to – mruknął Tahir do Maquina, gdy ujrzał kolejnych nadbiegających, tym razem z wielkimi słojami oleju. Obrońcy zaczęli ciskać kamieniami i włóczniami. Wrzaski z dołu wypowiedziały im, że niejeden pocisk odnalazł swój cel, ale tu i ówdzie skrzęsano już iskry i pojawiły się płomienie.

– Chcą wypalić sobie drogę do środka – stwierdził Maquin.

Patrzył, jak Gerda i jej kapitanowie organizują drużyny noszące wodę, ale nim pierwsze wiadro dotarło na górę, płomienie buchały już wysoko, a wylana woda z sykiem zamieniła się w parę. Jeden pożar udało się ugasić, ale po chwili płonęło już około tuzina innych wzdłuż połatanych odcinków muru. Drewno wykorzystane do naprawy tliło się już z trzaskiem, a dym kładł się po murach.

Chłopak, który wcześniej przyniósł im wodę, podbiegł do Maquina i jego towarzyszy.

– Pani chce cię widzieć! – powiedział do Orgulla, który skinął głową i zanurzył się w kłębach dymu.

Po chwili powrócił.

– Gerda nakazuje odwrót do wieży – rzekł cicho. – Zostawia tu grupę wojowników, by osłaniała ewakuację i stwarzała wrażenie, że nadal stawiamy opór.

– Czyli podpisuje na nich wyrok – rzekł Tahir. – Takie zadanie to samobójstwo.

– Nie. Nakazuje ucieczkę w chwili, gdy ludzie Jaela przystawią pierwsze drabiny do murów.

– No to lepiej się pośpieszmy – rzekł Maquin. – Te mury nie wytrzymają całej nocy.

Jakby na dowód jego słów belki nieopodal skrzypnęły głośno i zbudowany z drewna chodnik zwalił się z łoskotem.

– Przypuszczam, że zgłosiłeś nas na ochotnika do tylnej straży? – odezwał się Maquin.

Odpowiedzią Orgulla był szeroki uśmiech.

– A więc pokażmy nasze twarze – rzekł Maquin i stanął między blankami. – Dajmy Jelowi i jego chłopakom prawdziwy powód do lęku.

– Ale patrzmy pod nogi, co? – dodał Tahir, dołączając do towarzysza. – Wolałbym nie stawać dziś na drewnie.

Odwrót do wieży nie trwał długo. Niebawem Maquin, Orgull i Tahir wraz z tuzinem innych pozostali sami na murach.

Nie musieli też długo czekać, by pierwsza drewniana część murów zapadła się, a płomień i dymy buchnęły wysoko. Wojownicy Jaela rzucili się naprzód, ale cofnęli się, gdy ogień buchnął im w twarze. Inni, porwani zapalem, pochwycili drabiny i przystawili je do kamiennych murów.

– Zwiewajmy – oznajmił Tahir i spojrzął przez ramię na ciemny kształt wieży. Orgull warknął rozkaz i garstka obrońców ruszyła szerokimi schodami na dół.

Maquin oparł włócznie o najbliższą drabinę i naparł ze wszystkich sił, ale ciężar wspinających się po niej wojowników okazał się zbyt wielkim wyzwaniem. Drabina ani drgnęła. Orgull zauważył jego wysiłki i wspomógł go swym toporem, ale niewiele to dało. Chwilę później ukazała się głowa w żelaznym hełmie.

– Pośpieszcie się! – ryknął Tahir.

Maquin i Orgull pchnęli raz jeszcze. Tym razem zdołali odepchnąć drabinę, która zakołysała się w powietrzu i runęła w ciemność. Maquin uśmiechnął się, słysząc wrzaski, które dotarły z dołu, a potem trzech Gadrai zbiegli po schodach i rzucili się biegiem ku wieży. Stojący na straży wojownik wpuścił ich do środka. Wspólnie zatrzasnęli wrota i założyli żelazną sztabę.

Rozdział trzydziesty trzeci

CAMLIN

Camlin napiął cięciwę, wstrzymał oddech i zwolnił strzałę. Obok siebie usłyszał brzęknięcie cięciwy Datha, a potem głośne wrzaski. Zsunęli się w dół parowu.

– Na pewno w coś trafiłeś – szepnął do Datha, który wyszczerzył zęby. Ruszyli wśród zarośli.

Były banita mruknął z aprobatą, widząc, z jaką zręcznością chłopak się przemieszcza: bezszelestnie stawiał stopy i rozglądał się, by uniknąć gałęzi.

Kiedys będzie za pan brat z lasem, przemknęło mu przez głowę.

Na skraju parowu, który przed momentem opuścili, rozległo się ujadanie psów.

O ile przeżyje, dodał w myślach.

Pędzili przez las. Camlin prowadził ich ku miejscu, w którym zostawili wierzchowce, klucząc i manewrując, nigdy nie biegnąc prosto w stronę celu. Wreszcie przypadli do koni, wskoczyli w siodła i ruszyli naprzód, obaj zbyt zziajani, by się odezwać.

Wkrótce dotarli na skraj lasu, gdzie ich oczom ukazały się łąki, ciągnące się przez dobrą milę. Camlin spojrział w górę i przekonał się, że południe już dawno minęło. Ich śmiercionośna zabawa w kotka i myszkę trwała od wczesnego rana. Zdołali zaatakować prześladowców czterokrotnie, co wystarczyło, by ich przekonać, że mają przeciwko sobie więcej niż dwóch ludzi. Camlin nie łudził się jednak, że uda mu się powstrzymać pościg – chciał jedynie nieco go spowolnić.

Przemykali właśnie w cieniu kępy sosen, gdy wiatr przyniósł słabe ujadanie sfory psów.

– Odnaleźli nasz trop! – zawołał Camlin do Datha, który nerwowo spojrzął za siebie.

Popędzili konie.

Jechali przez cały dzień, nie zatrzymując się ani na chwilę, czasami jedynie pozwalając wierzchowcom iść, zamiast galopować. Gdy słońce zaczynało się chylić nad górami na zachodnim horyzoncie, Camlin wypatrzył resztę ich grupy, skupioną pośród zielonych i fioletowych wrzosów.

– Czemu nie uciekają?! – zawołał Dath.

Camlin potrząsnął jedynie głową, zastanawiając się nad tym samym.

Przecież powinni gnać aż do zmroku! Wykorzystać każdy promień światła słonecznego!

Nieopodal płonęło ognisko, szarpane podmuchami chłodnego wiatru.

Poszaleli! – pomyślał Camlin i się skrzywił. Są na otwartej przestrzeni! Gdy zapadnie zmrok, to ognisko zwabi pościg jak kupa gnoju muchy!

Gdy dotarł bliżej, ujrzał postać na ziemi. Był to Marrock.

Halion i Anwarth wybiegli im na spotkanie.

– Marrock ma gorączkę. Zsunął się z siodła, a Brina twierdzi, że jego rany gniją.

Camlin poczuł gwałtowny ból w sercu, zupełnie jakby ktoś wbił w nie nóż, a potem go obrócił. Czy wszyscy ludzie, do których zdołał się przekonać, musieli ginąć?

– Brina wie, co robić? – spytał.

– Twierdzi, że pozostało tylko usunąć mu dłoń i czekać. Jeśli zgnilizna nie przedostała się do krwi, być może przeżyje.

Camlin podszedł do Edany, która klęczała przy Marrocku i mokrą szmatką ocierała jego spoconą twarz.

Łączą ich więzy krwi, przypomniał sobie. Są kuzynostwem!

Brina stała przy ogniu i trzymała nóż w płomieniach. Corban mieszał coś w kociołku obok niej. Uzdrowicielka co chwila wywarkiwała kolejne polecenie, a młody wojownik przeszukiwał jej ogromny plecak, wyciągał dzbanki, rolki płótna oraz rozmaite instrumenty. Czy to był pilnik?

– Nie mam tyle sił, by ciąć – rzekła Brina. – Nie tu. Poza tym nie mam wszystkich moich narzędzi. Ktoś musi to zrobić za mnie. Potrzebuję kogoś z silnym ramieniem, dobrym ostrzem i precyzyjnym okiem.

– Ja to zrobię – rzekł Heb.

Brina zmierzyła go spojrzeniem i parsknęła.

– Nie masz tyle siły, a nawet gdybyś miał, nie trafiłbyś w to, co trzeba, i odrąbałbyś mu głowę.

Heb się skrzywił.

– Ja to zrobię – odezwał się Gar, podchodząc i wyciągając miecz z pochwy na plecach.

Brina zbliżyła się z rozgrzanym do czerwoności nożem. Skinęła Farrelowi, który naciągnął ramię Marrocka mocnym rzemieniem. Gar ciął raz. Marrock wrzasnął przeraźliwie, a jego ciało wygięło się w pałąk. Z nadgarstka trysnęła krew.

– Przytrzymajcie go – rzekła uzdrowicielka.

Camlin i Halion unieruchomili miotającego się dziko łowczego, a wtedy Brina przyłożyła ostrze do kikuta. W powietrzu poniosł się smród palącego się ciała. Camlin wstrzymał oddech, a Marrock wygiął się raz jeszcze i zwiotczał.

– Zemdlał – rzekł Halion.

– W jego sytuacji to najlepsze, co się może wydarzyć – powiedziała Brina i uniosła rękę Marrocka, by obejrzyć ranę. Zerknęła na Gara. – Niezłe cięcie – oznajmiła i wywarczała kolejne polecenie do Corbana, który podał jej przedmiot przypominający pilnik. Staruszka zaczęła piłować kość wojownika.

– Co ona robi? – spytał Dath, który wyglądał, jakby lada moment miał zwymiotować.

– Wygladza wszystkie ostre krawędzie, by dało się później zaszyć skórę.

– Okropny dźwięk – szepnął chłopak.

Gdy Brina skończyła pracę, Corban podał jej kolejne narzędzie, tym razem długie i cienkie. Uzdrowicielka zaczęła grzebać nim w ranie, z której znów pociekła krew.

– Usuwa brud i kawałki kości – szepnął Camlin do Datha, a ten przełknął ślinę.

Po chwili Brina polała ranę wodą z bukłaka i przytknęła do niej ponownie rozgrzany nóż. Znów rozległ się syk.

– Zakończ za mnie – powiedziała do Corbana.

Chłopak, pracując pod czujnym wzrokiem Briny, posmarował ranę

maścią, odwiązał nieco płótna, wyciągnął coś, co przypominało liść i przyłożył go do kikuta, a potem obwiązał mocno. Jego dłonie poruszały się szybko i pewnie, a na twarzy zastygło skupienie. Brina burknęła coś na kształt aprobaty.

– Teraz pozostaje nam czekać – oznajmiła.

– A w międzyczasie trzeba się stąd wynosić! – zawołał Camlin i roztrącił ognisko kopnięciem. – Albo żaden z nas nie dożyje kolejnego dnia.

Niebo było ciemnogramatowe, ale na zachodzie nadal widać było resztki blasku słonecznego. Szybko dosiedli koni, a Marrocka wciągnięto na siodło przed Haliona.

Jechali dopóty, dopóki było to możliwe, aż dotarli do kępy powykrzywianych od wiatrów, poskręcanych sosen, gdzie zatrzymali się na nocleg.

– Żadnego ognia – polecił Camlin, wiedząc, że pościg się zbliża, a blask płomieni ściągnie go tu jeszcze przed świtem. Sam zabrał się do ścinania gałęzi na nosze dla Marrocka.

Przydadzą się, o ile przeżyje noc, pomyślał.

* * *

Następy poranek okazał się zimny i wilgotny, a słońce przesłoniły mgły. Marrock trząśł się i dygotał. Brina uklękła przy nim, sprawdziła puls na gardle i nadgarstku, a potem przez moment wsłuchiwała się w jego oddech. Na końcu odwinęła bandaż wokół kikuta i powąchała.

– Oczyść ranę i obwiąż – poleciła Corbanowi. – Nadal nie wiadomo, czy przeżyje, bo gorączka go nie opuszcza. W pierwszej kolejności trzeba się z nią uporać. Wciąż jednak żyje, a jego ciało nie cuchnie zgnilizną. To dobry znak.

Gdy Corban uporał się z zadaniem, wspólnie przywiązali Marrocka do noszy, które następnie przytroczone do jego konia. Niewielka drużyna ruszyła przed siebie, z początku powoli i ostrożnie. Camlin zamykał szyk, bez przerwy zerkając do tyłu i wytężając słuch. Mgła ograniczała widoczność i tłumiała wszelkie odgłosy.

Anwarth zrównał się z banitą.

– Mój syn przyjaźnił się z nim w Dun Carreg – powiedział, wskazując

na Datha, który jechał z Corbanem i Farrellem. – Dobry z niego chłopak. Ponoć było mu ciężko po śmierci matki. Jego ojciec szukał pociechy w dzbanach *usque* i nie szczędził mu razów.

– To ci dopiero – rzekł Camlin. Przypomniał sobie, że ojcu Datha często trzęsły się dłonie bez wyraźnego powodu. – Może Dathowi będzie lepiej bez niego.

– Nie wiem, czy by się z tobą zgodził. – Anwarth wzruszył ramionami. – Ale widziałem, jak się nim zajmujesz i chciałem tylko, byś wiedział, że to doceniam.

Nim Camlin zdążył odpowiedzieć, tykowały wojownik popędził konia.

Pięli się coraz wyżej i słońce, sunąc w stronę zenitu, powoli osuszało mgły. Camlin ściągnął wodze i spojrzął za siebie. Wyjeżdżali z długiej doliny, leżącej w krainie łagodnych wzgórz, pokrytych czerwonymi i fioletowymi wrzosowiskami. Nigdzie nie było widać ani śladu pościgu, ale dolina zakręcała parokrotnie, co również ograniczało widoczność.

Póki co jesteśmy bezpieczni, pomyślał. Ale nie na długo, jeśli nie będziemy mogli przyśpieszyć.

Usłyszał stukot kopyt zbliżającego się konia. Odwrócił się i ujrzał Brinę. Jej czarny kruk siedział na łęku siodła.

– Wyglądasz na strapionego – powiedziała.

– Byłbym szczęśliwszy, gdybym mógł zobaczyć więcej.

– Może więc będę mogła pomóc. – Uzdrowicielka podrapała kruka po szyi.

– Zmęczony! – wychrypiał ptak.

– Nie marudź! – warknęła Brina, po czym uniosła ptaka i wyrzuciła go w powietrze. – Zapracuj sobie na jedzenie, którym cię obdarowuję!

Kruk zatoczył krąg nad ich głowami, po czym poleciał w kierunku, z którego przybyli.

– Dzięki – rzekł Camlin.

– Trochę ruchu dobrze mu robi – odparła Brina i powróciła do kolumny, gdzie zajęła miejsce obok Corbana i jego wilkunicy. Wielkie zwierzę bez trudu dotrzymywało im tempa.

Braith pękłby ze śmiechu, gdyby ujrzał, z jaką kompanią teraz trzymam, pomyślał Camlin.

Brina oraz ów starzec, Heb, spędzili sporą część nocy z Corbanem.

Camlin widział, jak usiedli nieco na uboczu i pograżyli się w rozmowie na wiele godzin. Tak, grupa, do której dołączył, w istocie była osobliwą mieszanką, a największym dziwakiem, bez dwóch zdań, był Gar. Camlin długo myślał nad tym, co ów ponury wojownik powiedział im wczoraj rano: o tym, że Corban jakoby został wybrany.

Ostatnio wydarzyło się wiele niezwykłych rzeczy, a to wyznanie zasługiwało na miano najdziwniejszego, ale Camlin oduczył się już oceniania. Wolał trzymać się na uboczu i obserwować, i tak właśnie miał zamiar postąpić wobec Corbana, choć musiał przyznać, że w chłopaku istotnie kryło się coś niecodziennego.

Przez moment Camlin patrzył za krukiem, aż ten znikł na niebie. Wówczas ponaglił konia i wysforował na czoło grupy, gdzie jechał Halion.

– Widać coś? – spytał były pierwszy miecz Brenina.

– Nie, ale dolina skręca i widać raptem na milę. Chciałem zresztą spytać cię o to samo. Jak wygląda droga przed nami?

– Nie liczyłbym na odmianę. Wzgórza i doliny, aż dotrzemy do gór. Od przełęczy, prowadzącej do Domhainu, dzielą nas dwa, trzy dni jazdy. Wiedzie tam trakt olbrzymów.

– Przełęcz jest strzeżona?

– Kiedyś tak było, choć straż była jedynie symboliczna. Wzdłuż traktu leży jednak sporo wiosek i gospodarstw. – Halion wzruszył ramionami. – Mam nadzieję, że Rhin zabrała większość swoich wojowników do Ardanu. Jak dotąd podróżowaliśmy przez dzicz, ale i tak ujrzeliśmy o wiele mniej ludzi, niż sądziłem.

– Dopisywało nam szczęście – rzekł Camlin.

– Nie ufam szczęściu.

Nad ich głowami rozległo się krakanie. Były banita uniósł głowę i ujrzał Crafa, który zniżył lot, zatoczył krąg i wylądował na wyciągniętym ramieniu Briny.

– Łowcy! – wykrakał. – Blisko, blisko, blisko.

– To w istocie tyle, jeśli chodzi o szczęście – mruknął Camlin.

Rozdział trzydziesty czwarty

CYWEN

Cywen siedziała w siodle i spoglądała na pole bitwy, a Buddai trwał przy końskich kopytach. Dziewczyna nie miała bladego pojęcia, dlaczego została zabrana z Dun Carreg, ale przypuszczała, że ma to jakiś związek z jej bratem, bo to z jego powodu nagle wszyscy zaczęli się nią interesować. Ewnis, Nathair i jego doradca Calidus co rusz zasypywali ją pytaniami, które dotyczyły Corbana.

O co im właściwie chodzi? Po co im Corban?

A teraz miała jeszcze ujrzeć bitwę. Ta świadomość w sumie sprawiała jej przyjemność, gdyż uważała wszystkich, którzy mieli wziąć udział w potyczce, w większym bądź mniejszym stopniu za swoich wrogów, więc każdy rezultat starcia byłby dla niej satysfakcjonujący.

Umieszczono ją wśród konnych wojowników Ewnisa, którzy otaczali swego pana. Conall stał tuż przy niej i rzadko spuszczał ją z oczu. Zakłęła pod nosem.

– Nie masz nic lepszego do roboty od pilnowania mnie? – zapytała.

– Zamknij się – odparł i spojrzał na nią z irytacją.

Przeszukał ją dokładnie przed wyjazdem i odebrał jej cztery noże, które ukryła pod ubraniem. Dziewczynie przypomniało się, że przeoczył dwa inne i opanowała uśmiech tryumfu. Nadal miała czym zabić Ewnisa.

– Czy ty przypadkiem nie byłeś też niańką Edany? Pogrążasz się, chłopie.

Wojownik spojrzał na nią gniewnie, ale nie odpowiedział. Jego uwagę po chwili znów przyciągnęło pole nadciągającej bitwy.

Armia Rhin oczekiwała w szerokiej, płaskiej dolinie, której środkiem biegł trakt olbrzymów. Proporce królowej Cambrenu ze złamaną gałęzią

na czarnym tle łopotały na wietrze, a tysiące wojowników w czerni i złocie oczekiwało na starcie. Tymczasem nawet niedoświadczona Cywen szybko zorientowała się, że Owain dysponuje liczniejszą, o wiele liczniejszą armią.

W powietrzu unosiło się napięcie tak silne, że można je było niemal dostrzec. Wisiało nad armiami niczym gęsta mgła i zdawałoby się, że nikt nie może się mu oprzeć. Konie rżały dziko i nawet wierzchowiec Cywen przebierał nerwowo nogami. Odszukała wzrokiem Tarczę. W Dun Carreg próbowała sama go dosiąść, ale rudowłosy Drust nie chciał w ogóle o tym słyszeć i zabrał wierzchowca bez słowa.

Cywen wymamrotała modlitwę do Elyona, błagając go, by pozwolił rumakowi przeżyć nadciągającą bitwę.

Choć jak dotąd nie zdarzało się, byś mnie wysłuchał, dodała w myślach.

Trąciła konia i podjechała bliżej Conalla.

– Czemu Rhin czeka? – zapytała. – Przecież przybyła tu jako pierwsza, a tymczasem pozwoliła Owainowi zająć wzgórze.

– Sam się nad tym zastanawiam – rzekł Conall.

Cywen odwróciła się w siodle i ujrzała Nathaira na swoim wielkim draigu. Zmarszczyła nos, gdyż nawet tu dobiegał jego smród. Ogromny wierzchowiec króla cuchnął śmiercią, zgnilizną i własnym łajnem, a jego woń zdawała się wgryzać w skórę każdego, kto podszedł bliżej. Wojownicy Jehar stali w ciasnym szeregu za królem, niedaleko szczytu, a dalej Cywen widziała resztę formacji tenebralskich. Piechota z wielkimi, okrągłymi tarczami stała w równej linii, a na ich czele dziewczyna dostrzegła Veradisa, wojownika, który walczył z Conallem. Za Tenebralczykami znajdowała się straż tylna Owaina. Cywen miała wrażenie, że to narvońskie odwody – wojownicy wyznaczeni jako rezerwa w zbliżającej się potyczce.

Nagle ujrzała grupkę jeźdźców, którzy odłączyli się od tylnej straży i pognali naprzód. Na ich czele galopował sam Owain. Wojownicy tenebralscy rozstąpili się, by ich przepuścić, a król Narvonu podjechał do Nathaira i odbył z nim krótką rozmowę. Następnie zbliżył się do Evnisa. Serce Cywen zabiło żywiej, gdy wśród Narvończyków dojrzała Drusta, który dosiadał Tarczy.

Owain, zatrzymawszy się przed Evnisem, oznajmił głośno:

– Postanowiłem cię uhonorować i wynagrodzić za przysługę, jaką oddałeś mi w Dun Carreg. Poprowadzisz mych ludzi do bitwy!

– Podstępny, cuchnący sukinsyn – mruknął Conall.

Evnis milczał przez moment, a potem się uklonił i rzekł:

– Jak sobie życzysz.

Rozejrzał się, odnalazł wzrokiem Conalla i nakazał mu odprowadzić Cywen do Nathaira. Ruszyli z nieodłącznym Buddaiem w górę wzgórze, gdzie na moment zatrzymał ich Calidus.

– Nie spuszczaaj jej z oczu – przykazał Conallowi.

Wojownik ograniczył się do zdawkowego skinienia głową. Po chwili znaleźli się już na tyłach Jehar, gdzie Cywen mogła się przyjrzeć rumakom odzianych na czarno wojowników. Były drobne, ale smukłe i muskularne, a wszystkie równo olśniewały swą urodą.

Patrzyli, jak Evnis i jego ludzie jadą w stronę głównego hufca wojsk Owaina i przejeżdżają przez ich rozstępujące się szeregi.

– Wiele tu sobie nie powalczysz. – Cywen zwróciła się do Conalla, nie spuszczaając zeń oczu. Jedynym, co mogła w tej sytuacji zrobić, było drażnienie go i sprawdzenie, w którym momencie wpadnie w swą słynną furję.

– Nie bądź tego taka pewna – odparł.

– Przynajmniej tu na tyłach jesteś bezpieczny. Nie zginiesz tak szybko jak Evnis i reszta twoich przyjaciół.

– To bitwa i śmierć może spaść na ciebie zewsząd. A ci ludzie nie są moimi przyjaciółmi.

Zaryczały rogi. Cywen gwałtownie odwróciła głowę i ujrzała, jak hufiec Rhin rusza naprzód.

Najpierw drgnęły pierwsze szeregi, a potem kolejne. Armia falowała niczym wielka bestia, stopniowo wybudzana z głębokiego snu. Z początku wojownicy maszerowali powoli, ale później przyśpieszyli, rozlewając się po szerokiej dolinie. Większość atakowała pieszo, choć Cywen dostrzegła również rzędy konnych zgromadzonych na tyłach armii. Największy gąszcz panował wokół ogromnego, zatkniętego w ziemi sztandaru.

To tam jest Rhin!, pomyślała.

Owain uniósł rękę i zagrały rogi. Jego hufiec ruszył na spotkanie armii królowej Cambrenu.

Evnis prowadził natarcie.

Pierwsze szeregi Cambreńczyków rozpędzały się, wielu wojowników już biegło i wykrzykiwało okrzyki bojowe. Ziemia drżała pod krokami tysięcy ludzi.

Cywen wstrzymała oddech. Patrzyła na Evnisa i wiedziała, że zaraz będzie świadkiem jego śmierci. Uśmiechnęła się szeroko.

Rozdział trzydziesty piąty

EVNIS

Evnis pędził z dzikim rykiem ku nadbiegającym szeregom wojsk Rhin. Wszędzie widział twarze wykrzywione furją bojową i wzniesioną wysoko, błyszczącą w słońcu broń. Słyszał dudnienie tysięcy kroków, łomot kopyt własnego rumaka oraz koni przybocznych. Zerknął za siebie i ujrzał, że odległość między jego drużyną, a szarżującymi wojownikami Owaina się powiększa.

Spryciarz z tego Owaina, pomyślał. Chce się mnie pozbyć i jednocześnie moimi rękami zadać Rhin pierwsze straty. Nie wie, dureń, że nawet lisy mogłyby się uczyć podstępów u Rhin. Pora na jej pierwszą niespodziankę.

Wsunął miecz do pochwy, sięgnął do siodła i wyciągnął zwinięty sztandar. Czarno-złoty proporzec Rhin załopotał nad jego głową, a on ściągnął wodze. Nacierający wojownicy rozstąpili się przed nim, a jego przyboczni zwolnili i uformowali podwójną kolumnę. W tym szyku przejechali przez chmarę biegnących ludzi Rhin, wykrzykując do nich pozdrowienia.

Przykro mi, Owain, pomyślał Evnis. Ja i Rhin mamy sposób na komunikowanie się, który nawet by ci do głowy nie przyszedł.

Królowa Cambrenu przewidziała bowiem, że Owain może sięgnąć po podobny fortel i wspólnie zabezpieczyli się na każdą ewentualność.

Wraz ze swymi wojownikami Evnis przejechał przez szyki nacierających Cambreńczyków i znalazł się na wschodniej flance, a wtedy jego drużyna przegrupowała się wokół niego. Były doradca Brenina dostrzegł na moment Rafe'a, syna nieżyjącego już łowczego, i jego myśli umknęły ku Vonnowi, z którym chłopak się przecież przyjaźnił.

Gdzie on się podział? Czyżby nadal znajdował się w Ardanie?

Wtedy obie armie zwarły się z łośkotem przypominającym serię następujących po sobie uderzeń pioruna, a do okrzyków bojowych niemalże natychmiast dołączyły wrzaski rannych i umierających. Bitwa rozpadła się na tysiące pomniejszych starć, w których nie obowiązywała już żadna strategia i taktyka. Chodziło tylko o to, by zabić człowieka przed sobą, a potem przypaść do kolejnego.

Evnis przyjrzał się polu bitwy. Dojrzał konnego Owaina, otoczonego przybocznymi, oraz Nathaira wraz ze swymi zbrojnymi, nadal czekającymi wzdłuż krawędzi wzgórza. Przez moment wydawało mu się, że dostrzega Conalla.

Przydałby mi się jego miecz gdzieś blisko, pomyślał, ale było już za późno na zmianę decyzji. Uznał, że Cywen jest ważna dla Nathaira, a sam nie chciał zostać wyłączonym z rozwoju wypadków, przeto uczynił Conalla jej strażnikiem.

Po wszystkim i tak będę się musiał z nimi zobaczyć, rzekł do siebie, po czym rzucił sztandar Rhin i wyciągnął miecz.

– Pora na nas! – wykrzyknął ponad ggiełkiem bitwy. – Dziś rozstrzygnie się przyszłość Ardanu. Ruszajcie wraz ze mną i walczcie u mego boku, a wasze miejsce w niej będzie zagwarantowane.

Jego ludzie zakrzyknęli z entuzjazmem, dobyli mieczy, ujęli włócznie i poprawili tarcze.

– A ten, kto przyniesie mi głowę Owaina, otrzyma sto złotych monet! – wykrzyknął Evnis, wywołując falę jeszcze głośniejszych wiwatów.

Potem kopnął końskie boki i pognał ku walczącym. Natychmiast otoczył go ogłuszający hałas. Jego rumak miotał się i szalał, a Evnis ciął to w jedną stronę, to w drugą. Jego ostrze rozrąbywało ciała, miażdżyło kości, wgniatało hełmy i wyszarpywało wielkie fontanny krwi. Przyboczni wbili się w ciżbę w ślad za nim i napierali, tnąc i rąbiąc, niczym ostrze strzały. Po niekończącej się serii ciosów Evnis przebił się przez wroga na otwartą przestrzeń i uświadomił sobie, że bitwa wcale nie słabnie. Zachodni kraniec walk wyznaczyła granica bagien, a on sam znajdował się po wschodniej stronie, gdzie ciągnęła się dolina. Wojownicy Owaina próbowali wykorzystać swą przewagę liczebną, by otoczyć siły Rhin. Evnis był świadkiem, jak z powodzeniem sięgnęli po tę taktykę pod Dun Carreg. Gdyby pozwolono im zastosować ją również tutaj, wkrótce byłoby

już po bitwie.

– Za mną! – krzyknął i znów kopnął w końskie boki.

Tym razem, miast wbijać się w szyk wroga, gnali wzdłuż, uderzając szybko, zabijając i odskakując, nim wróg zdołał ich ogarnąć. Następnie zawrócili i rzucili się do kolejnego natarcia, a potem do następnego, bez chwili wytchnienia broniąc flanki Rhin.

Evnis był odurzony hukiem bitwy, w uszach mu dudniło. Dopiero po chwili zauważył, że w dół zbocza spływają jeźdźcy, którzy rzucają się prosto na niego i jego przybocznych. Rozpoznał człowieka, który prowadził szarżę.

Owain!

Z desperacją szarpnął za wodze, wykrzykując rozkazy. Wiedział, że jeśli jego ludzie nie oderwą się od wroga, Owain zaskoczy ich uderzeniem we flankę, ale było już za późno na jakąkolwiek reakcję. Uniósł tarczę i ryknął z furją, a kilka uderzeń serca później ludzie Owaina wpadli na nich z hukiem.

Konie rżały przeraźliwie, wojownicy wrzeszczeli, miecze zderzały się z brzękiem, a Ewnisowi dzwoniło w uszach. W jego żołądku rozlewał się zimny strach, który wił się we wnętrznościach niczym niespokojny wąż i spowalniał jego ruchy. Miał wrażenie, że porusza się w wodzie.

Nie umrę tu. Nie. Nie dziś. Przeżyję to, wyrwę się z tego, przetrwam, myślał w panice.

Należysz do mnie, a ja mam dla ciebie zadanie, szepnął mu naraz jakiś cichy głos do ucha. Do ucha? A może odezwał się pośród jego myśli? Ewnis nie miał pojęcia.

Zabij Owaina, dodał głos.

Nagle były doradca Brenina poczuł, jak jego lęk znika, a on sam na powrót odzyskuje pełną władzę nad swym ciałem. Zacisnął zęby, wznosił miecz i kopnął konia piętami. Ruszył na Owaina.

Wielu spośród jego przybocznych zginęło w starciu, inni padli wraz z rumakami, przebitymi wrogimi włóczniami. Szarża Owaina była dla nich całkowitym zaskoczeniem. Niemniej coraz to kolejni wojownicy zauważali samotny atak Ewnisa i dołączali do niego. Wśród nich mignęła mu twarz Rafe'a, ale więcej już go nie ujrzał, gdyż naraz otoczyli go Narvończycy. Ciosem zza głowy rozbił jednemu z nim czaszkę, drugiego

ciał po twarzy, kolejnego pchnął w pachę. Odbił tarczą czyjeś uderzenie i w odpowiedzi rąbnął napastnika rękojeścią miecza, aż strzeliły wybite zęby. Wtedy ujrzał Owaina, wyprostowanego, wymieniającego ciosy z jednym z jego własnych stronników.

Na jego oczach król rąbnął wojownika w kark, niemalże odcinając mu głowę. Ewnis patrzył, jak władca wyrywa miecz z ciała zabitego i rozgląda się w poszukiwaniu kolejnego przeciwnika. Natychmiast zauważył go i zmrużył oczy.

– Zdrajca! – ryknął i rzucił się na niego.

Wtedy ze wzgórza za nimi dobiegł wielki zgielk, któremu odpowiedział chaotyczny ryk rogów. Ludzie na szczycie odwracali się i wpatrywali w coś ukrytego w rzeźbie terenu. Widać było tylko obłok kurzu, unoszący się w powietrzu.

Ewnis uśmiechnął się. Nadciągała druga niespodzianka Rhin.

Rozdział trzydziesty szósty

VERADIS

Veradis wpatrywał się w dal, osłaniając dłonią oczy. Ku tylnej straży Owaina maszerowała potężna kolumna wojska.

– Ilu ich jest? – spytał stojący obok Bos.

– Około tysiąca. To ludzie Rhin.

– Tego się domyśliłem – odparł jego ogromny towarzysz.

Wojownicy tylnej straży Owaina, głównie konni, wierzili się niespokojnie. Niektórzy odwracali się ku przybyszom, inni nadal spoglądali na bitwę toczącą się w dolinie. Wielu dęło w rogi na ostrzeżenie. Wtedy na trakcie olbrzymów pojawił się samotny jeździec, który popędził ku nim. Na wysokości pozycji zajmowanych przez straż tylną uniósł włócznie i wskazał nadciągającego wroga, po czym ruszył kłusem. Pierwsze szeregi drgnęły, po czym powoli, z początku chaotycznie podążyły za nim. Niebawem cała straż tylna wojsk Owaina szła już do walki.

Mają dobrego dowódcę, pomyślał Veradis. Postąpiłbym dokładnie tak samo. Ruszyłbym do natychmiastowego natarcia, choć mają przeciwko sobie zbyt wielką przewagę.

– Bądźcie w pogotowiu! – zawołał. – Zaraz zrobi się gorąco!

– Jak na mój gust już jest gorąco! – Bos wskazał dolinę, gdzie armie Owaina i Rhin toczyły wściekłe zmagania.

– To dopiero początek – rzekł Veradis i założył hełm.

– Owain będzie chciał wzmocnić straż tylną – powiedział do niego Bos.

– Przecież ludzie Rhin zaraz ich rozpędzą.

– Wiem – oznajmił Veradis. – A naszym zadaniem będzie mu to uniemożliwić. Bierzmy się więc do roboty.

Wzniósł wysoko pięść. Jego własny posłaniec zadał w róg, na co jego

ludzie w mig uformowali mur tarcz, nieprzeniknioną formację składającą się z pięciu rzędów po dwustu wojowników. Zadudniła ziemia, gdy wzdłuż ich szeregów przemknął wielki oddział konnych Jehar. Dowodzący nimi Akar, wojownik, stojący na ich czele przez całą kampanię w Haldis, rozstawił jeźdźców między zboczem a skrajem leżącego nieopodal lasu. Gdyby Owain chciał wzmocnić walczącą tylną straż, musiałby się przebić przez ludzi Nathaira.

Król Narvonu już zorientował się w sytuacji. Ściągał teraz ludzi z tyłów swego hufca, głównie tych, którzy mniej się palili do walki, i wkrótce miał wokół siebie kilka setek wojów, choć z każdą chwilą dołączali kolejni.

Za murem tarcz posiłki dla armii Rhin zwały się z tylną strażą Owaina. Veradis zauważył, że Cambreńczycy zwarli szyki, wzmocnione teraz tarczami i najeżone włóczniami, a jeźdźcy Owaina próbowali je rozerwać. Ludzie padali po obu stronach, a wiatr przynosił ich dzikie wrzaski.

– Idą na nas – oznajmił Bos.

– Pamiętaj, że nie atakujemy, a jedynie się bronimy!

Tak brzmiały rozkazy Nathaira. Rozdzielając siły Owaina, w sposób niebezpośredni pomagali wojskom Rhin. Veradis dobył miecza i przygotował się do walki.

Narvończycy parli w górę zbocza, ale brakowało im pewności siebie. Nigdy dotąd nie widzieli muru tarcz, który nie należał do tradycyjnego sposobu rozgrywania bitw. Po chwili Veradis spostrzegł Owaina i jego konnych przybocznych. Twarz władcy Narvonu była ponura.

Nie jest głupcem. Wie, że został zdradzony i przeczuwa, że klęska jest tuż-tuż, pomyślał Veradis i na moment w jego sercu obudziły się współczucie i wina ze względu na rolę, jaką przyszło mu odegrać, ale odepchnął od siebie i jedno, i drugie.

Owain ponaglał swych ludzi i dodawał im otuchy. Większość rzuciła się na mur tarcz, najwyraźniej nie mając ochoty na walkę z Jehar, którzy ze spokojem strzegli obu flank pieszej formacji.

Veradis poczuł na sobie impet wrogiego natarcia, a potem serię wstrząsów i łupnięć, gdy na mur tarcz wpadali kolejni wojownicy, potęgując nacisk, który niebawem stał się trudny do zniesienia. Młodzieniec ugiął kolana, naparł ramieniem na wgłębienie tarczy i nie poddawał się. Wzdłuż szeregu niosły się dzikie wrzaski.

Moi ludzie się odgryzają, pomyślał.

Wiedział, że to nieuniknione. Nie mogli przecież stać biernie i czekać, bo przecież prędzej czy później powyrywano by im tarcze i ludzie zaczęliby ginąć. Uniósł miecz i wepchnął go w szczelinę między tarczami. Poczul jakiś opór, pchnął mocniej, usłyszał czyjś wrzask. Cofnął miecz i dźgnął ponownie, po czym już nie przestawał. Dźgał i kłuł, aż rozbolały go mięśnie ramienia. Ktoś pochwycił palcami za krawędź jego tarczy, ale Veradis rąbnął w nie czołem w hełmie, miażdżąc kości. Czyjś miecz wsunął się pod tarczę i próbował ciąć go po nogach, ale młody wojownik w porę odbił ostrze i przydepnął je podkutym żelazem sandałem.

Przez zgiełk bitwy przedarł się ryk kolejnego rogu, tym razem wysoki i przenikliwy. Rozpoznał go od razu. To byli Jehar.

Zaryzykował i zerknął spoza tarczy. Jeźdźcy Jehar w istocie włączali się do bitwy. Galopowali i cięli z siodła długimi mieczami, siejąc spustoszenie wśród ludzi Owaina. W ciągu kilku uderzeń serca atak na mur tarcz rozpadł się, a napastnicy jeden po drugim rzucali się do ucieczki, chcąc ocalić życie.

Mogli jednak uciekać tylko w jednym kierunku – ku bitwie, która nadal toczyła się w dolinie. Wojska Rhin wydawały się zyskiwać przewagę, gdyż wśród ludzi Owaina słabła dyscyplina. Panika, przyniesiona przez pierwszych uciekinierów ze wzgórze, szerzyła się już wśród armii niczym zaraza i coraz to kolejni wojownicy porzucali walkę. Tymczasem wyjście z doliny blokowały główne siły Rhin, ucieczkę na zachód uniemożliwiały bagna, a na wzgórzu nadal stały siły Nathaira, zwycięskie i niewzruszone, zagradzając drogę na południe. Jedyną nadzieją dla tracących ducha walki ludzi Owaina były rzadkie lasy ciągnące się na wschodzie, gdzie pognała większość z nich.

Veradis usłyszał za sobą wrzaski. Odwrócił się i ujrzał, że Jehar dołączyli również do bitwy na trakcie olbrzymów. Tylne straż Owaina została więc uwięziona między odwodami Rhin a grupą jeźdźców. Nawet Alcyon ruszył do walki, krocząc i wymachując toporem niczym anioł śmierci. Narwończycy, głównie konni, rozpierzchli się, ale nieubłagani Jehar gnali za nimi.

Tylu zabitych, pomyślał Veradis. Cóż takiego uczynili? Byli jedynie wojownikami, którzy posłuchali woli swych władców.

Kręcił głową, patrząc na setki trupów, rozwłoczonych na polu bitwy. Tyle krwi rozlanej dla ambicji królów i królowych.

Rozejrzał się w poszukiwaniu Nathaira, ale szybko odnalazł go wzrokiem. Król Tenebralu nadal siedział dumnie na swoim draigu. Młodzieniec poczuł ulgę, widząc, że władcy nic się nie stało. Co więcej, ich siły najwyraźniej odniosły bardzo niewielkie straty, bitwa została wygrana, a kolejny element planów Nathaira został właśnie zrealizowany.

„Wojna polega na strategii” – powiedział mu kiedyś Nathair i w istocie strategia tym razem przywiodła ich do zwycięstwa. Problem leżał w tym, że to zwycięstwo nie wydawało się Veradisowi szczególnie honorowe.

To dla większego dobra, napomniał sam siebie.

– I co teraz? – spytał Boss.

– Będziemy strzec pozycji do chwili, gdy nadejdą kolejne rozkazy Nathaira – odparł Veradis.

W dolinie zapanował chaos, gdyż większość wojowników Owaina zdała sobie już sprawę z tego, że bitwa została przegrana. Sam król zatrzymał się na zboczu wzgórza, otoczony garścią konnych przybocznych. Zewsząd ścigali do niego piesi wojownicy. Władca zatoczył krąg na swym wierzchowcu, oceniając sytuację, po czym skierował się na zachód, ku lasom. Nie galopował, nie uciekał w panice. Jego odwrót był spokojny i uporządkowany. Wycofując się, zbierał wokół siebie ludzi, a jego obecność wydawała się kozić panikę i przywracać dyscyplinę. Po chwili wraz ze swoimi zastępami zniknął w cieniu lasów.

Rozdział trzydziesty siódmy

CYWEN

Cywen nie wierzyła własnym oczom. Nie wiedziała też, gdzie spoglądać, gdyż tyle rzeczy działo się jednocześnie.

Bitwa w dolinie przerodziła się w przerażające widowisko. Cywen nie raz była świadkiem śmierci – przeżyła zasadzkę w Ciemnym Borze i szturm na Dun Carreg – ale nigdy dotąd nie widziała tak ogromnego starcia. Z przerażeniem wpatrywała się w dzikość i okrucieństwo, jakie zawładnęło walczącymi, z trudem panując nad nudnościami. Najbardziej wstrząsnął nią jednak mur tarcz, odbierający życie atakującym z lodowatym wyrachowaniem, który wydawał się być zaprzeczeniem wszystkiego, co wiedziała o kodeksie wojownika.

Zdrada Evnisa w pierwszej chwili również nią wstrząsnęła, ale potem nadeszła refleksja.

Przecież powinnam się była tego spodziewać, pomyślała.

Conall zachowywał spokój przez całe starcie i nieporuszony śledził rozwój wypadków.

Zapewne został we wszystko wtajemniczony, uświadomiła sobie dziewczyna.

Wyczuwała jednak, że wojownik tłumi narastające rozdrażnienie, przypuszczalnie dlatego, że nie mógł wziąć udziału w walce.

Odnalazła wzrokiem Owaina, który siedział wyprostowany na koniu i prowadził zorganizowany odwrót ku lasom, ciągnącym się w oddali. Potem zwróciła uwagę na wojownika, który mu towarzyszył, dźwigając wielki proporzec z czerwonym bykiem Narvonu, który przyciągał uwagę rozproszonych wojowników. Rozpoznała go dzięki rudym włosom, wysypującym się spod żelaznego hełmu. Był to Drust, wciąż dosiadający

Tarczy.

Poczuła ucisk w sercu. Tarcza żył.

Ale lada moment zniknie na zawsze, uświadomiła sobie.

Nie namyślając się wiele, Cywen pochyliła się w siodle i wyciągnęła nóż, który schowała w skórzanej podeszwie buta. Szepnęła do Buddaia, który czuwał w pobliżu, i spojrzała na Conalla, nadal całkowicie pochłoniętego obserwowaniem bitwy. Wojownik co rusz zaciskał powieki bądź zwierzał pięści. Dziewczyna wyciągnęła rękę i niespostrzeżenie przecięła popręg jego siodła, a potem kopnęła piętami boki własnego konia. Wierzchowiec, gniada klacz, którą układała wraz z Garem, wystrzelił jak z procy.

Usłyszała, jak Conall wykrzykuje jej imię. Odwróciła głowę i ujrzała, że wojownik szarpie za wodze, ponaglając konia do galopu, by chwilę później zsunąć się na ziemię. Uśmiechnęła się szeroko, słysząc jego przekleństwa.

Jej koń był drobny, ale szybki. Pochyliła się w siodle, przemknęła za murem tarcz i popędziła w dół zbocza, nie bacząc na rozproszone siły Owaina. Buddai, poszczekując, usiłował za nimi nadążyć.

Sam Owain wraz z zebranymi wokół siebie ludźmi zniknęli już między drzewami. Po lewej Cywen widziała wojowników z hufca Rhin, którzy ścigali rozproszonych Narwończyków, a dalej dostrzegła grupkę konnych, zebranych na skraju puszczy na czele z Ewnisem. Na jej oczach jeźdźcy zagłębili się w mroku lasu.

Być może uda mi się jednak być dziś świadkiem jego śmierci, pomyślała.

Nigdzie nie widziała Conalla, ale wiedziała, że wojownik niebawem będzie próbował ją odnaleźć. Jehar zbierali się nieopodal, a jeden z nich wskazywał las.

Chcą dopaść Owaina, przemknęło jej przez myśl.

Wtedy dostrzegła Veradisa. Przywódca muru tarcz stał na szczycie wzgórza i rozmawiał z Nathairem, Calidusem i owym olbrzymem. Wszyscy spoglądali ku lasom i przez krótką chwilę Cywen była przekonana, że wojownik patrzy prosto na nią. W istocie, chwilę później ruszył ku niej, przedzierając się między swymi ludźmi.

– Wiejemy, Buddai! – zawołała, a w jej sercu pojawił się niepokój. – Znajdźmy Tarczę.

A potem uciekam stąd!, pomyślała. Pojadę na południe, by odnaleźć

Pendathrana. Już dawno powinnam była zabrać Tarczę i tam uciec.

Stłumione echo wielu kroków, zarówno ludzkich, jak i końskich, rozbrzmiewało pośród drzew, ale na szczęście uciekający Narwończycy pozostawiali za sobą liczne ślady. Cywen niestrudzenie podążała ich tropem.

Niespodziewanie rozległ się głośny wrzask, a potem usłyszała odgłosy walki. Odruchowo zacisnęła dłoń na rękojeści noża, ale nie zatrzymywała się. Po chwili ujrzała pierwsze trupy. Wszyscy zabici mieli na sobie czerwone płaszcze Narvonu, a z ich ciał sterczały strzały. Cywen podążała dalej, aż ujrzała postacie, przemykające między drzewami, niektóre na miotających się, przerażonych koniach. Tu i ówdzie uderzały o siebie miecze, świstały strzały, walczący z nożami przetaczali się po mchu, konie rżały dziko. Przerażona Cywen rozejrzała się w poszukiwaniu Tarczy, gdy nagle jej uwagę przyciągnęły dźwięki dochodzące z koron drzew. Uniosła głowę i ujrzała kolejnych wojowników, którzy ślali strzałę za strzałę w ludzi Owaina, nadal chroniących swego króla. Dostrzegła ich przywódcę i zamarła. Był to Braith, herszt banitów, który brał udział w porwaniu królowej Alony. Wtedy właśnie zginął jej ukochany Ronan.

Owain wraz ze swymi ludźmi rzucili się do wściekłego kontrataku, przebili się przez ludzi Braitha i nie przestając się odcinać, zagłębili się w bór. Banici ruszyli za nimi, nękając ich ostrzałem z łuków i błyskawicznymi wypadami. Po chwili ostatni z nich zniknęli między drzewami i Cywen pozostała sama wśród trupów. Wtedy usłyszała trzask pękających gałęzi. Odwróciła się i ujrzała konia między drzewami. W siodle kuliła się nieruchoma postać.

Cywen patrzyła na Tarczę.

Ześlizgnęła się z siodła i podbiegła do rumaka. Na pierwszy rzut oka widać było, że coś stało się wierzchowcowi. Chwilę później dziewczyna dostrzegła strzałę, sterczącą mu z karku. Tarcza zarżał cicho na jej widok i trącił ją łbem. Jego sierść złana była potem, tu i ówdzie widać było plamy soli. Cywen odpędziła muchy od rany i dotknęła strzały. Koń zadrżał.

– Obawiam się, że będę musiała to wyciągnąć, przyjacielu – szepnęła i pogładziła wierzchowca po boku, próbując go uspokoić. Potem spojrzała na Drusta, który nadal siedział w siodle. W jego boku również tkwiła strzała, a stopa uwięzła mu w strzemieniu. Dziewczyna złapała go za

ubranie i ściągnęła z siodła. Wojownik stęknął, zderzywszy się z ziemią.

A więc wciąż żyje..., przemknęło Cywen przez myśl.

Spojrzał na nią. Jego usta poruszyły się, ale dziewczyna usłyszała jedynie chrapliwy, niewyraźny szept. Popatrzyła na niego ponuro, z niechęcią.

Jesteś człowiekiem Owaina. Wzięłeś udział w szturmie Dun Carreg!, pomyślała.

Buddai obwąchał rannego i zaskomlał, a wtedy dziewczyna przypomniała sobie, że Drust ocalił psa przed śmiercią. Odwiązała więc bukłak z wodą od siodła Tarczy, uklękła przy wojownikowi i wlała mu nieco wody do ust.

– Dziękuję – wyszeptał tamten. Jego rude włosy kleiły się do spoconej, piegowatej twarzy. Przez chwilę przypominał jej Ronana, a raczej człowieka, którym mógł się stać, gdyby przeżył zasadzkę. Zaciśnęła usta i podjęła decyzję.

– Weź mego konia – powiedziała. – Owain poniósł klęskę i nie sądzę, by doczekał wieczoru. Nie idź za nim. Jedź na południe i dołącz do ruchu oporu przeciwko Rhin.

– Chyba zapomniałaś, że jestem z Narvonu. Walczyłem przeciwko Ardanowi pod znakiem Owaina.

– Zapomnij o Owainie – parsknęła Cywen. – To Rhin jest teraz wrogiem, a wróg mego wroga jest moim przyjacielem. Na czele ruchu oporu stanie Pendathran. Znajdziesz go na bagnach niedaleko Dun Crin. Jeśli nie zabije cię od razu, podaj mu moje imię. Wówczas nic ci nie będzie groziło.

Drust zakaszłał. Nie puszczał boku.

– W przeciwnym razie musisz udać się na północ, do Narvonu, ale tam rządzi teraz Rhin i nie wiem, co zastaniesz na miejscu.

– Powinnaś zostać ze mną, dziewczę. To nie jest dla ciebie przyjazne miejsce.

– Ja jadę na południe – powiedziała. – Ale Tarcza został ranny. Muszę mu wyjąć tę strzałę.

– Pomogę ci.

– Sam masz grot w boku. Poza tym niebawem zaroi się tu od ludzi Rhin. Na mnie nie zwrócą uwagi, ale ciebie zabiją bez wahania.

Drust zmarszczył brwi, wahając się.

– Może się jeszcze zobaczymy, jeśli rzeczywiście zdecydujesz się udać

na południe – rzekła Cywen.

Drust skinął wówczas głową, a dziewczyna odwróciła się, by przyprowadzić mu swą kłacz. W międzyczasie wojownik zacisnął zęby na rzemieniu i złapał obiema rękami strzałę, wystającą mu z boku. Napiął mięśnie i z głośnym stęknieniem ułamał ją tuż przy skórze, po czym niemalże osunął się na ziemię.

Wtedy Cywen usłyszała zbliżających się szybko jeźdźców. Pośpiesznie schowała się za drzewem i spojrzała niespokojnie na Drusta, ale ten leżał za krzakami, niewidoczny dla nadciągających. Wyrzała ostrożnie ze swej kryjówki i dostrzegła wojowników, którzy zatrzymali się na nieodległej polance. Prowadził ich Ewnis.

Odruchowo zacisnęła dłoń na rękojeści noża za pasem. Ewnis przejeżdżał w odległości zaledwie kilkudziesięciu kroków. Wiedziała, że trafi, że wystarczy, by tego chciała, a jej nóż wbije się w plecy Ewnisa aż po rękojeść. Czuła mrowienie w palcach.

On zdradził nas wszystkich! Zesłał śmierć na ojca i na króla Brenina! Przez niego straciłam mamę, Corbana i Gara! To wszystko przez niego!

Bezszelestnie wydobyła nóż z za pasa i musnęła go kciukiem, szykując się do rzutu.

Drust jęknął.

Jeśli zabiję Ewnisa, znajdą nas, uświadomiła sobie. Zabiją mnie i Drusta, a Tarczę pewnie porzucą ze strzałą w boku, by zdechł, gdy rana zacznie się jątrzyć.

Buddai wtulił się w jej nogę. Miał zjeżoną sierść na grzbiecie.

I ciebie też zabiją... O siebie nie dbam. Mogę odejść z tego świata pod warunkiem, że zabiorę ze sobą Ewnisa, ale...

Wpatrywała się w konia, psa i rannego Narwończyka i nagle zrozumiała, że nie chce ich śmierci. Niechętnie wsunęła nóż z powrotem za pas i patrzyła, jak Ewnis i jego drużyna znikają w lesie, ścigając Owaina i jego ocalałych przybocznych. Odczekała moment, aż znikną jej z oczu, po czym nachyliła się nad Drustem i pomogła mu dosiąść swej gniadej kłaczy.

– To ja powinienem wziąć Tarczę – wykrztusił rudzielec.

– Naprawdę chcesz testować moją życzliwość? – odparła dziewczyna. – Nie ma mowy. Tarcza zostaje ze mną.

Narwończyk wzruszył ramionami, zgiął się w siodle, przeszyty kolejną

falą bólu, po czym zawrócił konia i wjechał w mrok lasu. Kierował się na południe.

Cywen przystąpiła zaś do oczyszczania rany Tarczy. Zmarszczyła brwi, uświadomiwszy sobie, jak głęboko weszła strzała.

Jak ja ją wyciągnę? – pomyślała.

Skupiona na pracy, nie usłyszała w pierwszej chwili warknięcia Buddaia. Zwróciła na nie uwagę dopiero, gdy stało się niższe, głośniejsze. Odwróciła się i naraz ujrzała Conalla, który wypadł spomiędzy drzew i pędził prosto na nią. Drogę zastąpił mu Buddai – dzielny ogar skoczył na agresora, kłapiąc zębami, i zderzył się z nim z głośnym łupnięciem. Conall stęknął i padł na ziemię. Przetoczył się, szczepiony z psem, ale zdołał odrzucić go, zerwać się na równe nogi i wyrwać miecz.

Cywen wrzasnęła i rzuciła w Conalla nożem. Ostrze leciało prosto ku jego piersi, ale wojownik popisał się fenomenalnym wprost refleksem. Uderzając Buddaia rękojęścią miecza, zrobił błyskawiczny unik i nóż Cywen, miast trafić go w pierś, wbił się w jego ramię. Mężczyzna ryknął z bólu i wypuścił miecz, ale mimo to rzucił się na dziewczynę.

Gorączkowo próbowała wyciągnąć kolejny nóż z podeszwy drugiego buta, ale było już na to za późno. Conall z głuchym warknięciem wpadł na nią i wraz z nią przewrócił się na ziemię. Gryzła, kopała i biła, próbując się uwolnić, ale mężczyzna złapał ją za nadgarstek i wyrwał jej nóż.

Dyszając głośno, z desperacją wbiła mu kolano między nogi. Conall naraz zwiotczał i Cywen zdołała się od niego uwolnić. Próbował pochwycić ją ponownie, jęcząc z bólu. Uderzyła go w twarz, a on zrewanżował się tym samym. Do ust Cywen napłynęła krew. Dziewczyna zatoczyła się i upadła, a wojownik wyszarpnął nóż z za pasa.

Muszę wstać. Muszę wstać... – pomyślała.

– Już więcej nie będziesz miała okazji, by próbować mnie zabić, dziewczę – warknął Conall.

Cywen poczuła w sobie prawdziwy strach, który wyostrzył jej zmysły.

– Więcej z tobą zachodu, niż to warte – dodał wojownik i przyłożył jej nóż do gardła.

– Powoli, powoli – odezwał się czyjś głos. Jakaś dłoń zacisnęła się na nadgarstku Conalla i odciągnęła go do tyłu.

Cywen zamrugnęła, odzyskując ostrość widzenia. Patrzyła na Veradisa,

któremu towarzyszył olbrzym.

– Puszczaj mnie! – warknął Conall.

– Wszystko zależy od tego, co masz zamiar zrobić z tym nożem – rzekł Veradis.

Conall napiął mięśnie i przez chwilę wydawało się, że chce rzucić się na Veradisa, ale wtedy dostrzegł olbrzyma. Alcyon zrzucił z ramion topór i poklepał ostrze ogromną dłonią. Conall rozluźnił się i upuścił nóż na ziemię.

Veradis odepchnął ostrze stopą na bok i uwolnił mężczyznę, ale ani na moment nie spuszczał z niego oczu.

– Masz szczęście, że pojawiłem się w odpowiedniej chwili – powiedział.

– Jej życie jest dla króla więcej warte od twego.

Zrobił krok w tył i spojrzał uważnie na Cywen, której ciekła krew z ust i nosa. Zmarszczył brwi.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

– On oberwał bardziej – wymamrotała.

Alcyon parsknął śmiechem.

Rozdział trzydziesty ósmy

CORBAN

– Po prostu w to uwierz, Corbanie – rzekł Heb.

Łatwo ci mówić, pomyślał chłopak.

Siedział z Hebem i Briną w niewielkim zagajniku. Nieopodal ich towarzysze rozkładali obozowisko, rozmawiając cicho.

– Chodzi o iskrę, Ban – rzekła Brina. – Wyobraź ją sobie taką, jaka ma być, a potem wymów to.

Corban trzymał w ręku kijek i wpatrywał się w niego intensywnie. Oczami wyobraźni widział unoszącą się nad nim strużkę dymu, potem iskrę, a na końcu płomień.

– *Lasair* – wypowiedział słowo, które nadal dziwnie układało mu się na języku, po czym wstrzymał oddech. Przez moment wydawało mu się, że wyczuwa mało wyraźny zapach dymu, ale wrażenie znikło niemalże natychmiast. Nadal czekał. – Nic się nie dzieje – rzekł w końcu.

– Masz prawdziwy talent do wygłaszania oczywistości – powiedziała Brina.

– Nic – zgodził się Crafi, który siedział na gałęzi nad nimi.

– Przecież dopiero zaczynamy! – Heb poklepał Corbana po ramieniu. – To twoje pierwsze próby.

Minęły cztery dni od chwili, kiedy Marrock stracił rękę. Każdy wieczór Corbana wyglądał tak samo. Najpierw uczestniczył w rozkładaniu obozowiska, potem zajmował się raną Marrocka, a na końcu umykał gdzieś na bok z Briną i Hebem. Przez pierwsze trzy wieczory uczył się podstaw języka olbrzymów i znał już kilkanaście najważniejszych słów związanych z żywiołami, którymi chciał zawładnąć – wodą, ogniem, ziemią i powietrzem. Każdego dnia powtarzał je wszystkie w głowie do

rytmu wybijanego przez kopyta końskie, a tego wieczoru po raz pierwszy podjął próbę wyczarowania czegokolwiek.

I nic, pomyślał. Czy to naprawdę jest możliwe? A może to jakaś kolejna obłąkana legenda, jak choćby ta, w którą tak mocno wierzy Gar?

Heb wziął od niego patyk.

– *Lasair* – rzekł. Zatrzeszczało, buchnęła strużka dymu i patyk stanął w płomieniach.

– Ogień! – zaskrzeczał Crafi.

– To niezwykle – wyszeptał Corban.

Heb uśmiechnął się i upuścił patyk, po czym przydepnął go i ugasił płomień.

– Musisz tylko w to uwierzyć – rzekł. – Gdybym spróbował raz jeszcze, a miałbym w sobie choć ziarenko zwątpienia, na pewno by mi się nie udało. Zapamiętaj sobie to dobrze, Corbanie. W tej chwili wszystko sprowadza się do tego, czy wierzysz w to, co robisz, czy też nie.

* * *

– Wypij to! – Brina podała Marrockowi bukłak wypełniony jakąś cieczą.

– Co to takiego? – spytał wojownik.

– Coś, co załagodzi ból. Bo zaboli. Dalej, Corbanie.

Marrock skrzywił się, ale pociągnął tęgi łyk.

Od amputacji minęło sześć dni. Przez pierwsze dwa i połowę trzeciego dręczyła go wysoka temperatura, ale potem przebudził się około południa. Był osłabiony, lecz mimo to oznajmił, że jest głodny. Brina uznała to za dobry znak, a Corban nadal zajmował się raną pod jej czujnym nadzorem.

– Jeśli zaszyjesz ranę, w którą wdało się zakażenie, zabijesz go równie skutecznie jak pchnięciem noża w serce – mówiła uzdrowicielka.

Zatem czerwona, zaogniona rana nadal była otwarta, by można było usuwać ropę i dwa razy dziennie zmieniać kompresy z liści i czystych bandaży. Czerwień powoli ustępowała, znikł też brzydki zapach, więc Brina zarządziła, że rana powinna zostać zaszyta.

– Nie ma się nad czym zastanawiać, Ban – powiedziała. – Bierz się do roboty.

– Robiłeś to już kiedyś? – spytał Marrock. Jego głos był bełkotliwy po wypiciu makowego mleka, przygotowanego przez Brinę.

– Nie do końca – odparł Corban, trzymając kościaną igłę niedaleko kikuta.

– Wyobraź sobie, że cerujesz skarpetkę – podpowiedziała Brina.

– Moja ręka to nie skarpetka! – wypalił Marrock.

– Zamknij się i pociągnij jeszcze łyk – zarządziła uzdrowicielka.

Corban przekłuł skórę, przewłókł igłę i przystąpił do pracy.

– Poczujesz teraz coś dziwnego – ostrzegł Marrocka, naciągając skórę na otwartą ranę i zamykając ją. Zawiązał supeł, a Brina przecięła nić nożem.

– Będziesz ci z tym nieswojo – dodała Brina. – Będzie też swędzieć. Jeśli poczujesz jakiś ból, natychmiast chcę o tym wiedzieć.

Marrock pokiwał głową, przyglądając się pracy Corbana.

– Wyjdiesz z tego. – Brina zwróciła się do Marrocka, podczas gdy chłopak nakładał na ranę maść i bandażował ją starannie. – Nie umarłeś, a tego spodziewałam się kilka dni temu.

– Tak, ale łuku już nie naciągnę.

– W życiu chodzi o coś więcej niż tylko wbijanie zaostrzonych patyków w ludzi – stwierdziła Brina.

– Cóż za pożytek z łowczego, który nie potrafi strzelać? – parsknął pogardliwie Marrock i spojrzał z goryczą na Corbana.

– Istnieje wiele nowych, niezwykle ekscytujących sposobów na to, by się zabić – rzekła Brina. – Jestem przekonana, że niebawem coś dla siebie znajdziesz.

Odeszła.

– Wiesz, że wciąż ją czuję? – spytał Marrock. – Dłoń, palce... Zupełnie, jakbym nadal ją miał. I miałbym, gdybyśmy umknęli ku bagnom i Dun Crin.

Zerknął przy tym na Haliona, który stał na skraju ich obozu i spoglądał w kierunku, z którego przybyli.

Niezgoda między nimi panuje od chwili ucieczki z Dun Carreg, a teraz Marrock obwinia Haliona o utratę dłoni, pomyślał Corban.

Nie przestawało go to dręczyć, tym bardziej, że darzył ich obu wielkim szacunkiem. Haliona poznał lepiej podczas niekończącej się harówki

na Jarzębinowej Łące i wiedział, że ten nigdy nie kieruje się własnym interesem.

– Wybrał to, co jego zdaniem jest najlepsze dla Edany – rzekł cicho, zbierając swe przybory.

– Naprawdę? A może po prostu chciał wrócić do domu.

– Nigdy dotąd nie widziałem, by Halion upierał się przy czymś, co z pewnością było błędem. Nie bronił nawet swego brata.

Marrock wpatrywał się w niego, a jego spojrzenie łagodniało.

– W porządku, chłopcze. Nie słuchaj mnie. Ja po prostu...

Urwał i znów wbił wzrok w kikut. Corban zaś ścisnął go za ramię i podszedł do Briny.

– Co się z tobą dzieje? – spytała. – Wyglądasz, jakby ktoś ci gębę rozkwasił.

– Czemu byłaś taka ostra dla Marrocka?

– Bo współczucie tylko skłania do uzalania się nad sobą – odparła uzdrowicielka, w której głosie pojawiła się łagodność. – A on ma przed sobą wiele mrocznych dni.

* * *

Corban leżał na brzuchu i spoglądał w dół ostrego zbocza na dolinę, środkiem której wiała się rzeka, wyznaczająca granicę Cambrenu. Nad jej bystrym nurtem przerzucono kamienny most, a na obu brzegach znajdowały się skupiska chat. Droga po drugiej stronie rzeki pięła się i nikła wśród gór. Znaleźli się na ziemi niczyjej między królestwami Cambrenu i Domhainu.

Po drugiej stronie gór leży Domhain, a tam czeka nas bezpieczne schronienie, pomyślał chłopak.

Cóż, taką przynajmniej mieli nadzieję. Halion twierdził, że gdy wędrował tędy ostatnim razem, opuszczając Domhain i wjeżdżając do Cambrenu, ujrzał jedynie garstkę straży.

Te czasy należą, jak widać, do historii, pomyślał Corban.

Wojownicy kręcili się teraz wszędzie. Pilnowali mostu i chodzili między chatami, a na lichej trawie wzdłuż rzeki ciągnęły się rzędy ich namiotów. Corban próbował je zliczyć, ale stracił rachubę, doszedłszy do

dziewięćdziesięciu.

– Rhin nie jest głupia – szepnął leżący obok Camlin.

– Na nasze nieszczęście – dodał Halion.

Reszta ich grupy kulila się wśród janowców kilkaset kroków dalej. Od jakiegoś czasu pieli się coraz wyżej, a z każdą godziną okolica stawała się bardziej dzika i jałowa. Zwinęli obóz przed wschodem słońca, a o świcie byli już w drodze. Do granicy między królestwami dotarli na długo przed południem. Powietrze było wilgotne, a po niebie płynęły nisko gęste chmury.

Corban czuł, że oczy same mu się zamykają. Wyciskali ze swoich koni ostatnie poty, ale pościg nadal się przybliżał. Ich prześladowcy byli widoczni niemal przez cały czas.

– Nie możemy tu zostać. – Camlin powiedział na głos to, o czym myślał Corban.

– Nie, ale przez most się nie przedostaniemy. Nie damy rady się przebić, jest ich za dużo. – Halion zerknął za siebie. – Będziemy musieli poszukać innej drogi.

Spojrzeni na góry, posępne i nieprzebyte. Z oddali dobiegło wycie wilkuna. Burza napięła mięśnie, jej uszy zadrżały.

– Ruszajmy – rzekł Camlin. – Może zdołamy jakiś czas iść wzdłuż traktu olbrzymów i wejść na niego głębiej w górach, daleko od uszu i oczu Rhin.

– Niezły plan – oznajmił Halion.

Ześlizgnęli się w dół zbocza do swych towarzyszy, podzielili się złymi wieściami i wyruszyli w góry. Camlin jechał przodem i przepatrywał okolicę.

Craf, łopocząc skrzydłami, sfrunął z zachmurzonego nieba i przysiadł na siodle Briny. Kruk od dłuższej chwili śledził postępy ich prześladowców.

– Szybko – wykrakał.

– Szybciej od nas? – spytała Brina.

Kruk pokiwał łebkiem.

– Trzeba będzie więc coś przedsięwziąć – odezwał się jadący w pobliżu Heb. Wymienili się z Briną spojrzeniami.

Chodzi im o moc ziemi, pomyślał Corban.

Gdzieś w pobliżu zaszczekały psy i chłopak obrócił się w siodle.

W pewnej odległości, niedaleko miejsca, w którym zatrzymali się, by spojrzeć na przełęcz, pojawiły się ciemne sylwetki. Kilka z nich odłączyło się od pościgu i ruszyło w stronę mostu oraz obozujących tam wojowników.

Pewnie tamci dołączą do pościgu. Robi się niewesoło.

Podróżowali najszybciej jak się dało. Z siodeł zsunęli się dopiero po zachodzie słońca i dalej poprowadzili konie pieszo, nie chcąc, by któryś zwicznął bądź złamał nogę. Noc okazała się zimna, a po niej nastał mglisty, szary poranek. Uciekinierzy znaleźli się w siodłach przed wschodem słońca i bezzwłocznie ruszyli dalej górskim szlakiem.

Podążali teraz wąską ścieżką, niewiele szerszą od tej wydeptanej przez lisy, która biegła mniej więcej równolegle do traktu olbrzymów. Na ich drodze stanęła masywna skalna ściana i ścieżka skręciła, biegnąc dalej w górską dzicz. Corban miał nadzieję, że w pewnym momencie znów zakręci, ale nie wydawało się to na razie prawdopodobne.

Około południa nadjechał Camlin, którzy wciąż przepatrywał teren. Miał nietęgą minę. Zatrzymał konia przed Halionem i Edaną, ale odezwał się na tyle głośno, żeby wszyscy go usłyszeli.

– Ścieżka opada i jakiś czas biegnie wzdłuż strumienia. Jest tam szeroka i wygodna, ale potem znów rusza w górę i zwęża się. Łatwo nie będzie.

– Wolę się przeciskać, niż zawracać – rzekł Halion.

– Tak, ja też. Ale to nie wszystko. Wydaje mi się, że wkraczamy na terytorium wilkunów. Znalazłem kilka śladów i ścierwo czegoś wielkiego, chyba konia.

– Mamy własnego wilkuna – rzekła Edana.

– Tak, jednego. Tam zaś czeka wataha. Moje doświadczenie podpowiada mi, że jest ich od czterech do dziesięciu i nie spodoba im się to, że wkroczyliśmy na ich terytorium. Musimy być czujni.

Brina przemówiła cicho do Crafa. Corban miał wrażenie, że usłyszał słowo „wilkun”, po czym kruk zatrzepotał skrzydłami i wzbił się do lotu, tym razem wysforowując przed grupę.

Chwilę później zatrzymali się, by napoić konie i napełnić bukłaki. Brina i Corban w międzyczasie sprawdzili, co u Marrocka.

– Nic mi nie jest – odpowiedział, choć w jego oczach błyszczał ból.

Do dolinki, o której opowiedział im Camlin, dotarli dopiero pod

wieczór, gdy słońce zawisło już nad szczytami gór. W miarę wędrówki ściany doliny w istocie przybliżyły się, a tu i ówdzie pojawiły się ogromne, czarne głazy, a na końcu czekał na nich wąwóz tak wąski, że musieli jechać pojedynczo jeden za drugim. Corban spojrzął za siebie i zobaczył drobne postacie, które w ślad za nimi wpadają do doliny.

Teraz już na pewno nie zawrócimy, pomyślał.

Pięli się w górę. Ścieżka stała się kamienista, a pod kopytami pojawiał się żwir. Dalsza jazda byłaby zbyt niebezpieczna, więc uciekinierzy zeskoczyli z siodeł i poprowadzili swe konie piechotą. Corban wypatrzył zwinną kozicę, która stała na wąskim występie nad ich głowami i przyglądała się ich wędrówce.

Nadciągał już zmierzch, kiedy, potykając się, dotarli do niewielkiej, skalistej kotlinki, otoczonej lasem sosnowym. W powietrzu unosił się intensywny zapach igliwia. Choć wieczór był chłodny, a znad gór nacierał zimny wiatr, Corban był zlany potem. Pochwycił bukłak i przez moment pił łąpczywie, aż zauważył Haliona, który zawrócił, by spojrzeć na drogę, którą pokonali. Podszedł do niego i ku swej zgrozie zauważył długą linię jeźdźców, którzy pięli się wąwozem. Dzielilo ich nie więcej niż pół mili.

– Tej nocy raczej nie rozbiją obozu – powiedział wojownik. – Wiedzą, że tym razem nie zgubią już tropu w ciemnościach, bo nie mamy dokąd uciec i możemy iść tylko przed siebie. Pójdą prosto na nas.

– A więc my też nie możemy się zatrzymywać! Musimy uciekać!

– Otóż to.

Usłyszeli za sobą kroki. Camlin wracał ze zwiadu.

– Jak wygląda ścieżka przed nami? – spytała Edana.

– Trzeba będzie porzucić konie. Robi się zbyt stromo i wierzchowce nie dadzą rady – rzekł były banita i wzruszył ramionami. – Jak daleko są za nami? – zwrócił się do Haliona.

– Niedaleko. Niecałe pół mili, a do tego idą szybciej od nas.

– No to ruszajmy! – odezwał się Camlin.

– Ja zostanę – odezwał się Marrock. – Zatrzymam ich na chwilę. Zyskam dla was trochę czasu. – Rozejrzał się po wstrząśniętych twarzach i dodał: – Moje życie w zasadzie się skończyło. Mogę więc zrobić coś sensownego, zanim naprawdę dobiegnie końca. Wiem, że z łuku strzelać już nie będę – uniósł lewe ramię zakończone kikutem – ale nadal mogę

machać mieczem, a ktoś z was może mi przywiązać tarczę.

– Myślę, że mogę zrobić znacznie więcej dla ciebie – odezwał się Anwarth. – To ja będę twoją tarczą. We dwóch zatrzymamy ich dłużej.

– A we trzech jeszcze dłużej. – Farrell podszedł do ojca.

– Przyda wam się ktoś, kto potrafi napiąć łuk. – Camlin sięgnął po swą cięciwę.

– Ja... – odezwał się Dath. – Ja zostanę z tobą.

Heb podniósł się z głazu, na którym przysiadł.

– Myślę, że i ja się na coś nadam.

– Co? – warknęła Brina. – Nie rób z siebie idioty, stary błaznie!

Corban nie miał pojęcia, czy powinien się złościć czy martwić.

Przypuszczalnie jedno i drugie byłoby na miejscu, pomyślał.

– Dość tego – rozległ się głos Edany. Księżniczka szła ku nim, kręcąc głową. – Albo wszyscy zostają, albo wszyscy uciekają. Nie chcę stracić nikogo z was tylko po to, by móc uciekać chwilę dłużej. – W jej głosie pojawiło się drżenie. – Byłabym dumna, mogąc stanąć u waszego boku, bo doprawdy nie zasługuję na tak odważnych i oddanych przybocznych – dodała i nabrała tchu, by się uspokoić, a potem spojrzała na Camlina. – Czy to dobre miejsce, by stawić im czoła?

– Zależy od tego, czy chcesz ich powstrzymać czy pozabijać – powiedział były banita. – Gdybyś chciała ich zatrzymać, lepiej byłoby udać się nieco dalej, gdzie ścieżka się zwęża. Jeśli zaś chcemy spróbować posłać ich wszystkich na most mieczy, zostanmy tu. Ja i Dath możemy załatwić pierwszych strzałami z łuków, gdy tylko wyłonią się z wąwozu, a gdy wedrą się do niecki, będziecie mieli dość miejsca, by wymachiwać mieczami. – Rozejrzył się. – Tak, to dobre miejsce.

By po raz ostatni stawić opór i zginąć, Corban dokończył za niego w myślach.

* * *

Corban ukucnął za gładem, mocno trzymając tarczę. Burza tuliła się do niego. Po zachodzącym słońcu pozostała jedynie jasność, prześwitująca między górskimi szczytami. Obok siebie chłopak miał Gara oraz mamę, pobladłą, ściskającą włócznie pobielającymi palcami. Dath, przypominający

zaledwie cień, przyczał się wyżej, wśród świerków. Wszyscy pozostali byli ukryci i Corban nie widział nikogo poza swym przyjacielem. Nie spuszczał z niego oczu i gdy ujrzał, jak ten zwalnia pierwszą strzałę, zrozumiał, że bitwa już się rozpoczęła.

Usłyszał świst strzał, nim ujrzał pierwszych przeciwników. Brzęk cięciw natychmiast zagłuszył przeraźliwy wrzask, a po nim głośnie skomlenie. Corban wyjrzał zza skały i ujrzał przy wejściu do niecki nieruchome ciała na ziemi. Obok jednego z ludzi leżał pies, w konwulsjach drapiący łapą darń. Nie widać było jednakże nikogo więcej.

Niespodziewanie rozległy się okrzyki bojowe i z niewielkiego wąwozu wysypali się napastnicy, przeskakując nad ciałami poległych. Pierwszy z nich padł, trafiony dwoma strzałami, ale pozostali wyminęli go i rzucili się do natarcia.

– Teraz! – wrzasnął Camlin.

Corban wyciągnął miecz i skoczył naprzód, a Burza i Gar byli tuż przy nim. Kątem oka chłopak ujrzał Haliona zamierzającego się do ciosu, a sekundę później odcięta głowa jego przeciwnika wystrzeliła w górę, ciągnąc strugi ciemnej krwi. Burza jednym susem powaliła jakiegoś wojownika. Corban rzucił się w ślad za nią, przyjął cios na tarczę, odepchnął go, sparował inny mieczem i odrąbał komuś ramię. Wyrwał ostrze, zamachnął się ponownie i uciszył przeciwnika raz na zawsze.

Poległego natychmiast zastąpił kolejny wojownik, ale Corban bez wahania stawiał mu czoła. Niespodziewanie poczuł, jak długie lata ciężkich ćwiczeń z Garem i Halionem nagle biorą górę, a jego ciało reaguje, zanim on zdąży choć pomyśleć. Jego mięśnie poruszały się w rytmie tańca miecza i naraz chłopak uświadomił sobie, że jego przeciwnik pada, brocząc krwią z rozciętego gardła, a on już ma do czynienia z kolejnym. Zablockował serię jego ciosów, obrócił nadgarstek, usunął się nieco w bok i ciął zręcznie w odsłoniętą szyję. Uderzenie serca później mierzył się z następnym przeciwnikiem. Jego umysł przepełnił spokój. Nie myślał o niczym, a jedynie pozwalał, by jego ciało wykonywało to, co do niego należało. Jeden wojownik padał po drugim.

Jego matka walczyła z desperacją u jego boku, zatrzymując włącznie lawinę ciosów. Corban zmienił tor uderzenia miecza i odrąbał jej przeciwnikowi dłoń, a Gwenith wykorzystwała sposobność i wbiła grot

w jego gardło.

Wtedy Corban usłyszał warknięcie i odwrócił się błyskawicznie, by ujrzeć Burzę otoczoną przez ogary pościgu. Jeden z nich doskoczył za blisko i wilkunica kłapnęła szczękami, pozostawiając czerwone ślady na jego futrze. Wtedy inny ogar wylądował na jej grzbiecie, gryząc i usiłując dosięgnąć jej kręgosłupa. Wilkunica szarpnęła całym ciałem i przetoczyła się po ziemi, lecz wówczas dopadły ją inne psy, próbujące wgryźć się w jej odsłonięte podbrzusze. Burza zdołała jednakże zerwać się i strząsnąć z siebie napastników, po czym jednym kłapnięciem złamała jednemu z nich kark. Reszta watahy umknęła ze skamleniem.

Robiło się coraz ciemniej i walczący stawali się coraz mniej wyraźni. Corban rozpoznawał charakterystyczne ruchy Gara, który obracał się, wirował i ciął, nie zatrzymując się ani na moment, a tam, gdzie się znalazł, ludzie padali jak muchy. Chłopak cofnął się, spojrzął za siebie i upewnił, czy Hebowi, Brinie i Edanie nic nie grozi.

Usłyszał łopot skrzydeł i ujrzał Crafa, który otaczał nieckę, kracząc przeraźliwie. Wylądował na głazie niedaleko uzdrowicielki. Przeskakiwał z nogi na nogę, nie przestając krakać. Corban przypadł do nich.

– Kto wygrywa? – spytała Brina, mrużąc oczy.

– Zbyt ciemno, by mieć pewność.

– Może uda się coś z tym zrobić – oznajmił Heb, który trzymał w ręku gałąź, oderwaną od jednej z sosen, po czym wymamrotał pod nosem kilka dziwnych słów.

Craf znów zakrakał.

– Myślę, że twój kruk chce czegoś od ciebie – rzekł Corban.

– Niech się nauczy cierpliwości, głupie ptaszysko – warknęła Brina i wsparła Heba.

W pierwszej chwili nie wydarzyło się nic, a potem Corban poczuł w uszach narastające ciśnienie. Miał wrażenie, że powietrze napiera na niego niczym przed nadciągającą burzą, ale o wiele mocniej, wręcz gwałtownie. Potem ujrzał strużkę dymu znad gałęzi, a następnie niewielki płomień.

Craf wskoczył mu na ramię i dziobnął go w głowę.

– Zjeżdżaj! – krzyknął Corban, próbując odgonić ptaka, ale wtedy wreszcie usłyszał to, co Craf cały czas powtarzał.

– Wilkuny, wilkuny, wilkuny! – wyrzucał z siebie ptak. – Wilkuny!

Gałąź eksplodowała płomieniami, a Heb upuścił ją na ziemię. Ogień oświetlił całą nieckę oraz postacie zwarte w walce, ale Corban spojrział wyżej, na skraj sosnowego lasu. W blasku ognia zajaśniały zielone ślepia. Mnóstwo ślepi.

Potem pierwszy wilkun skoczył na nich.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

FIDELE

Fidele upiła łyk wina. Zasiadała w komnacie Lamara na szczycie jego wieży w Ripie i spoglądała przez wielkie okno, z którego rozpościerał się widok na zatokę. Unoszące się i opadające hipnotycznie fale skupiały jej uwagę.

Przy stole usiedli również Lamar, baron Ripy, oraz jego dwóch synów: Krelis i Ektor. Królowej trudno było sobie wyobrazić dwóch braci bardziej różniących się od siebie. Energiczny Krelis wzrostem i budową ciała zdawał się dorównywać olbrzymom, ale był serdeczny i ujmujący. Fidele miała wrażenie, że potrafiłby równie intensywnie kochać, jak i nienawidzić. Ektor zaś, cichy i zamknięty w sobie, był blady, niemalże wymizerowany, ale zwracał na siebie uwagę błyskotliwością i bystrością umysłu. Myśli królowej umknęły ku trzeciemu synowi Lamara i pierwszemu mieczowi Nathaira, lojalnemu, dzielnemu Veradisowi.

On znajduje się gdzieś między nimi, pomyślała. Choć z postawy przypomina wojownika, tak jak Krelis, jest cichy i powściągliwy niczym Ektor.

Cieszyła się, że Veradis służy jej synowi. Jego lojalność nie budziła żadnych wątpliwości, a w tych trudnych, burzliwych czasach był to bezcenny skarb.

Towarzyszyli jej Peritus, który bębnił palcami po stole, oraz potężny Orcus, stojący za jej plecami.

– A więc co zrobimy z tymi Vin Thalun? – spytał Peritus.

Bez względu na to, dokąd prowadzi rozmowa, zawsze wracamy do tego samego, pomyślała Fidele.

– Już ci mówiłam. Ludzie zamieszani w to wszystko zostali ukarani.

Nie wiem, co jeszcze można póki co z tym zrobić. Pozostaje poczekać na powrót Lykosa, z którym mam zamiar się rozmówić.

– Tak jak poprzednio?

Fidele poczuła napływ gniewu, ale opanowała się. Peritus przeżywał trudne chwile. Nadal nie mógł pogodzić się ze śmiercią Aquilusa, z Vin Thalun chodzącymi wolno po Tenebralu i ze zmianami wprowadzanymi przez Nathaira, a przede wszystkim z nowymi metodami prowadzenia wojny. Wspomnienie muru tarcz tkwiło w jego sercu niczym cierni.

Niemniej bez względu na to, czy zmiany im się podobały czy nie, musieli je zaakceptować. Ten, kto nie popierał rządów Nathaira, opowiadał się tym samym przeciwko nim. Fidele spojrzała na Peritusa surowo.

Wygląda jak tonący człowiek, przeszło jej przez myśl, ale zniewaga była zniewagą. Gdyby wojewoda odezwał się tak do niej na osobności, zlekceważyłaby jego ostre słowa ze względu na długoletnią przyjaźń. Na swoje nieszczęście zrobił to w przytomności Lamara i jego synów.

– Jeśli ośmielisz się raz jeszcze do mnie tak odezwać, każę cię zdegradować – powiedziała zimno.

Peritus odwrócił wzrok i wymamrotał jakieś przeprosiny.

– Dałaś Vin Thalun ważną lekcję – rzekł Lamar niskim głosem. – Pokazałaś im, że nie wolno lekceważyć twych rozkazów.

– Lub że trzeba się lepiej ukrywać – dodał Ektor.

Nadszedł czas, by zmienić temat.

– Jak idą przygotowania do wojny? – spytała królowa.

– Dobrze – rzekł Lamar. – Mój hufiec jest gotów. Ściągnąłem pod swój znak wszystkich ludzi zdolnych do noszenia broni.

– Szkolicie ich? Mam na myśli nowe metody Nathaira. Wysłał przecież ludzi, by nauczyć was walki w murze tarcz.

– Fakt, przysłał ich – odezwał się Krelis. – Będę mówił szczerze i otwarcie, bo inaczej nie umiem.

– Proszę, nie krępuj się – rzekła Fidele.

– Moi ludzie trenują ów mur tarcz, ale większość z nich za nim nie przepada, zwłaszcza starsi wojownicy. Jest dla nich zaprzeczeniem wielu wieków tradycji i mają wrażenie, że to mało honorowy sposób walki.

Fidele westchnęła. Słyszała te narzekania ze wszystkich stron, ale tak brzmiały rozkazy Nathaira, a on zasiadał na tronie. Co więcej, jeśli

wierzyć świadkom, mur tarcz okazał się przerażająco skuteczny.

– Ale działa – rzekła. – Peritus widział mur tarcz podczas bitwy, gdy dowodził nim Veradis. Opowiedz im.

Peritus się wyprostował.

– Veradis dowodził przednią strażą w walce przeciwko siłom Mandrosa w Carnutanie. Zostaliśmy zaskoczeni podczas przekraczania rzeki, a wówczas drużyna Veradisa uformowała mur tarcz, nadal stojąc po kolana w wodzie, i przebiła się przez dwa tysiące wojowników Mandrosa. O mały włos dopadłoby też jego samego.

Fidele przyglądała się twarzom mężczyzn, gdy Peritus mówił. Lamar zeszywniał i zacisnął mocniej usta.

Co to oznacza? Czyżby coś go poróżniło z synem? Jeśli tak, to o niczym nie wiem, pomyślała.

Krelis pokraśniał z dumy, a Ektor nie zdradził żadnych emocji. Nie wiadomo, czy dobrze je maskował czy też nie był tym tematem w ogóle zainteresowany.

– A ty ruszyłeś ze swoją drużyną w ślad za nim, nieprawdaż? – spytała Fidele.

– Tak.

– Ilu ludzi straciłeś?

– Około pięciu setek.

– A ilu padło w murze tarcz Veradisa?

– Niecałe trzy dziesiątki.

Lamar uniósł brew, a Krelis wypuścił powietrze z płuc.

– Peritus to wyśmienity wojownik, doświadczony w sztuce wojennej, wielki taktyk i strateg – dodała Fidele.

– Wiem to przecież – wymamrotał Krelis, który spędził ponad rok w drużynie Peritusa, ucząc się od niego, tak jak Veradis od Nathaira. W przeciwieństwie do swego brata, który pozostał na dworze, wrócił do Ripy oraz ojca.

– Z tego względu został wojewodą mego męża – ciągnęła Fidele. – Nie podkreślam różnic w ilości poległych, by go upokorzyć, bo wiem, że jest naprawdę dobry w tym, co robi, i jest jednym z najlepszych wojowników Tenebralu. Mój syn jednakże jest strategiem o sercu rzemieślnika. Wiedźcie, że nadciąga wojna, która położy kres wszelkim

innym. To Wojna Bogów, która pochłonie wiele istnień, być może nawet nasze własne. Logice mego syna nie można niczego zarzucić. Wszak walka w murze tarcz uratuje niejednego z naszych wojowników przed śmiercią, a formacja rozbija wroga ze skutecznością, jakiej dotąd nigdy nie widziano. Prawda, Peritusie?

– Co do słowa – rzekł wojewoda.

– Przeszkolicie więc swych ludzi w walce w szyku, a po pierwszej bitwie przypomniecie sobie tę rozmowę. Żony i matki waszych wojowników będą wam zaś bezgranicznie wdzięczne. To ważniejsze od honoru.

– Oczywiście Krelis postąpi tak, jak mówisz – odezwał się Lamar i zmierzył syna surowym spojrzeniem.

– Wojna Bogów – odezwał się Ektor, nagle ożywiony. – Nathair i Veradis rozmawiali o niej podczas ich wizyty po naradzie u Aquilusa. Nathair mówił o księdze. O księdze jakiegoś olbrzyma oraz o przepowiedni.

– Tak, o zapiskach Halvora.

– Oddałbym wiele, by móc je ujrzeć.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Nie mam ich.

– Cóż, a gdzie są? – Ektor wydawał się zdruzgotany.

– Zabrał je Meical i, z tego, co wiem, nadal jest w ich posiadaniu.

– Słyszałem już to imię... Meical był doradcą Aquilusa, czyż nie? – spytał Lamar.

Fidele skinęła głową.

– A gdzie on się podział? – dopytywał Lamar.

Pytałam o to częściej, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić, pomyślała Fidele. Swego czasu lubiła Meicala, choć było w nim coś przerażającego. Wyczuwała w nim osobliwą, starannie skrywaną, niebezpieczną intensywność.

– Nie widziano go od zamordowania mego męża – rzekła.

– A co o nim wiadomo? – pytał Lamar. – Z jakiego pochodzi królestwa? Czy ma jakichś krewnych, przez których można go wytropić?

– Nie wiem – odparła Fidele i naraz poczuła się głupio. Meical przybył do Tenebralu wiele lat temu, jeszcze przed urodzeniem Nathaira, po czym spędził całą noc na rozmowie z Aquilusem. Gdy nastał świt, Aquilus przywiódł Meicala do jej komnat i przedstawił go jej. Wówczas pierwszy raz usłyszała o Wojnie Bogów. Niebawem gość króla został mianowany

jego doradcą, po czym niemalże natychmiast wyjechał. Rzekomo wyruszył do Fornu, by szukać ukrytej fortecy Drassil. Aquilus ufał mu bezgranicznie, ona również.

Ale kim ty naprawdę jesteś, Meicalu?

– Cóż, a więc trzeba go odnaleźć – rzekł Ektor. – Muszę zapoznać się z tą księgą.

– Doprawdy? Dlaczego? – spytała Fidele.

– Mój syn jest uczonym – powiedział Lamar. – A jego prawdziwą pasją jest przeszłość. Mamy tu w Ripie wielką bibliotekę, pozostawioną przez olbrzymy.

– Aquilus mówił mi o niej – przypomniała sobie Fidele.

– Muszę zapoznać się z tą księgą – powtórzył Ektor, jakby do siebie.

– Dlaczego?

Ektor uniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Jego bystre oczy wręcz lśniły.

– Bo wydaje mi się, że wiem, kim albo czym jest ów Meical.

Rozdział czterdziesty

CORALEN

– Widzę ich – odezwała się Coralen, odwracając się w siodle ku Rathowi.
– Gdzie? – Stary wojownik zmrużył oczy.
– Tam! – wskazała dziewczyna. – Nie na trakcie olbrzymów, ale bardziej na południe. Kierują się ku wzgórzom przed łańcuchem górskim!

Gnali przez trawiaste równiny równoległe do traktu. Przed nimi wznosiły się góry, które odgradzały Domhain od Cambrenu, a trakt olbrzymów wycinał w nich głęboki wąwóz.

– Niech szlag trafi mój wzrok – rzekł Rath. – Naprawdę się starzeję.
– Milczał przez moment, aż wreszcie oznajmił: – Dobrze, też ich zauważyłem. Dobra robota, Cora. Jesteś najlepszym tropicielem, jakiego znam, a znam wielu.

Zaskoczona komplementem dziewczyna zerknęła na przywódcę.

– Miękniesz z wiekiem? – spytała.

– Możliwe. Kiedy ich dopadniemy?

– To zależy. W tym tempie jutro.

– To dobrze, bo tyłek już mnie boli. Za dużo siedzenia w siodle. Chyba się starzeję, naprawdę. Wolałbym popijać wino w Dun Taras, zamiast uganiać się po równinach.

Coralen parsknęła.

– Nadal nie lubisz wracać do domu? – zapytał Rath.

– Do Dun Taras? To nie mój dom. Tu jest mój dom – odparła Coralen i poklepała siodło. – Mój dom jest tam, gdzie ty.

– I kto tu jest miękki?

Coralen się uśmiechnęła. Prawdę powiedziawszy wszędzie czuła się lepiej niż w Dun Taras.

Tropili olbrzymy przez całą drogę z granicy między Benothem a Domhainem. Zatrzymali się w stolicy jedynie na chwilę, by ostrzec króla Eremona przed olbrzymami, które zapuściły się w głąb królestwa i co gorsza znalazły się na pół dnia drogi przed Dun Taras.

Coralen nie lubiła fortocy, gdyż wiązało się z nią zbyt wiele złych wspomnień. Zbyt wiele rzeczy przypominało jej tam o przeszłości i w siodle czuła się znacznie lepiej, nawet jeśli oznaczało to obolałe siedzenie. Wszystko było lepsze od emocji, które wzbierały w niej za każdym razem, gdy widziała Dun Taras choćby z oddali. Zaczynała wówczas zbyt wiele rozmyślać, co z reguły kończyło się bólem głowy. A wtedy wpadała w złość i wdawała się z kimś w kłótnię.

– Ruszajmy więc. Niedługo znów będziemy mogli utoczyć olbrzymom trochę krwi! – oznajmił Rath i kopnął piętami w końskie boki.

I to mi wystarczy, pomyślała Coralen.

Jechali przez jakiś czas ostrym tempem. Dwudziestu towarzyszących im wojowników rozciągnęło się w długą kolumnę. Było zimno, a na niebie wisiały nisko ciężkie, napęczniałe chmury. Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, Coralen dojrzała pojedyncze postacie, przemykające między kępami lasów na wzgórzach.

Kierują się ku przełęczy, pomyślała. Doskonale wiem, gdzie chcieliby się znaleźć.

Uśmiechnęła się do siebie, a potem uniosła głowę i ujrzała ptaka, który krążył nad ich głowami. Wyglądał na samotnego kruka.

Baird dołączył do niej.

– Dziwne zachowanie jak na ptaka – powiedział, wpatrując się w niego.

– Też mam takie wrażenie. – Coralen ściągnęła wodze i sięgnęła po łuk, schowany w futerale przytroczonym do siodła. Potem rozsupłała sakiewkę, by wyjąć z niej cięciwę. Zręcznie naciągnęła ją na łuk i nałożyła strzałę.

– Za późno – ocenił Baird, gdy dziewczyna uniosła broń.

Kruk oddalał się w linii prostej ku wzgórzom, kracząc przeraźliwie.

– Chyba go wystraszyłaś – dodał Baird. Jak zwykle, gdy się uśmiechał, blizny na jego twarzy się wykrzywiły. – Nie bądź taka rozczarowana. Niedługo czeka nas mnóstwo okazji, by coś zabić.

Otóż to, pomyślała dziewczyna, po czym odpięła cięciwę i poprowadziła

towarzyszy ku wzgórzom.

Rozdział czterdziesty pierwszy

UTHAS

Uthas biegł długimi susami. Stary ból w kolanie powrócił i nie dawał mu spokoju, ale zignorował go, skupiony na oddychaniu. Słyszał za sobą dudnienie butów Salacha, a dalej pozostałych – Fraya, Struana, Kaia oraz Eisę. Nad nimi po nierównej linii leciał kruk Nemain, Fech.

Biegli przez porośnięte sosnowym lasem wzgórza, za którymi wyrastały góry. Dalej zaś rozciągał się Cambren, kraj pod władzą królowej Rhin.

Będziemy tam bezpieczni, pomyślał Uthas.

Zwolnił nieco i obejrzał się za siebie. W pierwszej chwili nie widział żadnych śladów pościgu, ale po chwili dostrzegł goniących ich jeźdźców.

To był Rath.

Fech nie pomylił się. Rath pochwycił ich trop na północy i podążał w ślad za nimi na południe. Wystarczyło wspomnieć jego imię, by w sercu olbrzyma natychmiast pojawiała się panika przemieszana z gniewem. Straszliwa reputacja zabójcy olbrzymów i jego przybocznych skutecznie zabijała w nim racjonalne myślenie. Fray i Eisa chcieli zawrócić i walczyć ze ścigającymi ich ludźmi, ale Uthas wiedział, że byłoby to samobójstwo. Ten, kto podejmował walkę z Rathem na jego terenie i na jego warunkach, od razu skazywał się na porażkę. Ten człowiek zwalczał ich lud o wiele za długo i zbyt skutecznie. Nie, priorytetem była ucieczka. Należało przecież wypełnić zadanie.

Uciekali więc na wschód, ku królestwu Rhin, ale Rath w jakiś sposób nadrabiał dystans i przez ostatnich pięć dni pościg był niemalże przez cały czas w zasięgu wzroku. Uthas skupił spojrzenie na górach. Pozostało im najwyżej pięć mil.

Damy radę, pomyślał. Będzie to nas wiele kosztowało, ale uda się,

a Rath nie będzie miał odwagi, by zapuścić się za nami do Cambrenu.

* * *

Zalany cieniami trakt olbrzymów biegł niżej. Uthas zatrzymał się i odwrócił. Widział wyraźnie, że Rath i pozostali jeszcze się zbliżyli.

– Niech ich szlag trafi – burknął pod nosem i poprowadził swą grupę w głąb lasu, coraz bardziej zaniepokojony. Po raz pierwszy w życiu zaczął się zastanawiać, czy Rath jednak go nie dopadnie i nie zmusi do walki. Czy nie groziła im śmierć. Niepokój napędzał panikę w jego sercu i o zachodzie słońca olbrzym wiedział już, że musi coś postanowić.

Ogłosił postój. Nadal znajdowali się wśród wzgórz i zasłaniały ich gęsto rosnące sosny, ale widział, że w oddali drzewa rzadnieją i rozpoczyna się ścieżka prowadząca do samych gór. Postawił Fraya i Kaia na warcie, a sam odnalazł miejsce na uboczu, gdzie nikt nie mógł mu przeszkodzić. Rozpalił niewielki ogień, po czym wyciągnął nóż i rozsupłał sakiewkę, z której wyjął lok delikatnych, siwych włosów. Włosów Rhin. Nadszedł czas na magię olbrzymów. Magię ziemi.

Naciął sobie dłoń, zamoczył lok we krwi i upuścił go w ogień. Płomienie zawirowały, a po chwili pośród nich pojawił się obrys ludzkiej twarzy. Patrzył na oblicze starej, pomarszczonej kobiety.

– Czego? – warknęła Rhin i wbiła spojrzenie w Uthasa. – Kiepski moment sobie wybrałeś.

– Muszę porozmawiać z tobą, i to teraz – syknął olbrzym.

Wtem usłyszał w górze trzask pękającej gałązki. Uniósł wzrok i dojrzał ciemny, skrzydlaty kształt. Fech. Zamarł, a wtedy ptak zamachał skrzydłami i wzniósł się w powietrze.

Nemain nie może się o tym dowiedzieć...

Uthas złapał za nóż, wycelował i rzucił. Rozległ się stłumiony skrzek, gdy ostrze trafiło w cel, a potem Fech znikł. Olbrzym znów spojrzał na ogień, ale twarz Rhin zdążyła już się rozplynać. Wstał, pośpiesznie rozdeptał ognisko i zawrócił.

Był zdany na własne siły.

Rozdział czterdziesty drugi

MAQUIN

- Coś się zmieniło – odezwał się Maquin i spojrzał ku górze.
 - Przestali walić w drzwi – rzekł Orgull.
 - Fakt.
 - Nie sądzę, by ci to jakoś przeszkadzało – dodał Tahir. – Przespałeś większość tego łomotu.
 - Musiałem na moment ulżyć oczom – rzekł Maquin.
 - Szkoda, że nie mogłeś jednocześnie ulżyć moim uszom. Twoje chrapanie obudziłoby zmarłego.
 - Bezczelny się robisz – odparł Maquin i wstał, choć jego plecy gwałtownie zaprotestowały. – A ja się starzeję.
- Siedzieli na tyłach sali biesiadnej Dun Kellen wraz ze sporą grupą innych ocalałych wojowników. Kamienne ściany były mocne i grube, a jedynym drewnianym elementem wieży były drzwi, ale wielki ogień, rozpalony przed nimi, jak dotąd niewiele przyniósł korzyści oblegającym.
- Jakiś wojownik przeszedł przez drzwi z tyłu sali i podszedł do trzech Gadrai.
- Lady Gerda chciałaby z wami pomówić – zwrócił się do nich.

* * *

Gerda zasiadała na szerokim, masywnym krześle, strzeżona przez mężczyznę w kolczudze i skórze niedźwiedzia. Miał jasne włosy, a jego warkocz wojownika był grubo zapleciony. Mały chłopczyk, którego Maquin widział już przy kobiecie, siedział wśród migotliwych cieni z tyłu komnaty i rzeźbił nożem w kawałku drewna.

To Haelan, pomyślał Maquin.

Gerda uśmiechnęła się na ich widok.

– Spodziewam się rychłego nadejścia posiłków – rzekła. – Być może jeszcze dziś. Gdy drużyny moich lordów dotrą do Dun Kellen, ruszymy na Jaela. Uderzymy na niego z dwóch stron. Nie sądzę, by potrafił długo walczyć na dwa fronty, a gdy uzna, że ma przeciwko sobie przewagę liczebną, przypuszczalnie ucieknie.

– Jestem gotów się zgodzić – rzekł Orgull. – Nie wygląda mi na człowieka, który znalazłby w sobie odwagę, by walczyć do końca.

– Na pewno nie. Będzie wolał uciec i ratować swój nędzny żywot. Obsmarkany, cuchnący gównem knypek – wycedziła jadownicę Gerda.

Jej synek uniósł głowę, z trudem powstrzymując śmiech. Gerda, drżąc, nabrała jednak tchu i mówiła dalej:

– Jednakże ten Jael, którego ja znam, jest całkowicie nieprzewidywalny i zdolny do wszystkiego. Oto Thoris, mój wojewoda – powiedziała, wskazując mężczyznę obok siebie. Wojownik skinął im głową. – Rozważamy właśnie rozmaite scenariusze.

O co jej chodzi?, pomyślał Maquin.

– Jeśli zrealizuje się najmniej prawdopodobny z nich i Jael odniesie zwycięstwo, będę was prosić o spełnienie ostatniej prośby. Chcę, byście zaopiekowali się moim synem, Haelanem, i zabrali go w bezpieczne miejsce. – Spojrzała na nich z błaganiem w oczach i dodała: – Nie sądzę, by do tego doszło i modłę się do Elyona, by nam tego oszczędził, ale zawsze lepiej przygotować się na najgorsze.

– Moja mama też tak mówiła – szepnął Tahir do Maquina.

– Patrzyłam na wasze męstwo i dzielność. Widziałam, że przysięga, którą złożyliście, jest dla was święta. Dlatego właśnie proszę o to was. Reszta moich wojowników złożyła przysięgę mnie. Mają służyć Dun Kellen i pomścić Varicka. Wy trzej znajdujecie się w innej sytuacji. Wiem, że jeśli dacie mi słowo, zrobicie to, co obiecaliście, chyba że śmierć wam przeszkodzi. Dzielnie służyliście zarówno mnie, jak i Isiltirowi, i jeśli przeżyjemy to wszystko, spodziewajcie się wielkiej nagrody.

W komnacie zapadła cisza. Maquin był zaskoczony. Przez całe oblężenie nie myślał o niczym poza zemstą i marzył tylko o tym, by odebrać Jaelowi życie. W Haldis poprzysiągł, że pomoże Orgullovi uciec i zanieść wieści

o zdradzie Jaela do Isiltiru. Dokonał tego i wypełnił swą obietnicę, ale niemalże w tej samej chwili pojawiła się Gerda, która chciała związać go kolejną przysięgą i nałożyć nań jeszcze cięższe kajdany. Nie miał na to ochoty. Chciał jedynie dopaść Jaela i utoczyć mu krwi.

Co więcej, złożył już kiedyś obietnicę, że będzie się kimś opiekował. Uczynił to przed Kastellem i jego ojcem. Złożył im przysięgę krwi. Spojrzał na dłoń i odnalazł starą, jasną i spłowiałą bliznę. Gdy uniósł spojrzenie, syn królowej wpatrywał się w niego.

Miał dziesięć lat, a jego jasne włosy wydawały się tu i ówdzie rude. Na policzku i nosie miał rozsypane piegi. Nawet wyglądał jak Kastell, co nie powinno być dziwne, gdyż byli dalekimi krewnymi.

– Zrobicie to dla mnie? – spytała Gerda.

– Tak. – Maquin usłyszał własny głos.

Ty stary durniu, pomyślał.

* * *

Wiatr szarpał włosy Maquina, gdy stał na płaskim dachu wieży Dun Kellen, skąd widział ludzi Jaela. Niektórzy obozowali na dziedzińcu twierdzy, a inni chodzili po ulicach.

Zgromadził niezłą drużynę, pomyślał. Gdzie on znalazł tylu ludzi, skoro tak wielu wojowników z Isiltiru zginęło w lesie Forn?

Wiatr przywiał z północy nowy odgłos. Ryk rogów.

Maquin odwrócił się ku równinom i zmrużył oczy. Po chwili dostrzegł ciemną plamę, która wnet przeobraziła się w nadciągający hufiec.

To posiłki dla Gerdy, pomyślał i uśmiechnął się ponuro. Koniec Jaela był już blisko.

* * *

– Gotowy? – spytał go Orgull.

– Tak.

– Pamiętasz plan?

– Tak. Trzymamy się razem, odnajdujemy Jaela i zabijamy go. – Maquin

uśmiechnął się do Orgulla i Tahira bez wesołości.

Wraz z wojownikami Gerdy stali blisko zabarykadowanych wrót do sali biesiadnej. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby i gotowi do walki. Z chwilą, gdy rozlegnie się sygnał, mieli wypaść z wieży i dołączyć do nacierających drużyn lordów Gerdy i zmusić Jaela do walki na dwa fronty.

– Tak, na tym polega plan – rzekł Orgull. – A przynajmniej jego część. Jeśli coś pójdzie nie tak, wracamy, zabieramy Haelana i uciekamy.

– Pamiętam – odparł Maquin.

Złożył przysięgę Gerdzie, ale jej słowa ciążyły mu teraz niczym ołowiana kula w żołądku.

Po co ja to zrobiłem?

Niepotrzebnie zadawał sobie to pytanie. Wiedział, dlaczego tak postąpił. Zrobił to dla Kastella. Zrobił to dla siebie, by udowodnić sobie, że potrafi dotrzymać przysięgi i ocalić chłopaka przed śmiercią. Wiedział, że tym razem nie zawiedzie.

Wtedy z góry dobiegł dziki ryk rogu, który przetoczył się echem po korytarzach. Wojownicy Gerdy pchnęli wrota, wypadli na dziedziniec i rzucili się do szarży na ludzi Jaela, mrugając w blasku słońca.

Wpadli na grupę przybocznych wroga, a natarcie błyskawicznie przerodziło się w szereg pojedynczych starć. Maquin ujrzał opadający cios. W ostatniej chwili zasłonił się tarczą, a jego ramię zeszytywniało od potężnego uderzenia. Ciął nisko i usłyszał trzask przerąbywanej kości. Inny napastnik pchnął go włócznią w żebra, ale Maquin odbił ją mieczem, doskoczył bliżej i grzmotnął męczyzną tarczą w twarz. Ten zatoczył się do tyłu.

Orgull prowadził szarżę, wywijając toporem, który wypruwał krew z ciał przeciwników. Tahir walczył u jego boku, a Maquin przypadł bliżej, by osłonić braci w mieczu. Wspólnie wyrąbywali sobie drogę, a ludzie Jaela cofali się przed nimi.

Wsparci przez obrońców Dun Kellen, szybko zdobyli panowanie nad dziedzińcem i wypadli na szeroką ulicę. Parli naprzód, aż ujrzeli bramy fortecy, po których pozostał jedynie kamienny łuk oraz poczerńnięte resztki drewnianych wrót.

Maquin słyszał dobiegającą z oddali oszalałą pieśń rogów, łoskot końskich kopyt na bruku i wrzask walczących. Wokół nich szalała bitwa,

łała się krew, umierali ludzie. Otarł pot z czoła, gdy ktoś rąbnął go rękojeścią miecza w twarz. Poczł, że uderzenie wybiło mu zęb. Wypluł go wraz z krwią, uśmiechnął się ponuro i rzucił się w wir walki.

Drużyny, które przybyły Gerdzie na odsiecz, powoli odzyskiwały panowanie nad miastem, a ludzie Jaela wycofywali się ku rzece, ścigani przez nieubłaganą Gerdę na czele swych przybocznych.

– Ruszajmy! – zawołał Maquin do Orgulla i Tahira. – Bo jeszcze dopadnie Jaela przed nami.

– Co racja, to racja – powiedział Orgull, patrząc, jak Gerda znika w bramie. – Jak myślicie? Gdzie go znajdziemy?

– Teraz? Na pewno szykuje się do uciezki! Postawiłbym na zagrody z końmi!

– Warto sprawdzić – rzekł Orgull.

Niektóre części miasta były już niemalże opustoszałe, a po zaciekłych walkach pozostały jedynie stosy trupów na ulicach. Gdzie indziej nadal toczyły się zażarte starcia i Maquin z towarzyszami znów musieli wyrąbywać sobie drogę, ale hufiec Jaela w zasadzie poszedł już w rozsypkę. Nie natrafili na nikogo, kto byłby w stanie stawić im skuteczny opór. Byli wszak Gadrai, braćmi w mieczu, którzy przeżyli masakrę w Haldis, stawili czoła olbrzymom oraz Jehar i wyszli cało z lasu Forn, a teraz przypominali uskrzydloną śmierć.

W zagrodach panował chaos. Wojownicy Jaela w popłochu przypadali do koni i wspinali się na siodła, po czym z rozpaczą szukali drogi odwrotu.

– Tam! – Maquin wskazał proporzec Jaela, a potem jego samego. Rozpoznał go po białej kicie końskiego włosia na hełmie. – Szybko! – ryknął. – Chce uciec!

Skoczył naprzód, prowadząc towarzyszy. Biegł jak szalony, potykając się na zdradliwie śliskiej ziemi, tnąc i odpychając tarczą każdego, kto stanął mu na drodze. Ludzie Jaela próbowali zorganizować obronę, ale przerażający topór Orgulla rozpędził ich w okamgnieniu. Chwilę później Maquin wskoczył już do zagrody i płazując przerażone, miotające się konie, runął ku Jelowi, wciąż otoczonemu przez najwierniejszych przybocznych. Przypadł do nich, wzniósł miecz i rozbił czaszkę pierwszemu z nich, nim ten zdołał go zauważyć.

Uderzenie serca później wojownicy Jaela zdali sobie sprawę z nowego zagrożenia i ruszyli na Maquina. W tak ogromnym ścisku trudno było zamachnąć się mieczem, więc Gadrai wyrwał nóż, przypadł do najbliższego przeciwnika i dźgnął go błyskawicznie w szyję i pierś, a potem odtrącił. Odbił tarczą słabe uderzenie innego napastnika, odepchnął jego broń i wraził mu nóż w brzuch.

I wtedy wreszcie ujrzał Jaela.

Uzurpator siedział już na koniu. Widząc Maquina, poderwał wierzchowca, który stanął dęba i zamachał kopytami w powietrzu. Gadrai cofnął się, a Jael wykorzystał sposobność, zawrócił konia i rzucił się do ucieczki. Maquin zaklął, nie mając zamiaru pozwolić mu uciec. Przypadł do jakiegoś wojownika z nogą w strzemieniu, ściągnął go z siodła i sam zajął jego miejsce, po czym pogalopował w ślad za uciekającym.

Jael skierował się na południe, w stronę mostu nad rzeką. Wojownicy z Dun Kellen pod dowództwem Thorisa i Gerdy rozciągnęli szyki na równinie i wycinali uciekinierów, którzy usiłowali się ukryć w wędzarniach i garbarniach, ciągnących się wzdłuż brzegów rzeki.

Orgull i Tahir również dosiedli koni i dołączyli do Maquina, który wstrzymał wierzchowca przed tłumem wojowników, zgromadzonych przy moście. Ludzie Jaela przegrupowali się i zaciekle bronili drugiego końca przeprawy. Maquin dostrzegł między nimi samego Jaela. Biała kita powiewała na wietrze.

– Jeśli go tu nie dopadniemy, zniknie na dobre – rzekł Orgull.

– Zgadam się – odparł Maquin. – Trzeba tylko wymyślić, jak tego dokonać!

Na moście było tłoczno od walczących.

– Im prędzej się człowiek zabierze do roboty, tym szybciej skończy, jak mawiała moja matka – rzekł Tahir.

We trzech spojrzeli po sobie i runęli ku walczącym. Minęli Gerdę z zakrwawionym mieczem, która na czele swej drużyny ścigała uciekających ludzi Jaela, usiłujących dołączyć do kompanów po drugiej stronie rzeki, i już byli na moście. Orgull spiął konia i ruszył naprzód, siejąc śmierć swoim toporem, a ludzie uciekali przed nim z wrzaskiem. Maquin i Tahir szarżowali po bokach i powoli wyrąbywali sobie drogę, tnąc i dźgając.

Ludzie Jaela, ustawieni w cztery, pięć szeregów, blokowali wyjście. Walczyli z rozpaczliwą zaciekłością.

Wiedzą, że jeśli pękną, już po nich!, pomyślał Maquin.

Jael zagrzewał ich do walki, a przybocznicy znów uformowali krąg wokół niego. Maquin rozpoznał jednego z nich – był to Ulfilas. Wojownik walczył z nim ramię w ramię przeciwko bandytom, którzy napadli ich podczas powrotu z rady u króla Aquilusa. Mężczyzna również zauważył starego Gadrai. Zmrużył oczy i wpatrywał się w niego przez chwilę, aż zawołał Jaela i wskazał mu go. Jael rozwarł usta, a na jego twarzy pojawił się lęk.

Maquin wycelował w niego mieczem i wykrzywił zakrwawione wargi w złowieszczym uśmiechu.

Zaraz cię dopadnę!, pomyślał. W jego ciało wstąpiły świeże siły i z nową energią zaatakował szeregi wojowników Jaela. Już niedługo, Kastell. Niebawem zostaniesz pomszczony.

Naraz zgiełk bitewny przeszyły nowe okrzyki, a Jael znów spojrzał na Maquina. Tym razem w jego oczach zalśnił tryumf. Splunął z pogardą na ziemię.

Zza zakrętu rzeki wyłoniły się liczne okręty – długie, płytko zanurzone, pomalowane czarną smołą. Ich żagle również były czarne, a widniał na nich srebrny orzeł.

Rozdział czterdziesty trzeci

LYKOS

– Przybijamy do brzegu! – huknął Lykos.

W odpowiedzi bębniarz wyznaczający rytm przyśpieszył, a wioślarze zdwoili wysiłki. Wojownicy tłukli mieczami o tarcze. Lykos czuł, jak nabiera entuzjazmu. Z wytęsknieniem czekał na ten moment – na koniec transportowania innych wojsk i przyglądania się, jak ruszają, by dokonać wielkich czynów. Nadeszła chwila, by samemu dokonać czegoś, co przejdzie do historii w tej erze wielkich zmian. Za sto lat o tej bitwie będą śpiewać pieśni.

O ile nadal będzie jeszcze komu je śpiewać.

Pora zdobyć kolejny kraj dla Nathaira.

Lykos przekazał nowe rozkazy swemu gońcowi, młodemu chłopakowi, liczącemu sobie niespełna dwanaście lat, ale szybkemu i silnemu, wspinającemu się równie zręcznie jak małpka. Chłopak pobiegł po pokładzie i wnet znów zaryczały rogi. Okręt skierował się ku północnemu brzegowi rzeki.

Lykos spojrzął za siebie i zobaczył trzydzieści zwinnych, płytko zanurzonych galer, z którymi opuścił Dun Carreg, niebezpiecznych niczym stado polujących wilków. Podróż okazała się mozolnym wyzwaniem. Płynęli bowiem głównie rzeką Afren, która wiła się przez Ciemny Bór, oddzielając Ardan od Narvonu. Następnie przebyli cuchnące bagna i wpłynęli do Isiltiru, gdzie Afren, bliska swego źródła, kurczyła się do szerokości niemalże strumienia. Dalsza żegluga była już niemożliwa, a więc należało zdjąć maszty i transportować okręty przez podmokłą krainę aż do odległych o milę brzegów rzeki Rhenus. Potem znów trzeba było chwycić za wiosła. Plecy Lykosa nadal bolały od wysiłku. Choć

był władcą narodu bezwzględnych piratów, nie miał zamiaru siedzieć beczynnie i wypoczywać, dając tym samym okazję, by ktoś inny, ambitny i spragniony władzy, spróbował odebrać mu to, co budował z trudem od tak wielu lat.

Spojrzał na brzeg, wzdłuż którego ciągnęły się dziesiątki pomostów.

Cóż za miły zbieg okoliczności, pomyślał, przepychając się ku pierwszym szeregom wojowników, zgromadzonym na pokładzie okrętu. Dalej ciągnął się szeroki, kamienny most, na którym wrzała teraz zaciekle bitwa. Na południowym brzegu widział też opisany mu wcześniej proporzec przedstawiający błyskawicę, wokół której oplatał się żmij.

Moi sojusznicy, pomyślał. Chyba kiepsko im idzie. Wygląda na to, że przybyliśmy w samą porę. Może potrzebowali boskiej pomocy?

Parsknął, rozbawiony własnym dowcipem. Jeśli boskie interwencje miały oznaczać koszmary, bezsenne noce i żółte oczy, które wbijały się w niego za każdym razem, gdy próbował zasnąć, mógł się doprawdy uważać za błogosławionego.

Nic nie wygląda tak, jak człowiek sobie to wyobrażał, pomyślał. Nawet kontakty z bogiem.

Okręty dobijały do pomostów. Kadłuby chrobotwały o ich deski, wioślarze wciągali wiosła, inni rzucali cumy, zeskakiwali, obwiązywali je wokół palików. Lykos przeskoczył przez burtę i z łoskotem ciężkich butów wylądował na pomoście. Jego przyboczni Deinon i Thaan byli tuż za nim, a dalej dziesiątki innych. Z ogłuszającym rykiem ponad tysiąc wojowników Vin Thalun zeskakiwało z okrętów i rzucało się do natarcia.

Walczący na moście uzmysłowili sobie wreszcie powagę sytuacji. Próbowali się przegrupować, by stawić czoła nacierającym z wrzaskiem piratom, ale nie zdołali uformować szyku. Szarżujący Vin Thalun uderzyli w nich z całą mocą i znów rozgorzała zaciekle bitwa. Przebijali się w stronę drogi, skąd od mostu dzieliło ich zaledwie kilkaset kroków. W tej samej chwili Jael i jego drużyna ponowili natarcie po drugiej stronie przeprawy. Lykos czuł szerzącą się wokół panikę, widział ją w oczach swoich przeciwników. Wszak piętnaście setek żądnych krwi, wrzeszczących wojowników mogłoby odebrać ducha walki nawet najbardziej zaprawionym weteranom. Lykos uśmiechał się szeroko. Odruchowo uchylił się przed zadany bez przekonania ciosem

i wypatroszył wroga, nawet nie zwalniając.

Na drodze zatrzymał się nagle i zamrugał, ponieważ ujrzał otyłą, wymachującą mieczem kobietę, która właśnie dobijała jednego z jego ludzi. Otaczał ją krąg zaprawionych w bojach wojowników, którym udało się powstrzymać napór Vin Thalun.

Nigdy w życiu! – pomyślał, po czym warknął i skoczył w tamtą stronę. Kątem oka widział, że Deinon i Thaan biegną za nim. Wpadli na przeciwników z siłą młota opadającego na kowadło, tnąc i rąbiąc. Przebijali się w kierunku walczącej kobiety.

Wówczas pirat poczuł drżenie ziemi i usłyszał łomot kopyt. Odwrócił się i ujrzał trzech jeźdźców, gnających prosto na niego. Jeden z nich, przypominający bardziej olbrzyma niż człowieka, wymachiwał nad głową ogromnym toporem o dwóch ostrzach. Lykos ledwie zdołał się uchylić i wykrzyknąć ostrzeżenie, a ostrze ze świstem przemknęło w miejscu, gdzie uderzenie serca temu znajdowała się jego głowa. Ugrzęzło natomiast w ramieniu i plecach Thaana. Deinon ryknął, widząc, jak jego brat osuwa się na ziemię. Lykos, szczerząc dziko zęby, również odwrócił się ku wielkiemu wojownikowi, ale w tej samej chwili wpadł na niego drugi z jeźdźców. Trącony przez konia pirat runął na ziemię i przetoczył się w stronę brzegu rzeczno. Sturlał się po nabrzeżu i zatrzymał się dopiero wśród błota i trzciny.

Zerwał się na równe nogi. W głowie mu dudniło, ale mimo to bez wahania wspiał się znów na górę, a tam zorientował się, że sytuacja uległa zmianie. Półolbrzym i jego towarzysze znikali wśród szop i wędzarni, a otyłej wojowniczkę nigdzie nie było widać. Najwyraźniej siłami wroga dowodził wojownik o przytomnym umyśle, gdyż Lykos widział już krzepnącą tylną straż, która wytrzymywała napór piratów i ludzi Jaela, osłaniając jednocześnie ucieczkę pozostałych do miasta oraz fortecy.

Nie mam ochoty na długie oblężenie, pomyślał Lykos, krzywiąc się.

Dostrzegł Deinona, który klęczał obok Thaana, i podszedł bliżej. Wystarczył jeden rzut oka, by wiedzieć, że ten już się nie podniesie.

– Chodź, Deinonie, nic tu po nas. On nie żyje. Pomścimy go teraz, a opłakiwać będziemy później.

Deinon uniósł głowę. Miał zaczerwienione oczy, a po jego twarzy, brudnej i lepkiej od schnącej krwi, płynęły łzy. Wstał powoli.

– Nie zabijaj łysego – powiedział. – On jest mój i nie mam zamiaru się przy nim śpieszyć.

Ktoś zacisnął dłoń na ramieniu Lykosa. Pirat odruchowo odwrócił się, unosząc miecz, gotów do walki, ale ujrzał jedynie Jaela, uśmiechniętego szeroko niczym podczas dnia swego imienia, otoczonego grupą przybocznych.

– Imponujące wyczucie czasu, muszę przyznać – rzekł.

Lykos opuścił miecz.

– Nathair przesyła pozdrowienia – oznajmił, ściskając jego ramię.

Cóż z ciebie będzie za król, skoro potrzeba ci piratów, by odnieść pierwsze zwycięstwo?, pomyślał i przeniósł spojrzenie na miasto i fortecę.

– Dotarcie tu na czas to jedynie połowa zadania – stwierdził. – Wykończmy tę zgraję, zanim okopią się zbyt głęboko.

– Mają grube mury i bramy – rzekł Jael. – Niewykluczone, że trzeba będzie ich wziąć głodem.

– Istnieją inne sposoby, by dostać się za mur – odparł Lykos, dając znać Deinonowi. – My, Vin Thalun, nie nadajemy się do oblężeń. Nienawidzę czekać.

Nieopodal na ziemi klęczał jeden z obrońców Dun Kellen, błagając o litość. Wojownik, wznoszący nad nim miecz, spojrzał na Jaela, który pokręcił głową.

– Potrzeba mi więźniów – rzekł Lykos. – Im więcej, tym lepiej. Ktoś musi zasiać za wiosłami, gdy nadejdzie czas powrotu do Tenebralu.

A potem zabawiać nas w jamach, dodał w myślach.

Jael milczał przez moment, po czym rzekł:

– Możesz zabrać wszystkich, którzy się poddadzą, ale to ty będziesz się nimi zajmował. Nie mam ani ludzi, ani ochoty troszczyć się o jeńców.

– W porządku – odparł Lykos i spojrzał na Deinona. – Nauczmy więc te szczury lądowe, jak się wspinać na mury.

Rozdział czterdziesty czwarty

MAQUIN

Maquin zsunął się z konia i stanął przed wrotami do zamku wewnętrznego, czekając, aż wojownicy z Dun Kellen wycofają się do sali biesiadnej. Orgull i Tahir nadal byli z nim, zbryzgani krwią i znużeni.

Tak niewiele brakowało, by Maquin dopełnił swej zemsty. Od Jaela dzieliła go zaledwie długość miecza, gdy przybiły wrogie okręty, a ich załogi zbiegły na ląd. Zamiast cieszyć się zwycięstwem, znów spoglądali śmierci w oczy. Mieli przeciwko sobie ogromną przewagę liczebną – większość wojowników z Dun Kellen zginęła w bitwie na moście lub podczas ucieczki, a gdyby nie Gerda i jej wojewoda Thoris, który w porę zorganizował tylną straż, zapewne nikt nie dotarłby żywy do twierdzy.

Kim byli ci nowi wojownicy? Z pewnością nie pochodzili z Isiltiru. Zamiast spodni i butów nosili osobliwe skórzane kilty, tuniki i sandały, w brody i włosy wplatali żelazne pierścienie, zaś ich okręty, smukłe i szybkie, wyglądały, jakby zbudowano je, by podróżować po morzach, a nie po rzekach.

– Założę się, że to kolejni sojusznicy Nathaira – rzekł Orgull. – Pamiętajcie, co wam mówiłem? Tu chodzi o coś więcej niż tylko tron Isiltiru. Na naszych oczach rozgrywa się Wojna Bogów. Tu i teraz.

Maquin pokręcił głową. Czemu to wszystko musi być tak skomplikowane? Niegdyś zemsta była o wiele łatwiejsza.

Na dziedziniec wpadła gromada wojowników, którym przewodził Thoris. Pośrodku biegła zdyszana Gerda, nadal ściskając zakrwawiony, wyszczerbiony miecz.

– Szybko! – krzyknął Thoris. – Kilku naszych zdecydowało się zostać na zewnątrz, by dać nam czas na zamknięcie bram. Pośpieszcie się!

Bez wahania wpadli do sali biesiadnej, zatrzasnęli ciężkie wrota i opuścili grubą zasuwę. Wtedy znów pojawiła się Gerda, a Thoris dał trójce Gadrai znać, by udali się wraz z nimi. Po chwili znaleźli się w komnatach byłej żony Romara, przy której stał teraz jej syn.

– Zabierzcie stąd Haelana – powiedziała. – Zanim się przegrupują i znów uderzą. Jest ich zbyt wielu i nie będziemy w stanie długo stawiać oporu.

– Ale jak mamy tego dokonać? – spytał Tahir. – Jesteśmy obleżeni! Nie ma stąd drogi ucieczki!

– Jest. Olbrzymy wybudowały tajemny tunel, który wiedzie pod ziemią i wychodzi jakieś pół mili stąd na północ.

Orgull spojrział na Maquina i Tahira.

– Złożyliśmy przysięgę – rzekł. – Dotrzymajmy jej.

Z korytarza za nimi dobiegły nowe hałasy – męskie okrzyki, szcęk oręża, przeraźliwe wrzaski. Thoris dopadł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

– Szybko! – rzucił. – Już ruszyli do ataku! Musicie uciekać!

– Eboric pokaże wam wejście do tunelu i przeprowadzi przez niego!

– Gerda wskazała mężczyznę stojącego za chłopakiem. Z wyglądu przypominał łowcę: miał na sobie znoszony, skórzany strój, a na nadgarstku karwasz stosowany przez łuczników. – Dobrze zna okoliczne krainy, a Haelan go lubi – dodała, a jej głos nagle zadrżał. Oparła dłonie na ramionach syna. – Musisz być teraz silny i robić wszystko to, co każą ci Eboric i ci ludzie. Oni uchronią cię przed niebezpieczeństwem!

– Tak, matko – rzekł chłopak, z powagą spoglądając Gerdzie w oczy.

Ta nachyliła się, ujęła jego twarz w obie dłonie i ucałowała go, a potem dała całej piątce sygnał, by uciekali.

Eboric prowadził, Orgull z chłopakiem biegł za nim, a Tahir i Maquin strzegli tyłów.

Kilkadziesiąt kroków później natknęli się na wojowników, którzy biegli ku schodom wieży. Eboric złapał jednego z nich za ramię i zatrzymał szarpnięciem.

– Co się dzieje?

– Jael próbuje wyłamać wrota do sali, ale jeszcze jakiś czas wytrzymają!

– odparł tamten. – Problemem są ci, co przybyli rzeką! Mają liny z kotwiczkami, które zaczepiają się o kamień! Wspinają się na mury!

– Wdarli się już do środka? – spytał Eboric.

Szcęk oręza, który dobiegł z dołu, był najlepszą odpowiedzią. Łowca wypuścił wojownika, a ten pomknął w górę po schodach. Eboric spojrział za nim ponuro i poprowadził grupę uciekinierów w dół po spiralnych schodach, aż dotarli na najniższe piętro, gdzie rozlegał się ogłuszający łoskot tarana, uderzającego we wrota. Łowca nie zatrzymywał się jednak – zerwał pochodnię i poprowadził ich jeszcze niżej. Maquin słyszał gdzieś nad sobą kroki, ale nie potrafił wyciągnąć z tego żadnych logicznych wniosków, gdyż echo obecne w wieży igrało z jego zmysłem słuchu. Biegący człowiek mógł być zarówno kilkanaście, jak i kilkaset kroków dalej.

– Czy to jedyna droga, która prowadzi na ten poziom?! – zawołał do Eborica.

– Nie – odparł tamten. – Z innych wież również można dostać się do piwnic.

Nie na taką odpowiedź liczyłem, pomyślał stary Gadrai.

Skręcali to w jedną, to w drugą stronę w labiryncie podziemnych korytarzy. Czasami otaczała ich cisza, przerywana jedynie ich własnymi krokami oraz chrapliwymi oddechami, a czasem docierały do nich odgłosy pobliskiej walki.

Niespodziewanie znaleźli się w ślepych zaułku. Niezrażony tym Eboric wsunął dłoń do dziury w ścianie, przekręcił coś, co szcęknęło donośnie, po czym rozległ się głośny syk. Ze ściany buchnęła mgła bądź para wodna, a potem pokazał się na niej obrys drzwi, które po chwili stanęły przed nimi otworem. Za nimi czekała ciemność.

– Oto tunel olbrzymów – rzekł Eboric.

Maquin zajrzał do środka i przypomniał sobie tunele pod Haldis i lasem Forn oraz istotę, która wygryzła ranę w nodze Tahira.

– Nie podoba mi się tam – mruknął.

Echo przyniosło znów okrzyki i odgłosy walki.

– Nie marudź – oznajmił Orgull i zrobił krok w głąb tunelu, kiedy niespodziewanie rozległ się tupot ciężkich butów, a na ścianie zatańczyły wysokie cienie. Wyskoczyli jacyś ludzie, jeden uniósł włócznię i cisnął nią. Jej ostrze przemknęło tuż obok Maquina i wbiło się w ramię Eborica, który padł na ścianę i z trzaskiem uderzył o nią głową. Osunął się na

ziemię i zamarł, a Haelan wrzasnęła.

Orgull zaklął i wzniósł topór, ruszając prosto na nowo przybyłych.

– Bierzcie chłopaka! – ryknął, nie odwracając się.

Maquin spojrział na Orgulla, a potem na płaczącego chłopca, który potrząsał łowczym. Głowa mężczyzny przechylała się to w jedną, to w drugą stronę.

– I co teraz? – spytał Tahir.

Przysięgaliśmy, że będziemy chronić chłopaka, ale przysięgliśmy również, że będziemy wierni sobie jako Gadrai, pomyślał Maquin.

Spojrział na Orgulla, który zamachnął się toporem i grzmotnął jego okutym żelazem drzewcem w czyjąś twarz. Napastnicy stoczyli się, przez moment zaskoczeni zaciekłością Orgulla, ale zbudowany przez olbrzymy korytarz był wysoki i szeroki. Jeden Orgull nie był w stanie go zablokować i było jasne, że gdy napastnicy odzyskają odwagę, szybko go opadną i zabiją.

Nie da rady długo ich powstrzymywać, pomyślał Maquin.

– Tahir, bierz chłopaka i wynoś się stąd. Zdobędziemy dla ciebie trochę czasu! – warknął.

Złapał młodzieńca za ramię i ujrzał wahanie w jego oczach.

– Jeden z nas musi przeżyć! – syknął. – Jesteśmy ostatnimi Gadrai i obiecaliśmy, że będziemy chronić chłopaka! Zostań, a okrzykną nas wiarołomcami!

Tahir wahał się jeszcze ułamek sekundy, ale skinął głową, powstrzymując łzy.

– Do zobaczenia – powiedział. – W tym świecie bądź na tamtym!

– Ja jeszcze żyję – rzekł Maquin. Popatrzył na Tahira, który wziął Haelana za rękę i zagłębił się w tunelu, a potem zamknął za nimi drzwi i z dzikim rykiem przypadł do Orgulla.

– Nie powinno cię tu być! – wysapał tamten, odrabując komuś rękę na wysokości łokcia.

– Jestem już za stary na taką bieganinę! – oznajmił Maquin.

Uniósł tarczę i pchnął jakiegoś wojownika w brzuch. Sądząc po stroju, należał do hufca Jaela.

Zginę tu, uświadomił sobie, blokując czyjś cios i wyprowadzając kolejne uderzenie, ale myśl ta bynajmniej go nie przestraszyła. O wiele bardziej

bolała go świadomość, że zawiódł Kastella.

Przynajmniej Tahir zajmie się chłopakiem Gerdy, pomyślał. Przynajmniej tej obietnicy udało mi się dotrzymać.

Uśmiechnął się ponuro.

Przybywaj, Śmierci. Zabierz mnie ze sobą w drogę po moście mieczy, ale wiedz, że nie udam się tam sam!

Rozdział czterdziesty piąty

LYKOS

– Gerdo, gdzie jest twój syn?

Kobieta była przywiązana do krzesła. Nie przestawała się szamotać, przez co powrozy wrzynały się w jej kostki i nadgarstki. Zakrwawioną twarz pokrywały sińce, z których jeden całkowicie zasłonił jej oko. Wyglądało na to, że Jael nie bawił się w ceregiele podczas przesłuchiwania. Lykos pokiwał głową z aprobatą.

Znajdowali się w zasłanej trupami sali biesiadnej. W powietrzu wisiał gęsty zapach śmierci. Vin Thalun wykorzystali liny z kotwiczkami, by wdrapać się po murze wysokiej, ale niestrzeżonej wieży zamkowej. Mało kto stawiał im czoła i piraci bez trudu wyrąbali sobie drogę do wielkiej sali, do której w międzyczasie wdarł się Jael, urządzając obrońcom rzeź.

Gerda poprowadziła kontratak korytarzami zamku. Lykos przybył w chwili, gdy trwały zacięte zmagania, bo przyboczni pani miasta bronili jej zażarcie, a ona sama również się nie oszczędzała. Gdyby nie była kobietą, pirat bez wątpienia podziwiałby ją za męstwo, ale ich walka nie mogła trwać w nieskończoność. Obrońcy zostali zaatakowani z dwóch stron i mieli przeciwko sobie ogromną przewagę.

W istocie, ich opór nie trwał długo.

– Gdzie on jest? – powtórzył pytanie.

– Daleko stąd – odparła Gerda, ledwie poruszając spuchniętymi wargami.

– Gdzie?

– Nie wiem. – Gerda zwiesiła ciężko głowę i przymknęła powieki, ale Jael grzmotnął ją w twarz.

– Ani mi się waż mdleć! – rzekł i skinął na stojącego z boku człowieka.

– Oto Dag, mój łowczy i wielce utalentowany tropiciel. Ma również wiele innych umiejętności, a wśród nich niezwykły talent do obdzierania zwierząt ze skóry. Na ogół wykorzystuje swe zdolności na martwych, co ma sens, bo ponoć ból jest nie do wytrzymania. Otóż Dag zaraz cię sprawi jak tuszę. Będzie ci zdierał skórę z twego tłustego cielska, aż usłyszę odpowiedź. Wyobrażam sobie, że trochę to potrwa.

Po sali poniósł się śmiech. Dag podszedł bliżej z niewielkim nożem w rękę. Jeden z wojowników unieruchomił nadgarstek Gerdy, która wytrzeszczyła oczy z przerażeniem.

– Najpierw musimy się pozbyć paznokci – oznajmił łowczy, nachylając się.

Lykos opanował ochotę, by odwrócić wzrok. Gerda wrzeszczała przeraźliwie, przerywając tylko po to, by wyrzucić z siebie serię rozpaczliwych szlochów i niewyraźnych przekleństw.

– Teraz natniemy ci skórę, ale tylko odrobinę – ciągnął Dag.

Gerda oddychała chrapliwie.

Naraz rozległy się pośpieszne kroki i do Jaela przypadł jakiś wojownik.

– Natknęliśmy się na silny opór, panie! – oznajmił, kłaniając się.

– A więc zbierz więcej ludzi i zmiażdżcie ich. – Jael machnął ręką.

– Cóż, to... to nie takie proste – bąknął posłaniec, najwyraźniej skonfundowany.

– Ilu ich jest? – warknął Jael, nie spuszczając wzroku z Gerdy.

– Dwóch, mój panie.

To przykuło uwagę Jaela.

– Zabarykadowali się w korytarzu – dodał wysłannik.

– Czym?

– Trupami naszych ludzi. Trudno to wyjaśnić, ale nie sądzę, by było ich łatwo wykończyć.

– Gdzie są?

– W piwnicach, panie.

Gerda uniosła głowę, co nie umknęło uwadze ani Lykosa, ani Jaela.

– Spójrzmy więc na tych, którzy tak dzielnie stawiają nam opór – rzekł Jael i ruszył w stronę wieży. – Weźcie Gerdę! – zawołał przez ramię.

Lykos szedł obok Jaela, a za nim podążali wojownicy. Na samym końcu kilku najteższych niosło krzesło z nadal skrepowaną Gerdą.

Korytarz był szeroki, a sufit znajdował się wysoko nad ich głowami. Migoczące pochodnie odganiały ciemność. Po chwili ujrzeli około tuzina zbrojnych z bronią w gotowości, którzy się rozstąpili przed Lykosem i Jaelem.

Podłoga była śliska od krwi, wszędzie leżały trupy i odrąbane kończyny. Dalej w korytarzu stało dwóch mężczyzn, których Lykos rozpoznał natychmiast. Miał przed sobą łysego olbrzyma z mostu oraz jego towarzysza. Tych, którzy zabili Thaana. Deinon również ich rozpoznał. Lykos usłyszał, jak jego przyboczny wciąga gwałtownie powietrze, a potem próbuje się precyzyjnie przesuwać do przodu.

– Zaczekaj – warknął do niego i wyciągnął ramię.

Jael, sądząc po wyrazie twarzy, również pojął, z kim ma do czynienia.

– Cóż za ironia losu, Maquin. Ostatnie nasze spotkanie również miało miejsce pod ziemią – stwierdził.

Mniejszy z dwóch wojowników zrobił krok naprzód. Na jego twarzy malowała się nienawiść tak bezbrzeżna, że Jael odruchowo zrobił krok do tyłu.

– Ciekawi mnie tylko, czego tak dzielnie przed nami strzeżecie.

– Chodź i sobie obejrzyj! – zaproponował Maquin.

Włosy miał zbryzgane krwią, ale tu i ówdzie widać było siwiznę. Sądząc jednak po stosie trupów wokół niego, nie był za stary, by władać mieczem.

Jael uniósł ramię i wezwał ludzi, taszczących krzesło z Gerdą, a ci postawili je przed dwoma śmiałkami. Lykos wpatrywał się w jej twarz. Dostrzegając w jej oczach bezbrzeżny ból, ale także rozpaczliwe pytanie. Ogromny topornik ledwie dostrzegalnie skinął głową, a kobieta opadła.

– A więc wiecie, gdzie jest chłopak – rzekł Jael. Nie było to pytanie. – Włócznie! – zawołał do tyłu.

– Oni nie mogą go zabić! – Deinon szepnął do Lykosa. – Ten łyse jest mój! Za Thaana!

Lykos zrobił krok do przodu i rozwinął linę z kotwiczką, którą oplótł sobie nadgarstek. Zamachnął się nią raz i wypuścił, a kotwiczka oplótła się wokół ramienia, w którym Maquin trzymał miecz. Nim mężczyzna

się spostrzegł, pirat szarpnął za linę i przyciągnął go do siebie. Deinon doskoczył do siwowłosego wojownika, kopnięciem wytrącił mu broń z ręki i przytknął mu miecz do szyi.

Olbrzym z toporem zrobił krok.

– Orgull, nie! – warknął Maquin.

– Deinonie – oznajmił Lykos.

W ręku jego przybocznego znalazł się nóż. Ciął szybciej, niż Lykos był w stanie nadążyć spojrzeniem. Trysnęła krew, a pirat podniósł kawałek ludzkiego ciała.

Ucho Maquina.

Orgull zrobił kolejny krok.

– Mój człowiek może wycinać z niego kawałki ciała przez resztę dnia – rzekł Lykos. – Chcesz, by przestał? Rzuć topór.

Rozdział czterdziesty szósty

CORBAN

Na widok otaczających ich wilkunów, wskakujących do niecki, Corban wykrzyknął ostrzeżenie, ale było już za późno. Wybuchnął nieopisany chaos. Wilkuny nie były po niczyjej stronie i nie dbały o to, kto jest z Ardanu, a kto z Cambrenu. Przybyły na ucztę i liczył się dla nich tylko żer. Spętane konie miały się w trwodze, a ich pełne paniki rzenie odbijało się od kamiennych ścian. Kraczący przeraźliwie Craf wystrzelił w górę, gubiąc pióra, w ostatniej chwili unikając zatraskujących się kłów. Corban wszędzie widział mężczyzn oderwanych od walki, pochwyconych w ogromne szczęki. Widział nieżywe ogary, rozrzucone dookoła, i wreszcie dwa wilkuny, pogrążone w zacięłym pojedynku. Jeden był ciemny, a drugi biały.

Burza!

Świadomość tego, że wilkuny grozi niebezpieczeństwo, poderwała go do działania. Runął ku zwierzętom, szczepionym w walce. Przez moment widział tylko futro, kły i pazury, ale wówczas wilkuny oddzieliły się od siebie na chwilę i chłopak ujrzał krew na białym futrze Burzy. Rzucił się bez namysłu na drugie zwierzę i wbił miecz w jego podbrzusze. Obcy wilkun wił się i skamlał, zahaczył go nawet szponem, ale Corban napierał na ostrze, które wbijało się coraz głębiej, aż przeszło serce bestii. Wilkun zwiotczał, a z rany buchnęła gorąca krew.

Burza doskoczyła do niego, utykając. Bok miała zboczony krwią, a na jej pysku widniały ślady pazurów. Corban wsunął palce w futro zwierzęcia i przycisnął jego łeb do piersi.

– Dzielna dziewczyna – szepnął. Wciąż czuł w sercu echo lęku na myśl o tym, że coś jej się stanie. Że zginie.

Taka jesteś lojalna, taka wierna... Walczysz dla nas, dla mnie, nawet nie myśląc o śmierci. A przecież to jeszcze nie koniec... Gdzie są mama i Gar?

Rozejrzał się z desperacją, ale nie był w stanie dostrzec niczego pośród otaczających go scen rodem z najgorszego koszmaru, opromienionych płonąca gałęzią, podpaloną przez Heba i Brinę.

Usłyszał za sobą warknięcie. Obrócił się na pięcie, by ujrzeć kolejnego wilkuna, który napiął mięśnie, gotowy do skoku. Wtedy pojawiła się jego mama, która wbiła bestii włócznię w bok. Znikąd błysnął miecz wirującego Gara i nagle wilkun zaskomlał, cofając się i krwawiąc.

Wszędzie widać było walczących, oświetlonych płomieniami. Corban wypatrzył Camlina i Datha, którzy ślali strzałę za strzałą w kłębowisko ludzi i drapieżników, aż ruszył na nich jeden z wilkunów. Łucznicy uskoczyli, każdy w przeciwnym kierunku. Dath przetoczył się po ziemi i zaplątał się w swój łuk. Wilkun zwrócił się ku niemu, ale chłopaka zasłonił Anwarth, który dzikim wrzaskiem ściągnął na siebie uwagę zwierzęcia. Zadziałało. Drapieżnik skoczył na mężczyznę, który próbował się zasłonić sfatygowaną tarczą. Odtrącił ją, jakby była zabawką, zacisnął kły na talii Anwartha i unióśł go w powietrze. Corban usłyszał trzask pękających żeber.

Farrell wrzasnął i skoczył do ataku na wilkuna, który potrząsał ciałem jego ojca. Dath, który już poderwał łuk, ślali w bestię strzałę za strzałą. Po chwili Datha wsparł Camlin. Najeżony strzałami wilkun upuścił Anwartha i zrobił niepewny krok, ale wtedy przypadli do niego Corban i Farrell. Miecz i młot zamigotały w blasku ognia i opadły na zwierzę, które zatoczyło się i padło.

W niecce wciąż panował chaos. Ludzie biegali, walczyli, krzyczeli, wokół nich szalały warczące wilkuny, które atakowały wszystko, co żywe. Farrell tulił głowę ojca, który pluł krwią i oddychał płytko.

Wówczas zjawili się Brina i Heb. Stary znawca obyczajów również był zalany krwią, a jego ramię zwisało bezwładnie. Oboje pochwycili się za ręce i zaczęli chórem wykrzykiwać obce słowa. Ich głosy, potężne niczym uderzenia pioruna, niosły się daleko, a odpowiedział im głuchy trzask. Drzewa otaczające nieckę chwiały się i falowały, choć nie było wiatru. Potem wszędzie pojawiły się iskry i najpierw gałęzie, a potem całe drzewa

gwałtownie stawały w płomieniach. W jednej chwili w dolince zrobiło się widno jak w samo południe, a w twarz Corbana buchnęła fala gorąca. Płomienie szalały wśród gałęzi, a w powietrzu niósł się zapach palonej żywicy oraz kłęby gęstego dymu.

Wilkuny rozbiegły się we wszystkich kierunkach, skamląc i wyjąc. Pozostała jedynie Burza, wtulona w Corbana, warcząca na płonące drzewa i uciekających pobratymców.

Ludzie ciężko dyszeli, oszołomieni. Napastnicy, z których ocalała jedynie garstka, uciekali górską ścieżką. Craf wypadł z mroku, łopocząc skrzydłami, przysiadł na łapie zabitego wilkuna i zaczął wydziobywać mu oko.

– Gdzie Edana?! – zawołał Marrock. Z bandaży, którymi obwiązano mu kikut, sączyła się krew.

– Tutaj! – rozległ się głos.

– Ruszajmy! – rozkazał Camlin. – Nie ma chwili do stracenia!

– A polegli? – spytał Corban.

– Nie jesteśmy w stanie ich zabrać, a te wilkuny wrócą lada chwila.

– A ogień? – spytała Edana.

– Zgaśnie. Ruszajmy, i to już! – Camlin złapał Edanę za nadgarstek i pociągnął za sobą. Pozostali tkwili jeszcze przez chwilę w bezruchu, aż wreszcie ocknął się Halion, który zaczął wszystkich szturchać i poganiać.

Corban dotknął ramienia Farrella. Jego przyjaciel nadal siedział z głową ojca na kolanach. Ciało mężczyzny było nieruchome, a puste oczy wpatrywały się w nocne niebo.

– Chodź, Farrell. On nie żyje – rzekł Corban.

Chłopak spojrział na niego.

– Ocalił mi życie.

– Tak. Nie zmarnujemy więc tego.

– Corban ma rację – dodał Halion. – Chodźmy, chłopcze.

Farrell wstał i uniósł ciało ojca w ramionach.

– Odłóż go, chłopcze – odezwał się Halion łagodnym głosem. – Zaraz złamiesz sobie kostkę.

– Nie ma mowy – warknął Farrell, a wyraz jego twarzy uciszył wszelkie protesty.

Każdy złapał, co mógł, i drużyna ruszyła naprzód, wśród trupów ludzi,

koni, psów i wilkunów. Corban rozejrzał się i poczuł mdłości.

Czy śmierć nie odstąpi już nas ani o krok?, pomyślał.

Camlin wyprzedził ich o spory kawałek. W ręku trzymał płonącą gałąź, którą odpalił od tłącego się drzewa. Halion postąpił tak samo. Ścieżka szybko zwęziła się i zaczęła piąć ostro w górę, a teren stał się zdradziecki. Wkrótce dogonili resztę towarzyszy.

Brnęli przed siebie, bez przerwy w górę, potykając się i podpierając nawzajem. Płuca Corbana płonęły, a pot szczypał go w oczy, gdy idący na czele Camlin zawrócił ku nim. Zamienił szeptem kilka słów z Halionem, który przyśpieszył i ruszył przodem.

* * *

Camlin rozglądał się po otaczających ich ostrych skałach i wpatrywał się w każdą plamę cienia.

– Myślisz, że wilkuny znów zaatakują? – zapytał Corban ochrypłym głosem.

– Przypuszczalnie tak. Przecież nie jest nas wcale tak trudno znaleźć, a nadal przebywamy na ich terytorium. Sądząc po tym, co pokazały w dolince, niezbyt im się to podoba.

Zatrzymał się i spojrzał w górę. Po zboczu spadał kamyk. Corban również zamarł, ale po chwili ujrzał cień kozicy, przeskakującej zwinnie między skałami. Z ulgą ruszyli naprzód.

– Craf powinien wiedzieć, jeśli zawrócą ku nam. Poprzednio próbował nas ostrzec – rzekł Corban.

– Naprawdę? Dobrze wiedzieć, choć nie sądzę, by to ptaszysko widziało w ciemnościach, a te wilkuny mogą nas wywęszyć z zamkniętymi oczami.

Aleś mnie pocieszył, pomyślał chłopak.

Camlin utykał i podpierał się łukiem jak laską. Miał brudną, osmoloną twarz, a na włosach krzepła mu krew. Corban przypominał sobie ich pierwsze spotkanie w Dun Carreg, gdzie mężczyzna przebywał w niewoli u króla Brenina. Potem spotkali się ponownie w Ciemnym Borze, gdzie jako banita służył Braithowi i brał udział w zamachu na królową Alonę. Coś sprawiło jednak, że przeszedł na ich stronę. Corban widział, jak bronił Cywen przeciwko Morcantowi, czempionowi samej Rhin.

Tyle się zmieniło od tego czasu...

Gdyby nie Camlin, zginęliby już dziesięć razy, jeśli nie więcej.

– Dziękuję ci – rzekł. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że powiedział to na głos.

– Co? – zdziwił się Camlin.

– Myślałem właśnie o wielu rzeczach – wyjąkał chłopak. – Ocaliłeś życie zarówno mnie, jak i nam wszystkim. I to wiele razy. Nie dotarlibyśmy tu bez ciebie.

Camlin spoglądał na niego przez moment. Wyglądał, jakby się zastanawiał, czy Corban sobie z niego nie dworuje.

– Ale to nie jest najlepsze miejsce na świecie, wiesz? – rzekł w końcu.

– Chodzi mi o to, że nie dotarlibyśmy tak daleko.

Twarz Camlina złagodniała.

– Nie ma sprawy, chłopcze. – Uśmiechnął się. – Choć mam wrażenie, że wykorzystałem już cały zapas szczęścia.

– To bez znaczenia. Nie wierzę w szczęście.

– Nie? A w co wierzysz, chłopcze?

Corban zastanowił się.

– W to – powiedział, dotykając rękojeści miecza. – I w niego – dodał, wskazując Datha. – I w nią. – Zmierzył dłonią futro Burzy. – I w nas. – Zatoczył ręką krąg.

– Dobra odpowiedź – rzekł Camlin.

Rozdział czterdziesty siódmy

VERADIS

Veradis szedł po wzgórzu, a zachodzące słońce rzucało za nim długi cień. Przyglądał się ułożonym w rzędzie ciałom dwunastu jego podkomendnych, którzy padli w bitwie. Wiedział, że to niewielkie straty, ale mimo to czuł ból w sercu. Polegli byli dobrymi ludźmi, odważnymi i lojalnymi. Rozpoznał trzech, którzy towarzyszyli mu od samego początku, od kampanii w odległym Tarbeshu, gdzie stoczyli bitwę przeciwko olbrzymom dosiadającym draigów. Był niemalże pewien, że wszyscy nadal nosili kły draigów, pamiątki po zwycięstwie. Odruchowo pogładził ten, który otrzymał od Nathaira, a potem osadził w rękojeści miecza.

Coś jeszcze go gryzło. Wszyscy polegli mieli obrażenia na kostkach i łydkach. Nie były to oczywiście rany śmiertelne, ale mimo to nie mógł przejść nad nimi do porządku dziennego. Wszak o mocy każdego łańcucha decydowała siła najsłabszego ogniwa, a jeśli przez owo słabe ogniwo ginęli ludzie, należało je wyeliminować. Spojrzał na własne stopy. Nosił skórzane sandały, których podeszwy okuto żelazem. W jego głowie rodził się już nowy pomysł.

Nie odnaleziono Owaina, ale bitwa dobiegła końca. Zwłoki pokonanych obrabowano ze wszystkiego, co miało jakąś wartość – broni, pancerzy, torkwesów, pierścieni i wszelakich ozdób ze srebra i złota – a potem rzucono w jednym miejscu, gdzie czekały na spalenie. Ciała wojowników należących do zwyciężskiej armii ułożono w innym miejscu, gdzie czekały na wzniesienie kopca. Służba Rhin postawiła dla niej namiot na szczycie wzgórza. Królowa zasiadła na wielkim, wyściełanym futrami tronie z drewna i świętowała zwycięstwo.

Veradis odwrócił się i spojrział na lasy ciągnące się na zachodzie. Ich

zieleni powoli pochłaniał mrok nadciągającej nocy. Wojownik wyteżył słuch; miał wrażenie, że wiatr przywiał odległe, niewyraźne odgłosy. Czyżby krzyki?

Może udało im się pojmać Owaina, pomyślał.

Nie miał ochoty na bitwę w lesie – miał dość drzew po tym, co przeszedł w Fornie. Ledwie wjechał do puszczy, gdy opadły go też wspomnienia kampanii w Haldis. Na szczęście nie spędził wiele czasu w lesie, gdyż zawrócił zaraz po odnalezieniu tej dziewczyny, Cywen.

Udało się w ostatniej chwili!

Przekazał ją Bosowi i surowo przykazał, by ten nie spuszczał jej z oczu. Dziewczyna zaś, choć solidnie poturbowana przez Conalla, przejmowała się bardziej koniem niż sobą. Martwiła się strzałą sterczącą z boku zwierzęcia, a więc zaraz po powrocie do obozu Veradis zabrał ją do stajennych Rhin. Natknął się tam na Akara, który nadzorował ludzi zajmujących się wierzchowcami Jehar, a mężczyzna, ku wielkiemu zdziwieniu Veradisa, zaproponował swą pomoc. Wspólnie wprowadzili ogiera między kilka słupów, gdzie przywiązali go najmocniej jak się dało. Następnie Akar wezwał innych Jehar do pomocy. Jeden z nich przyłożył coś do końskich nozdrzy i przytrzymał chwilę, aż ogier opuścił łeb. Był bardzo rozluźniony, na skraju drzemki. Później Jehar obłożyli ranę okładem, który wedle Akara miał ją nieco rozchylić i złagodzić ból, a potem wojownik złapał strzałę i wyszarpnął ją ostro. Koń poderwał się, wytrzeszczając oczy, ale szybko się uspokoił.

Veradis pozostawił ich w chwili, gdy opatrywali ranę, a stojąca obok Cywen, choć ewidentnie darzyła ich niechęcią, przyglądała się z zaciekawieniem. Teraz patrzył na swoich poległych, zastanawiając się, coż może począć, by ocalić kolejnym wojownikom życie w nadciągającej bitwie.

Przecież Wojna Bogów się zbliża. Ofiar będzie coraz więcej.

Udał się w poszukiwaniu Nathaira. Król Tenebralu siedział w szerokim kręgu wojowników, skryty w cieniu, i przyglądał się Rhin, która wynagradzała swoich dowódców łupami. Nieopodal przygotowano palenisko, nad którym przysmażano wielkiego dzika. Tłuszcz z sykiem ociekał w płomienie. Veradis skupił uwagę na królowej, siedzącej na wyściełanym futrami tronie. Odziana była w płaszcz z czarnych soboli,

obszuty na ramionach złotą nicią. Rozpuściła srebrne włosy, a na szyi zapięła złoty torkwes. Migotliwy blask ognia to opromieniał jej twarz, to znów obrzucał ją cieniami.

Przed nią stał niemłody, rudy mężczyzna, którego włosy tu i ówdzie poznały już siwizna. Jego ramiona zdobiły srebrne torkwesy. Królowa wyciągnęła ku niemu rękę i obdarowała go srebrem i złotem.

– Kto to? – Veradis zwrócił się do Nathaira.

– Jej wojewoda, Geraint.

– Powinieneś siedzieć obok niej! – szepnął Veradis. – Wygrałeś dla niej tę bitwę, a do tego jesteś Najwyższym Królem.

– Niech się nacieszy chwilą – rzekł Nathair z uśmiechem. – Poza tym, niewykluczone, że zdołałaby samodzielnie odnieść zwycięstwo. Sprytna z niej kobieta.

– Tak – odparł Veradis. Pamiętał ją dobrze z rady u Aquilusa. Odniósł wówczas wrażenie, że Rhin jest bystra, podstępna i ma wyraźne upodobanie do młodszych mężczyzn, sądząc choćby po tym, jak patrzyła na Morcanta, swój pierwszy miecz.

Bos przepchnął się przez tłum i skierował ku nim, trzymając Cywen za nadgarstek. Dziewczyna obmyła już twarz z krwi, choć nadal widać było na niej sińce.

– Słyszałem, że wzięłeś za nią odpowiedzialność – rzekł Nathair, spoglądając na Cywen.

– Uznałem, że nie ucieszysz się, jeśli znajdziemy ją z poderżniętym gardłem. Nie sądzę, by ów Conall nadawał się na strażnika. Tego człowieka rozsadza temperament.

– Masz rację. A Calidusa chyba szlag by trafił, gdyby dziewczynie coś się stało. Jest przekonany, że jest ważna, a być może dzięki niej uda się odnaleźć jej brata. – Na twarzy Nathaira nagle pojawiła się powaga. – Czarne Słońce gdzieś tu jest – szepnął i spojrzął na bagna, nad które powoli nadciągała noc.

– Co teraz? – spytał Veradis.

– Jutro spotkam się z Rhin i ustalę z nią dalsze plany, po czym będziemy kontynuować nasze dzieło. Dziś jednak, Veradisie, świętujemy zwycięstwo oraz fakt, że udało nam się przeżyć.

Uniósł dzban i nalał nieco trunku do kielicha, który wręczył Veradisowi.

Młody wojownik upił łyk.

Znów miód, pomyślał i skrzywił się, czując słodki smak na języku, ale zdobył się na niewyraźny uśmiech.

Bos podszedł do nich i wreszcie wypuścił Cywen. Dziewczyna z niechęcią spojrzała na wielkiego wojownika, rozcierając nadgarstek.

– Jak twój koń? – spytał Veradis.

Na twarzy Cywen pojawił się lekki, niepewny uśmiech, który na moment całkiem ją przeobraził.

Pod tymi wszystkimi siniakami i groźnymi minami kryje się doprawdy piękna dziewczyna, uzmysłowił sobie młodzieniec.

– Myślę, że nic mu nie będzie – powiedziała. – Twój przyjaciel naprawdę zna się na koniach.

Przez chwilę Veradis nie miał pojęcia, o kogo jej chodzi, ale uświadomił sobie, że zapewne miała na myśli Akara.

– Jehar są znakomitymi jeźdźcami. Nie znam nikogo, kto by dorównywał im w tej sztuce – rzekł, po czym wypuścił powietrze z płuc i dodał: – Myślę, że na koniach zależy im bardziej niż na ludziach.

– Znam to uczucie. – Cywen się uśmiechnęła.

Wtedy Veradis usłyszał dęcie w rogi. Spojrzał w kierunku źródła dźwięku i dostrzegł ludzi, którzy wyłonili się z lasów. Wielu z nich trzymało pochodnie, które ułożyły się w konstelacje ogników pośród nadciągających ciemności. Na czele szedł jakiś piechur, przypuszczalnie łowca, sądząc po długim łuku przewieszonym przez plecy. Za nim na wspaniałym rumaku jechał wojownik, który siedział prosto w siodle i szczyrzył zęby w blasku pochodni. Przed nimi, potykając się, szedł mężczyzna z rękami związanymi na plecach.

Był to Owain.

Wśród wojowników, wyłaniających się z lasu, Veradis dostrzegł również Evnisa, który jechał w asyście drużyny. Uczestnicy udanego polowania ruszyli w górę i pchnęli Owaina przed tron Rhin. Jeździec pozdrowił królową uniesioną ręką, uśmiechnął się szeroko, po czym zeskoczył na ziemię i oddał wodze któremuś z towarzyszy.

Veradis, ku swemu zaskoczeniu, usłyszał cichy syk stojącej za nim Cywen. Odwrócił się i ujrzał, że dziewczyna wbija jadowite spojrzenie w wojownika.

– Morcant, pierwszy miecz Rhin i płatny zabójca – wycedziła z nienawiścią.

Veradis zamrugał. Pewnie, że to Morcant, pomyślał.

Owain był poraniony i pokryty sińcami. Wargi miał spuchnięte, podobnie jak jedno oko, ale mimo to udało mu się wstać i wyprostować.

– Witaj, kuzynie. – Rhin się uśmiechnęła. – Przybyłeś w samą porę. Właśnie mieliśmy zasiąść do wieczerzy. – Pokazała mu dzika, obracającego się nad paleniskiem. – Świętuję zwycięstwo, jak widzisz – dodała.

Owain wpatrywał się w nią. Na jego pobitej, poranionej twarzy malowała się furia.

– Nie wystarczy ci Cambren, co? – warknął.

– Nie w sytuacji, gdy sąsiaduję z królestwami rządzonymi przez idiotów – odparła Rhin.

– Jesteś tyranką, oszustką i złodziejką! Mam nadzieję, że zgnijesz w piekle za to, co zrobiłaś!

Owain splunął na ziemię, co wzbudziło gniewne pomruki dookoła, ale Rhin jedynie się roześmiała.

– Masz mnie za tyrankę? Trochę za wcześnie na takie osady. Przecież jestem władczynią Narvonu, Ardanu i Cambrenu od raptem pół dnia!

Owain rzucił się na nią, ale Morcant w porę zdzielił go przez plecy, posyłając na ziemię.

– To ty doprowadziłaś do wojny między mną i Breninem – wycharczał Owain.

– Tak, i to przypuszczalnie dlatego oskarżasz mnie o kradzież. Ukradłam ci królestwo? Obiektywnie rzecz biorąc, Owainie, miałeś wybór w tej kwestii, a Brenin próbował ci wyjaśnić mój udział w całym zamieszaniu. Zawsze był bystrzejszy od ciebie. Poza tym, wcale nie ukradłam ci królestwa. Ja ci je odebrałam, a to wielka różnica.

– Ale...

– Prawdziwe pytanie brzmi: co ja mam z tobą zrobić. Mógłbyś na przykład służyć mi i rządzić częścią królestwa w moim imieniu.

– Co?

– Wiem, to zaskakujący pomysł i przypuszczalnie kiepski. Bo widzisz, nie jestem pewna, czy mogę ci zaufać.

Owain parsknął.

– A więc jakie jeszcze pozostały mi opcje? Mogłabym cię wygnać. Pobłażliwa, miłosierna władczyni być może by się na to zdecydowała, zważywszy na to, że jesteś moim krewnym. – Rhin rozejrzała się dookoła.
– Cóż powinnam począć z pokonanym królem? – spytała.

– Litość! – zawołał ktoś obok Veradisa. Był to Nathair, który wołał, osłaniając usta dłońmi. – Okaż mu litość!

– Litość! – Veradis dołączył do swego władcy, a po nim wszyscy dookoła. Sto głosów skandowało jedno słowo.

– Dobrze – oznajmiła Rhin. – A więc, jeśli okażę ci litość, przyjmiesz mój dar? – zwróciła się do Owaina.

Ten stał w milczeniu i patrzył na nią spode łba.

– Wybacz, może i jestem miłosierna, ale cierpliwa na pewno nie. A na pewno nie dziś, gdyż dokucza mi głód, a ten dzik wspaniale pachnie.

Znów się rozejrzała. Nikt nie spuszczał z niej oczu.

Świetnie się bawi, uświadomił sobie Veradis.

– Zabiłaś mi syna – warknął Owain.

– Nie zrobiłam tego osobiście, jeśli chodzi o ścisłość. To był on. – Rhin wskazała Evnisa. – Ale w istocie takie było moje życzenie. – Wzruszyła ramionami. – To wojna, a na wojnie giną ludzie. Póki co jednakże dobiegła ona końca, a przynajmniej dla ciebie. Otrzymałeś szansę, by żyć dalej. Przyjmujesz mój dar?

– Wolałbym zginąć, niż służyć tobie! – Owain wpatrywał się w nią wyzywająco.

– Cóż. – Rhin znów wzruszyła ramionami. – Braith, przytrzymaj go. Morcant, zetnij mu głowę.

Człowiek lasu kopnął Owaina w tylną część kolan. Były władca Narvonu padł na kolana, a Morcant uwolnił miecz. Jeniec próbował się miotać, szukał sposobu, by stawić opór, ale ostrze ze świstem przecięło powietrze i z młaśnięciem wgrzyzło mu się w kark. Cios nie odciął szyi i ciało króla przeszyły gwałtowne spazmy. Morcant wyrwał miecz i zamachnął się ponownie, a chwilę później Braith pokazał Rhin głowę Owaina. Obrócił się powoli, by wszyscy mogli ją zobaczyć.

– Cóż, dobra robota. Zatknijcie ją na włócznie, ale nie teraz. Najpierw dajcie mi coś do jedzenia – powiedziała królowa, wstając i podając rękę pierwszemu mieczowi.

Veradis westchnął ciężko, widząc kolejny zgaszony żywot, i spojrzał na Cywen.

Dziewczyna znikła.

Młodzieniec warknął wściekle na Bosa i rozejrzał się gorączkowo.

– Patrzyłem na głowę! – usprawiedliwiał się Bos, ale Veradis już go nie słuchał. Naraz dostrzegł bowiem postać, która z determinacją przepychała się przez tłum w stronę Rhin.

Nie próbuje uciekać?, przemknęło mu przez głowę.

Myśl, która naszała go chwilę później, była tak szokująca, że aż go zmroziło.

Chyba nie przyszło jej do głowy, by zabić Rhin?

Skoczył w ślad za dziewczyną, nie słuchając warknięć roztrącanych wojowników.

Rhin stała przy ogromnym rożnie, a Morcant szykował się, by odciąć dla niej pierwszą porcję mięsa, gdy Cywen wypadła spośród mężczyzn otaczających królową. Rzuciła się ku niej biegiem, sięgając jednocześnie po coś ukrytego w cholewie buta, ani chybi broń. Veradis przyśpieszył i wykrzyknął ostrzeżenie, choć wiedział, że jest już za późno.

Że Cywen dopadnie królową, nim on zdoła ją powstrzymać.

Morcant uniósł głowę, odepchnął Rhin i skoczył naprzód, sięgając po miecz. W tej samej chwili Cywen rzuciła nożem. Wirujące ostrze ugodziło Morcanta w ramię. Czempion zatoczył się i wpadł na dzika, gdzie na moment otoczyły go płomienie. Cywen przypadła do niego, nie bacząc na ogień, i sięgnęła po nóż tkwiący w jego ciele. Veradis wypadł w ślad za nią. Ludzie przyglądali się scenie z oszołomieniem, ale niektórzy wojownicy już pędzili ku Rhin.

Morcant i Cywen odtoczyli się od ognia. Płomienie, które pełzały po ubraniu czempiona, przeskakiwały już na nią, ale dziewczyna zacisnęła dłoń na nożu i usiłowała go wyszarpnąć, by ponownie rzucić. W międzyczasie Morcant zdołał odepchnąć Cywen kopniakiem, a sam zerwał się, błyskawicznie pochwycił upuszczony miecz i podniósł go do ciosu. Veradis błyskawicznie wyszarpnął własne ostrze. Trysnęły iskry, gdy zablokował uderzenie Cambreńczyka.

Przez uderzenie sekundy pierwszy miecz Rhin stał i wpatrywał się w Veradisa, ale Cywen znów się zerwała. Tym razem Veradis zdołał

jednocześnie pochwycić ją za tunikę i zablokować kolejne uderzenie Morcanta, który usiłował rozbić czaszkę dziewczyny ręką miecza. Kątem oka Veradis zauważył zbliżającego się Alcyona, a za nim Calidusa, Bosa i Nathaira. Pchnął Cywen ku nim, gdyż Morcant najwyraźniej uznał, iż Veradis stał się przeszkodą do usunięcia. Ich ostrza zderzyły się ponownie, a młodzieniec cofnął się przed zaskakująco szybką kombinacją ciosów. Chwilę później między nimi stanęła Rhin, spoglądając ze złością na Veradisa.

– Co tu się wyrabia? – zapytała ostro.

– Ona chciała cię zabić – odparł Morcant, wskazując Cywen, pochwyconą teraz przez ogromne łapska Alcyona.

– Ja chciałam zabić ciebie, ty idioto! – warknęła dziewczyna.

– Co?

– Zamordowałeś Ronana! – Cywen szarpała się przez chwilę w uścisku olbrzyma, ale nagle opuściły ją siły. Zwisła bezwładnie, a po jej policzkach popłynęły łzy złości. – W Ciemnym Borze! Gdy zaatakowałeś królową Alonę!

– Możliwe – rzekł Morcant – choć nie wiem, kogo masz na myśli.

Przyjrzał się uważnie dziewczynie i nagle jego oczy rozbłysły, gdy ją rozpoznał.

– Ale ciebie pamiętam. Tę dziewczynę powinno się skazać na śmierć!

– Nie – rzekł Nathair, podchodząc bliżej. – Ona pozostaje pod moją opieką.

Rhin zmarszczyła brwi, wwiercając w Cywen lodowate spojrzenie. Potem uśmiechnęła się do Nathaira, a na jej obliczu ponownie zagościła łaskawość i wdzięk.

– Jak sobie życzysz, Nathairze. Prawdziwa szczęściara z tej młodej, że trafiła na tak życzliwego opiekuna. Zastanawiam się natomiast, kto uchroni przed nią mojego czempiona?

Spojrzała na Morcanta z pogardą, a zgromadzeni wokół wojownicy huknęli śmiechem.

– Potrafię o siebie zadbać! – oznajmił urażony pierwszy miecz. Złapał ręką noża, sterczącego z ramienia i wyciągnął go z grymasem. – Myślę, że go sobie zatrzymam.

– To znajdę inny! – parsknęła Cywen.

Veradis podszedł do niej. Czuł gniew z powodu sytuacji, w jakiej go postawiła przed Nathairem.

Dziewczyna nie ma pojęcia, kiedy należy dać sobie spokój!, pomyślał.

– Bos, zwiąż ją – warknął. – A ty – wycelował w Cywen palcem – musisz wreszcie przestać próbować zabijać ludzi na każdym kroku!

Dziewczyna odpowiedziała mu wściekłym spojrzeniem.

– Cóż, cieszę się, że już po wszystkim – oznajmiła Rhin. – Czy mogę wreszcie dostać coś do jedzenia?

Morcant wrócił do paleniska i sięgnął po własny nóż. Już miał odciąć porcję mięsa dla królowej, gdy w kręgu pojawiła się kolejna postać.

Był to Conall.

– Podważam twe prawo – oznajmił głośno, by wszyscy go usłyszeli.

W Prawach Wygnańców zapisano, że każdy władca może posiadać jednego czempiona, zwanego również pierwszym mieczem. Wedle tradycji tylko oni mogli odkrawać pierwsze porcje mięsa dla swych królów bądź królowych, ale przywilej ten można było podważyć poprzez Sąd Mieczy. Tytuł pierwszego miecza należał do zwycięzcy pojedynku.

– Ach... – jęknęła Rhin. – Czy ja już w ogóle się dziś nie najem?

Rozdział czterdziesty ósmy

CORBAN

Corban stracił rachubę czasu, a cały jego świat ograniczył się do ziemi pod stopami, palących płuc, obolałych nóg i cieni jego towarzyszy przed nim.

Jak długo już uciekamy?, zastanawiał się.

Nadal było ciemno, a jedynym źródłem światła były pośpiesznie wykonane pochodnie, zapalone jeszcze od palących się drzew w dolinie, gdzie toczyli walkę z wilkunami.

Do świtu na pewno nie pozostało wiele czasu...

Widział już zarysy głazów i skał, okalających wąską ścieżkę, którą podążali.

Idący przed nim Farrell potknął się. Nadal dźwigał ciało ojca. Corban złapał przyjaciela za pasek i go podtrzymał. Heb i Brina stanęli przy nim.

– Myślę, że powinieneś go zostawić – powiedział znawca obyczajów.

– Nie – burknął Farrell. – Nie porzucę go! Nie chcę, by jego kości ogryzali padlinożercy!

– Ojciec na pewno by nie chciał, byś zginął z jego powodu.

– Jeszcze żyję – sapnął Farrell. Z jego nosa ściekał pot.

– Myślę... – zaczął Heb, ale przerwała mu Brina:

– Nie myśl tyle i zamknij gębę. Niech chłopak robi, co chce.

– Ona naprawdę mnie kocha! – Heb mrugnął do Corbana.

– Tam w dolinie dokonaliście cudu! – Corban zwrócił się do Heba i Briny. – Ocaliliście nas wszystkich! Nie miałem pojęcia, że jesteście do tego zdolni!

– My też nie – odparł Heb. – Nigdy nie zrobiłem niczego choćby zbliżonego do tego. Okazuje się, że ślepy strach to doskonały motywator.

Zatrzepotały skrzydła. Craf opadł na ramię Briny.

– Wilkun! – wykrakał głośno. Serce Corbana przeszło lęk.

– Gdzie? – wysapała zdyszana uzdrowicielka.

– Na górze!

Corban uniósł wzrok i ujrzał ostre klify, których szczyty niknęły w mroku.

Biegną górą, pomyślał. Polują na nas! Próbuje osaczyć! Na szczęście zbocza są zbyt strome, by zaatakowały. Na razie...

– I co robimy? – rzucił do Camlina, który nadal zamykał szyk.

– Nie zwalniamy – odparł łowca, spoglądając w górę. Po stoku stoczyła się garść drobnych kamyczków, na co Camlin wysupłał strzałę z kołczanu.

Powoli nadciągał świt, który odsłaniał przed ich oczami szary, skalisty krajobraz. Podczas nocnej ucieczki Corban zauważył, że ich szlak w pewnym momencie się wyrównał. Teraz zaczynał opadać, dzięki czemu uciekinierzy zwiększyli tempo, aż niespodziewanie wypadli na ścieżkę prowadzącą na zbocze wzgórza. Porastające je sosny wznosiły się w odległości zaledwie kilkuset kroków, a dalej, za wzniesieniami, ciągnęły się zielone krainy.

– Domhain – oznajmił Halion.

Burza warknęła, a Craf, kołujący nad nimi, zakrakał ostrzegawczo. Corban uniósł głowę i ujrzał na skraju klifu wilkuny, opromienione blaskiem wstającego słońca. Po chwili pierwszy z nich ruszył w dół, ześlizgując się po sypkim żwirze, a reszta watahy podążyła za nim. Pięć osobników, może sześć, Corban nie był w stanie zliczyć. Wiedział tylko tyle, że przybliżają się szybko.

– Prędko! – ryknął Camlin, popychając go. – Do drzew! Tam je przywitamy!

Wszyscy rzucili się do biegu z wyjątkiem Datha, Corbana i warczącej Burzy. Camlin uniósł łuk i wypuścił strzałę, sekundę później brzęknęła cięciwa Datha. Prowadzący wilkun potknął się i potoczył w dół, pociągając za sobą kaskady żwiru, aż zatrzymał się i już nie podniósł. Pozostałe bestie przemknęły obok niego, przybliżając się błyskawicznie.

– Prędko! – wrzasnął ponownie Camlin. Odwrócił się i skoczył ku Corbanowi, wlekąc za sobą Datha.

Corban nie potrzebował dalszej zachęty. Pognał za resztą, która już

niknęła wśród drzew, Farrell był ostatni. Chwilę później poczuł na twarzy smagnięcia pierwszych gałęzi. Spojrzał za siebie i przekonał się, że wilkuny nadal ześlizgują się po ścianie klifu.

Przypadł do pozostałych, zdyszany tak jak i oni.

– Potraficie raz jeszcze stworzyć ten ogień? – Edana zwróciła się do Briny i Heba.

– Tak, chyba tak – odparł znawca obyczajów. Był pobladły i oddychał z trudem. Na ramieniu krzepła mu krew.

– Niczego nie mogę obiecać – dodała Brina. – Ale spróbować można.

Coś zaszeleściło w pobliskich krzakach. Wszyscy błyskawicznie pochwycili za broń, ale z zarośli wypadł jedynie kłęb czarnych piór. Patrzyli na ptaka ze sztyletem sterczącym z przebitego skrzydła. Craff sfrunął niżej i przechylił główkę, przyglądając się obcemu.

Vonn wyciągnął rękę, by go dotknąć.

– Precz! – warknął ptak.

Młody wojownik cofnął dłoń.

Craff zakrakał. Brina oderwała kawałek własnego płaszcza i narzuciła go na rannego kruka, który zaprotestował głośnym krakaniem, gdy uzdrowicielka owinęła go i przycisnęła do piersi.

– Przecież nie porzucę gadającego ptaka na ziemi! – powiedziała i błyskawicznie wyciągnęła nóż z jego skrzydła.

Burza spojrzała za siebie i warknęła. Jej sierść się podnosiła.

– Nadchodzą! – krzyknął ktoś za nimi. Był to Gar, który stał wraz z Camlinem na tyłach ich niewielkiej grupy; odwrócił się, trzymając dłoń na rękojeści miecza, przytroczonego do pleców.

– Tu będziemy walczyć? – spytała Edana Camlina.

– Dalej, między drzewa! – krzyknął mężczyzna i rzucił się do biegu. – Tam rozbijemy ich natarcie!

Podążyli za nim bez słowa.

Walenie serca biegnącego Corbana zniekształciło bądź zgoła zagłuszyło wszelkie inne dźwięki. Wpadli na szeroką polanę, kiedy z przodu ich grupy dobiegły jakieś krzyki. Ludzie biegnący przed nim zatrzymywali się raptownie. Postawny Farrell uskoczył w bok, dzięki czemu Corban zobaczył, co na nich czekało.

Po drugiej stronie polany stały jakieś postacie w skórach i futrach. Pięc,

może sześć osób. Wyglądali jak ludzie, ale byli więksi.

Olbrzymy.

Stali przez moment nieruchomo, po czym Corban ujrzał, jak łapią za młoty i topory, przytroczone do pleców, i ruszają ku nim. Jeden biegł prosto na niego.

Burza dopadła olbrzyma jednym susem, wbiła kły w jego głowę i pociągnęła go za sobą na ziemię.

Corban wyrwał miecz i rozejrzał się za matką. Ujrzał ją niedaleko, blisko Haliona i Edany.

Któryś z olbrzymów zamachnął się młotem na Vonna. Chłopak zrobił sprawny unik, ale młot podciął go na wysokości kostki. Vonn wpadł na Brinę, a wówczas doskoczył doń Farrell, zamachnął się własnym młotem i zmiażdżył olbrzymowi biodro.

Pozostali wykrzyczeli okrzyki bojowe i również dołączyli do walki. Corban usłyszał za sobą trzask miażdżonych zarośli i nagle przypomniał sobie o ścigających ich wilkunach. Drapieżniki wypadły na polanę i rzucały się na kogo popadło. Pierwszy z nich skoczył na jakiegoś olbrzyma i zatopił kły w jego ramieniu. Inny zaczął hamować, ale nie zdołał wytracić prędkości i wpadł na kilku spośród jego towarzyszy. Corban ujrzał wyrzuconą impetem Edanę, a potem usłyszał krzyk mamy, która toczyła się po ziemi, spleciona z wilkunem.

Wrzasnął bez słów i rzucił się ku nim

Rozdział czterdziesty dziewiąty

UTHAS

Uthas wpatrywał się z niedowierzaniem w ludzi, którzy wypadli spomiędzy drzew. W pierwszej chwili uznał ich za wojowników Ratha, którzy jakimś cudem zdołali wyprzedzić uciekające olbrzymy i zająć je od przodu, ale przecież ci byli pieszo. Co więcej, mieli ze sobą białego wilkuna z ciemnymi pasmami na piersi, przypominającymi ślady po pazurach.

Fray i Struan ruszyli jako pierwsi do walki. Wilkun skoczył na Fraya i pociągnął go za sobą na ziemię. Struan zamachnął się młotem, ale wtedy przypadł do niego jeden z obcych, który sam wyglądał jak młodzik z ich rasy, tym bardziej, że władał młotem wojennym. Nachylił się i rąbnął Struana w biodro. Poniósł się chrupot miażdżonych kości.

Uthas złapał za włócznię, niepewny, czy uciekać czy może atakować. Przecież Rath następował mu na pięty!

Jak blisko był?

Zrobił krok naprzód, ale wtedy z lasu wypadły kolejne wilkuny, rzucając się na najbliższe ofiary.

Jeśli tu zostaniemy, zginiemy! – pomyślał. Musimy się przebić!

Rzucił się do natarcia. Kątem oka widział Salacha, który bronił jego lewego boku. Wokół niego olbrzymy, ludzie i wilkuny pogrążone były we wściekłym starciu. Spozregł ciało nieżywego Kaia, któremu drapieźnik wyszarpnął gardło. Nieopodal walczył Struan, otoczony przez pół tuzina napastników.

Muszę mu pomóc. Zbyt długo ich przygotowywałem, zbyt długo na nich chuchałem! – pomyślał.

Znikąd wypadła strzała, która wbiła mu się w ramię. Impet uderzenia o mało nie pozbawił go równowagi. Rozejrzał się i dostrzegł dwóch

łuczników skulonych w cieniu drzew. Ruszył ku nim, gdy kolejna strzała świsnęła obok jego twarzy,

– Za późno! – Salach ścisnął go za ramię. – Już przegraliśmy! Nie ocalisz ich! Uciekajmy!

Struan padł na kolano, a otaczający go ludzie cięli i kłuli. Uthas ryknął z frustracją, a wtedy dostrzegł Eisę, zwartą w starciu z wilkunem. Wykrzyknął jej imię i rzucił się do ataku. Salach skoczył za nim i jednym ciosem topora rozrąbał kark drapieżnikowi. Uthas złapał wojowniczkę za ramię, pomógł jej wstać i we trójkę rzucili się ku drzewom.

Coś sprawiło, że się zatrzymał. W powietrzu nastąpiła nieoczekiwana, niewidzialna zmiana. Wyczuł napór od strony polany, którą zostawili za plecami. Moc ziemi. Ktoś sięgnął po moc ziemi.

Odwrócił się i natychmiast dojrzał dwójkę ludzi, którzy stali razem i trzymali ułamaną gałąź. Na jego oczach wypowiedzieli kilka słów w mowie olbrzymów, a gałąź stanęła w ogniu.

Uthas poczuł, jak budzi się w nim ogromny gniew.

Te nędzne przybłędy, które doprowadziły do wyginięcia jego ludu, skradły ich ziemię, obrabowały ich z życia, które dotychczas wiedli, sięgnęły teraz po największy skarb olbrzymów, po moc ziemi! Co prawda przekazał kilka sekretów Rhin, ale w jej przypadku sytuacja wyglądała inaczej. Dzięki Rhin chciał zyskać inną przyszłość dla swego klanu i zmienić jego przeznaczenie! Poza tym królowa go ocaliła, a ci dwoje byli zwykłymi szkodnikami, padlinożercami żerującymi na tradycji, doprowadzonej do upadku przez upływ czasu i splot niefortunnych wydarzeń.

W przeciwieństwie do wielu innych pobratymców, nie dawał się ponieść emocjom i szczyił się umiejętnością panowania nad sobą pośród targanych wielkimi pasjami rodaków. Teraz jednak, gdy patrzył na tych dwoje, czuł, jak jego opanowanie kruszy się, a serce wypełnia mu wściekłość. Po chwili w jego głowie pozostała już tylko jedna myśl.

Zabić uzurpatorów.

Warknął i zawrócił na polanę.

Rozdział pięćdziesiąty

CORBAN

Corban przypadł do ciała matki. Bał się nachylić i sprawdzić, czy wciąż żyje. Nieopodal Burza toczyła wściekły pojedynek z wilkunicą, która zaatakowała Gwenith. Chłopak odwrócił się ku walczącym zwierzętom i wraz z Garem próbowali znaleźć dogodną sytuację, by zabić napastnika. W pewnym momencie mężczyzna zrobił wypad i pchnął, a gdy cofnął rękę, ostrze było ciemne od krwi. Uderzenie serca później Burza pochwyciła bestię za gardło, zacisnęła mocno kły i potrząsnęła nią bez litości. Ta wierzgała i próbowała się uwolnić, ale słabła błyskawicznie, aż znieruchomiała.

Corban dostrzegł Haliona, Marrocka i Farrella, którzy otaczali jakiegoś olbrzyma, krwawiącego z wielu ran. Vonn zasłaniał swoim ciałem Edanę i odpędzał mieczem parę przyczajonych wilkunów.

Nagle rozległ się trzask płomieni i buchnęła fala gorąca. Corban dostrzegł Heba i Brinę, ściskających płonąca gałąź. Starzec ruszył na drapieźniki grożące Vonnowi i Edanie, wymachując palącym się drewnem. Zwierzęta przyczały się i wycofały, warcząc.

Naraz z boku jednego z nich wykwitły dwie strzały.

Camlin i Dath.

Niespodziewanie nad polaną poniosł się czyjś głos, inny, obcy. Minęła chwila, nim Corban uzmysłowił sobie, że słyszy mowę olbrzymów.

– *Sglamhair, thu rach do fada, truailleadair* – wyryczał biegnący olbrzym. Z każdego słowa buchała furia.

Heb zamarł, uświadomiwszy sobie zagrożenie.

– *Mi riar gun ruith* – zawołał i podniósł płonąca gałąź.

Olbrzym wywarczał jakiś rozkaz i płomienie zgasły. Ku niebu buchnął

dym.

Nie!, pomyślał Corban. Przecież z kijem w ręku Heba nie ma żadnych szans!

– *Lasair!* – wrzasnął i rzucił się do biegu. Obawa o życie Heba przytłumiła wszystkie inne myśli.

Kij w ręku Heba buchnął znów płomieniami, o wiele gwałtowniejszymi niż przed chwilą. Starzec otworzył oczy, oszołomiony, a olbrzym przeniósł spojrzenie na Corbana. Zawahał się na moment, a nienawiść w jego oczach stała się niemalże materialna. Wówczas Heb wykorzystał okazję i grzmotnął go płonąca gałęzią w twarz. Iskry eksplodowały naokoło.

Olbrzym zawył i warknął wściekle, a potem pchnął włócznią. Heb uskoczył i znów zamachnął się gałęzią. Trafił przeciwnika w pierś w tej samej chwili, gdy ostrze olbrzyma wbiło się w jego ramię. Starzec wrzasnął i osunął się na kolana, a napastnik oswobodził ostrze.

– Nie! – wrzasnął Corban i skoczył naprzód.

Wyprzedziła go Brina, która wbiła olbrzymowi nóż w udo. Ten zaryczał i pchnął uzdrowicielkę na ziemię, a potem poderwał włócznię i przebił nią brzuch Heba. Trysnęła krew, gdy wyrwał grot z trzewi mężczyzny. Stary znawca obyczajów osunął się na bok, a olbrzym stanął nad wrzeszczącą Briną. Uniósł włócznię, gotując się do uderzenia, gdy z nieba spadł ciemny kształt. Ostre pazury przeorały mu twarz.

Craf.

Corban był już blisko, a za nim biegła Burza. Ciął bez litości i ujrzał, jak napastnik zatacza się do tyłu. Burza napięła mięśnie do skoku. Wówczas z lasu wychyły dwa inne olbrzymy. Jeden zastąpił drogę Corbanowi, a drugi porwał tego, który pchnął Heba, i odciągnął go do lasu. Jednocześnie rozległ się trzask tratowanych gałęzi, gdy na polanę wypadli jeźdźcy.

Corban odbił serię wściekłych ciosów olbrzyma, który odskoczył i rzucił się do ucieczki. Świsnęła strzała, która ześlizgnęła się po jego kolczudze.

Dath?

Olbrzym warknął raz jeszcze i pomknął za towarzyszami, którzy znikali już między drzewami.

Jeźdźcy zatrzymywali się dookoła. Corban widział na ich twarzach konsternację i zaskoczenie, po czym jeden z nich spiął rumaka, wznosił

miecz, zawrócił i znów pomknął w las. Inni podążyli za nim, rozpoczynając pościg za uciekinierami. Jeden z jeźdźców po drodze dźgnął wilkuna.

– Burza! – krzyknął Corban, bojąc się, by jej również nie zaatakowano.
– Do mnie!

Gar opuścił broń i podbiegł do Gwenith. Przyklęknął i dotknął jej szyi. Corban znów poczuł falę lęku i mdłości.

Ależ ona blada... Elyonie, pozwól jej przeżyć...

Gar uniósł głowę i spojrzał na niego.

– Wciąż oddycha.

Corban pochylił się, pogładził matkę po twarzy i wyczuł płytki puls. Gwenith zamrugnęła, otworzyła oczy i znów je zamknęła. Chłopak uśmiechnął się do Gara słabo. Fala ulgi odebrała mu resztki sił. Po twarzy Gara płynęły łzy.

Pewnie myślał, że nie żyje, przemknęło Corbanowi przez głowę, po czym otarł własne łzy.

Pozostał jeszcze jeden olbrzym, wciąż klęczący, otoczony przez Farrella, Marrocka i Vonna. Jeźdźcy podjechali bliżej, unosząc broń, która zamigotała w słońcu. Olbrzym poderwał się z rykiem i zakreślił łuk toporem, rozrzucając wojowników w różnych kierunkach. Farrell zatrzymał się u stóp Corbana i podniósł się z jękiem.

Któryś z jeźdźców trącił konia kopytami i przemknął obok olbrzyma, przesywając go włócznią. Ułamek sekundy po tym, jak włócznia zagłębiła się w wielkim cieple, wojownik zeskoczył z siodła, jedną ręką złapał się płaszcz olbrzyma, a drugą przejechał mu nożem po gardle. Trysnęła krew, a olbrzym zwałił się na ziemię. Jego zabójca przeturlał się, gubiąc hełm, po czym podniósł się z wdziękiem niemalże przed Corbanem. Ten z zaskoczeniem przekonał się, że była to dziewczyna z rudymi, mocno związanymi włosami, z których umknęły niesforne kosmyki.

Halion krzyknął i podbiegł do niej, a ona spojrzała na niego, w pierwszej chwili spięta, ale rozpromieniła się, gdy wojownik przypadł bliżej. Uścisnęli się mocno.

– Kto to? – spytał Dath, wyłoniwszy się spomiędzy drzew.

– Nie wiem, ale myślę, że właśnie się zakochałem – rzekł Farrell.

Halion oraz ruda dziewczyna, wciąż uśmiechnięci, odsunęli się od siebie, a wówczas mężczyzna rozejrzał się i spostrzegł wpatrzonych

w niego Corbana oraz Farrella.

– Poznajcie moją siostrę, Coralen

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

EVNIS

Evnis patrzył na scenę, która rozgrywała się na jego oczach – na Conalla wkraczającego w krąg przed ogniskiem. Wcześniej ktoś wyszeptał mu do ucha, że wojownik ma na pieńku z Veradisem, a poszło rzekomo o Cywen. Jego zamiary były dość oczywiste.

Wykorzystuje sposobność, by zostać zauważonym, pomyślał. By sięgnąć po coś więcej. Co takiego powiedział mi w Dun Carreg? Że trzeba wiele zaryzykować, by wiele zyskać.

Uśmiechnął się pod nosem. Gdyby sam znalazł się w sytuacji Conalla, z jego umiejętnościami, przypuszczalnie zrobiłby to samo.

Mimo to szkoda będzie się z nim pożegnać.

Bez względu na wynik starcia Conalla z Morcantem, Evnis miał bowiem stracić dzielnego przybocznego. Szalonego wojownika czekała śmierć albo służba u Rhin.

Conall podążał w stronę Morcanta. Zatrzymał się kilkanaście kroków przed nim.

– Mój pierwszy miecz został ranny – rzekła Rhin. – Przed chwilą wbito mu nóż w ramię. Myślę, że sprawiedliwie byłoby poczekać, aż wydobrzeje.

– Sam również zostałem dziabnięty. – Conall uniósł lewe ramię, by wszyscy ujrzeli przesiąknięty krwią bandaż. – Zresztą przez tę samą osobę – dodał, zerkając na Cywen.

– Doprawdy? – Rhin spojrzała na dziewczynę, marszcząc brwi. Później przeniosła wzrok na Morcanta, a Evnis ujrzał, jak ten kiwa głową. – Dobrze więc – westchnęła.

Wokół wybuchł zgiełk, gdy wojownicy zaczęli robić zakłady. Evnis, który

nadal przyglądał się Rhin, zauważył, że królowa, wracając na miejsce, zatrzymała się na moment i przechyliła głowę, jakby kogoś słuchała. Jej usta poruszyły się, jakby toczyła rozmowę, a potem ludzie zaczęli tłoczyć się wokół niego i musiał się przepchnąć, by nie zasłonięto mu widoku. Gdy odnalazł wzrokiem Rhin, ta już zasiadła na krześle.

– Zaczynajcie – oznajmiła.

Obaj wojownicy mieli do dyspozycji jedynie miecze. Nie wolno im było pochwycić za tarczę czy jakąkolwiek zapasową broń. Ewnis pamiętał pojedynek, jaki Morcant stoczył z Tullem i wiedział, że jest szybkim, śmiertelnie groźnym szermierzem, choć to on poniósł wtedy porażkę. Widywał też często Conalla z mieczem w ręku, niejednokrotnie zmagającego się z czterema, pięcioma przeciwnikami jednocześnie. Nigdy nie przegrał.

Wojownicy zetknęli swe ostrza, a potem Conall rzucił się do natarcia. Jego miecz błyskawicznie przecinał powietrze i kombinacje czterech, pięciu, a nawet sześciu ciosów zlewały się w jeden. Morcant cofał się, unikając jego ataków bądź odbijając je, aż dotarł niemalże na skraj paleniska. Wówczas znów uskoczył w bok, ciął z góry, zawirował i chlasnął Conalla po żebrach, ale ten już zdołał umknąć. Ani na moment nie przestawał się przemieszczać. Uskakiwał, obracał się, wirował, uderzając przy każdym ruchu, a co więcej, ani na moment nie przestawał się uśmiechać.

Morcant odpowiadał tym samym. To parował, to znów napierał, ograniczając Conallowi przestrzeń do walki. Ewnis kiwał głową z aprobatą. Nigdy dotąd nie widział, by ktoś walczył z Conallem w ten sposób. Większość jego przeciwników odpierała tylko ataki, czekając, aż wytracą swą furję, ale Morcant był inny. Blokował i uderzał, parował, robił wypady i znów uderzał, łączył pchnięcia i cięcia w mordercze kombinacje.

Długo to nie potrwa, pomyślał Ewnis.

Conall przestał się uśmiechać.

Obaj wojownicy odskoczyli od siebie, ciężko dysząc. Morcant położył dłoń na biodrze i oparł się na mieczu, wbiwszy jego czubek w ziemię. Conall znów ruszył ku niemu, a wtedy pierwszy miecz Rhin poderwał gwałtownie nadgarstek. Ziemia trysnęła w twarz Conalla, ale zdołał uskoczyć. Na jego twarzy znów pojawił się uśmiech.

– Widzę, że walczyłeś z Tullem – stwierdził.

– Warto było spróbować – odparł Morcant i znów rzucił się do ataku, spychając Conalla serią zamaszystych cięć. Ten cofnął się na skraj kręgu utworzonego przez gapiów, niemalże opierając się o nich plecami, po czym uskoczył przed kolejnym cięciem i przeszedł do kontrataku. Zepchnął Morcanta do defensywy i przez moment stali naprzeciwko siebie na szeroko rozstawionych nogach i z furią wymieniali się ciosami. Zderzające się ostrza krzesały iskry. Conall, ku zaskoczeniu wszystkich, uderzał coraz szybciej, aż Ewnis zauważył, że nawet Morcant zaczyna mieć problemy z powstrzymaniem takiego nawału ciosów. Conall skupił swe uderzenia na rannym boku przeciwnika, waląc coraz mocniej i szybciej w nadziei, że spotęguje ból.

Wtedy Morcant przemknął pod opadającą klingą, ramieniem trzymającym miecz pochwycił Conalla, przyciągnął go do siebie i wolną ręką rąbnął go w twarz, po czym zaczął okładać jego ranne ramię. Conall zatoczył się, wrzasnął, próbował się wyrwać, ale Morcant nie puszczał. Tłukł przeciwnika po ranie, a każde jego uderzenie rozbryzgiwało dookoła krew.

Już po wszystkim, przemknęło Ewnisowi przez głowę. Z zaskoczeniem odkrył w sobie smutek na myśl o tym, co czeka Conalla.

Niespodziewanie ujrzał na jego twarzy wściekły grymas. Ułamek sekundy później wojownik rąbnął Morcanta czołem w nos. Tym razem to jego przeciwnik zatoczył się, brocząc krwią, a Conall, choć sam ledwie trzymał się na nogach, przypadł doń i rąbnął go rękojeścią miecza w ranę na ramieniu. Pierwszy miecz Rhin padł na plecy, a Conall przytknął mu ostrze do gardła.

– Znasz tę pozycję, co? – wycharczał zwycięzca i spojrzał na królową.

– Morcant służył mi wiernie, zwłaszcza dziś. Byłoby wielką niesprawiedliwością, gdybym teraz w podzięce odebrała mu życie – oznajmiła Rhin. – Niech żyje, ale utocz mu jeszcze trochę krwi.

Conall naciął Morcantowi policzek po przeciwnej stronie niż Tull.

– Wygląda na to, że rolę pierwszego miecza pełni teraz inny wojownik – rzekła królowa i wyciągnęła dłoń. Conall podszedł do niej i pomógł jej wstać, a potem przeprowadzili ceremonię inicjacji. Nacięli sobie dłonie i mieszały krew, a wojownik wygłosił słowa przysięgi na wierność.

A więc znalazł dla siebie nowe, lepsze miejsce, pomyślał Ewnis. Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę, w co właśnie wdepnął.

Uśmiechnął się ponuro, gdyż dobrze znał upodobania Rhin.

* * *

Następnego dnia Ewnis przebudził się wcześnie. Jego ciało było zeszywniałe i obolałe po bitwie. Z głuchym stęknieniem naciągnął buty, opryskał twarz wodą i wyszedł z namiotu, by załatwić swoje potrzeby. Skinął Glynowi, wojownikowi, który stał na straży przed wejściem do namiotu, i odszedł na bok, a gdy zapinał pasek, podbiegł do niego posłaniec.

– Królowa Rhin chce się z tobą zobaczyć, panie – powiedział chłopak.

* * *

Conall uchylił klapę namiotu przed Ewnisem i gestem zachęcił go, by wszedł do środka.

– Trzeba wiele zaryzykować, by wiele zyskać, co? – spytał Ewnis, przeciskając się obok niego.

– Otóż to – rzekł wojownik.

– Wydajesz się wyczerpany. Masz za sobą długą noc, co?

Conall uniósł brwi i się uśmiechnął.

Rhin siedziała na jednym z krzeseł stojących wokół szerokiego stołu, zasłanego mapami i pergaminami. Na widok byłego doradcy Brenina wstała i ujęła jego dłonie.

– Wiele czasu upłynęło od owej nocy w Ciemnym Borze – rzekła.

– W istocie, moja pani – odparł Ewnis. Z zaskoczeniem uświadomił sobie, że emocje dławią go w gardle. – Jesteśmy już blisko, tak blisko!

Conall nalał im miodu.

– A więc znalazłam się we wspaniałej sytuacji – powiedziała Rhin. – Cambren, Narvon i Ardan należą do mnie. Wkrótce dodam do tej listy również Domhain.

– Marzenia stają się rzeczywistością – rzekł Ewnis i oboje unieśli kielichy w toaście.

– Ardan pozostawię tobie – zdecydowała królowa.

– Dziękuję ci, moja pani.

– Przecież to właśnie ustaliliśmy wiele lat temu. Teraz muszę skupić swą uwagę na Domhainie i potrzebuję kogoś zaufanego, komu mogę przekazać kontrolę nad sytuacją. Owain pozostawił po sobie nieco bałaganu do uprzątnięcia, prawda?

– Słyszałem pogłoski o oporze na południu – odparł Ewnis.

– Ja również. Zajmij się tym.

– Jak sobie życzysz.

– Przekażę ci ludzi, złoto i wszystko, czego ci trzeba. Zostawię przy tobie również Morcanta. Dobrze mi służył i wciąż cieszy się groźną reputacją, nawet jeśli został właśnie pokonany. W końcu zabił Tulla i przyprowadził mi Owaina.

– Jak każesz – rzekł Ewnis.

Nie podoba mi się ten Morcant, pomyślał. Każdy z nas potrzebuje odrobinę dumy i arogancji, by jakoś przeżyć te trudne czasy, ale on jest zdecydowanie zbyt dumny i zbyt arogancki. Poza tym nie znalazł Owaina sam. Tak naprawdę wytropił go Braith.

– Zatrzymasz się na moment w Ardanie, nim wyruszysz do Domhainu?
– spytał.

– Sądzę, że nie powinnam zwlekać. Dziś rano przybył posłaniec z Cambrenu z dziwnymi, niepokojącymi wieściami. Odezwał się też Uthas.

Ewnis pamiętał olbrzyma z klanu Benothi, który był świadkiem zawarcia przez niego paktu z Asrothem wiele lat temu w Ciemnym Borze. Dobrze go wspominał, gdyż próbował pomóc Fain, opowiedział mu o księdze ukrytej pod Dun Carreg i zachęcał go, by zabrał Fain do kotła.

– Wszystko u niego w porządku? – zapytał.

– Nie. Próbował się ze mną skontaktować zeszłej nocy, ale byłam zajęta i więź między nami natychmiast się rozproszyła. Dziś rano udało nam się dłużej porozmawiać, a nasza rozmowa dała mi dużo do myślenia.

Zamilkła. Ewnis czekał cierpliwie, aż Rhin powróci do tematu, bo dobrze wiedział, że lepiej jej nie poganiać.

Ktoś stanął przed namiotem. Do środka przeniknęły strzępy rozmowy. Conall wstał i poszedł sprawdzić tożsamość gościa.

– To Nathair, moja pani.

– Ach, wcześniej, niż się spodziewałam. Wprowadź go. I następnym razem przedstaw go wraz z pełnym tytułem. To przecież mimo wszystko król.

Conall był wyraźnie niezadowolony, co wywołało uśmiech Evnisa.

Nawet jako pierwszy miecz będziesz musiał robić rzeczy, na które nie masz ochoty, pomyślał.

Nathair zjawił się wraz ze swą świtą: Sumurem, Calidusem, Veradisem oraz ogromnym Alcyonem. Szybko zajęli miejsca i, z wyjątkiem olbrzyma, ujęli kielichy.

– Dziękuję ci za pomoc, którą mi wczoraj okazałeś – zaczęła Rhin.

– Nie ma sprawy, choć myślę, że nawet i bez niej osiągnęłabyś zwycięstwo, choć być może później – odparł Nathair, rozparłszy się na krześle. Wydawał się odprężony, niemalże szczęśliwy.

– Być może. – Rhin wzruszyła ramionami. – Mimo to nie zapomnę ci tego. Cóż mogę dla ciebie zrobić w zamian za to? Otrzymasz wszystko, co będę mogła ci dać.

– Nie owijasz w bawełnę – rzekł Nathair.

– Kiedy osiągniesz moje lata, nauczysz się, że nie warto marnować czasu, bo jest zbyt cenny. A więc? Czego pragniesz?

– Spełnij życzenie mojego ojca i dołącz do mego sojuszu. Stań po mojej stronie i wesprzyj siły, które zbieram przeciwko Asrothowi i jego Czarnemu Słońcu.

Rhin siedziała nieruchomo i wpatrywała się w Nathaira, aż powoli kiwnęła głową.

– Zrobię to. Z ochotą. Od tej pory całe moje królestwo staje się częścią twego sojuszu, Nathairze. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, me armie ruszą ci na pomoc i wspólne stawimy czoła Czarnemu Słońcu.

Uniosła kielich i wszyscy spełnili toast.

– Czy potrzeba ci jeszcze czegoś?

– Wyruszam na północ. Byłbym ci bardzo wdzięczny za wszelką pomoc bądź rady.

– Tak, rozmawialiśmy o tym. Wybierasz się do Murias w królestwie Benothu. Szukasz kotła. Czeka cię niebezpieczne zadanie, bo Benothi nie przepadają za ludźmi.

Większość z nich, pomyślał Ewnis.

– Jestem tego świadom, ale mimo wszystko muszę to zrobić.

– A więc pomogę ci. Zagwarantuję ci bezpieczne przejście aż do północnej granicy i przydzielę zwiadowców, którzy znają tamtejsze szlaki.

– A ty, moja pani? Czy mógłbym ci udzielić jeszcze jakiejś pomocy?

– Ruszam do Domhainu, gdyż chcę złożyć wizytę Eremonowi. Moim celem jest zjednoczenie całego zachodu.

– I w tym mogę ci pomóc – rzekł Nathair. – W zatoce Dun Carreg kotwiczą moje transportowce, które bez trudu przewiozą twe oddziały do Cambrenu.

– Byłabym ci wdzięczna – stwierdziła Rhin. – Morcant pokonał kanał na setce łodzi rybackich i z tego, co słyszałam, stracił podczas przeprawy wielu ludzi.

– A więc załatwione – oznajmił Nathair. – Ale to nie wszystko. Chcę, byś zabrała Veradisa i jego hufiec. To tysiąc zbrojnych!

Ewnis spostrzegł, że młody wojownik spojrzał na władcę z zaskoczeniem.

Wygląda, jakby chciał się sprzeciwić, ale nie ma odwagi, pomyślał. Dobrze. To żołnierz, który bez wahania przyjmuje rozkazy. Szkoda, że nie możemy liczyć na więcej takich ślepych zwolenników.

– To mój pierwszy miecz oraz wojewoda – ciągnął Nathair – i sprawdził się w wielu kampaniach. W Tarbeshu wytrzymał szarżę olbrzymów na draigach, w Carnutanie pokonał Mandrosa i odciął mu głowę, a w lesie Forn dzielnie stawał przeciwko olbrzymom Hunen. Nie pożałujesz, że masz tak zdolnego dowódcę pod swoimi rozkazami.

Rhin przyglądała się Veradisowi. Młody wojownik szybko odwrócił spojrzenie i zerknął do swego kielicha.

– Czy jesteś w stanie zdobyć dla mnie Domhain? – zapytała królowa.

– Cóż, obiecać ci tego nie mogę, pani, ale zrobię wszystko, o co prosi mnie Nathair, chyba że przeszkodzi mi w tym śmierć – rzekł Veradis.

– Podziwiam lojalność i pasję w sercach młodych ludzi – rzekła Rhin z suchym uśmiechem. – Prawdziwy z ciebie szczęściarz, Nathairze.

– Muszę o coś zapytać – odezwał się znów król Tenebralu. – Mamy już szczyt lata. Nawet jeśli wykorzystasz mą flotę, dotarcie do Domhainu potrwa wiele księżyców.

- A być może nawet więcej. Zbrojne hufce podróżują powoli.
- Czyli nie boisz się wyruszyć na kampanię zimową? Mówiono mi, że zimy tu nie są tak łagodne jak te, do których przywykliśmy w Tenebralu.
- Cóż za różnica? – Rhin wzruszyła ramionami. – Krew będzie wsiąkać w śnieg, a nie w ziemię. Wykorzystamy trakt olbrzymów, który przecina góry między Cambrenem a Domhainem i prowadzi prosto ku Dun Taras, stolicy Eremona. Dopóki istnieje trakt, dopóty wojna jest możliwa przy każdej pogodzie, a zapasów w Cambrenie mam aż nadto. Dla ciebie też znajdę jakiś cieplejszy płaszcz i wełniane bryczesy, by ogrzać te twoje długie nogi – zwróciła się do Veradisa, który natychmiast się zarumienił.
- Ja również mam do ciebie prośbę – odezwał się niespodziewanie Calidus. – Niewielką. Chciałem cię prosić o informacje.
- Odnośnie czego? – spytała królowa.
- Pewnego młodego człowieka, chłopaka nieledwie. Uciekł podczas szturm na Dun Carreg w towarzystwie Edany i kilku innych osób, jak sądzimy.
- Tak, rozesłałam za nią ludzi. Kim jest ten chłopak?
- Ma na imię Corban i podróżuje w towarzystwie białego wilkuna. Rhin się wyprostowała.
- Co takiego? – zapytał Nathair.
- Ciekawe. Dziś przybył posłaniec z wieściami z Cambrenu. Moi ludzie wytropili grupę obcych, których uznali za szpiegów Owaina. Ścigali ich przez cały kraj i jeśli wierzyć meldunkom, co noc byli tropieni i zabijani przez wilkuna. Pojawiły się plotki, jakoby obcy, którzy przemierzają moje ziemie, sprzysięgli się z Asrothem i w nocy zamieniają się w wilkuny bądź przewodzą ich watahom. Z początku zrzuciłam wszystko na karb ludzkiego zamięłowania do przesądów, ale...
- To on – stwierdził Calidus.
- Jestem skłonna się zgodzić. To więcej niż tylko zbieg okoliczności. Edana z pewnością ucieka do Domhainu, otoczona garścią odważnych, walecznych ludzi.
- W rzeczy samej – stwierdził Nathair.
- Cóż, cieszę się, że mogłam pomóc – odparła Rhin. – Być może będziemy mogli pokonać część drogi na północ wspólnie. Razem wsiądziemy na twe okręty i spróbujemy wytropić tego chłopaka i jego zwierzę, nim

konieczność zmusi nas do rozstania. Tobie zależy na nim, a mnie na Edanie, która najprawdopodobniej jest z nim.

– Zgoda – rzekł Nathair.

Wzniesli toast za zwycięstwa, zarówno te dotychczasowe, jak i przyszłe, po czym Nathair i jego świta wyszli z namiotu. Rhin wezwała wówczas posłańca i szepnęła mu coś do ucha, a ten wybiegł.

– Jest coś dziwnego w tym Nathairze – powiedziała.

– Fakt – zgodził się Ewnis.

Ile ona wie?, zapytał się w myślach. Jesteśmy oboje związani z Asrothem. Mamy wywołać Wojnę Bogów i sprawić, że Asroth odzyska ciało. Oboje staliśmy się potężni, każde z nas na swój sposób, ale moc i wpływy Rhin daleko przekraczają moje. Na pierwszy rzut oka widać, że rozkoszuje się nową władzą. Czy zrzeknie się jej, nawet dla Asrotha i jego awatara?

– Co sądzisz o nim? – spytała nagle.

Rzadko się zdarza, by pytała wprost, pomyślał zaskoczony Ewnis. Co powinienem jej odpowiedzieć? Iloza domysłami mam się podzielić? Pytanie zadane wprost wymaga też szczerzej odpowiedzi. Niech potoczą się kości.

– Myślę, że on jest Czarnym Słońcem. Słyszałem głos.

Rhin przyglądała mu się z zadumą.

– Ja też go słyszałam – powiedziała w końcu.

– Powinniśmy więc zrobić wszystko, co w naszej mocy, by mu pomóc – rzekł Ewnis, próbując zarazić ją entuzjazmem. Patrzył przy tym na królową i widział, że myśli intensywnie.

– To Czarne Słońce, awatar Asrotha, a nie sam Asroth – oznajmiła Rhin.

– Pamiętaj o tym, Ewnisie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Nie służ mu ślepo. Nie sądzę, by Nathair zdawał sobie sprawę z tego, kim naprawdę jest jego pan.

Nie pomyślałem o tym, przemknęło Ewnisowi przez głowę.

– Być może masz rację. Dostrzegam w nim szczerłość i...

– Otóż to. Uważaj, co mu mówisz. Jego trzeba kontrolować. Trzeba popychać go w określonym kierunku – rzekła Rhin, stukając długimi paznokciami w poręcz swego fotela. – Bo jeśli chodzi o tego chłopaka i jego wilkuna, wiem o nich o wiele więcej, niż powiedziałam Nathairowi.

Evnis spoglądał na nią z wyczekiwaniem.

– Rozmawiałam z Uthasem przez ogień. Wiesz, co mam na myśli?

– Tak.

– Uthas grasował przez jakiś czas po Domhainie, szpiegując, zabijając i siejąc zamieszanie przed moim nadejściem. Niestety, noga mu się powinęła i większość jego drużyny zginęła w bitwie zeszłej nocy. Był tam ów chłopak, o którym wspomniał Calidus, wraz ze swoim wilkunem.

– Czemu nie powiedziałaś o tym Nathairowi? – spytał Evnis, choć znał odpowiedź. Przecież wiedza to władza, a Rhin nie miała zamiaru z niej rezygnować.

– Nie ma pośpiechu – odparła królowa, uśmiechając się.

Ktoś uchylił połę namiotu. Do środka wszedł wysoki, ogorzały mężczyzna z blizną, która biegła od czoła aż po podbródek. Był to Braith.

– Wzywałaś mnie, pani – rzekł i uklęknął na jedno kolano.

– Mam dla ciebie zadanie. Musisz kogoś znaleźć.

– Oczywiście.

– Ta osoba znajdowała się wczoraj w górach między Cambrenem i Domhainem, niedaleko traktu olbrzymów, a dziś przypuszczalnie zmierza w głąb Domhainu. Będziesz więc musiał ostrożnie przekradać się przez wrogie terytorium. Mam na myśli księżniczkę Edaną, która podróżuje z niewielkim orszakiem. Wśród jej towarzyszy jest chłopak z oswojonym, niewyrośniętym wilkunem.

Braith zmarszczył brwi.

– Spotkałem go już w Dun Carreg, gdy ratowałem Camlina. Walczył też w Ciemnym Borze, kiedy uprowadzałem Alonę. Jego wilkun to już nie szczeniak. Widziałem, jak rozszarpuje ludzi na strzępy – rzekł.

– Przeprowadź mi tego Corbana, żywego i zakutego w kajdany. Interesują się nim również inni, co oznacza, że ja muszę go dostać pierwsza. Weź tylu ludzi, ilu uznasz za stosowne, i wszystko, czego ci trzeba – konie, złoto, broń – ale akcję musisz przeprowadzić teraz, po cichu i błyskawicznie. Nie ma na co czekać. Ruszaj w drogę.

Braith uklonił się i ucałował dłoń Rhin, a potem odwrócił się, by wyjść.

– Zaczekaj! – zawołała za nim królowa. – Pamiętaj, chłopaka masz wziąć żywcem, ale resztę możesz pozabijać. Wszystkich, łącznie z Edaną. Choć nie, ją zabij w pierwszej kolejności.

- A wilkun? Też chcesz go żywego?
- Pewnie, że nie. Zabij go.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

MAQUIN

Maquin siedział oparty o ścianę kamiennego mostu Dun Kellen. Nadgarstki i kostki skuto mu kajdanami. Rana po uciętym uchu nadal pulsowała bólem, ale poplamiony krwią bandaż wokół jego głowy zatrzymał krwotok.

Należał do grupy około setki jeńców wojennych, do której co chwila dołączali kolejni. Pilnowało ich z tuzin wojowników spośród tych, którzy przybyli na okrętach. Ludzie z drużyny Jaela nadzorowali oczyszczanie ulic miasta, w którym podczas oblężenia zapanował istny chaos. Przybysze z okrętów o czarnych żaglach krzątali się wokół przystani. Wyglądało na to, że uzupełniali zapasy.

Wzdłuż mostu wznosiły się liczne włócznie, na których zatknięto głowy pokonanych. Sam Maquin siedział pod jedną z nich. Uniósł głowę i ujrzał kruka, który przysiadł na czaszce i odrywał od niej pasek mięsa. Kawalek dalej tkwiła głowa Gerdy, której ptasi rabusie zdołali już wydziobać oko.

Nie widział wśród nich głowy Orgulla. Jeszcze nie. Ogromny wojownik złożył swój topór, by go ocalić. Maquin nadal żałował, że się poddał. Żałował, że obaj nie zginęli w podziemnym tunelu, ale stało się inaczej. Z chwilą, gdy Orgull ułożył topór na ziemi, zostali związani i zabrani do fortecy. Nie miał pojęcia, co się z nim stało.

Zawiódł.

Jael żył. Co więcej, osiągnął zwycięstwo, a tak niewiele brakowało, by zginął. Było tak blisko... Maquin skrył twarz w dłoniach.

Mógł mieć tylko nadzieję, że Tahir zdołał uciec z chłopcem. Wiedział, że jeszcze ich nie złapano, bo ich głowy z pewnością zostałyby zatknięte na włóczniach obok głowy Gerdy.

Dopóki syn Romara żył, dopóty dla Isiltiru migotał jeszcze promyk nadziei, a zwycięstwo Jaela nie było kompletne. A to już coś.

Nowy odgłos sprawił, że Maquin uniósł wzrok. Z miasta wyłoniła się grupa jeźdźców i śmiejąc się, zatrzymała się na końcu mostu. Jeden z nich zeskoczył z siodła.

Był to Jael.

Stary Gadrai poczuł, jak pada na niego cień prześladowcy, ale nie spojrział na niego, dopóki Jael nie kopnął go w but.

– Ktoś tu chyba jest rozgniewany – powiedział mężczyzna z uśmiechem.

– Ulfilasie, broń mnie przed jadem w spojrzeniu tego człowieka.

Maquin opuścił wzrok. Jael ponownie kopnął go w but, a wtedy, niespodziewanie dla wszystkich, Gadrai się zerwał. Choć krępowały go łańcuchy, był tak szybki, że nim ktokolwiek zareagował, zacisnął dłonie na szyi Jaela. Uzurpator wybałuszył oczy, a Ulfilas w porę grzmotnął Maquina w tył głowy ręką miecza. Stary wojownik osunął się na kolana.

Wówczas Jael kopnął go w twarz. Maquin usłyszał chrzęst łamanego nosa, głośny i suchy niczym trzask pękającej gałęzi, i runął na plecy. Buchnęła krew, a jego głowa uderzyła o kamienną podmurówkę.

Może teraz umrę, pomyślał, wpatrzony w Jaela.

– Pomóżcie mu wstać. – Młodzieniec otrzepał ubranie.

Ulfilas złapał Maquina pod ramię i pomógł mu dźwignąć się na kolana.

– Przebyłeś długą drogę z Haldis – rzekł Jael. – I przeżyłeś wędrówkę przez las Forn. Przypuszczam, że to za twoją sprawką Gerda i Varick nie byli zaskoczeni na mój widok. A mimo to przegrałeś. Musisz się okropnie czuć.

Maquin wpatrywał się w Jaela. Ból i fale słabości zniekształcały jego słowa.

– Nie wspomniałem oczywiście o twojej największej stracie. O Kastellu.

Świat ponownie odzyskał ostrość. W całości wypełniła go twarz Jaela i jego poruszające się usta.

– Nie wiem, czy widziałeś, jak ginął, ale to nie była dobra śmierć. Dostał w brzuch i strasznie krzyczał. Okazało się, że kiedy przyjdzie co do czego, wcale nie jest taki odważny. A tak się szczyił zabitymi olbrzymami. Też ci Gadrai. – Jael splunął na ziemię, jakby te słowa pozostawiły

zły smak na jego języku. – Innymi słowy, jesteś porażką od początku do końca. Zawiodłeś Kastella. Zawiodłeś Gerdę. Czyżbyś był najgorszym przybocznym na Ziemiach Wagnanych? Ulfilasie, upomnij mnie, jeśli będę kiedyś chciał przyjąć tego człowieka na służbę. Gdyby tak się stało, skazałbym się na przegraną w każdej bitwie.

– A ja... – Maquin zakrztusił się, odkaszlnął i splunął. – Ja cię wyzywam! – Jego słowa były niewiele głośniejsze od szeptu. – Wyzywam cię na Sąd Mieczy!

Jael odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem, szczerze ubawiony. Przetarł oczy i rzekł:

– Obawiam się, że na to jest już odrobinę za późno. Na wypadek, gdybyś się jeszcze nie połapał: ty już przegrałeś!

– Wyzywam cię na Sąd Mieczy! – powtórzył Maquin głośnie. – Nie spodziewam się, byś przyjął wyzwanie, bo się boisz. Jesteś tchórzem! Kawalkiem zaschniętego gnoju, który zetrę z buta.

– Uważaj – odparł Jael. Jego twarz stwardniała. – Bo twoje dowcipy za moment przestaną być zabawne.

– Zawsze byłeś tchórzem! – ciągnął Maquin, świadomy, że stojący wokół ludzie go słyszą. Kątem oka zauważył, że kilka osób podeszło bliżej. – Przyglądałem się, jak dorastasz, i widziałem, jak dokuczasz tylko słabszym od siebie. Jesteś tchórzem i zdrajcą! Podniosłeś rękę na własny ród! Widziałem, jak zabiłeś Kastella. Pchnąłeś go w plecy, bo bałeś się zmierzyć z nim twarzą w twarz.

– Było inaczej! – ryknął rozwścieczony Jael i spojrzał na zbierający się tłum.

– A twoje zwycięstwa to jedynie okruchy, strącone ze stołów lepszych od ciebie. Ci ludzie – wskazał strażników na moście – służą Nathairowi, prawda? Ba, oczywiście, że tak. Mało kto w Isiltirze zdecydowałby się cię poprzeć!

Jael uderzył go w twarz. Maquin zachwiał się, ale zdołał uchronić się przed upadkiem.

– Daj mi miecz! Walcz ze mną jak mężczyzna z mężczyzną! Spójrz tylko na mnie! Zostałem zraniony i pobity, a ty dalej się mnie boisz!

– Zdejmijcie mu kajdany i dajcie miecz – warknął Jael do Ulfilasa. Ten cofnął się i dobył ostrza, po czym niepewnie podszedł do Maquina

i pomógł mu wstać.

– Dlaczego go poparłeś? – szepnął Maquin.

Ulfilas spojrział na niego ostro, po czym odwrócił wzrok. Przez chwilę grzebał przy łańcuchach, krępujących nadgarstki starego Gadrai.

– Nie mam klucza.

– Daj mi miecz i tyle – rzekł Maquin. – I tak wygram.

Wiedział, że będzie inaczej, bo wielokrotnie widział Jaela na dziedzińcu treningowym w Mikil, ale przynajmniej jego śmierć będzie podobna do tej, którą sobie wymarzył. Nie umrze przykuty do wiosła, tysiąc mil od domu.

– Rób, co mówisz! – ryknął Jael. Z jego ust trysnęły drobinki śliny.

Maquin się uśmiechnął. Nieraz widział, jak Jael prowokuje Kastella i dobrze pamiętał nieprzyjemny, doprowadzający do obłędu uśmiech na jego obliczu. Nie było po nim śladu. Dobrze, że u kresu życia osiągnął przynajmniej to drobne zwycięstwo.

Wokół nich zgromadził się już tłum; powstała nawet część skutych wojowników, chcących obejrzeć ich starcie. Niektórzy spośród nich okrzykami dodawali otuchy Maquinowi i szydzili z Jaela.

W gęstniejącym tłumie nagle powstało zamieszanie. Ktoś przepychał się przez zgromadzonych ludzi i rozgarniał ich na bok, aż stanął na skraju. Był to przywódca żeglarzy, którego zwano Lykosem. Towarzyszył mu wysoki, szczupły wojownik o okaleczonej twarzy. Brakowało mu części nosa. Prowadził ze sobą mężczyznę na łańcuchu.

To Orgull, uświadomił sobie Maquin.

Jego przyjaciel krwawił z setek drobnych ran, a jego twarz była posiniaczona i opuchnięta. Powłóczył nogami z opuszczoną głową.

– Co tu się dzieje? – Lykos zwrócił się do Jaela.

– Chcę mu przedstawić kilka faktów! – odparł Jael drżącym z wściekłości głosem.

– Jakich znowu faktów?

– Że nie jestem tchórzem i walczę lepiej od niego.

– Ten człowiek nosi kajdany – rzekł Lykos. – I zaraz zemdleje. Spójrz tylko na niego. Walcząc z nim, niczego nikomu nie udowodnisz. Poza tym, nie masz prawa go zabijać. To mój jeniec, zapomniałeś?

– Ten człowiek mnie obraził, a ja mu tego nie przepuszczę.

Lykos zmarszczył brwi i podszedł do Maquina, by mu się lepiej przyjrzeć.

– Widzę, że pragniesz śmierci. Chcesz umrzeć, prawda? Widać to w twoich oczach.

Maquin odpowiedział tępym spojrzeniem. Lykos się uśmiechnął.

– On cię kusi, Jaelu. Wabi i prowokuje. Chce cię wykorzystać, by zesłać na siebie śmierć.

– Dobrze, a więc spełnię jego życzenie. – Jael zrobił krok do przodu.

– Nie, niczego nie spełnisz – odezwał się Lykos szorstkim głosem. – On należy do mnie, a ja nie chcę, byś go zabijał.

– To ja jestem tu królem – oznajmił Jael.

– Jeszcze nie – odparł pirat.

Podszedł bliżej i szepnął Jaelowi coś do ucha. Maquin wyteżył słuch, ale nie udało mu się wychwycić ani słowa. Zauważył natomiast, że wyraz twarzy Jaela się zmienił. Zniknął z niej gniew, a pojawił się lęk. Młody wojownik cofnął się o krok.

– A więc weź go – oznajmił. – Jest twój. Przyjmij go jako dar.

– No, uciekaj, tchórzu! – warknął Maquin, czując, jak sposobność wyślizguje mu się z rąk.

Jael obdarzył go doskonale mu znanym, doprowadzającym do obłędu uśmiechem.

– Ale przyjmij ode mnie radę, Lykosie. Zabij go szybko, bo w przeciwnym razie przyniesie ci pecha, podobnie jak poprzednim władcom.

– Jestem czymś więcej niż jego władcą – odparł pirat. – Jestem jego właścicielem.

Wyciągnął zza pasa nóż, podszedł bliżej, złapał Maquina za włosy i odciął ich pełną garść. Potem podsunął je staremu Gadrai przed nos i rozchylił dłoń. Trzymał jego warkoczyk.

– Należysz do mnie. Stanowisz moją własność. Nie jesteś już wojownikiem.

Jego przyboczny odwrócił się i odciął warkoczyk Orgulla, zapleciony na brodzie. Inni strażnicy poszli za przykładem swego przywódcy i potraktowali w ten sposób pozostałych jeńców.

– A teraz pora zagonić tych żalonych gównojadów na okręty! – wrzasnął Lykos i popchnął Maquina. – Czeka was trochę wiosłowania!

Jego ludzie parsknęli śmiechem.

Odchodząc, stary wojownik spojrział przez ramię.

– Jeszcze się zobaczymy! – krzyknął do Jaela.

– Wątpię! – odparł młodzieniec.

Jego ironiczny śmiech towarzyszył powłóczącemu stopami Maquinowi aż na pokład okrętu z czarnymi żaglami.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

CORBAN

Corban wpatrywał się w Haliona i jego siostrę Coralen. Ta odpowiedziała mu twardym spojrzeniem.

Nim ktokolwiek zdążył się odezwać, podjechał do nich stary wojownik w żelaznym hełmie, spod którego wystawały kosmyki siwych, a niekiedy wręcz białych włosów. Corban pamiętał go ze zgromadzenia w Badun w Dniu Zimowego Przesilenia. Król Brenin zaprosił wówczas wszystkich królów zachodu – Owaina, Rhin i Eremona – na naradę, podczas której mieli być świadkiem chwili, kiedy wypełni się przepowiednia i dzień stanie się nocą. Człowiek, na którego patrzył, reprezentował na spotkaniu Eremona. Miał na imię Rath.

Wojownik zsunął się z siodła i serdecznie wyściskał Haliona.

– Dobrze cię widzieć, mały gnojku.

– Ciebie też, staruszk.

Podjechał do nich inny mężczyzna. Wzdłuż jego policzka aż po pusty oczodół ciągnęła się poszarpana blizna.

– Kilka przeżyło – rzekł. – Uciekły w góry.

– Czeka nas rozmowa, ale jeszcze nie teraz. – Rath zwrócił się do Haliona. – Przekonajmy się, czy uda nam się stratować te świnie, nim dotrą do Cambrenu.

Wykrzyknął kilka rozkazów i ruszył wzdłuż traktu olbrzymów. Kilku jeźdźców podążyło za nim, a inni pozostali na miejscu i chodzili między zwłokami. Rudowłosa dziewczyna, Coralen, podniosła zgubiony hełm, upchnęła pod nim włosy, wskoczyła na konia i pojechała w ślad za Rathem.

Corban rozejrzał się po polanie, zasłanej ciałami zabitych ludzi,

olbrzymów i wilkunów, zastygłych w najrozmaitszych pozach. Brina klęczała przy Hebie i ścisnęła go za rękę. Chłopak podbiegł bliżej i uklęknął obok uzdrowicielki. Ta spojrzała na niego przekrwionymi oczami. Chciał coś powiedzieć, by ją pokrzepić, ale wiedział, że nie ma słów, które mogłyby złagodzić ból w jej spojrzeniu. Nakrył jej dłoń własną.

Przypomniał sobie, z jaką odwagą Heb stawiał czoła olbrzymowi.

– Usłyszałem, jak przed śmiercią powiedział coś do niego w ich mowie.

Co to było?

– Powiedział: „Nie będę uciekać”.

– Był dzielnym człowiekiem o dobrym, łagodnym sercu – rzekł Corban.

– Był starym głupcem, a teraz nie żyje, a ja pozostałam sama – szepnęła Brina, po czym pochyliła głowę i zaszlochała.

Z pobliskiego drzewa sfrunął Craff i wylądował przy nich. Z przekrzywioną główką wpatrywał się w dwoje starych ludzi, a potem przyskoczył do Briny i oparł dziób o jej nogę.

Gwenith była już w stanie usiąść. Gar podtrzymywał ją i podawał jej wodę, a ona piła małymi łydkami. Corban przypadł do niej i objął ją mocno.

– Myślałem, że zginęłaś – powiedział, a nowe łzy natychmiast napłynęły mu do oczu.

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. – Gwenith uśmiechnęła się do niego słabo.

Edana siedziała z Marrockiem i bladym jak ściana Vonnem, który oparł się o pień drzewa i ścisnął złamaną kostkę. Marrock trzymał rękę na kolanie; bandaż, którym owinięto jego kikut, nasiąknął świeżą krwią. Corban chodził wśród uciekinierów, przyglądał się ich ranom i wyciągał maści i bandaże z pozornie nieskończonych zasobów Briny. W końcu obejrzał też Burzę. Wilkunica była pokryta dziesiątkami nowych ran, zadanych pazurami i kłami członków obcej watahy, ale wszystkie okazały się powierzchowne i żadna nie zagrażała jej życiu, pod warunkiem, że będą utrzymane w czystości.

– Dzielna dziewczynka – szepnęła jej do ucha, przemywając skaleczenia. Burza trąciła go nosem i polizała po policzku.

Farrell stał nad ciałem swego ojca, leżącym na skraju polany, tam, gdzie go pozostawił.

– Wzniosę tu nad nim kopiec – powiedział.

– Pomogę ci – zaproponował Corban.

– Wszyscy ci pomożemy – dodała Edana.

Ułożyli Heba i Anwartha obok siebie, a potem ci, którzy byli w stanie, zaczęli znosić głązy i kamienie z okolicy. Gdy ostatnie znalazły się na miejscu, uwagę Corbana przyciągnął nowy odgłos przypominający szelest i drapanie. Burza postawiła uszy i wbiła wzrok w zawiniątko na ziemi, które zaczęło się poruszać. Coś było w środku.

Ten ptak!, przypomniał sobie Corban.

Brina upchnęła go pod płaszczem i zapewne wypadł podczas walki. Chłopak ostrożnie rozchylił poły, a ze środka wyrzał na niego rozczochrany kruk. Chciał zatrzepotać skrzydłami, ale jedno z nich nadal wisiało bezwładnie. W krakaniu słychać było ból.

Corban wyciągnął rękę, a ptak dziobnął go w palec. Na skórze natychmiast pojawiła się kropelka krwi. Burza zawarczała. Kruk dzwignął się na obie nóżki i odskoczył od wilkunicy, ale Dath i Farrell zdołali go pochwycić.

– Crafa, znasz tę wronę? – spytał Farrell.

– Jestem krukiem! – zakrakał ptak z rannym skrzydłem, ewidentnie urażony.

Crafa przyfrunął bliżej i przez moment oba ptaki przyglądały się sobie w milczeniu, po czym nagle obcy doskoczył do Crafa i zaczął go dziobać. Towarzysz Briny zakrakał i zamachał skrzydłami, odpędzając przeciwnika.

– Ani się waż! – krzyknęła Edana, która przypadła bliżej, złapała kruka i unieruchomiła mu skrzydła.

– Puszczaj! Puszczaj! Puszczaj! – darł się obcy kruk. Vonn parsknął śmiechem.

– Po co? – spytała Edana. – Byś znów mógł zaatakować naszego Crafa? Nie, nie puszczę cię. Co więcej, spróbuj mnie tylko dziabnąć, a ukręcę ci łeb!

Kruk, który wił się w ramionach dziewczyny i próbował się wyrwać, naraz znieruchomiał.

– O, lepiej. Nie ma wątpliwości, że daleko nie polecisz, bo masz ranne skrzydło, które pewnie cię boli. Pomogę ci, ale tylko jeśli będziesz się

zachowywał jak należy. Nie wolno ci atakować mnie ani nikogo z moich towarzyszy, łącznie z Craferem.

Ptaka wpatrywał się w nią z niechęcią.

– To jak będzie? Mam się zająć twoim skrzydłem? Bo chyba nie chcesz już nikogo zaatakować, co? Wiesz, czym to grozi.

– Czy ona próbuje się dogadać z wroną? – szepnął Dath do Corbana.

– Tak – odparł chłopak. – A tak w ogóle to kruk.

– Sam zadecyduj – dodała Edana i postawiła ptaka na ziemi.

Ten stał przez chwilę, wpatrując się w dziewczynę, po czym zwiesił łeb.

– Przepraszam – wymamrotał.

– A więc w porządku – powiedziała Edana i nachyliła się, by przyjrzeć się ptasiemu skrzydłu.

Rozległ się tętent zbliżających się kopyt i między drzewami pojawili się jeźdźcy. Wracali Rath i pozostali uczestnicy pościgu.

– Dorwaliście ich? – spytał Halion.

– Nie. Uciekli już do Cambrenu. Podążylibyśmy za nimi, ale zarówno w górach, jak i na trakcie widać patrole wojowników Rhin. Coś się dzieje.

– Pewnie chodzi im o nas – stwierdził Camlin.

– Cóż, a więc chyba czas pogadać – rzekł Rath. Zsunął się z siodła i podszedł do Haliona.

Towarzysze poszli w jego ślady i obie grupy zgromadziły się wokół nich, chcąc posłuchać rozmowy. Halion opowiedział Rathowi o upadku Dun Carreg, ich ucieczce przez morze, wylądowaniu w Cambrenie i perypetiach, które doprowadziły ich aż tutaj. W trakcie opowieści Haliona Edana powstała i podeszła do niego. Gdy wojownik skończył mówić, na polanie zapadła cisza.

– Od początku wydawało mi się, że skądś cię znam, pani, choć wcześniej widywałem cię czystą – rzekł Rath, po czym pochylił głowę i uniósł dłoń dziewczyny do swych ust.

Nie wygląda na obytego z dworską etykietą, pomyślał Corban.

Edana najprawdopodobniej doszła do podobnego wniosku, gdyż na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.

– Odprowadzę was do Dun Taras i Eremona – dodał Rath. – Możecie wreszcie odpocząć. Nic wam już nie grozi.

Póki co, pomyślał Corban.

– Słyszeliście, chłopaki? Mamy wśród nas królową! Okażcie jej szacunek!
– zawołał Rath i ukłonił się jeszcze niżej, a jego szorstcy weterani uczynili to samo. Niektórzy zaklaskali, inni huknęli na wiwat. Jedynie Coralen stała nieruchomo, a na jej czole pojawiła się zmarszczka.

– No i witaj w domu, Halionie – dorzucił Rath. – Ojciec ucieszy się na twój widok.

– Doprawdy?

– Cóż, wkrótce się tego dowiemy. Ja w każdym razie się cieszę.

– Ja też. – Coralen uśmiechnęła się szeroko.

Później wszyscy zgromadzili się wokół kopca, usypanego nad ciałami Heba i Anwartha. Edana powiedziała kilka ciepłych słów, nie kryjąc łez, które płynęły jej po policzkach. Farrell stał obok niej z pochyloną głową.

Właśnie stracił ojca, uświadomił sobie Corban.

Wiedział, co czuje przyjaciel. W jego sercu odezwało się odległe echo bólu, który obezwładnił go w chwili śmierci Thannona. Spojrzał na Farrella ze współczuciem.

Czy oni zginęli jako ostatni? Czy jesteśmy już bezpieczni?

Miał nadzieję, że tak właśnie było. Stracił rachubę, ilu ludzi zginęło od czasu tej potwornej nocy w Dun Carreg, a teraz, gdy spoglądał na kurhan Heba i Anwartha, poczuł w sobie pustkę i odrętwienie. Zawsze bardzo lubił Heba – jako młody chłopak uwielbiał jego opowieści, w których kryło się tyle magii, a w trakcie ich wędrówki zbliżył się do mężczyzny, zaczął traktować go jako mentora i przyjaciela. Mimo to nie uronił nawet łzy.

Czyżbym uodparniał się na śmierć?, pomyślał, wstrząśnięty tą świadomością.

Pamiętał śmierć swego przyjaciela Dylana i morze łez, które wówczas wylał. Pamiętał przytłaczającą rozpacz po śmierci ojca i wielu innych poległych w bitwie o Dun Carreg. Życie ludzkie nagle okazało się kruche i ulotne, a on przestał jedynie patrzeć na śmierć, ale sam zaczął ją zadawać.

Nie zliczę, ilu ludzi zabiłem, uświadomił sobie, wstrząśnięty. Czym ja się staję?

Spoglądał na twarze przyjaciół pogrążonych we własnych myślach. Głos Edany odpłynął gdzieś daleko i przestał być zrozumiały.

Przeniósł wzrok na Brinę, która naraz wydała mu się starsza i bardziej

krucha niż kiedykolwiek wcześniej. Na jej twarzy malowała się rozpacz. Wreszcie poczuł, jak w jego sercu pojawia się ból. Było mu przykro z powodu cierpienia tej oschłej staruszki o ciętym języku, którą nauczył się kochać. Miał ochotę podejść bliżej i ścisnąć jej dłoń czy coś podobnego, ale cisza, która zaległa nad polaną, stała się naraz czymś niemalże materialnym. Corban wyczuwał w niej czystość, wręcz świętość i ani drgnął, bojąc się ją zburzyć. Po jego policzku spłynęła łza.

Po chwili ludzie Ratha sprowadzili swe konie. Sam Rath oraz dwóch innych wojowników, w tym jednooki mężczyzna zwany Bairdem, oddali wierzchowce Edanie, Brinie i Gwenith. Craf przycupnął na siodle Briny, a czarny kruk z prowizorycznie opatrzonym skrzydłem trzymał się Edany.

Coralen zawróciła konia i podjechała do Haliona.

– A gdzie jest Conall? Dlaczego pozostał w Ardanie? Chyba nie pokłóciliście się znowu?

– Padł – rzekł Halion.

Zdradził nas wszystkich i zabił Cywen, pomyślał Corban.

W oczach Coralen pojawiła się zgroza.

– Zawsze myślałam, że jest niezniszczalny! Że będzie żył wiecznie...

– Ja byłem innego zdania – rzekł Rath, jadący w pobliżu.

– W jaki sposób... Czy zginął dobrą śmiercią? – spytała Coralen drżącym głosem.

– Nie – wtrącił się do rozmowy ktoś inny. Gwenith.

– Nie teraz – powiedział Halion. – Proszę, tylko nie to.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – warknęła Coralen.

– Złożona sprawa. Kiedy indziej ci to wyjaśnię – odparł Halion.

– Nie. Ona mi to wszystko wyjaśni. – Coralen podjechała bliżej do Gwenith. – Nieprawdaż?

Gar znalazł się między nimi.

– Daj jej spokój, dziewczyno.

– Nikt nie będzie mi mówił, co mam robić – oznajmiła Coralen. – A kim ty niby jesteś?

Ma temperament swego brata, uświadomił sobie Corban, widząc rumieniec na jej policzkach.

Burza warknęła. Coralen zerknęła na drapieźnika.

– Hał, z kim ty się właściwie zadajesz? Co to za ludzie? Miłośnicy ptaków i poskramiacze wilkunów?

– Ona nie jest oswojona – wtrącił Corban.

– Będzie z niej dobry płaszcz. Nie zmarznę zimą.

Jej słowa obudziły w Corbanie gniew.

– Dość już tego, dziewczyno! – Rath podjechał bliżej.

– Ale...

– Dość, Cora. Jedziemy!

Wpatrywał się w nią do chwili, gdy spuściła wzrok, a ogień w jej oczach przygasł. Szarpnęła za wodze i pojechała przodem.

– Wkrótce będę chciał usłyszeć więcej o Conallu. – Rath zwrócił się do Haliona. Nie była to prośba.

– Usłyszysz.

– Trzeba przyznać, że Cora ma rację. Wybrałeś sobie dziwne towarzystwo. – Rath omiół wzrokiem Burzę i oba czarne ptaki. – Chłopcze, to zwierzę nie pożre chyba nikogo z moich ludzi, co?

– To ona, a nie „to zwierzę”! – warknął Corban. Gniew wciąż w nim kipiał, a teraz, gdy Coralen odjechała, nie miał na kogo go skierować. Nabrał głęboko tchu. – Ma na imię Burza, a odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie. Nie tknie nikogo, o ile nikt nie podniesie ręki na kogokolwiek z nas. Jesteśmy jej watahą, a ona bywa nadopiekuńcza.

– Będę pamiętać – obiecał Rath.

Corban przywołał Burzę cmoknięciem.

Dobry płaszcz, pomyślał. Jeszcze czego.

Spojrzał na polanę, wznoszący się w jej sercu kopiec oraz rozrzucone wokół ciała wilkunów i olbrzymów. Jego uwagę przyciągnęły zwłoki zwierzęcia o ciemnym futrze i ostrych szponach. Przypomniawszy sobie nocny atak, który odpierał wraz z Burzą.

Dobry płaszcz, powtórzył w myślach. W jego głowie zaczynał kształtować się pewien pomysł.

– Ruszamy! – zarządził Rath.

– Zaczekajcie chwilę! – Corban już biegł przez polanę.

– O co chodzi? – odezwał się Camlin, zakrwawiony, ale wciąż czujny.

– Mam pomysł, ale chyba będę potrzebował czyjejś pomocy – rzekł chłopak, po czym wyciągnął nóż i uklęknął przy zabitym wilkunie.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

VERADIS

Veradis skupił uwagę na mieczach wszystkich trzech przeciwników. Jego ciało automatycznie przeszło z obrony do ataku. Szerokim wymachem odbił dwa ostrza, a potem zawirował i znienacka rąbnął po żebrach trzeciego wojownika. W okamgnieniu uderzył kolejnego po nadgarstku, wysyłając jego broń wysoko w powietrze. Wówczas pozostał mu już tylko Bos, wyższy od niego i potężniejszy. Veradis naparł na niego i zasypał go gradem ciosów. Każdy z nich, oszczędny, bezbłędnie zadany i śmiertelnie groźny, płynnie przechodził w kolejny, aż Bos potknął się i przewrócił. Młodzieniec przytknął koniec miecza treningowego do jego gardła.

– W porządku, wygrałeś – powiedział Bos z humorem. Wyciągnął rękę, a Veradis pomógł mu wstać. – Myślę, że stajesz się coraz szybszy – dodał, ścierając pot z łysej czaszki. Pokazał mu dwóch pozostałych orlich gwardzistów, którzy brali udział w walce. Jeden rozcierał sińce na klatce piersiowej, a drugi masował nadgarstek.

– Czuję, że nie mam wyboru – odparł Veradis.

Wiedział, że wszystkie dotychczasowe bitwy zakończyły się zwycięstwem, ale mimo to nowa sytuacja budziła w nim niepewność, a głos z tyłu głowy nakazywał mu, by szykował się na wszystko, by zawsze był w gotowości. Nie miał pojęcia, na co ma się gotować, ale nauczył się już słuchać tego głosu. Być może powodem był nadmiar polityki, co zawsze źle znosił, być może wzburzył go pojedynek między Conallem i Morcantem. Nie ulegało wątpliwości, że obaj byli mistrzami oręża, a sytuacja w tych krainach wydawała się płynna i niestabilna, wręcz chaotyczna. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, że któregoś dnia będzie musiał zmierzyć się z jednym z nich lub innym równie utalentowanym

wojownikiem w Sądzie Mieczy i chciał być na to gotowy.

Trening odbył się na szczycie wzgórza bronionego podczas bitwy, od której upłynęły już dwa dni. Nastął łagodny poranek, a ostry wiatr od morza przynosił słony posmak. Powietrze było chłodniejsze niż zwykle, co oznaczało, że lato niebawem rozpocznie swój odwrót. Nadciągała jesień.

W dolinie u stóp wzgórza Veradis widział Jehar, którzy odbywali swój rytualny taniec miecza. Widok ten wywarł na nim wielkie wrażenie już podczas powrotu z lasu Forn, kiedy w treningu brało udział zaledwie kilkuset wojowników. Teraz patrzył na dwa tysiące ludzi, którzy stali w równo wytyczonych szeregach i z niebywałą precyzją jednocześnie wykonywali te same ruchy.

Inspirujące, pomyślał. Mam niemalże ochotę dołączyć do nich.

Poza Jehar w dolinie było już pustawo. Spora część hufca Rhin odmaszerowała poprzedniego dnia z zadaniem utrzymania porządku w Narvonie. Veradis obserwował ich wymarsz i patrzył, jak znikają na horyzoncie. Dziwne, że spośród wszystkich tych ludzi najlepiej zapamiętał twarz Braitha, który wyruszył przed głównymi siłami Rhin. Bez wątplenia wybierał się na misję zwiadowczą, gdyż zabrał ze sobą sforę psów oraz około dwudziestu srogo wyglądających siepaczy.

– Jaki mamy plan? – spytał Bos, podchodząc do Veradisa.

– Zwijamy dziś obóz i wracamy do Dun Carreg. Tam wsiadamy na okręty i płyniemy do Cambrenu, gdzie pomożemy królowej Rhin zdobyć jeszcze więcej ziem.

– Stajemy się w tym coraz lepsi – rzekł Bos. – Wiesz, w zdobywaniu krain dla innych władców.

– Tak, ale to odpowiada Nathairowi. Poza tym jesteśmy tylko żołnierzami. Idziemy tam, gdzie nam się wskaże.

– Otóż to.

– Ale przed wymarszem urządzimy jeszcze chłopakom krótki trening. Skrzyknij wszystkich. Ja dołączę niebawem.

Veradis nie chciał, by jego drużyna straciła choć jeden trening walki w murze tarcz. Po spotkaniu z Nathairem i Rhin był niemalże przekonany, że wkrótce znów ruszą do bitwy. Przeszedł wzdłuż rzędów prowizorycznych namiotów, ciągnących się na obrzeżach obozu.

Zajmowali je wszyscy ci, którzy towarzyszyli maszerującym wojownikom – żony, kochanki, dzieci, kowale, rymarze, zbrojmistrze, browarnicy, dziwki i przedstawiciele każdej innej profesji, która zarabiała na siebie dzięki bliskości wojska. Przechodził między namiotami, pochylając się pod linkami, aż znalazł to, czego szukał. Najpierw uderzyła w niego fala gorąca, a potem ujrzał wysokiego, żylastego mężczyznę przy miechu. Każde dmuchnięcie rozniecało trzaskający ogień. Przez moment stał i przyglądał się pracującemu.

– Proszę – rzekł kowal, gdy dostrzegł go, i rzucił mu parę butów. – Nadadzą się?

Veradis uważnie przyjrzał się jednemu z nich. Kowal wszył w obuwie długie paski żelaza, które chroniły przód oraz boki stopy. Paski wydawały się stosunkowo cienkie, ale na pewno były w stanie wytrzymać uderzenie miecza.

– Myślę, że to wystarczy – powiedział Veradis.

Wciąż nie mógł zapomnieć ran, jakie odnieśli wojownicy, i wzmocnione żelazem buty wydawały się na to najlepszym remedium.

– Potrzebuję dwa tysiące takich par – dodał.

Kowal wybałuszył oczy.

– Potrzeba mnóstwo butów i jeszcze więcej żelaza! – zawołał, po czym zamyślił się na moment. – Dobra. Jeśli załatwisz buty, ja pozyskam żelazo. Po dobrej cenie!

To nie będzie stanowiło problemu, pomyślał Veradis. Przecież wszyscy polegli wojownicy Owaina nosili buty.

– A ile czasu ci to zajmie? – spytał. – Potrzebowałbym ich wszystkich za dziesięć dni.

* * *

Veradis szedł do namiotu Nathaira. Maszerowali od dwóch dni i Dun Carreg było już widoczne daleko na horyzoncie, ale młody wojownik czuł się zmęczony, znużony i ociężały. Nie zaznawał w nocy wiele snu, gdyż przeszkadzały mu koszmary. Ściślej zaś mówiąc, jeden koszmar. Zawsze ten sam. Widział w nim martwego króla Mandrosa, który spoglądał na niego z oskarżeniem w oczach i wyzywał od morderców.

Przecież on nikogo nie zamordował!

Mandros jednakże nie poprzestawał na tym i oskarżał Nathaira o zabicie Aquilusa...

Veradis przetarł oczy.

Namiot Nathaira stał w cieniu drzew, niedaleko zagrody, którą wzniesiono dla jego draiga.

Dzięki Elyonowi, na tyle daleko, że nie czuć stąd tego smrodu, pomyślał Veradis.

Było wcześniej, więc zdziwił się, widząc pusty namiot, choć na straży nadal stało dwóch wojowników Jehar.

– Gdzie jest król? – zapytał ich, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Zawrócił, zastanawiając się, gdzie też Nathair mógł się podziać, gdy król nagle się zjawił. Szedł w stronę namiotu z nieodłącznym Sumurem, który towarzyszył mu, idąc kilka kroków za nim.

– Wcześniej wstałeś – powiedział Veradis do Nathaira, który burknął coś pod nosem i zaprosił go do środka. – Coś się stało?

– Tak – rzekł król.

Veradis przyglądał mu się, zaintrygowany.

– Właśnie wracam z namiotu Rhin – odparł młodzieniec.

– A więc to naprawdę ważna sprawa, skoro wezwała cię tak wcześniej.

Nathair wbił wzrok w przyjaciela. Na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie.

– Spędziłem tam całą noc, Veradisie.

– Och – bąknął ten i zamilkł.

Ohyda, pomyślał.

– Piliśmy za nasz sojusz. – Nathair potarł skronie. – I jakoś tak... Jedno doprowadziło do drugiego. Rhin potrafi być bardzo przekonująca.

– Nie musisz mi niczego wyjaśniać – rzekł szybko Veradis.

– Nigdy już nie tknę tego miodu! – Nathair spojrzał na niego, rumieniąc się. – Nawet niespecjalnie mi smakuje!

– Mniejsza o to – uciął Veradis. – Jak masz w zwyczaju mawiać, mam nadzieję, że to wszystko dla większego dobra.

Nathair parsknął śmiechem.

Nieco wymuszona ta twoja wesołość, pomyślał Veradis.

– Z czym do mnie przychodzisz? – spytał król.

– Chciałem porozmawiać z tobą o tym, co ostatnio mnie dręczy.

– Usiądź więc. – Nathair wskazał mu krzesło. – A co cię dręczy?

Veradis uświadomił sobie nagle, że właściwie nie ma pewności. Nie mógł podać żadnych faktów. Po prostu od bitwy w lesie Forn nękało go osobliwe, nieprzyjemne przecucie.

– Martwię się – rzekł.

– Mów, proszę cię.

Veradis spojrział na Sumura, który stał za plecami Nathaira niczym bezszelestny cień.

– Sumurze, zaczekaj na mnie na zewnątrz.

Jehar nawet nie drgnął.

– Veradis to mój najstarszy przyjaciel i najwierniejszy towarzysz. Prędzej własna matka podniosłaby na mnie rękę niż on. Proszę, wyjdź.

Sumur w milczeniu opuścił namiot, obrzucając Veradisa jeszcze jednym spojrzeniem.

– Można mu zaufać – rzekł król – ale czasem tęsknię za moim dawnym życiem, zanim mój ojciec...

Urwał i dotknął zęba draiga, który nosił na szyi. Veradis instynktownie sięgnął ku swojemu, który był wprawiony w rękojeść miecza.

– Prawda – zgodził się. – Wówczas wszystko wydawało się o wiele prostsze. Byłeś ty, byłem ja i był nasz hufiec, walczący ze szlachetnych pobudek.

– To akurat się nie zmieniło, Veradisie.

– Wciąż to pamiętam. – Pierwszy miecz postukał się po głowie. – Ale bywa, że tego nie czuję.

– Mów.

– W lesie Forn wiele się wydarzyło. Mam na myśli to, co zrobił Calidus. Wiesz, chodzi mi o zdradę. O czyny, które kiedyś oboje nazwalibyśmy podłymi. Niegodnymi.

– Chodzi ci o to, co się stało z Romarem.

– Też.

– Romar ustawiał się w opozycji do mnie i moich planów. Stawał się moim wrogiem, a w nadciągającej wojnie wszystkie królestwa wesprą mnie albo staną przeciwko mnie. Nie ma innej alternatywy – oznajmił Nathair i przyjrzał się Veradisowi z zainteresowaniem. – Wiesz, co się

wydarzyło w katakumbach pod Haldis?

– Tylko tyle, że Romar zszedł na dół i nigdy już nie wyszedł, a Calidus i Alcyon mieli z tym związek – odparł Veradis.

A w rezultacie zginął mój przyjaciel Kastell, dodał w myślach. Przypomniały mu się naraz słowa Maquina, który kazał mu uważać, po której stronie się opowie.

– Rozumiem. Calidus powiedział mi, że Romar przejął topór z gwiazdnego kamienia i nie chciał go oddać. Był gotów wykorzystać go przeciwko mnie, a obaj słyszeliśmy o jego mocy. Nie można było na to pozwolić.

Może, pomyślał Veradis. Ale nadal mam wrażenie, że to nie w porządku.

– To nie wszystko, co masz mi do powiedzenia, prawda? – odezwał się Nathair. Jego słowa w niczym nie przypominały pytania.

– Chodzi o Jaela. Nie lubię go i nie ufam mu. Powiedziałeś mi, bym pozostawił politykę Calidusowi, co uczynię z wielką ochotą, wierz mi...

– Ale?

– Ale... Cóż, jego dobór sojuszników... – Veradis potrząsnął głową.

Nathair rozparł się na krześle. Na jego twarzy zaszła zmiana i przez moment Veradis widział w nim swego przyjaciela sprzed czasów, gdy na jego barkach spoczęła korona oraz proroctwo.

– Zgadza się z tobą i sam również gryzłem się z tym tematem, i nie tylko z tym, przez niejedną noc. Niemniej za każdym razem powracałem do tego samego wniosku. Przecież Calidus to jeden z Ben-Elim oraz sługa Elyona. Wszyscy widzieliśmy jego przemianę, a ja jej nigdy nie zapomnę. Istnieją też inne, przekonujące argumenty, jak choćby to, że nasz sojusz jest kruchy, a w tej chwili nie mam władzy, która pozwoliłaby mi stworzyć imperium. Mam nadzieję, że to się kiedyś zmieni, ale póki co naszą przyszłość tworzy sojusz oraz polityka, a polityka polega na kompromisie. Sam nie lubię Jaela i nie aprobuję wielu rzeczy, których dokonano dla mojej sprawy, ale wszystko to czynimy dla większego dobra.

Dla większego dobra, pomyślał Veradis. Ile razy sam to sobie powtarzałem?

Nathair urwał i się uśmiechnął.

– Twój wyraz twarzy mówi mi, że borykasz się z takimi samymi myślami i w istocie byłyby one przygnębiające, gdyby nie to, że mamy

ze sobą Calidusa. Pamiętasz, co widzieliśmy w Telassar? To sługa Elyona! To wspomnienie zawsze dodaje mi sił w chwilach zawahania. To dzięki niemu nadal trzymam się obranego kursu. Mam nadzieję, że i tobie to pomoże.

Veradis w istocie pamiętał przemianę Calidusa i wciąż czuł wstrząs, którego doświadczył na widok starca przeistaczającego się w skrzydlatego wojownika.

– Pomaga – odparł. – Ale ja...

– Wiem. Wojna obarcza nas wszystkich wielkim brzemieniem. Żywoty, które gasimy, by realizować nasz plan, wybory, których dokonujemy...

Veradis nie wiedział, co odpowiedzieć. W głowie miał mętlik.

– Dziękuję ci, przyjacielu – rzekł Nathair. Wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na nadgarstku młodzieńca.

– Za co?

– Za twą szczerość. Nie znam nikogo, z kim mógłbym rozmawiać równie otwarcie jak z tobą. Rozmowa pomaga, prawda? Krystalizuje problemy i rozwiązania.

– Fakt.

W istocie dzięki rozmowie Veradis poczuł się lepiej. Ulżyło mu na wieść, że jego przyjaciel podziela te same zmartwienia i wątpliwości, a dręczący go od tak dawna niepokój przygasł nieco.

– Prowadźmy więc dalej naszą wojnę ze świadomością, że nasza sprawa jest słuszna, a cel istotny.

– A więc naprzód – odparł Veradis.

* * *

Veradis stał na kamienistym wzgórzu, z którego rozciągał się widok na zatokę Dun Carreg. Transportowce Vin Thalun zostały już niemalże załadowane, a na ich pokładach zmieszczono ponad trzy tysiące wojowników. Nie było miejsca dla wszystkich, a więc ustalono, że statki zawrócą po resztę. Wiele wskazywało na to, że długo czekać nie będą. Od wybrzeży Cambrenu dzielił ich dzień żeglugi, kolejny dzień był potrzebny na rozładunek i jeszcze jeden na powrót, co wciąż oznaczało, że taka przeprawa była krótsza od marszu.

Zawołano go, by sam również wszedł na pokład. Większość jego ludzi została już zaokrętowana i Veradis zatrzymał przy sobie jedynie garstkę wojowników. Wszyscy zeszli na plażę i weszli na drewniany pomost, na końcu którego czekał szeroki trap. Nowe buty młodzieńca dudniły ciężko. Wciąż nie do końca się do nich przyzwyczał, a jego ludzie już gderali, ale nowy pomysł miał uratować ich przed śmiercią. Obok niego szedł Bos, a dalej Rafe, młody wojownik z Dun Carreg. Calidus poprosił bowiem Evnisa o kogoś, kto rozpozna Corbana, gdy na niego natrafią. Za Rafe'em szła Cywen ze związanymi rękami. Spojrzenia, jakimi go obrzucała, świadczyły o tym, że nie łączyła ich wielka przyjaźń. Przynajmniej nie próbowała go zabić. Ani jego, ani kogokolwiek innego.

Veradis tłumaczył to sobie tym, że oddał jej ozdrowiałego konia, do którego była najwyraźniej bardzo przywiązana, w zamian za obietnicę dobrego sprawowania się. Zobowiązał się nawet zabrać go do Cambrenu. Nie był to wielki problem, gdyż dziewczyna i tak potrzebowała jakiegoś wierzchowca. Uśmiechnęła się, gdy złożył jej tę propozycję, a poprosił ją o to tylko po to, by zarzuciła kolejne próby ucieczki. Prośba była uzasadniona, bo pierwszej doby po klęsce Owaina Cywen usiłowała uciec czterokrotnie, a Veradis był już znużony tym, że nie można ani na moment spuścić jej z oka. Dziewczyny zawsze musiał pilnować ktoś na tyle bystry, by nie dał się przez nią zmylić.

Jej dobry humor prysnął rano, gdy uświadomiła sobie, że Morcant ma pozostać w Ardanie jako wojewoda Evnisa. Na jej twarzy zagościła ponura, wściekła mina. Milczała zawzięcie, bez wątpienia obmyślając nowe, oryginalne sposoby na wywiercenie kolejnych dziur w skórze Morcanta.

– Nie ma mowy – powiedział do niej Veradis, gdy wchodzili po trapie. – Opuść sobie.

Od razu się domyśliła znaczenia jego słów.

– On zabił mężczyznę, z którym byłam zaręczona – powiedziała. – Nigdy sobie nie odpuszczę.

Veradis jej uwierzył.

Cieszę się, że nigdy jej nie znalazłem za skórę, pomyślał. Nie zaznałbym wiele snu w nocy.

Stanęli przy relingu i patrzyli na flotę, która powoli wypływała z zatoki.

Rzędy wiosel rytmicznie zanurzały się w wodzie i wynurzały z niej. Veradis wypatrzył Rhin, która stała na tym samym wzgórzu, z którego przed chwilą zszedł. Miała przy sobie Conalla, a kilka kroków dalej stali Ewnis i Morcant.

Do zobaczenia, Ardanie, pomyślał Veradis i z rozmysłem odwrócił się, by spojrzeć naprzód, na rzędy żeglarzy, płataninę takielunku i połącie żagli, na otwarte morze, ciągnące się za zatoką.

Ruszamy do Cambrenu, powiedział sobie. Gdzie czeka nas kolejny rozlew krwi w imię większych praw, gdzie wypełnię swe przeznaczenie jako najbardziej zaufany sługa Jasnej Gwiazdy Elyona.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

FIDELE

Fidele ruszyła po schodach w ślad za Ektorem. Blask pochodni odbijał się od łysiny na jego głowie. Najmłodszy syn barona Ripy prowadził ją do podziemi pod wieżą, gdzie znajdowała się biblioteka. Otaczająca ich cisza, intensywna, niemalże dusząca, pogłębiała się, im dłużej szli, aż było słycać jedynie ich kroki oraz trzask palących się pochodni. Tuż za Fidele człapał ciężko Orcus.

Wreszcie Ektor zatrzymał się przed drzwiami i przez moment gmerał w poszukiwaniu klucza, a potem wprowadził królową do środka.

Panował tam mrok. Mężczyzna zapalił świecę, po czym zaczął otwierać latarnie i zaświecać kolejne. W miarę, jak stawało się coraz jaśniej, Fidele wypatrzyła kontur łóżka, stołu i kilku stojących wokół krzeseł, a gdy blask świec wypełnił całe pomieszczenie, z trudem powstrzymała okrzyk zaskoczenia.

Otaczał ją nieład – widziała rozrzucone na podłodze koce, spleśniałe owoce i miski z nadgniłym jedzeniem – ale kilka kroków dalej zaczynały się cuda. Biblioteka, jak ją nazywał Ektor, okazała się ogromną skalną ścianą, w której wydrążono setki kwadratowych otworów. Do tych znajdujących się wyżej prowadziły drabiny. Gdy mężczyzna zapalił kolejne latarnie, okazało się, że alków jest jeszcze więcej. Ich rzędy ciągnęły się daleko i nikły w półmroku, a z każdej wystawały końce zwojów.

Widok w istocie jej zaimponował. Od chwili, gdy Lamar i Ektor wspomnieli o bibliotece podczas ich narady, Fidele nie mogła się doczekać, aż tam zejdzie, ale czas niestety wypełniły jej niekończące się obowiązki, głównie związane z zamykaniem jam gladiatorów Vin Thalun. W rezultacie pozostała w Ripie o wiele dłużej, niż początkowo zakładała.

Nie przeszkadzało jej to zbytnio; doszła do wniosku, że podoba się jej tutaj. Morskie powietrze niesło świeżość, której na próżno było szukać w Jerolin, a po powrocie do domu musiałyby znów zmierzyć się ze wspomnieniami. Mogła jednakże odepchnąć ten moment jeszcze odrobinę.

– Proszę, usiądź tu – powiedział Ektor, przysuwając krzesło i odgarniając resztki ze stołu.

– Mieszkasz tu? – spytała Fidele, próbując zamaskować obrzydzenie w swym głosie.

– Oczywiście – odparł i spojrzał na nią, jakby pytanie nie miało większego sensu. – W przeciwnym razie spędziłbym pół życia, chodząc tam i z powrotem.

– Tak, jasne. A więc sądzisz, że znajdują się tu wskazówki odnośnie Wojny Bogów i samego Meicala?

– Tak – rzekł Ektor z widocznym ożywieniem. Podbiegł do jednej z drabin i wspiął się wysoko, jedną ręką nadal trzymając latarnię. – Pamiętaj jednak, że wszystko, co tu się znajduje, zostało spisane przez olbrzymy Kurgan, a więc źródła nie są do końca obiektywne, a przez to również nie całkiem dokładne, ale tak czy owak zawierają sporo prawdy.

– Kurgan byli klanem olbrzymów, który rządził tymi ziemiami?

– Tak. Jednym z pięciu klanów, które przeżyły Plagę – odparł Ektor z roztargnieniem. – Gdy nasi przodkowie, Wygnańcy, wylądowali na tych wybrzeżach, istniało nadal pięć klanów olbrzymów, z którymi należało się liczyć. Południem władali Kurgan, północą Jotun, Benothi zachodem, Shekam wschodem, a Hunen mieszkali w centrum, gdzie dziś mamy Helveth, Carnutan i Forn.

Ektor powrócił z naręczem zwojów. Pierwszy, który rozwinął, okazał się mapą.

– Spójrz. – Wskazał punkt. – Oto Ripa, i tu właśnie rządzą Kurgan.

Zakreślił krąg palcem. Fidele pokiwała głową, zaintrygowana mapą. Widziała Ripę, Jerolin, las Forn i wiele innych miejsc, w tym takie, o których nie miała pojęcia.

– Kurgan chętnie spisywali swą historię i w tym pomieszczeniu leżą głównie dzieła historyczne, z których większość dotyczy czasów po Pladze. Opisywali w nich wojny między klanami, swe codzienne życie i wiele

innych spraw, które z pewnością by cię znużyły.

– Wyobrażam sobie. Przeczytałeś tu każdy zwój?

– Tak, przynajmniej raz, ale jest tu ich tyle, że treści niektórych już nie pamiętam. Pewnie minie trochę czasu, zanim znajdę to, czego szukam. Pamiętam jeden konkretny zwój. Podczas lektury odniosłem wrażenie, że jest natury bardziej filozoficznej niż historycznej, ale...

– Dobrze, zacznijmy może od tego, co już masz.

– Tak, tak... – Ektor przerzucał jeden zwój za drugim, aż znieruchomiał, biorąc do ręki kolejny. – To nie ten, o którym mówiłem, ale na pewno...

Rozwinął go i przejechał wzrokiem po prastarym piśmie.

– Proszę, mam. Odniesienie do Halvora. To ów olbrzym, o którym mówiłaś. Wspomniał o nim również Nathair podczas swej wizyty. To on jest autorem przepowiedni. Posłuchaj zresztą: „Odbudowaliśmy Balarę, ale Taur i Haldis zostały utracone. Przejęli je Hunen, podobnie jak Drassil, ale nigdy go nie odnajdą, jeśli wierzyć słowom Halvora”. Myślę, że chodzi tu o konflikt graniczny między Kurgan i Hunen. Halvor jest często wspominany w ich opracowaniach, a w niektórych nazywa się go Głosem. Wygląda na to, że był doradcą pierwszego króla olbrzymów, Skalda, ale jakimś cudem przeżył Plagę i dotarł do Drassil, miasta olbrzymów, które rzekomo leży w sercu lasu Forn.

– Był doradcą pierwszego króla olbrzymów, a mimo to żył długo po Pladze – zauważyła Fidele. – Ileż on mógł mieć lat? To chyba największy z moich problemów. Trudno stwierdzić, w którym miejscu kończą się fakty, a zaczyna baśń. Wierzę w wiele rzeczy, o których się mówi. Wierzę w Elyona, Asrotha i Wojnę Bogów, bo widziałam zbyt wiele, by to podważyć, ale niektóre szczegóły... Cóż, czy naprawdę jest sens we wszystko to wierzyć?

– Olbrzymy często poruszają temat długowieczności – odparł Ektor. Aż kipiał rzadkim u siebie entuzjazmem. – Jeśli opowieści mówią prawdę, swego czasu zarówno ludzie, jak i olbrzymy żyli wiecznie, ale Elyon odarł nas z nieśmiertelności, by pokarać nas za pierwsze morderstwo. Chodzi o króla olbrzymów Skalda, który został zabity przez swego brata Dagdę. Mimo to nawet później pojawiały się liczne wzmianki na temat olbrzymów, które żyły nieprawdopodobnie długo. Gdzieś tu była mowa o Nemain.

Znów zaczął przeglądać zwoje. Chwila ciszy się przeciągała.

– Skoro pamiętasz to tak dobrze, nie musisz sprawdzać każdego szczegółu. – Fidele powoli traciła cierpliwość.

– Dobrze, w porządku. – Ektor odłożył zwoje. – W innych dokumentach, sporządzonych, o ile się nie mylę, tuż przed przybyciem naszych przodków, Nemain zostaje wymieniona jako królowa Benothi, klanu olbrzymów, który rządził zachodem do chwili, gdy uległ Wygnańcom, choć ich resztki nadal władają północno-wschodnim krańcem.

– I co z tego?

– Nemain była żoną Skalda, pierwszego króla. Chronologia nie jest tu zbyt precyzyjna, ale wedle wszelkich rachub liczy sobie ponad dwa tysiące lat.

– A więc to zapewne inna Nemain. Może to tytuł zaszczytny?

– Olbrzymy tego nie robią. Nigdy nie przyjmują imion swoich rodaków, bo twierdzą, że to zsyła przekleństwo.

– Ale to przecież niemożliwe!

– Tylko tak ci się wydaje.

– A więc to jakiś błąd w zwojach – upierała się Fidele.

– Olbrzymy słyną z drobiazgowości i wszelkie niekonsekwencje w ich tekstach należą do rzadkości.

Ektor urwał i przez chwilę przyglądał się królowej, jakby się zastanawiał, ile jest w stanie zrozumieć.

Bądź ile jestem godna usłyszeć, pomyślała.

Mężczyzna pokiwał głową do siebie i podjął wątek:

– Ale jeśli przekopujemy się przez tajemnice przeszłości i dochodzimy do wniosku, że mity, które wcześniej uważaliśmy za baśnie bądź zwykłe wymysły, mogą być prawdą, a właściwie niemalże na pewno nią są, musimy podjąć temat Siedmiu Skarbów.

– Tak, Aquilus opowiadał mi o nich – powiedziała Fidele, próbując sobie przypomnieć szczegóły ich rozmowy. – Niektóre z nich to broń, prawda?

– Zgadza się – rzekł Ektor i uśmiechnął się szeroko niczym nauczyciel do ulubionej uczennicy.

– Aquilus mówił, że chciałby je odnaleźć i wykorzystać podczas Wojny Bogów. Przydzielił to zadanie Meicalowi.

– Tak, a my wciąż nie wiemy, czy to dobry czy może zły pomysł. Ale co do Skarbów, nie mylisz się wcale. Myślę, że na swój sposób każdy z nich może zostać wykorzystany jako broń, nawet jeśli nie w tym celu powstały. Wszystkie wykonano z gwiazdnego kamienia, czyli gwiazdy, która spadła na ziemię, a jeśli wierzyć opowieściom, obmyślił je Asroth. Każdy z nich dysponował innymi właściwościami bądź mocami. Jeden z nich, kielich bądź puchar, dawał niezwykle długie życie każdemu, kto się z niego napił.

Ektor spojrzał na Fidele z oczekiwaniem.

– Co wyjaśniałoby, dlaczego niektóre z olbrzymów, jak na przykład Nemain, żyją o wiele dłużej od innych – stwierdziła królowa.

– Otóż to.

– Co jeszcze potrafią owe Skarby? Jakie są ich moce?

– Przede wszystkim mamy topór, włócznię i sztylet, które wykonano po rozpoczęciu Wojny Skarbów. To oczywiście tylko i wyłącznie broń, a ich moce polegają na tym, że nigdy się nie tępią ani nie łamią. Ponadto jest kocioł, będący w stanie uzdrowić każdego, kto spożyje z niego posiłek oraz kielich, który przedłuża życie oraz czyni cię silniejszym, szybszym i bardziej odpornym. Na końcu jest jeszcze naszyjnik i torkwes, ale nie pamiętam, co one dają. Muszę się rozejrzeć i poszukać tej informacji.

Mężczyzna obrzucił tęsknym spojrzeniem półki pełne zwojów.

– Ale nie teraz, Ektorze – oznajmiła Fidele.

– Nie, nie. Zajmę się tym później.

– Czy jest jeszcze coś, do czego Skarby były zdolne?

– Cóż, tak naprawdę to ich głównym celem, a raczej głównym zamysłem Asrotha, było rzekomo osłabienie bariery między naszym światem i Zaświatem. Dzięki temu Asroth pragnął przebić się przez barierę i odzyskać cielesną formę. Oczywiście nie było to aż takie proste. Przypuszczam, że musiałyby wpierw zgromadzić sporą grupę popleczników po obu stronach bariery, władającą odpowiednią magią, gotową składać ofiary i robić wiele innych nieprzyjemnych rzeczy. Wtedy oczywiście zainterweniował Elyon, który uznał, że sprawy zabrnęły za daleko.

– Tak, tę opowieść znam dobrze. – Fidele machnęła ręką. Zamyślona, odetchnęła głęboko.

Tyle trzeba się nauczyć, tyle należy zrozumieć, pomyślała, ale gdzieś

z tyłu głowy czuła coraz silniejsze przeświadczenie, że to ważne, oraz narastający entuzjazm, podsycony odrobiną lęku.

– Ty też jesteś skarbem – rzekła. – Twa mądrość jest bezcenna.

Najmłodszy syn Lamara zamrugął.

– Dziękuję – odparł, rumieniąc się.

– Porozmawiajmy teraz o Meicalu i wszystkim, co się z nim wiąże.

– Tak, oczywiście – rzekł Ektor i podszedł do swego stosu zwojów, rozrzuconych teraz na stole. Ujął jeden, przyjrzał się inskrypcji i odłożył go, a potem wziął kolejny. Królowa zauważyła, że w skupieniu wysuwa koniec języka z ust. – Znalazłem – oznajmił w końcu. – Gdy czytałem ten dokument po raz pierwszy, nie zwróciłem na niego większej uwagi, bo uznałem go za wywód filozoficzny, a mnie interesuje głównie historia. Jest również dość ckliwy, bo olbrzymy były, i przypuszczam, że nadal są, melancholijną bandą, ale któż może je winić, wszak mają za sobą serię niewyobrażalnych tragedii: masakry, upokorzenia, porażki, utratę ojczyzny, niemalże całkowitą zagładę...

– Ektorze, zaczynasz głądzić. Naprawdę chciałabym tu zostać przez kolejny księżyc, ale niestety jestem królową i mam wiele innych obowiązków, którymi muszę się zająć. Powróćmy, proszę, do Meicala.

– Tak, racja. Przepraszam. Kilka zdań użytych w tym zwoju zapadło mi jednak w pamięć, a przypomniały mi się, gdy ojciec wypytywał Nathaira o Meicala. Spójrz. – Rozwinął zwój na stole i zaczął czytać, przesuwając palec wzdłuż wersu: – „Toczymy wojny, krwawimy, zdobywamy, budujemy, ale po co to wszystko? Jeśli Halvor się nie myli, wszystko to jest pozbawione znaczenia. Nic nie ma już znaczenia”. – Ektor uniósł głowę. – Widzisz, o co mi chodzi? Klasyczny przykład melancholii.

Fidele przytaknęła, próbując zachować cierpliwość.

– „Halvor twierdzi, że nadchodzą dni końca, ale czemu one przyniosą kres? Erze? Życiu kogoś z nas? Życiu nas wszystkich? Twierdzi, że wszystko się zacznie, gdy białozmije wyleżą ze swoich gniazd, a Skarby dadzą o sobie znać, ale zmije śpią, przykurzone, być może martwe, a Skarby są rozsiane po świecie”.

– Słyszałam niektóre z tych pojęć – odezwała się Fidele. – Meical mówił o gniazdach żmijów i uśpionych Skarbach na radzie u Aquilusa.

– Naprawdę? Dobrze, a więc możemy mieć niemalże pewność, że

odnosił się bezpośrednio do zapisków Halvora. Tymczasem wśród tych dramatycznych wyznań znajdziemy więcej interesujących sygnałów. Posłuchaj: „A co z Pierworodnymi? Gdzie się podzieli? Halvor utrzymuje, że w dniach końca znów zstąpią wśród nas, Wierni i Upadli, wysłannicy o dziwnych oczach, choć obleczeni w ciała z krwi i kości. Jednym z nich będzie Ben-Elim, a drugim niosący grozę Kadoshim. Jednym będzie sługa Niosącego Światło, Czarne Serce, Pająk, który tka sieć, doradca najwyższego króla. Innym przewodnik Setki, Wygnaniec, ten, który zwiastuje grozę”.

Ektor spojrzał na Fidele z zadumą.

– Jak to wszystko rozumieć? – zamyślił się.

– Brzmi to mętnie – przyznała królowa, marszcząc brwi. – I przypomina mi zagadki, nad którymi zwykł ślęczeć mój ojciec. Podoba mi się natomiast ta część o Niosącym Światło.

– Otóż to. Zagadka. Mamy do czynienia z liczącą sobie dwa tysiące lat zagadką. Wysłannik niosący grozę. Czarne Serce. Wygnaniec. Pająk, który tka sieć. Czy któryś z tych terminów jest ci znajomy?

– Tylko Czarne Serce, który pojawia się w innym miejscu przepowiedni.

– Doradca Najwyższego Króla – dumiał Ektor. – Aquilus był Najwyższym Królem, a Meical jego doradcą...

Był, uświadomiła sobie Fidele z narastającym niepokojem, a potem skojarzyła kolejny fakt. Teraz Najwyższym Królem jest Nathair, który ma własnego doradcę!

Niespodziewanie pochwycił ją lęk tak obezwładniający, że zabrakło jej tchu.

– Muszę iść – wymamrotała, po czym zerwała się niepewnie i zachwiała. Miała wrażenie, że przygniata ją i dusi tysiąc kamieni. – Rozwiąż za mnie te zagadki – szepnęła i rzuciła się ku drzwiom, przyciskając dłoń do piersi.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

CAMLIN

Camlin szedł ułożonym z kamiennych płyt traktem olbrzymów, przecinającym zielony pejzaż. Trzymał się tyłów ich niewielkiej drużyny, powiększonej teraz o wojowników Ratha.

Nie było wątpliwości, że byli twardymi, zahartowanymi ludźmi. Coś w nich przypominało mu Braitha oraz jego dawną drużynę ludzi lasu, żyjących z własnego sprytu oraz dobrodziejstw natury. W przeciwieństwie do banitów, w podwładnych Ratha dostrzegał jednakże honor i szlachetność. Wszak narażali swe życie, by trakty były bezpieczne i wolne od plagi olbrzymów.

Od bitwy z olbrzymami i wilkunami w górach upłynęło już dziesięć dni. Wędrowali w równym tempie, ale niezbyt szybko, gdyż większość drużyny Edany szła pieszo. Byli jednak bezpieczni, a przynajmniej na tyle, na ile bezpiecznym może czuć się człowiek na Ziemiach Wygnanych.

Spojrzał w górę. Niebo lśniło błękitem, a słońce, choć lato miało się ku końcowi, nadal świeciło mocno. Był to piękny i pod wieloma względami dobry dzień, więc Camlin zupełnie nie rozumiał, skąd się brał niepokój, który powoli materializował się gdzieś w głębi jego brzucha.

Może to próżność?, myślał. Pamiętał wszak narastające poczucie rozczarowania, które odkrył w sobie po przekroczeniu granicy Domhainu, świadomość, że nie jest już do niczego przydatny. Wiódł tę drużynę i doprowadził ją w bezpieczne miejsce, co dało mu sporo satysfakcji. Nie mógł temu zaprzeczyć.

Już nie jesteś dla nich użyteczny, odezwał się głos w jego głowie. Nie różnią się od innych, przed którymi się pokłoniłeś. Są tacy jak Braith czy Casalu. Interesuje ich tylko własna korzyść, będą korzystać z twoich usług

do chwili, gdy nie będziesz już w stanie dać im nic więcej. Cierpliwości, Camlinie. Jeszcze trochę i całkiem o tobie zapomną.

Złapał się na tym, że marszczy czoło. Bywały chwile, kiedy nie przepadał za tym głosem w swojej głowie.

Dath szedł obok niego, podpierając się cisowym łukiem niczym kijem pielgrzyma. Camlin zauważył, że chłopak mu się przygląda, a potem, w ślad za nim, przenosi spojrzenie na konnych wojowników.

– Ten tam to Baird, wiesz? – rzekł Dath, wskazując plecy jednookiego wojownika.

Z całej gromady zabójców olbrzymów Baird ustępował sławą – lub ponurą reputacją – jedynie samemu Rathowi i nawet Camlin słyszał wiele opowieści o nim przy ogniskach w Ciemnym Borze. Najbardziej znana mówiła o tym, jak ziemie Bairda, który swego czasu był jednym z możnowładców Domhainu, zostały najebrane przez olbrzymy. Agresorzy nie oszczędzili ani jego żony, ani dzieci, ani też nikogo z domowników, a on sam, nieprzytomny od ran, został porzucony w ogarniętym płomieniami dworze. Mimo to przeżył i następnego dnia został odnaleziony przez sąsiadów. Iskra życia ledwie się w nim tliła i, jeśli wierzyć opowieściom, minęło sporo czasu, nim doszedł do pełni sił. Wówczas pożyczył konia, dosiadł go i wjechał w mgły otaczające Benoth, krainę olbrzymów. Nikt nie miał nadziei ujrzeć go ponownie.

Dziesięć noc później Baird wrócił spośród mgieł do Domhainu. Na jego twarzy, od oczodołu po policzek, widniała nowa blizna, ale przy siodle wisiało pół tuzina głów olbrzymów. O tym, co się wydarzyło wśród mgieł, nie opowiedział ponoć nikomu.

– Wiem – odparł Camlin. – Ja też słyszałem o nim opowieści.

Uśmiechnął się do chłopaka, który z nabożnym podziwem wpatrywał się w zabójcę olbrzymów, ale jednocześnie poczuł ukłucie zazdrości. Przywykł bowiem do tego, że Dath patrzył w ten sposób na niego.

Nie bądź idiotą, ofuknął się w myślach.

Baird akurat próbował opanować swego konia, który wciąż płoszył się w obecności Burzy. Do serca Camlina napłynął gniew, bo wilkunica przyciągała podejrzliwe spojrzenia wojowników Ratha od początku wędrówki. Po prawdzie nie miał im się co dziwić. Należał przecież do zaiste osobliwej kompanii, składającej się z wojowników, wilkuna,

zdetronizowanej królowej i dwóch gadających ptaków. Craff wyfrunął wczesnym rankiem, ale drugi ptak, nadal z obandażowanym skrzydłem, siedział na łęku siodła Edany i krakał cicho do niej. Po kilku dniach zawziętego milczenia przekonał się wreszcie do dziewczyny i od tej pory ani na moment nie przerywał rozmowy z nią.

Kolejnym członkiem ich drużyny, który wzbudzał zainteresowanie nowych towarzyszy, był Gar. Z początku uwagę zabójców olbrzymów przyciągnął jedynie jego osobliwy miecz, ale sytuacja zmieniła się następnego dnia rano, kiedy Gar i Corban rozpoczęli wspólny trening. Taniec miecza zgromadził wówczas spore grono widzów, a Gar stał się dla oddziału Ratha tajemnicą. Mistrzostwem we władaniu mieczem natychmiast zyskał sobie wielki szacunek pośród nich.

A nie wiedzą nawet połowy tego, co powinni, pomyślał Camlin. I nie słyszeli ani słowa o Wojnie Bogów i Corbanie...

Sam nadal nie wiedział, co sądzić o tych rewelacjach, dlatego uznał, że nie będzie o nich rozmyślał. Jeśli coś takiego miało okazać się prawdą, nikt nie był w stanie długo tego skrywać. Jeśli Gar był obłąkany – a Camlin tak naprawdę nie widział innego wyjaśnienia – trzeba było pozwolić mu żyć w świecie własnych fantazji. Dopóki on i Camlin walczyli po tej samej stronie, dopóty wszystko było w porządku.

Po pierwszym treningu z Garem Corban również zyskał spore uznanie wśród pogromców olbrzymów, a Camlin zauważył, że nawet Coralen przyglądała mu się z czymś na kształt podziwu. Z drugiej strony, niektórzy członkowie grupy uciekinierów również przyglądali się jej nieustannie, w czym prym wiedli Dath i Farrell. Obaj próbowali zaimponować dziewczynie na własny, nieumiejętny sposób, choć Farrell był bardziej zawzięty. Camlin przeczuwał, że lada moment chłopak usłyszy coś, po czym wycofa się jak niepyszny. Język Coralen był równie ostry jak nóż, którym poderżnęła olbrzymowi gardło.

Pociągnął nosem, gdy dobiegł go smród zgnilizny, dobiegający z juków niesionych przez niego i jego przyjaciół. Tak cuchnęły skóry, które zerwali z martwych wilkunów na polanie. Corban uparł się, żeby je zabrać, choć nie potrafił wytłumaczyć swoich pobudek.

Brina jechała nieopodal na koniu, skulona w siodle i obojętna niczym żagiel pozbawiony wiatru. Śmierć Heba najwyraźniej jej również odebrała

ochotę do życia.

Lubiłem tego starego piernika, pomyślał Camlin. Szkoda, że zginął.

Śmierć bliskiej osoby zawsze pozostawiała po sobie jakiś ślad. Smutek, wyrzuty czy gniew nigdy całkowicie nie znikwały, czego nauczył się na własnym przykładzie za młodu, gdy patrzył, jak banda rzezimieszków morduje jego matkę i brata. Z trudem odepchnął wspomnienia od siebie.

Naraz dobiegł go cichy odgłos, niemalże niesłyszalny wśród szelestu trawy, kołyszącej się na wietrze. Odwrócił głowę i ujrzał jakąś niewielką plamkę daleko na trakcie olbrzymów. Dath również się odwrócił. Patrzyli na wóz zaprzężony w konia, który najwyraźniej powoli ich doganiał. Przy wozie biegło coś wielkiego. Czyżby pies?

– Dath, skocz naprzód i daj znać, że mamy towarzystwo.

Chłopak przebiegł wzdłuż kolumny i wrócił po chwili z Marrockiem i Rathem. Wszyscy przyglądali się wozowi, który był już bliżej, najwyraźniej kierowany przez samotnego mężczyznę. Dogonił ich w południe, gdy Rath ogłosił postój, a niektórzy z jeźdźców sprowadzili konie po stromej skarpie do strumienia.

Woźnica ściągnął lejce. Był to żylasty, twardy mężczyzna o bystrym spojrzeniu, bez wątpienia świadom niebezpieczeństwa, jakie stanowiła grupa ponurych, uzbrojonych po zęby ludzi na trakcie. Jego wóz był załadowany po brzegi, ale towary przykrył skórą. Jeszcze nie tak dawno taki widok byłby pokusą nie do odparcia dla Camlina i ludzi, z jakimi miał w zwyczaju przebywać.

Przyjrzał się uważniej woźnicy i uświadomił sobie, że dobrze go zna. Patrzył na kupca, który niejednokrotnie przejeżdżał przez Ciemny Bór. Należał do tych, którzy mieli układ z Braithem i płacili mu myto za bezpieczny przejazd.

Praktycznie myślący człowiek.

Wtedy kupiec zauważył coś, co sprawiło, że gwałtownie ściągnął wodze – wilkuna. Jego ogar przyczał się przy ziemi i najeżył sierść. Corban zaś podszedł do wozu.

– Ventos, to ty?

Kupiec zmarszczył brwi i zeskoczył z kozła. Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech. Warknął polecenie do swego psa i spotkał się z Corbanem na środku drogi. Uścisnęli sobie nadgarstki, a wszelkie napięcie natychmiast

wyparowało.

Porozmawiali przez chwilę przyjaźnie, po czym chłopak przedstawił Ventosa reszcie. Camlin jednakże odwrócił głowę – z jakichś względów nie chciał, by ów człowiek go zobaczył.

Pewnie i tak mnie nie rozpozna, ale na wszelki wypadek..., pomyślał.

Nie do końca rozumiał przyczyny, dla których chciał ukryć swą tożsamość.

Może nie chcę być kojarzony z moją przeszłością? Wszak jestem już innym człowiekiem.

Podzielili się z kupcem chlebem, a jego ogar wczołgał się pod wóz, skąd przyglądał się nieufnie Burzy przez szprychy koła. Po chwili handlarz znów zasiadł na koźle i pognał swego krępego, masywnego konia naprzód.

– Pamiętaj, że nas tu nie widziałeś! – zawołał za nim Rath. – Ani słowa nikomu. Jeśli dotrę do Dun Taras i usłyszę choćby jedną plotkę o tym, dokąd się zapuściliśmy, będę wiedział, kogo szukać.

– Spokojna głowa! – odpowiedział Ventos i wkrótce jego wóz zniknął w oddali.

Niebawem na drodze pojawili się inni jeźdźcy, zmierzający w ich kierunku. Rath podjechał bliżej i zamienił z nimi kilka słów. Było ich raptem pięciu, ale podobnie jak towarzysze Ratha nosili płaszcze w kratę.

Camlin przyglądał się im uważnie, popijając wodę z bukłaka. Drugą rękę trzymał na sakiewce, w której nosił cięciwę, by uchronić ją przed wilgocią.

Nieufny ze mnie typ, pomyślał, ale po chwili wzruszył ramionami. Stare zwyczaje powoli umierają, a poza tym lepiej już chyba być nieufnym i pożyć jeszcze trochę.

Rath powrócił do głównego oddziału i zwrócił się do Edany:

– Jesteśmy już niedaleko Dun Taras, a to ludzie Eremona z załogi fortecy. Wysłałem ich jednak w dalszą drogę. Nadal cieszę się tu pewnymi wpływami, przynajmniej wśród wojowników.

– Dzięki – rzekł Halion.

– Ufam twemu osądowi, Rath. Rób to, co uznasz za najlepsze – powiedziała Edana.

Camlin słyszał już rozmowę na ten temat. Rath zasugerował, że lepiej

będzie przybyć do stolicy potajemnie, bo wówczas mieli większe szanse spotkać się z Eremonem bez Roisin, jego młodej żony. Jej imię padało często przy ognisku podczas pierwszego wspólnego noclegu z ludźmi Ratha i wyglądało na to, że zdobywała w Domhainie coraz większe wpływy, a jej ambicje rosły. Eremon zaś coraz chętniej słuchał jej rad.

– To kiepski moment na powrót do domu, Halionie – mówił Rath. – Twój ojciec gaśnie, a ona staje się coraz mocniejsza.

– Nie miałem wyboru w tej kwestii – odparł wojownik. – Poza tym chodzi mi o bezpieczeństwo Edany, a nie moje własne.

– Ona będzie bezpieczna, tym się nie martw – odparł zabójca olbrzymów.

– Tobie również nic nie grozi, bracie – warknęła Coralen. – W przeciwnym razie skalp Roisin zawieszę u mego pasa.

Camlin się uśmiechnął.

Dziewczyna ma pazur, pomyślał.

Gdy od Dun Taras nadal dzieliło ich dziesięć dni wędrówki, Roisin nie wydawała się Camlinowi problemem, ale teraz czuł narastający niepokój.

Znów wyruszyli w drogę. Po chwili Edana, eskortowana przez pieszych Marrocka i Haliona, została z tyłu i zaczekała, aż Camlin się z nią zrówna.

– Chciałam z tobą porozmawiać – rzekła, spoglądając na niego z powagą.

– O czym, moja pani? – spytał Camlin.

Te słowa nadal z trudem przechodzą mi przez gardło, pomyślał.

– Dzielnie mi służyłeś podczas naszej ucieczki.

Spojrzał na nią, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Z tego, co wiem, chodziło nam wszystkim głównie o to, by przeżyć.

– Tak, to prawda. Ale byłoby ci o wiele łatwiej, gdybyś po prostu nas porzucił.

Camlin zamrugał, zaskoczony.

Gadałem przez sen czy co? A może myślałem na głos?, zastanawiał się.

– Ale zostałeś z nami. Strzegłeś mnie, prowadziłeś, służyłeś radą i walczyłeś dla mnie. Ryzykowałeś życiem, podczas gdy wcale nie musiałeś tego robić. Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś?

Patrzył na nią w osłupieniu.

Zadaje sobie to pytanie od chwili, gdy wylądowaliśmy w Cambrenie, pomyślał.

– Nie wiem – wymamrotał.

Marrock parsknął śmiechem.

– Pomyślałabyś, że usłyszysz tak uczciwą odpowiedź?

– Uczciwą? Jestem złodziejem z Ciemnego Boru i ostatni raz nazwano mnie uczciwym człowiekiem... Niech no pomyślę... Cóż, chyba nigdy.

Marrock znów się roześmiał, a Edana i Halion mu zawtórowali.

– Myślę, że towarzyszę wam tylko i wyłącznie dlatego, że tego chcę – odparł po chwili Camlin i w tej samej chwili uświadomił sobie, że to prawda. Spojrzał na Datha, Corbana i pozostałych. – Podoba mi się tu. Nie mam na myśli Domhainu, ale was. – Zatoczył łuk ręką i zarumienił się lekko. – Podoba mi się z wami – dodał.

Edana obdarzyła go ciepłym, szczerym uśmiechem.

– Tak właśnie myślałam – powiedziała, a potem na jej twarzy zagościła powaga. – Chciałabym, żebyś coś zapamiętał, Camlinie. Być może nie mam królestwa, ale nadal jestem królową i mam zamiar odzyskać to, co należy do mnie. Jeśli...

– Nie jeśli – przerwał jej Marrock. – Kiedy.

– Kiedy to nastąpi – ciągnęła Edana – nie zapomnę o tych, którzy mi pomagali i dochowali mi wierności. O tych, którzy towarzyszyli mi w mrocznych chwilach, gdy śmierć wydawała się jedynym rozwiązaniem, a odzyskanie królestwa było ostatnią rzeczą, o której mogłabym pomyśleć. – Znów się uśmiechnęła. – Obiecuję, że gdy ponownie zasiądę na tronie, nie będziesz już musiał się parać kradzieżami w Ciemnym Borze.

Camlin wzruszył ramionami.

– Wrócimy do tego, gdy będzie pora, co?

– W rzeczy samej. Póki co umykamy jednemu niebezpieczeństwu tylko po to, by po chwili wpaść w kolejną, przypuszczalnie jeszcze większą zasadzkę. Niebawem przyjdzie nam się spotkać z podstępą, pozbawioną skrupułów, a do tego ambitną kobietą. Musimy zachować czujność i mieć oczy i uszy szeroko otwarte, a tam, gdzie się udajemy, tobie wyjdzie to najlepiej. Nie masz jednak sobie równych, jeśli chodzi o niezwracanie na siebie uwagi. Chciałabym cię prosić, byś po dotarciu do Dun Taras dowiedział się jak najwięcej o tej Roisin i jej stronnikach. Może nam to ocalić życie.

– Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, pani.

Edana wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia.

– Mam co do tego absolutną pewność.

– Dun Taras! – zawołał Rath, jadący na czele kolumny. – Widać Dun Taras!

Edana kopnęła końskie boki piętami i pojechała naprzód, a Halion ruszył za nią. Marrock został z tyłu. Camlin spojrzął na kikut jego ręki, wciąż owinięty bandażami.

– Jak się czujesz? – spytał.

Marrock uniósł lewą rękę i przyjrzał się kikutowi.

– Swędzi – powiedział. – Czy raczej mam wrażenie, że dłoń mnie swędzi. Chcę się podrapać, a jej nie ma.

– Słyszałem o tym. Mój kompan stracił ucho, a mimo to zawsze próbował się po nim podrapać.

– Przeżyję – rzekł Marrock i wzruszył ramionami. – Trudno mi się przyzwyczaić do myśli, że już nigdy nie napnę łuku, ale nie zginąłem, a więc nie mam powodów do narzekania. – Wbił w byłego banitę intensywne spojrzenie i dodał: – Jestem ci wdzięczny za wszystko, co dla nas zrobiłeś. Edana ma rację. Bez ciebie nigdy byśmy tu nie dotarli.

Na drodze wyrosło wzgórze, z którego widać już było wznoszące się w oddali szare mury Dun Taras. Camlin jednakże nawet na nie nie spojrzął. Szedł, uśmiechając się i powtarzając w myślach wszystko to, co właśnie usłyszał.

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

MAQUIN

Maquin pociągnął za wiosło. Dawno już stracił poczucie czasu i nie miał pojęcia, ile dni upłynęło od upadku Dun Kellen i chwili, gdy zagoniono go na okręt. Jedna dziesięcionoc? Dwie? Wszystko zlało się w długą, potworną harówkę, która każdego dnia wyglądała tak samo. Budzono go o świcie kopniakiem, po czym sadzano na ławce i zmuszano do niekończącego się wiosłowania. Godzina za godziną ciągnął za wiosło w rytmie wybijanym przez wielki bęben, którego uderzenia były jedynym wyznacznikiem upływającego czasu, przenikającym do jego świadomości.

Kiedyś miał się za człowieka silnego i sprawnego. Uważał, że może walczyć przez cały dzień bez chwili przerwy, co zresztą udowodnił podczas oblężenia Dun Kellen, ale nic nie mogło przygotować go na tę torturę. Mięśnie jego szyi, pleców, barków i ramion płonęły żywym ogniem; był przekonany, że z każdym pociągnięciem wiosła drą się na strzępy. Obandażowane dłonie lepiły się od krwi i ropy z pęcherzy, które powstawały, pękały i znów się odradzały. Nadgarstki wyglądały podobnie, odarte do krwi przez źle dopasowane łańcuchy, którymi przymocowano go do ławki.

Wiosłowanie kończyło się z nadejściem nocy, kiedy każdemu z jeńców podawano miskę z czymś, co bardziej przypominało wymiociny niż jedzenie. Potem Maquin błyskawicznie zapadał w sen, ciężki i pozbawiony marzeń.

Szybko opanował technikę wiosłowania, gdyż miał już wprawę. Kilkakrotnie wiosłował wraz z Gadrai po ciemnych, ocienionych drzewami wodach rzeki Rhenus i dzięki temu radził sobie lepiej od pozostałych. Niektórzy z jego towarzyszy, którzy nie zdołali się nauczyć techniki, już

dawno nie żyli, chłostani do chwili, gdy ich plecy przypominały krwawy befszytk. Innych zabrała choroba, jeszcze inni padli z wyczerpania, a wszystkich bezceremonialnie wyrzucano przez burtę w wody rzeki.

Orgull, siedzący kilka ławek przed nim, nadal żył, ale był już w kiepskim stanie. Wojownik z okaleczoną twarzą postawił sobie za punkt honoru, by każdego dnia spędzić choć chwilę, okładając go batem bądź pałką. Pewnego dnia tłukł go, aż Orgull stracił przytomność, a potem ocucił kilkoma wiadrami wody i znów zaczął okładać. Gadrai znosił kaźń w milczeniu, a jego jedyną reakcją było intensywne spojrzenie, które wbijał w swego oprawcę, co prowokowało pirata do jeszcze większego okrucieństwa. Maquin był zaskoczony faktem, że Orgull może znieść tyle bólu i jeszcze wytrzymywać codzienne wiosłowanie.

Czasami miał ochotę rzucić wiosło, krzyknąć piratom, by poszli do diabła, i uśmiechnąć się, gdy będą wysyłać go na most mieczy. Jego upór jednakże nie zgasł do końca. Nie chciał się poddać, nie chciał przyznać, że walka dobiegła końca, a w chwilach największego zwątpienia myślał o Jaelu. To wspomnienie dodawało mu najwięcej sił. Wciąż pamiętał uśmiech na obliczu młodzieńca, gdy jego, Maquina, wleczono na okręt, wciąż pamiętał ten szydery chichot. Wymyślał najrozmaitsze sposoby na zabicie zdrajcy. W myślach zadawał mu ból, mordował, torturował, sycił się jego cierpieniem, a w jego sercu wrzał ogień, który pomagał mu krzesać jeszcze więcej siły. Wiosłował, wiosłował bez wytchnienia, milę za milą.

Padł na niego czyjś cień. Uniósł głowę i ujrzał swego prześladowcę Lykosa. Przywódca piratów przyglądał mu się z ramionami założonymi na piersi. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy, ale jego oczy lśniły przenikliwością i sprytem. Wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, a potem rzekł:

– A więc wciąż żyjesz.

Maquin nie był pewien, czy to pytanie czy stwierdzenie.

– Najwyraźniej – rzekł, skupiony na poruszaniu wiosłem.

– Miałem na myśli życie tutaj. – Pirat postukał go w pierś. – Widzę wyraźnie, że pragniesz śmierci, ale jest w tobie coś jeszcze. Gdzieś głęboko kryje się wola życia.

Maquin milczał.

– Większość twoich towarzyszy, którzy pragnęli śmierci, znalazło się już za burtą, gdzie karmią ryby własnymi ciałami. A ty nadal tu jesteś.

Maquin wzruszył ramionami.

– Cieszę się, mój przyjacielu – rzekł Lykos.

– Nie jestem twoim przyjacielem – warknął wojownik, nie mogąc ukryć złości. – I czemu ci niby na mnie zależy, co?

– Racja, nie jesteś moim przyjacielem. Stanowisz mą własność. – Lykos błysnął białymi zębami w uśmiechu. – I nie powiedziałbym, że mi zależy. Jestem natomiast tobą zainteresowany. Możesz mi się przydać.

– Nie wystarczy ci, że wiosłuję? – spytał Maquin.

– Miałem na myśli coś o wiele ciekawszego.

– Co?

Lykos znów się uśmiechnął i klepnął mężczyznę w ramię.

– Pogadamy po przybyciu do domu. O ile nadal będziesz żył.

* * *

Dni dalej zlewały się ze sobą, a więc Maquin zaczął mierzyć upływający czas zmianami w krajobrazie. Łagodne wzgórza Dun Kellen zostały już daleko za nimi i jak okiem sięgnąć widać było rozległe równiny. Znikły również drzewa, zastąpione przez gęste zarośla trzciny i innych krzaków, których monotonię tu i ówdzie zakłócała rachityczna wierzba bądź chudy jawor. Pod wieczór nad okrętami wisały chmary komarów i każdego ranka Maquin budził się z dziesiątkami bąbli po ugryzieniach.

Pewnego poranka ich flota zakotwiczyła przy mulistym brzegu rzeki, a wiosłarze zostali spędzeni na ląd. Zdezorientowany, wyczerpany Maquin ze zdumieniem patrzył, jak piraci wciągają swe okręty na brzeg przy użyciu grubych, nasmołowanych lin. Nie nastęczyło im to szczególnych trudności, gdyż okręty były smukłe i miały płaskie dno. Gdy wszystkie znalazły się na lądzie, piraci zaczęli wyciągać długie drzewca, które pełniły rolę masztów bądź trzymane były w zapasie na wypadek uszkodzeń zadanych przez burze. Maquin zaczynał rozumieć ich zamysły – maszty ułożono pod dziobami okrętów, które wciągano nieco dalej na ląd. Wówczas pod dzioby kładzono następną belkę, a po przeciągnięciu okrętu o kilka kolejnych kroków – trzecią. Działo się to do chwili, gdy

pierwsza z belek zostawała za rufą. Przenoszono ją wtedy znów pod dziób i powtarzano cały proces. Doprawdy było na co patrzeć – Vin Thalun przesuwali lądem flotę trzydziestu okrętów.

Potem wykrzyczano kolejne rozkazy, a w powietrzu strzeliły bity. Maquin i jego towarzysze niedoli zostali na powrót zapędzeni do pracy. Niektórzy szarpali za liny, ciągnąc okręty do przodu, inni wyciągali z błota zaimprovizowane belki i na powrót układali je przed dziobem. Kilku źle obliczyło kroki i dokonało żywota pod ciężkim kilem okrętów.

Pokonali w ten sposób wiele mil przez gąszcz paproci po płaskiej, ale zdradliwej ziemi. Po całym dniu takiej harówki Maquin modlił się, by znów zasiąść za wiosłem. Wściekłym bólem odezwały się bowiem nowe partie mięśni, a jego stopy napuchły i wydawały się dwakroć większe niż kiedykolwiek wcześniej.

Trzeciego dnia dotarli do niewielkiego strumienia. Ruszyli wzdłuż jego brzegów, a ten w ciągu połowy dnia przeistoczył się w szeroką rzekę. Chwilę później flota znów znalazła się na wodzie, a znużony Maquin zasnął na krótką chwilę. Coś trąciło go, a gdy otworzył oczy, ujrzał opuchniętą, posiniaczoną twarz Orgulla.

– Bądź silny, bracie – szepnął mu przyjaciel, przechodząc obok, poganiany przez załogę.

Maquin nie miał w sobie siły czy też wystarczająco dużo pomysłu, by odpowiedzieć, a zresztą Orgull zaraz znikł, wszedłszy po szerokim trapie.

Zagonienie wiosłarzy na miejsca i przykucie ich do ławek zabrało dłuższą chwilę. Maquin wykorzystał moment na wylanie wody z butów, a potem znów uderzono w bęben i powrócono do poprzedniej rutyny. Ciągnął wiosło, unosił je, pchał i zanurzał, a potem ponownie, i raz jeszcze, bez końca. Wiosłowali całe mile przez bagna i połacie paproci, a smród gnijących roślin mieszał się z zapachami okrętu: smoły i drewna, ale przede wszystkim spoconych ludzi.

Krajobraz wokół nich zmieniał się powoli, rzeka stawała się coraz szersza, a flotylla zbliżała się do skraju mokradeł. Okolica znów się zazieleniła, a Maquin wkrótce ujrzał drzewa. Następnego dnia płynęli już wśród gęstych lasów, których gałęzie niemalże zasłaniały niebo. Puszcza przypominała Forn, ale nie była aż tak stara, ani tak onieśmielająca.

Dziesięć dni później wypłynęli z puszczy. Na wzgórzu na północy wyrastała drewniana forteca, której mieszkańcy zgromadzili się na murach, by obserwować ich defiladę. Maquin dojrzał rzędy wojowników w czerni i złocie. Na ich drodze wyrósł kamienny most, ale żeglarze uprzednio położyli maszty na płask i flotylla swobodnie przepłynęła między filarami. Niebawem rzeka rozgałęziła się w estuarium i stary Gadrai usłyszał wrzask mew. Żeglarze znów postawili maszty i rozpięli wielkie żagle, a okręty skoczyły na spotkanie falom. Uderzenia w bęben stały się szybsze i Maquin miał wrażenie, że okręt wręcz przecina fale, gnając z wielką prędkością.

Podczas pierwszej nocy na pełnym morzu Lykos i jego piraci rozpalili ogień w wielkim kotle, a w płomienie wsunęli żelazne pręty. Po chwili przywódca Vin Thalun ujął jeden z nich i podszedł do Maquina, który nadal był przykuty do wiosła oraz ławki. Na końcu pręta znajdował się rozżarzony do białości symbol. Lykos obezwładnił wojownika kolanem i drugą dłonią, a potem przytknął pręt do jego ciała, tuż pod barkiem. Rozległ się głośny syk, a w powietrzu poniósł się smród przypalanego ciała. Maquin zdusił wrzask i szarpnął się, przeszyty falą bólu, ale po całodniowej mordędze nie miał energii, by walczyć, zwłaszcza że ramiona pirata były silne niczym z żelaza.

– Żebyś przypadkiem nie zapomniał, że należysz do mnie, stary wilku – szepnął Lykos, wypalając znamię. Po plecach Maquina spłynęła gorąca krew. – Właśnie oznaczyłem cię jako mego niewolnika. Należysz do mnie. To znamię stanie się częścią ciebie, podobnie jak ja, aż do śmierci.

– Twojej śmierci! – warknął Maquin i szarpnął się gwałtownie.

– To ci charakter! – zaśmiał się Lykos, po czym puścił wojownika i trzepnął go w głowę.

Następnego dnia stary Gadrai obudził się z wysoką temperaturą, drżąc na całym ciele, ale mimo to zaprowadzono go do jego ławki i zmuszono do wiosłowania. Choroba wkrótce zawładnęła również jego umysłem i podsunęła mu dzikie halucynacje. Widział zatkniętą na włócznie głowę Gerdy, która obracała się ku niemu i beształa go za porzucenie jej syna. Widział bladego, wykrwawionego Kastella, siedzącego na tronie w podziemnej sali pod Haldis. „Zawiodłeś mnie” – powtarzał, a z oczu wiosłującego Maquina płynęły łzy.

Zwymiotował, ale mimo to nie przestawał wiosłować. Smród wymiocin był tak obrzydliwy, że po chwili zwrócił zawartość żołądka ponownie, ale mimo to nie przerywał wiosłowania. Wiedział, że gdyby przerwał choć na moment, zostałby wyrzucony za burtę. Bywało, że miał na to ochotę, czuł, iż nie pociągnie już więcej wiosłem, ale wtedy myślał o Jaelu. Wspomnienie kuzyna Kastella było niczym grudka rozżarzonego węgla w jego brzuchu. Pałący ból oczyszczał i stawał się blaskiem, który wiódł starego wojownika przez mroczny, zasnuty mgłami świat. Wściekłość utrzymywała go przy życiu, podczas gdy inni wokół niego poddawali się wyczerpaniu oraz brakowi nadziei i umierali jeden po drugim. Była to zimna wściekłość, płonąca białym światłem, odpychająca chęć, by się poddać, wlewająca nowe siły w znużone mięśnie i ścięgna.

Powoli zmieniał się klimat. Maquin wiedział, że zbliża się jesień, ale nie robiło się wcale zimniej. Wręcz przeciwnie, słońce grzało coraz mocniej, a morze stawało się bardziej błękitne. Czasami widział delfiny, które przemykały wzdłuż burty okrętu i ścigały się z nim. Krople rozbryzgiwanej przez nie wody lśniły niczym brylanty w blasku słońca. Przed sobą zaś zawsze miał szerokie plecy Orgulla. Wokół niego robiło się coraz więcej miejsca, gdy ciała kolejnych zmarłych nikły w falach, ale on nadal trwał.

Czas płynął, a wściekłość Maquina zaczynała przygasać. Wspomnienie Jaela słabło i dawało mu coraz mniej mocy, aż nadszedł dzień, gdy wojownik nie mógł sobie nawet przypomnieć jego twarzy. Czuł, że ogarnia go rozpacz, a świadomość, że do końca życia przyjdzie mu machać wiosłem, odbierała mu wszelki sens. Pocieszało go tylko to, że z każdym dniem powracało mu zdrowie, a w mięśniach czuł nową siłę, choć sądził, że krzepa opuściła go na zawsze.

Cieszył się z tego podczas długich dni spędzonych na ławce i modlił się o sposobność, by móc tę siłę kiedyś wykorzystać, choćby tylko przeciwko Lykosowi bądź któremuś z jego ludzi. By po raz ostatni stawić opór, nim wszystko dobiegnie końca.

Następnego dnia przed południem Maquin wypatrzył coś na horyzoncie. Z początku była to tylko ciemna kreska, która szybko grubiała i rosła. Zbliżali się do wybrzeży. Niebawem widać już było skaliste zatoczki i fale roztrzaskujące się o wysokie klify. Flota piracka płynęła wzdłuż brzegu,

aż dotarła do rozległej zatoki, gdzie powitał ją ryk rogów, zwielokrotniony echem odbijającym się od klifów. Okręt Maquina przycumował do długiego pomostu, wychodzącego daleko na wody zatoki, a inne rzuciły kotwice dalej od brzegu. Niebawem Maquin wraz z resztą zostali zapędzeni na trap, skąd, powłócząc nogami, zeszli na plażę pokrytą białym piaskiem. Obaj Gadrai usiedli obok siebie w milczeniu. Nie mieli sobie nic do powiedzenia, brakowało im też sił, by wykrztusić choć słowo.

Po chwili przyboczny Lykosa z okaleczonym nosem, Deinon, podszedł do nich, zdjął Maquinowi kajdany i zawłókł go przed oblicze władcy. Za plecami pirata migotało turkusowe morze.

Oto moja szansa, pomyślał Maquin. Zerknął na stojącego obok potężnego Deinona, którego muskularne ramiona przypominały sękaty konary.

– Nawet o tym nie myśl – odezwał się szorstko Lykos. – Bo będzie to ostatnia rzecz, którą zrobisz w życiu.

Maquin czuł swędzenie dłoni, ale powstrzymał pokusę.

Są gotowi, uświadomił sobie. Z zaskoczenia ich nie wezmę. Nie mam szans.

– Chciałem z tobą porozmawiać – rzekł Lykos.

Gadrai wpatrywał się w niego ponuro.

– Jesteś jedynym spośród obrońców Dun Kellen na moim okręcie, który przeżył. Fakt, że nie wziąłem ich wielu, bo jestem hojnym człowiekiem i podzieliłem się twoimi braćmi w mieczu z moimi podkomendnymi. Mimo to szkoda byłoby przeżyć taki rejs i zostać ściętym po wylądowaniu.

Przyglądali się sobie przez chwilę. Lykos stał z założonymi ramionami i obracał palcami srebrną obręcz na ramieniu.

– Niebawem wyruszam w dalszą drogę, a ty zostaniesz tutaj – rzekł.

– Co to za miejsce?

– Panos, jedna z Trzech Wysp. Moja ojczyzna.

– A dokąd się wybierasz?

– Daleko. To nie twoje zmartwienie. Chcę ci tylko powiedzieć, że po powrocie nie chcę usłyszeć, że nie żyjesz. Widzę, że pragnienie śmierci jeszcze w tobie nie zgasło. Widzę, że wciąż próbuje się przebić. Nie pochłonęło cię jeszcze całkiem, ale podsyca je brak nadziei. Masz wrażenie, że nic w tobie nie pozostało, prawda? Że nie masz po co żyć.

– Tak.

– Mylisz się. Deinon był kiedyś w tej samej sytuacji, ale zasłużył sobie na wolność.

– Naprawdę? – Maquin omiół pirata spojrzeniem. – To co tu jeszcze robi?

– Zaproponowałem mu, by został moim przybocznym, a on się zgodził. To nie jedyne rozwiązanie, oczywiście. Niektórzy wyjeżdżają stąd, a inni zostają i dołączają do załóg. Są tacy, którzy dochrapali się już rangi kapitana.

– Jak?

– Walcząc dla mnie.

– Nie będę piratem. Nie mam zamiaru rabować, palić czy mordować.

– Żeby zostać piratem, trzeba sobie na to zasłużyć – parsknął Lykos. – A poza tym bynajmniej cię o to nie proszę – dodał. – To nie targowanie się czy negocjacje. Ja po prostu przedstawiam ci fakty. Niedługo zostaniesz wrzucony do jamy. Reszta zresztą również. Żywy z niej wyjdzie tylko jeden. – Wzruszył ramionami. – Tym człowiekiem możesz być ty. Możesz też zginąć. Wszystko zależy od ciebie.

– Walki w jamach – wycedził Maquin, krzywiąc się przy tym, jakby słowa te pozostawiły mu paskudny smak na języku. – Nie będę twoim niewolnikiem! Nie będę rozlewał krwi innych, byś ty mógł zarobić!

– To ty o tym decydujesz – rzekł Lykos i odwrócił się, ale gdy zrobił kilka kroków, zatrzymał się i spojrzał przez ramię. – Ale widziałem, jak patrzysz na Jaela. Taką nienawiść rzadko się spotyka. Ja daję ci szansę, przypuszczalnie bardzo małą, ale wciąż szansę, byś stąd odszedł, odnalazł Jaela i się zemścił. – Ruszył przed siebie, wołając jeszcze: – Wystarczy, że będziesz walczył! I wygrywał!

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

CYWEN

Cywen jechała na czele długiej kolumny. Wojska królowej Rhin ciągnęły się daleko za nią, aż po brzeg morza, którego szare fale zlewały się z horyzontem. Okręty, na których przybyli, były już gromadą małych plamek, unoszących się wśród upstrzonych białą fal. Kilkadziesiąt kroków przed sobą widziała Nathaira, który dosiadał swego gigantycznego draiga, idącego z głową nisko przy ziemi, poruszającego ogonem to w jedną, to w drugą stronę. Za nim ciągnęły się szyki kolejnych hufców Rhin, które wędrowały na północ, w stronę wzgórz.

Cywen pochyliła się w siodle i przesunęła dłonią po boku Tarczy, aż jej palce odnalazły okrągłą bliznę. Była to jedyna pozostałość po wyciągniętej strzale, bo w zachowaniu zwierzęcia nic nie świadczyło o tym, że kiedykolwiek odniósł ranę. Dziewczyna przeklinała Jehar, ale musiała przyznać, że mieli wyjątkowy talent do koni.

Znakomici jeźdźcy, pomyślała, obrzucając ich odruchowo spojrzeniem.

Pamiętała swoje zdziwienie, gdy uświadomiła sobie, że tak wielu spośród nich to kobiety. Pamiętała ich, jak walczyli owej nocy, gdy upadło Dun Carreg, pamiętała, jak ciskała w nich nóż za nożem. Pamiętała też, jak ich przywódca, Sumur, wypytywał o Gara.

Czemu on tak bardzo się nim interesuje?

Konni Jehar, którzy kręgiem otaczali Nathaira, zachowywali należytą odległość od draiga. Dziewczyna widziała już wcześniej, jak król karmi swego rumaka, ale bestia wydawała się nie przepadać za końmi, więc na wszelki wypadek jeźdźcy woleli trzymać się z daleka.

Pozostali Jehar, których zdaniem Cywen były tysiące, podążali na skrzydłach ich luźnej kolumny. Poszczególne oddziały wyłaniały się to

tu, to tam z za łagodnych wzgórz i niewielkich lasów. Wojskom Rhin w samym sercu Cambrenu nie groziło żadne niebezpieczeństwo, ale Jehar najwyraźniej woleli nie ryzykować.

Naraz usłyszała za sobą łoskot zbliżających się kopyt. Ktoś podjeżdżał ze sporą prędkością. Spojrzała za siebie i zobaczyła Veradisa, któremu towarzyszył olbrzym z czarnym toporem, bez trudu dotrzymujący mu tempa. Młodzieniec zatrzymał się przy niej i zerknął na jej nadgarstki. Więzy zostały już rozcięte, ale na skórze pozostały czerwone ślady.

– Grzeczna jest, Bos? – spytał jadącego przy niej wojownika, który strzegł jej od chwili, gdy próbowała zabić Morcanta. Był potężnym mężczyzną, łysym pomimo młodego wieku i na pewno nie tak głupim, jak z początku sądziła.

– Jak na razie – rzekł. – Może próbuje uspić naszą czujność – dodał z lekkim uśmiechem.

– Można ci zaufać czy znów masz ochotę sprawiać kłopoty? – spytał Veradis.

– Od Morcanta oddziela mnie teraz morze – powiedziała, krzywiąc się.

Nie mogła zapomnieć chwili, gdy odpływali z Dun Carreg – jej domu! – a Morcant stał na plaży i odprowadzał flotyllę wzrokiem. Nadal czuła gorycz i wściekłość, a na długiej liście krzywd, jakich doznała ostatnio, pojawiła się nowa pozycja.

– Wiem. Ale skoro Morcant został już daleko za nami, zaczynam się obawiać, że zaraz wybierzesz sobie kolejną ofiarę.

– Żałujesz, że rozciąłeś mi więzy?

– Trochę. A powinienem?

– Nienawidzę was wszystkich – oznajmiła Cywen z przekonaniem. – Ale nie ma wśród was nikogo, kogo nienawidzę bardziej od innych na tyle, by chcieć go zabić.

W odpowiedzi rozległ się dudniący śmiech olbrzymia, przywodzący na myśl odgłos wydawany przez toczące się po zboczu głązy.

– Może z wyjątkiem Rhin – dodała.

Lub Nathaira, pomyślała. Przecież miał swój udział w otwarciu Kamiennej Bramy i wpuszczeniu ludzi Owaina do środka.

– A co z tym chłopakiem, Rafe'em? Widziałem, jak na niego patrzysz, i przyszło mi do głowy, że być może spróbujesz wbić mu nóż pod żebro.

Nie mogę do tego dopuścić.

Nie wiedziałam, że to aż tak oczywiste...

– Powiedzmy, że za nim nie przepadam, ale nie mam ochoty jechać przez niego w więzach przez resztę drogi. A przypuszczam, że udajemy się do Domhainu.

– I słusznie. Być może więc należałoby cię jednak związać.

– Proszę, nie rób tego! – odezwała się Cywen z przekonaniem.

Veradis wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę.

– Czuję, że popełniam wielki błąd, ale zaufam ci i nie będę cię krępował.

Póki co.

– Dziękuję. Nie sprawię żadnych kłopotów. Poza tym jeśli ten twój przyjaciel... Jak on się nazywa, Calidus?

– Tak.

– Właśnie. Jeśli ma rację, jestem właśnie coraz bliżej swej rodziny, a przynajmniej Corbana. – Cywen przygryzła wargę. – A właściwie to w jaki sposób Calidus, dotykając starego fartucha Bana, doszedł do tego, że mój brat jest za morzem?

Kto pyta, nie błądzi, dodała w myślach.

– Nie wiem – powiedział Veradis niepewnie. – On jest... cóż... uzdolniony.

Olbrzym parsknął. Młodzieniec spojrzał na niego.

– To była błahostka w porównaniu z tym, co Calidus naprawdę potrafi – wyjaśnił wielkolud. – Z kosmykiem włosów mógłby działać znacznie więcej.

– Na przykład co? – spytał Veradis.

Olbrzym pokręcił głową.

– Lepiej, żebyś nie wiedział – mruknął.

– Pojąłem – rzekł Veradis z uśmiechem. – Czyli lepiej, żebyś nie dopuszczał Calidusa zbyt blisko siebie, jeśli ma nóż w ręku, bo może obciąć ci kosmyk.

– Mój już ma – odparł olbrzym, a przez jego twarz przemknęły jakieś nowe emocje. Smutek? A może gniew. Nie dodał już ani słowa. Zwolnił i wkrótce znalazł się za Veradisem i Cywen.

– Co on chciał przez to powiedzieć? – spytała.

Veradis w milczeniu odwrócił głowę i spojrzał na olbrzyma z troską i zakłopotaniem.

* * *

Armia wędrowała powoli przez żyzną, soczyście zieloną prowincję Cambrenu. Otaczała ich przepiękna sceneria – jak okiem sięgnąć wokół ciągnęły się łagodne wzgórza oraz zielone łąki, na których kwitły dzikie kwiaty; migotały strumienie, wiatr marszczył powierzchnie ciemnych jezior. Raz na jakiś czas maszerujące oddziały wnikały w gęste lasy, w których liście drzew, w miarę jak szli, zaczynały się żłocić i czerwienić.

Strażnicy Cywen nigdy nie zostawiali jej samej, zwłaszcza Bos, choć Veradis również często jej towarzyszył. Nie miała więc żadnej sposobności, by podjąć kolejną próbę ucieczki. Obaj strażnicy byli o wiele bardziej czujni od Conalla, co doprowadzało ją do szału. Bywało, że musieli zająć się innymi obowiązkami – jak choćby poranne treningi muru tarcz, które zawsze odbywały się pod czujnym okiem Veradisa – ale wówczas Cywen była sumiennie skrępowana i musiała przyglądać się zarówno ćwiczeniom całego oddziału, jak i indywidualnym pojedynkom. Pamiętała walkę, którą Veradis stoczył z Conallem w Dun Carreg, ale odnosiła wrażenie, że pierwszy miecz Tenebralu rozwinął się od tego czasu. Był teraz szybszy i bardziej agresywny. Gdyby znów miał się mierzyć z Conallem, walka na pewno nie zakończyłaby się remisem.

Choć Cywen nie chciała się do tego przyznać nawet przed sobą, podróż sprawiła jej nieco przyjemności. Cieszyła się, że może dosiadać Tarczy. Koń aż kipiał siłą i energią. Bez wahania reagował na wszelkie polecenia, a do tego Cywen miała wrażenie, że wyczuwa w nim coś z Corbana, tak jak w Buddaiu doszukiwała się śladów ojca.

Pewnego wieczoru siedziała przed trzaskającym wesoło ogniem z Bosem i kilkoma orlimi gwardzistami. Buddai leżał u jej stóp i pracowicie ogryzał kość, rzuconą mu przez Bosa, a w ciemnościach wokół nich migotały tysiące podobnych ognisk. Niespodziewanie z mroku wyłonił się Veradis, który usiadł przy nich i przyjął podany mu bukłak z miodem.

– Jakież wieści? – spytał Bos.

– Dziś dołączył do nas oddział wojowników Rhin, którzy przybyli z północy – odparł Veradis. – Opowiadają dziwną historię, której chyba nie warto przytaczać. Mam wrażenie, że to tylko paplanina przesądnych bab.

Upił łyk miodu.

– Opowiadaj – rzekł Bos. – Przecież i tak prędzej czy później wszystko usłyszymy.

– W sumie racja. – Veradis wzruszył ramionami. – A więc mówią, że ścigali przez te wzgórza małą grupę uciekinierów, których uznali za szpiegów Owaina. Ponoć tamci mieli wilkuna, który nękał ich w nocy.

Zapadła cisza. Trzask gałązki w ogniu sprawił, że Cywen aż podskoczyła.

– Przecież wilkuna nie da się oswoić – powiedział ktoś.

– Zmiennokształtni – szepnął drugi.

– I co się działo dalej? – spytała Cywen, maskując podniecenie. W jej sercu naraz zapłonęła nadzieja.

– Dogonili ich w górach, które ciągną się wzdłuż granicy z Domhainem. – Veradis wskazał dłonią kierunek. – Twierdzą, że otoczyli ich, a gdy ruszyli do ataku, by rozprawić się z nimi raz na zawsze, zostali zaatakowani przez kolejne wilkuny. Przez całą watahę.

– Z ilu ludzi składał się ten oddział? – spytał Bos.

– Około pięćdziesięciu. Wróciło trzech.

– A co z tymi, których gonili? Przeżył ktoś? – Cywen udawała umiarkowane zainteresowanie.

– Mam wrażenie, że ludzie Rhin byli zbyt zajęci ucieczką, by ich liczyć.

– Veradis znów wzruszył ramionami. – Nie wierzę w takie historie. Sami dobrze wiecie, jak szybko rozrastają się opowieści. Ale być może jest w tym nieco prawdy. Gdy dotrzemy w góry, przyjrzę się miejscu, gdzie rzekomo doszło do tej potyczki. Ciekawe, co znajdę.

– Tak czy owak nie ma powodów do obaw – rzekł Bos. – Przynajmniej dla nas. Mierzyliśmy się z o wiele gorszym niebezpieczeństwem niż wilkuny. Jesteśmy wszak zabójcami olbrzymów i pogromcami draigów.

– Otóż to – rzucił Veradis. Odruchowo opuścił dłoń na rękojeść miecza i pogładził ją delikatnie. – I za to wypiję.

Wokół ogniska poniosły się śmiechy i wiwaty, a każdy z wojowników podniósł własny bukłak w toaście. Cywen jednakże przestała ich słuchać, a w jej głowie krążyła tylko jedna myśl.

Burza. To na pewno Burza i Corban.

Po nosie Cywen ściekła kropla deszczu. Łagodna, przenikająca wszystko mżawka towarzyszyła im od chwili przebudzenia, a zbliżało się już południe, choć trudno było mieć pewność – słońce zamieniło się bowiem w niewyraźną światłość, z trudem przenikającą przez nisko wiszące chmury. Dziewczyna była przemoczona na wskroś. Ziemię dookoła nich spowiły gęste mgły, ograniczające widoczność do zaledwie kilkudziesięciu kroków.

Po jednej stronie szedł Bos, a po drugiej Veradis z olbrzymem, ale Cywen nie zwracała uwagi na nich ani też na pogodę. Przepęniało ją z trudem tamowane podniecenie podszyte wielkim niepokojem. W myślach powtarzała rozmowę, której przysłuchiwała się zeszłej nocy.

Burza, Corban, mama i Gar gdzieś tu są, a ci ludzie prowadzą mnie ku nim. Czy oni wciąż żyją? Czy nic im się nie stało?

– Dlaczego twój król tak bardzo interesuje się Banem? – zapytała nagle.

– Co? – rzucił Veradis, patrząc na nią ostro.

– Wiesz, Corbanem, moim bratem. Dlaczego przyciągnął uwagę króla?

– Nie będę omawiał z tobą zamysłów Nathaira – odparł Veradis. – To przecież Najwyższy Król Ziem Wygnanych.

– No i co z tego? – rzekła Cywen. – Może sobie być kim chce, ale moim królem nie jest, a Ban to mój brat. Czego od niego chce?

– Opowiedz mi o swoim bracie – zaproponował Veradis, a Cywen zauważyła, że olbrzym podszedł nieco bliżej.

– O Banie? A co tu opowiadać? Potrafi pracować w kuźni, bo nasz ojciec był kowalem. Zadaje tyle pytań, że nikt nie jest w stanie na nie odpowiedzieć, i wkurza wszystkich. I dobrze walczy. Nawet tobie nakopałby do tyłka.

Bos parsknął śmiechem.

A więc wszyscy mnie słuchają, pomyślała Cywen.

– Umie robić okłady i leczyć choroby. Jest lojalny do momentu, gdy staje się to głupie. Przyjaciele go kochają i ja go Kocham...

W jej oczach naraz pojawiły się gorące łzy.

Nigdy mu tego nie powiedziałam. Dlaczego więc mówię o tym temu Veradisowi?

Spojrzała na idącego z boku wojownika i poczuła nagły przypływ podejrzeń.

Czyżby chciał zmylić moją czujność i skłonić mnie, bym powiedziała więcej, niż zamierzam? Bym zdradziła coś na temat Bana?

Veradis jednakże spoglądał na nią szczerze, a w jego oczach na próżno byłoby szukać przebiegłości czy podstępu.

Przecież sam jest niewiele starszy od nas, a do tego został pierwszym mieczem króla. To wielka odpowiedzialność dla kogoś tak młodego.

Jej złe przeczucia umknęły. Cywen westchnęła i dodała:

– To po prostu Ban. Mój brat.

Veradis przytaknął, zamyślony.

Naraz podjechał do nich Calidus na koniu. Cicho zamienił kilka słów z Veradisem oraz z olbrzymem, po czym odwrócił się i odjechał, niknąc we mgle. Veradis i Bos ruszyli w ślad za nim, przy czym ten drugi ostro nakazał dziewczynie, by udała się z nimi.

– Co się dzieje? – spytała Cywen.

Orli gwardzista zignorował ją i pojechał w ślad za olbrzymem i Veradisem. Dołączył do nich oddział konnych. Cywen dotknęła piętami boków Tarczy i popędziła za nimi.

Calidus stał przy Nathairze, który nadal dosiadał draiga. Otaczał go wieniec Jehar, a dalej znajdowała się Rhin, której towarzyszył Conall. Wszyscy spoglądali w tym samym kierunku. Niespodziewanie wśród mgieł zamajaczyły trzy ogromne postacie, ubrane w skóry i futra.

Olbrzymy.

Orli gwardziści sięgnęli po oręż.

– Stać. – Nathair wzniósł dłoń.

Olbrzymy zbliżały się do Rhin i Nathaira. Ich przywódca był zbrojny w długą włócznię, a jego towarzysz miał na plecach ogromny topór. Trzeci z olbrzymów ku zaskoczeniu Cywen okazał się kobietą, ale od mężczyzn różnił ją w zasadzie jedynie brak wąsów. Dziewczyna zerknęła na olbrzyma, który towarzyszył Veradisowi, i zorientowała się, że ten przygląda się przybyszom ze zmrużonymi oczami i zmarszczonym czołem.

Wtedy odezwała się Rhin:

– Witaj, Uthasie z klanu Benothi. Zarówno ty, jak i twoi pobratymcy jesteście tu mile widziani.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

TUKUL

Tukul z Jehar zamrugał, gdy spojrział w górę. Blask słoneczny przenikał przez korony drzew, coraz mocniejszy i intensywniejszy. Od wielu księżyców nie widział go tak wiele.

Zbliżali się do granic Fornu.

Przybycie Meicala do Drassil, które pchnęło ich do działania, roznieciło iskrę w jego uśpionym sercu. Czuł znów napięcie i narastający entuzjazm, czuł, że trwające wiele lat oczekiwanie wreszcie dobiegło końca.

Choć dziwnie to brzmiało, polubił nie tylko Drassil, ale również las Forn, i na samą myśl o tym, że trzeba będzie go opuścić i znów znaleźć się na otwartej przestrzeni, pod niekończącym się niebem, czuł się niemalże niekomfortowo. Wyśmiał w duchu swe obawy, zaiste trudne do pomyślenia u człowieka, który wychował się w oazie na samym środku pustyni.

Odepchnął myśli na bok i rażno podążył za wysokim Meicałem, nie przestając narzekać w duchu na zeszywniałe kolana.

Przekłeta wilgoć. Nienawidzę tej wilgoci. Ze wszystkim dam sobie radę, tylko nie z tym...

Za sobą widział wijący się szereg braci i sióstr w mieczu, którzy właśnie odbywali swą świętą pielgrzymkę w imię Elyona, Ojca Ojców. Życie zarówno Tukula, jak i całej reszty upłynęło na modlitwach do nieobecnego boga, ale wojownik nie miał wątpliwości, że ich pielgrzymkę niebawem miał zwieńczyć rozlew krwi. Zbliżał się kulminacyjny moment ich przygotowań, ostateczny test oddania i dyscypliny, które pielęgowali od wielu pokoleń.

Mam nadzieję, że widzisz to wszystko, Ojciec Ojców, pomyślał. Tak,

z pewnością na to patrzysz, nawet jeśli już nie reagujesz. Wszystkiemu, co robiłem przez całe moje życie, przyświecała przecież nadzieja, że na nas patrzysz. I że mnie zauważysz.

Opuścili Drassil dwa dni po przybyciu Meicala, ale przebyli puszcę o wiele szybciej od niego. Ich głównym zadaniem w Drassil było odnowienie starej fortecy oraz przygotowanie jej do obrony i podczas prac odkryli wiele tunelów, z początku wydrążonych przez korzenie gigantycznego drzewa, ale rozbudowanych przez olbrzymy. Tunele ciągnęły się wiele mil pod powierzchnią ziemi, a jeden z nich doprowadził ich niemalże na sam skraj lasu. Tukul spojrział ponownie ku niebu, na moment oślepiony przez żar, przenikający między gałęziami w górze.

Otoczające ich drzewa były rosnącymi w sporej odległości od siebie potworami o ogromnych pniach i masywnych korzeniach, wnikających głęboko w ziemię i wypijających z niej soki. Mimo to Jehar wnet dotarli do miejsca, gdzie wiele spośród drzew ścięto. Pniaki były białe i ociekały żywicą. Tukul dotknął jednego z nich palcami i poczuł, że ich opuszki zaczęły się lepić.

Ludzie. Drwale. Doprawdy wkraczamy do całkiem innego świata, pomyślał.

Pokonali ogromną, pełną pniaków polanę i dotarli na brzeg szerokiej rzeki. Znajdowały się tam stosy z grubszymi oprawionymi pni, a w ciemne wody wychodził pomost, ale nigdzie nie było widać ludzi. Jak na razie.

Meical zatrzymał się i czekał na resztę.

– Jesteśmy już prawie na miejscu – powiedział. – Wchodzimy na ziemię Gramma. Pamiętasz go?

– Jasne – odparł Tukul.

W trakcie ich wędrówki do Fornu – czternaście lat temu, piętnaście? – Meical zaprowadził ich do sadyby wzniesionej na obrzeżach lasu. Należała do człowieka o imieniu Gramm, który miał żonę oraz dwóch synów, młodych, ale nadających się już do ciężkiej pracy. Gramm okazał się człowiekiem śmiałym i pełnym marzeń. Chciał zarabiać na spławianiu drewna rzeką oraz hodować konie. Sądząc po tym, co widzieli naokoło siebie, zrealizował przynajmniej pierwszą część planu i zadomowił się na skraju dziczy.

– Mam nadzieję, że dobrze zajmował się naszymi końmi – rzekł Tukul.

– Zaraz się przekonasz – odparł Meical.

Ruszyli w dalszą drogę i wkrótce Tukul usłyszał tętent kopyt na mchu. Odruchowo sięgnął po miecz i nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że siedemdziesięciu jego towarzyszy zrobiło dokładnie to samo. Kiedyś zwano ich Setką, ale od tego czasu ich liczebność spadła. Przez bramy Telassar wyjechali jednakże w sto koni, dumni i pełni zapału.

Oczom Tukula ukazał się tuzin jeźdźców w kolczugach i żelaznych hełmach. Przy siodłach mieli włócznie, a większość była dodatkowo zbrojna w przytroczone do pleców topory.

Topory, pomyślał. Ciężka, nieporęczna broń.

Jeźdźcy ujrzeni Tukula oraz jego towarzyszy i pognali ku nim. Jeden odłączył się od oddziału i zawrócił.

– To ludzie z drużyny Gramma – rzekł Meical. – Przeprowadzają zwiad na skraju jego ziem.

– Wyglądają dość groźnie jak na zwiadowców – stwierdził Tukul.

– Ziemie Gramma graniczą na wschodzie z lasem Forn, a na północy z Pustkowiec. Na Ziemiach Wygnanych nie ma bezpiecznych miejsc, ale tu jest wyjątkowo źle – odparł Meical, przyglądając się czujnie zbliżającym się jeźdźcom. Odruchowo oparł dłoń na rękojeści miecza.

Zwiadowcy ujeli włócznie i wycelowali ostrza niżej. Nie rzucali się do szarży, ale byli gotowi. Przyglądający się im Tukul odkrył w sobie budzący się szacunek. Ich konie, wysokie, grubokościste, a mimo to obdarzone gracją, były hodowane do wojny. Długie, gęste grzywy wierzchowców, tu i ówdzie zaplecione w warkoczyki, powiewały z każdym krokiem.

Pierwszy z jeźdźców uniósł włócznie i zatrzymał swego rumaka przed Meicałem. Zdjął hełm i zawiesił go przy siodle. Jego ludzie uformowali szereg za nim.

– Cieszę się, że cię widzę, Meicalu. Ojciec kazał nam cię odnaleźć.

Meical podszedł bliżej i uściśnął nadgarstek jeźdźcy.

– No i udało ci się, Wulf. Ja też się cieszę, że cię widzę.

– Zaś twoi towarzysze przypominają tych, którzy towarzyszyli ci wówczas, wiele lat temu.

– Masz świetną pamięć, Wulf, choć byłeś podówczas jeszcze dzieckiem.

– Miałem jedenaście lat! I nigdy nie zapomnę dnia, gdy was ujrzałem.

Was i te wasze konie!

– Jeździecie na moich koniach? – Tukul podszedł bliżej.

– Nie na twoich, jeśli chodzi o ścisłość – odparł Wulf, zwracając wzrok ku Tukulowi. – Rozmnażamy je. Ojciec mówi, że dostał od ciebie zgodę.

– Tak, to prawda – rzekł Tukul. Podszedł do wierzchowca i wyciągnął rękę, by zwierzę mogło ją powąchać. Cicho szepcząc do niego, przesunął dłonią po jego muskularnej klatce piersiowej. – Twój ojciec zna się na rzeczy – dodał.

– Nie tylko ty tak uważasz. Nasze konie są pożądanym towarem zarówno na północy, jak i na południu! – Wulf wyprostował się z dumą.

– Ruszajmy – rzekł Meical. – Nie mam nic przeciwko rozmowom o handlu końmi, ale wolałbym je prowadzić na wygodnym fotelu z kielichem w ręku. Mamy za sobą długą podróż.

– Oczywiście – oznajmił Wulf. – Będziemy was eskortować w drodze do domu.

Na jego rozkaz jeźdźcy Gramma otoczyli ich kolumnę i połączone grupy ruszyły naprzód.

Moi bracia i siostry w mieczu nie potrzebują ochrony!, pomyślał Tukul, ale spodobał mu się gest Wulfa. Młodzieniec dobrze odnalazł się w sytuacji.

– Widzę, że tu, na skraju północnych krain, jesteście zawsze przygotowani na najgorsze – rzekł Meical, gdy wyruszyli w drogę. – Miałem wrażenie, że i nas byliście gotowi rozjechać w szarży.

– Tak, musimy być czujni. Nie sądzę, by do lasu Forn docierały wieści z szerokiego świata. Wiedźcie, że na południu, w Isiltirze, trwa wojna, a oddziały stamtąd zapuszczają się coraz dalej na północ, paląc nasze osady. Ani myślimy pozwolić im na to tutaj.

– Wojna? Między kim?

– Różne pogłoski tu docierają. – Wulf wzruszył ramionami. – Rzekomo to jakieś wewnętrzne spory o tron. Najczęściej słyszymy, że Romar zginął w lesie Forn, walcząc z Hunen, a ci, których pozostawił, walczą o strzępy schedy.

Meical zerknął na Tukula. W ich spojrzeniach pojawił się niepokój. Czekaliśmy tyle lat... Czyżby za długo?

Sadyba Gramma wznosiła się na szczycie niewysokiego wzgórza, a otaczała ją wysoka, drewniana palisada. Przybysze zbliżali się do niej od

południowego wschodu, mijając po drodze zagrody, w których pasły się konie podobne do tych, których dosiadali ludzie Gramma. Tukul naliczył ich ponad sto. Ich widok oraz zapach obudził w nim dreszcz radości. Jego towarzysze również kiwali głowami i uśmiechali się do siebie.

Bądź błogosławion, Ojciec Ojców, za to, że stworzyłeś takie piękno, pomyślał.

Miał wielką ochotę zatrzymać się, poprzyglądać rumakom, dosiąść któregoś z nich, ale wiedział, że to jeszcze nie czas.

Niebawem, powiedział do siebie.

Ruszyli w górę wzgórza. Tukul dostrzegł kilka stodół i innych budynków na brzegu rzeki, płynącej na północ od sadyby. Za wodą ciągnęły się jałowe ziemie, a w dali wznosiły się rozrzucone łańcuchy górskie. Było to Pustkowie, półwysep, który wedle zapisków historycznych najbardziej ucierpiał podczas Plagi. Wypalone, popękane ziemie, na których Elyon wyładował swój gniew, już nigdy nie przyniosły owoców. Tukul zatrzymał się i z nabożnym szacunkiem spojrzął w dal.

Patrzył na miejsce, którego kiedyś dotknął Elyon.

Niechętnie oderwał wzrok i wkrótce przeszedł przez szeroką bramę na wielki dziedziniec, na którym trwała ożywiona krzątanina.

Gramm nie był już tym samym człowiekiem co kiedyś – nieco utył, a w jego włosach pojawiły się pierwsze pasemka siwizny – ale na jego twarzy nadal malowała się szczerłość i otwartość, co Tukul tak dobrze zapamiętał z ich pierwszego spotkania. Gospodarz wyściskał Meicala i Tukula, a potem zaprowadził ich do izb, gdzie napełniano wielkie misy parującą wodą.

– Zmyjcie z siebie kurz traktu. Moi ludzie właśnie zarzynają wołu – rzekł. – Wieczorem czeka nas wielka uczta! Będziemy świętować nasze spotkanie!

* * *

Tukul starł tłuszcz z podbródka, rozkoszując się smakiem gorącego mięsa. W Drassil dobrze jadali, ale podczas długiej wędrówki przez Forn nie mieli wiele czasu na polowanie czy gotowanie i mięso upieczonego wołu smakowało wprost niebiańsko.

Długa sala, znajdująca się w sercu sadyby Gramma, była tego wieczoru wypełniona po brzegi. Wyglądało na to, że Grammowi rzeczywiście dobrze się powodzi. Handel drewnem przynosił mu spore zyski, a jego sława hodowcy doskonałych koni niosła się daleko. Opowiedział im, że ze stada, które Tukul i jego towarzysze zostawili mu piętnaście lat temu, wywiódł dwie linie. W jednej zachował czystość krwi, a stado liczyło kilkaset sztuk. Drugą zaś skrzyżował z mocną, odporną rasą z północy, muskularną i grubokościstą, hodowaną do ciężkiej, wyteżonej pracy. Tych właśnie koni dosiadali ludzie Wulfa i Tukul musiał przyznać, że owoc starań Gramma wywarł na nim wielkie wrażenie.

Grammowi powiodło się również w innych sferach życia. Przedstawił gościom kolejnych synów, córki oraz wnuki, których było tyle, że Tukulowi zaczęły mieszać się ich imiona. Poczul w sercu ukłucie zazdrości na widok szczęścia, jakie dawała gospodarzowi wielka rodzina. Sam zawsze marzył o wielu synach i tęsknił za śmiechem dzieci i tupotem bosych stóp.

Cóż, ułożyło się inaczej, pomyślał i westchnął ciężko.

Doczekał się tylko jednego syna, który znalazł się w dziwnym miejscu, obarczony zadaniem poważniejszym i bardziej skomplikowanym, niż ktokolwiek mógł sobie wyobrazić. Z trudem przypominał sobie jego twarz. Zaś Daria, jego ukochana żona, odeszła po moście mieczy dobrych dwanaście lat temu. Poraniona przez draiga z lasu Forn, nie zdołała pokonać infekcji, która wdała się w rany, i umarła dziesięcionoc później.

Uniósł kielich w cichym toaście.

Za ciebie, Dario, pomyślał. I za ciebie, synu.

Jego wojownicy zajmowali połowę długiego stołu, który ciągnął się przez środek sali. Po tylu latach w osamotnionej twierdzy wydawali się nieco przytłoczeni i oszołomieni tak licznym, głośnym towarzystwem. Towarzyszyła im bowiem nie tylko rodzina Gramma, ale także inni ludzie, których przyjął pod swój dach – stajenni, drwale i flisacy z bliskimi oraz grupa najemników, którzy chronili jego ziemie oraz interesy. Zazwyczaj najwięcej problemów było z odpieraniem ataków z leżącego na północy Pustkowie, ale ostatnio musieli poświęcać sporo uwagi południowym granicom. Opowieści o wojnie i grabieży dodały bowiem odwagi bandom banitów.

Kilku spośród wojów znajdowało się między stołem Tukula a resztą

Jehar. Zabawiali się rzucaniem toporami w słomiane tarcze, śmiejąc się, dodając sobie otuchy bądź natrzęsając z własnej niezdarności. Tukul z zaskoczeniem zauważył, że wielu spośród nich szło całkiem nieźle.

– Dobrze sobie radzą z toporami – oznajmił Gramm, widząc, że mężczyzna przygląda się zawodom. – Choć żaden z nich nie jest w stanie prześcignąć mego Wulfa.

Uniósł kielich i wychylił go do dna, a potem klepnął syna przez plecy.

– Chcesz spróbować? – spytał młodzieniec.

– Chętnie sięgam po topór, przyznam – odparł Tukul. – Głównie, gdy muszę narąbać drewna.

Meical parsknął śmiechem.

– Topór można wykorzystywać do wielu innych rzeczy – odparł sztywno Wulf. – Zwłaszcza tu, blisko Pustkowie, skąd docierają istoty, które należy odpowiednio przekonać, że życie nie jest dla nich. Topór jest cięższy od miecza. Gdy przyjdzie ci natknąć się na bandę Jotun, możesz dojść do wniosku, że miecz to za mało.

– Przeżyłem piętnaście lat w Fornie, walcząc z wilkunami, draigami i innymi stworzeniami, które nie mają nazw, a mimo to wciąż tu jestem. – Tukul wzruszył ramionami. – Ale zaintrygowałeś mnie. Daj mi któryś z tych toporów, a spróbuję swoich sił w rzucaniu.

Wulf podprowadził go do współzawodniczących wojowników, którzy rozstąpili się przed nimi.

– Pokażę ci, jak to się robi – rzekł Wulf. – Ciężar broni skupia się w ostrzu, więc pozwól, by to ostrze wykonało za ciebie całą pracę.

Uniósł podany mu topór o krótkim trzonku, skupił uwagę na tarczy i cisnął. Broń zawirowała w powietrzu i z głośnym młaśnięciem wbiła się o włos od jej środka.

– Proszę. – Wulf podał inny topór Tukulowi.

Wojownik zamachnął się bronią kilkakrotnie, by wybadać jej ciężar i wyważenie, po czym nabrał powietrza w płuca, wstrzymał je na moment i cisnął.

Od razu zrozumiał, że popełnił błąd. Ostrze uderzyło w cel tuż nad toporem Wulfa, ale odbiło się od tarczy i spadło na ziemię. Zewsząd dobiegło chrapliwe śmiechy.

– Teraz już chyba rozumiesz zalety topora – rzekł głośno Wulf,

uśmiechając się szeroko. – Nawet jeśli nie trafisz przeciwnika ostrzem, i tak masz szansę rozbić mu łeb.

Znów rozległy się rechoty i nawet Tukul się uśmiechnął. Zerknął jednak na Jehar i uświadomił sobie, że im, milczącym i ponurym, daleko jest do śmiechu.

– Dajcie mi jeszcze jeden – oznajmił, wyciągając rękę.

– W porządku – rzekł młodzieniec. – Skoro już podbiłeś przeciwnikowi oko, mógłbyś spróbować podbić mu drugie!

Tukul powtórzył rytuał – sprawdził wagę broni, nabrał tchu i cisnął. Tym razem od razu wiedział, że poszło mu o wiele lepiej. Topór zawirował w powietrzu i wbił się w słomianą tarczę z satysfakcjonującym młaśnięciem, jakieś dwa palce od ostrza Wulfa.

Wśród widzów zapadła cisza, a potem wybuchły głośne wiwaty. Syn Gramma klepnął Tukula przez plecy, a ten się uśmiechnął.

– Chyba podobają mi się twoje topory – oznajmił głośno, wzbudzając kolejne salwy śmiechu. Zauważył, że niektórzy spośród jego braci i sióstr w mieczu – Enkara, Jalil i Hester – podchodzą bliżej.

Wiedziałem, że nie będą w stanie się oprzeć, pomyślał.

– Jeszcze raz! – rzekł i wyciągnął rękę po kolejny topór.

Naraz wielkie wrota do hali stanęły otworem. Do środka wpadł podmuch zimnego powietrza, który podsycił ogień w palenisku. Próg przekroczyło dwóch mężczyzn zbrojnych we włócznie.

Strażnicy, pomyślał Tukul.

Nowo przybyli prowadzili dwóch innych mężczyzn. W sali zapadła cisza, gdy podeszli do Gramma.

Jednym z przyprowadzonych przez nich ludzi był młody wojownik, któremu towarzyszył chłopiec w wieku dziesięciu, jedenastu lat. Wojownik oparł dłoń na jego ramieniu.

Ich ubrania były brudne od wielodniowej podróży. Obaj z trudem opierali się wyczerpaniu. Chwiejąc się na nogach, stanęli przed Grammem.

– Znaleźliśmy ich na południowej granicy – rzekł jeden ze strażników.

– Twierdzą, że mają coś ważnego do przekazania, ale chcą rozmawiać jedynie z Grammem.

– Mama powiedziała, że mam rozmawiać z Grammem i nikim innym – odezwał się chłopak cieniutkim, drżącym głosem.

– Doprawdy? – spytał Gramm. – Wyglądasz na takiego, któremu bardziej potrzebna jest kąpiel i coś ciepłego na ząb niż rozmowa ze mną. To mnie szukacie. Powiedzcie mi więc, kim jesteście, a wtedy wysłucham, co macie mi do powiedzenia.

– Nazywam się Tahir i jestem ostatnim mieczem Gadrai – rzekł młody wojownik i się wyprostował. Po sali przemknął szmer rozmów.

– Przynosimy wam wieści o wojnie. Jael z Mikil zabił króla Romara i zagarnął tron Isilitiru.

Chłopiec odepchnął opiekuńczą dłoń Tahira i zrobił krok naprzód. Tukul zauważył, że jego ręce i nogi drżą.

Boi się i jest wyczerpany, ale nie chce się kryć za swoim strażnikiem, pomyślał. Podoba mi się.

Chłopak uniósł wyżej głowę i dodał:

– Jestem Haelan, syn Romara i Gerdy, prawowity król Isilitiru. Przybywam, by prosić o Schronienie.

Rozdział sześćdziesiąty

CORBAN

Corban przebudził się ze sztywnymi, obolałymi plecami.

Dziwne, pomyślał. Przecież to moja pierwsza noc w łóżku od...

Odepchnął tę refleksję od siebie, gdyż nadal nie miał ochoty wracać myślami do ostatnich dni w Dun Carreg, bo pierwszym wspomnieniem, które go wówczas nachodziło, był Nathair przebijający pierś jego ojca mieczem. Westchnął i zsunął się z łóżka, a potem podreptał po zimnej, kamiennej podłodze do kuchni.

Dotarli do Dun Taras wczoraj, choć mało brakowało, a nie udałoby im się nawet przejść przez bramy; strażnicy nie mieli najmniejszego zamiaru wpuścić do środka wilkuna. Craf sfrunął z blanek i obrzucił ich przekleństwami, co oczywiście również nie pomogło, ale Rath w końcu zdołał przekonać kapitana straży i uciekinierzy wreszcie byli bezpieczni. Pogłoski rozeszły się błyskawicznie i wokół przybyszów zebrał się tłumek dzieci, a nawet kilkoro dorosłych, ale uwagę większości przyciągnęła wilkunica, a nie Edana.

Halion, Edana i Marrock zostali niemalże natychmiast zabrani na audiencję do króla Eremona, podczas gdy pozostali czekali na oddzielnym od reszty fortecy dziedzińcu z ogrodami. Zdaniem Haliona spotkanie przebiegło pomyślnie, choć Edana nie wydawała się przekonana. Zakwaterowano ich w wielkim, kamiennym domu na skraju fortecy, gdzie łatwiej było im zamieszkać z Burzą. Edanie zaproponowano komnaty na zamku królewskim, ale wołała zostać ze „swymi ludźmi”, jak nazwała niewielką grupkę towarzyszy.

Nadciągał już świt i między okiennicami przenikało do środka blade światło. W półmroku Corban natychmiast wypatrzył ogromnego Farrella,

który siedział przy żarzącym się palenisku. Corban przysunął krzesło i usiadł obok kolegi, by ogrzać dłonie. Po chwili rozległy się kroki Datha. We trzech trwali przez moment w milczeniu, wpatrując się w żar.

– Czy kiedyś będzie mi z tym łatwiej? – odezwał się naraz Farrell chrapliwym głosem.

Corban westchnął. Od razu odgadł, o co chodzi jego przyjacielowi. Sam nie przestawał tęsknić za tatą. Cała trójka straciła ojców w walce z wrogiem w ciągu ostatnich kilku księżyców.

– Trochę – powiedział. – Z początku miałem wrażenie, że mam w sobie wielką dziurę. Ogromną pustkę, która boli bardziej od najgorszej rany. Wystarczyło, bym o nim pomyślał, a nie mogłem oddychać. – Spojrzał na Farrella i Datha. – Ale wszystko to, co się wydarzyło od ucieczki z Dun Carreg, śmiertelne niebezpieczeństwa, z którymi borykaliśmy się co dzień... Tak, to pomogło. Nie myślałem aż tyle.

Dath pokiwał głową, zgadzając się z tym, co usłyszał.

– Ale zapomnieć się nie da – ciągnął Corban. – Nigdy nie zapomnę.

I znów miał wrażenie, że znalazł się w sali biesiadnej Dun Carreg, otoczony dymem i krzykami, i patrzył, jak Nathair wbija miecz w ciało jego ojca. Znów obudziły się w nim emocje. Czuł niemalże fizyczny ból, zupełnie jakby wielka dłoń zacisnęła się na jego sercu.

– Cała ta gadanina o twoim ojcu – rzekł Dath, wpatrzony w Farrella. – O tym, że kiedyś podobno zachował się jak tchórz.

Farrell spojrzał na niego, mrużąc oczy.

Jego ojciec Anwarth należał niegdyś do drużyny poprzedniego wojewody Ardanu. Podczas jakiegoś zatargu oskarżono go o tchórzostwo, bo rzekomo udawał martwego, zamiast przyjść z pomocą wojewodzie, który zresztą padł w walce. Niczego mu nie udowodniono, ale takie oskarżenia nigdy nie cichły.

– Kompletnie w to nie wierzę – ciągnął Dath. – Na ochotnika zgłosił się, że zostanie z Marrockiem, choć wiedział, że nie wyjdzie z tego cało. Poza tym widziałem go w bitwie. Nie było w nim nic z tchórze.

Farrell wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na ramieniu Datha.

– Au! – krzyknął tamten.

– Twój ojciec również nie był tchórzem. Sam próbował zdobyć łódź!

– Prawda? – Dath spoglądał na swe dłonie. Jego usta drżały, a po

policzkach płynęły łzy.

– On cię kochał, Dath – szepnął Corban. – Wiesz?

– Naprawdę? To dlaczego mnie bił?

– Nie wiem. – Corban wzruszył ramionami.

– Gdybym to ja był twoim ojcem, też bym cię lał – stwierdził Farrell.

– Jestem tchórzem – rzekł Dath cicho, niemalże do siebie.

– Co?

– Bałem się bez przerwy. Każdego dnia, podczas każdej bitwy... Bałem się? Mało powiedziane. Byłem przerażony. Lęk mnie obezwładnia, zamienia w kamień!

– Ale celności ci nie odebrał – rzekł Farrell.

– Wszyscy ludzie się boją – dodał Corban. – Gar mi to kiedyś powiedział. Każdy z nas czuje strach, a więc musi zdecydować, co z tym pocnie. Czy zostanie czy rzuci się do ucieczki? Czy będzie walczył czy się podda? Dopiero decyzja, którą podejmiesz, zamienia cię w tchórze bądź bohatera. Bez lęku nie ma odwagi.

– W takim razie nie jesteś tchórzem – uznał Farrell.

– Czyli pewnie jestem bohaterem? – rzekł Dath z lekkim uśmiechem.

– Wolałbym, aby mój ojciec okazał się tchórzem i dalej był między nami – stwierdził Farrell.

Siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę, gdyż Corban nie miał pojęcia, jak zareagować na słowa przyjaciela.

– A skoro już mowa o Garze i bohaterach – odezwał się Dath. – O co chodzi w tym zamieszaniu z tobą? Czemu Gar twierdzi, że jesteś Syren Dyskiem czy czymś podobnym?

– Seren Disglaiem – poprawił go Corban z grymasem niechęci. Ostatnie tygodnie, wypełnione nieustanną walką o przetrwanie, nie sprzyjały rozmyśleniom i prawie zapomniał o rewelacjach Gara, ale teraz, gdy znaleźli się w bezpiecznym miejscu, jego myśli bez przerwy do nich wracały. Zarówno Gar, jak i jego matka byli przekonani, że wydarzy się coś, co zmieni jego pogląd na tę sprawę.

Nie ma mowy, pomyślał. Nie chcę być jakąś Jasną Gwiazdą i walczyć z Ciemnym Słońcem czy czymś tam. Już się napatrzyłem na wojnę i śmierć. Chwilowo dziękuję za następne.

– Właśnie – stwierdził Dath. – A więc kiedy to zostałeś wybawcą Ziemi

Wygnanych?

– Zamknij się – warknął Corban. – To wcale nie jest śmieszne.

– Gar też tak myśli – rzekł Farrell. – Najwyraźniej poważnie podchodzi do tej sprawy i mam wrażenie, że to w ogóle bardzo poważny człowiek. Nigdy nie widziałem, by się uśmiechał.

– To, że jest poważny, nie oznacza, że ma rację. – Corban zmarszczył brwi.

– A o co mu w ogóle chodzi? – spytał Dath.

– Popełnił błąd i tyle. – Corban wzruszył ramionami. – Nie zwracajcie na niego uwagi. Tak będzie najlepiej.

– Za tym musi się kryć coś więcej – nalegał Farrell. – Spójrzcie na to, jak on walczy! I na jego miecz! Ci wojownicy, którzy napadli na Dun Carreg, władali bronią tak jak on. Pamiętacie tego, z którym walczył? Tego, który pilnował Nathaira?

Corban poruszył się nerwowo. Od pewnego czasu prześladowały go identyczne refleksje.

Gar przecież nie jest głupcem, a do niedawna na pewno nie uznałbym go za szaleńca, pomyślał.

– Każdy może popełnić błąd – rzekł. – Zostawmy już to.

Jego przyjaciele wymienili się ukradkowymi spojrzeniami, ale żaden z nich nie powiedział ani słowa więcej na ten temat.

– W porządku – odezwał się Dath. – Ale jest inna sprawa, o której musimy pogadać, a mianowicie owe śmierdzące skóry wilkunów. – Marszcząc nos, wskazał wielki zwój w kącie.

– Wiem. Muszę poprosić Haliona, by pomógł mi znaleźć dobrego garbarza.

– A po co ci one?

– Mam pewien pomysł, ale na razie nie chcę o nim mówić.

* * *

Corban zablokował ostrze treningowe Gara, odepchnął go i wykorzystał pęd, by przejść do kontrataku. Kątem oka dostrzegł, że Gar szykuje się do zablokowania jego uderzenia. Ciął, zawirował, nachylił się przed mieczem nauczyciela, który przeciął powietrze nad jego głową, i uderzył

mężczyznę po kostkach.

Ten przeskoczył nad klingą i zamierzył się na jego głowę, ale chłopak wykorzystał pęd niecelnego ciosu, by wykonać przewrót w przód i umknąć spod miecza. Zerwał się na równe nogi i poderwał wysoko trzymane oburącz ostrze, by przejść do ostrego ataku. Ciął Gara dwukrotnie w głowę, raz pchnął w serce, potem w żebra, a na końcu w udo i krocze. Nauczyciel zablokował wszystkie uderzenia. Po czole chłopaka spływała strużka potu. Wyczuwał cienie wokół siebie, nieruchome, obserwujące. Na ułamek sekundy stracił koncentrację, a wtedy Gar przebił się przez jego gardę i przyłożył mu miecz ćwiczebny do szyi.

– Coś cię rozproszyło – oznajmił. – Do tego momentu było nieźle.

Nieźle, pomyślał Corban. Nigdy w życiu nie poruszałem się tak szybko. Nigdy w życiu tak długo nie powstrzymałem cię od zabicia mnie.

Uśmiechnął się ponuro i otarł pot z czoła, a potem rozejrzał się i uzmysłowił sobie, że wpatrują się w niego wszyscy wojownicy na dziedzińcu treningowym. Nie była to pierwsza tego typu sytuacja od ich przyjazdu do Dun Taras i zdążył się już do tego przyzwyczaić. Tym razem jednakże wśród widzów był Rath, kilku zabójców olbrzymów oraz Coralen, która jednak nie patrzyła ani na niego, ani na Gara. Nieopodal stali też Dath, Farrell, Marrock i Camlin. Były banita przypinał właśnie tarczę do kalekiego ramienia Marrocka.

– Przestań gapić się na dziewczyny i podnieś miecz – warknął Gar.

– Na nikogo się nie gapię – sprzeciwił się Corban, ale były stajenny natarł na niego i chłopak nie miał już czasu na dalsze wyjaśnienia.

Po zakończonej walce Gar poprowadził taniec miecza, a Corban naśladował jego ruchy. Pokochał ten rytuał. Była to chwila, kiedy jego umysł uspokajał się i wyciszał, a on mógł na moment zapomnieć o zamieszaniu i chaosie, które witały go niemal każdego dnia po przebudzeniu. Gdy skończył i szykował się już, by wsunąć miecz do kosza, poczuł dotknięcie na ramieniu. Odwrócił się i ujrzał Coralen.

– Nie odkładaj go – powiedziała, po czym podniosła własny miecz i zamarła w pozycji do walki. W drugiej ręce trzymała drewnianą replikę noża.

A więc walczy tak jak Conall, pomyślał Corban.

– Że co? – spytał.

– Nie każ jej długo czekać, bo spierze cię jeszcze mocniej! – zawołał ktoś. Dookoła rozległy się śmiechy. Corban miał wrażenie, że dowcipnisiem był Baird, jednooki przyboczny Ratha.

– No dalej! – oznajmiła Coralen i zakreśliła swą bronią powolny łuk.

Chłopak zmarszczył brwi, wrócił na trawę i uniósł drewniany miecz. Przybrał pozycję nurkującego sokoła, która była standardową pozycją wyjściową, a Coralen rzuciła się do ataku. Poruszała się szybciej, niż się Corban spodziewał, a jej miecz uderzał pod nieoczekiwanym kątem. Drewniany nóż szybko pozostawił czerwony ślad na jego ramieniu.

Uderza jak wilkun pazurami, pomyślał chłopak. W jego głowie powstawał coraz wyraźniejszy pomysł. Muszę porozmawiać o tym z Farrellem.

Kolejny cios prześliznął się przez jego gardę.

Skup się, idioto, ofuknął się w myślach. Przecież widziałeś, jak ona zabija olbrzyma. Jest szybka i zabójcza!

Cofnął się, chcąc odzyskać nieco przestrzeni, ale Coralen nie pozwoliła mu na to. Napierała, uderzając to z góry, to z dołu. Corban zablokował wszystkie jej ciosy, aczkolwiek nieco niezdarnie, po czym przeszedł do kontrataku. Szaleli na całym dziedzińcu, przesuwając się to w jedną, to w drugą stronę, a stukot zderzających się mieczy niósł się daleko. Chłopak stracił poczucie czasu, całkiem pochłonięty kolejnymi blokami i natarciami. Jego ciało i mózg idealnie współgrały ze sobą, przeganiając wszelkie myśli i wyzwalając serie odruchowych reakcji, które mógł zawdzięczać jedynie niezliczonym godzinom ćwiczeń.

Naraz ujrzał dla siebie szansę i pchnął, zanim zdążył o tym pomyśleć. Dostarczył, przebił się przez gardę dziewczyny, ale ona w jakiś sposób zdołała zatrzymać jego miecz. Napierali na siebie, niemalże pierś w pierś. Corban czuł jej oddech, słodki, pachnący nieco jabłkami. Zamrugnął, a wtedy Coralen zahaczyła stopą o jego kostkę i runął na ziemię. Uderzenie wybiło mu powietrze z płuc. Drewniane ostrze dotknęło jego gardła. Dziewczyna się uśmiechnęła.

Zmarszczył brwi. Przypomniał sobie, jak Conall zastosował niemalże identyczną strategię na Marrocku w Dun Carreg.

– Oszukiwałaś – wymamrotał.

Coralen złapała go za nadgarstek i pomogła mu wstać.

– A ty nadal jesteś martwy. – Uśmiechnęła się szeroko.

Corban zarumienił się i ujrzał, że wokół nich zgromadził się tłum widzów, a wśród nich byli Dath, Farrell i Gar, który kręcił głową i uśmiechał się pod nosem. Skądś nadchodził Halion.

Mam nadzieję, że chce mnie ocalić, pomyślał chłopak.

– Chodź, Corbanie – rzekł do niego wojownik. – Mamy się spotkać z królową Edaną. Ojciec... To znaczy król chce się z wami zobaczyć.

– Ze mną? – zdziwił się chłopak. – Dlaczego?

– Bo ciągle słyszy opowieści o młodym wojowniku, który oswoił wilkuna. Chce cię poznać i tyle. Chodź ze mną.

– Ona wcale nie jest oswojona – mruknął Corban, po czym wsunął miecz do wiklinowego kosza i opuścił dziedziniec.

Od przybycia do Dun Taras minęła już dziesięcionoc. Edana spotkała się z królem Eremonem pięć czy sześć razy, ale władca nadal nie udzielił zdecydowanej odpowiedzi, czy wesprze jej sprawę czy też nie. W audiencjach uczestniczyła żona króla, Roisin, która zdaniem Haliona była o wiele bardziej zjadliwa niż wcześniej.

Burza podniosła się i udała w ślad za Corbanem. We trójkę poszli ulicami Dun Taras, które nie różniło się wiele od Dun Carreg. Ulice były równie szerokie i wyłożone dużymi płytami, a nad wszystkim górował szary zamek. Skała, z której wzniesiono fortecę, była tu jednak ciemniejsza, no i brakowało szumu fal, pokrzykiwania mew i zapachu soli w powietrzu.

– Twoja siostra nie walczy uczciwie – poskarżył się Corban, który nadal czuł pulsujący ból w plecach.

– Nie. Ale jest dobra. – Halion uśmiechnął się szeroko.

– Łatwo położyła mnie na łopatki. Przypomina mi Conalla, z tym, że ma ostrzejszy język.

Wojownik zauważalnie posmutniał.

– Tak, spędzała z moim bratem sporo czasu, gdy dorastali. To jego zawsze podziwiała i jemu starała się dorównać, ale wiedz, że nie jest taka twarda, za jaką chce uchodzić.

– Chyba się z tym nie zgodzę. Widziałeś, jak zabiła tego olbrzyma wśród wzgórz?

– Mam na myśli jej serce. Jeśli chodzi o inne rzeczy... Cóż, dorastała w męskim gronie i całe życie spędziła między wojownikami. Matka

porzuciła ją, gdy była małym dzieckiem, a wtedy przygarnął ją Rath, który zwykł otaczać się zbrojnymi, a nie piastunkami. Coralen nie zna innego życia niż to.

Czyli twarda na zewnątrz, lecz miękka w środku, pomyślał chłopak, ale przypomniał sobie jej kąśliwe uwagi. Nie wydaje mi się.

– Gdzie jest Edana? – zapytał Haliona.

– Już rozmawia z królem. Pamiętaj, że to teraz królowa Edana. Jeśli jej poddani nie będą okazywać jej szacunku, tym bardziej nie zrobią tego mieszkańcy Domhainu.

– Przepraszam – bąknął Corban. Bynajmniej nie chodziło o to, że nie szanował Edany jako swej królowej. Darzył ją wielkim szacunkiem, ale była dla niego również przyjaciółką. Rozumiał jednakże logikę Haliona.

– Pozwól, że cię ostrzeżę, Corbanie. Uważaj na Roisin. Jest dumna, przebiegła i zazdrosna. Jej syn Lorcan jest dziedzicem tronu, a ona robi wszystko, by zabezpieczyć i obronić jego prawa. Mój ojciec zaś jest stary, ale nie myśl, że opuścił go spryt i zdrowy rozsądek. Jeśli nic go nie rozprasza, potrafi zaskoczyć trzeźwością osądu, ale wciąż rozgląda się za kobietami.

– Jest więc taki, jakim go zapamiętałeś?

– Mniej więcej, choć nieco zmalał, stał się też bardziej przezorny. Spotkanie z tobą może pomóc, bo ojciec to skomplikowany człowiek. Z jednej strony lubi dobrze przemyśleć swe plany, ale z drugiej stać go na spontaniczne decyzje. Mówiono mi, że w młodości był zdolny do niebywałych czynów. Nadal pozwala, by zawładnęły nim potrzeby serca, co miało miejsce w przypadku Roisin. Polubił Edanę, po części dlatego, że jest młoda i ładna, ale też zaimponował mu jej upór, jak sądzę. Nie jest już potulnym dzieciakiem jak kiedyś, a ty i twój wilkun... Opowieść o naszej ucieczce z Dun Carreg, przejściu przez cały Cambren brzmi jak baśń o bohaterach i przemawia ojcu do serca. Myślę, że to może nam się przydać. Potrzebujemy jego pomocy. Poza tym, jeśli się nie mylimy, Rhin być może spogląda już na Domhain z poządlivością.

– Czyli nawet tu nie jest dla Edany bezpiecznie? – spytał Corban.

– Nie, ale gdzie byłoby bezpiecznie? W Ardanie, gdzie być może zostałaby już pojmana przez Owaina, czy w Cambrenie, którym rządzi Rhin? Ojciec powiedział, że zajmie się Edaną, a ja wierzę, że to zrobi.

Eremon znał i szanował Brenina. Jestem pewien, że Edanie włos z głowy nie spadnie.

– Czy ta Roisin może wyrzucić Edanie krzywdę?

– Nie pozwolę jej na to – rzekł Halion. – Złożyłem przysięgę przed Breninem i Edaną. Jego ocalić nie zdołałem, ale prędzej sam zginę, niż pozwolę, by jego córce coś się stało.

Corban, który spoglądał na twarzy Haliona, nie wątpił w to ani przez moment.

Niebawem znaleźli się w komnatach króla Eremona, które znajdowały się w dolnej części wieży Dun Taras. Władca już dawno zrezygnował z górnych pięter, gdyż nie przepadał za chodzeniem po schodach.

Sala była przestronna. Przy jednej ze ścian znajdowało się palenisko, a huczący w nim ogień skutecznie odpędzał jesienne chłody. Eremon siedział na wyściełanym skórą tronie. Miał siwe, niemalże białe włosy i obwisłą, żółtawą skórę, ale jego oczy, szare niczym morze, takie jak Haliona, nadal pozostawały młode. Otaksował wzrokiem chłopaka, a potem przeniósł spojrzenie na Burzę.

– Ach, wreszcie młody poskramiacz wilkunów we własnej osobie. Opowieści o tobie gnają po ulicach Dun Taras szybciej niż zachodni wiatr – oznajmił.

Corban podszedł kilka kroków bliżej i uklęknął na jedno kolano, pochylając głowę.

– Powstań – rozkazał Eremon.

– Wasza Królewska Mość. – Corban zwrócił się do Edany, która siedziała na nieco niższym tronie obok króla Domhainu.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego ciepło. Na oparciu jej tronu tkwił kruk o imieniu Fech, a po drugiej stronie króla zasiadała kobieta o włosach czarnych jak atrament. Roisin.

Była piękna. Miała skórę białą niczym alabaster i intensywnie czerwone usta. Corban, kłaniając się jej, nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Wiele słyszałem o tobie i twoim wilkunie – rzekł Eremon i wyciągnął rękę ku Burzy.

– Ostrożnie! – odezwała się Roisin.

– Cicho bądź, kobieto! – warknął władca z irytacją. – Mam dwie ręce, a do drapania się po tyłku wystarczy jedna.

Znów spojrzął na Burzę.

– Swój – szepnął chłopak.

Burza podeszła bliżej. Jak zwykle w zamkniętych pomieszczeniach wydawała się większa niż w rzeczywistości, a była na tyle wysoka, że mogła spojrzeć w oczy siedzącemu na tronie królowi. Jej długie kły połyskiwały w blasku ognia. Obwąchała dłoń władcy, uważnie przyglądając mu się bursztynowymi ślepiami, a potem podeszła do Edany i trąciła pyskiem jej nogę. Dziewczyna przecesała palcami gęste futro na jej karku. Wilkunica ułożyła się u jej stóp.

Eremon przyglądał się scenie z wielką uwagą.

– Niezwykle. Wasze zwierzę jest bardzo odprężone i dobrze cię zna, Edano.

– Oczywiście. Jesteśmy watahą – rzekła dziewczyna.

– Podejdz bliżej, Corbanie – polecił Eremon. – Opowiedz mi, jak do tego doszło. Przypuszczam, że to doprawdy niezła gawęda.

Corban usiadł u stóp Eremona i przedstawił mu całą historię, począwszy od tego, jak natrafił na matkę Burzy w Baglunie, a później ocalił Burzę jako szczenię. Gdy dotarł do fragmentu, w którym musiał ją wygnać po tym, jak pogryzła Rafe'a, Eremon nakazał służbie przynieść dla chłopaka krzesło. Corban zaś mówił dalej – o tym, jak wilkunica udała się w ślad za nim do Narvonu, jak pomogła odnaleźć Edanę w Ciemnym Borze, aż do chwili, gdy u ich boku dotarła do granicy między Cambrenem i Domhainem. Kiedy zakończył, Eremon siedział przez chwilę w milczeniu.

– Cóż za opowieść – stwierdził w końcu. – Ile masz lat?

– Prawie siedemnaście, Wasza Królewska Mość.

– Prawie. – Eremon się uśmiechnął. – Dobrze pamiętam czasy, kiedy też chciałem być starszy. Niestety, w miarę upływu lat człowiek zaczyna marzyć o odwrotnym procesie. Lub przynajmniej o tym, by wrócić do czasów, kiedy nie trzeba wstawać kilka razy w nocy, by się wysikać.

Corban nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, ale czuł, że polubił starego króla.

– Cóż za opowieść – powtórzył Eremon. – Tym ciekawsza, że prawdziwa. Nie znam cię, ale dobrze znam Haliona i wiem, że uczciwy z niego człowiek. Królowa Edana również ręczy za autentyczność twojej historii. Niezwykle, doprawdy.

– Nigdy się tak naprawdę nad tym nie zastanawiałem, Wasza Królewska Mość – rzekł Corban. – To wszystko po prostu się wydarzyło i tyle.

– I pewnie niejednej pannie zawróciłeś już swą opowieścią w głowie, co? – Eremon mrugnął do niego.

Corban poczuł, że się rumieni.

– Masz wielkie szczęście, Edano, skoro przytrafili ci się tak oddani i wyjątkowi obrońcy. – Roisin odezwała się po raz pierwszy. Miała śpiewny, melodyjny głos.

– To prawda – rzekła Edana. – Gdyby nie Corban, nie byłoby mnie wśród żywych. Halionowi również wiele zawdzięczam. Gdy odzyskam me królestwo, obaj zostaną wynagrodzeni za swą lojalność, podobnie jak każdy inny, kto wesprze mą walkę o sprawiedliwość.

Eremon uśmiechnął się przebiegle, ale nie odezwał się ani słowem.

– Musisz być spragniony, Corbanie, po tak długiej opowieści! – Roisin klasnęła w dłonie. Służba natychmiast przyniosła stół, na którym pojawiły się kielichy, dzbany i najrozmaitsze przekąski: owoce, sery, wędliny i chleb razowy. – Jesteś krewniaczką Eremona, a on robi dla ciebie wszystko, co będzie mógł – zapewniła kobieta Edaną. – Ale musicie najpierw przedstawić nam wszelkie fakty, byśmy mogli wszystko przeanalizować i podjąć decyzję najkorzystniejszą dla Domhainu.

– Ale ja już przedstawiłam wam wszystkie fakty! – odparła Edana, a w jej głosie pojawił się ostry ton.

Nie po raz pierwszy o tym rozmawiają, uświadomił sobie Corban.

– Owain najechał Ardan, a moi rodzice zostali zdradzeni i zamordowani. Za wszystkim stoi Rhin, która pociąga za sznurki, a jej planem jest podbicie całego zachodu.

– Z całym szacunkiem, ale to fakty przedstawione z twojej perspektywy, a jedna wersja wydarzeń nigdy nie ukazuje całej prawdy. – Roisin spojrzała znacząco na Haliona.

– Rozumiem to – odparła Edana. – Ale martwię się, i to nie tylko o siebie, ale również o ciebie i o Domhain. Podczas gdy my siedzimy beczynn timer, Rhin przygotowuje się do kolejnego najazdu. Co do tego nie mam wątpliwości. Boję się, że zanim poukładasz sobie owe fakty, których tak bardzo potrzebujesz, będzie już za późno, a Rhin na czele swej armii przekroczy granicę Domhainu.

– Jesteśmy ci wdzięczni za troskę, Edano, ale spróbuj też spojrzeć na wszystko z naszej perspektywy. Ardanowi przypadł w udziale okrutny los, ale przecież wojny to nie jest nowość w tym świecie. Działy się, dzieją i dziać się będą. Co więcej, nie doszło do żadnego aktu agresji, skierowanego przeciwko Domhainowi, zarówno ze strony Owaina, jak i Rhin. Współczujemy więc wam z całego serca, ale nie mamy powodu, by podejmować jakiegokolwiek działania. Nie zapomnij też, że jesteś krewną nie tylko Eremona, ale również Owaina i Rhin.

Edana pochyliła głowę.

– A jeśli wydarzy się najgorsze? Jeśli okaże się, że mam rację, a Rhin knuje, by zająć Domhain i odebrać wam koronę? Ta kobieta nie przestrzega żadnych zasad. Nie okaże wam szacunku czy litości i nie będzie grała uczciwie. Sięgnie po wszystkie środki i sposoby, by dopiąć swego, a wówczas okaże się, że nie macie już królestwa, które wasz potomek mógłby odziedziczyć. Widziałam już, co Rhin robi z dziedzicami tronu. Uthan, syn Owaina, został przez nią zamordowany, mnie także próbowała zabić, i to więcej niż raz. Nie sądzę, by szykowała inny los dla księcia Lorcana.

Roisin zmarszczyła brwi.

Szybko się uczysz gier politycznych, Edano, pomyślał Corban.

Miodu do pucharów nalewała jasnowłosa służąca, młoda, zdaniem chłopaka niewiele starsza od niego. Zauważył, że Eremon wodzi za nią wzrokiem do chwili, gdy wyszła z sali. Roisin również to dostrzegła.

– Obmacujesz wzrokiem własną córkę – syknęła.

– Ona jest moja? – Eremon zmarszczył brwi. – Szkoda.

– Omówiliśmy już ryzyko ewentualnego najazdu Rhin, prawda, mój panie? – spytała ostro Roisin.

– Co? Tak, tak – odparł z roztargnieniem Eremon. – Jak już sama wiesz, moja młoda królowo, zaraz po twoim przybyciu wysłałem zwiadowców do Cambrenu, Narvonu i nawet Ardanu z zadaniem zebrania informacji. Niebawem poznamy fakty.

– A co z Rhin? Co z ryzykiem najazdu?

– Ostrzegłem moich baronów. Będą gotowi. Jeśli dojdzie do wojny, mój wojewoda nie odda łatwo pola. Rath ma za sobą niejedną bitwę. Myślę, że jak na tak młodą osobę, za dużo się martwisz. Musisz nieco się odprężyć

i mi zaufać. – Wyciągnął rękę i poklepał Edanę po dłoni.

Na twarzy dziewczyny pojawiła się frustracja, ale szybko ją opanowała, tym bardziej, że rozległo się stukanie do drzwi i do środka zajrzał strażnik.

– Przybył posłaniec, mój panie – rzekł.

– Wezwijcie go – polecił Eremon.

Do komnaty wkroczył mężczyzna, który uklęknął przed władcą.

– Powstań i przekaż wieści.

Posłaniec podniósł się i rozejrzał. Otworzył szeroko oczy na widok Burzy.

– Po Domhainie niesie się wiele opowieści o chłopcu i jego wilkunie – rzekł. – W Cambrenie słyszałem podobne, tylko krwawsze.

O chłopcu!, pomyślał Corban, marszcząc brwi.

– A więc właśnie wróciłeś z Cambrenu, tak? – spytała Roisin.

– Tak, moja pani. Wiele tam krąży plotek i rozmaitych historii, ale najczęściej słyży się o wielkiej bitwie, którą król Owain i królowa Rhin stoczyli na ziemiach Ardanu. Różne szczegóły słyszałem, ale wszyscy zgodni są co do tego, że Owain przegrał i sam stracił życie. Ale to nie wszystko. Pojawiły się też plotki, że Rhin zebrała wielką armię i maszeruje na Domhain.

Na twarzy Roisin pojawiły się wstrząs i zgroza, które pośpiesznie zamaskowała.

Wystarczyło jedno zdanie, pomyślał Corban, a wszystkie te przepychanki straciły swój sens.

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

MAQUIN

Maquin siedział pod ścianą, próbując jak najlepiej skryć się w skąnym cieniu. Upał w tym miejscu był nie do zniesienia i równie nieubłagany jak niektóre zimy w Isilitirze jego dzieciństwa, pamiętane zresztą coraz słabiej.

Znajdował się na dziedzińcu pełnym niewolników takich jak on. Minęło już dwanaście dni, odkąd tu trafił, o ile się nie pomylił, kreśląc rysy na ścianie z białej gliny. Dni i noce zaczynały mu się bowiem zlewać w jedno. Orgulla w każdym razie nigdzie nie widział.

Po ostatniej rozmowie z Lykosem pogoniono ich wszystkich po piaszczystej ścieżce, która wiła się wśród stromych klifów, a potem rozdzielono jak bydło. W każdej zagrodzie znalazło się dziesięciu spośród nich. Maquin nie zabawił tam jednak długo, bo po zapadnięciu zmroku zjawili się Vin Thalun i zabrali go wraz z dziewięcioma towarzyszami. Spojrzał wówczas przez ramię i zauważył Orgulla, który wiódł za nim wzrokiem.

Wędrówka trwała krótko. Minęli ruiny z jasnego kamienia, a potem przez moment maszerowali szerokimi ulicami, aż dotarli do kompleksu budynków i znajdującego się w środku dziedzińca. Tam piraci bez słowa rozkuli ich i wyszli.

Z początku wszyscy trzymali się razem. Przeżyli oblężenie Dun Kellen, co wytworzyło między nimi więź w tym osobliwym, nieprzyjaznym miejscu. Jednego z wojowników Maquin pamiętał z walki na murach, choć nie pamiętał jego imienia. Był to szczupły, żyłasty mężczyzna o twarzy poznaczonej śladami po ospie.

Nie byli na dziedzińcu sami. Przebywało tam wielu innych ludzi, którzy

powitali ich milczącymi spojrzeniami. Następnego dnia po wschodzie słońca Maquin przyjrzał im się uważnie. Większość miała skórę zbrązowiałą od słońca, a jeśli chodzi o wiek, byli wśród nich zarówno młodzi chłopcy, jak i starsi mężczyźni. Przypuszczał, że sam plasuje się wśród najstarszych.

Z początku piraci powracali każdego wieczoru. Maquin rozpoznawał kilku spośród nich, a zwłaszcza barczystego, potężnego mężczyznę z mnóstwem pierścieni w naoliwionej brodzie. Przynosili koryto wypełnione jedzeniem lub czymś, co uchodziło za jedzenie. Była to na ogół mdła breja, w której unosiły się resztki niejasnego pochodzenia. Piraci rozdawali też drewniane miski, upewniając się, czy każdy ma własną, a potem wychodzili. Pierwszej nocy Maquin nawet tego nie tknął, ale następnego dnia był bardzo wygłodzony i wiedział, że jeśli będzie się powstrzymywał od jedzenia, szybko utraci siły, które odzyskał pod koniec rejsu. Jadł więc. Jedzenie okazało się ohydne, ale odkrył, że jeśli zacznie jeść, nim zdąży ono sfermentować w bezlitosnym słońcu, a do tego będzie jadł szybko, zdoła utrzymać je w żołądku.

Tymczasem nie widzieli już piratów ani niczego, co przypominałoby jedzenie, już od pięciu dni. Pierwszego dnia Maquin uznał to za przeoczenie. Trzeciego wiedział już, że to celowe działanie. Wczoraj dwóch ludzi pobiło się o szczura, który przemknął przez dziedziniec. Jeden z nich zginął, a szczur uciekł. Wszyscy byli osłabieni i zaczęli ulegać desperacji, ale dlaczego ich tak głodzono? Czyżby piraci uznali, że już ich nie potrzebują, a więc pozwolą im umrzeć z głodu? W głowie Maquina rozbrzmiewały słowa, które Lykos wypowiedział na plaży: „Niedługo zostaniesz wrzucony do jamy. Reszta zresztą również. Żywy z niej wyjdzie tylko jeden”. Wciąż nie miał pojęcia, jak rozumieć te słowa. Wiedział tylko tyle, że teraz, w tej właśnie chwili, nie jest gotowy na śmierć.

A tymczasem śmierć wisiała w powietrzu. Niektórzy z jego współwięźniów już jej ulegali, nawet jeśli nie zdawali sobie jeszcze z tego sprawy. W chwili, gdy dotarł na dziedziniec, było ich tu czterdziestu. Pozostało trzydziestu ośmiu.

Z początku panowała tutaj niepisana organizacja, wedle której część dziedzińca przeznaczono na odchody. Załatwiali się tam wszyscy, przez co cuchnąca sterta rosła z każdym dniem, przyciągając roje much, ale

przynajmniej reszta dziedzińca pozostawała względnie czysta. Teraz ludzie zaczęli się załatwiać gdzie popadło. Maquin czuł smród odchodów i widział plamy moczu na ubitej, czerwonej ziemi.

Śmierć zacznie nas odwiedzać częściej, pomyślał.

Nagle z zadumy wyrwał go brzęk łańcuchów przy bramie.

– Wstawać! – huknął ów potężny mężczyzna z pierścieniami w brodzie.

W pierwszej chwili nie poruszył się nikt, ale przez bramę zaczęli wchodzić kolejni ludzie, którzy rozeszli się po dziedzińcu i zaczęli tłuc leżących niewolników pałkami.

Maquin wstał, ale zakręciło mu się w głowie. W brzuchu mu zaburczało i musiał się oprzeć o mur. Dotknął dłonią głowy i natrafił na kikut, który pozostał mu po uchu. Rana zagoiła się, a słyszał równie dobrze jak kiedyś. Z początku czuł się dziwnie, jakby jego głowa ciążyła w jedną stronę, ale szybko się do tego przyzwyczaił. W międzyczasie strażnicy uformowali z zataczających się, stękających głucho mężczyzn szereg i poprowadzili ich ku bramie.

– Dokąd nas zabieracie?! – wykrzyknął ktoś.

W odpowiedzi rozległ się głuchy trzask, z jakim pałka łamała kość.

A więc żadnych pytań, pomyślał Maquin. W porządku, nie muszę o nic pytać. Potrafię się domyślić, dokąd nas zabierają.

Szli ulicami wśród domów wzniesionych z cegieł prażonych słońcem i krytych strzechą z trzciny. Gonila ich dzieciarnia, wrzeszcząca i rzucająca w nich różnymi rzeczami – kawałkami jedzenia, kamieniami i patykami – aż odpędził ją pałką jeden ze strażników. Dzieci rozpierchły się ze śmiechem i znów zebrały się w grupkę niczym rój much.

Przed idącymi zamajaczyły popękane, zniszczone mury i wkrótce kolumna przeszła pod łukiem wykutym z białego kamienia. Za bramą czekali kolejni Vin Thalun z krótkimi, krzywymi mieczami w rękach. Strzegli szerokiego, przepastnego wejścia, za którym kryły się schody prowadzące w mrok. W ciszy schodzili coraz niżej. Ściany wydawały się napierać zewsząd, a szelest ich stóp niósł się echem. Powietrze na szczęście okazało się tu chłodne po żarze panującym na zewnątrz.

Wkrótce dotarli do podziemnej komory opromienionej ogniem z wielkich, żelaznych mis przytwierdzonych do ścian. Ujrzeli tam dużą grupę ludzi zgromadzonych wokół dziur w ziemi. Wielkich dziur, licznych,

nader licznych. Ile ich było? Czterdzieści? Sześćdziesiąt? Wielu spośród obecnych trzymało wzniesione pochodnie.

Dotarli do jam gladiatorów.

Maquin dostrzegł innych ludzi, również otoczonych strażą, którzy byli doprowadzani na skraj jamy i zrzucani do środka. Przez moment wydawało mu się, że dostrzega Orgulla. Jak okiem sięgnąć, wszędzie działo się to samo – ludzie byli strącani do jam, a tłum gromadził się wokół nich, wymachując sakiewkami z pieniędzmi.

Potężny mężczyzna, który jako pierwszy wszedł na dziedziniec, odwrócił się i spojrzał na nich.

– Traficie teraz do jam. Tam będziecie walczyć o życie. Ci, którzy z tego wyjdą, będą dziś ucztować jak królowie. – Pokiwał głową.

Maquin poczuł kwaśny zapach uryny, gdy stojący obok niego człowiek popuścił ze strachu.

Szereg jeńców został szybko podzielony na mniejsze grupy i Maquina popchnięto na skraj jednej z jam. Nim zdołał się przyjrzeć, co go tam czeka, poczuł mocne pchnięcie w plecy i runął w dół. Wylądował na czymś – bądź kimś – miękkim, usłyszał trzask, a potem krzyk. Odtoczył się, zerwał, przykucnął, nie wiedząc, czego się spodziewać. Powiódł dookoła dzikim wzrokiem, zacisnąwszy pięści.

Jama była mniej więcej kolistego kształtu, zbyt głęboka, by się z niej wydostać. Na ścianach migotał blask ognia z mis, ale dostrzegał również ciemne kąty. Instynktownie policzył innych ludzi. Do jamy wtrącono ich ośmiu. Wszyscy rozglądali się, niektórzy patrzyli na niego, a w ich oczach błyskała dzikość i panika.

Na skraju jamy pojawiła się postać. Ten sam człowiek z pierścieniami w brodzie, tym razem trzymający worek.

– Hej, wy. Mam dla was prezent. W tym worku są cztery noże!

Z tymi słowami opróżnił go. Noże z brzękiem spadły na dno jamy.

Ludzie przez moment stali nieruchomo, bez słowa, aż nagle jak jeden mąż rzucili się ku broni. Maquin ani drgnął.

Nie chcę walczyć. Nie chcę być ich rozrywką, pomyślał.

Na śmierć jednak również nie miał ochoty. Cofnął się w cień, a w jamie rozległy się pierwsze wrzaski. Mężczyźni szamotali się, bili pięściami, drapali, szarpali. Ktoś wylądował już na kolanach i z

przeraźliwym wrzaskiem próbował zatrzymać jelita, wylewające się z rozciętego brzucha. Na oczach Maquina przewrócił się na bok, a jego wrzask przeszedł w kwilenie. Stopy podrygiwały jeszcze przez moment, aż znieruchomiały.

Nagle wojownik usłyszał krzyki nad sobą. Zerknął w górę, nie chcąc na długo spuścić z oczu owładniętych szaleństwem walczących, i uświadomił sobie, że Vin Thalun zdążyli już go zauważyć. Wskazywali go palcami i krzykami podjudzali, by wyszedł z ukrycia. Któryś cisnął zapaloną pochodnią, która z sykiem przecięła powietrze i upadła u jego stóp, tryskając iskrami. Płomienie zaskwierczały i przygasły, ale po chwili buchnęły na nowo i rozpędziły skrywające go cienie.

Wtedy spostrzegł go zbryzgany krwią mężczyzna, który trzymał zakrwawiony po rękojeść nóż. Ich spojrzenia się spotkały, a wtedy nieznajomy rzucił się do dzikiego ataku.

Maquin bez namysłu poderwał pochodnię i unikiem zszedł napastnikowi z drogi. Poczul ukłucie bólu, gdy ostrze noża prześlizgnęło się po jego żebrach, ale odruchowo pchnął pochodnię. Usłyszał syk przypalanego mięsa i dziki wrzask przeciwnika, który zamachał rękami, porażony bólem i zgrozą. Maquin zacisnął zęby i wepchnął mu pochodnię w twarz. Złapał za nadgarstek ramię trzymające nóż, cofnął swą zaimprovizowaną broń i grzmotnął mężczyznę w tył głowy. Włosy nieznajomego stanęły w płomieniach, a on sam zatoczył się, gubiąc nóż. Maquin poderwał broń i zauważył, że płonący przeciwnik wpadł na dwóch innych, zwartych w bezlitosnym starciu. Cała trójka runęła na ziemię.

Coś uderzyło go w bok. Przewrócił się, przygnieciony czymś ciężarem. Poczul cuchnący oddech oraz czyjeś palce, próbujące się zacisnąć na jego gardle i oczach. Potem wszystko znikło, gdy zalał go wściekły ból – przeciwnik właśnie wbił zęby w jego ramię. Dźgnął go nożem, ale ostrze zatrzymało się na żebrach. Uderzył ponownie, tym razem niżej, celnie. Nóż wszedł głęboko, a dłoń zalała mu gorąca krew. Jego przeciwnik wrzasnął i próbował się wyrwać, ale Maquin trzymał go i dźgał dopóty, dopóki ten nie przestał się szarpać i nie zwiotczał.

Zepchnął z siebie trupa i poderwał się. Jego ramię pulsowało bólem, a żebra wręcz płonęły. Czul gorącą wilgoć gdzieś na wysokości talii. Jego

własna krew. Nie miał nawet czasu sprawdzić, jak poważne odniósł rany.

W jamie pozostał już tylko jeden człowiek. Był nim ów dziobaty wojownik z Dun Kellen, również trzymający ociekający krwią nóż. Połowę twarzy miał zbroczoną posoką.

Żywy czy umarły, szepnął jakiś głos w głowie Maquina. Rzuć nóż. Przecież i tak wszystko straciłeś. Zachowaj honor i przyjmij śmierć.

Wtedy nawiedziło go wspomnienie pewnej twarzy, rozciągniętej w szyderczym uśmiechu.

Jael...

Znów powróciły do niego słowa Lykosa: „Ja daję ci szansę, przypuszczalnie bardzo małą, ale wciąż szansę, byś stąd odszedł, odnalazł Jaela i się zemścił”.

Twarz uzurpatora zlała się z obliczem człowieka, którego miał przed sobą.

Nie jestem jeszcze gotów na śmierć, pomyślał Maquin.

Uniósł nóż i ruszył naprzód, ledwie rejestrując wiwaty zgromadzonych wzdłuż krawędzi Vin Thalun. Uskoczył przed pchnięciem przeciwnika, a sam chlasnął z rozmachem, zostawiając czerwoną linię na jego piersi. Oskoczyli od siebie, przyczajeni, czujni, i zaczęli krążyć.

Maquin ruszył naprzód, złapał przeciwnika za nadgarstek i pchnął go w tej samej chwili. Tamten uniknął pchnięcia i obrócił się, próbując wyrwać dłoń z uścisku Gadrai. Zatoczyli się, rozłączyli, znów zwarli, ale wtedy Maquin rąbnął mężczyznę czołem w twarz. Pękła jakaś kostka, buchnęła krew, wojownik zachwiał się, ugięły się pod nim kolana, ale Maquin znów uderzył go głową i tym razem posłał przeciwnika na ziemię. Ułamek sekundy później przypadł do niego i rozciął mu gardło, po czym cofnął się i patrzył, jak umiera.

Na górze znów rozległy się wiwaty.

Maquin odszedł o kilka kroków, upuścił nóż i osunął się na ziemię. Tam skrył głowę w ramionach i zaszlochał.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

FIDELE

Fidele wyszła z cienia panującego w komnatach Ripy prosto w blask słoneczny. Trwała już jesień, ale tu, na południu Tenebrału, lato ustępowało niechętnie i jedynie coraz zimniejszy powiew wiatru znad morza przypominał o zmianie pór roku. Królowa zeszła po schodach, przemierzyła dziedziniec i w towarzystwie nieodłącznego Orcusa wyszła przez drewnianą bramę na równiny przed twierdzą. Krelis szkolił tam swoich ludzi w walce w murze tarcz.

Wojownicy stali w szeregu, trzymając wielkie, okrągłe tarcze i słuchając rozkazów, wykrzykiwanych przez grupkę ludzi przed nimi. Krelis wyróżniał się spośród nich wzrostem. Na kolejną komendę wojownicy z Ripy poderwali tarcze i połączyli je tak, że uformowały nieprzebity mur. Wówczas druga część hufca zerwała się i z wrzaskiem uderzyła w tarcze. Zadęto w rogi i mężczyźni trzymający tarcze ruszyli naprzód, przewracając bądź rozpędzając napastników. Niektórzy zbiegli, inni zaś umknęli na boki, by zaatakować z flanki.

Zadęto w inny róg i mur tarcz zafalował, gdy wojownicy przesuwali się i obracali, by wzmocnić flankę. Rozkaz padł w porę, bo napastnicy znów zostali odrzuceni, ale sam manewr przebiegł dość chaotycznie.

Znów zadęto w rogi na znak, że trening dobiegł końca. Szeregi rozpadały się, a wojownicy dobierali się w pary, by ćwiczyć wymianę ciosów. Fidele ruszyła ku Krelisowi.

– Wasza Królewska Mość! – powitał ją.

Za jego plecami kobieta ujrzała Peritusa, który rozmawiał z Albenem, siwowłosym zbrojmistrzem Ripy, mężczyzną niemłodym, ale obdarzonym wielką energią. Fidele, która również miała okazję z nim rozmawiać,

zapamiętała go jako człowieka uniżonego, ale inteligentnego. Zdołał ją nawet rozbawić, co ostatnio nieczęsto się zdarzało. Towarzyszyło im dwóch młodszych wojowników. Jeden z nich nosił wielki ząb draiga na rzemieniu zawieszonym wokół szyi. Fidele pamiętała go. Wiedziała, że ma na imię Maris, brał udział w kampanii Nathaira w Tarbeshu, po czym wraz z kolegą został wysłany do Ripy, by pomóc Krelisowi w szkoleniu muru tarcz.

– Imponujące – powiedziała do najstarszego syna Lamara. – Dobra robota – odezwała się do dwóch pozostałych. – Jestem przekonana, że mój syn byłby bardzo zadowolony z pracy, jaką tu wykonaliście.

Obaj wojownicy się uklonili.

– Nie wkładają w to serca – powiedział Krelis, przyglądając się ćwiczącym wojownikom. – O, tak powinna wyglądać walka. Przeciwnicy powinni spoglądać sobie w oczy, a o zwycięstwie powinny decydować odwaga oraz umiejętności. Tak nakazuje honor.

– Rozmawialiśmy już o tym – westchnęła Fidele. – Nie sądzę, by Asroth, wielki Upadły, kierował się honorem na polu bitwy. Naszym priorytetem jest zwycięstwo i nie mam zamiaru znów do tego wracać. Przychodzę, by ci powiedzieć, że dziś w południe wybieram się do stoczni Vin Thalun.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł, moja pani? – Na czole Krelisa pojawiła się zmarszczka.

– Tak. Oczywiście wezmę ze sobą moją straż, ale pomyślałam sobie, że może miałbyś ochotę mi towarzyszyć. Może warto osobiście przyjrzeć się wszystkiemu.

– Tak, oczywiście. Będę gotów w południe.

* * *

Droga biegnąca przez las była upstrzona plamkami promieni słonecznych, ale pod kołyszącymi się gałęziami drzew panował większy chłód, a zapach jesieni był tu o wiele mocniejszy. Po jednej stronie Fidele jechał Peritus, a po drugiej Krelis, ale od chwili opuszczenia Ripy rozmowa się nie kleiła. W głowie królowej szalało zbyt wiele sprzecznych, kłócących się ze sobą myśli, z których większość dotyczyła odkryć w bibliotece.

Ów Ektor to w istocie niezwykły człowiek, myślała. Cóż za umysł...

Gdy się rozstawali, Ektor miał zamiar przetrząsnąć całą bibliotekę w poszukiwaniu każdej, najkrótszej nawet wzmianki o zapiskach Halvora. Na wspomnienie tego, co sama tam odkryła, królową przeszywał zimny dreszcz.

Po ziemi stąpa jeden Ben-Elim oraz jeden Kadoshim, zastanawiała się. Zaś te słowa o doradcy Najwyższego Króla...

Martwiła się o Nathaira i bała się o niego. Przyszło jej na myśl, by napisać list z ostrzeżeniem, ale w chwili, gdy zanurzyła pióro w atramencie, wszelkie słowa uleciały jej z głowy. Nie miała pojęcia, jak ostrzec syna i nie zabrzmieć przy tym jak szalona, tracąca poczytalność kobieta.

A zresztą przed kim miała go ostrzegać? Przed zagadką napisaną na pergaminie w czasach, gdy jej ród nie dotarł jeszcze na Ziemię Wygnanych? Nie natknęła się przecież na żadne fakty! Być może Ektor zdoła odnaleźć coś bardziej konkretnego.

Jej myśli umknęły ku Meicalowi.

Kim on jest? Sprzymierzeńcem? Wrogiem?

Nie mogła się zmusić, by w to uwierzyć. Nigdy za nim nie przepadała, ale doceniała jego szczerłość, nawet jeśli był człowiekiem chłodnym, a nawet okrutnym.

A Aquilus mu ufał. Czy mój mąż byłby w stanie dać się tak wyprowadzić w pole?, myślała.

Odpowiedź na to pytanie nadeszła szybko.

Oczywiście, że tak. Przecież został zamordowany we własnej komnacie przez króla, któremu ufał.

Zdusiła ból, rozbudzony wspomnieniem.

Przecież mam teraz ważniejsze problemy na głowie, jak choćby Vin Thalun, rzekła sobie.

Co miała z nimi począć po odkryciu jam gladiatorów? Nathair miał wobec nich wielkie plany i Fidele dobrze wiedziała, jak bardzo na nich polegał. Tymczasem Lykos świadomie ją zlekceważył. Ba, okłamał ją! Co gorsza, niektórzy ludzie uwolnieni z jam byli jej własnymi podwładnymi, uprowadzonymi podczas najazdów. A ilu wcześniej zginęło?

Wyjechali z cienistego lasu i skręcili na południe, by podążać za nurtem rzeki w drodze do morza. Nie minęło wiele czasu, nim królowa ujrzała osadę Vin Thalun – wielkie szopy, wioskę chat zbudowanych z drewna

i trzciny oraz szkielety niewykończonych jeszcze okrętów na płaskiej, piaszczystej plaży, przypominającej przez to cmentarzysko morskich olbrzymów.

Fidele była tu już wcześniej. Przyjechali do stoczni następnego dnia po wypadku do Balary, który zakończył się zdemaskowaniem jam, przywożąc wozy z Vin Thalun poległymi w walce oraz trupami ludzi znalezionymi w podziemnym labiryncie. Fidele osobiście prowadziła przesłuchanie przywódców stoczni, którzy spoglądali na nią ponuro, z niechęcią, i przeczyli, by w Tenebralu znajdowała się jakakolwiek jama. Fidele oczywiście im nie uwierzyła i dlatego postanowiła powrócić.

Popędziła konia, nie chcąc dać Vin Thalun czasu na reakcję. Jej przybocznicy pośpieszyli za nią. Kątem oka królowa ujrzała, jak Krelis wyswabia swój wielki miecz z pochwy.

– Żadnego zabijania! – krzyknęła do niego. – Chyba, że sami zostaniemy zaatakowani.

Przemknęli między warsztatami i chatami. Towarzyszący im wojownicy rozpięchli się wśród zabudowań, z których wylegli mężczyźni, kobiety i dzieci. Wychudzone psy goniły za końmi, szczekając i próbując je gryźć po pęcinach.

Fidele wstrzymała konia blisko plaży, w cieniu jednego z niewykończonych okrętów. Orcus oraz kilku orlich gwardzistów zostało przy niej, a reszta kontynuowała przeszukiwanie budynków.

Zbliżyła się do nich grupa Vin Thalun, głównie wojowników, z których każdy mógł się poszczycić pierścieniami w brodach. Przewodził im starszy mężczyzna z krzywymi nogami.

– Co tu się wyrabia? – spytał ostro.

– Prowadzę poszukiwania – rzekła Fidele.

– Czego?

– Mówisz do królowej Tenebralu – warknął Orcus. – Okaż należyty szacunek.

– Z tego, co wiem, Tenebralu ma króla, a nie królową – odparł pirat.

Ma rację, pomyślała Fidele.

– Mój syn jest królem – odparła chłodno. – Ja zaś sprawuję urząd regentki pod jego nieobecność, co wychodzi na to samo. Ja władam tymi ziemiami.

Vin Thalun wpatrywali się w nich z niechęcią.

– A czego takiego szukasz, moja pani? – spytał krzywonogi starzec.

– Dowodów na to, że wciąż urządzacie te swoje walki.

– Istniało tylko jedno takie miejsce, a ty je zniszczyłaś.

– Zaraz się przekonamy. Jak cię zwą?

– Alazon. Jestem tu głównym skutnikiem.

– Zaczekaj więc z nami, Alazonie.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy pojawili się Krelis i Peritus, prowadząc długi szereg wynędzniałych, obdartych ludzi, przykutych do jednego łańcucha. Wojownicy z Ripy powstrzymywali tłum Vin Thalun, który podążał za nimi. Wielu z jeńców pokrytych było najrozmaitszymi ranami, od obrażeń po ugryzieniach i zadrapań aż po cięcia.

– Czy chcesz może mnie urazić i próbować się z tego wyłgać? – Fidele zwróciła się do Alazona.

– To wioślarze. Zeszłej nocy z wysp przybył jeden z naszych okrętów – odpowiedział śmiało skutnik, wytrzymując spojrzenie królowej, ale ta nie uwierzyła w ani jedno słowo.

– Ty! – Wskazała pierwszego z więźniów, mężczyznę młodszego od Nathaira. Przez całe jego przedramię biegła zaschnięta blizna. – W jaki sposób zostałeś zraniony?

– To niewolnicy z wielu krajów. Większość z nich dociera do nas w kiepskim stanie – rzekł Alazon, wpatrując się dobitnie w jeńca.

– Nie masz się czego obawiać – powiedziała Fidele. – Z tą chwilą wszyscy stajecie się wolnymi ludźmi. Zabierzemy was do Ripy, nakarmimy i oddamy wam waszą przyszłość. Nie bój się więc kary i odpowiedz mi na pytanie: skąd masz tę ranę?

– Z jam – odparł chłopak i wbił wzrok w swe stopy, jakby właśnie przyznał się do wstydliwego sekretu.

– On kłamie! – Alazon zrobił krok naprzód, ale Krelis zastąpił mu drogę.

– Znajdźcie jakie wozy dla tych ludzi i kontynuujcie poszukiwania – rzekła Fidele. – Krelisie, jeszcze jedno. Zajrzyjcie pod każdy kamień w tym gnieździe szczurów!

Spojrzała na jeńców i ujrzała udręczone spojrzenia, jakimi ich obrzucali. Niektórzy z nich płakali bez słów, inni wydawali się wyczerpani ponad wszelką miarę. Królowa poczuła mdłości i zacisnęła powieki, by

powstrzymać nadbiegające łyzy. Zawróciła konia i odjechała kilkadziesiąt kroków w bok. Orcus ruszył za nią, ale trzymał się w pewnej odległości. Nauczył się już odczytywać jej nastroje.

Gdzie jesteś, Lykosie?, myślała Fidele. Zapewne w jakimś dalekim kraju. A może już nie żyjesz. Cóż, mam nadzieję, że jednak żyjesz i masz się dobrze, wieprzu, bo gdy wrócisz do Tenebrału, mam zamiar obciąć ci łeb!

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

CORBAN

Corban wędrował po szarym świecie. Ziemia była zasnuta welonem mgły, a na niebie kotłowały się czarne chmury. W oddali widział tajemnicze błyski, które przypominały czerwone żyły pulsujące pośród stalowej szarości, gasnące i znów nabierające mocy. Wydawało mu się, że patrzy na odległą burzę. Szedł ku niej, a eteryczny świat wokół niego przeobrażał się. Tam, gdzie przed chwilą widział pola pokryte szarymi głazami, pojawiały się zielone lasy, a po nich jałowe równiny popiołów.

Gdy zbliżył się do chmur, ujrzał wśród nich drobne punkty, wirujące, poruszające się w zwartym szyku. Były już nad nim, a wtedy jeden z nich runął ku ziemi, rosnąc błyskawicznie w oczach. Z oddali dobiegały dzikie okrzyki i szczęk oręza. Spadający kształt uderzył w ziemię i wzbił wokół siebie chmurę popiołu. Corban patrzył, jak popiół przypominający płatki czarnego śniegu powoli opada na ziemię. Podeszedł bliżej, wiedziony ciekawością.

Na ziemi spoczywała postać o jasnej, alabastrowej skórze, po której biegły ciemne żyły. Z pleców istoty wyrastały skrzydła, rozrzucone teraz, przypominające skórzaną pelerynę. Z głębokiej rany na piersi sączyła się krew. Obok leżała strzaskana włócznia.

Potem nieznajomy otworzył oczy.

Były całkowicie czarne, pozbawione źrenic czy tęczówki. Corban miał wrażenie, że spogląda w czarne, bezduszne studnie.

Cofnął się o krok.

Istota chciała się poruszyć. Na jej twarzy pojawił się grymas bólu, usta wykrzywiły się, rozchyliły, pokazując ostre zęby i gruby język, również czarny jak oczy. Wyciągnęła ramię, zamarła, dostrzegła Corbana.

– Kim jesteś? – zapytała.

Z góry dobiegł kolejny odgłos, przypominający potężniejący, coraz silniejszy podmuch wiatru. Corban uniósł głowę i ujrzał postacie, które zbliżały się ku niemu na wielkich, białych skrzydłach. Istota leżąca na ziemi próbowała pochwycić za broń. Poruszyła też słabo skrzydłami, a wtedy pozostali wylądowali z hukiem, od którego zadrżała ziemia. Jeden uderzył stopą w ranną postać i pchnął ją na ziemię, a potem wbił włócznię w jej brzuch i obrócił ostrze. Czarnookie stworzenie syczało i wilo się, ale broń skrzydlatego przybysza przybiła je do ziemi. Ten, nie tracąc czasu, dobył miecza i odrąbał swej ofierze głowę.

Pozostali, wojownicy w kolczugach i skórze, otoczyli Corbana. Ich skrzydła poruszały się lekko, wywołując podmuchy wiatru.

– Kim jesteś? – pytali.

– Ja... – wymamrotał Corban.

Nie chciał im wyznać imienia, gdyż po głowie tłukło mu się jakieś niewyraźne wspomnienie niczym ćma uderzająca o okiennice. Czy on już kiedyś tu nie trafił? Czy przebywał tu we śnie? Bądź w koszmarze sennym?

Ujrzał sięgające ku niemu ręce. Zatoczył się i padł do tyłu.

* * *

Wyrwał się gwałtownie ze snu i pierwszym, co ujrzał, była stojąca nad nim matka. Wydawała się zmartwiona. Gdzieś za jej plecami krył się Gar.

Corban usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

– Co się dzieje? – spytał Gar.

– Miałem zły sen – wymamrotał chłopak.

– Pewnie znowu ten, w którym Coralen kopie go w jaja – odezwał się Dath. – Dalej, Ban, wstawaj. Idziemy do sali biesiadnej, żeby się napić.

– Żeby coś zjeść – poprawiła go Gwenith.

Wtedy skrzypnęły drzwi wejściowe do domu i rozległy się kroki kilku osób. Do izby weszła Edana w towarzystwie Haliona i Vonna, a nim drzwi zostały zatrzaśnięte, do środka wpadł też łopoczący skrzydłami Fech. Młoda królowa usiadła przy stole i jęknęła.

– Co się dzieje? – spytała Brina.

Craf siedział na skraju stołu i dziobał kromkę, podsuwaną mu przez uzdrowicielkę. Fech podleciał bliżej i przyjrzał się jedzeniu.

– Chodzi o Roisin. – Edana pokręciła głową.

– Co tym razem zrobiła?

– Wymyśliła warunki, na jakich będziemy toczyć walkę z Rhin – oznajmił Halion.

– Warunki? – zdziwił się Corban. – Przecież Rhin jest w trakcie najazdu. Jakże znowu warunki?

– Dokładnie tak samo zareagowałam – mruknęła Edana.

– Sprytna bestia z tej Roisin – rzekł Halion. – Oczywiście sama niczego nie powiedziała. Wszystko usłyszeliśmy od mojego ojca, ale nie ma wątpliwości, że to ona za tym stoi.

– Co takiego? – dobiegło z kilku stron jednocześnie. – Co usłyszeliście?

– Że alternatywą wobec walki z Rhin są negocjacje, a Edana będzie świetnym prezentem.

– Twój ojciec coś takiego powiedział? – wypalił Dath.

– Nie użył tych słów, ale znaczenie było oczywiste. Oczywiście przedstawił też alternatywę, a Edana się zgodziła. Nie miała wyboru.

– Jaką alternatywę? – spytała Brina.

– Ma się zgodzić na zrękowiny z Lorcanem, synem Roisin i dziedzicem Eremona. Ich ślub nastąpi po zwycięstwie nad Rhin.

Ale przecież ona ma dopiero piętnaście lat, pomyślał Corban.

W izbie zapadła cisza, a potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

– Powinnaś była odmówić! – Głos Vonna przebił się przez gwar. – Rhin niebawem zaatakuje, a wówczas nie będą mieli wyboru! Będą musieli się bronić!

– Racja – rzekł Halion. – Ale do tego czasu Roisin podałyby Rhin głowę Edany na tacy. Rhin przecież nie odrzuciłaby takiej oferty. Głowa Edany zostałaby zatknięta na włócznie, bez względu na to, co później wydarzyłoby się w Domhainie.

Pojawiły się kolejne głosy w dyskusji, ale Edana walnęła ręką o stół.

– Wyraziłam zgodę – oznajmiła. – I po dyskusji. Nie jestem z tego zadowolona, ale to ofiara, na którą muszę się zgodzić. To zresztą niewiele w stosunku do tego, co inni wycierpieli. Poza tym zawsze może być gorzej. Eremon powiedział, że sam wziąłby mnie na żonę, gdyby nie Roisin.

– Ohyda – rzekł Vonn.

– Roisin nie podoba się, gdy Eremon wygaduje takie rzeczy – stwierdził Marrock.

– Robi to od zawsze – rzekł Halion. – Nie martw się Roisin. Tą kobietą trzeba się przejmować, dopiero gdy uzna, że król może zacząć realizować swoje pogroźki. Póki co, skoro na wszystkim ma skorzystać Lorcan, Roisin nie stanowi dla Edany niebezpieczeństwa.

* * *

Corban zasiadał w sali biesiadnej Dun Taras. Wokół panował rozgardiasz, który, jak to zwykle bywało, zaczął przybierać na sile po podaniu miodu i piwa. Corban zdecydował się na drugi trunek, który okazał się ciemny i gorzki, ale po chwili przyzwyczał się do tego smaku, a potem go polubił. Dath również nie miał oporów, sądząc po szerokim uśmiechu na jego twarzy i dłoni zaciśniętej na dzbanie.

Wszyscy, którzy przeżyli ucieczkę z Dun Carreg i podróż do Domhainu, również gościli na ucztę, a większość z nich siedziała razem przy długim stole. Burza wcisnęła się pod spód i zległa u stóp Corbana, choć blat podskakiwał za każdym razem, gdy zmieniała pozycję. Chłopak przypuszczał, że nawet Crafi i Fech siedziały gdzieś wśród belek sklepienia.

Sala była pełna po brzegi, a w powietrzu pulsowała energia i ożywienie, odczuwalne w Dun Taras od dziesięciu dni, gdy rozniosły się wieści o nadciągającej armii Rhin. Do twierdzy spływali zewsząd ludzie, czasem pojedynczo bądź dwójkami, a bywało, że hufcami po stu wojowników. Halion twierdził, że baroni króla Eremona zbiorą o wiele liczniejsze zastępy, ale przypuszczalnie dołączą do armii królewskiej gdzieś po drodze w stronę granic Domhainu. Oba królestwa łączył tylko jeden trakt wybudowany w dawnych dziejach przez olbrzymy, a pozostałe drogi, niewiele szersze od zwykłych ścieżek, nie nadawały się dla wojska. Co więcej, nadchodziła zima, co oznaczało, że przypuszczalnie nie zostaną wykorzystane. Plan więc był prosty – należało zatrzymać Rhin na trakcie.

Corban nie wiedział jeszcze, jaką rolę ma odegrać ich grupa w nadciągającym konflikcie. Halion mówił, że król Eremon jest zbyt stary na podróże i nie opuści Dun Taras. Na czele oddziałów Domhainu stanie

więc Rath. Należało się spodziewać, że Edana pozostanie z królem, ale Corban, podobnie jak wielu innych z ich niewielkiej grupy, chciał walczyć. Rhin odebrała im wszystko, co mieli; pragnęli w jakiś sposób się na niej odegrać.

Na zewnątrz trwała deszczowa noc, gdy drzwi do sali biesiadnej stanęły otworem i do środka wkroczył Ventos. Wiatr wepchnął w ślad za nim garść kropel deszczu. Corban spotkał się z kupcem kilkakrotnie i cieszył się, gdy mógł z nim zamienić słowo. Ventos w jakiś sposób przypominał mu dom i dawne, radosne czasy, a do tego był świetnym gawędziarzem i wspaniale opowiadał o odwiedzonych przez siebie miejscach.

– Jak długo się tu zatrzymasz? – spytał Corban, gdy Ventos usiadł obok niego i pociągnął łyk piwa.

– Będę tu jeszcze chwilę. – Mężczyzna rozejrzał się po zatłoczonej sali i wzruszył ramionami. – Wygląda na to, że całe Domhain zjechało się do Dun Taras, a więc głupio byłoby wyjeżdżać. To dobre miejsce na handel.

– Mimo że nadciąga wojna?

– Wojna pomaga w interesach. Ludzie uświadamiają sobie wówczas, że nie będą żyć wiecznie. Chcą nacieszyć się życiem.

Jakiś mężczyzna wskoczył na sąsiedni stół i zaczął tańczyć ku uciechu przyjaciół.

– Widzisz? – wskazał go Ventos.

– A mnie się wydawało, że mieszkańcy Domhainu po prostu tacy są – rzekł Corban.

– Och, to prawda. Bywałem w miejscach, gdzie piękna pieśń, zacny trunek i ciekawa opowieść cieszą się o wiele mniejszą popularnością – przytaknął Ventos. – Być może przyczyną jest deszcz. Leje tu tyle, że trzeba to sobie czymś rekompensować.

– Gdzie twój pies? – spytał Corban.

– Pilnuje wozu. Jest pełen towarów, które zgromadziłem na całych Ziemiach Wyznanych. Nie chciałbym, by mnie teraz po prostu okradziono, a Talar nie pozwoli, aby ktoś zabrał cokolwiek, co do niego nie należy.

Corban pokiwał głową. Pies w istocie budził grozę samym wyglądem.

Pamiętam, gdy ujrzałem go po raz pierwszy, pomyślał. Przewróciłem się na niego, a on spojrzał na mnie, jakby chciał mnie pożreć.

– A twój ptak? Ów jastrząb, którego wygrałeś od Siraków w grze

w kości?

– Ach, Kartala. Gdzieś tu jest. Czasem znika na parę dni z rzędu. Bywa, że nie ma jej przez kilka księżyców, ale zawsze mnie odnajduje.

Drzwi znów stanęły otworem i do środka wszedł spory tłum, w którym rej wiódł wysoki, muskularny Quinn, pierwszy miecz Eremona. Corban widział, jak trenuje na miejscowej Jarzębinowej Łące i wiedział, że finezji nie ma za grosz, a przeciwników pokonuje dzięki swej sile i szybkości. Atakował z taką pasją, że mało kto wytrzymał taki nawał ciosów. Obok niego szedł Lorcan, jedyny syn, którego Eremon oficjalnie uznał.

A teraz narzeczony Edany, pomyślał chłopak.

Lorcan okazał się młodzieńcem szczupłym, ciemnowłosym i urodziwym po matce, ale Corban miał wrażenie, że dostrzega w nim też coś z Haliona; być może przez oczy chłopca, szare niczym u Eremona. Lorcan liczył sobie piętnaście lat i wciąż czekał na swą Długą Noc, ale szkolił się już na Jarzębinowej Łące i z tego, co widział Corban, był właściwie gotowy. Oczekiwał, że dopatrzy się jakiejś wrogości między Halionem i Lorcanem, ale nic na to nie wskazywało. Odnosił wręcz wrażenie, że następca tronu spogląda na starszego brata z podziwem, a na pewno szanuje jego talent szermierczy. Corban nieraz widział, jak Lorcan przygląda się walczącemu Halionowi, a na jego twarzy bynajmniej nie było zawiści.

Spośród ludzi, którzy towarzyszyli Quinnowi i Lorcanowi, wyłoniła się drobna postać. Gdy odrzuciła kaptur, Corban ujrzał młodą służącą z komnat Eremona. Wiedział, że ma na imię Maeve.

Dziewczyna spojrzała na niego i się uśmiechnęła. Corban widział ją parokrotnie w Dun Taras i uświadomił sobie, że nie pierwszy raz obdarzyła go uśmiechem. Podeszła bliżej.

– Witaj – rzekła. – Słyszałam twą opowieść. Tę, którą uraczyłeś króla.

Chłopak nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, więc nie odpowiedział ani słowem. Pokiwał jedynie głową.

– Niezła historia. – Maeve pochyliła się i oparła dłoń na jego ramieniu. – Wyjątkowa – dodała. – Uznałam, że i ty jesteś wyjątkowym człowiekiem.

Corbana zatkało. Jego jedyną reakcją był rumieniec, który rozlał się po jego twarzy. Maeve w odpowiedzi uśmiechnęła się raz jeszcze, rozejrzała się wzdłuż stołu i dostrzegła Haliona.

– Witaj, bracie – powiedziała do niego.

Jasne, pomyślał Corban. Kolejna siostra.

Halion pochylił głowę w odpowiedzi, a Maeve odeszła. Corban zerknął na Datha, który przyglądał mu się z szeroko otwartymi ustami. Farrell również był zaskoczony.

– Czemu one wszystkie się do ciebie szczerzą? – spytał Dath.

Nie mylił się. Corban sam zauważył, że ostatnio cieszy się sporym powodzeniem. Przypisał to towarzystwu Burzy; z tego, co pamiętał, w Dun Carreg z początku również przyciągał uwagę. Odkrył jednak znaczącą różnicę – w Ardanie biegały za nim dzieciaki, a wojownicy marszczyli na jego widok brwi. Tu reakcje były podobne, ale często oglądały się za nim również dziewczęta, a niektóre uśmiechały się i machały doń z daleka.

Wzruszył ramionami.

– Chyba musisz sobie oswoić wilkuna. – Farrell zwrócił się do Datha.

Ona nie jest oswojona, pomyślał Corban.

– Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić – odparł Dath. – A może wystarczy kruk? Brino, mogę pożyczyć Crafa na moment?

– Ha! – odparła uzdrowicielka, która siedziała nieco dalej przy stole. – Wszyscy wiemy, że trzęsiesz się na jego widok ze strachu.

Było to najdłuższe zdanie, jakie wypowiedziała od śmierci Heba.

– A właśnie, że nie! – zaprzeczył Dath.

Wtedy Farrell zakrakał mu do ucha, a chłopak podskoczył, spojrzał na przyjaciela i się skrzywił.

– Nie martw się – rzekł Farrell. – Jest jeszcze dla nas nadzieja, bo nie wszystkie dziewczęta szczerzą zęby do Corbana. Coralen na przykład nawet na niego nie spojrzę.

– Ale jej to akurat ja się boję – odparł Dath. – Przecież próbowała cię dzisiaj zabić, Ban.

Coralen rzucała Corbanowi wyzwanie każdego dnia po tym, jak kończył ćwiczenia z Garem. Przestał już z nią przegrywać, ale ich pojedynki kończyły się raczej remisami niż jego wygranymi. Dziewczyna była sprytna, podstępna i oszukiwała, a знаła tyle szermierczych sztuczek, że Corban nie mógł za nią nadążyć.

– Ale to wspaniała dziewczyna – rzekł Farrell. – Przerazająca, rzekłbym. Chętnie wezmę ją za żonę.

Dath opluł się piwem.

– Ja myślę, że ona mnie nienawidzi – stwierdził Corban. – W każdym razie leje mnie bez litości, jakby rzeczywiście darzyła mnie nienawiścią.

– Bywa, że mało co dzieli miłość od nienawiści – rzekła Brina, na co Farrell zmarszczył brwi.

Co ona chciała przez to powiedzieć? – pomyślał Corban.

– Jak w przypadku ciebie i Heba – odezwał się Dath. Jego uśmiech zgasł natychmiast, jak tylko uświadomił sobie, co właśnie powiedział.

Brina spojrzała na niego z bólem w oczach.

Wydawałoby się, że wpadnie w szal, przeszło Corbanowi przez głowę. Ale ona... Ona ma po prostu złamane serce.

Uzdrowicielka wstała, głośno odsunawszy swe krzesło, po czym wyszła. Dath zawołał coś, płacząc słowa, ale zignorowała go. Corban zerwał się i pobiegł za nią. Burza wypełzła spod stołu w ślad za chłopakiem, trącając blat i rozlewając piwo oraz miód. Jako ostatni wyszedł Gar.

Brnęli przez ulewny deszcz do swego tymczasowego domu na skraju Dun Taras, śledzeni przez czarnego, skrzydlatego posłańca. Gdy dotarli na miejsce, Brina zaczęła rozpalać świece, a Gar trącił pogrzebaczem wygasłe palenisko. Kiedy izbę zalało światło, ujrzeli człowieka siedzącego na krześle. Corban aż podskoczył, ale był to jedynie Vonn.

– Co ty tu robisz po ciemku? – warknęła Brina.

– Nic. – Chłopak zamrugał w nagłym świetle. – Myślę.

Uzdrowicielka zakrzętała się wokół ognia rozpalonego przez Gara i zawiesiła nad nim sagan z wodą.

– Robię herbatę. Kto ma ochotę?

Vonn wstał.

– Myślę, że zaczerpnę trochę świeżego powietrza – oznajmił i wyszedł.

– Lepiej chyba mieć na niego oko – zauważyła Brina.

– To samo przyszło mi do głowy – rzekł Gar. – To przecież nadal syn Evnisa.

Z tymi słowami skierował się ku drzwiom w ślad za nim.

– A ja będę mieć oko na ciebie. – Corban zwrócił się do Briny, na co ta uniosła brew. – Ja zajmę się herbatą.

– Nie. Ja to zrobię. – Kobieta zebrała kubki, napełniła je sproszkowanymi liśćmi i ukucnęła przy palenisku, czekając, aż woda zacznie wrzeć.

– Dath nie chciał powiedzieć nic złego.

– Wiem. Dath jest idiotą i nic na to nie poradzi – rzekła Brina i nalała gorącej wody do kubków.

– Tęsknisz za Hebem – powiedział Corban. To zabrzmiało bardziej jak stwierdzenie niż jak pytanie.

Brina spojrzała na niego z niechęcią, a w jej oczach błysnął gniew. Dodała nieco miodu do herbaty chłopaka, dobrze wiedząc, jaka smakuje mu najbardziej, i zamieszała ze złością, a potem westchnęła.

– Corbanie, wiem, że masz dobre intencje, ale ja nie mogę rozmawiać o Hebie. – Urwała i zamrugowała mocno. – To świeża rana, rozumiesz?

Pokiwał głową. Staruszka podała mu herbatę, a potem usiadła obok niego.

– Podczas bitwy na polanie... – zaczął, nie mając pewności, czy może w ogóle wspominać Heba, ale Brina nie odezwała się, więc ciągnął: – Pamiętasz, jak olbrzym zgasił gałąź Heba mocą ziemi?

– Tak, ale Heb jakoś ją rozpalil. Choć nie na wiele mu się to zdało.

– To ja ją rozpalilem.

– Naprawdę? – W głosie Briny pojawiło się autentyczne zainteresowanie. – A niby jak?

– Nie wiem. Zobaczyłem, jak płomienie nikną, przeraziłem się, że Hebowi coś się stanie, i... Cóż, po prostu to zrobiłem.

– Proszę bardzo. Czasem lepiej nie myśleć wcale, zwłaszcza jeśli człowiek ma skłonności do cynizmu.

– Powrócimy do tej książki? No wiesz, do nauki?

– Nie wiem, Ban. Po prawdzie to nie mam już na nic ochoty. Wszystko wyglądało zupełnie inaczej, gdy...

Znów urwała.

Gdy Heb był wśród nas, Corban dokończył za nią w myślach.

Niezręcznie, bojąc się, że Brina nakrzyczy na niego bądź go uderzy, wyciągnął rękę i zacisnął palce na jej dłoni.

Czuł, że uzdrowicielka drży. Po jej twarzy spływały łzy.

Siedzieli tak długo w ciszy przerywanej jedynie trzaskiem ognia w palenisku i okazjonalnym siorbnięciem herbaty.

Rozdział sześćdziesiąty czwarty

VERADIS

Pnący się po górskiej ścieżce Veradis przystanął na moment. Był zlany potem, ale wystarczyło się zatrzymać, by człowieka natychmiast przeszył lodowaty wiatr. W górach było naprawdę zimno i Veradis nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej dokuczał mu większy chłód. Ponad księżyc temu zamienił skórzany kilt i podbite żelazem sandały na wełniane spodnie i buty. Założył też podszyty futrem płaszcz, ale nadal było mu zimno.

– Przestań się trząść. Idź naprzód – rzekł mijający go Alcyon.

Bardzo mi pomagasz, pomyślał młody wojownik.

Należeli do grupy zwiadowczej, wysłanej w góry ciągnące się wzdłuż granicy między Cambrenem i Domhainem. Większość ich sił obozowała kilka mil stąd na wschód, gdzie trakt wycinał przejście między wzniesieniami. Zwiadowcy potwierdzili, że po drugiej stronie czekał już król Eremon ze znaczną armią. Wszystko więc wskazywało na to, że bitwa o Domhain odbędzie się właśnie tam, na starym trakcie olbrzymów.

Prowadził ich Uthas, wiodąc garstkę ludzi Rhin drogą, którą sam przemierzył góry. Veradis zgłosił się na ochotnika, gdyż chciał na własne oczy przyjrzeć się miejscu starcia, które wśród wojowników Rhin urosło już do rozmiarów legendy. Z niejasnych powodów dołączył do nich Alcyon, choć Veradis nie miał wątpliwości, że towarzystwo Uthasa i pozostałych dwóch olbrzymów zupełnie nie przypadło mu do gustu.

Trójka obcych zatrzymała się właśnie na szczycie wzniesienia. Veradis naciągnął kaptur na głowę i ruszył naprzód.

Wąska ścieżka, którą podążali, doprowadziła ich do szerokiej doliny, już przyprószonej śniegiem. Wokół wznosiły się pocięte klify, a na ciasnych

występach rosły smagane wichrami drzewa. Młodzieniec jednakże z zaskoczeniem przyglądał się temu, co znajdowało się pośrodku doliny. Wszędzie leżały rozrzucone ciała, a raczej to, co z nich zostało. Przy wejściu wznosił się stos częściowo ogryzionych trupów. Z niektórych sterczały strzały, inne miały połamane kości.

Ludzie nie byli jedynymi ofiarami masakry. Tu i ówdzie leżały również ciała wilkunów z szerokimi klatkami piersiowymi, wyskubane do czysta przez padlinożerców, a między nimi inne zwłoki, w których Veradis dopatrzył się koni. Część doliny nosiła ślady wielkiego pożaru – pnie i głązy były poczerniałe, zwęglone od płomieni.

Kilku spośród uczestników bitwy zdołało ująć z życiem. Ba, zasługiwali nawet na miano zwycięzców. To na nich natknęli się później Uthas i jego wojownicy.

Alcyon przyglądał się poskręcanemu pniu wypalonego drzewa. Musnął palcami poczerniałą korę, obwąchał je, przyłożył do języka.

– Co się dzieje? – spytał go Veradis.

– Zastanawia mnie ten ogień. – Alcyon zmarszczył brwi. – Nie wybuchł z przyczyn naturalnych.

– A więc wywołała go magia?

– Elementaliści.

– Ale jak? Kto?

– Wasi wrogowie to zaradni ludzie. – Alcyon wzruszył ramionami.

– Nasi wrogowie – poprawił go Veradis.

Alcyon obnażył zęby, co w jego przypadku uchodziło za pozbawiony wesołości uśmiech.

Przez dłuższą chwilę przeszukiwali pobojozisko, ale nie natrafili na żadne nowe ślady. Veradis zabrał ze sobą młodego Ardańczyka Rafe'a w nadziei, że ten się na coś przyda, ale trupy były zanadto ogryzione bądź zgniłe, by udało się kogokolwiek rozpoznać. Uthas i jego dwaj towarzysze – mężczyzna z wielkim toporem oraz kobieta – stali z boku i przyglądali się ich wysiłkom.

– To nie tu starłem się z tymi ludźmi – odezwał się Uthas do Veradisa. – Do walki doszło dalej.

– A więc prowadź.

Rozbili obozowisko w górach. Veradis trząśł się z zimna przez większość

nocy. Trwał Księżyc Łowcy, który oddzielał jesień od zimy. W Tenebralu wystarczył dobry, ciepły płaszcz, by o tym zapomnieć, ale nie tu. Po przebudzeniu Veradis uświadomił sobie, że ma zamarznąłą brodę, a wokół leży świeży śnieg. Poprzedniego dnia w głównym obozie również było zimno i poranne ćwiczenia przeprowadził na zamarznętej trawie, lecz nic nie przygotowało go na tak wielki ziąb.

Uthas uśmiechnął się do niego szeroko, gdy zajadali paski wędzonego mięsa i popijali je wodą.

– Dziś jest jeszcze ciepło – rzekł. – Ale nie zbliżajcie się lepiej do Murias. Kiedy zrobi się naprawdę zimno, szczynty potrafią tam zamarzać w powietrzu.

Jego towarzysze zachichotali, ale Veradis bynajmniej nie poczuł się rozbawiony.

– Dziś wkroczymy do Domhainu – ciągnął Uthas. – Być może trzeba będzie zrobić postój, zanim dotrzemy do miejsca, które chciałeś ujrzeć. Eremon na pewno będzie tam miał zwiadowców.

– Wkrótce się przekonamy – odparł Veradis.

Szli przez pół dnia krętym szlakiem niewiele szerszym od ścieżki lisów, aż wspięli się na szczyt łańcucha górskiego. Stamtąd pośpiesznie zeszli w dół zbocza, by nikt ich nie zauważył, i zatrzymali się w dole, skąd ciągnął się widok na porośnięte lasami wzgórze, a za nimi – na zielone równiny.

Patrzyli na Domhain.

Dalsza droga była łatwiejsza, gdyż ścieżka stawała się szersza i prowadziła w dół. Wkrótce minęli przysypane śniegiem, ogryzione zwłoki wilkuna, po czym wiodący przez iglasty las trakt doprowadził ich do polany, na której znajdowało się drugie pobojeństwo. Veradis szepnął rozkaz i zwiadowcy Rhin rozeszli się, by zniknąć między drzewami.

Olbrzymka wydała z siebie urwany jęk rozpaczony i uklękła przy trupie olbrzymia.

Veradis próbował poukładać sobie w głowie to, na co patrzy. Tym razem w starciu padły głównie olbrzymy i wilkuny, a na polanie wyrastał też kopiec, co oznaczało, że zwycięzcy mieli czas, by oddać cześć swoim zmarłym. Uwagę młodzieńca przyciągnęły jednakże trupy zwierząt, w których zauważył coś szczególnego. Dopiero po chwili uświadomił

sobie, że zostały obłupione ze skóry.

Nic dziwnego, pomyślał. Futro wilkuna to cenny nabytek podczas takiej pogody.

– Raz jeszcze opowiedz mi, co widziałeś, Uthasie – odezwał się do olbrzyma.

– Wypadła na nas grupa ludzi. Mieszane towarzystwo: wojownicy, kobiety, niektórzy podtrzymujący rannych.

Ci, którzy przeżyli poprzednie starcie, pomyślał Veradis, a głośno zapytał:

– A były z nimi jakieś wilkuny?

– Tak. Na początku jeden, ale potem pojawiły się kolejne. Cztery, pięć, sam nie wiem ile.

– Ale walczyły też między sobą – odezwał się olbrzym z toporem, Salach.

– Prawda – potwierdził Uthas. – Teraz też sobie przypominam. Czarny walczył z białym, o, tam.

Wszyscy poszli we wskazanym kierunku, gdzie w istocie ujrzeli ogryzione kości wilkuna, a dookoła strzępy skóry i mięśni. Ani śladu futra.

– Jeden był biały, tak?

– Tak.

Z całą pewnością zwierzę Corbana, pomyślał Veradis. A więc uciekli z Ardanu aż tutaj. Bez wątpienia była między nimi Edana, a także zabójca Rauki, ów Gar. No i sam Corban. Czarne Słońce. Brat Cywen.

Jego myśli powróciły na moment do dziewczyny, która po opuszczeniu Ardanu w istocie zarzuciła wszelkie próby mordowania ludzi, a wówczas okazała się miłą towarzyszką podróży. Podczas ostatniego etapu przemarszu przez Cambren Veradis złapał się na tym, że sam do niej dołącza, a rozmowy z nią sprawiają mu wielką przyjemność. Kilka razy nawet go rozbawiła, choć jej język był równie ostry jak noże, którymi posługiwała się z taką biegłością. Polubił ją. Pokręcił głową. Skup się na tym, co masz przed sobą, rzekł w myślach.

– Zajrzyjmy do tego kopca.

W środku odkryli dwa trupy – wojownika z mieczem ułożonym na piersi i starca z rozrzuconymi, białymi włosami. Jego ciało wydawało się pomarszczone, zapadłe, wręcz puste, niczym żagiel bez wiatru.

– Ten tam to Anwarth, ojciec Farrella. – Rafe wskazał wojownika. – Ludzie mówili, że był tchórzem.

– Ale zginął w walce, a nie podczas ucieczki. – Veradis wskazał rany po ugrzyzieniach na jego piersi.

– A ten drugi to stary Heb. – W głosie Rafe’a pojawił się smutek. – Opowiadał wspaniałe historie.

– Cóż, jego historia dobiegła końca – rzekł Veradis. – Przysypcie ich.

Na ziemi pokrytej sosnowymi igłami rozległy się pośpieszne kroki. Spomiędzy drzew wypadli zwiadowcy Rhin.

– Uciekajmy! – zawołał jeden z nich. – Zauważyli nas!

Veradis odwrócił się i rzucił do biegu. Alcyon trzymał się blisko niego, ale pozostałe olbrzymy wyprzedziły ich bez trudu, sadząc długimi susami. Droga na szczyt łańcucha, z którego zeszli na dół, nagle wydała im się dłuższa niż wcześniej, a lasy dookoła podejrzanie ciche. Słysząc było jedynie ich chrapliwe oddechy i tupot stóp. Biegnący Veradis miał wrażenie, że spomiędzy drzew również słyszy kroki biegnących i czyjeś nawoływanie.

Wypadli z lasu na otwartą przestrzeń, gdzie przyśpieszyli. Krzyki stały się wyraźniejsze, a potem w powietrzu śmignęła włócznia, która odbiła się od kamienia kilka kroków od niego. Pędził w górę, aż dotarł na szczyt wzniesienia i znikł po drugiej stronie. Ani myśleli zwalniać i biegli jak szaleni, choć płuca i mięśnie nóg aż ich paliły. Zatrzymali się, gdy mieli już pewność, że Domhaińcy porzucili pościg. Odpoczęli przez moment i rozpoczęli powrót do obozowiska głównych sił.

Veradis był zadowolony, gdyż dowiedział się kilku rzeczy i miał czym się podzielić z Nathairem. A co najważniejsze, ustalił, że Czarne Słońce przypuszczalnie dotarł do Domhainu. Dalej na zachód uciec już nie mógł.

* * *

Obóz wojenny rozciągał się daleko dookoła traktu olbrzymów. Jak okiem sięgnąć, widać było labirynt mokrych od deszczu, chaotycznie porozstawianych namiotów, a między nimi ogniska. Zachodzące słońce pozostawiło po sobie wątłą poświatę za szczytami gór.

Przynajmniej było tu cieplej, choć na pewno też wilgotniej.

Podróż powrotna przez góry upłynęła bez szczególnych przygód, a dokuczało mu głównie zimno. Veradis cieszył się z powrotu. Szybko wypatrzył namioty Nathaira i ruszył ku nim, ale gdy dotarł na skraj obozowiska, zmienił kierunek i podążył ku części zajmowanej przez orlą straż. Tam, ku jego satysfakcji, panował większy porządek. Nie chciał, by go zauważono, więc przemknął wśród cieni do zagród z końmi, a tam rozejrzał się i wypatrzył Cywen. Dziewczyna czesała swego konia, jak zwykle o tej porze dnia. Wielki pies leżał u jej stóp, niemalże niewidzialny.

– O, już wróciłeś! – zawołała i uśmiechnęła się na jego widok.

– Tak. – Veradis zatrzymał się i również się uśmiechnął. Nagle zabrakło mu pewności siebie.

Po co ja jej właściwie szukałem?, zapytał się w myślach.

– Widzę, że doszedł do siebie – rzekł i podszedł, by pogłaskać zwierzę. Był to w istocie piękny wierzchowiec, dumny i silny. Wspaniały rumak wojenny.

– Nie ma co do tego dwóch zdań! – W głosie Cywen pojawiła się duma. – Gdzie byłeś?

– Na zwiadach. Po drugiej stronie gór.

– Nie wiedziałam, że pierwszy miecz i wojewoda może też zostać wysłany na zwiady. W Tenebralu, jak widać, wszystko wygląda inaczej – rzekła dziewczyna i uśmiechnęła się lekko.

– Chciałem przekonać się na własne oczy, czy pozostały jakieś ślady po owych watahach wilkunów. Szukałem zmiennokształtnych i odmieńców.

– I co? Znalazłeś coś?

– Nie. Jedynie martwe wilkuny. I ludzkie trupy.

Cywen wpatrywała się w niego intensywnie, a w jej oczach pojawił się lęk. Czekala, aż powie coś więcej.

– Natrafiliśmy w górach na kopiec, w którym znajdowały się dwa ciała. Rafe twierdzi, że to Heb oraz Anwarth.

Teraz to on przyglądał się uważnie jej reakcji. W oczach Cywen pojawiły się łzy, a jej usta zadrżały.

– Znałaś ich?

Dziewczyna pokiwała głową, nie chcąc, by zawiódł ją głos. Veradis poczuł, że ma ochotę zetrzeć łzy, które powoli spływały po umorusanych

policzkach.

– Muszę już iść – powiedział zamiast tego i się odwrócił.

– Czy Rafe rozpoznał jeszcze kogoś?! – zawołała za nim.

Zatrzymał się.

– Twojej mamy i Corbana nie było wśród zabitych – rzekł, a potem zniknął w mroku.

* * *

Veradis rozparł się na krześle, rozkoszując się ciepłem ognia, rozpalonego w namiocie Nathaira.

– Jesteś pewien? – Nathair ponowił pytanie.

– Jestem pewien, że wśród zabitych byli ludzie z Ardanu. Jestem też pewien, że pochodzą z Dun Carreg, bo ten chłopak od Evnisa, Rafe, podał mi nawet ich imiona. Wszyscy byli ludźmi lojalnymi wobec króla Brenina i jego córki Edany.

– Rozumiem. – Nathair przeniósł spojrzenie na Calidusa. – A więc Edana przebywa w Domhainie. Przypuszczalnie trafiła pod opiekuńcze skrzydła Eremona.

– Na to wygląda – odparł Calidus.

– To zaś oznacza, że Corban przypuszczalnie jest z nią. Na pewno nie było go wśród zabitych?

– Nie natrafiliśmy na nic, co by o tym świadczyło. Trupów było wiele, ale większości nie dało się rozpoznać. Tylko kości i chrząstki. Ale wygląda na to, że grupa Edany zwyciężyła w obu starciach. Z pierwszej potyczki wyszło cało tylu spośród nich, by wciąż móc uciekać i nieco dalej zabić kilka wilkunów i olbrzymów. Co więcej, wzniesli nad zmarłymi kopiec z kamieni, na co musieli mieć czas. Wniosek z tego, że odnieśli zdecydowane zwycięstwo. Ciała Corbana tam nie było.

– A więc Czarne Słońce dotarł do Domhainu. Przypuszczalnie przyłączył się do sił Eremona, obozujących po drugiej stronie gór – rzekł Nathair i upił łyk miodu. – Trudno mi w to wprost uwierzyć. Ścigałem Czarne Słońce w snach i marzeniach na jawie od tak dawna, a teraz czuję się rozdarty. Miałem przecież udać się do Murias i odzyskać kocioł. Muszę go zdobyć! W moich snach... – Urwał na moment. – Elyon mi rozkazuje i nie

mogę go zawieść, ale Czarne Słońce... Gdyby udało się go tu pokonać... Gdybyśmy zdołali go zabić... Cóż, wówczas wszelkie niebezpieczeństwo znikłoby bez śladu. – Spojrzał na Calidusa. – Co ja mam począć?

– To zaiste wielki dylemat – uznał Calidus. Milczał przez moment, pogrążony w myślach, borykając się z niepewnościami, aż westchnął i rzekł: – Moim zdaniem powinieneś ruszyć do Murias. Musimy zdobyć kocioł. Wiem, że Elyon odwiedza cię we snach, ale czy prosił cię, byś pokonał Czarne Słońce? Nie. Życzy sobie natomiast, byś zdobył kocioł.

– Ale dlaczego, Calidusie? – Nathair pokręcił głową. – Nie rozumiem. Przecież pokonanie Czarne Słońca jest naszym celem! To moje zadanie!

– Tak, to twoja najważniejsza misja. Nie znam zamysłów Elyona, ale wiem, że kocioł to broń i być może nie uda się pokonać Asrotha oraz jego Czarne Słońca bez niego. Być może dlatego odnalezienie artefaktu jest kluczowym elementem jego planów. – Wzruszył ramionami. – Nie wiem. Wiem tylko tyle, że Elyon nakazuje ci odzyskać kocioł, a więc właśnie tym powinieneś się zająć.

– Znalazłem się tak blisko mego wroga! – warknął z gniewem Nathair. – I mam po prostu się odwrócić? Mam odejść?

– W Dun Carreg byłeś jeszcze bliżej, a mimo to patrzyłeś, jak odchodzi – rzekł cicho Calidus.

Veradis poruszył się niespokojnie.

Wprawdzie to Ben-Elim, ale mimo to jak śmie strofować mego króla?, pomyślał.

– Ukaralem się za to po tysiącokroć! – warknął Nathair i rąbnął pucharem o stół.

– To Asroth jest twoim wrogiem – rzekł ze spokojem Calidus, ignorując wybuch gniewu króla. – Jeśli chcemy pokrzyżować mu plany i go pokonać, musimy odzyskać kocioł. To na tym trzeba się teraz skupić. Oczywiście, jeśli twój wierny pierwszy miecz będzie miał okazję zabić Corbana w ciągu najbliższych kilku dni, cóż, nie będziemy mu przeszkadzać – zakończył, uśmiechając się do Veradisa.

Nathair nabrał głęboko tchu i odetchnął powoli.

– W porządku. Jesteś moim doradcą, więc będę słuchał twoich rad.

Zmusił się do uśmiechu, a jego gniew powoli wyparowywał.

– Poza tym nie znam nikogo, kto w tych sprawach udzieliłby mi lepszej

rady.

Co prawda, to prawda, pomyślał Veradis. Jeśli jeden z Ben-Elim Elyona nie jest w stanie udzielić mu rady, nie zrobi tego nikt.

– W rzeczy samej. – Calidus wyszczerzył zęby. – Zajmij się więc swoim zadaniem, Nathairze. Skup się na nim, bo nie będzie ono łatwe. Olbrzymy Benothi nie oddadzą ci kotła z dobrej woli.

– A więc dobrze – rzekł król. – Veradisie, pomóż Rhin rozbić Eremona, króla, który udziela schronienia moim wrogom.

– Zrobię, co będę w stanie – odparł młody wojownik. – Ale po prawdzie wolałbym wyruszyć z tobą na północ. Jestem twoim pierwszym mieczem i umiem dbać o twoje bezpieczeństwo.

Potarł bliznę na dłoni, pozostałość po przysiędze krwi, którą złożyli sobie z Nathairem. Miał wrażenie, że miało to miejsce dawno, bardzo dawno temu.

Nathair dostrzegł jego gest. Odwrócił własną dłoń, by spojrzeć na identyczną bliznę.

– Jesteśmy sobie braćmi i to dlatego chcę, byś tu pozostał. Rhin trzeba mieć na oku. Nie ufam tej kobiecie. Chcę, by ujrzała, na co stać mur tarcz. Być może to ostudzi nieco jej ambicje.

– Zrobię to, o co mnie prosisz, a potem dołączę do ciebie.

– Dobrze. A w międzyczasie znajdź tego Corbana. Nie wiem, czy on jest Czarnym Słońcem. Może tak, a może nie, ale jeśli będziesz miał okazję, zabij go. Na wszelki wypadek.

Uśmiechnął się do Veradisa i uniósł puchar. Veradis zrobił to samo i stuknęli się naczyniami. Młodzieniec próbował się uśmiechnąć do swego władcy, ale widział tylko twarz Cywen, mokrą od łez, umazaną, okoloną ciemnymi lokami.

Nathair właśnie rozkazał mu zabić jej brata. W sercu Veradisa narastała fala współczucia.

Niech będzie, co ma być, rzekł głos w jego głowie.

Rozdział sześćdziesiąty piąty

CORALEN

Coralen uskoczyła w bok i ruszyła naprzód. Zgrabnym piruetem wysunęła się za plecy Corbana, który zauważył jej manewr i uderzył ją ćwiczebnym mieczem w głowę.

Przestał się krygować, pomyślała.

Ucieszyło ją to odkrycie. Wiedziała, że podczas ich pierwszego starcia na dziedzińcu ćwiczebnym chłopak nie dał z siebie wszystkiego. Powstrzymywał się przed zaatakowaniem jej ze wszystkich sił tylko dlatego, że nie była mężczyzną. Teraz jednakże wymieniał z nią ciosy z tą samą intensywnością, co przed chwilą z Garem.

Miecz Corbana otarł się o jej ramię. O mało nie straciła równowagi.

Skup się, idiotko!, zbesztala się w myślach, ale nim wyprowadziła kolejne uderzenie, uświadomiła sobie, że leży na plecach i wpatruje się w zimne niebo. Ostrze zawisło nad jej piersią.

Czy on aby nie wykorzystał właśnie mojego manewru przeciwko mnie?, pomyślała.

Wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać, ale Coralen odtrąciła ją wściekle, przetoczyła się po ziemi i zerwała płynnie. Czuła śledzące ich zewsząd spojrzenia, a w nich oszołomienie i wstrząs. Nie zdarzało się często, by ona, Coralen, lądowała na plecach na dziedzińcu treningowym.

– Jeszcze raz – oznajmiła.

Corban przestał się uśmiechać.

* * *

Gdy jakiś czas później opuszczała dziedziniec treningowy z Bairdem,

natknęła się na swą przyrodnią siostrę Maeve, która krążyła przy wyjściu, obrzucając Corbana zaciekawionymi spojrzeniami. Twarz miała upudrowaną i umalowaną jak jej matka. Coralen smagnęła ją gniewnym wzrokiem.

Na bogów, ależ ja nie znoszę Dun Taras, pomyślała.

Stąd wszak brały się jej najwcześniejsze wspomnienia o matce oraz ojcu, królu Eremonie. Wówczas była przekonana, że świat kręci się wokół nich, a jej matka jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Sama na pewno tak sądziła, a Eremon najwyraźniej podzielał jej zdanie, choć niezbyt długo. Po jakimś czasie znudził się nią i poszukał sobie innych ofiar, a porzucona matka długo nie mogła się pozbierać z rozpacz. Całymi miesiącami wypłakiwała sobie oczy, a mała Coralen miała wrażenie, że jej świat się wali, zapada, przeradza się w niekończące się pasmo zniszczenia i żalości.

Nigdy nie stanę się taka jak moja matka, pomyślała. Nigdy nie uzależnię się od dobrej woli mężczyzny. Nigdy nie oddam się za kilka uśmiechów i chwilę pod dachem. Nie zostanę zabawką w rękach mężczyzny, którą ten odrzuci, gdy się znudzi.

Wspomnienia kipiały i bulgotały, zalewając ją żołącią. Wiedziała, że się krzywi, ale nie przeszkadzało jej to.

Ujrzała wilkuna, który wyszedł z dziedzińca treningowego. Miała wrażenie, że zwierzę składa się w całości z mięśni, kłów i energii. W głębi serca musiała przyznać, że w pełni wyrosnięty wilkun, przechadzający się po fortecy, był doprawdy imponującym widokiem. Corban i jego przyjaciele wyszli w ślad za drapieżnikiem.

Dobrze, że chłopak zna się na szermierce, przyznała w duchu.

Nie wykluczała, że jest lepszy od niej, ale póki co miała przewagę dzięki serii nieczystych sztuczek, w których się specjalizowała. Większość znała od Conalla; przydawały się, gdy walka stawała się nader zacięta i osobista.

Maeve upuściła coś na ścieżce – chusteczkę bodajże – a Corban skwapliwie nachylił się, by ją podnieść. Wówczas jej siostra rzekła coś z uśmiechem i dotknęła ramienia chłopaka. Coralen nie usłyszała jej słów, ale ujrzała rumieniec rozlewający się na twarzy Corbana. Potem Maeve zbliżyła się i pocałowała go w policzek.

- Co się z tobą dzieje? – spytał Baird.
- Ze mną? Nic – warknęła Coralen. – Idziemy?
- Pewnie.

Przyjaciel Corbana, ów wielki chłopak z młotem, nie spuszczał z niej wzroku. Spojrzała na niego i skrzywiła się paskudnie, a potem odeszła.

Baird dogonił ją po chwili i razem udali się do sali biesiadnej. Dziewczyna umierała z głodu i była gotowa pochłonąć tyle jedzenia, ile sama ważyła, ale po wejściu do sali szybko zapomniała o tym, jak bardzo chce jej się jeść. Przy drzwiach siedzieli bowiem Quinn i Lorcan.

Quinn uśmiechnął się do niej.

Coralen nienawidziła zarówno jego, jak i spojrzeń, jakimi ją obrzucał. W ten sam sposób patrzyli na matkę jej klienci.

– Chodź tu, dziewczę! – zawołał mężczyzna i poklepał się po kolanie.

– Serio? – odwarknęła Coralen. – Naprawdę chcesz, bym ci oberznęła jaja?

– Zaryzykuję! – Quinn uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Skierowała się w inną stronę, ale Baird złapał ją za łokieć.

– On nie jest tego wart – powiedział.

Coralen zawahała się, ale na szczęście ujrzała Haliona, z którym również chciała porozmawiać. Uwolniła się od Bairda i usiadła naprzeciwko brata, któremu towarzyszył Ardańczyk bez dłoni.

– Cześć, Cora – rzekł Halion.

Baird usiadł na ławie obok niej.

– Już dość się naczekałam – oznajmiła. – Opowiedz mi, co się stało z Conallem.

Na twarzy brata ujrzała czujność. Wielokrotnie widziała już tę minę i doskonale wiedziała, co oznacza. Halion nie miał zamiaru wiele jej zdradzić.

– Nie ma co gadać, Cora. Doszło do bitwy i Conall padł.

Na moment przez oblicze mężczyzny przemknął żal niczym postrzępiona chmura przesłaniająca słońce podczas słonecznego dnia, ale szybko znikł. W to miejsce pojawiła się chłodna, wyważona obojętność, której sam jej nauczył.

– Czuję, że to nie wszystko – naciskała. – Byliście razem?

– Nie.

– Dlaczego nie? Przecież zawsze przebywaliście razem. Byliście nierozłączni. Pokłóciliście się?

Halion potarł twarz.

– Trwała bitwa, Cora. Panował chaos. Wróg wdarł się do fortecy, wszędzie toczyły się walki.

– A więc skąd wiesz, że zginął? – W sercu Coralen pojawiła się iskra nadziei. Kochała Conalla z całego serca.

– Ja widziałem, jak ginie – odezwał się jednoręki wojownik.

– A kim ty jesteś?

– Nazywam się Marrock i walczyłem na murach nad Kamienną Bramą. Conall też tam był.

– Co jeszcze widziałeś?

Marrock zerknął na Haliona. Coralen miała wrażenie, że przez ułamek sekundy widzi między nimi jakieś porozumienie, po czym przybysz pogładził prawą dłoń kikut lewej ręki, zasłonięty teraz skórzanym rękawem.

– Walczył jak my wszyscy. I zleciał z muru. – Marrock wzruszył ramionami.

– Ale może przeżył?

– Nie. Wysoko było.

Coralen cofnęła się, przyglądając się im obu.

Coś przede mną ukrywają. Widzę to w ich oczach, pomyślała.

– Jesteś pewien? Widziałeś, jak...

– Dość! – przerwał jej Halion z gniewem, ale po chwili rysy jego twarzy złagodniały. – Conalla nie ma już wśród nas, Cora. To smutna prawda, z którą sam nie mogę się pogodzić, ale nic na to nie poradzimy. Przyjmij to do wiadomości. I zapomnij o nim.

Rozdział sześćdziesiąty szósty

TUKUL

Tukul szczyrzył zęby z radości. Nie mógł się nacieszyć tym, że znów dosiadł konia. Nogi i siedzenie bolały go, jakby wół wymierzył mu kopniaka, ale nie przejmował się tym. Znów bowiem czuł wiatr na twarzy, słyszał rytmiczne dudnienie rozpędzonego rumaka, znów wyczuwał napinające się mięśnie i moc zwierzęcia, którego dosiadał.

Cóż za wspaniałe uczucie.

Zatrzymali się w gościnie u Gramma na zaledwie dwa dni. Przybycie młodego następcy tronu i jego strażnika rozpało ogień w sercu Meicala i pchnęło go do działania. Gramm potrzebował jednakże nieco czasu, by zgromadzić dla nich zapasy oraz wybrać konie. Nie było to łatwym zadaniem w przypadku jeźdźców tak wybrednych jak Jehar, tym bardziej, że ich oddział liczył sobie aż siedemdziesięciu dwóch ludzi, ale stada Gramma były pełne cudownych zwierząt.

Właściciel stadniny pozwolił im wybierać z obu grup: zarówno spośród koni czystej krwi, jak i mieszanych. Wielu ludzi Tukula wybrało rumaki czystej krwi, przypuszczalnie dlatego, że przypominały im ojczyznę, otoczone białymi murami miasto Telassar. On sam zdecydował się jednakże na mieszańca – potężną, srokatą klacz, ponieważ wiedział, że jedzie na wojnę, a nigdy wcześniej nie widział koni lepiej przygotowanych do trudów wojennych. Nazwał ją Daria, po żonie. Wiedział, że nie miałyby nic przeciwko. Wszak konie były dla Jehar jak rodzina.

Otrzymał też podarunek, nie od samego Gramma, ale od jego syna. Był to topór o pojedynczym ostrzu.

„Na pamiątkę naszych zawodów” – rzekł młody wojownik.

Broń, ukrytą w pokrowcu z miękkiej skóry, Tukul przytroczył do siodła.

Od prawie dwóch księżyców przemierzali płaskie równiny północnego Isiltiru. Kierowali się ku czarnym kolumnom dymu na horyzoncie, który zwiastował bliską wojnę. Meical prowadził ich rzadko uczęszczanymi szlakami, więc nieczęsto napotykali ludzi, ale musieli przekraczać rzeki, a mosty i brody zawsze były strzeżone. Mostu rozpiętego nad rzeką Rhenus pilnowało około dwudziestu wojowników, którzy byli zbyt nieliczni i za słabo przygotowani, by zatrzymać Jehar. Przejechali przez nich z łomotem niczym północny wiatr. Nikt ich nie ścigał.

Jechali dalej na południe. Przez kilka dni gnali wzdłuż granic cuchnących bagien, aż przekroczyli kolejną rzekę. Meical powiedział im, że ta nazywa się Afren i wyznacza granicę z Ardanem.

Miało to miejsce trzy noce temu. Teraz oddział Tukula pędził wśród łagodnych wzgórz porośniętych janowcem i wrzosem, śledzony obojętnymi spojrzeniami przez kozy i byki. Na północy widać było skraj ciemnej, ponurej puszczy, która jednak wciąż nie robiła na nich wielkiego wrażenia w porównaniu do Fornu.

– To Ciemny Bór – rzekł Meical, spoglądając za wzrokiem Tukula.
– Wyznacza północną granicę Ardanu. Po drugiej stronie ciągnie się Narvon.

– Wiem. Przez ostatnie lata studiowałem wiele map. Wkrótce natrafimy na rzekę Tarin, za którą ciągnie się las Baglun, skąd już tylko kawałek drogi do Dun Carreg oraz morza. I do Seren Disglaira.

– Otóż to – rzekł Meical.

Tukul czuł, jak narasta w nim podniecenie. Niedługo mieli znaleźć się na miejscu, w Dun Carreg, domu Seren Disglaira. Nie mógł uwierzyć w to, że ta chwila wreszcie nadeszła.

I ujrzę jeszcze kogoś, pomyślał. Mego syna. Niech będzie błogosławiony Ojciec Ojców.

* * *

Po dotarciu do brzegów Tarin skręcili na południe i pojechali wzdłuż skraju Baglunu ku morzu. Ziemię skrywał dywan pomarańczowych i złotych liści. Po kolejnych dwóch dniach jazdy Tukul usłyszał krzyk mew. Odwrócił się przez ramię i ujrzał Enkarę, która podążała tuż za nim.

Tak, wszyscy to usłyszeli. Tukul uśmiechnął się szeroko.

Niebawem dotarli do traktu, szerokiego, ale starego i wysłużonego. Niektóre kamienie były popękane, innych brakowało, a z pęknięć między nimi wyrastała trawa i chwasty.

– Oto trakt olbrzymów – oznajmił Meical.

Tukul wyteżył wzrok i ujrzał w oddali ciemną plamę na szczycie klifów. Patrzył na Dun Carreg. Znów przeszło go podniecenie.

– Nie możemy podjechać tam całym oddziałem, bo na wasz widok zatrzasną bramy. – Meical uśmiechnął się szeroko. Na jego twarzy również malowała się radość. – Chodź, Tukul. Pojedziemy we dwóch. Reszta niech wjedzie w las. Niedaleko stąd, tuż przy drodze, znajduje się polana, na której stoi kamień olbrzymów. Zaczekajcie tam na nas.

Tukul skinieniem głowy pożegnał się z braćmi i siostrami w mieczu i wraz z Meicałem ruszył na północ. Trakt wiódł wśród łagodnych, porośniętych wrzosami wzgórz. Na jednym z nich widniał kamienny kurhan, wyraźnie odcinający się od chłodnego, błękitnego nieba.

Jechali w milczeniu, aż pofałdowany teren ustąpił wreszcie miejsca równinom. Forteca Dun Carreg wyrastała wysoko nad nimi.

A w niej czekał Seren Disglair.

U stóp wzgórza, na którym wzniesiono fortecę, rozciągała się wieś, a dalej o klify z hukiem rozbijało się morze. Gdy zbliżyli się, ze wsi wyjechała grupa wojowników, zbrojnych we włócznie i miecze. Mieli czarne płaszcze ze złotymi wzorami.

– Coś jest nie tak – oznajmił Meical. – To nie są barwy Brenina.

Jeźdźcy zmierzali w ich kierunku. Ktoś ich zauważył, inni wskazali palcami. Tukul naliczył ich dwunastu.

– To płaszcze Cambrenu! Królowej Rhin! – stwierdził Meical.

– Zawracamy? – spytał Tukul.

– Za późno. Będą nas ścigać. Porozmawiajmy z nimi, zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Jak sobie życzysz. – Tukul sięgnął w dół i rozwiązał pokrowiec, skrywający topór.

Ojciec nas wszystkich, niech moje ramię okaże się silne, a mój miecz ostry, pomyślał i spojrzał na Meicala, u boku którego wisiał długi miecz.

– Kiedy po raz ostatni po niego sięgnąłeś?

– W tym świecie śmiertelników? Przeciwno wilkunom, które pozostawiły mi to. – Meical musnął palcem srebrne blizny na twarzy. – Nie bój się, przyjacielu. Jeśli chodzi o walkę mieczem, wydaje mi się, że pamiętam to i owo.

Wojownicy cambreńscy zbliżyli się i wstrzymali konie przed nimi.

– Czego tu szukacie? – spytał jeden z nich, starszy mężczyzna, który odrzucił siwe włosy z twarzy.

– Zmierzamy do Narvonu – odparł Meical ciepłym, spokojnym głosem. – Szukamy jedynie miejsca na nocleg.

– Skąd przybywacie? – spytał stary wojownik. Jego ludzie otoczyli dwóch wędrowców z obu stron.

– Z Carnutanu. Chcieliśmy zostawić wojnę daleko za sobą. Podróżujemy od letniego przesilenia. Co się tu dzieje?

– Jeśli uciekacie przed wojną, dotarliście w niewłaściwe miejsce – odezwał się młodszy wojownik z rzadką brodą.

– Ludzie mówili, że Brenin to król miłujący pokój – powiedział Meical.

– Brenin nie żyje. Teraz panuje tu Rhin – oznajmił młodzieniec.

– A ty? – Stary wojownik spojrzał badawczo na Tukula. – Nie przypominasz mi ludzi z Carnutanu.

Tukul wbił w niego spojrzenie, nie mając pojęcia, co powiedzieć. Dyplomacja nigdy nie należała do jego mocnych stron.

– Wygląda jak jeden z tych, którzy przybyli tu z tym zamorskim królem – odezwał się ktoś inny.

– Też mi się tak wydawało – stwierdził starszy.

– Jehar tu byli? – wyrwało się Tukulowi.

– Właśnie, Jehar. Tak ich nazywano. Cóż, wydaje mi się, że dobrze znasz odpowiedź na to pytanie. Zdezercerowałeś, co? Nie masz serca do wojny? Powinieneś być po drugiej stronie morza z Nathairem i Rhin!

Tukul dostrzegł, że Meical sztywnieje, ale mimo to ukrył szok i odezwał się swobodnym tonem:

– Jedziemy tu wspólnie z Carnutanu.

Stary wojownik spojrzał na nich obu.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli udacie się ze mną. Zobaczymy, co Ewnis na to powie.

– Ewnis? – zdziwił się Meical.

– Tak. Rządzi Ardanem z ramienia Rhin. No, ruszamy.

Jeźdźcy się zbliżyli.

Bez słowa ani nawet ostrzegawczego spojrzenia Meical rzucił się w taniec śmierci. Ostrze jego miecza zakreśliło łuk w powietrzu i rozrąbało szczękę najbliższego wojownika. Buchnęła krew, przemieszczana z wybitymi zębami, a jeździec, krztusząc się, pochylił się w siodle. Nim ktokolwiek zdołał zareagować, Meical już się obracał. Wykorzystując pęd pierwszego ciosu, płynnie przeszedł w kolejny. Ostrze rąbnęło w hełm mężczyzny i wgniotło stal, a człowiek zsunął się na ziemię, martwy bądź nieprzytomny.

Tukul wyszarpnął topór z pochwy i cisnął nim w starego wojownika. Nim ostrze z młaśnięciem wbiło się w jego pierś, już trzymał miecz w ręku. Inni jeźdźcy wreszcie drgnęli – krzyczeli i szarpali za wodze, konie rżały i zderzały się ze sobą, syczały wyszarpywane miecze.

Ostrze włóchni drasnęło policzek Tukula, gdy ten pochylił się w siodle i kierując rumaka piętami oraz kolanami, ruszył prosto na wojownika z toporem w piersi. Złapał za drzewce i uwolnił broń szarpnięciem, posyłając jeźdźca na koński kark. Odbił toporem kolejne pchnięcie włóchnią i mieczem chlasnął przeciwnika po gardle.

Padło czterech, jeszcze ośmiu, przemknęło mu przez głowę. Potrzeba ci przestrzeni, staruszk. Zaraz cię zادةpczą.

Kopnął konia piętami, wystrzelił naprzód i przebił się przez krąg napastników. Topór w jednej ręce i miecz w drugiej zakreśliły krwawe kręgi, odbijając wrogą broń, tnąc i zabijając. Kolejny wojownik runął ku ziemi.

Nagle Tukul znalazł się na otwartej przestrzeni. Szarpnął za wodze i zakreślił ciasny krąg. Kątem oka zauważył Meicala z twarzą zbryzganą krwią. Jego koń stanął dęba i wierzgał dziko. Ze wsi nadciągali kolejni jeźdźcy, zwabieni walką. Pięciu, dziesięciu, po nich następni.

Kiepsko to wygląda, pomyślał.

Wychylił się w siodle, by uniknąć morderczego ciosu i odruchowo ciął przeciwnika po nogach. Wyprostował się gwałtownie, aż mięśnie jego pleców zaprotestowały, zamachnął się toporem i wbił ostrze w czyjeś ciało, aż po kość. Wyszarpnął je, odbił miecz celujący w jego pierś. Skądś dobiegał coraz głośniejszy łomot kopyt.

Meical... Muszę dotrzeć do Meicala.

Niespodziewanie otoczyły go konie z jeźdźcami. Minęła chwila, nim sobie uświadomił, kim są nowo przybyli. Wymachując długimi, dwuręcznymi mieczami, przebijali się przez przeciwników, rozsyłając bryzgi krwi ku niebu. Patrzył na Jehar, swoich braci i swoje siostry. Nie brakowało nikogo.

Wystarczyło kilka uderzeń serca, by wszyscy Cambreńczycy zalegli martwi na zrytej kopytami, śliskiej od krwi ziemi. Jakiś koń bez jeźdźca odbiegł na bok, zatrzymał się i zaczął skubać trawę.

Tukul dojrzał Enkarę.

– Mieliście poczekać – powiedział do niej, ale uśmiechnął się szeroko. – Choć w sumie dobrze, że nie posłuchaliście.

Enkara odpowiedziała uśmiechem.

Nie było widać kolejnych jeźdźców, choć wyroiło się wielu pieszych wojowników, którzy pokazywali ich palcami i pokrzykiwali. Zaryczał róg, któremu odpowiedział inny z fortecy na wzgórzu.

– Chodźcie! – zawołał Meical. – Musimy ruszać!

Z łoskotem kopyt pomknęli po trakcie olbrzymów. Krew krążyła żywo w żyłach Tukula, a w uszach nadal słyszał rozbudzone emocjami dudnienie.

Niech będą błogosławieni ci, którzy mierzą się z ciemnością z czystym sercem, choć ich miecze spływają krwią. Dzięki ci, Ojciec Ojców, za ów wspaniały dar, jakim jest bitwa.

Wiatr smagał go po twarzy, a w miarę, jak euforia przygasiała, pojawiła się nowa, niepokojąca myśl.

Ale gdzie jest Seren Disglair?

* * *

Pokonywali milę za milą, zostawiając Dun Carreg coraz dalej za sobą. Jeśli w ogóle ruszył za nimi jakiś pościg, do zmierzchu stracił on jakikolwiek sens, bo Jehar osiągnęli zbyt wielką przewagę. W końcu Meical zarządził postój i cały oddział zatrzymał się na leśnej polance. Wyrastające dookoła ogromne, kryte mchami głązy oraz gęste, poskręcane od wiatru konary drzew zapewniały jako taką osłonę przed deszczem, który właśnie zaczął

padać.

Gdzie jest Seren Disglair? Ci wojownicy mówili coś o Jehar... Jak to możliwe?, myślał Tukul.

– Dokąd zmierzamy? – spytał Meicala.

– Muszę go odnaleźć – odparł mężczyzna. – Zbyt długo unikałem wizyt w Zaświecie. Ryzykuję za każdym razem, gdy tam się zapuszczam, bo Asroth śledzi moje ruchy, a ja nie chcę go zaprowadzić prosto do Jasnej Gwiazdy. Sądziłem, że wystarczy powierzyć opiekę nad nim królowi Breninowi oraz innym strażnikom, których przydzieliłem Seren Disglairowi w świecie śmiertelników, ale wygląda na to, że byłem nazbyt ostrożny i przezorny. Muszę powrócić do Zaświata i odnaleźć go tam.

Rozpostarł koc na ziemi i ułożył się na nim.

Każdy z nas wybiera inne metody działania, pomyślał Tukul. Ale gdyby zależało to ode mnie, pilnowałbym go lepiej.

– Nie próbujcie mnie budzić – rzekł Meical.

Jego oddech zmienił się niemalże natychmiast i stał się głębszy, wolniejszy. Powieki zatrzepotały parokrotnie, a oddech naraz przeszedł w płytki. Klatka piersiowa Meicala unosiła się teraz tak powoli i delikatnie, że przypadkowy obserwator mógłby uznać, że mężczyzna nie żyje.

Tukul objął pierwszą wartę, a gdy został z niej zwolniony, ułożył się obok przyjaciela, który nadal leżał jak martwy. Stary Jehar był obolały, a zmęczone mięśnie i stawy protestowały z każdym ruchem. Zamknął oczy.

Obudził się, gdy ktoś dotknął jego ramienia. Był to Meical. Szary blask świtu wydobywał z mroku zarysy głązów i drzew.

– Odnalazłem go. – Spojrzenie mężczyzny było ponure. – Musimy jechać do Domhainu.

Rozdział sześćdziesiąty siódmy

CYWEN

Cywen stała przy Alcyonie, który najwyraźniej przejął obowiązki jej stróża.

Chwilę temu dowiedziała się od Bosa, że niebawem rusza w drogę, choć wojownik nie chciał bądź nie mógł powiedzieć jej dokąd.

Spojrzała na olbrzyna, który był o głowę wyższy od Tarczy. Zza jego ramienia wystawało ostrze czarnego topora.

– Może ty mi powiesz, dokąd się wybieramy? – zagadnęła.

Niewykluczone, że ktoś mi wreszcie odpowie, pomyślała.

Olbrzym przyglądał się jej przez chwilę, po czym odwrócił spojrzenie.

Zdarzali mi się bardziej rozmowni towarzysze podróży, przemknęło jej przez głowę. Olbrzym wydaje się równie przybity jak ja.

Dookoła uwijali się Jehar, którzy wspinali się na siodła bądź mocowali popręgi. Pozostałe trzy olbrzymy, które dołączyły do nich, stały blisko, a nieopodal pojawił się też Veradis, który rozglądał się bacznie. Po chwili zauważył dziewczynę i ruszył ku niej. Jego twarz wypogodziła się nieco.

– Dlaczego nikt mi o niczym nie powiedział? – zwrócił się do Alcyona.

– O czym? – Głos olbrzyna był niczym łoskot zderzających się ze sobą głazów.

– O tym – Veradis wskazał Cywen. – O tym, że zabieracie ją na północ.

A więc jadę na północ.

– Nie wiem. – Olbrzym wzruszył ramionami.

– Czemu ona musi z wami jechać?

– Bo Calidus nie chce się z nią rozstawać. – Alcyon ponownie wzruszył ramionami. – Zwróć się do niego, jeśli cię to intryguje.

Veradis zmarszczył brwi. Przez jego twarz przemknęły najrozmaitsze emocje, w tym gniew i troska.

Ty się martwisz? O mnie?, pomyślała Cywen.

Musiała przyznać, iż sama również ucieszyła się na jego widok. Veradis nie był w sumie złym towarzyszem podróży, ale odkąd rozbili obóz u stóp gór, widywała go rzadko.

– A w ogóle to dzień dobry – odezwała się.

– Co? A, właśnie, tak... – Veradis spojrział na nią. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć.

– Co znowu? – spytała.

– Nic. – Pokręcił głową i przeniósł wzrok na Alcyona. – Może ty mi powiesz, co znowu się wydarzyło? – spytał. – Coś złego, tak?

Skąd on może to wiedzieć?, myślała Cywen. Przecież twarz tego olbrzyma jest nieprzenikniona jak skała.

Alcyon nie odpowiedział, ale zerknął nad głowami ludzi na trzy pozostałe olbrzymy.

– Myślałem, że spodoba ci się pomysł wspólnej wędrówki z rodakami – rzekł Veradis.

– Ja pochodzę z klanu Kurgan, a to są Benothi. Mamy za sobą tysiące lat wrogości – odparł Alcyon i się uśmiechnął. Przez chwilę wydawał się Cywen bardziej ludzki. – W pielęgnowaniu urazów osiągnęliśmy absolutne mistrzostwo.

– Opiekuj się Nathairem – rzekł do niego Veradis.

– Calidus nie pozwoli, by coś mu się stało.

– Tak, o ile będzie akurat w stanie powstrzymać niebezpieczeństwo.

Młody wojownik zerknął na władcę, siedzącego dumnie na draigu. Cywen wypatrzyła stojącego obok Calidusa.

– Pomnij, że jego moce są ogromne – rzekł Alcyon.

Veradis pokiwał głową, ale na jego twarzy nadal widniał niepokój.

– I miej oko na nią – mruknął.

– Nie martw się tym – rzekł Alcyon. – Ty też lepiej na siebie uważaj. Kto będzie ratował ci skórę, gdy wyjadę?

– Daj spokój. Poradzę sobie. – Veradis już się uśmiechał.

– Niedługo czeka cię walka. Może jutro, może pojutrze. Na tym się skup, a nie myśl o nas. Będziemy znów musieli przemierzyć Cambren i minie przynajmniej księżyc, nim w ogóle dotrzemy do granicy Benothu, a do tego czasu nie będzie nam nic grozić.

Wtedy ujrzeli grupę wojowników w czerni i złocie Cambrenu. Przewodziła im królowa Rhin, u boku której jechał Conall, również w czarnym płaszczu.

– Będzie wam towarzyszyć? – spytał Veradis Alcyona.

– Tak, przez jakiś czas. Z jakiegoś powodu musi wrócić do Dun Vaner. Na czele swojego hufca zostawia Gerainta, ale ten wydaje się kompetentnym dowódcą. W bitwie z Owainem dobrze się spisał.

– Bitwa przebiegła po myśli Rhin – rzekł Veradis i wzruszył ramionami.

– Dla mnie nie ma znaczenia, kto dowodzi wojownikami Cambrenu. Gotów jestem poprowadzić mój mur tarcz w pole i zmiażdżyć każdego, kto będzie na tyle niemądry, by stanąć mu na drodze.

– Czeka cię bitwa już dziś? – spytała go Cywen.

Pokiwał głową.

– Musimy się wędrczyć do Domhainu, a nie sądzę, by Eremon chciał nam na to pozwolić. Szykuje nam powitanie. Może nie dzisiaj, ale wkrótce.

– Och! – Cywen poczuła ucisk w żołądku. Spojrzała za siebie, na szeroką drogę, która wycinała przejście w spowitych mgłami górach.

Czy Corban i mama są po drugiej stronie? Czy będą walczyć ramię w ramię z Domhainem?

A Veradis...

Zerknęła na młodego wojownika, na twarzy którego widniała wielka powaga. Wtedy odezwały się rogi, które poniosły się echem.

– Czas ruszać – rzekł Alcyon. – Uważaj na siebie, Czyste Serce.

Wyciągnął rękę, a Veradis ścisnął jego przedramię.

– Jak mnie nazwałś?

– Czystym Sercem. To twoje imię – odparł olbrzym, a potem odwrócił się do Cywen. – Na koń, dziecko.

– Nie jestem dzieckiem – burknęła, pnąc się po siodle. Znów czuła się niewyraźnie i markotnie.

– Bywaj – rzekł Veradis, gdy dziewczyna rozsiadła się już na grzbiecie Tarczy. Wyciągnął rękę i musnął jej dłoń palcami. – I uważaj na siebie – dodał cicho.

Wpatrzona w niego Cywen nie była w stanie znaleźć sensownej odpowiedzi. Odjeżdżając, patrzyła za nim, a wtedy przyszła jej do głowy dziwna myśl.

Będzie mi go brakowało.

Rozdział sześćdziesiąty ósmy

CORBAN

Z czoła Corbana spływał pot. Żar kuźni i ból w ramieniu dźwigającym młot wydawały mu się starymi przyjaciółmi i niosły ze sobą tysiące wspomnień. Znów miał wrażenie, że pracuje z ojcem w jego kuźni w Dun Carreg, a przy wejściu leży Buddai.

Dobre, stare czasy, pomyślał.

Kilka dni temu poprosił Haliona, by znalazł dla niego kowala, który byłby gotów użyczyć mu swej kuźni na jakiś czas. Nadciągała wojna, więc prośba okazała się trudniejsza do spełnienia, niż Corban z początku zakładał, ale Halion był lubianym człowiekiem w stolicy Domhainu i w końcu znalazł dla chłopaka miejsce. Czas jednakże powoli dobiegał końca. Eremon zakończył już gromadzenie wojska, a jego armia miała wyruszyć następnego dnia.

– Dość – burknął Farrell, obracając szczypcami kawałek rozgrzanego do białości żelaza, w który Corban walił młotem. Skrawek miał długość sztyletu, ale był zakrzywiony.

Corban wybił w szerszym końcu dziurę, a Farrell zanurzył całość w wiadrze z wodą. Buchnęły kłęby pary, po czym chłopak odrzucił kolec na stos podobnych.

– To ostatni? – spytał Corban, niemalże rozczarowany.

– Tak. Mamy ich piętnaście, ale roboty trochę jeszcze nam zostało. Trzeba je wszystkie naostrzyć, a potem popracować ze skórą.

– Dobra. Chodźmy do mojej matki.

* * *

Na ulicach Dun Taras panował tłok, gdyż ludność miasta najwyraźniej zapragnęła hucznie uczcić ostatnią noc pokoju. Muzykanci, trącający struny lir bądź wybijający rytm na obciążonych skórą bębnach, stali na każdym rogu, a mężczyźni i kobiety tańczyli i śpiewali. Corban, Marrock i Camlin przedzierał się przez gęstniejący tłum ku sali biesiadnej, w czym wydatnie pomagała Burza. Wystarczyło, by się pojawiła, a ludzie natychmiast się rozstępowali. Kiedyś Corban z ochotą uległby entuzjazmowi, bo przecież marzył tylko o tym, by zostać wojownikiem i bronić rodaków oraz króla, ale poznał już smak wojny i na samą myśl o kolejnym rozlewie krwi czuł zgrozę. Nie bał się samej bitwy – skądże znowu! – ale przerażała go świadomość tego, co nastąpi po niej. Serce bolało go na myśl o zasłanym trupami pobojowisku, żałobie i rozpacz. Przez głowę przemknęły mu wspomnienia ojca oraz Cywen, a potem twarze tych, którzy polegli w trakcie ucieczki do Domhainu – Heba, Anwartha i Mordwyr. Z trudem odepchnął te wspomnienia od siebie.

– Wielu z nich czeka jutro ciężkie przebudzenie – stwierdził Camlin.

– Do granicy mamy wiele mil – odparł Marrock. – Będzie kiedy wypociec kaca. Poza tym, wcale ich nie winię. Trzeba żyć, póki człowiek może, bo nie wiadomo, co przyniesie jutro.

– Od kiedy to jesteś filozofem? – spytał Camlin z uśmiechem.

– Sam nie wiem. Wydarzenia często nas zmieniają – odparł Marrock. Corban zauważył, że zerknął przy tym na swój nadgarstek.

– Zgadza się, zgadza – odparł Camlin.

Chyba radzi sobie lepiej, pomyślał Corban.

Gorycz, którą słyszeli w głosie Marrocka, gdy mówił o swej ranie, zaczęła przygasać z chwilą przybycia do Dun Taras.

Może już się z tym pogodził, dodał Corban w myślach, ale sam w to nie wierzył. Już prędzej zdusił żal. Ukrył go w sobie tak jak przyływ zalewa skały, bo czasami widzę, jak przebija się na powierzchnię.

Drzwi do sali biesiadnej otwarły się szeroko, a ze środka wylała się fala radosnych hałasów. Wojownicy tańczyli, urządzali pojedynki zapaśnicze, śpiewali i grali w kości, a nad ich głowami przygrywała muzyka. Piwo lało się strumieniami.

– Gdzie oni są? – Corban niemalże musiał krzyczeć, by się porozumieć z towarzyszami.

– Tam! – Camlin poprowadził ich ku grupce stłoczonych ciasno ludzi.

Vonn oraz Halion odwrócili się ku nim.

– Co się dzieje? – spytał Corban.

– Spójrz tylko na Farrella. – Halion się uśmiechnął.

Farrell siedział przy wąskim stole naprzeciwko muskularnego, kudłatego wojownika i walczył z nim na rękę. Ich twarze były czerwone z wysiłku, a ramiona, pokryte nabrzmiałymi żyłami, zastygły, jakby były z kamienia. Na oczach Corbana przeciwnik Farrella ryknął dziko, a jego ramię drgnęło lekko, potem mocniej, aż Farrell rąbnął nim o blat stołu. Wokół poniosły się wiwaty. Dath pojawił się z dwoma dzbanami piwa.

– To już trzeci, którego pokonał – oznajmił z szerokim uśmiechem i podał dzban Corbanowi, który upił łyk i przekazał naczynie Camlinowi.

– To jakiś turniej?

– Tak. I wygląda na to, że nasz towarzysz wziął się za kolejną dyscyplinę.

Farrell nadal siedział na ławce, ale teraz miał naprzeciwko siebie Coralen, która napełniała dwa cynowe kufle. Następnie oboje ujęli po jednym i wychylili zawartość. Farrell wybałuszył oczy, a Coralen parsknęła śmiechem.

Corban klepnął przyjaciela w plecy.

– Jej się wydaje, że nie potrafię pić – oznajmił Farrell, na co Coralen podała mu kolejny kufel.

Corban rozejrzał się i ujrzał śpiącego Bairda z głową opartą o blat ławy. Wokół niego stało pół tuzina pustych kufli.

– A jemu co się stało? – Corban zapytał Coralen.

– Nie przeszedł do drugiej rundy! – Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

Widząc, jak Farrell opróżnia swój kufel, Corban nachylił się nad przyjacielem i szepnął mu do ucha:

– Może powinieneś jej ustąpić i powrócić do siłowania się na rękę?

– To moja sz-szansa, by jej zaimponować – odpowiedział głośno Farrell.

– Jeszcze nie spotkałem dziewczyny, której zaimponowałyby obrzygane kolana – rzekł Dath.

Coralen w międzyczasie ustąpiła miejsca innemu wojownikowi, który chciał zmierzyć się z Farrellem. Oparł łokieć o stół, ale uległ po zaledwie

kilku sekundach.

– Napij się z nami! – zaproponował mu Farrell. Coralen napełniła ich kufle i razem spełnili toast.

Ktoś poklepał Corbana po ramieniu. Odwrócił się i ujrzał swą matkę.

– Gotowe? – zapytał.

– Tak. Mam wrażenie, że kciuk zaraz mi odpadnie. Zszywanie skór to niełatwa robota, jak sam wiesz, ale się udało. Skończyłam.

– Dziękuję, mamgo! – Corban uściskał ją mocno.

Wtedy jego uwagę przyciągnęło nowe zamieszanie. Do ich ławki zbliżyła się grupa ludzi, którym przewodził Quinn, pierwszy miecz Domhainu. Był ogromnym, barczystym, muskularnym mężczyzną, którego spłaszczony nos wskazywał na wiele odbytych walk w ringu pięściarskim. Budową ciała przypominał Corbanowi Helfacha, martwego łowczego Evnisa. Jego ramienia uczepliła się Maeve, siostra Haliona.

Quinn pochwycił wojownika siedzącego naprzeciwko Farrella i odciągnął go szarpnięciem, a potem usiadł na jego miejscu i uśmiechnął się szeroko do młodego Ardańczyka. Próbował przy tym objąć Coralen, ale dziewczyna się wyślizgnęła.

– A chcesz się ze mną zmierzyć? – Quinn spytał Farrella.

– A cz-czemu by nie? – wybełkotał chłopak.

– Miej oko na niego! – szepnął Halion Corbanowi do ucha. – Tam, gdzie zjawia się Quinn, pojawiają się kłopoty.

– Nie podoba mi się ten człowiek – odparł Corban. – Przypomina mi Helfacha.

– Też widzę to podobieństwo – parsknął Halion. – To trochę za mało, by stracić do kogoś sympatię, ale tym razem masz rację.

– Jak to?

– Powiedzmy, że nie życzyłbym sobie, by Quinn strzegł moich pleców podczas bitwy. Słyszałem najróżniejsze plotki.

– Jakie plotki?

Wojownik, którego Quinn zepchnął z ławki, podniósł się i rąbnął go w plecy. Wojewoda wpadł na Farrella i przez moment widać było tylko dzikie zamieszanie, spadające pięści i podrywane krzesła. Corban przepchnął się, by dołączyć do Farrella, ale stronnicy Quinna dorwali już wojownika, który go zaatakował, i wygięli mu ręce za plecami, po czym

wojewoda odebrał mu przytomność potężnym ciosem w szczękę.

– To co? – oznajmił, siadając z powrotem przed Farrellem. – Wracamy do tematu?

Ogromny Ardańczyk starł krew wierzchem dłoni – podczas krótkiej bójki ktoś zahaczył go czymś ostrym – i złapał dłoń wojewody.

– Zaczynajcie! – zawołała Maeve.

Obaj natychmiast napięli mięśnie, a tłum wokół nich eksplodował. Ludzie dodawali otuchy walczącym, zakładali się, niektórzy śpiewali. Quinn był potężniej zbudowanym mężczyzną z zaiste szerokimi ramionami, ale Farrell, podobnie jak Corban, wykuł swą krzepę w kuźni podczas długich, mozolnych lat walenia młotem. Każde jego ścięgno było teraz jak ze stali. Przez dłuższą chwilę ramiona obu przeciwników nawet nie drgnęły, ale potem ręka Quinna zaczęła drżeć, z początku mało zauważalnie, ale wkrótce coraz mocniej. Jego twarz wykrzywił wysiłek. Zaciskał zęby, wybałuszał oczy, ale ręka znów drgnęła ku dołowi. Tłum ucichł, spodziewając się rychłego zakończenia.

Dłoń Quinna znów opadła i była już naprawdę blisko blatu, gdy wojewoda jakimś cudem powstrzymał napór Farrella.

To już koniec, pomyślał Corban, czując, jak na jego twarz wypływa uśmiech. Farrell wygrał!

Niespodziewanie Farrell chrząknął, a jego ciało przeszył dreszcz. Głowa ogromnego kowala zakołysała się, co Quinn wykorzystał bez litości. Naparł i powoli, acz skutecznie unosił swe ramię, aż oba znów znalazły się w pozycji wyjściowej. Farrell poruszył się. Wpatrywał się teraz z wściekłością we własną rękę, jakby ta go zdradziła.

Znów minęła dłuższa chwila. Obaj przeciwnicy zmagali się, nie mogąc uzyskać przewagi, aż głowa Farrella znów opadła. Quinn błyskawicznie przeszedł do kontrataku. Spychał ramię chłopaka coraz niżej, a ten wydawał się tracić siły. Nie trzeba było długo czekać. Wkrótce Domhainczyk z głośnym rykiem uniósł pięść w powietrze, ogłaszając wszem i wobec swoje zwycięstwo.

Farrell siedział nieruchomo i wpatrywał się w swą dłoń, zaciskając i rozprostowując palce.

Quinn zaś pochwycił stojącą obok Coralen, przyciągnął ją do siebie i wycisnął pocałunek na jej ustach. Dziewczyna szarpnęła się, spuściła

obcas na jego stopę i rąbnęła go łokciem w twarz. Farrell rzucił się przez stół i złapał Quinna za nadgarstek.

– Puszczaj ją! – warknęła.

Quinn puścił Coralen, zamachnął się i grzmotnął Ardańczyka pięścią w skroń. Ten osunął się na ziemię, ale Corban już przeskakiwał przez stół. Wpadł na Quinna i pchnął go na ziemię.

– Schowaj się za mną! – rzucił do Coralen i uniósł pięści.

Nie bij się, jeśli nie musisz, usłyszał głos ojca, czysty i wyraźny, jakby ten stał obok niego. Ale jeśli musisz, wal jako pierwszy i to najmocniej jak się da.

Quinn zerwał się i zamachnął się ponownie pięścią. Corban zrobił unik, przypadł do mężczyzny, rąbnął go jedną pięścią w brzuch, a drugą w podbródek. Ogromny wojewoda zachwiał się, a wówczas celny prosty posłał go ponownie na ziemię.

To powinno załatwić sprawę.

Quinn podniósł się. Z jego nosa ciekła krew.

– Sam tego chciałeś – oznajmił i zacisnął pięści, a potem splunął krwią. Cholera.

Widzowie zaczęli się przesuwać. Niektórzy stanęli za Quinnem, inni blisko Corbana. Kątem oka zauważył Gara, Haliona, Datha i Vonna. Dostrzegł też innych. Wtedy rozległ się nowy odgłos, który uciszył wrzawę.

Był to niski, głuchy warkot.

Nadciągała Burza.

Corban poczuł muśnięcie jej futra, gdy wilkunica zatrzymała się między nim a Quinnem i obnażyła kły. Wojewoda odruchowo zrobił krok w tył, a jego dłoń zawisła nad rękojeścią miecza. Wszyscy zamarli, zapadła cisza. W powietrzu wisiała przemoc.

Wtedy zjawił się Rath w towarzystwie kilku zabójców olbrzymów.

– Jeśli chcesz się wyżyć, poczekaj na Rhin – odezwał się do Quinna. – A ty lepiej uspokój to swoje bydło.

Corban dotknął boku Burzy i wilkunica przestała warczeć. Quinn zaś starł krew z twarzy i uśmiechnął się szeroko.

– Ci południowcy nie znają się na żartach, a ten tam – machnął w kierunku nieprzytomnego Farrella – nie umie pić.

Następnie odwrócił się i zniknął w tłumie.

– Teraz to naprawdę zrobiłeś na mnie wrażenie! – usłyszał za sobą Corban.

Odwrócił się i ujrzał Maeve, która stała blisko niego. Zbyt blisko, jak na jego gust.

– Właśnie położyłeś pierwszy miecz Domhainu na łopatkę! – dodała. – Coś takiego zdecydowanie zasługuje na pocałunek.

Objęła go w talii i przycisnęła usta do jego warg. Przez moment cały świat znikł i skurczył się do posmaku wina w jej oddechu oraz miękkości jej ust. Potem ktoś go oderwał. Obrócił się i ujrzał Coralen, wpatrzoną w niego z wściekłością. Z rozmachem walnęła go w twarz.

– Masz mnie za księżniczkę, którą trzeba ocalić? – warknęła. – Potrafię o siebie zadbać.

– Przecież wiem – wymamrotał.

– No to po co się mieszasz? Po co toczysz moje walki?

– Bo... – zaczął i urwał.

No właśnie, pomyślał. Po co to zrobiłem?

– Z tego samego względu, dla którego oni stanęli za mną. – Wskazał Gara i resztę. – Bo troszczymy się o siebie. Bo jesteś przyjacielem.

Te słowa zaskoczyły ją na moment. Coralen otworzyła usta, ale nie powiedziała ani słowa. Potem przeniosła spojrzenie na Maeve.

– Świętuj dalej swoje zwycięstwo! – parsknęła pogardliwie i odeszła.

Rozdział sześćdziesiąty dziewiąty

MAQUIN

Maquin siedział przy stole aż uginającym się od jedzenia i trunków. Widział przed sobą misy z pomarańczami, figami, śliwkami i oliwkami, a do tego różne rodzaje mięsa, węgorki, kalmary i sardele, ciepłe chlebki i dzbany rozcieńczonego wina. Pił takowe podczas pobytu w Jerolin, ale nie przypadły mu wówczas do gustu. Teraz, po miesiącach jedzenia ohydnej owsianki na ławce wioślarskiej, wszystko smakowało niczym uczta dla królów.

Nagle zrobiło mu się niedobrze, w żołądku odezwał się ostrzegawczy ból. Wojownik starł tłuszcz z brody i rozparł się na krześle.

Nie siedział przy stole sam. Wokół niego łapczywie napychało żołądki przynajmniej pięćdziesięciu bądź nawet sześćdziesięciu mężczyzn, którzy przeżyli walki w jamach. Byli zwycięzcami. Maquin dostrzegł Orgulla, który siedział nieco dalej i próbował nawiązać z nim kontakt wzrokowy, odwrócił się. Nadal czuł wstyd z powodu tego, co musiał zrobić w jamie. Nienawidził tego, czym musiał się stać, i wiedział, że Orgull będzie podzielał jego zdanie.

Ale przecież on też musiał zabijać, by się stamtąd wydostać, pomyślał.

Czuł się jak w koszmarnym śnie.

W cieniach sali stali wojownicy, którzy strzegli kobiet i mężczyzn przynoszących jedzenie i kolejne dzbany z winem. Jeden z niewolników pochwycił służącą i chciał ją zmusić, by usiadła mu na kolanie, ale błyskawicznie nauczono go pokory. Wojownicy przypadli do niego, obezwładnili, a któryś przygniół mu rękę do stołu i wyłamał palec.

Nikt już później nie dokuczał służbie.

Po chwili do komnaty wkroczył potężny mężczyzna, który zaprowadził

Maquina do jamy.

– Nazywam się Herak – oznajmił. – Jestem waszą matką, waszym ojcem, waszą siostrą i bratem. Będę zastępował wam rodzinę i gwarantuję, że nikogo bliższego tu nie znajdziecie. – Uśmiechnął się do siedzących przy stole i dodał: – A wy zaś jesteście moimi dziećmi i będę was uczył. Będę was szkolił i pokazywał, na czym polega dyscyplina. Bez wątplenia będę musiał was karać, ale liczę na to, że znajdę powody, by was też wynagradzać. – Wskazał gestem stół. – Dobrze się dziś spisaliście, co dla niektórych z was będzie początkiem.

– Początkiem czego? – spytał jakiś drobny mężczyzna o ciemnej skórze.

– Nowego życia. Należycie teraz do Vin Thalun i będziecie dalej walczyć dla nas w jamach. Będziecie dla nas zabijać i przynosić nam pieniądze. – Herak pokiwał sam do siebie głową, uśmiechając się szeroko. – Niektórzy z was zaś wywalczą sobie wolność. Emadzie, pozwól no tu.

Jeden ze strażników, ciemnoskóry mężczyzna równie ogromny jak Orgull, zrobił krok naprzód. W brodzie nosił dziesiątki pierścieni.

– Emad przybył tu jako niewolnik przykuty do wiosła, tak jak wy. Miał wówczas piętnaście lat. Ile czasu upłynęło od tej chwili, Emadzie?

– Dziewięć lat – odparł wielki mężczyzna.

– Dziewięć lat. Emad walczył w jamach, aż zasłużył sobie na wolność i prawo wyboru, co ze sobą począc. Mógł odejść, ale zdecydował, że przyłączy się do mojej rodziny. Każdy z was może stanąć przed takim wyborem. Będziecie walczyć o swą wolność i wolność otrzymacie.

– Z kim będziemy walczyć? – pytał ten sam mężczyzna.

– Z kim popadnie. – Herak wzruszył ramionami. – Teraz będę was szkolił. Większość z was pewnie myśli, że potrafi walczyć, ale zapewniam was, że nie macie racji. Jeszcze nie. Później wystawimy was do walk przeciwko gladiatorom z wysp Nerin i Pelset. Jeśli przeżyjecie te starcia, będziemy mogli porozmawiać o przyszłości. Póki co to wszystko. Spotkamy się jutro.

Odwrócił się i wyszedł z komnaty. Maquin poczuł gwałtowny ucisk żołądka. Starczyło mu czasu tylko na to, by odsunąć się od stołu, po czym zwymiotował na krytą płytkami podłogę.

* * *

Na noc zamknięto go w podziemnej celi, która stanowiła część kompleksu jam, a na zewnątrz wyprowadzono o świcie. Zamrugał, oślepiiony porannym słońcem, ale zorientował się, że znalazł się wśród ruin, które widział już wcześniej. Zewsząd sprowadzano pozostałych gladiatorów, a następnie uraczono ich śniadaniem. Maquin nie objadał się – zjadł tylko nieco ciepłego chleba i smażonego koziego mięsa i napił je wodą.

Niebawem nadszedł Herak z kilkunastoma strażnikami. Stary Gadrai zauważył, że u pasa nosili nieprzyjemnie wyglądające bicze i zakrzywione noże. Miał złe przeczucia.

– A więc tu wszystko się rozpoczyna – rzekł Herak. – Za mną.

Odwrócił się i pobiegł w głąb ruin szeroką, brukowaną ulicą. Maquin i pozostali tłoczyli się dookoła i spoglądali po sobie.

– Głusi jesteście? – warknął Emad i strzelił z bicia.

Maquin zauważył Orgulla, który popędził w ślad za znikającym Herakiem. Podążył za nim, pociągając za sobą resztę. Ci, którzy się ociągali, wnet poczuli na swej skórze baty pozostałych strażników.

Biegli przez zrujnowane miasto. Ziemia była zasłana kamieniami i kawałkami gruzu, przez co Maquin musiał się skupiać na każdym kroku. Co chwila słyszał, jak ktoś przewraca się z głośnym jękiem bądź przekleństwem, a potem krzyczy ponownie, gdy spadają na niego razy towarzyszących im strażników.

Płuca Maquina płonęły, nogi miał ciężkie jak z ołowiu, a słońce prażyło wściekle. Po jego skórze spływał pot, który ściekał mu do oczu i rozmazywał cały świat. Musiał się skupiać na każdym kroku i na każdym oddechu. Z coraz większym trudem zmuszał się do dalszego wysiłku, a jego żołądek protestował gwałtownie. Zwymiotował podczas biegu, obryzgując żółcią stopy i nogi. Dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że ktoś biegnie obok niego.

– Nie trać wiary, bracie! – wysapał zdyszany Orgull.

Maquin nie był w stanie odpowiedzieć, ale i tak nie wiedziałby, co rzec. Jakiej wiary? Przecież nie w Elyona, nieobecnego boga, ani nie w sprawiedliwość, w myśl której dobro miałyby pokonać zło.

Może trzeba uwierzyć w zemstę, która doda mi sił, by przeżyć, pomyślał.

Wyobraził sobie Jaela, zacisnął zęby i przyśpieszył.

Po biegu Herak pozwolił im chwilę odpocząć i kazał strażnikom napić

strudzonych gladiatorów. Następnie zaprowadzono ich na dziedziniec wolny od kamieni i gruzu. Na podłożu widać było ciemne plamy, które podejrzenie przypominały zaschlą dawno krew.

Są takie plamy, których nic nie zmyje, pomyślał Maquin.

Miejsce przypominało dziedziniec treningowy. Wzdłuż jednej ściany rozstawiono drewnianą broń, tu i ówdzie ciągnęły się liny, które wyznaczały mniejsze areny do walki.

– Zaczniemy od rzeczy najważniejszych – rzekł Herak, stając przed nimi.
– Większość z was zapewne wie, co się robi z mieczem czy włócznią, ale by posługiwać się jednym bądź drugim, potrzeba sporo miejsca. W jamach możecie tylko pomarzyć o przestrzeni. W jamie walczy się blisko siebie, ciało przy ciele, jak kochankowie.

Kilku spośród strażników zachichotało, a Emad pokiwał z powagą głową.

– Musicie więc nauczyć się walczyć tym. – Herak uniósł ramiona i pokazał im zaciśnięte pięści. – Oraz tym. – Poklepał się po czaszce. – No i tym. – Dotknął kolan i wskazał stopy. – Kiedy już opanujecie walkę wręcz, będziecie mogli chwycić za to!

Wyciągnął paskudnie wyglądający, zakrzywiony nóż.

– Podczas walki w jamie będzie to wasz najlepszy przyjaciel, bliższy od brata czy siostry. A więc, zaczynajmy. Hej, ty, wielgusie! Chodź tu!

Skinął na Orgulla, który podszedł ostrożnie, nie spuszczając oczu z Vin Thalun. Ten zaprosił go do jednego z otoczonych linami obszarów.

– Spróbuj mnie zabić – zaproponował przyjaznym tonem.

Orgull zmarszczył brwi, nabrał tchu i zamierzył się na Heraka, ale męczyzna z łatwością uniknął ciosu, jakby się opędzał od muchy.

– Przyłóż się, co? – odezwał się z irytacją.

Orgull wyprowadził serię morderczych ciosów. Poruszał się szybko, płynnie i doskonale utrzymywał równowagę. Widać było, że walki w ringu nie są mu obce, ale mimo to Herak bez trudu unikał jego uderzeń bądź odrzucał jego pięści otwartą dłonią. Po chwili przebił się przez jego gardę, smagnął go w twarz i błyskawicznie usunął się z zasięgu.

Nie wygląda na człowieka, który potrafi poruszać się tak szybko, pomyślał Maquin.

Orgull skrzywił się i znów zasypał Heraka gradem ciosów. Udało mu

się raz musnąć jego ramię, na co Vin Thalun parsknął śmiechem.

– Lepiej! – zawołał i znów doskoczył do Orgulla. Rąbnął go dwukrotnie w brzuch i nerkę, a gdy przeciwnik pochylił się z bólu, zakończył walkę potężnym hakiem w szczękę.

Orgull zachwiał się i opadł na kolana.

– Wojownik, który zaczyna się chwiać, jest praktycznie martwy – oznajmił Herak widzom. – Nasz wielgus jest nieco oszołomiony, a jego kolana się chwieją. Aż się prosi, by go dobić.

Orgull bez ostrzeżenia zerwał się z ziemi, złapał Heraka za gardło i zacisnął na nim dłonie. Obaj zatoczyli się do tyłu. Twarz Heraka zaczęła sinieć. Wybałuszył oczy, ale Maquin wciąż miał wrażenie, że nie przestaje się uśmiechać. Po chwili dostrzegł, jak dłoń pirata przesuwana się w stronę pasa Orgulla i naraz zaciska się na jego kroku. Szarpnął, a potężnego Gadrai w jednej chwili opuściły wszystkie siły. Osunął się na ziemię i zwinął w kłębek jak dziecko, stękając i jęcząc.

– A gdy znajdziecie się w tarapatach, łapcie za jaja – oznajmił Herak. – Tak czy owak, dobra robota, wielgusie. Jesteś szybszy, niż sądziłem.

Wyciągnął rękę i pomógł Orgullovi się podnieść.

– Pamiętajcie o tym, że w jamie nie ma czegoś takiego jak honor. Istnieje tylko śmierć bądź życie. I nigdy o tym nie zapominajcie.

Spędzili resztę dnia na walce w parach. Herak surowo zakazał zabijania się nawzajem i obiecał, że osobiście odbierze życie temu, kto uśmierci partnera. Nic więc dziwnego, że wszyscy gladiatorzy skwapliwie słuchali jego wytycznych. Maquin ćwiczył w parze z drobnym, ciemnoskórym mężczyzną, który poprzedniego dnia zadawał najwięcej pytań. Miał on na imię Javed, a pochodził z Tarbeshu, gdzie został pojmany podczas najazdu Vin Thalun. Był bardzo szybki, o czym Gadrai wkrótce przekonał się na własnej skórze.

Czas płynął szybko, a dni zlewały się ze sobą. Gladiatorzy biegali, trenowali, ćwiczyli. Lato odeszło i zrobiło się chłodniej, choć naprawdę zimno było jedynie w nocy, gdy na niebie nie było chmur i gwiazdy lśniły niczym okruchy lodu. Maquin odkrył, że rozmaite bóle, które dokuczały mu podczas pierwszych tygodni, zaczynają się wyciszać. Poczł w swoim ciele siłę, z istnienia której nie zdawał sobie sprawy. Co więcej, znów mógł się poszczycić niezwykłą szybkością, zwinnością i wytrzymałością,

które to cechy, jak sądził, opuściły go wraz z latami młodości. Szkolono ich w technikach walki wręcz, o których nigdy dotąd nie słyszał. Uczył się uderzać pięściami, kolanami, stopami i czołem, a nawet gryźć.

„W jamach wszystko jest dozwolone – mawiał Herak. – Nie ma tam żadnych zasad”.

Przez dziesięć noc Herak wiązał partnerów nadgarstkami i zmuszał ich do walki, tłumacząc, że tak właśnie wyglądają zmagania w jamach, gdzie przeciwnicy nie są w stanie uniknąć bliskiego kontaktu cielesnego. Maquin zaczął odnosić wrażenie, że mężczyzna mówi z własnego doświadczenia.

W końcu Herak wręczył im drewniane repliki własnego noża, grube i zakrzywione. Uczono ich, jak prawidłowo trzymać ostrze, jak ujmować je obiema dłońmi, jak dźgać, by zabić, okaleczyć i osłabić, jak ciąć, by przejąć kontrolę. Kolejnym etapem było połączenie walki wręcz z posługiwaniem się nożem.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy wyprowadzono ich z cel, ale miast na dziedziniec treningowy, powędrowali pod eskortą ku brzegowi. Zeszli krętą ścieżką na plażę, na której stali po morderczym wiosłowaniu, zdawać by się mogło, wieki temu.

– Dokąd się wybieramy?! – zawołał Javed.

Wszyscy widzieli bowiem, że na wodach zatoki kotwiczy pojedynczy okręt.

– Na wyspę Nerin – odparł Herak. – Gdzie zginiecie albo przyniesiecie nam fortunę.

Rozdział siedemdziesiąty

CAMLIN

Camlin ogrzewał dłonie nad ogniem.

Przestało już padać i pierwsze promienie słońca przebijały się przez chmury, ale jemu nadal było zimno i mokro. Siedział gdzieś w samym środku rozległego obozu wojsk domhaińskich i wpatrywał się w góry, przez które przedzierał się nie tak dawno temu. Obok niego siedzieli Dath i Marrock. Były łowczy króla Brenina poprawiał paski tarczy, która od jakiegoś czasu zdawała się być wręcz nieodłączną częścią jego lewego ramienia. Była nieduża, okrągła i wykonana z metalu, a ze środka umba sterczał długi kolec.

Trzeba mu oddać, że umie się dostosować do sytuacji, pomyślał Camlin. Gdybym to ja stracił dłoń i nie mógł już napiąć łuku, pewnie nadal bym ronił łzy nad kuflami piwa.

Z początku miał wrażenie, że wstąpienie do hufca, który miał wyruszyć na spotkanie królowej Rhin, było odważnym i szlachetnym czynem. Był przekonany, że tak należało postąpić. W noc przed opuszczeniem Dun Taras idący na wojnę mężczyźni hulali, pili i śpiewali, czego naturalną konsekwencją następnego dnia rano były setki obolałych głów i niejeden napuchnięty, rozkwaszony nos. Camlin nie miał nic przeciwko, bo wiedział, czego należy się spodziewać, ale od tej chwili z dnia na dzień było już coraz gorzej.

Jak dotąd wojna z Rhin sprowadzała się do niekończącego się marszu pod wiatr i w rześmistym deszczu. Po prawdzie niewiele się to różniło od jego doświadczeń z Ciemnego Boru, z tym, że teraz wędrował w o wiele większej grupie, a pod koniec dnia mógł liczyć na posiłek. Nie powinien więc wybrzydzać, tym bardziej, że deszcz, podobnie jak długi marsz,

wreszcie się skończył. Nie było czym się przejmować.

Z drugiej strony Camlin był przekonany, że lada moment góry przekroczy wrogi hufiec, a w nim tysiące ludzi z zimną stalą w rękach, gotowych wyszarpnąć mu życie z piersi.

Zawsze możesz stąd zwiać, pomyślał.

– Zamknij się – mruknął.

– Co? – spytał Dath.

– Nic.

Mogę sobie marudzić, ale nie mam zamiaru opuścić tej drużyny w najbliższej przyszłości, dodał w myślach. Nie odwrócę się od pierwszych prawdziwych przyjaciół, których zdobyłem w życiu.

Na wojnę u boku Domhaińczyków wyruszyli wszyscy, którzy przeżyli ucieczkę z Dun Carreg, nawet oba gadające kruki. Edana również namówiła jakoś Eremona, by pozwolił jej wziąć udział w wyprawie. Zdaniem Haliona znaczny wpływ na to miała żona Eremona, która poparła prośbę dziewczyny w nadziei, że spotka ją tragiczny koniec i zniknie z politycznej planszy. Obozowała jednakże gdzieś indziej, niedaleko Ratha, wojewody Eremona.

Mam wrażenie, że wszystko się logicznie poukładało, rozmyślał Camlin. Starcie z Rhin wszystko rozwiąże. Albo wygramy, albo przegramy. Lepszej szansy już nie dostaniemy.

W trakcie podróży ku góróm armia Eremona osiągnęła liczebność dziesięciu tysięcy wojowników. Camlin nigdy w swoim życiu nie widział tylu ludzi. Po prawdzie, niezbyt mu się to podobało. Łapał się na tym, że raz na jakiś czas unosił głowę ku niebu i oddychał głęboko, jakby chciał się uwolnić od wrażenia nadmiernego ścisku.

Nieopodal rozległy się kroki. Pojawili się Corban oraz Farrell, obciążeni ciężkimi workami, którzy usiedli przy ogniu. Wraz z nimi przybył Gar.

– Co tam macie? – spytał Camlin.

Corban spojrział na wzgórza, przed którymi obozowali. Grupa jeźdźców nikła właśnie wśród lasów porastających ich zbocza.

– To zwiadowcy? – spytał Corban.

– Tak. Przypuszczam, że Rath wyśle swoich ludzi na wzniesienia, by mieć pewność, że Rhin nie planuje jakiegoś fortelu.

– Pamiętasz, co Halion powiedział w Cambrenie? Wiesz, o tym, że

trzeba nauczyć wroga, by bał się nocy?

– Pamiętam. I co z tego?

– Podsunął mi w ten sposób bardzo dobry pomysł. Chcę odnaleźć Ratha i dowiedzieć się, co o tym sądzi. Przyszło mi do głowy, że ty i Dath być może będziecie chcieli udać się ze mną.

Camlin zerknął na Datha, a chłopak uśmiechnął się do niego, choć jego usta drgnęły nerwowo.

– Coś mi mówi, że powinniśmy naciągnąć cięciwy – rzekł Camlin, podnosząc się.

Rozdział siedemdziesiąty pierwszy

VERADIS

Veradis stał w połowie wzniesienia i spoglądał na trakt olbrzymów.

– Sporo ich – rzekł stojący obok Bos.

– Fakt.

– Jak wygląda plan?

Młodzieniec milczał przez moment. Jego hufiec obozował po obu stronach szlaku, którym maszerowali. Znaleźli się w cieniu gór dwa dni po rozstaniu z Nathairem.

Wystarczyło, że zamknął oczy, a widział Cywen, jak odwraca się w siodle i spogląda na niego swymi ciemnymi oczami. Potrząsnął głową.

Jak zwykle stanowili straż tylną, do czego zdążyli się już przyzwyczaić. Ogromna armia Rhin ciągnęła się daleko przed nimi wzdłuż traktu i jego poboczy.

– Geraint rusza o świcie do natarcia. Przekonamy się, z jakiej gliny są ulepieni wojownicy z Domhainu.

– A więc będziemy przyglądać się z tyłów?

– Przypuszczalnie. Na ogół armie, którym towarzyszymy, nie chcą, byśmy obrabowali je z chwały.

– Tym razem jednak przyjdzie im walczyć z naprawdę licznym przeciwnikiem. Chwały nie zabraknie dla nikogo – stwierdził Bos. – A trakt jest wprost stworzony do walki w murze tarcz. Powinniśmy być na przedzie, a nie w straży tylnej.

– Wiem, ale nic na to nie poradzę – rzekł Veradis. – To Geraint jest tu wojewodą, a nie ja. Będziemy więc czekać i przyglądać się rozwojowi sytuacji.

Spojrzał na zalesione wzgórza po obu stronach. Bos uczynił to samo.

– Idealne miejsce na zasadzkę – zauważył młodzieniec.

– Zgadza się. Wyślę część ludzi na te wzgórza.

– Nie mamy ich wystarczająco wielu. Porozmawiam o tym z Geraintem.

Bos, postaw dziś w nocy podwójne straże wokół obozu. Wszyscy mają nocować przy trakcie. Nie rozbijać żadnych namiotów przy zboczach wzgórz.

Spojrzał raz jeszcze na wzniesienia pokryte gęstym lasem sosnowym. Między pniami ciągnęły się zarośla, których monotonię tu i ówdzie przerywały ogromne głazy, czarne, przywodzące na myśl kości. Mogłoby się tam ukryć tysiąc ludzi, a nie ujrzaliby nikogo.

Z gór dobiegł złowieszczy, przerażający, wibrujący odgłos.

Wycie wilkuna.

Głowy w całym obozie odwracały się w tamtą stronę. Strach niósł się jak nasiona targane wiatrem. Veradis i Bos spojrzeli po sobie.

– Myślę, że nie ma na co czekać – oświadczył młodzieniec. – Pójdę bezzwłocznie do Gerainta, a ty zajmij się obozem.

Rozdział siedemdziesiąty drugi

CORBAN

– To ty jej kazałeś wyć? – Rath zwrócił się do Corbana.

– Nie. Zapewne coś wyczuła – odparł chłopak.

Wszyscy spoglądali na Burzę. Ostatnie takty jej przerażającego zewu cichły w gęstniejącym mroku.

– Wyruszamy na polowanie, a ona dobrze o tym wie – rzekł Gar.

– Cóż, moment wybrała sobie idealnie. – Rath się uśmiechnął. – Sam prawie napaskudziłem w spodnie, a więc Elyon jeden wie, co pomyśleli sobie tam na dole.

Armia Rhin rozciągała się poniżej niczym ogromna, czarna rzeka. Powoli zapadał zmrok i Corban widział, jak w dole rozpalano dziesiątki ogni, by rozpędzić nadchodzące ciemności.

Między drzewami rozległy się ciche kroki i chłopak ujrzał postacie wyłaniające się z gęstwiny. Sięgnął po miecz, ale Gar położył mu rękę na ramieniu. Po chwili rozpoznał wśród przybyszów Camlina, Datha oraz kilku innych, w tym Bairda, pogromcę olbrzymów.

– Przepędziliśmy kilku zwiadowców. – Baird zwrócił się do Ratha. – Ci, którym udało się zerwać do ucieczki, oberwali strzałami. – Ruchem głowy wskazał Camlina i Datha. – Myślę, że póki co jest tu czysto – dodał. – Ale postawiłem strażnika na szlaku biegnącym od gór.

– Świetnie – stwierdził Rath. – Corban, Farrell, pokażcie, co tam macie.

Młodzieńcy rozsypali worki i wyrzucili na ziemię zwinięte futra. Każdy z nich narzucił swoje na ramiona i zaczął mocować sprzączki.

Dzięki, mam, pomyślał Corban, gdy okrył się wyprawioną skórą wilkuna, a na głowę, niczym kaptur, narzucił sobie jego łeb. Burza warknęła głucho, więc uciszył ją syknięciem. Pochylił się i podniósł

skórzaną rękawicę, do której przyszyto żelazne szpony. Te szczęknęły parokrotnie, gdy naciągnął rękawicę na lewe ramię i zacisnął pięść.

– Obłupiliśmy ze skóry wilkuny, które zaatakowały nas w górach – wyjaśnił przyglądającym się wojownikom. – Mamy jeszcze trzy przebrania.

Rzucił skórę wraz z rękawicą do Coralen. Pochwyciła łup i bez wahania wciągnęła je sobie na lewe ramię, po czym zawarowała i przecięła szponami powietrze, co rozbawiło wojowników Ratha.

– A więc masz już trzy pazury zamiast jednego noża – powiedział do niej Corban i dostrzegł dziki błysk w jej oku. – Słyszałem, że Burza oraz nasza mała drużyna zyskała sporą sławę wśród Cambreńczyków. Opowiadają sobie teraz o zmiennokształtnych, odmieńcach i tajnych paktach z Asrothem. Jedni twierdzą, że wychowała nas wataha wilkunów, a inni mówią, że te wciąż nam towarzyszą. W głowie się nie mieści.

– Słyszałem to i owo – rzekł z uśmiechem Baird. – Mogę poprosić o jedną?

– Proszę bardzo! – odpowiedział Farrell.

– Uznałem, że warto trochę pomóc tym opowieściom – ciągnął Corban. – Nigdy nie wiadomo, co uda nam się osiągnąć. Może jutro rano nie będą się aż tak kwapić do walki. Wojownicy to przesądna banda. Co wy na to?

Rath pokiwał głową z aprobatą.

– Przebudźmy więc koszmary! – zawołała Coralen.

* * *

Corban kucnął sztywno za głazem. Panowały już zupełne ciemności, a na niebie unosił się jedynie wąski rożek księżyca, ledwie widoczny spoza postrzępionych chmur. Było zimno, ale futro wilkuna dobrze chroniło przed chłodem. Po założeniu go chłopak stał przez dłuższą chwilę przy Burzy i czekał, aż obwąchująca go wilkunica przyzwyczai się wreszcie do zapachu. Następnie kazał jej obwąchać cztery pozostałe skóry, założone przez Farrella, Coralen, Ratha oraz Bairda, by w szale walki przypadkiem nie zaatakowała jednego ze swoich. Potem wspólnie ugnietli papkę z błota i krwi, którą rozsmarowali sobie wzorami na twarzach.

– Przypominasz bardziej niedźwiedzia niż wilkuna – rzekła Coralen do

Farrella.

– Dziękuję – odparł tamten.

– To nie był komplement.

Przyczaili się wzdłuż stoków nad wojskami Rhin. Towarzyszyło im ponad dwudziestu ludzi Ratha, co do jednego łowców, którzy doskonale znali teren. Czekali na sygnał.

Corban czuł, że opadają mu powieki. Był zmęczony, bo od czasu przybycia do Dun Taras miał trudności ze spaniem. Ciągłe zrywał się ze snu spocony, z sercem bijącym mocno ze strachu i strzępami snów w głowie. Śnił o wojnie, w której skrzydlate postacie zmagaly się w powietrzu, zupełnie jak w opowieściach o Pladze, kiedy to Ben-Elim walczyli z Kadoshim.

Dam sobie rękę odciąć, że nie miałbym tych koszmarów gdyby nie idiotyczna gadanina Gara, pomyślał i zerknął na swego nauczyciela z niechęcią.

– Rozcieraj ręce – szepnął do niego Gar. – Gdy usłyszymy sygnał, nie będzie chwili do stracenia, a ty będziesz zeszywniały z zimna.

– Nie mogę – odparł Corban. – Mam sobie ramię odciąć?

Uniósł rękę i pokazał rękawicę z długimi, stalowymi niby-pazurami.

– Fakt – zgodził się Gar. – Ale pamiętaj, co mówił Rath, Ban. Wpadamy do środka, robimy zamieszanie i wiejemy. A ty i Burza będziecie celami.

– Gar, przestań wygadywać głupoty – mruknął Corban. – Mamy do wykonania ważne zadanie!

– Wiem. Ale ty też jesteś ważny.

Bo jestem tym Seren Disglaiem? – pomyślał chłopak. Nie umiem tego nawet wymówić. Jak to możliwe, bym ja był tym czymś?

Spojrzał na Gara i znów pożałował, że ten w ogóle podjął temat Elyona i Asrotha, bo nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ta kwestia ich poróżniła. Kiedy Gar wreszcie pogodził się z tym, że sobie to wszystko wymyślił?

Mężczyzna wyciągnął miecz, nabrał ziemi i przeciągnął nią wzdłuż ostrza.

– Rób jak ja. Metal nie będzie odbijał blasku księżyca ani ognia.

Corban pokiwał głową i zrobił to samo.

Z doliny dobiegły jakieś krzyki, a potem głośnie wrzaski. Przed opuszczeniem obozu Rath przykazał swoim dowódcom, by urządzili

próbny atak na czoło wojsk Rhin. Zgiełk starcia miał być sygnałem do rozpoczęcia akcji.

Czas na nas!, pomyślał chłopak.

Wymienił się spojrzeniami z Garem i obaj wyłonili się zza głazu. Ruszyli w dół zbocza, a Burza cicho podążała za nimi.

Rzędy namiotów rozstawiono równolegle do traktu, niektóre na nasypie, a inne na trawiastej łące, która kończyła się u stóp wzgórza. Przyczajony, pochylony Corban, ściskający miecz w wolnej ręce, dotarł na sam dół. W jego bijącym jak szalone sercu wzbierał lęk.

Wycisz się, nakazał sobie. Opanuj strach. Zniszcz go.

Widział już sylwetki kilkunastu ludzi wokół ogniska. Wszyscy stali, zwrócenii ku przełęcz, gdzie toczyło się starcie.

Corban usłyszał brzęknięcie cięciwy. Ułamek sekundy później jeden z wojowników zatoczył się ze strzałą sterczącą z ramienia.

– Wróg – szepnął Corban do Burzy i razem skoczyli naprzód. Biegli, cięli, kłuli i gryźli. Gar natychmiast wyłonił się po jego lewicy, a jego zakrzywiony miecz zataczał łuki w powietrzu. Ludzie osuwali się na ziemię, ktoś padł w ognisko, buchnęły iskry, poniósł się smród palących się włosów i ciała.

Corban chlasnął pazurami, pchnął mieczem. Burza przygniotła kogoś do ziemi i głośnym kłapnięciem urwała jego przeraźliwe wrzaski. Jakiś wojownik z grozą zastygł na twarzy wyszarpnął niezdarnie miecz, ale zatoczył się do tyłu. Corban warknął, skoczył ku niemu, pochwycił pazurami opadającą klingę i wbił własny oręż w pierś przeciwnika.

I nagle nie było już z kim walczyć.

– Dalej, Ban! – krzyknął Gar.

Biegł ku skarpie, gdzie wśród namiotów kręcili się już zdezorientowani wojownicy. Tu i ówdzie migotały ogniska, opromieniając chaos.

– Oni muszą cię zobaczyć! – krzyczał Gar. – Nic nam po paru trupach!

Ma rację!, przemknęło chłopakowi przez głowę. Jesteśmy koszmarem, który ma się nieść jak zaraza!

Pochylił się i popędził w górę skarpy. Wpadł na jakiegoś wojownika, przewrócił go na ziemię, chlasnął go po twarzy. Burza i Gar wpadli na trakt w ślad za nim. Były stajenny po drodze ściął innego przeciwnika, a Burza warczała, przyczajona. Corban ujrzał jakiegoś mężczyznę, który

na widok wilkuncy odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Ludzie wroga tłoczyli się teraz wzdłuż całej drogi i z lękiem wpatrywali się w ciemność. Któryś z nich, opromieniony blaskiem ogniska, zatoczył się i padł ze strzałą w piersi.

To sprawka Camlina albo Datha, pomyślał Corban.

Spojrzał w obu kierunkach. Dzikie wrzaski i szczęk oręza dobiegały teraz zewsząd. Rath przykazał, by wojownicy noszący skóry wilkunów zaatakowali obóz w kilku miejscach. Każdemu towarzyszyli przybocznicy, którzy mieli chronić ich i wspomagać w sianiu zamieszania. Ustalono, że atak ma być błyskawiczny. Wystarczyło, by każdy niby-wilkun pozostawił po sobie kilka trupów i został zauważony przez jak największą ilość wrogów.

– Tędy! – krzyknął Gar i skoczył na drogę wiodącą ku góróm. Corban ruszył za nim, pochylony, tnąc pazurami na obie strony. Burza sadziła susami przy nim, a ludzie rzucali się do ucieczki. Wzdłuż traktu skrzykiwali się już ponurzy wojownicy z dobytą bronią.

– Otrząsnęli się! – krzyknął Gar. – Wiejemy! Szybko!

I wskazał kierunek.

Corban biegł skrajem drogi, Burza mknęła przed nim, z tyłu dobiegały kroki Gara. Chłopak już chciał zsunąć się po nasypie i umknąć w ciemność, gdy dojrzał coś, co sprawiło, że zatrzymał się jak wryty.

Kilkanaście kroków dalej toczyło się wściekłe starcie. Zderzała się stal, padały iskry, dwoje walczących toczyło się po ziemi, mignęło futro, śmignęły rude włosy.

Coralen!

Nieopodal jeden z wojowników Ratha toczył zaciekły pojedynek, ale runął, przeszyty włócznią wbity w plecy. Nieco dalej szereg mężczyzn zwierzał tarcze, co niespodziewanie obudziło w Corbanie jakieś skojarzenia, ale nie miał czasu się nad tym zastanowić, gdyż Coralen nagle zaczęła parskać i wrzeszczeć.

Skoczył ku niej. Ciężkim w biegu rozrąbał drzewce włóczni wbite w plecy towarzysza i powalił trzymającego go wojownika. Ten padł z wrzaskiem, zaciskając dłonie na swej twarzy. W międzyczasie dwoje toczących się po ziemi przeciwników znieruchomiało. Obcy wojownik przygniatał Coralen i wznosił miecz. Rozpędzony Corban pochwycił go i przetoczył się wraz

z nim po ziemi. Stracił przy tym oręż, ale pozostały mu szpony, którymi ciał i chlastał do chwili, gdy uświadomił sobie, że wróg zwiotczał w jego ramionach.

Ktoś szarpnął go za rękę, poderwał. Odwrócił się i ujrzał Coralen, która podawała mu miecz. Kilka kroków dalej Gar odpierał ataki dwóch mężczyzn, a Burza wyszarpywała dziurę w brzuchu trzeciego. Jeden z przeciwników Gara nagle padł do tyłu z rozciętym gardłem, a drugi rzucił się do ucieczki z bezwładnym ramieniem.

– Uciekajmy! Nie ma czasu! – krzyczał Gar.

Corban biegł już, kiedy znów ujrzał mur tarcz, tym razem bliżej. Zatrzymał się, zaskoczony. Znał skądś ten widok, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd.

Dun Carreg, uświadomił sobie nagle. W sali biesiadnej, tej nocy, kiedy cały mój świat się rozsypał. Gdy zginął mój ojciec.

Patrzył na orlą gwardię Nathaira.

Zapomniał na moment o wszystkim i ruszył ku nim, strącając rękę ciągnącej go Coralen.

– Nathairze! – ryknął. Jego głos przeciął noc.

Gar podążał za nim ze wzniesionym mieczem, wpatrzony w mur tarcz. Warcząca Burza szła zaś obok, a jej kły ociekały krwią.

– Nathairze! – ryknął ponownie Corban głosem łamiącym się od emocji.
– Chodź tu i zmierz się ze mną!

Wspomnienie króla Tenebralu, który wbija miecz w pierś jego ojca, całkiem nim zawładnęło. Zaciśnięte na rękojeści palce zbieleły.

Z muru tarcz wyłonił się samotny wojownik o poważnej, zaciętej twarzy. Był mniej więcej w tym samym wieku co Nathair, ale miał jaśniejsze włosy.

– Nathaira tu nie ma, ale ja się z tobą zmierzę, Czarne Słońce! – oznajmił i ruszył ku niemu, wznosząc krótki miecz.

Czarne Słońce?

Corban zarejestrował te słowa, ale nie miały dla niego żadnego znaczenia, gdyż jego serce nagle zalała furia przemieszana z rozpaczą. Chciał skoczyć naprzód, ale zasłonił go Gar z wzniesionym, zakrzywionym ostrzem. Cały świat się zatrzymał.

Rozległ się krótki okrzyk i mur tarcz ożył. Ruszył naprzód, a pierwszy

szereg rozsunał się i niczego niespodziewający się wojownik, który właśnie rzucił wyzwanie Corbanowi, został pochłonięty przez przybocznych. Tarcze zwarły się przed nim z głuchym trzaskiem. Chłopak usłyszał stłumione protesty, po czym mur znów ruszył do przodu.

Corban stał wstrząśnięty i wpatrywał się z nienawiścią w Tenebralczyków. Był niemalże gotów rzucić się na nich, ale choć przepełniała go wściekła nienawiść, był świadom tego, co się stanie, gdy zbliży się do muru. Spomiędzy tarczy wystrzelił rój mieczy. Wiedział dobrze, że nie przebije się przez nie.

– Powiedz swojemu Nathairowi, że nadejdzie dzień, gdy go zabiję! – wrzasnął, po czym odwrócił się i zsunął po nasypie. Reszta skoczyła w ślad za nim.

Biegli wśród namiotów, tym razem nienależących do wojowników, ale do ludzi zawsze towarzyszących armiom – handlarzy, rzemieślników, rodzin walczących. W biegu ciął liny, przewracali namioty, kopniakami strącali kotły i garnki w ogień, szerzyli panikę i zamieszanie, gdzie się dało, aż wypadli w noc i pomknęli ku bezpiecznym wzgórzom. Coralen wysforowała naprzód i prowadziła ich między czarnymi głazami, aż Corban ponownie poczuł pod nogami miękkie igliwie. Wówczas całą czwórka przystanęła na moment, by nabrać tchu i spojrzeć na dolinę.

Ich wzrok przyciągnęły liczne ognie, z tej wysokości wielkie niczym płomienie świateł. Na tyłach armii było ich znacznie więcej, gdyż w miejscach, które przebiegli Corban, Coralen, Gar i Burza paliło się wiele z przewróconych namiotów. Odgłosy walki ucichły już, ale wciąż ryczały rogi i wyglądało na to, że zamieszanie trwa nadal.

– Wracajmy do Ratha – szepnęła ochryplym głosem Coralen i wszyscy ruszyli w drogę.

Corban zatrzymał się na moment, przeświadczony, że usłyszał coś w lasach za sobą, ale gdy nie dostrzegł żadnego ruchu, popędził za resztą. W biegu pokręcił jednak głową z niedowierzaniem, bo ów odgłos dziwnie przypominał skamlenie ogara.

Rozdział siedemdziesiąty trzeci

VERADIS

Veradis nie mógł dojsć do siebie przez resztę nocy i dopiero z nastaniem świtu zdołał narzucić sobie jako taki spokój. Za jego plecami wschodzące słońce znaczyło szare niebo bladą łuną.

Widziałem Czarne Słońce, myślał. Mało brakowało, a skrzyżowałbym z nim broń!

A wtedy wchłonął go jego własny mur tarcz, a milczący Bos trzymał go w żelaznym uścisku, dopóki Corban i reszta nie uciekli.

W głębi duszy był im wdzięczny. Cieszył się, że uniemożliwili mu tę walkę, bo nie potrafiłby jej stoczyć tak, jak należy. Chciał obudzić w sobie nienawiść do Corbana. Wbijał w niego wzrok i usiłował przywołać święty gniew i podsycić go niechęcią do Asrotha i jego podstępów, ale widział jedynie twarz Cywen. Podobieństwo między nimi było uderzające – Veradis rozpoznałby brata Cywen, nawet gdyby nie miał ze sobą wilkuna. Te same ciemne oczy, wysokie kości policzkowe, rozczochrane włosy, a nawet podobny wyraz twarzy. Chłopak wpatrywał się w niego z nieprzejednaną złością, identyczną z tą, którą Veradis widywał na twarzy Cywen.

Miał poczucie winy. Przecież poprzysiągł posłuszeństwo Nathairowi i dla niego powinien bez wahania uderzyć na Corbana.

Usłyszał za sobą kroki, które ucichły w pewnej odległości. Odwrócił się i ujrzał Bosa.

Ogromny wojownik padł na jedno kolano.

– Przyszedłem, by przemówić w obronie orlej straży i siebie samego. Sprzeciwiliśmy się twoim rozkazom. Zdajemy sobie sprawę z naszej winy i jest nam przykro. Przyjmujemy każdą karę, którą nam wyznacysz.

– Wstawaj – rzekł Veradis.

– To nie wszystko, co mam do powiedzenia.

– A więc mów – westchnął pierwszy miecz.

– Jesteś naszym przywódcą i przeprowadziłeś nas przez wiele niebezpieczeństw. Jesteś naszym panem, naszym generałem i naszym bratem. Kochamy cię i każdy z nas bez wahania oddałby za ciebie życie. W nocy groziła ci pewna śmierć. Nie mogłem na to patrzeć... Żaden z nas nie mógł.

– To był Czarne Słońce, Bos. Czempion Asrotha. Stał tuż przed nami. Miałem okazję zabić go i zakończyć tym samym Wojnę Bogów.

– Ten w skórze wilkuna?

– Tak.

– To nie on mnie zaniepokoił, ale ten drugi. Ów wojownik, który mu towarzyszył. To był Jehar. Jesteś pierwszym mieczem Tenebralu, ale nie sądzę, byś nawet ty mógł pokonać jednego z nich.

– Wydaje mi się, że to on zabił Raucę – rzekł Veradis.

Bos zmarszczył brwi, słysząc te słowa, i na moment pogrążył się w rozmyślaniach.

– Tak, to on zabił Raucę, a potem dziesięciu naszych orlich braci. W pojedynkę – oznajmił i spojrział na Veradisa, czekając, aż ten pojmie, co właśnie usłyszał.

Przypuszczalnie bym zginął, pomyślał.

Podszedł bliżej i ścisnął ramię Bosa.

– Jeśli raz jeszcze zlekceważysz mój rozkaz, wyrzucę cię z orlej straży.

Wojownik uniósł głowę, spojrział na Veradisa i skinął.

– A teraz wstawaj.

– Co robimy?

– Geraint niebawem wyruszy i dojdzie do bitwy. My zaś będziemy stać, przyglądać się rozwojowi wydarzeń i czekać, aż zostaniemy wezwani.

– Ludzie ciągle gadają o tym, co się wydarzyło w nocy. Wielu uciekło – powiedział Bos.

Taka była prawda. Nocny atak zaszczepił w wojownikach Rhin strach, który szerzył się niczym zaraza na wietrze. Krążące od dawna pogłoski o czających się w mroku wilkołakach i demonach niespodziewanie doczekały się materialnych dowodów w postaci poszarpanych ciał oraz świadków, którzy widzieli wilkuny oraz wilkołaki masakrujące ich

towarzyszy. Setki przerażonych wojowników umknęło w mrok. Veradis rozmówił się już z Geraintem i próbował mu wytłumaczyć, że za atak odpowiedzialni są ludzie w skórach wilkunów, ale nie miał pewności, czy mężczyzna mu uwierzył. Sam widział wielu zabitych z rozszarpanymi gardłami.

– Wiem. Ale do bitwy dojdzie tak czy owak. Geraint nie może po prostu zawrócić i uciec do domu, bo Rhin boi się bardziej od wszystkich wilkunów na świecie.

– Rozsądny człowiek – zachichotał Bos. – Ale jego ludzie będą walczyć z lękiem w sercach.

– Myślę, że taki cel przyświecał tym przebierańcom. – Veradis wzruszył ramionami. – Poczekamy, zobaczymy. Co ma być, to będzie, ale wiem jedno. Nie spuszcza my oczu z tych wzgórz. Nie życzę sobie kolejnych niespodzianek.

* * *

Rozległ się zew rogów i wojownicy z Cambrenu ruszyli wzdłuż traktu olbrzymów. Tym razem nie słyhać było pieśni wojennych, a jedynie tupot tysięcy stóp. Na czele armii szedł Geraint otoczony grupą przybocznych, a w oddali widać było szeregi Eremona. W bladym blasku słońca połyskiwało żelazo.

Veradis oraz Bos stali na zboczu wzgórza, osłaniani przez szereg orlich gwardzistów. Od skraju lasu, porastającego wyższe partie wzniesienia, dzielił ich spory kawałek drogi. Skryty wśród drzew łucznik nie zdołałby osiągnąć strzałą nikogo, a jakkolwiek atak zostałby w porę zauważony.

Maszerująca armia zatrzymała się, falując, kilkaset kroków przed szeregami Eremona.

– Teraz sobie pociągną z bukłaków – rzekł cicho Bos.

– Tak, wiem.

Niełatwo jest iść do bitwy, zwłaszcza tym, którzy stoją w pierwszych szeregach. Niełatwo się zmusić, by ruszyć ku wrogom, skoro wiadomo, że ich miecze mogą przynieść śmierć. Pierwsze kroki zawsze były najtrudniejsze, a kilka łyków miodu czy piwa często pomagały zebrać odwagę. Veradis widział, że w szeregach Eremona również krążyły

bukłaki.

Nie wydaje mi się, by napełniono je wodą, pomyślał.

Naraz pierwsze szeregi hufca Gerainta wykrzyczały okrzyk bojowy, skwapliwie podjęty przez kolejne szeregi, a potem wojownicy na czele armii Rhin rzucili się do natarcia.

Ludzie Eremona odpowiedzieli ogłuszającym rykiem i grzechotem mieczy oraz włóczni uderzających o tarcze, po czym skoczyli na spotkanie przeciwnika.

Veradis patrzył na starcie dwóch armii. Huk zderzenia, potężny niczym uderzenie pioruna, niósł się daleko po wąwozie i odbijał się echem od wzgórz. Wojownicy w pierwszych szeregach zmieszali się i Tenebralczycy widzieli teraz mozaikę domhaińskiej zieleni oraz czerni i złota Cambrenu. Bitwa rozpadła się na tysiąc pojedynków. Każdy wojownik szukał sobie przeciwnika, a ten, kto przeżył starcie, przypadał do kolejnego. Walka miała się toczyć do chwili, gdy po jednej stronie wszyscy padną bądź stracą ducha i rzucą się do ucieczki.

Bos nabrał tchu.

– Czeka nas długi dzień – oznajmił.

Rozdział siedemdziesiąty czwarty

CORBAN

Corban szedł przez ogromną zagrodę dla koni, którą rozstawiono na łąkach za obozowiskiem, kiedy nagle ją ujrzał.

– Dzień dobry – oznajmiła Coralen na jego widok.

Po powrocie do obozu mieli tylko kilka godzin, by się przespać, ale dziewczyna wyglądała na wypoczętą i gotową do działania. Sprawdzała uprzęż swego konia, a inni jeźdźcy w pobliżu również się przygotowywali.

– Co robisz? – spytał Corban.

– Rath wysyła mnie w góry. Na wypadek, gdyby się przekradli, by zająć nas z flanki.

– Czeka cię więc spokojny, cichy dzień. Nie sądzę, by ktoś z nich ośmielił się wejść do lasu. Nie po tym, co się wydarzyło zeszłej nocy. Jeszcze zjadłby ich jakiś wilkołak.

Coralen uśmiechnęła się do niego, co nie zdarzało się jej często. Myśli Corbana na moment się rozproszyły.

– Chciałem z tobą porozmawiać – odezwał się.

– Takie miałam wrażenie. – Wojowniczką spojrzała na niego badawczo, unosząc jedną brew.

– O Conallu.

– Och.

Corban nie miał pojęcia, ile Halion jej powiedział, ale wydawało mu się, że nie zdradził zbyt wiele. Po tym, co ujrzał zeszłej nocy – Coralen ryzykowała życiem i w każdej chwili mogła zginąć – uznał, że zasługuje na to, by poznać prawdę.

– On zabił moją siostrę, Cywen. I zdradził króla Brenina. Połączył siły z człowiekiem, który otworzył bramy Dun Carreg przed ludźmi Owaina.

Proszę, pomyślał. I wyrzuciłem to z siebie.

Próbował poskromić swój gniew i wypowiedzieć te słowa bez żadnych emocji, po prostu przedstawić fakty. Na twarzy Coralen najpierw pojawiła się złość, a potem niedowierzanie i rozczarowanie.

– Con zrobił coś takiego? Cóż, ma na sumieniu wiele rzeczy, ale... ale żeby dopuścić się zdrady? Zawsze przestrzegał własnego kodeksu.

Corban nabrał tchu, trzymając gniew na wodzy.

– Coś się zaczęło z nim dziać. Nagle stał się zazdrosny o Haliona, który został doceniony przez króla Brenina i mianowany jego pierwszym mieczem.

– Naprawdę? – spytała Coralen.

– Halion nie wspomniał ci o tym?

– Nie. Nikomu nic nie powiedział.

– W ogóle mnie to nie dziwi. Nigdy nie poznałem człowieka tak skromnego i pokornego jak on.

Coralen pokiwała głową.

– Wiem. I Con źle to przyjął?

– Bardzo. Moim zdaniem sprzymierzył się z Ewnisem z wielu powodów, ale między innymi dlatego, że chciał dokuczyć Halionowi.

Stali przez moment w milczeniu. Coralen bawiła się sprzączką w końskiej uprzęży, pogrążona w myślach, ale po chwili uniosła głowę i zmrużyła oczy.

– Na co czekasz? Buziaka chcesz? Ja nie jestem jak Maeve, wiesz?

– Co takiego? – Corban na moment cofnął się myślami do sali biesiadnej, gdy poczuł na sobie ręce Maeve, a potem przypomniał sobie piekący policzek po uderzeniu Coralen. Maeve powiedziała mu wówczas, że jej siostra jest zazdrośnicą, ale on jakoś w to nie wierzył. – Maeve twierdzi, że jesteś zazdrośnicą – powiedział w nadziei, że uda mu się rozbawić Coralen, ale jej twarz pozostała poważna. Zaraz mnie zabije, uzmysłowił sobie i cofnął się o krok.

– Zazdrośnicą? – Coralen wypluła to słowo.

– Pocałowała mnie i tyle – wymamrotał Corban, próbując się bronić. – A ja... ja chciałem ci tylko powiedzieć prawdę o Conallu.

Czy chcę buziaka?, powtórzył w myślach.

Złapał się na tym, że spogląda na jej usta, ale szybko przypomniała

mu się długa lista skaleczeń i siniaków, które zawdzięczał ich walkom na dziedzińcu treningowym. Pokręcił głową.

Co się ze mną dzieje?, pomyślał.

– W porządku – stwierdziła dziewczyna. – Dzięki.

Skinął głową i się odwrócił.

– Corban! – zawołała za nim.

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

– Przykro mi z powodu twojej siostry.

– Mnie też – rzucił. I odszedł.

* * *

Corban chciał zasłonić oczy, bo to, co widział, było wprost przerażające, a sam zgiełk ogłuszający. Był już świadkiem bitwy na podobną skalę, którą stoczył hufiec Owaina z ardańskimi zastępami, przybyłymi na odsiecz Dun Carreg, ale wtedy siedział wysoko nad Kamienną Bramą, a starcie toczyło się daleko od niego. Wojownicy wydawali się mali jak mrówki.

Tym razem było inaczej.

Oba hufce zderzyły się ze sobą niczym dwie gigantyczne fale, a łoskot uderzył w niego z taką siłą, że aż się zachwiał. Z miejsca, w którym stał, widział walczących, ból na ich twarzach i odrąbywane kończyny, słyszał wrzaski, czuł zapach potu, krwi, moczu i ekskrementów, gdy śmierć zagarniała jedną ofiarę po drugiej. W powietrzu krążyły już setki kruków i Corban zadał sobie w myślach pytanie, czy Crafi i Fech byli wśród nich.

Stał na niewysokim pagórku na tyłach armii domhaińskiej i przyglądał się starciu. Za sobą miał namioty, w których grupka uzdrowicieli szykowała się do pracy. Przebywająca wśród nich Brina poprosiła go o pomoc. Z początku odmówił, gdyż chciał wziąć udział w walce, ale Rath osobiście nakłonił go, by nie mieszał się do walki aż do zmierzchu, jeśli bitwa miałaby się przeciągnąć. Najwyraźniej miał kolejny plan w zanadrzu.

Corban odnalazł więc Brinę i powiedział, że chętnie jej pomoże. W duchu uznał, że lepiej dołączyć do uzdrowicieli, niż siedzieć beczynnie, ale teraz zaczynał się zastanawiać, czy w istocie była to słuszna decyzja. Wkrótce do namiotów zaczęli napływać pierwsi wojownicy, niektórzy zataczający się, podtrzymywani przez towarzyszy broni, inni niesieni

na noszach. Wielu z nich krzyczało bądź majaczyło z bólu. Corban zajmował się głównie pojeniem ich *usque* oraz mlekiem makowym, które przygotowano poprzedniej nocy. Nigdy dotąd nie widział takich ilości tego napoju, ale nie wystarczyło go na długo. W południe większość dzbanów była już pusta.

– Trzymaj go mocniej! – warknęła Brina.

Pochylali się nad leżącym na ziemi wojownikiem, któremu wrogie uderzenie strzaskało stopę i kostkę. Jeszcze chwilę temu wrzeszczał z bólu i wymachiwał rękami, ale uciszyło go pół dzbana *usque*. Zaczął jęczeć, gdy Brina przystąpiła do czyszczenia rany skalpelem.

– Mocniej! – przykazała uzdrowicielka. – Nie będę go zszywać z tym całym brudem w środku! – mruknęła pod nosem, usuwając z rany kawałki skóry i płótna, wbite w ciało uderzeniem wrogiego ostrza. – Jego rana zzielenieje, napuchnie, a chłopak umrze po tygodniu! – Wyprostowała się. – Nie, trzeba będzie amputować – oznajmiła i się rozejrzała. – Przytrzymasz go.

– Ja pomogę – odezwał się ktoś.

Corban podniósł głowę i ujrzał kupca Ventosa.

Brina odeszła po gorącą wodę, bandażę i piłę.

– Nie wiedziałem, że tu jesteś – rzekł chłopak.

– Uznałem, że mógłbym się do czegoś przydać – powiedział handlarz. – Trakt olbrzymów to najwygodniejszy sposób na opuszczenie Domhainu, jeśli podróżujesz z wielkim wozem, a droga póki co jest zablokowana. Skoro tu utknąłem, to spróbuję jakoś pomóc. Lubię Eremona i Domhain, ale nie na tyle, by złapać za miecz i popędzić tam. – Skinął głową w stronę, z której powiewy chłodnego wiatru przynosiły stłumione odgłosy walki.

Brina wróciła z naręczami bandażu oraz miską.

– Trzymajcie go oboje – powiedziała. – Z początku będzie ciężko, ale długo nie pozostanie przytomny. Gotowi?

– Tak – odparli obaj, choć Corban wiedział, że wcale tak nie jest.

Wojownik wrzeszczał, jakby Asroth wyrywał mu serce, ale Brina miała rację i stracił przytomność wkrótce po tym, jak zaczęła piłować jego kość. Trwało to dłuższą chwilę i Corban nie wiedział już, czego nie cierpi bardziej – wrzasków rannego czy zgrzytu żelaza o kość. Następne etapy już znał. Wypalenie rany, smród palącego się ciała, zszycie skóry

i bandażu. Gdy zabieg dobiegł końca, mokre od potu włosy kleiły mu się do twarzy.

– Wyjdź stąd na moment – mruknęła do niego Brina. – Odpocznij, odetchnij świeżym powietrzem, napij się wody.

Corban z Ventosem ruszyli ku wyjściu z namiotu. Po drodze minęli inną uzdrowicielkę, która pochylała się nad rannym i podcinała mu gardło niewielkim, ostrym nożem. Chłopak nie po raz pierwszy dziś był świadkiem takiego aktu miłosierdzia. Zauważył też swoją mamę, ścierającą krew płynącą z rany innego wojownika, ale nie rozglądał się dłużej. Pchnął płachtę w wejściu i wyszedł z dusznych wnętrz na chłodne powietrze dnia. Było późne popołudnie, a słońce zachodziło, rozciągając cienie wymierzone na wschód.

Bitwa nadal szalała. Zmagania przesunęły się z powrotem ku górą, pozostawiając za sobą zasłane trupami pobojuisko, osobliwie ciche i nieruchome wobec wściekłego starcia, szalejącego ledwie kilkaset kroków dalej. Najśmielsze kruki już kołowały nad poległymi. Corban stał przez moment i rozkoszował się ostrym, zimnym powietrzem, które wdzierało się do jego płuc. Po chwili odwrócił się i z powrotem wszedł do namiotu.

* * *

Ktoś poklepał go po plecach w chwili, gdy wylewał miskę pełną krwi. Odwrócił się i ujrzał zbryzganego posoką Ratha z cięciem na czole.

– Poczekaj, Brina zaraz się tobą zajmie – rzekł Corban.

– Ale ja szukam ciebie. Chodź ze mną.

Chłopak podążył w ślad za wojewodą. Za sobą czuł obecność matki, a na zewnątrz ujrzał Gara, opartego o słupek.

– Wygrywamy tę bitwę – oznajmił Rath. – Myślę, że moglibyśmy ją zakończyć dzięki tobie i twej wilkownicy.

Za Rathem stali jego pogromcy olbrzymów, a wśród nich Coralen, już ubrana w skórę wilkuna.

– Co rozkażesz? – zapytał chłopak.

* * *

Zapiął rękawicę z kłami i wyciągnął miecz.

– Jestem gotów – rzekł.

Naprzeciwko niego stali Rath, Coralen, Farrell i Baird, którzy również przywdziali swe przebrania. Burza siedziała u jego boku, a dalej czekało dziesięciu pogromców olbrzymów oraz jego towarzysze: Gar, Dath, Camlin, Marrock oraz Vonn. Dołączyła do nich również Gwenith, która założyła skórzany napierśnik, zapięła pas z nożami i chwyciła za włócznię. Gar sprzeciwiał się stanowczo jej udziałowi w wyprawie, ale kobieta nie chciała o tym słyszeć.

– Nikt mnie nie powstrzyma – oznajmiła i obrzuciła Gara spojrzeniem, które uciszyło wszelkie protesty. Wciąż była wściekła o to, że nie powiedziano jej o wypadku, który miał miejsce zeszłej nocy. Gdy Corban wrócił do namiotu, ujrzał matkę szalejącą z wściekłości i furii. Szlochała i jednocześnie łajała jego i Gara.

– W drogę! – oznajmił Rath i wyruszyli.

Zapadł zmierzch. Wojewoda planował uderzyć na jedną z flank wojsk Rhin. Armie Cambrenu zostały już odepchnięte, a wojownicy byli znużeni i pozbawieni ducha walki. Rath liczył na to, że na widok watahy wilkunów, wilkołaków i innych odmieńców mogą zacząć uciekać.

Zatoczyli szeroki łuk, by minąć obozowisko Rhin w sporej odległości. Niebo było ciemnofioletowe, a na horyzoncie jaśniała pomarańczowa poświata, pozostałość po ostatnich promieniach słońca. Na sygnał Ratha wskoczyli w sam środek gromady Cambreńczyków.

Tamci najpierw ujrzeni Burzę, gdyż jej białe futro natychmiast przyciągało wagę, a potem biegnących za nią ludzi, odzianych w futra, zbryzganych krwią. W gęstniejącym mroku musieli stanowić niesamowity, przerażający widok. Corban zobaczył, jak wojownicy Rhin trącają się, wskazują ich palcami, powstają. Ktoś rzucił się już do ucieczki, przewrócił, próbował zerwać. Inny wojownik stał nieruchomo, sparaliżowany grozą. I to na niego skoczyła Burza, wbijając mu kły w szyję oraz ramię i pociągając go za sobą na ziemię.

Corban i pozostali byli zaledwie kilka uderzeń za atakującą wilkunicą. Ruszyli na tych, którzy wciąż się wahali między walką i ucieczką. Chłopak ciał jednego woja przez brzuch, rozrąbując jego kolczugę, a potem wbił mu ostrze w gardło. Mężczyzna runął na plecy, z arterii trysnęła krew.

Obok Marrock w biegu rąbnął innego wojownika tarczą w twarz i przebił mu kolcem oko.

W okamgnieniu rozprawili się ze wszystkimi, którzy chwycili za broń, i popędzili dalej, wbijając się coraz głębiej w armię Rhin. Coralen, biegnąca przy Corbanie, uniosła głowę i zawyła głośno. Chłopak poszedł w jej ślady, a po nim reszta. Pędzili, wyli i zabijali, a tam, gdzie się pojawiali, ludzie rzucali się do ucieczki, najpierw pojedynczo i parami, a gdy nerwy puszczały coraz większym grupom, strumyk uciekinierów przerodził się w rwącą rzekę i całe lewe skrzydło wojsk Cambrenu ogarnęła panika. Geraint przypuszczalnie uświadomił sobie, że poniósł klęskę, gdyż zadęto w rogi i centrum jego wojsk zaczęło się wycofywać.

Rath również nakazał odwrót. Niebawem stali już w bezpiecznym miejscu i przyglądali się, jak wróg ucieka ku wzgórzom. Wiwatowali ochryple, a Corban i jego wataha niby-wilkunów wyli z euforią. Cieszyli się, że zdołali przeżyć i pokonać przeciwnika.

Naraz chłopak usłyszał wrzaski rannych i na powrót uświadomił sobie, że na poboju umierają ludzie. Znow poczuł smród krwi i ekskrementów.

Dlaczego my to sobie robimy?, przemknęło mu przez głowę.

Przez krótki, straszny moment jego serce przepełnił wstyd.

Co myśmy narobili...

Potem jednakże przypomniał sobie Ciemny Bór, gdzie porwano, a później zabito królową Alonę, co zapoczątkowało reakcję łańcuchową śmierci. Wszystko wyszło od Rhin. Posiane przez nią ziarno nadal kwitło.

Wstyd i wahanie znikły, wyparte przez zawziętość. Musiał walczyć i musiał przeżyć.

Nie mogę wiecznie uciekać, pomyślał, a jeśli chcemy ją pokonać, trzeba walczyć. A właśnie wygraliśmy. Przynajmniej dziś.

Rozdział siedemdziesiąty piąty

CORALEN

Coralen trąciła mieczem plecy jeńca, zmuszając go, by przyspieszył kroku.

Bitwa została wygrana, ale dziewczyna nie miała czasu na świętowanie czy odpoczynek. Rath wysłał ją oraz kilku innych na zwiady. Mieli patrolować wzgórze, wyłapywać maruderów i baczyć, czy Geraint nie przegrupowuje swych sił.

– To, że zeszłej nocy nam się powiodło, nie oznacza, że oni tu nie wrócą – rzekł stary wojownik.

Coralen nie miała nic przeciwko. Woląca czymś się zająć, niż siedzieć i myśleć o tym, co Corban powiedział jej o Conallu.

Zbliżyli się do zaimprovizowanego obozowiska, gdzie ujrzała konie. Tam przekazała jeńca – z zawodu kowala, sądząc po bliznach od poparzeń na twarzy – którego przechwyciła, gdy skradał się przez zarośla ku Bairdowi, a potem bez słowa zawróciła do lasu. Skierowała się ku zboczom, prowadzącym do traktu olbrzymów, gdyż to tam należało się spodziewać dezertersów bądź ewentualnych zwiadowców.

Bezszelestnie przemykała od drzewa do drzewa, kryjąc się wśród cieni. Sztuka cichego przemieszczania się, którą trenowała przez całe życie, weszła jej w krew do tego stopnia, że stała się odruchową reakcją wyprzedzającą świadomą myśl, podobnie jak walka. Nim się zorientowała, znów zaczęła myśleć o Conallu. Ujrzała jego twarz, na której jak zwykle widniała bezczelność i rozbawienie, oraz jego wzrok, którym rzucał wyzwanie całemu światu, i poczuła w sercu fizyczny ból, jakby ktoś wbił w nie nóż i zaczął obracać.

Con zdradził Haliona...

Dobrze знаła Haliona i była pewna tego, że z natury postępował

właściwie lub przynajmniej próbował, choć nie zawsze było to oczywiste. Poza tym zawsze wolał unikać zatargów i na pewno nie wszczynaby kłótni z bratem. Nie, im dłużej o tym myślała, tym szybciej powracała do wniosku, że Corban powiedział jej prawdę.

I chwalała mu za to, przemknęło jej przez myśl.

Potraktowała ją jak osobę dorosłą, jak kogoś równego sobie, a nie dziecko, jak często robił Halion. Rozumiała już, że jej brat wolał ukryć przed nią prawdę, by oszczędzić jej bólu. Nie chciał oczerniać Conalla i pragnął, by zachowała o nim dobre wspomnienia, ale ona wolałaby usłyszeć prawdę, choćby najgorszą.

Przypomniała sobie Corbana, który wpatrywał się w nią swymi czarnymi, poważnymi oczami.

„Na co czekasz? Buziaka chcesz?”. Czemu go o to spytałam? Co ze mnie za idiotka?

Powoli uświadamiała sobie, że zaczyna go lubić. W każdym razie dobrze było go mieć przy sobie, gdy dochodziło go walki. On, Burza i Gar siali istne spustoszenie w szeregach wroga i niejeden uciekał przed nimi, przeświadczony, iż ujrzał demony Asrotha. Robiło to na niej spore wrażenie, ale to nie wszystko. Podobało jej się, jak Corban z nią rozmawiał. Mówił otwarcie, szczerze, niczego nie kryjąc.

Naraz coś przykuło jej uwagę. Zatrzymała się i ukucnęła. Była już blisko skraju lasu, gdzie zbocze opadało gwałtownie ku obozowiskom w dolinie.

Tu i ówdzie na ziemi leżały odchody, rozkopane, jakby ktoś chciał je ukryć. Pozostawiło je jakieś duże zwierzę, na pewno nie wilkun, ale raczej też nie jeleni czy inne zwierzę, którego mogłaby się tu spodziewać. Podniosła kawałek z ziemi, rozłamała i obwąchała.

Bez wątpienia był to ogar. Przypuszczalnie więcej niż jeden. Ale co robiły tu ogary? I co się z nimi stało? Pozostawiona przez zwierzę kulka, którą właśnie rozłamała, była wciąż wilgotna w środku. Nie mogła tu leżeć dłużej niż pół dnia.

Po lewej stronie usłyszała szelest. Wypuściła znalezisko z rąk i zbliżyła się do drzewa, by skryć się w jego cieniu.

Po zboczach pisał się jakiś człowiek, ciężko dysząc. Podniósł się z trudem i rozejrzał. Był młody i miał jasne włosy. Bez wątpienia wojownik.

Coralen wyszła z cienia.

Mężczyzna cofnął się i złapał za miecz, ale się zawahał.

– Jesteś tylko dziewczyną – oznajmił.

To twój pierwszy i ostatni błąd, powiedziała do siebie. Nie myśl, działaj.

Skoczyła ku niemu, odtrąciła jego rękę, jedną dłonią złapała go za kołnierz, a drugą przycisnęła mu nóż do brzucha.

– Faktycznie, jestem – oznajmiła. – A teraz pójdziesz ze mną, chyba że wolisz, abym ci coś oberżnęła.

Wojownik oblizał usta.

– Nie, dzięki. Chętnie pójde tam, gdzie zechcesz.

Rozdział siedemdziesiąty szósty

CORBAN

Corban pociągnął łyk piwa z bukłaka, z uśmiechem słuchając Datha i Farrella, którzy wymieniali się wrażeniami z nocnego ataku.

– Widziałem cię. – Dath mówił do Farrella. – Poślizgnąłeś się, gdy biegłeś w górę zbocza. Wywalileś się prosto na twarz. Widziałeś kiedyś wilkuna, który wywraca się o własne nogi?

– Było stromo i ziemia usuwała mi się spod stóp – oznajmił Farrell nieco bełkotliwym głosem. Wlał w siebie mnóstwo piwa, ale nadal się uśmiechał, podobnie jak pozostali. Cały obóz świętował zwycięstwo.

– Dobrze, że Coralen tego nie widziała. Nie wygląda mi na dziewczynę, której podobałyby się niedźwiedzie. – Dath wyszczerzył zęby.

– Nazwała mnie niedźwiedziem. – Farrell zmarszczył brwi.

Dath i Corban parsknęli śmiechem.

– Myślisz, że podobają się jej niedźwiedzie? Mam wielką nadzieję, że tak.

Ich namioty stały na skraju domhaińskiego obozowiska, niedaleko zagród dla koni. Corban usłyszał skrzypnięcie uprzęży i podniósł głowę, by przyrzeć się powracającym jeźdźcom. Towarzyszyła im grupa pieszych, którzy podążali z tyłu. Jeden z nich przewrócił się i przejechał po ziemi kilka kroków, wleczony na linie, nim jeździec się zatrzymał.

Prowadzą jeńców, uświadomił sobie Corban.

Jeździec odwrócił głowę, by spojrzeć na leżącego na ziemi człowieka, a wtedy blask ognia opromienił jego twarz. To była Coralen.

Powinna świętować wraz z nami, pomyślał Corban.

– Patrz, twoja przyszła żona – powiedział Dath do Farrella.

– Pójdę i zapytam ją, czy lubi niedźwiedzie – oznajmił Farrell i powstał,

ale pomimo wysiłków nie trzymał się pewnie na nogach.

– Jesteś przekonany, że to dobry pomysł? – spytał Corban, który wraz z Dathem ruszył ku dziewczynie.

– Hej, Coralen! – zawołał Farrell.

– Za późno na takie pytania – stwierdził Dath.

– Dołącz do nas! Napij się! Trzeba świętować! – wołał Farrell do siedzącej w siodle dziewczyny.

Podjechali inni jeźdźcy. Corban rozpoznał Bairda i pozdrowił go skinieniem.

– Wojna się jeszcze nie skończyła, a ty przewracasz się po kilku głębszych – odparła Coralen.

Farrell zamrugał. Zdecydowanie nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Podobają ci się niedźwiedzie? – spytał zamiast tego.

– Co?

– Niedźwiedzie. Takie wielkie, włochate zwierzaki. Podobają ci się czy nie?

– Co tu się wyrabia? – Coralen spojrzała na Datha i Corbana, a potem znów wbiła wzrok w Farrella. – Zamroczyło go czy co? A może żarty sobie ze mnie stroisz?

Farrell, uspokój się, albo zarobisz nożem, pomyślał Corban.

– Nie stroję sobie żartów! – Na twarzy ogromnego młodzieńca pojawił się wstrząs. – Nawet by mi do głowy nie przyszło, by pokpiwać sobie z ciebie!

Przestań, błagam cię, prosił go w myślach Corban.

– Ja cię kocham!

Tylko nie to, pomyślał Corban.

Dath parsknął śmiechem i się zatoczył.

– Upiłeś się – stwierdziła Coralen.

– Tylko odrobinę – wymamrotał Farrell.

– Ależ oni się ciebie boją! – zawołał ktoś za plecami Corbana. – Spójrz tylko! Biedaczysko musiał się porządnie napić, zanim się do ciebie odezwał.

Był to Baird, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Zamknij się! – warknęła Coralen przez ramię.

– Ja nie muszę się napić, by zebrać w sobie odwagę. – Farrell spojrzał

krzywo na Bairda, a potem przeniósł wzrok na Coralen. – A ty nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Czy lubisz niedźwiedzie czy nie?

– Co? Cóż, chyba tak. O ile nie próbują mnie zjeść. Słyszałam, że ich mięso nieźle smakuje, a ciepłą skórą można się ogrzać zimą.

– Myślę, że to on chciałby cię ogrzać. – Baird wskazał na Farrella.

– Widzicie? – Chłopak odwrócił się do Corbana i Datha i uśmiechnął się szeroko. – Podobają jej się niedźwiedzie!

– Cieszę się, że wyjaśniliśmy już sobie tę kwestię – oznajmiła Coralen. – Bo czas się zająć innymi sprawami.

– Co to za jedni? – Dath wskazał szereg ludzi za Coralen i jej towarzyszami.

– Wróg – odparła dziewczyna. – Wyłapaliśmy ich na wzgórzach. Przypuszczalnie dezertyrzy, ale być może też szpiedzy.

Corban wpatrywał się w skłębiony tłum. Blask ognia padał na ich twarze; chłopak widział wśród nich wojowników, ale także kobiety, a nawet dzieci.

– Myślę, że po naszym nocnym wypadzie wielu z nich umknęło na wzgórze – rzekł Baird. – I na każdego, którego złapaliśmy, kryje się tam pewnie wielu innych.

Corban zmarszczył brwi, wpatrując się w jednego z jeńców. Stał z pochyloną głową, ale mimo to było w nim coś znajomego.

Zrobił krok ku niemu.

– Ostrożnie! – zawołał Baird. – Odebraliśmy im broń, ale nigdy nie wiadomo...

Corban zignorował ostrzeżenie i zaczął przepychać się przez tłum jeńców.

– Hej, ty! – zawołał. – Spójrz na mnie!

Jeniec zignorował go.

– Spójrz na mnie! – powtórzył i złapał za miecz. Klinga zazgrzytała, powoli wysuwając się z pochwy.

Młodzieniec uniósł głowę. Corban ujrzał okoloną jasnymi włosami twarz, brudną i wychudzoną, której nie mógłby nigdy zapomnieć.

Patrzył na Rafe'a.

Rozdział siedemdziesiąty siódmy

LYKOS

Lykos zeskoczył z okrętu prosto w spieniony przybój i brodząc przez fale, dotarł na brzeg. Znalazł się na długiej plaży, a nieopodal widział ujście szerokiej rzeki, wlewającej swe wody do morza. Daleko na horyzoncie ciągnęło się ciemne pasmo lasów.

Miło cię znów ujrzeć, Tenebralu, pomyślał.

Stanowczo zbyt długo przebywał z dala od tego królestwa, które odgrywało tak ważną rolę w jego planach.

Czy bóg jest w stanie czytać w moich myślach? Nawet upadły bóg? Mam nadzieję, że nie, choć z pewnością potrafi gadać w mojej głowie.

Wsunął dłoń pod płaszcz i dotknął prezentu, który otrzymał od Calidusa w Dun Carreg.

„Pomóż Jaelowi zagarnąć tron Isiltiru – powiedział mu starzec przy tej okazji. – Potem musisz wracać do Tenebralu. Nie można pozostawić Fidele bez nadzoru, bo jest chwiejna i łatwo zmienia zdanie, a Tenebral to dla nas ważne miejsce. Dopóki będzie to możliwe, korzystaj z dyplomacji, ale jeśli zawiedzie wszystko inne, sięgnij po to”.

W pudełku otrzymanym od Calidusa znajdował się niewielki, owinięty w płótno przedmiot, nie większy od kciuka.

Dobrze było wrócić na Trzy Wyspy: Panos, Nerin i Pelset. Lykos cieszył się z tego, że ma okazję odnowić stare przysięgi, ale z drugiej strony żałował, że zabrało mu to aż tyle czasu. Nadchodziła wszak zima. Powinien był wrócić wcześniej.

Na plaży nadal wznosiły się szkielety okrętów. Widział długie dębowe wręgi, podtrzymywane przez drewniane rusztowania.

Zmarszczył brwi. Przecież okręty powinny już być gotowe. Powinny

niebawem wyruszyć w rejs.

Rozejrzał się i dostrzegł starego szkutnika Alazona, który zmierzał ku niemu swym charakterystycznym rozkołysanym krokiem. Nie wydawał się szczególnie zadowolony. Za nim, na skraju plaży, widać był grupę wojowników z Tenebralu w skórzanych kiltach i czarnych napierśnikach z białym orłem. Ruszyli w ślad za Alazonem.

Dzieje się tu coś niedobrego, pomyślał Lykos.

Deinon i pozostali przybocznicy zeskoczyli do wody w ślad za nim. Deinon wyciągnął miecz.

– Chowaj to! – rzucił Lykos.

Alazon był już blisko.

– Znaleźli nasze jamy! Zabili wielu naszych, innych wzięli do niewoli, a niewolników uwolnili! – zdołał wykrzyknąć, zanim przypadli doń Tenebralczyki.

– Lykosie z Vin Thalun – oznajmił jeden z nich.

– We własnej osobie.

– Udasz się z nami. Lady Fidele rozkazuje, byś stawiał się przed jej obliczem.

– Oczywiście z wielką przyjemnością. – Lykos uśmiechnął się. – Mamy wszak wiele do omówienia.

Rozdział siedemdziesiąty ósmy

CORBAN

Rafe rzucił się na Corbana, ale chłopak, choć nieprzygotowany, zdołał uskoczyć w bok i rąbnąć napastnika rękojeścią miecza. Dath i Farrell złapali Rafe'a i postawili go szarpnięciem na równe nogi.

– Co tu się dzieje? – spytał Baird, podjeżdżając bliżej.

– Znamy go – rzekł Corban. – Z domu.

Dziwnie zabrzmiały te słowa, a on sam dziwnie się poczuł, gdy je wypowiedział.

– Raczej nie wasz przyjaciel, co? – spytał Baird.

– Nie – odparł Corban. Dobrze pamiętał noc, kiedy upadło Dun Carreg. I pamiętał, że Rafe oraz jego ojciec, Helfach, zaatakowali go i odcięli od ojca, który walczył z orlą strażą Nathaira.

– Twoja wilkunica zabiła mi ojca! – wywarczał Rafe.

– Tak, wiem o tym – rzekł Corban. – I całe szczęście.

– Zabijmy go! – zaproponował Dath.

– Nie – sprzeciwił się Corban, w czym poparł go Farrell. – Zabierzmy go do Haliona i Edany. Myślę, że będą mieli do niego wiele pytań.

* * *

Namiot Edany był wyposażony nader skromnie – wstawiono tam stół, kilka krzeseł oraz łóżko odgrodzone zasłoną od reszty pomieszczenia. Młoda królowa wpatrywała się intensywnie w Rafe'a, którego postawiono przed nią ze związanymi rękami. Po prawicy królowej stał Halion, a po lewicy Marrock i Vonn. Na oparciu jej fotela siedział Fech, który przechylił lekko głowę.

Dath i Farrell po cichu wślizgnęli się za nimi. Kątem oka Corban ujrzał, że dołączyła do nich również Coralen.

Rafe był spięty i wyraźnie wystraszony. Nerwowo spoglądał to na jedną osobę, to na drugą.

– Jak się tu znalazłeś? – odezwała się chłodnym głosem Edana.

Jeniec wbił wzrok w ziemię.

– Odpowiedz swojej królowej! – warknął Vonn.

Rafe uniósł głowę, słysząc jego głos.

– Ona nie jest moją królową. Ardanem włada teraz Ewnis. Tak, dobrze usłyszałeś. Ewnis, twój ojciec. To on mnie tu wysłał – mówił Rafe, wpatrując się dobitnie w Vonna. – Ucieszy się na wieść, że żyjesz. O mało nie rozebrał Dun Carreg na kawałki, szukając ciebie. Wścieknie się też, gdy dojdzie do niego, że walczysz przeciwko Rhin! Przeciwko niemu!

– Mój ojciec jest zdrajcą i mordercą – odparł Vonn, choć w jego spojrzeniu zagościł mrok. – Dla mnie równie dobrze mógłby być martwy.

– Jak tam sobie chcesz. – Rafe wzruszył ramionami.

Co on tak naprawdę myśli o swoim ojcu? Czy może po prostu się od niego odciąć i zostać jego wrogiem?, zastanawiał się Corban. Ja nigdy nie umiałbym tak postąpić wobec własnego ojca, ale z drugiej strony nie był nim Ewnis.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie – rzekł. – Dlaczego Ewnis cię tu przysłał?

– Pewnie dlatego, że oni cię szukają, a Ewnis chciał wybrać kogoś, kto jest cię w stanie rozpoznać. Zależy mu na was wszystkich, ale na Corbanie w pierwszej kolejności.

Ewnis..., pomyślał Corban, czując narastający gniew.

– Jacy oni? – spytała Edana.

– Nathair. Rhin.

A czego Nathair i Rhin chcą ode mnie? – myślał Corban.

Edana odetchnęła głęboko i upiła łyk z pucharka. Chłopak był pewien, że nie była to woda. Młodą królową również prześladowały duchy z przeszłości.

– Opowiedz mi o tym, co się wydarzyło w Ardanie, od chwili, gdy... – Urwała.

– Od chwili, gdy nas zdradziłeś i pomogłeś Owainowi przejąć Dun

Carreg – powiedział Marrock głosem lodowatym jak stalowe ostrze na mrozie.

– A niby czemu miałbym to zrobić? – spytał Rafe.

– Bo cię zabijemy, jeśli nas nie posłuchasz – odparł Marrock. – I będzie bolało.

Corban uwierzył mu. Rafe najwidoczniej również, bo zaczął mówić. Opowieść o klęsce Owaina i zwycięstwie Rhin okazała się dla Corbana wielkim wstrząsem. Oczywiście wiedział, że Rhin pokonała Owaina i zawładnęła Ardanem, bo przecież walczyli przeciwko jej hufcom. Teraz jednak, gdy usłyszał całą opowieść, poukładał sobie w głowie wszystkie fakty i w pełni zrozumiał głębię mrocznych zamysłów Rhin. Mieli do czynienia z intrygantką, której ambicje karmiła chciwość i zawiść.

– Wkrótce wszyscy się dowiedziecie, jak straszliwym przeciwnikiem jest Rhin – ciągnął Rafe. – Skończą się te wasze śpiewy przy ognisku.

– Skoro sam w to wierzysz, to dlaczego uciekasz? – spytała Edana. – Złapano cię przecież na wzgórzach. Próbowaleś dać nogę do Cambrenu.

– Ten wasz nocny rajd przypomni mi o tym, jak zginął mój ojciec. – Rafe wzruszył ramionami i przeniósł spojrzenie na Corbana. – To kiepskie wspomnienie. Postanowiłem, że się wyrwę.

– Skoro Rhin jest tak przebiegłą przywódczynią, to dlaczego dziś nie odniosła zwycięstwa? – spytał Marrock.

– Bo jej tu nie ma. Dowodził jej wojewoda, a sama królowa przebywa gdzieś w Cambrenie, wraz z Nathairem. Ponoć wybierała się do jakiegoś Dun Van.

– Pewnie chodzi ci o Dun Vaner, stolicę.

– Tak, właśnie. Przypuszczam, że niedługo powróci wraz z Conallem. Nie będzie chciała przegapić upadku Domhainu.

– Z Conallem? – powtórzyli jednocześnie Halion i Coralen.

– Zgadza się. Conall jest teraz jej pierwszym mieczem. Rzucił wyzwanie Morcantowi tego samego dnia, w którym rozbito wojska Owaina. Na pewno nie może się już doczekać, by się z wami spotkać.

– Conall nie żyje – oznajmił poblady śmiertelnie Halion. – Przecież spadł! – Spojrzał na Marrocka. – Mówiłeś, że spadł, tak? Z Kamiennej Bramy, razem z Cywen.

– Tak, na własne oczy to widziałem – odparł Marrock.

– Spadli, zgadza się. Widziałem ich sińce – rzekł Rafe. Rozejrzał się dookoła. Na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmieszek, gdy ujrzał ich zaskoczone miny. – Nie wiedzieliście? Conall i Cywen żyją.

Corban wpatrywał się w Rafe’a.

Cywen żyje.

Słowa rozbrzmiewały w jego głowie coraz głośniejsze, przytłaczając wszystkie zmysły. Naraz ugięły się pod nim kolana i wyciągnął rękę, by złapać się słupa podtrzymującego namiot.

– Cywen żyje – powiedział. Miał wrażenie, że jego głos dociera z daleka.

– A przynajmniej żyła, gdy ją widziałem po raz ostatni, pięć dni temu.

– Co? Kłamiesz! Przecież Dun Carreg leży kilka księżyców drogi stąd!

– A kto ci powiedział, że ona została w Dun Carreg? Tak się składa, że jest po drugiej stronie tych gór i jedzie na północ z Nathairem i Rhin.

– A towarzyszy im Conall? – odezwał się Halion, równie poruszony i wstrząśnięty jak Corban.

– Ale po co to wszystko? – spytał chłopak. – Dlaczego Cywen miałyby zostać więźniem Rhin i Nathaira. Przecież ona nie ma dla nich żadnego znaczenia.

– Nie wiem. – Rafe wzruszył ramionami.

Corban pochwycił go, obrócił i grzmotnął nim o słup podtrzymujący namiot.

– Kłamiesz!

– Nie! – Złośliwy uśmieszek Rafe’a zniknął, a jego oczy błysnęły lękiem.

– Po co miałbym kłamać?

– Choćby po to, by nam dokuczyć, skoro nie jesteś w stanie zrobić nic innego.

– Przysięgam, że ona żyje! Conall też! Spytajcie kogokolwiek.

– Spytamy – rzekła Edana. – I jeśli się okaże, że kłamiesz, każę Corbanowi rzucić cię Burzy na pożarcie.

* * *

Corban szedł samotnie przez obóz. Nie miał ochoty na zabawę.

Coralen przepytowała garstkę jeńców – kilku wojowników, a także handlarzy, kowali, garbarzy oraz parę kobiet. Wszyscy potwierdzili, że

w hufcu Rhin podróżowała branka z Ardanu. Nikt nie poznał jej imienia, ale opisy się zgadzały. Świadkowie mówili o ciemnowłosej dziewczynie z ognistym temperamentem. Ustalenie tożsamości Conalla okazało się o wiele łatwiejsze, gdyż wszyscy znali jego imię, a wielu słyszało opowieść o jego walce z Morcantem.

Corbanowi zrobiło się niedobrze. Cywen żyła, a on ją porzucił. Uciekł. Zostawił ją. Nie mógł sobie wyobrazić, jak się czuła. Naraz w jego oczach pojawiły się łzy, a twarz rozjaśnił uśmiech.

Cywen żyje.

Dotarł do ich części obozu i wokół ognia ujrzał swoich przyjaciół – Brinę z Crafem na kolanie, Camlina i Ventosa, popijających z bukłaka, a dalej tę, której szukał. Patrzył na swoją matkę, która siedziała z Garem i rozmawiała z nim o czymś cicho, uśmiechając się. Corban stał w cieniu i przyglądał się im, nie chcąc psuć tej chwili, aż Gwenith uniosła głowę i zauważyła go. Jej uśmiech zamarł, gdy Corban wyszedł z ciemności i ujrzała wyraz jego twarzy.

– Co się stało? – zapytała.

* * *

– To niemożliwe. Opowiedz mi raz jeszcze.

– Mamo, powtórzyłem całą historię dwa razy.

– Moja biedna Cywen... Sama musiała przejść przez to wszystko. – Gwenith rozszlochała się, choć próbowała opanować emocje. Gar uścisnął jej ramię, na co ona odwróciła się i rąbnęła go w pierś. – Powiedziałeś, że po nią wrócisz! Że się cofniesz i ją sprowadzisz!

Gar puścił ją.

– Ale przecież uznaliśmy, że nie żyje!

– Odnajdę ją – rzekł Corban. – Odnajdę ją i sprowadzę.

– Ban, nie możesz... – zaczął Gar.

– Właśnie, że może – przerwała mu Gwenith. Powstała i otoczyła syna ramieniem. – Nie będzie zresztą sam. Ruszam z nim.

Gar westchnął. Spojrzał na ich oboje i zdusił w sobie wszelkie protesty.

– Idę się pakować – powiedział.

* * *

Corban wrócił do namiotu Edany. Rafe został już wyprowadzony i z młodą królową pozostali jedynie Marrock, Vonn i Halion.

– Co za noc. – Edana zwróciła się do niego ze smutnym uśmiechem.

– Tak. Przyszedłem, by cię o coś poprosić.

Królowa przyjrzała mu się uważnie.

– Chcesz ruszyć za siostrą?

– Chciałbym. – Corban pokiwał głową. – Ale złożyłem przysięgę, by cię chronić. Te słowa wiele dla mnie znaczą i...

– Wiem – rzekła Edana. – Wypełniłeś tę przysięgę już sto razy. A teraz okazuje się, że Cywen żyje, a tobie pęka serce z tęsknoty. Widzę to w twoich oczach.

Wyszła zza stołu i ujęła go za rękę.

– Idź. Masz moją zgodę.

– Ale bitwa i wojna...

– Wojna została niemalże wygrana – rzekła Edana. – Widziałeś przecież na własne oczy. Ba, sam się do tego przyczyniłeś. Duch armii Rhin został złamany, a prawie połowa jej wojowników nie żyje. Jutro dokończymy bitwę.

– Czyli naprawdę nie masz nic przeciwko?

– Nie, nie mam. Będę się o ciebie martwić, ale wiem, że musisz ruszyć w drogę. Przecież Cywen jest jedną z nas, prawda? Dla mnie ta dziewczyna jest niczym rodzina, podobnie jak ty. Idź, Corbanie, i ściągnij ją do nas. Tylko wracaj szybko.

– Dziękuję – odparł łamiącym się głosem.

– Żałuję, że nie mogę udać się z wami. Często wracam myślami do naszej podróży z Ardanu. Wiem, że uciekaliśmy i śmierć groziła nam przez cały czas, ale czułam wówczas, że żyję. A teraz? Teraz jestem skazana na politykę i muszę uważać na każde słowo, które wypowiadam.

– Westchnęła ciężko, a potem dodała: – Zobaczymy, co jeszcze mogę dla ciebie zrobić.

* * *

Było nadal ciemno, gdy Corban wspiął się na siodło. Powinien być zmęczony, wręcz wyczerpany, ale krążyła w nim nowa energia, która dodawała mu sił. Gwenith i Gar siedzieli na koniach obok niego, a przed nimi była Coralen.

Zaraz po ich rozmowie Edana zabrała Corbana do Ratha, który przydzielił im konie oraz zapasy. Przykazał również, by Coralen dołączyła do nich jako przewodniczka. Dziewczyna zgodziła się bez szemrania, choć przez większość czasu milczała, zadumana, i szczydziła im zwyczajowych zgryźliwości.

Pewnie nie może przestać myśleć o szansie ujżenia Conalla, pomyślał Corban.

– Gotowi? – spytała.

Pokiwał głową.

– No to ruszajmy!

Ich konie zaczęły iść powolnym krokiem. Nadciągający świt malował świat na jednolitą szarość.

– Zaczekajcie! – zawołał ktoś za nimi.

Corban odwrócił głowę i ujrział Edaną w towarzystwie kilku ludzi. Niektórzy prowadzili konie. Rozpoznał Datha i Farrella, a także Brinę dosiadającą wierzchowca. Z góry dobiegło krakanie kruka.

– Bez nas tylko się pozabijacie – oznajmiła uzdrowicielka. – Poprawka. Beze mnie.

– Przyszło mi do głowy, że może ktoś powinien was strzec! – rzekł Farrell, patrząc na Coralen, która wywróciła oczami.

– To nie w porządku. – Dath zwrócił się do Corbana. – Chcesz wyruszyć sam w szeroki świat?

– Cóż, nie powiem, że się nie cieszę, ale co z Edaną? – spytał Corban.

– Nic mi nie grozi – odparła królowa. – Mam Haliona, Marrocka, Camlina i Vonna.

Camlin podszedł do Corbana i wyciągnął do niego rękę. Chłopak uściśnął nadgarstek byłego banity.

– Uważaj na siebie – rzekł Camlin. – Chętnie udałbym się z wami, ale nie mogę opuścić Edany. Nie mogę się jednak doczekać, aż znów zobaczę Cywen. Ta mała to niezłe ziółko. Umie pakować się w tarapaty, co nie?

– Otóż to! – Corban się uśmiechnął.

– A ty.. – Camlin wycelował palcem w Datha. – Chronić cięciwę przed zamknięciem i nie wysuwaj zanedo głowy, gdy strzelasz. Zobaczymy się niebawem, młody.

Dath pokiwał głową. Wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale przełknął jedynie ślinę.

– Jeszcze ktoś? – spytała Coralen. – Może poczekamy, aż ktoś od Rhin się do nas przyłączy?

– Podoba mi się ta młoda – szepnęła Brina do Corbana.

– Nie? Dobra, a więc w drogę! – Coralen popędziła konia.

Rozdział siedemdziesiąty dziewiąty

VERADIS

Veradis wyrzął zza ściany tarcz.

– Gotowi? – odezwał się do Bosa i pozostałych ludzi, którzy stali w ciasnym szeregu.

– Gotowi! – oznajmił wojownik.

– A więc do roboty.

Młodzieniec uniósł dłoń i na tyłach hufca zaryczał róg. Wojownicy ruszyli naprzód wzdłuż traktu, a miarowe kroki tysiąca ludzi poniosły się echem. Z tyłu podążały resztki hufca Gerainta, rozlewające się po zielonych łąkach i otaczające formację tenebralską z flanek niczym ogromne skrzydła.

Gdy słońce wzniosło się wyżej, ujrzeli wrogie szeregi, wciąż w sporej odległości, rozstawione na trakcie i okalających go równinach. W blasku poranka zamigotała stal. Patrzyli na tysiące uzbrojonych po zęby, żądnych krwi wojowników, pełnych energii po zwycięstwie poprzedniego dnia.

Veradis przyglądał się wczorajszej bitwie. Z narastającą zgrozą patrzył, jak hufiec Gerainta po całym dniu krwawych zmagania z wolna ulega naporowi przeciwnika. Tyłu dzielnych ludzi oddało tam swe życie...

Ci, którzy przetrwali, wracali przygnębieni, niekiedy utykając, wzdłuż traktu olbrzymów, i kryli się w cieniu wzgórz. Namioty uzdrowicieli były pełne, a krzyki rannych i umierających wzbijały się ku nocnemu niebu. Veradis udał się na poszukiwanie Gerainta i zastał go, gdy ten owijał sobie ramię bandażem. Wydawał się wyczerpany, a na widok Tenebralczyka odwrócił wzrok.

– Walczyliście z honorem, ale wróg był liczniejszy – rzekł Veradis.

Nie powiedział prawdy, ale Geraint był dumnym człowiekiem.

- Liczebność nie miała z tym nic wspólnego – mruknął wojewoda.
- Nie. Przegraliście dziś, bo wróg zdołał zasiać ziarno strachu w sercach twoich ludzi, a potem to wykorzystać.
- Jutro też jest dzień – rzekł Geraint.
- Tak, ale jeśli masz zamiar po prostu ruszyć na wroga, jutro skończy się tak samo jak dziś, o ile nie gorzej.
- A co innego mam zrobić? Przecież nie mogę się wycofać, bo Rhin każe sobie podać moje jajca na talerzu. Domhain zaś nie kwapi się, by ruszyć na nas. Muszę wydać im bitwę.
- Postaw mnie na czele. Mój mur tarcz wygra dla ciebie to starcie.
- Masz niecały tysiąc wojowników. Wróg ma niemalże dziesięciokrotną przewagę!
- Wiem. Ale jeśli osłonicie mnie z flanki i uniemożliwicie Domhainowi manewr oskrzydlający, odbierzemy im ducha do walki, a wam damy zwycięstwo.

Veradis był już tak blisko szeregów wroga, że widział twarze poszczególnych wojowników. Przyglądali się uważnie, z podejrzliwością, nadciągającemu murowi tarcz. Tenebralczyk uniósł ramię i znów rozległ się róg. Hufiec zatrzymał się, a wojownicy z tyłów błyskawicznie przesunęli się naprzód i uformowali dodatkowe szeregi w poprzek obu nasypów. Domhainczycy patrzyli teraz nie na jeden, ale na trzy mury tarcz, każdy szeroki na czterdziestu ludzi, a głęboki na siedem szeregów. Tarcze zwarły się z jednoczesnym hukiem. Ludzie Gerainta trzymali się tyłów.

Na czoło armii Domhainu wyszedł pojedynczy wojownik, który zaczął tłuc mieczem o tarczę. Pozostali poszli w jego ślady, a potem ku niebu pomknął ogłuszający, potężniejący z każdą chwilą okrzyk bojowy. Przywódca wskazał mieczem wroga i runął do szarży, pociągając za sobą resztę.

– Gotuj się! – wykrzyknął Veradis. Pochwycił krótki miecz i wyjrzał przez szparę między tarczami.

Trzysta kroków. Dwieście. Sto. Wrogowie nadbiegali z wrzaskiem, wznosząc oręż. Veradis stanął szerzej, pochylił ramię i przygotował się na zderzenie. Zwarcie nastąpiło chwilę później, potężne, przeszywające, odbierające czucie w ramionach, rozlane na dziesiątki drobniejszych

ciosów, gdy na mur wpadało ciało za ciałem, tworząc niemożliwy ścisk.

Mur tarcz wytrzymał napór, choć ten rósł, aż Veradis stęknął z wysiłku. Zgiełk nad głowami był wprost ogłuszający, spotęgowany jeszcze rykiem ruszających do boju ludzi Gerainta za ich plecami. Potem Veradis przypomniał sobie o mieczu. Wepchnął go w wąską szczelinę między tarczami i poczuł, jak ostrze zagłębia się w czyjeś ciało. Dłoń zbryzgała mu krew. Pchał raz za razem, podobnie jak inni wojownicy, a okrzyki bojowe nad ich głowami ustąpiły miejsca wrzaskom bólu. Ktoś pochwycił za brzeg jego tarczy, ale w porę odrąbał przeciwnikowi palce. Ostrza mieczy i włócznie prześlizgiwały się między tarczami, lecz zatrzymywały się na metalowych wzmocnieniach butów. Domhainczycy próbowali łapać go za nogi, ale on ciął, kłuł i przydeptywał wszystko, co widział. Na tarczę spadały coraz to kolejne uderzenia, drewno trzeszczało, ale Veradis nie ustawał w wysiłkach. Wzdłuż całego szeregu piętrzyły się już ciała zabitych.

Napór na jego tarczę osłabł.

Jeszcze trochę, pomyślał.

Pchał i dźgał. Pot zalewał mu oczy. Skądś dobiegł jęk Bosa, ale Veradis nie mógł się nawet odwrócić. Dwie dłonie pochwyciły za skraj tarczy i targnęły mocno, niemalże wyszarpując mu ją z ręki. Po drugiej stronie ujrzał rudowłosego wojownika, który w ciżbie usiłował zamachnąć się długim mieczem. Veradis pchnął własnym i trafił go w szczękę. Domhainczyk zatoczył się, brocząc krwią z rany. Przez moment utrzymywał się jeszcze w pionie, wspierany przez nacierających towarzyszy, ale po chwili osunął się na ziemię, a Veradis uniósł swą tarczę.

Ryknął przez ramię i usłyszał, jak krzyk zostaje powtórzony przez kolejne szeregi za nim. Znów zagrały rogi. Zrobił krok naprzód, a cały pierwszy szereg podążył w ślad za nim, spychając wroga. Kolejny ryk i kolejny krok. Veradis poślizgnął się w kałuży krwi, ale ludzie za nim i obok niego pomogli mu złapać równowagę. Nastąpiły kolejne ciosy, polało się więcej krwi. I jeszcze jeden krok. Z każdym kolejnym napór na tarcze słabł, aż odzyskali swobodę. Szli naprzód równo, miarowo, wycinając sobie drogę przez armię Domhainu.

Od czasu do czasu Veradis czuł przebiegające przez szereg drżenie, gdy ktoś z jego ludzi zostawał z niego wyszarpnęty i zabity, ale jego

pozycję natychmiast zajmował wojownik stojący za nim. Ramię Veradisa sztywniało, a miecz już wyslizgiwał mu się z dłoni. Wykrzyknął kolejny rozkaz, który natychmiast został przekazany dalej, aż znów zagrzemiał róg. Ludzie za jego plecami rozstąpili się i co drugi wojownik z pierwszego szeregu płynnie się wycofał, natychmiast zastąpiony przez wypoczętego towarzysza.

Veradis szedł do tyłu, aż zajął swą pozycję w ostatnim szeregu. Płuca mu płonęły, a mięśnie pulsowały bólem. Po chwili rozległ się kolejny sygnał i pozostała część pierwszego szeregu również się cofnęła. U boku Veradisa wyrósł Bos, który stracił hełm i krwawił z rany głowy.

– Jestem za wysoki do tego całego muru tarcz – wymamrotał i otarł krew z oczu.

– Może potrzeba ci większej tarczy – rzekł Veradis, po czym pociągnął łyk wody z bukłaka i poczęstował przyjaciela.

Tylko słońce, mocno grzejące nad ich głowami, wskazywało na upływ czasu.

Późne popołudnie, pomyślał Veradis.

Wokół nadal szalała bitwa. Przez przerwy między tarczami widać było wojowników zwartych w zacieklej walce, krew na trawie, wykrzywione wściekłymi grymasami twarze, zastygłe na ziemi, powykrzywiane ciała. Tarcze ludzi strzegących flanki co rusz zatrzymywały spadające ciosy, ale ani przez moment nie był to skoordynowany atak.

Geraint nas osłania, pomyślał Veradis.

Powoli parli naprzód. Słońce nad ich głowami sięgnęło zenitu i zaczęło opadać, gdy młodzieniec znów znalazł się w pierwszym szeregu. Uniósł tarczę, zacisnął zęby i zaczął dźgać nieustannie nacierających Domhaińczyków.

Czy Corban też gdzieś tu jest? A może już nie żyje? Może leży wśród dziesiątków zabitych, wykrwawiony i zdeptany, zastanawiał się.

Te myśli nie przyniosły mu radości ani pociechy. Chciał jeszcze raz ujrzeć tego Corbana, porozmawiać z nim i samemu ustalić, czy jest tym, kogo widział w nim Calidus. Czy to możliwe, by zwykły chłopak był Czarnym Słońcem? Przecież to nie miało sensu!

A poza tym znów chciał ujrzeć Cywen. Niespodziewanie uświadomił sobie, że tęskni za nią. Brakowało mu jej głosu, jej uśmiechu, a nawet jej

kąśliwych uwag...

Mocne uderzenie w tarczę wyrwało go z zadumy. Ujrzał szczelinę w drewnie, które nie wytrzymało już kolejnych ciosów. Naparł mocniej ramieniem, dźgnął nad tarczą, a potem pod nią.

Napór znów zaczął słabnąć. Z oddali Veradis usłyszał dziki ryk rogów, a potem wiele krzyków, tupot stóp. Zaryzykował i wyjrzał zza tarczy.

Szyk Domhainu ostatecznie się załamał i wróg rzucił się do ucieczki. Cambreńczycy ruszyli w pościg, ale Geraint nie miał już tylu wojowników, by zakończyć starcie raz na zawsze. Veradis widział zresztą, jak zbiera ludzi wokół siebie, nie chcąc, by jego hufiec za bardzo się rozciągnął.

Mądra decyzja, pomyślał.

Nieopodal wyrastało niskie wzgórze, a na nim stały poszarpane namioty i porzucone wozy, wszystko, co pozostało z obozowiska przeciwnika. W oddali Veradis ujrzał jeźdźców na trakcie olbrzymów, którzy skrzykiwali uciekających wojów i narzucali odwrotowi pozory porządku. Przyglądał im się przez moment, ciekaw, czy przegrupują się i powrócą na pole bitwy, ale po jakimś czasie wróg znikł w oddali.

– A zatem ten dzień należy do nas – oznajmił Bos, stając obok.

– Na to wygląda.

– I co teraz?

– Porządna kolacja. A potem ruszamy na Dun Taras.

Rozdział osiemdziesiąty

MAQUIN

Maquin wstał i się przeciągnął. Po dwunastu dniach wiosłowania jego ramiona i plecy znów pulsowały bólem, ale nie tak jak kiedyś. Ostre szkolenie, które przeszedł na wyspie Panos, najwyraźniej miało również dobre strony.

Spojrzał na zbocza wyspy Nerin. Ich okręt kotwiczył w osłoniętej zatoczce z plażą, która kończyła się na wysokości skał. Wysoko wśród nich widział ruiny, odbijające krwistoczerwony blask zachodzącego słońca.

– Ruszać się! – warknął Emad i strzelił z bata.

Gladiatorzy zeszli z pokładu na ląd i ruszyli naprzód. Ze szczytu wzniesienia ujrzeni miasto podobne do tego, które poznali na Panos. Patrzyli na domy zbudowane z cegieł z wypalanej gliny i kryte strzechą. Wąskimi ulicami biegła ku nim gromada dzieciaków i wychudzonych psów.

– Ci Vin Thalun mają za dużo wolnego czasu – rzekł idący obok Javed – skoro udaje im się spłodzić aż tyle potomstwa.

Maquin parsknął śmiechem. Już dawno polubił drobnego człowieka, który pochodził z Tarbeshu, kraju leżącego tak daleko na wschód, że Maquin właściwie nie miał o nim pojęcia. Słyszał tylko, że to pustynna, prażona słońcem kraina, przypominająca klimatem wyspy Vin Thalun, choć zima nawet tu dawała o sobie znać. Mimo sporej sympatii, którą żywił do mężczyzny, Maquin nie chciał się jednak szczególnie zaprzyjaźnić. Stracił już zbyt wielu spośród bliskich sobie ludzi, a ponadto ani na moment nie zapominał, do czego prowadził ich trening i kogo miał z nich uformować. Wszyscy przecież mieli się stać zabójcami. Maquin był już wojownikiem i nie bał się ani walki, ani śmierci, ale teraz znalazł się

w nowej dla siebie sytuacji. Wcześniej walczył przecież dla większych wartości, a przynajmniej tak mu się wydawało. Teraz chodziło tylko o to, by przeżyć.

Nie, uświadomił sobie. Jest jeszcze coś. Jeśli przeżyję, odzyskam wolność, a wówczas będę mógł dokonać zemsty na Jaelu.

Niemniej najpierw musiał pogodzić się z tym, że będzie trzeba zabijać innych ludzi w jamie. I to niebawem.

Mówi się trudno, pomyślał. Innego wyboru nie dostanę i muszę się po prostu przyzwyczać.

Z tego właśnie powodu zachowywał dystans wobec Javeda i ignorował wszelkie próby nawiązania przyjaźni. Nie wiedział przecież, z kim zostanie wrzucony do jamy. Nie miał pojęcia, z kim przyjdzie mu walczyć, kogo zabije lub przez kogo zostanie zabity.

Pędzono ich zatłoczonymi, ruchliwymi ulicami, a w powietrzu zderzały się tysiące zapachów, szczególnie intensywnych w okolicy rynku. Maquin widział dziesiątki rodzajów mięs smażonych na rożnach – w tym mięso wielkich jaszczurek, a także góry fig, daktyli, grzybów, oliwek, cebuli, melonów, pomarańcz i papryczek. Na widok ich procesji ludzie zatrzymywali się i patrzyli, a niektórzy byli na tyle bezczelni, by obmacywać ich muskuły.

Pewnie się zastanawiają, kto z nas ma szansę wyjść z jamy i na kogo postawić, pomyślał Maquin. Jesteśmy dla nich inwestycją oraz rozrywką.

Opuścili rynek oraz labirynt ciągnących się za nim uliczek, po czym znaleźli się na szerokiej równinie. Teren przed nimi stopniowo się podnosił, a w oddali wyrastała ogromna góra z poszarpanym szczytem przypominającym pokruszony żąb. Zapadła noc, a oni dalej szli, aż w oddali pojawiły się pierwsze pochodnie. Maquin uświadomił sobie wówczas, że są prowadzeni w stronę ogromnej, ziejącej w ziemi jamy. Po zejściu na sam dół weszli do podziemi przez ogromną bramę zbudowaną przez olbrzymy, wysoką i szeroką. Na końcu ich wędrówki czekała okrągła komnata z niewielkimi niszami w ścianach. W każdej z nich znajdowała się prycza ze słomianym materacem. Na stole, stojącym na środku sali, czekał na nich posiłek, suty i smaczny, aczkolwiek nawet w połowie nie tak wystawny jak ten, którym uraczono ich po pierwszej walce w jamie.

Strażnicy zdjęli im łańcuchy i zamknęli za nimi wrota do sali.

Gładiatorzy przystąpili do jedzenia, ale nim nasycili głód, bramy znów stanęły otworem i do środka wkroczył Herak w asyście kilku zbrojnych. Jednym z nich był Emad.

– Jutro czekają was walki – oznajmił Herak, gdy gladiatorzy zgromadzili się w półkrygu wokół niego. – Ale nie takie jak wcześniej. Znajdziecie się w wielkiej jamie, takiej jak ta na Panos, w której znajdowały się wszystkie mniejsze. Czeka was walka z miejscowymi rekrutami oraz z tymi z Pelset, naszej trzeciej wyspy, która leży najdalej na wschód. Ludzie, z którymi się zmierzycie, przeszli podobną drogę jak wy. Przeżyli pierwsze starcie w jamie, a potem szkolono ich w walce. Będziecie walczyć wszyscy przeciwko wszystkim, co oznacza, że walka będzie trwała do chwili, gdy pozostanie tylko jedna strona. Innymi słowy, może przeżyć jeden z was, pięćdziesięciu z was bądź zgoła nikt. – Wzruszył ramionami.

– A skąd będziemy wiedzieć, kto jest kto? – spytał Javed.

– Dzięki tym oto żelaznym pierścieniom. – Herak podniósł jeden z nich wysoko. – Każdy z was założy sobie jeden taki na szyję. Ludzie z Nerin będą je nosić na nadgarstkach, a ci z Pelset wokół kostek. Ustawcie się w szeregu.

Maquin zrobił kilka wymachów ramionami po tym, jak pierścień został zamknięty na jego szyi. Barczysty kowal, który przybył razem z Herakiem, zagiął żelazną szpilę, która mocowała obie połowy pierścienia. Założony staremu wojownikowi przedmiot przypominał nieco torkwes wojownika, który został mu odebrany przez Lykosa po bitwie o Dun Kellen.

– Jutro ci to zdejmujemy, bez względu na to, czy przeżyjesz czy też nie. – Herak poklepał Maquina po ramieniu. – Coś mi jednak mówi, że znajdziesz się wśród tych, którzy przeżyją. Lykos opowiadał mi o tobie, stary wilku.

Maquin nie odpowiedział. Usiadł na pryczy i wypił kubek wody, przyglądając się otoczeniu. Herak rozmawiał z każdym gladiatorem. Wydawał się rozluźniony, przyjazny, sprawiał wręcz wrażenie ich towarzysza broni.

Nienawidzę go. Wyszkolił nas, a teraz podbudowuje nasze morale i głaszcze nas po głowach, a wszystko dla własnych celów, myślał Maquin.

Gdy wszystkich pięćdziesięciu sześciu gladiatorów zostało zakutyh w żelazne pierścienie, Herak znów stanął przed nimi.

– Oto jedzenie dla was. Jeśli przeżyjecie jutrzejszy dzień, oznacza to, że pokonaliście Nerin oraz Pelset i staliście się mistrzami Panos. Bardzo mnie w ten sposób uszczęśliwicie. – Uśmiechnął się do nich i dodał: – Mam nadzieję, że będę miał okazję was nagrodzić. Smacznego wam życzę!

Wyszedł z sali, spojrzął przez zamykane żelazne bramy i rzekł na pożegnanie:

– Bo to może być wasza ostatnia uczta.

* * *

Gdy Maquin otworzył oczy, było wciąż ciemno, ale po chwili uświadomił sobie, że przecież przebywał pod ziemią, a większość pochodni wypaliła się przez noc. Leżał przez moment i słuchał oddechów oraz chrapania innych śpiących. W końcu wstał. Przez kratę w wejściu wpadało wystarczająco dużo światła, by mógł podejść do stołu i nalać sobie wody.

Usłyszał za sobą ciche kroki i ujrzał podchodzącego Orgulla. Podał mu kubek z wodą. Długie księżycy wiosłowania i trenowania odcisnęły swe piętno również na jego towarzyszu. Był szczuplejszy, wymizerowany, twarz miał zapadłą, a jego łyśa głowa przypominała czaszkę.

– Możemy dziś działać razem – odezwał się Orgull cicho, ledwie słyszalnym głosem. – Wciąż jesteśmy braćmi w mieczu.

Maquin nie miał pojęcia, czy było to pytanie czy stwierdzenie faktu, ale pokiwał głową. Walka ramię w ramię miała sens. Było to praktyczne rozwiązanie, które zwiększało jego szanse na przeżycie, do czego sprowadzał się teraz cały jego byt.

– To dobrze – rzekł Orgull i zniknął wśród cieni.

* * *

Ryk tłumu był wprost ogłuszający.

Gładiatorzy stali za żelazną bramą i spoglądali na wielką arenę obwiedzioną szorstkimi, skalnymi ścianami dwakroć, a nawet trzykroć wyższymi od dorosłego mężczyzny. Nad nimi ciągnęły się rzędy pnących się wysoko, wysoko ławek, rojących się od rozentuzjasmowanych widzów,

którzy krzyczeli, śmiali się, pili i robili zakłady. Arenę zalewał ostry blask słońca i Maquin zamrugał parokrotnie, choć promienie słoneczne nie niosły wiele ciepła.

Pojawił się Herak w towarzystwie Emada oraz innego strażnika. W ręku trzymał masywny, żelazny klucz.

– Na arenie znajduje się nieco broni. Pośpieszcie się i łapcie za co popadnie. Zabijajcie, bo was zabiją.

Wsunął klucz do zamka i zamarł w oczekiwaniu.

Nad przestronną areną zapadła cisza, odmierzana uderzeniami serca, aż nagle gdzieś uderzono w wielki gong. Donośny dźwięk odbił się echem od kamiennych ścian. Herak przekręcił klucz i pchnął wrota, a mężczyźni runęli na zewnątrz.

Maquin dał się porwać przez ciżbę, ale gdy tylko poczuł pod stopami ubitą ziemię, uskoczył w bok. Kątem oka zauważył inne otwierające się bramy i grupy ludzi, wylewające się z nich niczym rwąca woda ze śluzy. Na ziemi leżały sterty broni – noże, tasaki rzeźnicze, toporki, niewielkie puklerze i inne budzące grozę kawałki żelaza, których Maquin nie rozpoznawał. Nie zastanawiając się wcale, skoczył ku najbliższej stercie, w biegu rąbnął kogoś łokciem w twarz, przetoczył się po ziemi i chwycił coś.

Zerwał się na równe nogi z ostro zakończonym nożem o grubym ostrzu. Uderzenie serca później dojrzał szarżującego nań przeciwnika z żelaznym pierścieniem na nadgarstku. Mężczyzna zamachnął się jakąś bronią, usiłując trafić Maquina w twarz, ale ten nachylił się przed ciosem, przypadł bliżej i pchnął gladiatora w brzuch. Kilkakrotnie raził go nożem i odepchnął na bok. Kątem oka ujrzał, jak przeciwnik osuwa się na ziemię, ściskając dłonią rozpruty brzuch. Wnętrznosci, które usiłował zatrzymać, błyszczały niczym grube, pokryte śluzem sznury.

Na arenie panował chaos. Gladiatorzy zmagali się, dźgali, wrzeszczeli, a nad ich głowami unosił się już zapach krwi i śmierci, o wiele straszliwszy od tego, który Maquin zapamiętał z Dun Kellen. Rozejrzał się w poszukiwaniu Orgulla, ale nigdzie go nie widział.

Przed nim przetoczyło się dwóch zwartych w walce przeciwników, którzy dźgali się i próbowali wyłupać sobie oczy, aż zatrzymali się wreszcie, a podniósł się już tylko jeden. Maquin był blisko. Wystarczyłby

krok, aby odebrać zwycięzcy życie.

„Zabijajcie, bo was zabiją”.

Maquin zamarł z wzniesionym nożem.

Nie chcę tego, pomyślał.

Ułamek sekundy później szansa znikła bezpowrotnie. Przeciwnik, uzbrojony w tasak, był już gotów do walki, a jego spojrzenie omiotło nóż, trzymany przez starego Gadrai. Uskoczył w bok, a potem natarł na Maquina. Jedną ręką próbował pochwycić go za nadgarstek, a drugą wznosił tasak, mierząc w głowę.

Maquin pchnął przeciwnika nożem w rękę. Poczuł, jak ostrze wgryza się w ciało, a potem ze zgrzytem ześlizguje się po żelaznym pierścieniu na nadgarstku. Sam jednocześnie wyprowadził miażdżące kopnięcie kolanem. Potrącony napastnik chybił i tasak ze świstem przemknął obok ucha Maquina. Ten przypadł bliżej i pchnął nisko, ale przeciwnik zawirował i Gadrai zdołał jedynie skaleczyć go w głowę.

Znów się zwarli. Tasak odbił się od żelaznego pierścienia na szyi i musnął szczękę, rozdzierając skórę, ale Maquin zdołał wówczas złapać mężczyznę za nadgarstek, doskoczył bliżej i rąbnął go czołem w głowę, a uderzenie serca później wbić mu nóż z brzuch. Tasak spadł na ziemię. Gadrai pochylił się i złapał go.

„Zabijajcie, bo was zabiją”.

W jego sercu nagle rozbudziła się kipiąca, przybierająca na sile furia berserka. Był wściekły na to, do czego go zmuszano, i na to, czym się stawał. Niespodziewanie znów znalazł się w katakumbach pod Haldis i patrzył, jak Jael zabija Kastella. Łzy zaćmiły mu wzrok. Potrząsnął wściekle głową, ale oczyma wyobraźni nadal widział szyderczo uśmiechniętą twarz Jaela. Rozejrzał się dookoła – zewsząd otaczała go rozszalała śmierć.

Jeśli chcesz się stąd wydostać, walcz dla mnie, przemówił Lykos w jego głowie.

Maquin warknął, uniósł obie bronie i rzucił się w wir walki.

Przebijał się przez ciźbę, lekki, zwinny, wręcz roztańczony, przecinał ścięgna, rozrąbywał mięśnie, okaleczał i zabijał. Nie zatrzymywał się ani na moment, wyobrażał sobie, że ma przed sobą Jaela, a potem rąbał, pchał, zabijał. Ani na moment nie przestawał szukać Orgulla. Wiedział, że musi go znaleźć, że muszą stanąć obok siebie. Przecież obiecał. Nie mógł

złamać danego słowa. Nie w takiej chwili.

I wtem go dostrzegł z ociekającym krwią toporem w ręku, stawiającego czoła dwóm wojownikom z żelaznymi pierścieniami na kostkach. Sam był już ranny w udo i ramię. Maquin ruszył ku niemu najszybciej jak umiał, tu odbijając cios nożem, tam wymierzając cios pięścią, gdzie indziej kopniaka. Naraz zastąpiło mu drogę dwóch napastników, z których jeden zamachnął się nożem i pozostawił krwawą pręgę na jego piersi. Maquin zawirował i uskoczył, tnąc i rąbiąc, po czym ruszył na odsiecz przyjacielowi.

Ten w międzyczasie zdołał posłać jednego z przeciwników na kolana. Mężczyzna, krwawiąc z rany na plecach, przyłgął do nogi Orgulla, a drugi tańczył wokół jego lewego boku i rannego ramienia. Szarpnięty Gadrai zatoczył się, a jego przeciwnik napiął mięśnie i zamierzył się do ciosu, ale w tejże chwili przypadł do niego Maquin i wbił mu nóż w plecy. Tasak rąbnął o ziemię, mężczyzna osunął się chwilę później.

Maquin i Orgull wymienili się spojrzeniami, po czym stary Gadrai stanął przy lewym boku ogromnego towarzysza i stał się jego tarczą, tak jak kiedyś, za dawnych czasów. Przez moment tkwili niewzruszenie i odpierali ataki każdego, kto się znalazł w ich zasięgu, a potem powoli ruszyli przed siebie, przebijając się przez otaczające ich szaleństwo. Przeciwnicy, potykając się, uskakiwali im z drogi. Orgull chwycił po drodze jakiś puklerz i naciągnął sobie na ramię, a Maquin nadal walczył nożem i tasakiem.

We dwóch przypadli do grupki walczących gladiatorów. Maquin złapał jednego z nich i szarpnął do tyłu, w ostatniej chwili ocalając go przed opadającym ostrzem. Wojownik obrócił się gwałtownie, wyrwał się z rąk Maquina, ale uspokoił się, widząc znajome rysy. Był to Javed z twarzą zalaną krwią i okiem zapuchniętym tak bardzo, że nie mógł go otworzyć. Stanął obok nich i razem utworzyli luźny półkrąg.

Przecięta wrogim ostrzem pierś Maquina płonęła. Po skórze spływał mu pot, który wnikał w rany, wywołując nieznośne pieczenie. Stłuczone podczas nieudanego przewrotu kolano pulsowało bólem, podobnie jak mięśnie pleców i dziesiątki innych miejsc. Krew, tłoczona przez dziko bijące serce, zagłuszała jednakże i tłumiała wszelki ból. Maquin był odurzony, upojony walką. Liczyła się dla niego tylko chwila, kąś uderzenia,

napięcie mięśni oraz ścięgien, szybkość ciosu. Umysł i ciało zlewały się w jedność.

I ciągle żył. Uśmiechnął się i rozejrzał po wielkiej arenie.

Wszędzie widział zalegające trupy oraz dogorywających, wciąż pełzających bądź ogarniętych przedśmiertnymi drgawkami gladiatorów. Tu i ówdzie nadal toczyły się walki, ale głównie jeden na jednego bądź dwóch na dwóch.

Orgull rąbnął toporem o puklerz i zaczął krzyczeć:

– Żelazne gardła! Żelazne gardła, do nas! Żelazne gardła!

Maquin spojrzał na niego.

W grupie siła, pomyślał.

– Żelazne gardła! – zawołał.

Javed poszedł w jego ślady.

Nie pozostało ich wielu. Jeden z nich padł, ścięty w chwili, gdy spojrzał na trzech wołających wojowników, ale pozostali oderwali się od swoich przeciwników i przypadli do Orgulla, Maquina i Javeda. Naraz było ich ośmiu, potem dwunastu. Gladiatorzy z pierścieniami wokół nadgarstków i kostek obrzucali ich dzikimi spojrzeniami, a potem rzucali się na siebie. Nikt nie ośmielił się zaatakować grupy dwunastu ludzi.

– I co teraz? – spytał jeden z mężczyzn opatrzonych żelaznym naszyjnikiem.

– Zaczekamy, aż rzucą się na nas – odparł inny.

„Zabijajcie, bo was zabiją”.

Maquin ryknął i rzucił się do ataku na nielicznych walczących. Orgull zawahał się i skoczył za nim, na co stary Gadrai zresztą liczył, a po nim pozostali. Wspólnie zabili wszystkich innych, którzy przetrwali.

Rozdział osiemdziesiąty pierwszy

CORBAN

Corban spojrział w dół łańcucha wzgórz, którymi wędrowali. Nastąpiło późne popołudnie, a ich niewielka grupka przebyła wiele mil, ale nadal widać było pole bitwy, ciemny cień na zielonych równinach. Unosił się nad nim rój czarnego ptactwa.

Mam nadzieję, że Edanie i reszcie nic nie grozi, pomyślał.

– Dalej! – zawołała z przodu Coralen. – Nie ociągać się!

– Ociągać! Ociągać! – zakrakał Craf, siedzący na siodle Briny. Od czasu rozstania z Fechem był o wiele bardziej gadatliwy.

Corban kopnął końskie boki. Nadal gryzło go poczucie winy z powodu tego, że porzucił Edanę oraz resztę przyjaciół, ale za każdym razem, gdy pomyślał o Cywen, przepełniała go dzika radość. Dotychczasowe przeżycia – utrata wielu bliskich mu osób, śmierć ojca i świadomość nowej misji, którą usiłował wpoić mu Gar – bardzo ciążyły mu na sercu i czasami czuł się jak gałązka ciśnięta między wzburzone fale. Teraz po raz pierwszy miał wrażenie, że wreszcie robi coś konkretnego. Że przejmuje kontrolę nad swoim życiem. Nie interesowała go polityka, nie dbał o to, kto rządzi i gdzie. Przez cały miniony rok myślał tylko o przetrwaniu i o tym, by jego rodzinie i przyjaciołom nie stała się krzywda. A teraz mógł się zająć Cywen. Mógł ruszyć jej na pomoc i tylko to się liczyło.

Z półmroku wyłoniła się Burza i stanęła w kręgu światła, rzucanego przez ognisko. W szczękach trzymała młodego jelonka, którego ułożyła u stóp chłopaka. Ten oparł na nim dłoń na znak, że przyjmuje dar, a następnie z pomocą reszty zabrał się do obdzierania ze skóry i przygotowywania zdobyczy.

– Przydatna z niej bestia – oznajmiła później Coralen, zdrapując nożem

resztki mięsa z kości.

– Czyli nie masz już ochoty przerobić jej na płaszcz? – spytał wesoło Dath.

Corban obronnym gestem ułożył dłoń na barku Burzy, która leżąc u jego stóp, chrupała kości i wysysała z nich szpik.

– Nie, póki przynosi mi obiad – rzekła Coralen. – Poza tym mam już futro z wilkuna.

Poklepała pakunek, na którym siedziała.

Corban również zachował swą skórę wraz z pazurzastą rękawicą. Spojrzał na twarz dziewczyny, opromienioną blaskiem ich niewielkiego ogniska.

Też ci niełatwo, co?, pomyślał. Przecież musiałaś porzucić Ratha i swoich towarzyszy broni. Ale czy mogę ci zaufać?

– Czy zostałam naszym przewodnikiem w nadziei, że uda ci się ujrzeć Conalla? – zapytał ją.

– Conalla? – Coralen przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. – To mój brat. Gdy usłyszałam, że nie żyje, poczułam się, jakby ktoś rąbnął mnie pięścią w brzuch, ale teraz wiem, że żyje i przebywa gdzieś po drugiej stronie gór. Nie rozumiem jednak tego, co się wydarzyło między nim i Halionem. – Pokręciła głową. – Zawsze byli tak blisko siebie... To bardzo potrzebne, wręcz niezbędne dla kogoś, kto dorasta tak jak my. Musisz mieć kogoś, na kim polegasz. Kogoś, na kim możesz się oprzeć.

Uniosła głowę i Corban ujrzał łzy w jej oczach. Był zaskoczony ilością słów, jakie padły z jej ust, gdyż zazwyczaj ograniczała się do kąśliwych warknięć.

Skupiła wzrok na Corbanie.

– Dlaczego mnie o to pytasz? – Niespodziewanie zmrużyła podejrzliwie oczy. – Och, już rozumiem. Nie ufasz mi. Myślisz, że mogłabym wydać cię twoim wrogom w zamian za Conalla? Cóż, jeśli tak, to poszukaj sobie innego przewodnika, a ja wracam do Ratha i moich chłopaków.

Niemalże wypluła słowo „moich”, a potem wstała, złapała juki i odeszła. Rozłożyła sobie posłanie z dala od ognia.

– Ależ ty jesteś taktowny – szepnęła Brina do Corbana.

– Ja tam ci ufam! – wykrzyknął Farrell w ślad za Coralen.

– Zamknij się, głupi wole! – dobiegła z mroku odpowiedź wojowniczkii.

* * *

Po zimnej nocy powitał ich równie chłodny świt. Trawa zeszywniała od mrozu. Na śniadanie zjedli trochę zimnego mięsa, które popili rozcieńczonym piwem, po czym wyruszyli w drogę. Coralen milczała przez cały czas, a Corban uznał, że najrozsądniej będzie również się nie odzywać.

Nadal wędrowali wśród wzgórz, ścielących się u stóp wielkich gór, a Domhain ciągnął się na zachodzie niczym wielki, zielony gobelin. Nieco po południu, gdy ich niewielka gromadka pięła się w górę wysokiego zbocza, Coralen się zatrzymała.

– Co się dzieje? – spytał ją Gar.

– Chyba ktoś za nami podąża – odparła, wpatrując się w dal.

Wszyscy spojrzeli za siebie.

– Widzę go! – zawołał Dath, który zawsze słynął z bystrego wzroku.

– Patrzysz w złym kierunku! – ofuknęła go Coralen. – Tam!

– Och! Ale wydało mi się, że widzę...

– Co? – Dziewczyna powiodła oczami za jego spojrzeniem.

Corban również wyteżył wzrok, ale widział jedynie łagodne wzgórza oraz plamy lasu.

– Nic – bąknął zawstydzony Dath.

Coralen wyciągnęła rękę.

– Aha. Tak. – Dath zmrużył oczy. – Widzę coś.

– Ilu ludzi? – spytał Gar.

– Trudno powiedzieć. Z tego, co mi się zdaje, to chyba jeden człowiek, ale może być ich więcej. Może dwóch?

– Wyśle Crafa – oznajmiła Brina, a ptak z łopotem skrzydeł wzbił się ku niebu.

Przez jakiś czas jechali drogą, którą prowadziła ich Coralen. Cienie robiły się coraz dłuższe, a między wzgórzami zagościł już zmrok, rozlewający się niczym głębokie, ciemne jeziora między skałami, gdy powrócił Craf. Ptak krakał głośno, z przerażeniem. Na widok grupki wędrowców opadł z szarego nieba prosto ku Brinie.

– Pomocy! Pomocy! Pomocy! – darł się. Chwilę później zderzył się z uzdrowicielką i zatrzepotał skrzydłami, próbując wedrzeć się pod jej

płaszcz.

– Zjeść mnie! – zaskrzeczał, wystawiwszy głowę spod poły. Wpatrywał się w niebo.

Wszyscy spojrzeli ku górze. Przez krótką chwilę Corban miał wrażenie, że dostrzega ciemną smugę, ale ta natychmiast znikła.

– A co z tymi ludźmi, którzy za nami podążają? – Coralen zwróciła się do Crafa.

– Człowiek i pies. Idą.

– Wielkie dzięki! – odparła dziewczyna.

– Proszę – wymamrotał Craf.

Corban zamrugał. Nigdy dotąd nie słyszał, by Craf silił się na uprzejmość.

– Zejdźmy lepiej ze szlaku i przekonajmy się, kto za nami podąża – stwierdziła Coralen.

Corban zajął miejsce na półce skalnej nad ścieżką. Burza i Gwenith przykucnęły obok niego. Dath zamarł po drugiej stronie szlaku, wśród drzew i krzaków, gdzie napiął łuk. Pozostali również ukryli się za skałami i drzewami.

Wydawało się, że minęła wieczność, nim wreszcie rozległ się odgłos kopyt.

Z półmroku wyłonił się człowiek na koniu, przy którym dreptał ogromny ogar. Corban rozpoznał go natychmiast i wyskoczył, krzycząc:

– Nie strzelaj, Dath!

Nieznajomy ściągnął wodze, a ogar zawarczał głucho, zatrzymany ostrą komendą.

– Witaj, Corbanie – rzekł mężczyzna.

– Miło cię ujrzeć, Ventosie.

Rozdział osiemdziesiąty drugi

FIDELE

Fidele stała na murach obronnych Jerolin. Było zimno, a śnieg niesiony wiatrem od gór pokrył większość zboczy i równin na północ od miasta. Wody jeziora połyskiwały w blasku bladego słońca.

Królowa spojrzała na wschód i wreszcie dostrzegła to, czego szukała wzrokiem. Z bram otoczonej palisadą osady na brzegu jeziora wypadła grupa jeźdźców z orlej gwardii i popędziła drogą do Jerolin. Gdy byli już blisko, zauważyła, że otaczali ciasnym wieńcem jakiegoś obcego.

To Lykos! – pomyślała.

Wspomnienie twarzy ludzi wyrwanych z jamy gladiatorów oraz stosu zabitych na nowo roznieciło w niej gniew. Odnalazła wzrokiem jezioro i okręty, które przybyły wczoraj po wodach rzeki. Było ich co najmniej sześć i wszystkie należały do Vin Thalun.

Przecież Lykos nie jest aż tak głupi, by zaatakować mnie czy miasto!, myślała. Większa część wojowników tenebralskich może i znajduje się po drugiej stronie Ziem Wygnanych, ale wciąż mam wystarczająco dużo ludzi, by się obronić. Na pewno zdaje sobie z tego sprawę.

Mimo to nie przestawała się zastanawiać, w jakim celu okręty z załogami liczącymi w sumie kilkuset zbrojnych kotwiczyły zaledwie pół mili od Jerolin.

Odwróciła się i w towarzystwie nieodłącznego Orcusa zeszła po schodach, po czym skierowała się do swych komnat w czarnej wieży fortecy.

Czy Lykos ma jakieś wieści o Nathairze? – pomyślała.

Na samą myśl o tym serce zabiło jej mocniej.

Elyonie w niebiosach, pilnuj mego dzielnego syna, modliła się. Chroń go

i wybawiaj od niebezpieczeństw, o ile to nadal możliwe w tym ponurym, mrocznym świecie. Nawiasem mówiąc, ciekawe, jak się rozwija ta cała Wojna Bogów. Właśnie kazałam aresztować jedynego człowieka na całych Ziemiach Wygnanych, który być może wie coś o rozwoju wypadków.

W milczeniu pięła się po spiralnie skręconych schodach wieży Jerolin. Dwaj orli gwardziści, strzegący wejścia do jej komnat, otworzyli przed nią drzwi, a w środku Orcus nalał jej wina i zajął swoją pozycję za krzesłem królowej. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi i do środka wpuszczono Lykosa.

Wszedł dumnym, rozkołysanym krokiem, jakby nadal przechadzał się po pokładzie okrętu. Na jego twarzy malował się swobodny uśmiech.

– Usiądź, proszę – rzekła uprzejmie Fidele.

Lykos nalał sobie kielich wina i pociągnął łyk.

– Nie cierpię jeździć konno – oznajmił, wycierając wino z brody.

– Przykro mi, ale musiałam się koniecznie z tobą zobaczyć.

Pirat rozparł się na krześle i uśmiechnął się do królowej.

– Piękna jak zawsze.

Fidele zamrugwała. Zdarzało mu się wodzić za nią spojrzeniem, ale nigdy dotąd nie znalazł w sobie śmiałości, by podzielić się z nią swymi przemyśleniami. Coś było nie tak...

– Masz na sumieniu straszliwy czyn – rzekła, na co Lykos parsknął krótkim śmiechem.

– Popełniłem w życiu wiele straszliwych czynów, moja pani. Który konkretnie masz na myśli?

– Chodzi mi o jamy gladiatorów w Balarze. Oszczędź mi gierek, Lykosie. Jestem pewna, że dobrze wiesz, dlaczego cię tu sprowadziłam.

Vin Thalun pochylił się naprzód, nagle poważny.

– Tak, wiem.

– Dopuszczałeś się wielu morderstw. Mam na myśli tego nieszczęsnego chłopaka, Jace'a, którego ciało zostało wyciągnięte z dna jeziora przez rybaków. I wielu innych w Balarze, których zmusiłeś do walki dla własnej rozrywki. Zlekceważyłeś moje zakazy i okłamałeś mnie. Nie pozwolę, by ci to uszło na sucho. Nie mogę i nie mam takiego zamiaru.

– Rozumiem. Cóż, zanim ta rozmowa przybierze nieprzyjemny obrót, pozwól, że przekażę ci wieści. Otóż w chwili naszego rozstania twój syn

był cały i zdrów.

– Gdzie go widziałeś? – zapytała królowa, na moment zapominając o powodach, dla których pirat został wezwany.

– W Dun Carreg w Ardanie. Był po uszy wmieszany w układy polityczne na zachodzie, gdzie wzmacniał kondycję sojuszu.

– Czy odnalazł Meicala? Wiem, że robił wszystko, by odszukać doradcę mego męża.

Mam nadzieję, że nie, pomyślała. Najpierw muszę mu opowiedzieć o tym, co odkryliśmy wraz z Ektorem.

– Meicala widziano w Dun Carreg, ale wyjechał na długo przed przybyciem Nathaira.

Całe szczęście, przemknęło jej przez myśl.

– A co z Nathairem? Dobrze się miewa?

– Tak, choć nieustannie się martwi. Głównie o ciebie. Boi się, że pozostawił ci zbyt wielką odpowiedzialność. Zbyt wcześnie na takie posunięcia, przecież twój mąż zginął tak niedawno.

Co?, pomyślała Fidele. Czy mnie uszy mylą? On łąe!

– Nathair żałuje swej decyzji. Powiedział, że nie powinien ci oddawać regencji, gdyż nie masz w sobie siły, której wymagają te trudne czasy. – Lykos wsunął rękę w głąb swego podniszczonego płaszcza i wyjął pomięty zwój. – Proponuje, bym tymczasowo objął rządy jako regent.

Fidele wyrwała mu zwój z ręki i rozerwała pieczęć. Natychmiast rozpoznała pismo syna.

To niemożliwe, myślała. Coś jest nie tak. Przecież Nathair nigdy by tego nie zrobił.

Spojrzała na Lykosa, który przyglądał się jej uważnie. Potem powoli podarła zwój i wyrzuciła jego resztki na ziemię.

– Nigdy nie pozwolę ci, byś objął rządy nad Tenebralem.

Lykos westchnął, ciężko i głęboko.

– Bałem się, że to powiesz.

Zerwał się błyskawicznie z krzesła, na którym siedział, a Fidele odskoczyła odruchowo. Wnet przekonała się, że to nie ona była celem.

Orcus co prawda zdołał wyciągnąć miecz, ale Lykos doskoczył do niego, trzymając coś w dłoni, i rąbnął mężczyznę w podbródek. Z jego ust buchnęła krew. Pirat ścisnął go mocno, a potem opuścił powoli na

ziemię, gdzie przytrzymał go przez chwilę. Orcus drgnął parokrotnie i znieruchomiał.

Fidele stała jak wryta z ustami otwartymi do krzyku.

– Nawet o tym nie myśl. – Lykos odwrócił się ku niej. Znów sięgnął pod płaszcz i wyciągnął coś małego. – Nie waż się pisnąć.

Fidele poczuła naraz, że wokół jej szyi zaciska się niewidzialna dłoń. Złapała się za gardło, by się uwolnić, ale nie natrafiła na nic poza własną skórą.

– Niezwykłe – rzekł Lykos i podniósł otrzymany od Calidusa przedmiot. Była to jedynie grudka gliny, z której wystawało parę włosów. – Chodź tu do mnie.

Jej stopy drgnęły i uświadomiła sobie, że wbrew swej woli, początkowo nieśpiesznie, zmierza ku piratowi. Nie była w stanie się zatrzymać. Za jego plecami widziała kałużę niemalże czarnej krwi, rozprzestrzeniającej się niczym rozlany atrament.

– Zatrzymaj się.

Fidele przystanęła.

– Podnieś prawą rękę.

Prawa ręka powędrowała ku górze.

– Wspaniała sprawa. – Lykos parsknął śmiechem. – Calidusie, jestem twoim dłużnikiem. – Następnie zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał. – A teraz powiedz mi, że będziemy wspólnie władać Tenebralem. I bądź przy tym miła.

Nigdy. Zginiesz, obiecuję ci to..., pomyślała Fidele.

– Będziemy razem rządzić Tenebralem, mój panie.

Nie mogła uwierzyć, że to jej usta wypowiedziały te słowa. W jej głowie powstało kolejne zdanie, złożone głównie z przekleństw, ale mimo to znów usłyszała, jak mówi:

– Będę posłuszna twojej woli.

Zawyła w duszy.

Co to jest? – przemknęło jej przez głowę, gdy spojrzała na grudkę, trzymaną przez Lykosa. Z tej odległości widziała wyraźnie, że sterczące z niej włosy, są czarne. Na glinie wypisano zaś jakieś słowa.

Czy to runy? – zastanawiała się.

– Tak – rzekł Lykos, patrząc tam, gdzie ona. – To pukiel twoich włosów.

Spojrzał za siebie, na zwłoki Orcusa rozrzucone na kamiennej podłodze.

– Każę moim ludziom to posprzątać. Nie chcę, by w twojej orlej straży zaczęły się szerzyć jakieś plotki. Niebawem stąd wyjadę i poślę po Deinona oraz kilku innych chłopaków. Po południu ogłosisz, że wybaczasz mi wszystkie poprzednie nieporozumienia, a ludność Tenebralu czeka nowa era pokoju i przyjaźni z Vin Thalun.

– Zrobię, co każesz, mój panie.

Lykos uśmiechnął się szeroko, a potem otaksował ją spojrzeniem.

– Być może powinniśmy przypieczętować ów nowy początek? Póki wciąż jesteśmy sami?

Wyciągnął rękę i przesunął ją wzdłuż jej uda i biodra, aż oparł ją na talii.

Zostaw mnie! Nie dotykaj! Łapy precz!

W głębi duszy Fidele wiła się i krzyczała. Usiłowała zmusić swe ciało, by drgnęło, by kopnęło pirata, by odepchnęło go. Chciała znów przywołać swój głos, ale nic takiego się nie stało.

– Połóż się na stole – rozkazał jej Lykos.

W myślach Fidele wrzeszczała.

Rozdział osiemdziesiąty trzeci

CORBAN

– A co ty tu robisz? – Corban zwrócił się do kupca.

– Dlaczego podążasz za nami? – spytała Coralen, wychodząc zza głazu.

– No właśnie? – Gar podszedł blisko. – Dlaczego?

Ogar Ventosa warknął głucho. Burza zeskokczyła ze skalnej półki, zjeżyła sierść i również odpowiedziała warknięciem.

Zaraz poleje się krew, pomyślał Corban, a na głos rzekł:

– Ventosie, uspokój swojego psa! Burzę łatwo sprowokować!

– Talar, leżeć! – warknął kupiec. Ogar położył się i zamilkł, a handlarz zwrócił się do reszty: – Spokojnie, tylko spokojnie! Nie jestem dla was zagrożeniem!

– Chcemy usłyszeć jakieś wyjaśnienia – oznajmiła Gwenith.

– Pragnąłem wydostać się z Domhainu i zobaczyłem, że wyjeżdżacie. – Ventos wzruszył ramionami. – Pojechałem więc w ślad za wami w góry.

– A czemu nie wybrałeś traktu olbrzymów? Co z twoimi towarami? Co z wozem w Dun Taras? – spytał Corban.

– A więc o niczym nie wiecie? Armia Domhainu została pokonana i ucieka do Dun Taras. Rhin kontroluje teraz trakt olbrzymów, a to jedyna droga, którą mogę przejechać wozem. – Wzruszył ramionami, a na jego twarzy pojawiło się poczucie winy. – Musiałem pogodzić się ze stratami. Uznałem, że jeśli uda mi się uciec z Domhainu, i tak mogę uważać się za szczęściarza. Zależało mi tylko na ucieczce, a sami wiecie, jak to jest. W kupie raźniej i bezpieczniej.

– Wojska Ratha uległy? – odezwała się z niedowierzaniem Coralen. – To niemożliwe!

– Też tak sądziłem – odparł Ventos. – Ale stało się inaczej i to nie dzięki

hufcowi z Cambrenu. Losy bitwy przechylili wojownicy z Tenebrału. Uformowali mur tarcz i ruszyli traktem olbrzymów, zabijając każdego, kto stanął na ich drodze i rzucił się na ich tarcze. – Potrząsnął głową i potarł dłonią czoło. – Okropny widok.

Coralen oparła się o drzewo, blada jak trup.

– Rozbijemy tu obóz – rzekła Brina. – A ty opowiesz nam wszystko jak należy.

* * *

Zjedli rosół, ugotowany z resztek ostatniej zdobyczy, a Ventos opowiedział im szczegółowo o wszystkim, co widział. Była to ponura historia, a gdy skończył, wśród wędrowców zapadła cisza.

Tak przecież nie można walczyć, pomyślał Corban. Gdzie jest w tym miejsce na honor?

– Rath żyje? – spytała Coralen.

– Nie wiem. Chyba tak, a jeśli nie, dowodzenie przejął po nim ktoś inny, kto zorganizował odwrót. Wojownicy nie uciekali na łeb, na szyję. Wyruszyłem w drogę jeszcze za dnia, bo nie chciałem stracić tropu, i widziałem, że wycofywali się w miarę składnie.

– A co z Edaną? – Corban zapytał o to, co ciążyło wszystkim.

– Jej też nie widziałem, ale z pewnością została by w porę ostrzeżona przed odwrotem i raczej nie znalazłaby się wśród walczących. Przypuszczam, że była raczej wśród tych, którzy wyruszyli do Dun Taras.

– Musiałeś nieźle popędzać rumaka, by nas dogonić – rzekł Gar.

– To prawda. Gdy tylko odnalazłem wasz trop, pogałem jak wiatr. Myśl o rozszałym hufcu za plecami doprawdy dodaje sił.

– Czy widziałeś za sobą jakiś pościg? – spytał Gar.

– Nikogo nie widziałem, ale nigdy nie można mieć pewności, choć...

– Wstaniemy przed świtem – oznajmiła Coralen. – I damy z siebie wszystko.

Potem podniosła się i podeszła do spętanych koni. Po chwili dołączył do niej Corban.

– Możesz nam po prostu wskazać drogę i zawrócić – powiedział do dziewczyny, która uważnie oglądała kopyta swego rumaka.

– Nie dalibyście sobie rady – odparła. – Na pewno byście pobłądzili, a nadchodzą mrozy. Naprawdę chcesz skończyć jako ucztą dla lisów?

– A co z Rathem? Co z twoimi braćmi?

– Myślisz, że umiem ci na to odpowiedzieć? – warknęła wojowniczka i smagnęła go wściekłym spojrzeniem. – Obiecałam, że pokażę wam drogę, i zrobię to. Takie były rozkazy Ratha i na tym kończą się wszystkie dylematy. Obłupiłby mnie ze skóry, gdyby się dowiedział, że was tu zostawiłam. A tak na marginesie to zastanawiam się właśnie, skąd się bierze ta troska o mnie? Naprawdę się martwisz czy może chciałbyś pozbyć się przewodniczki, której nie ufasz?

Znów się odwróciła i zaczęła rozplątywać supły w końskiej grzywie.

– Chciałem cię przeprosić za to, co miało miejsce zeszłej nocy. Ufam ci, naprawdę. Zacząłem się tylko zastanawiać, jak sam bym się poczuł, gdyby chodziło o mojego brata czy siostrę – rzekł Corban.

Coralen milczała, więc wzruszył ramionami i odszedł.

* * *

Przez kolejnych osiem nocy kierowali się na północ, a Coralen popędzała ich bez wytchnienia. Za wzniesieniami ścieżka wniknęła w pasmo górskie. Przez jakiś czas wędrowali przez bujne lasy sosnowe, aż dotarli do linii drzew. Ich oczom ukazały się wówczas zbocza kryte śniegiem i oblodzone ścieżki.

Rozbili obóz na trawiastym skrawku niedaleko ciemnego stawu o nieruchomej powierzchni. Corban objął wartę jako pierwszy. Otulił się mocno płaszczem i oparł się plecami o głaz.

Niebawem, po kolejnym dniu bądź być może dwóch dniach wędrówki przez góry, mieli znów znaleźć się w Cambrenie. Mieli powrócić do królestwa Rhin i dobrowolnie narazić się na niebezpieczeństwo, przed którym od tak dawna uciekali.

Tym razem jednakże będziemy łowcami, a nie zwierzyną, pomyślał.

Gdy jego czas dobiegł końca, przekazał wartę Ventosowi, a potem wiercił się przez moment na twardej, zimnej ziemi, próbując znaleźć dla siebie jak najwygodniejszą pozycję. W jego głowie panował chaos. Nie przestawał myśleć o Edanie, Halionie, Marrocku, Camlinie oraz Vonnie

i modlił się w duchu, by udało im się ująć śmierci i powrócić do Dun Taras. Potem przed jego oczyma stanęła Cywen.

Jakże samotna musi się czuć, otoczona jedynie przez wrogów, pomyślał i znów poczuł falę złości na ludzi, którzy stali za wszystkimi wydarzeniami, będącymi powodem ich krzywd, na Rhin i Nathaira, człowieka, który wbił miecz w pierś jego ojca.

Znów przypomniał sobie chwilę, w której Thannon rozstał się z życiem. Wspominał ją wielokrotnie, zawsze z wielkim bólem w sercu, ale tu, gdzie siedział samotnie pośród mroku, ta fala cierpienia okazała się niespodziewanie silniejsza od wszystkich innych. Corban miał wrażenie, że ból, mroczny i głęboki niczym jezioro, nad którym obozowali, zaraz go zniszczy i przytłoczy. Odwrócił głowę i zacisnął powieki.

Przebudził się gwałtownie. Strzępy dziwnego snu o skrzydłach, wojownikach i bitwie unosiły się wciąż w jego głowie, ale uleciały natychmiast, gdy się na nich skupił. Niespodziewanie usłyszał cichy szelest, potem szepot na wietrze i oddalające się, ledwie słyszalne kroki. Usiadł.

Ventos znikł.

Ujrzał go chwilę później, gdy oddalał się ścieżką z towarzyszącym mu ogarem. Podniósł się cicho. Rozejrzał się w poszukiwaniu Burzy, ale nigdzie jej nie widział – zapewne oddaliła się na łowy. Ruszył w ślad za Ventosem.

Powoli, ostrożnie zmierzał po ścieżce. Półksiężyc na niebie opromieniał drogę przed nim, choć co rusz przesłaniały go chmury. Szlak wił się ku górze, oblodzony i zdradziecki. Po chwili Corban dotarł do zakrętu i wyjrzał zza skał.

Patrzył na niewielką, upstrzoną głazami łąkę. Na jednym z nich siedział ptak.

Była to Kartala, jastrząb, którego Ventos wygrał od Siraków.

Sam kupiec coś pisał, a potem zwinął kartkę i zaczął ją mocować do nogi ptaka.

W ciemnościach rozległo się głuchoe warknięcie.

Corban sięgnął po miecz, ale przypomniał sobie, że go odpiął. Na szczęście miał jeszcze nóż.

– Kto tam? – spytał Ventos. – Wyłaż, bym mógł cię zobaczyć, albo

poszczuję na ciebie psa!

Corban wyszedł zza skały.

– Co ty robisz? – spytał. – Do kogo piszesz?

Ventos wpatrywał się w niego, a w jego spojrzeniu na próżno by szukać przyjaznej szczerości, do której chłopak zdążył się przyzwyczaić. Kupiec spoglądał na niego chłodno, z wyrachowaniem, oceniając sytuację.

– Do kogoś, kto się bardzo tobą interesuje – rzekł i wyciągnął własny nóż.

A więc podjął decyzję, pomyślał Corban. Czy ktoś mnie usłyszy, jeśli zacznę krzyczeć? Jak daleko jest obóz?

Talar wychynął z mroku, warcząc głucho. Ślina ściekała z jego kłów.

Gdzieś wśród skał przemknął jakiś cień, potoczyły się ze stukotem spadające kamyki. Śmignęło białe futro. Z mroku wypadła Burza, która skoczyła na ogara. Oba zwierzęta przetoczyły się na skraj ścieżki, po czym rozległo się skomlenie psa. Ventos przypadł do nich ze wzniesionym nożem, ale Corban zdołał mu zastąpić drogę. Rzucił się na kupca i pchnął go na ziemię. Przez chwilę szamotali się na zmarzniętej ziemi, aż Ventos stęknął głucho, zesztyniał, wygiął ciało i zwiotczał.

Corban poderwał się i uświadomił sobie, że podczas ataku zdołał wbić nóż pod żebra mężczyzny. Na jego ubraniu rozlewała się ciemna plama. Kupiec zacisnął dłoń na rękojeści noża i jęknął głośno.

Za plecami chłopaka rozległo się wściekłe warknięcie. Odwrócił się i ujrzał, jak Burza uderza tylnymi łapami w Talara i wyrzuca go w powietrze. Pies wylądował z głuchym łoskotem na ziemi, poderwał się, poślizgnął, ale niepewnie złapał równowagę. Z ran na jego barku ściekała krew. Burza napięła mięśnie i skoczyła na niego ponownie. Znow się przetoczyli, ryjąc ziemię i rozrzucając kamienie, aż znikli za ścieżką. Corban usłyszał chrobot pazurów na skale, a potem, po chwili ciszy, głośny plusk.

– Burza! – krzyknął i podbiegł na skraj ścieżki.

Ujrzał jedynie skalne urwisko, u stóp którego przemykała migotliwa woda. Odniósł wrażenie, że to wartki strumień górski.

– Burza! – wrzasnął ponownie.

Miał wrażenie, że dostrzega jakiś biały, poruszający się szybko kształt, pochwycony przez kipiela. Nie było sposobu, by zejść na dół, a więc popędził wzdłuż ścieżki w ślad za niesioną przez wodę białą plamą. Łudził

się, że to Burza. Ventosa, leżącego w kałuży krwi, porzucił bez wahania, nie sprawdzwszy nawet, czy mężczyzna wciąż żyje.

Biegł przez mrok, potknął się i upadł. Poderwał się, czując, jak w jego sercu rozlewa się panika.

Naraz usłyszał nowy dźwięk. Czyżby szelest stóp? Powiódł dookoła dzikim spojrzeniem. A może to odgłosy z obozu? Może już go szukano? Naraz jego uszu dobiegło posapywanie wężącego psa, a potem cichy skowyt. Z ciemności wychyły jakieś postacie, dwie, trzy, za nimi dostrzegł ruch na skraju widoczności.

Szedł ku niemu wysoki mężczyzna z blizną na twarzy.

Zewsząd napływały wspomnienia Ciemnego Boru.

Patrzył na Braitha.

Potem go pochwycono i obezwładniono.

* * *

Poczuł ostry ból w żebrach. Chciał się poderwać, ale nagle odkrył, że związano go mocno, a na głowę narzucono mu jakąś płachtę.

– Teraz zdejmę ci kaptur – odezwał się jakiś głos. – Wystarczy, że piśniesz, a będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobisz w życiu. Czujesz to?

Przedmiot, trzymany przez nieznanego człowieka, wraził się mocniej w żebra chłopaka.

– Czuję – odpowiedział.

Wówczas jego rozmówca zerwał mu worek z głowy, a Corban zamrugał, chwilowo oślepiony. Wciąż było ciemno, a blade słońce nie przebiło się jeszcze przez mgły, ale mimo to oczy natychmiast mu załzawiły. Miał wrażenie, że szedł przez pół nocy, potykając się i przewracając, a mocne, obce ręce ciągnęły go za sobą, szarpały i popychały.

Przed sobą widział Braitha. Banita był szczuplejszy, niż Corban go zapamiętał. Wokół jego ust i oczu pojawiły się głębokie zmarszczki, niemalże pasujące do długiej blizny na policzku. Nie był sam – towarzyszyło mu kilku innych ludzi, którzy siedzieli, popijali z bukłaków, żuli kawałki czerstwego chleba bądź paski mięsa. U stóp Braitha odpoczywało kilka ogarów.

– Ja cię znam – wychrypiał Corban.

– A ja ciebie. Zmężniałeś nieco od czasu naszego spotkania w Dun Carreg.

– Gdy widziałem cię po raz ostatni, uciekałeś do Ciemnego Boru – stwierdził Corban.

– Tak, zgadza się – rzekł Braith. – Ale naprawdę chcesz mi o tym teraz przypominać? Naprawdę chcesz mnie rozgniewać?

Corban wzruszył ramionami. Podczas wędrówki przez mrok czuł panikę, troskę i lęk – bał się o Burzę i o przyjaciół, których pozostawił daleko za sobą – ale teraz czuł gniew, który przesłonił wszystkie inne emocje.

– Czy to ty puściłeś strzałę w plecy królowej Alony? – spytał. Nabrał tchu.

Panuj nad emocjami, odezwał się głos Gara w jego głowie. Korzystaj z tego, co ci dają, ale nie pozwalaj, by tobą zawładnęły. To najkrótsza droga do śmierci. Nawet Braith ma ograniczoną cierpliwość. Nie chcesz chyba go sprowokować, by popełnił błąd?

Banita podszedł bliżej i obrócił nieco nóż.

– Już dosyć tego. Myślę, że przyda ci się worek na głowie.

– Camlin wiele mi o tobie opowiadał – rzekł Corban.

– Doprawdy? Jak się miewa Cam?

– Nieźle. Dobry z niego człowiek.

– Dobry? O ile pamięć mnie nie myli, to złodziej i morderca. A do tego zdrajca.

– Postanowił, że stanie po właściwej stronie i dalej ją popiera, w przeciwieństwie do ciebie.

– Po właściwej stronie? A która nią jest tak naprawdę? Myślę, że to zależy od wysokości stawek. – Braith zmarszczył brwi. – Zjedz to. Nie możesz teraz opaść z sił.

Wsunął kawałek chleba między związane ręce Corbana.

– Dokąd mnie zabieracie? – spytał chłopak.

– Ktoś chce się z tobą spotkać.

– Ta sama osoba, o której mówił Ventos?

– Ventos? Ten człowiek, którego porzuciłeś na śmierć? Nie, myślę, że on pracował dla kogoś innego.

– A ty, jak rozumiem, służysz Rhin, chyba że od czasu naszego spotkania w Ciemnym Borze zmieniłeś pana.

Braith obdarzył go uśmiechem, w którym na próżno by się dopatrywać wesołości.

Cywen jest więźniem Rhin, myślał chłopak. Może wrzucą nas do tej samej celi?

Potem jednak pomyślał o mamie, Garze i reszcie, którzy przypuszczalnie już odkryli jego nieobecność.

– Naciesz się życiem – powiedział głośno, by usłyszeli go wszyscy. – Bo wkrótce zostaniesz odnaleziony, a wówczas zginiesz.

– Nie sądzę – odparł Braith. – Mamy sporą przewagę, a ja dobrze znam te góry. Wychowywałem się tutaj. Myślę, że znam kilka ścieżek, o których wasza śliczna przewodniczka nie ma pojęcia.

– To nie ma znaczenia – rzekł Corban. – Burza mnie odnajdzie i doprowadzi resztę.

– Przecież ona nie żyje, chłopcze. Widzieliśmy, jak spada. Nie da rady wyrwać się z tej rzeki. Zbyt silny nurt, zbyt zimna woda, pełno ostrych skał.

– To nieprawda. – Corban nie chciał nawet o tym myśleć.

– Na razie nie będę ci zakładał worka. Zobaczymy, czy będziesz grzeczny. Czyli musisz się pośpieszyć, pomyślał chłopak.

Braith szybko zorganizował swoich ludzi – Corban naliczył ich dwunastu, bez zwiadowców, którzy pewnie mieli dołączyć po drodze – a potem szturchnął więźnia i wyruszyli. Nie zdążyli jednak zrobić nawet kilku kroków, gdy rozległ się dźwięk, odległy, ale wyraźny, pełen żalości, niosący się echem wśród skał.

Wycie wilkuna.

Ludzie Braitha zaczęli szemrać między sobą, a on sam spojrział przez ramię.

– Nie żyje, co? – Corban się uśmiechnął.

Rozdział osiemdziesiąty czwarty

CYWEN

Cywen spoglądała w dal, na krytą śniegiem górę mającą gdzieś na horyzoncie, górującą nad łańcuchem, ku któremu zmierzali. Na zboczach widziała fortecę Dun Vaner. Na jej murach migotały pochodnie, a w oknach jarzyły się światła, z tej odległości malutkie niczym główki od szpilki. Zbliżali się do twierdzy królowej Rhin, która niegdyś była stolicą olbrzymów Benothi.

Dziewczyna nie mogła oderwać wzroku od zboczy i ciągnących się daleko równin. Próbowała wyobrazić sobie bitwę, jaką jej przodkowie wydali Benothi. Odnieśli wówczas wielkie zwycięstwo, a Cambros pokonał Ruada, króla olbrzymów. Przypomniało jej się, jak stary Heb opowiadał tę historię na łąkach przed Dun Carreg w dniu zrękowin Marrocka. Oczami wyobraźni widziała, jak siedzi na trawie z matką, ojcem, Corbanem i Garem, jak wszyscy dają się pochłonąć opowieści. Stary znawca obyczajów ponoć już nie żył, jeśli wierzyć słowom Veradisa. Ni z tego, ni z owego w sercu Cywen pojawił się ogromny żal, a oczy zaszyły jej łzami.

– Czas na odpoczynek, dziecko – odezwał się idący obok Alcyon, który przejął obowiązki jej strażnika.

Wolałam Veradisa, pomyślała. Z nim to się chociaż dało porozmawiać.

Minęła już dziesięcionoc od chwili, gdy rozstali się z Veradisem na trakcie olbrzymów. Przez całą drogę nie odzywała się zbyt często ani do ponurego, pogrążonego we własnych myślach olbrzymia, ani też do Akara z Jehar.

* * *

Zsunęła się z grzbietu Tarczy i zaprowadziła konia do prowizorycznej zagrody, którą Jehar budowali każdego wieczoru. Tam zdjęła z niego uprzęż, a po niej siodło oraz derkę. Następnie wytarła sierść i uważnie obejrzała kopyta. Alcyon nie spuszczał z niej oczu ani na chwilę, a gdy wypełniła wszystkie swe obowiązki, zaprowadził ją na skraj obozowiska, by poszukać miejsca na nocleg. Minęli zagrodę draiga, gdzie Cywen dostrzegła Nathaira, zsuwającego się z grzbietu swego ogromnego, ogoniastego wierzchowca. Niedługo potem usłyszała ryk wołu, w którego bestia wpiła kły. Dziewczyna zdążyła się już do tego przyzwyczaić – każdego wieczoru Nathair osobiście prowadził wołu do zagrody draiga i zostawiał go, by draig mógł go pożreć. Rano po zwierzęciu nie pozostawało nic oprócz kilku kości i strzępów skóry.

Alcyon odnalazł miejsce, które przypadło mu do gustu. Był to przytulny kąt pod kępą uschniętego głogu, gdzie olbrzym natychmiast przystąpił do rozniecania ognia. Zawiesił nad nim kocioł, nalał do niego wody i czekał, aż zacznie wrzeć.

Tak wyglądały wszystkie wieczory, gdyż Alcyon nie miał najmniejszej ochoty na towarzystwo. Cywen również nie miała nic przeciwko ciszy i samotności. Siedzieli więc w milczeniu. Dziewczyna gładziła Buddaia po grzbiecie.

– Proszę. – Alcyon podał jej miskę owsianki.

Cywen trzymała ją przez chwilę, by rozgrzać dłonie, a potem nabrała nieco strawy łyżką, podmuchała i wsunęła do ust.

– Różne rzeczy o was mówią – odezwała się – ale żadna z opowieści, które słyszałam, ani słowem nie wspomina o tym, jak dobra jest wasza owsianka.

Nieopodal rozległy się ciężkie kroki. Cywen uniosła głowę i ujrzała trzy inne olbrzymy, które przechodziły w pobliżu. Alcyon odprowadził je mrocznym spojrzeniem.

– Czemu ich nie lubisz? – spytała dziewczyna.

– Bo powinni być ze swoim klanem. Nie tu.

– Ale ty akurat jesteś z nami.

– Oni mają wybór. Ja nie.

– Co to oznacza?

– Nic. – Alcyon wzruszył ramionami. – A ponadto ja jestem Kurgan,

a oni to Benothi. Należymy do różnych klanów i dzielą nas krwawe waśnie. Z każdym klanem.

– Ale czy te wasze kłótnie nie miały przypadkiem miejsca jeszcze przed Plagą? – Cywen nigdy dobrze nie opanowała historii Ziem Wygnanych.

– Później też walczyliśmy ze sobą – odparł olbrzym. – Klany toczyły wojny od czasu, gdy powstały. Od czasu Wojny Skarbów. Co więcej, nasze konflikty bynajmniej nie ustały, gdy wasz lud wylądował na tych ziemiach i rozpoczęły się Wielkie Wojny .

Cywen słuchała chciwie. Alcyon na ogół zachowywał milczenie, bez względu na to, ile pytań mu zadawała.

– A więc pochodzisz z klanu Kurgan, tak?

– Tak.

– A gdzie mieszka twój lud?

– Daleko stąd, dziecko. Kurgan żyją w Arconie, na morzu traw, daleko na wschodzie.

– Jak więc doszło do tego, że znalazłeś się tak daleko od domu?

Przez twarz Alcyona przemknęły smutek, żal, a nawet rozpacz, ale wszystko znikło w okamgnieniu. W ich miejsce pojawiło się coś zimnego.

– To nie twoja sprawa, dziecko.

– Ja tylko próbuję się dowiedzieć czegoś o ludziach, którzy mnie pojмали – wymamrotała.

Alcyon spoglądał na nią przez dłuższą chwilę, a gdy dziewczyna zaczęła myśleć, że cisza nigdy się nie skończy, znów się odezwał:

– Służę Calidusowi i robię to, co mi każe. To wszystko. Skoro Calidus ma jakieś układy z Nathairem i Rhin, ja też tu jestem.

Zerknął do swej miski i wysiorbał jej zawartość. Nigdy nie używał łyżki.

– Calidus – powtórzyła Cywen. – Calidus ma układy z Nathairem i Rhin. A interesuje się Corbanem, moim bratem. To dlatego tu jestem, prawda? Ze względu na Corbana?

– Tak – burknął olbrzym.

– Dlaczego tak jest? Jak to możliwe, że Corbanem interesują się królowie i królowe?

Alcyon, miast odpowiedzieć, wbił jedynie wzrok w ogromny topór, leżący na jego kolanach.

* * *

Dotarli do Dun Vaner w południe następnego dnia i spędzili całą noc w zimnych, wilgotnych komnatach fortecy. Twierdza była niemalże wyludniona, gdyż większość wojowników Rhin wzięła udział w najeździe na Domhain, a na miejscu pozostał jedynie niewielki garnizon.

Następnego dnia wyruszyli w dalszą drogę, żegnani przez Rhin, stojącą w kamiennej bramie Dun Vaner. Nathair na swoim draigu oraz trzech Benothi szli na czele, a Cywen na Tarczy jechała z tyłu kolumny. Alcyon bez trudu dotrzymywał jej kroku.

Droga prowadziła w dół zbocza, a gdy teren się wyrównał, Buddai niespodziewanie zamarł i spojrzał za siebie, a potem zaskomlął.

– Co się dzieje? – odezwała się do niego Cywen, ale pies z przechylnym łbem wpatrywał się w dal i nadstawiał ucha.

Alcyon zatrzymał się i wytężył słuch. Po chwili dziewczyna również usłyszał odgłos, który zaniepokoił jej psa, cichy niczym westchnienie, płynący z wiatrem idącym od gór.

Gdzieś wył wilkun.

Rozdział osiemdziesiąty piąty

CAMLIN

Mury Dun Taras przesłaniał gęsty deszcz ze śniegiem.

Camlin szedł w straży przedniej, blisko Edany oraz jej pozostałych przybocznych: Haliona, Marrocka i Vonna. Mieli za sobą długi, ciężki marsz od gór, a bezlitosna pogoda zsyłała śmierć na wszystkich, którzy byli zbyt słabi, by nadążyć.

Wojska Rhin nie ścigały ich ze szczególną intensywnością, ale zwiadowcy Ratha meldowali, że postępują za nimi w miarowym tempie.

Wystarczy, że zapędzą nas do Dun Taras, myślał Camlin. A potem rozsiądą się wygodnie i będą patrzeć, jak umieramy z głodu.

Nadal nie mógł uwierzyć w to, że ponieśli klęskę. Nigdy dotąd nie widział niczego takiego jak ów mur tarcz, który wyszedł zza wzgórz i nadciągnął traktem olbrzymów. Nigdy nie widział śmierci, zadawanej tak skutecznie, w tak wyrachowany sposób. Nie podobało mu się to. Zastosowana strategia odbierała bitwie ducha. Nie pozwalała na waleczne czyny ani pokazy męstwa, siły czy umiejętności, miast tego skutecznie, bez litości siała śmierć. Wspomnienie muru tarcz wzbudzało w nim lęk.

Przypomniawszy sobie, że w sali biesiadnej Dun Carreg, owej nocy, gdy wszystko trafił szlag, widział coś podobnego. Strażnicy Nathaira również zasłonili swego władcę murem tarcz, ale było ich niewielu, a on znajdował się na tyle blisko, by wpakować kilka strzał w luki między tarczami. Tym razem mieli do czynienia z trzema formacjami, liczącymi sobie po dwustu, trzystu zbrojnych, zasłoniętymi tarczami i najeżonymi mieczami. By zgryźć tego orzecha, trzeba było czegoś więcej niż kilku strzał.

Powitały ich rogi. Wpadli przez bramy na ulice miasta, obserwowani przez ponurych wojowników, strzegących murów. Rath udał się prosto

do zamku, by rozmówić się z Eremonem. Po drodze skinął na Edanę. Czterech przybocznych młodej królowej posłusznie udało się z nią.

Eremon wydawał się jeszcze starszy niż wcześniej. Z bliska widać było wszystkie jego zmarszczki i fałdy obwisłej, żółtawej skóry. Wyglądał jak świeca, która paliła się o wiele za długo. Obok niego zasiadała pobladła, ciemnowłosa królowa. Camlin pamiętał, że ma na imię Roisin. Nie cierpiał jej od samego początku, głównie ze względu na niechęć, którą okazywała Halionowi. Czuł, że ta kobieta byłaby gotowa dopuścić się morderstwa, by zrealizować swoje zamysły.

Rozległ się trzepot skrzydeł i przez szparę między dygoczącymi okiennicami wejrzał Fech. Na widok Edany wślizgnął się do środka, otrzepał się i zaczął wygładzać dziobem pióra.

Król z uwagą słuchał Ratha i Edany, którzy zdawali mu sprawozdanie z bitwy na granicy.

– Jak możemy ich pokonać? – zapytał, gdy Rath zamilkł.

– Nie wiem – odparł wojownik. – Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Szturmowaliśmy ten przeklęty mur przez cały dzień i nie byliśmy w stanie go zatrzymać. Nie wiem nawet, czy udało nam się zabić choć jednego z tarczowników. Już łatwiej byłoby pokonać hufiec olbrzymów.

Zwiesił głowę. Eremon przeniósł wzrok na Edanę.

– Musi istnieć jakiś sposób, mój panie – odparła młoda królowa. – Silne mury twojej twierdzy oraz surowa zima na pewno pomogą nam wytrzymać oblężenie.

– Tak, racja. – Eremon zamyślił się i podrapał po chudym podbródku.

– To wszystko, co masz do zaproponowania? – odezwała się Roisin.

– Ściągnęłaś bandę Rhin do Domhainu, by ci wymordowali naszych wojowników, a teraz utrzymujesz, że ocalą nas mury i deszcz?

Spąsowiała Edana nie mogła wykrztusić słowa.

– To nieprawda! – Halion zrobił krok do przodu. – Rhin i tak zamierzała podbić Domhain, bez względu na to, czy Edana tu jest czy jej nie ma.

Roisin przeniosła spojrzenie na niego.

– Tego się już nigdy nie dowiemy, a ty nie próbuj wykorzystywać dobrej natury swego ojca.

Halion wbił wzrok w Roisin, ale nie odpowiedział. W komnacie zapadła cisza, przerwana dopiero przez Ratha:

– Edana i jej ludzie walczyli w bitwie. Ryzykowali własnym życiem w obronie Domhainu, a to o czymś świadczy.

– Walczyli w obronie własnych planów, rzekłabym – stwierdziła Roisin.

– Dość tego! – warknął Eremon, bardziej podirytowany niż rozgniewany. Edana zrobiła krok naprzód.

– Nie nakłoniłam Rhin, by najechała na Narvon czy Ardan. Nie namawiałam jej, by zabiła Owaina czy moich rodziców. Rhin realizuje własne plany, a ja stanowią dla niej jedynie drobną, mało istotną przeszkodę, jedną z wielu. Podobnie jak wy. Marzy jej się wasz tron i tylko dlatego wysłała tu swe wojska. Chce zawładnąć całym zachodem, a być może nawet całym Ziemią Wygnanych. Jej ambicje sięgają daleko i z całą pewnością nie kieruje nią tylko pragnienie, by dopaść ostatnią dziedziczkę tronu królestwa, które właściwie już nie istnieje.

Mówiła powoli i wyraźnie, nie spuszczać oczu z Roisin.

Dobra robota, dziewczę, pomyślał Camlin. Daj tej żmijce posmakować odrobinę własnego jadu.

Eremon poklepał krzesło obok siebie.

– Chodź i usiądź tu. Napij się ze mną piwa. Pewnie jesteś zmęczona, ale muszę usłyszeć od ciebie jeszcze kilka szczegółów, nim udasz się na spoczynek.

Pojawili się służący, niosąc jedzenie i picie. Camlin i pozostali zostali wyprowadzeni na zewnątrz, a Edana pozostała w komnacie z Eremonem i Roisin.

– Napijmy się czegoś. – Halion odetchnął.

* * *

– Nie lubię jej – oznajmił Vonn i pociągnął z kufła.

Siedzieli we czterech w kącie sali biesiadnej, pogrążeni w cichej rozmowie.

– A co tu w niej lubić? – zgodził się Marrock.

– Znalazłbym to i owo – rzekł Camlin. – Ale wrażenie pryska, gdy otwiera usta.

– Biedna Edana. – Vonn pokręcił głową. – Ma wystarczająco zgryzot na głowie, nawet bez takich żmij.

– Założę się, że Roisin aż kipi z wściekłości – zabrał głos Halion. – Zazwyczaj jej słowa ociekają miodem. Nigdy się nie odzywa, jeśli sobie wszystkiego dobrze nie przemyśli. Każde jej zdanie kryje w sobie sens.

– Czyli coś ją wzburzyło? – spytał Marrock.

– Zrzuciłbym winę na wrogą armię, która idzie traktem olbrzymów – wtrącił Camlin. – Nie odbierzcie mnie źle. Nie mam wątpliwości, że to wściekła suka, ale jest również matką i coś mi mówi, że kocha swego syna bezgranicznie. Na samą myśl o tym, że Rhin mogłaby nadziać głowę jej dzieciaka na włócznię, trafia ją szlag.

Zadumany Halion pokiwał głową.

– Jak na byłego złodzieja i mordercę zdarza ci się czasem gadać z sensem – rzekł Marrock.

– Życie w Ciemnym Borze daje ci sporo czasu na przemyślenia. Na ogół między jednym rabunkiem a drugim nie ma nic innego do roboty.

– I co teraz? – Vonn wpatrywał się w Haliona.

– Nie wiem – rzekł wojownik. – Chyba trzeba postąpić zgodnie z radą Edany. Zatrzasnąć bramy i poczekać, aż zima oraz mury Dun Taras odbiorą najeźdźcom ochotę do walki, a w międzyczasie wymyślić, jak pokonać ten cały mur tarcz na wiosnę.

– Ja wiem, jak tego dokonać – odezwał się spokojnie Camlin.

– Jak? – Wszyscy spojrzeli na niego.

– Spokojnie, bez emocji. Tutaj tego nie dokonamy, na otwartym terenie też nie. To dla nich idealne warunki. Trzeba im wydać walkę w lesie, gdzie nie będą w stanie utworzyć swego muru. Można też przycziąć się na szczycie wzgórza i spuścić na nich kilka gładów. Może odechce im się wtedy stać tak blisko siebie.

Halion pokiwał głową.

– Wiesz co? To chyba nie jest zła myśl. Poszukam Ratha.

Marrock klepnął Camlina w ramię.

– Dobrze cię mieć ze sobą, wiesz?

W tejże chwili drzwi do sali biesiadnej stanęły otworem i do środka wkroczyła Roisin. Obok niej szedł Lorcan, a za nimi Quinn oraz kilku innych. Królowa ujrzała Haliona i natychmiast skierowała się ku niemu.

– I co? – syknęła, zatrzymując idącego mężczyznę. – Znów coś knujecie?

– Nikt niczego nie knuje – odparł. – Otwórz oczy, Roisin. Edana

i ja staliśmy się ofiarami czyichś planów. Tym, kto manipuluje nami wszystkimi, jest Rhin. Niewykluczone, że wreszcie natrafiłaś na kogoś równego sobie.

– Nie ufam ci, Halionie z nieprawego łoża. Chcesz wykorzystać młodą dziewczynę, by wślizgnąć się na dwór Eremona? To nie zadziała!

Halion cofnął się o krok.

– Twoja paranoja przybiera na sile, Roisin. A już myślałem, że osiągnęłaś swój szczyt, gdy postanowiłaś zamordować moją matkę.

– Oskarżasz mnie?

– Nie muszę. Ci, którzy się liczą, wiedzą, że ty za tym stoisz. – Halion znów cofnął się o krok i nabrał tchu. – Nie wróciłem do Domhainu, by dokonać rozrachunku. Nie interesuje mnie to. Mamy wspólnego wroga i tylko to się liczy. Nie mam zamiaru podważać prawa Lorcana do tronu, ale na pewno uczyni to armia zmierzająca ku Dun Taras. Dobrze się zastanów, Roisin. Przemyśl sobie, kto naprawdę jest wrogiem.

Z tymi słowami minął Lorcana i Quinna, po czym opuścił salę biesiadną. Roisin patrzyła za nim, mrużąc oczy.

Camlin przypuszczał, że nie powiedziała jeszcze swego ostatniego słowa.

Rozdział osiemdziesiąty szósty

MAQUIN

Maquin jadł powoli.

Inni biesiadnicy objadali się bez skrpułów i pili na umór, śmiejąc się i śpiewając. Przez okna ich komnaty, wychodzącej na klify Nerin, wpadały ostatnie promienie zachodzącego słońca, które zamieniły tafłę morza w stopione złoto.

Było ich dziesięciu i wszyscy należeli do grupy, która przeżyła walkę w jamie. Z początku było ich dwunastu, ale dwóch spośród nich pochwyciła w nocy wysoka gorączka i ludzie Heraka zanieśli ich do uzdrowicieli. A przynajmniej tak sądzono.

Mało prawdopodobne, myślał Maquin. Dziwne, że ludzie wierzą w to, w co chcą uwierzyć, nawet jeśli prawda leży na wyciągnięcie ręki.

Oprócz pozostałych gladiatorów przy stole zasiadał również Herak oraz kilku spośród jego ludzi, głównie tych, którzy szkolili Maquina oraz pozostałych. Jedli, pili i śmiali się, jakby wszyscy byli przyjaciółmi, ludźmi równymi sobie, jakby nie było między nimi podziału na panów i niewolników. Mimo to pod ścianami wśród cieni nadal kryli się strażnicy.

Maquinowi robiło się od tego niedobrze.

W końcu pogodził się z tym, co robił i czym się stał. Nie apróbował tego, ale wystarczyło wspomnienie twarzy Jaela, by jego decyzja stawała się łatwiejsza do usprawiedliwienia. Mając wybór między życiem a śmiercią, Maquin wybrał życie lub przynajmniej prawo do tego, by odpędzić od siebie śmierć.

Chcę żyć, powtarzał sobie.

Nie oznaczało to, że był gotów okazać wdzięczność swym panom

czy też z radością jeść i pić z nimi, jakby byli braćmi. Wystarczyło jednak rozejrzeć się dookoła, by zauważyć, że nikt nie podzielał jego stanowiska. Nikt poza Orgullem, który siedział przy przeciwnym końcu stołu i podobnie jak Maquin wydawał się zniesmaczony.

Stary Gadrai upił wina.

Herak uderzył kielichem o stół. Powoli zapadała cisza.

– Jesteście teraz mistrzami – zaczął. – Mistrzami jamy, mistrzami Panos. Wkrótce znów będziecie walczyć, ale już nie w ten sam sposób, nie przeciwko tak wielu przeciwnikom. Do takich walk wystawiamy nowych, niedoświadczonych gladiatorów.

– A kiedy znów będziemy walczyć?

Javed, pomyślał Maquin. Ten to nigdy nie przestaje zadawać pytań.

– Na razie nie. – Herak wzruszył ramionami. – Będziecie mieli sporo czasu, by nacieszyć się zwycięstwem.

– A z kim będziemy walczyć? – odezwał się Orgull.

– Z każdym, kogo postawię przed wami – odparł Herak głosem pozbawionym choćby cienia serdeczności.

* * *

Mijał dzień za dniem. Gladiatorzy zostali przeniesieni z podziemi do pomieszczenia na poziomie gruntu, gdzie świeże powietrze oraz blask wciąż słabego słońca pomagały im poprawić formę oraz przypominały, że nadal są ludźmi. Cała dziesiątka zajmowała tę samą komnatę. Nadal ćwiczyli pod czujnym okiem Heraka, głównie walkę w bliskim kontakcie, zarówno z nożem, jak i bez broni. Traktowano ich teraz lepiej, karmiono dobrze, rozmawiano z nimi, obiecywano im nagrody. Ci, którzy wyróżniali się podczas ćwiczeń, dostawali dodatkowe frykasy, czasem kielich dobrego wina. Zdarzało się, że nagradzano ich kobietami. Maquin jednakże konsekwentnie i stanowczo odrzucał wszelkie dary. Nie był wszak zwierzęciem.

Javed śmiał się z niego.

– Żyj, człowieku. Ciesz się wszystkim, czym możesz. Życie nie potraktuje cię lepiej tylko dlatego, że teraz odmawiasz.

Maquin uśmiechał się wówczas i kręcił głową, patrząc na drobnego

wojownika.

Nikt mnie nie zjedna, myślał. Nikt mnie nie kupi. Nie pozwolę, by manipulowano mną jak jakimś przygłupem. Robię to, czego chcę, bo nie mam wyboru, ale nie dam się wciągnąć w ich gierki. Ci ludzie są moimi wrogami.

Jedyną osobą, która również nie przyjmowała nagród, był Orgull. Nie rozmawiali często, ale Maquin widział, że Orgull mu się przygląda. Byli braćmi w mieczu. Ich więź zadzierzgnęła się, gdy walczyli jako Gadrai, a umocniło ją to, co przeżyli w katakumbach Haldis. Nie było takiej siły na świecie, która teraz mogłaby ją zniszczyć. Maquinowi jednakże nie zależało na przyjaźni. Nie miał ochoty na nic, co mogło go odwieść od celu, który sobie wyznaczył.

Powinienem był próbować dopaść Jaela zaraz po tym, jak wyszliśmy z tuneli, myślał często. Powinienem, co? Zapomnij o tym. Zapomnij o przeszłości. Liczy się tylko to, co dzieje się teraz i co wydarzy się za chwilę.

Czasami podczas treningów widywał grupy ludzi, którym skuto ręce z kostkami, prowadzonych ku wejściu do podziemi. Doskonale znał te spojrzenia. Widział w nich głód, rozpacz, desperację, ale czasem mignęła mu nadzieja. Regularnie zwożono ich na Trzy Wyspy, by w jamach nigdy nie zabrakło ludzi do zabijania. Żaden z nich nie miał pojęcia, co go czeka, gdy zostanie zepchnięty do jamy. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy z czekającego go koszmaru.

Minął niemalże księżyc od ostatniej walki w jamie. Trwał wieczór, a Maquin siedział na swojej pryczy z podciągniętymi wysoko kolanami i maczał kromkę ciemnego chleba w pikantnej zupie. Ich komnaty przypominały mu nieco wielkie stajnie w Mikil, gdyż też miały wyjście na wspólny dziedziniec, otoczony żelaznym płotem. Za ogrodzeniem, kawałek za miastem, znajdował się ich plac treningowy. Zdarzało się, że przychodzili tu ludzie z miasta, by przyglądać się wojownikom z jam, a czasem z nimi rozmawiać. Były to głównie dzieci, które naśladowały walczących. Niektórym spośród dziesiątki gladiatorów podobała się ich uwaga – podchodzili do płotu, rozmawiali i żartowali z gośćmi – ale Maquin nigdy się na to nie zdobył. Za każdym razem, gdy zauważył jakiś ruch za kratami, cofał się do swojej celi i chował wśród cieni.

Naraz zagrzehotała otwierana brama. Maquin, nie wypuszczając miski oraz chleba, wstał, by zobaczyć, kto przybył. Na dziedziniec wszedł Herak w asyście dwóch wojowników.

– Chciałem wam powiedzieć, że to wasza ostatnia noc na wyspie – oznajmił. – Wkrótce otrzymacie wszystko, za czym już niebawem zatęsknicie. Żarcie, wino i kobiety!

Większość mężczyzn odpowiedziała okrzykiem radości.

– A gdzie nas zabieracie? – spytał ktoś.

Javed, któż by inny, pomyślał Maquin.

– Do Tenebrału. – Herak uśmiechnął się złośliwie.

Rozdział osiemdziesiąty siódmy

CORBAN

Corban potknął się ponownie, ale ktoś go złapał.

– Naprzód! – warknął głos przy jego uchu.

Chłopak był wyczerpany. Od chwili, gdy usłyszeli wycie wilkuna, minęła już cała doba, a jego porywacze nie zatrzymywali się ani na moment. Był przekonany, że usłyszał Burzę, choć wiedział, że w tych górach grasowały również inne wilkuny.

A może ja po prostu wierzę w to tak mocno, że nie przyjmuję żadnego innego rozwiązania, rozmyślał. Nie. To była ona.

O ucieczce mógł zapomnieć. Braith miał pod swoimi rozkazami w sumie piętnastu zahartowanych wojowników, choć naraz nigdy nie towarzyszyło mu więcej niż dwunastu. Kilku z nich zawsze rozpoznawało teren przed nimi bądź strzegło ich pleców. Ponadto jeden z ludzi Braitha, wysoki, długonogi mężczyzna ze zmierzwioną brodą i włosami, prowadził dwa psy, równie smukłe i zwinne jak on.

Trudno było odgadnąć, czy wyczuwają bliskość Burzy czy też nie, ale utrzymywały szybkie tempo, jakby zawzięły się, by przegonić każdy ewentualny pościg.

Mama obedrze mnie ze skóry, myślał Corban. Jak mogłem dać się tak złapać? Przecież ona nie przestaje się o mnie zamartwiać...

Nadal było ciemno i przenikliwie zimno. Gdy zrobiło się na tyle widno, by można było ujrzeć poszarpane górskie szczyty, Corban uświadomił sobie, że zaczęło śnieżyć. Opadające wolno płatki przypominały białe liście. Grupa Braitha zbliżała się właśnie do końca serii wąskich wąwozów, którymi przemierzyli góry, a po drugiej stronie czekały na nich szersze ścieżki, prowadzące od tej pory już tylko w dół.

Pokonaliśmy góry, myślał chłopak. Wkraczamy do Cambrenu.

Braith szedł na czele. Na oczach Corbana przywołał do siebie kolejnego człowieka i posłał go w kierunku, z którego przyszli, czym zresztą zajmował się przez całą drogę. Banita, który do tej pory strzegł tyłów grupy, miał po chwili do nich dołączyć.

Potem Braith wyciągnął kawałek chleba, rozłamał go i rzucił ogarom, które, warcząc na siebie, zaczęły walkę o kęski.

Padało coraz mocniej. Białe płatki tańczyły i wirowały z podmuchami wiatru, a śnieg niebawem zaczął się kleić do podeszw butów, wyciszając ich kroki.

Corbana wkrótce przepchnięto na czoło grupy. Jego własny oddech, chrapliwy i wyteżony, oraz bicie serca stawały się coraz głośniejsze i wypełniały całą jego świadomość. Minęła więc dłuższa chwila, nim sobie uświadomił, że nikt z tylnej straży do nich nie dołączył. Braith chyba również to zauważył, gdyż zaczął spoglądać przez ramię.

Szli teraz przez absolutnie nieruchomy sosnowy las. Gałęzie ugiwały się pod ciężarem śniegu, a otaczająca ich cisza wydawała się niesamowita, wręcz przeniesiona z innego świata. W ich grupie zagościł niepokój. Corban widział to w napiętych mięśniach banitów, na ich twarzach i w nerwowych spojrzeniach. Wyczuwał to w tempie, które zwiększyło się jeszcze bardziej.

Przez ścieżkę przemknął jakiś niewyraźny kształt i znikł wśród cieni, rzucanych przez gałęzie drzew. Corban uniósł głowę i odprowadził go wzrokiem, patrząc, jak przeskakuje z drzewa na drzewo, to widoczny, to znowu nie. Uśmiechnął się zimno.

Nagle jeden z ogarów zatrzymał się, odwrócił i zastrzygł uszami. Ludzie również zareagowali. Zerkali przez ramię i usiłowali przebić wzrokiem śnieżycę. I naraz Corban dostrzegł białą zjawę, sadzącą susami między pniami drzew. Ujrzał jej otwartą paszczę i długie kły.

Nadciągała Burza.

Za nią ujrzał kolejne postacie, na pierwszy rzut oka przypominające wilkuny, ale bardziej wyprostowane. Jeden z nich trzymał młot wojenny.

Farrell i Coralen w skórach wilkunów.

Burza wpadła na najbliższego banitę i przewróciła go w śnieg. Trysnęła fontanna krwi, obie postacie przetoczyły się, znieruchomiały. Wilkunica

się poderwała. Jej paszcza ociekała krwią. Mężczyzna już się nie podniósł.

Braith wykrzyknął kilka rozkazów, pochwyił Corbana i zaczął go ciągnąć za sobą. Ogary zawróciły i rzuciły się na Burzę. Paru banitów złapało za broń, inni ruszyli za Braithem i jego jeńcem. Chłopak usłyszał za sobą warknięcia i krzyki, potem skamlenie psa i szczęk oręza.

– Nie! – zawołał i rzucił się w bok, ale ze związanymi rękami nie utrzymał równowagi i wywrócił się ledwie po kilku krokach. Twarzą uderzył w śnieg i sosnowe igły.

– Wstawaj! – warknął Braith, który nachylił się nad nim. Złapał go i podniósł, a potem rąbnął w brzuch, zdzielił w twarz i przyłożył mu nóż do gardła. – Upuszczę ci krwi, jeśli jeszcze raz spróbujesz dać nogę – wysyczał. – Rhin powiedziała, że chce cię żywego, ale z twojej śmierci pewnie też się ucieszy. Rozumiesz mnie?

Corban pokiwał głową. Zimna stal paliła go w skórę. Po szyi ściekała strużka gorącej krwi.

– No to ruszamy! – warknął Braith, po czym zarzucił jakąś linę na więzy chłopaka i pociągnął go za sobą.

Corban zatoczył się i ruszył za banitą, ale udało mu się spojrzeć za siebie. Między drzewami miały się jakieś postacie, migotała wznoszona stal. Skamlał zabijany pies. Gdzieś przemknął inny kształt, szybki i zwinny, bardziej przypominający rozszalałego śnieżnego upiora aniżeli człowieka. Corban doskonale znał ten styl walki. Śmignęła stal, trysnął czerwony łuk, na śniegu wylądowały szkarłatne perełki krwi.

– Dalej! – Braith wymierzył mu mocne kopnięcie i chłopak pobiegł za nim, zataczając się i potykając. Świsnęła strzała, która wbiła się w ciało jednego z ludzi banity.

Dath.

Drzewa nagle przerzedziły się i znaleźli się na nagim zboczu. Zalegający wszędzie śnieg sięgał im po kostki. Corban dostrzegł w oddali zarys szarych murów i ciemnych wież, przesłoniętych śnieżycą.

Dotarli do Dun Vaner.

Braith wykrzyknął kolejne rozkazy. Następni banici porwali za broń i obrócili się ku ścigającym. Znow rozległy się dzikie wrzaski i szczęk zderzającego się oręza.

Nie będę uciekał do Rhin! Nie chcę zostać więźniem! Nie mam ochoty

na tortury i śmierć! – pomyślał Corban i podjął decyzję.

Rzucił się na Braitha i kopnął go w kostkę. Mężczyzna przewrócił się i potoczył w dół zbocza, wypuszczając z ręki nóż. Corban, który również upadł, podniósł się niezgrabnie, pognął za zatrzymującym się już banitą i kopnął go w żebra. Ten jednak złapał chłopaka za stopę i pociągnął go za sobą.

Corban zerwał się na kolana. Zamierzył się związanymi rękami na Braitha, ale zamiast rąbnąć go w twarz, trafił go w ramię, przewrócił, posłał w dół zbocza. Sam przy tym znów stracił równowagę i poturlał się w ślad za banitą, który zdążył złapać go za włosy i szarpnąć ze wszystkich sił. Drugą ręką pochwycił Corbana za gardło. Żyły chłopaka nabrzmiały. Krew dudniła mu w głowie niczym kopyta rozpędzonego konia, a przed oczami pojawiły się mroczki, przyćmiewając cały obraz. Wierzgnął, szarpnął się, a potem z całej siły walnął przeciwnika kolanem w brzuch. Ucisk palców na jego gardle natychmiast zelżał i uwolniony Corban odtoczył się. Zdołał się podnieść i zrobić kilka kroków do tyłu, w górę zbocza, ku swoim przyjaciołom.

Widział ich już między drzewami, jak walczyli z ludźmi Braitha. Widział Burzę, jak czai się i napina mięśnie, patrząc na jednego z banitów oraz jego psa, którzy usiłowali ją zająć z obu boków. Widział Coralen, która płynnym piruetem zachodzi innego banitę z tyłu i przecina mu ścięgna żelaznymi szponami. Widział swą matkę, która włócznią odpiera nawałnicę ciosów zadawanych mieczem. Widział Gara, który przypada i jednym ciosem odrąbuje jej przeciwnikowi głowę.

Zmusił się do biegu. Z największym trudem pędził w górę zbocza, choć płuca mu płonęły, a przypominające łoskot kopyt dudnienie stawało się coraz głośniejsze. Ktoś krzyczał za jego plecami. Braith? Chłopak odwrócił się i uzmysłowił sobie, że ów odgłos końskich kopyt wcale nie bierze się z jego głowy. Ujrzał jeźdźców wyłaniających się ze śnieżycy, jeźdźców uzbrojonych w długie włócznie, którzy ruszają prosto na niego.

Braith pokazywał go i krzyczał. Chłopak odwrócił się i rzucił do biegu, zdobywając się na ostatni wysiłek, by dopaść do drzew i znaleźć się wśród przyjaciół.

Wtedy ktoś rąbnął go czymś ciężkim w plecy. Runął na twarz w śnieg.

Próbował się podnieść, ale ktoś złapał go i dźwignął. Chwilę później

został przerzucony przez siodło. Ktoś uderzył go w głowę i cały świat zawirował. Gdzieś go wieziono. Uderzenia kopyt o ziemię przesywały jego ciało. Skądś dobiegł krzyk, wysoki i przenikliwy. To była jego mama. Wołała go po imieniu. Uniósł głowę i usiłował ją odwrócić, ale wtedy ktoś znowu go zdzielił i opuściły go wszystkie siły.

Nie słyszał już odgłosów walki, nie słyszał niczego. Zauważył jedynie, że kopyta końskie, zamiast o śnieg, biły już o bruk. Przejeżdżał przez jakąś bramę, a za nim zamykano wielkie wrota.

Rozdział osiemdziesiąty ósmy

TUKUL

Tukul otulił się mocniej płaszczem i spojrzał z niechęcią na góry, ledwie widoczne w gęstym śniegu. Śnieżycą rozpoczęła się o świcie i jeszcze nie ustała.

Nie znoszę śniegu. Nie przeszkadza mi deszcz, zimno, upał, ale śnieg... Nie, nie znoszę go. Spojrzał ku niebu. Wybacz mi, Elyonie. Wiem, że to część twego dzieła, ale...

W Telassar zawsze było ciepło, nawet zimą. Nawet w Drassil śnieżycę nie dokuczały im zbytnio, gdyż chroniły ich gęste korony drzew. Wiele płatków śniegu przemykało między gałęziami, ale nie było ich tyle, by stanowiły problem.

Nie tak, jak tu.

Spojrzał w dół i ujrzał, że kopyta jego konia zapadają się w śnieg aż po pęciny.

Jechał obok Meicala, a kolumna Jehar ciągnęła się daleko za nimi. Od starcia pod Dun Carreg przebyli ponad sto mil. Przejechali cały Ardan i Narvon, a potem zagłębili się między łagodne wzgórza, za którymi leżało Cambren. Tempo ich podróży spadło wówczas znacznie, gdyż Meical prowadził ich mniej znanymi ścieżkami, z dala od większych miast, wsi i siedzib, niemniej zawsze kierując się na Domhain. Raz jedynie natknęli się na grupę wojowników, zwiadowców królowej Rhin, którzy wracali do Narvonu. Meical zabronił im wówczas sięgać po broń i zasugerował, że najlepszym sposobem na pozyskanie jakichś informacji była, jest i będzie rozmowa.

Okazało się to stosunkowo proste, bo wojownikom Rhin wystarczył jeden rzut oka na Tukula i jego oddział, by uznać ich za część większych

sił, którzy najwidoczniej służyli królowi Tenebralu Nathairowi, a teraz jechali z armią królowej Cambrenu. Meical i Tukul zdołali ukryć swe zaskoczenie, a po krótkiej rozmowie każdy z oddziałów ruszył w swoją stronę.

– Jehar służy Nathairowi – syknął Tukul do Meicala, gdy znaleźli się już daleko. – Jak to możliwe?

– Powinienem był zwracać baczniejszą uwagę na Nathaira. – Meical pokręcił głową. – A był tuż pod moim nosem, przez cały ten czas, gdy doradzałem Aquilusowi. Zresztą historia trzyma się kupy, bo Nathair odwiedził przecież Tarbesh.

– To na pewno Sumur – stwierdził Tukul. – To Sumur im przewodzi. Zawsze stawał w opozycji do mnie. Trzeba było go zabić, gdy miałem taką możliwość.

– Czasu nie cofniesz – stwierdził Meical. – Przynajmniej dostaliśmy ostrzeżenie.

Od napotkanych wojowników dowiedzieli się też, że armia Rhin ruszyła na podbój Domhainu i była gdzieś przed nimi. Jehar kontynuowali więc podróż, aż dotarli do miejsca, z którego widać już było trakt olbrzymów i przełęcz prowadzącą do Domhainu. Niestety, strzegł jej zbrojny oddział, a traktem wędrowały wozy, wiozące zaopatrzenie w głąb kraju. Nie było sposobu, by tamtędy przejechać.

Omówili wszystkie możliwości i postanowili, że ruszą na północ i znajdą jakieś bezpieczne miejsce, a wtedy Meical znów powróci do szukania Corbana.

– Od dwudziestu lat układam plany, tropię ludzi godnych zaufania i przygotowuję się na tę chwilę – stwierdził Meical. – A teraz czuję się jak kurczak obrabiany na obiad. – Uśmiechnął się przy tym ponuro do Tukula.

– Cóż, Asroth też nie próżnował – odparł jego przyjaciel.

– W rzeczy samej – przytaknął Meical i pokręcił głową. – Byłem nazbyt ostrożny, nazbyt zachowawczy.

– Niemniej dalej stoimy po słusznej stronie, a bitwa bynajmniej się jeszcze nie rozstrzygnęła – rzekł Tukul.

Nigdy nie pogodzę się z porażką, pomyślał. Nie po to czekałem tyle lat, by teraz ponieść klęskę.

– Tak, to prawda. A Seren Disglair jest niedaleko, mój przyjacielu. Odnalazłem jego cień w Zaświecie i wytropiłem go. Jest gdzieś blisko. Pora więc, bym znów wyruszył na szlak w świecie snów. Tym razem już go nie zgubię.

Tukul nadal nie mógł się nadziwić temu, że Meical potrafi zapaść w sen tak głęboki, że wygląda, jakby umarł, i za nic w świecie nie można go zbudzić. Gdy zaś przytomniał, wyglądając przy tym, jakby walczył z samą śmiercią, oznajmiał, gdzie przebywa Seren Disglair. Raz powiedział, iż ten dotarł do Domhainu, później oświadczył, że znalazł się w Dun Taras, a następnie wykrył go na wschodzie i północnym wschodzie.

Przecież on nie pochodzi z tego świata, pomyślał Tukul. Czego ja oczekuję?

Tym razem Meical oznajmił, że Seren Disglair nadal przebywa w Domhainie, ale po przeciwnej stronie gór, i wędruje na północ.

Dziesięć dni później Meical, Tukul i reszta Jehar nadal zmierzali na północ, szukając sposobu, by wślizgnąć się do Domhainu. Meical twierdził, że zna drogę, ale będą musieli zachować wielką ostrożność.

– Jesteśmy blisko Dun Vaner – wyjaśnił, pochylając się w siodle.

Tukul odburknął jedynie, całkowicie ufając w osąd przyjaciela. Otaczała ich śnieżna biel i Jehar nie miał pojęcia, w jaki sposób Meical odnajduje drogę, ale w pewnym momencie, gdy śnieżycą przycichła na moment, przez moment widział w oddali górę, na której wyrastały ciemne, obwiedzione plamkami świateł mury, a nad nimi wznosiły się mroczne wieże.

Szarzało już, a niewyraźne, słabo widoczne słońce chowało się za góry. Jeźdźcy znaleźli miejsce na obóz w niewielkiej dolince za kępami brzoź i głogu.

– Dziś raz jeszcze spróbuję go znaleźć – oznajmił Meical, gdy skuleni usiedli wokół niewielkiego ognia.

Chwilę później Tukul uświadomił sobie, że oddech przyjaciela staje się powolny i płytki.

Znajdź Seren Disglaira, pomyślał. A wraz z nim mego syna.

Rozdział osiemdziesiąty dziewiąty

CORBAN

Dwóch wojowników ciągnęło Corbana przez wysoko sklepione korytarze, na ogół puste, choć w kilku salach chłopak dostrzegł wojowników, grzejących dłonie nad paleniskami. Wokół wyczuwał atmosferę pustki i rozpadu. Za sobą słyszał kroki trzeciej towarzyszącej im osoby. Był to Braith.

W końcu zawleczono go do niewielkiej komnaty, opromienionej słabym światłem wnikającym przez szczeliny między okiennicami. Płonęła tu pojedyncza pochodnia, która rzucała naokoło roztańczone cienie. Corbana ciśnięto na ścianę, w którą wmurowano dwa żelazne pierścienie. Do jednego przykuto jego dłonie, a do drugiego kostki.

Braith usiadł przy stole, nalał sobie do kielicha czegoś ciemnego i wypił trunek łapczywie. Rozparł się i wbił spojrzenie w jeńca.

– Czego Rhin od ciebie chce, co? – spytał w końcu.

– Co takiego? – wybełkotał chłopak.

Nadal było mu niedobrze i miał wrażenie, że słowa Braitha przebijają się doń przez wodę bądź szalejącą na zewnątrz śnieżycę. Były odległe i niewyraźne, wręcz zniekształcone.

Braith powtórzył pytanie.

Nie wiem, pomyślał Corban.

Spojrzał na zamknięte okiennice, myśląc o mamie oraz przyjaciółkach pozostałych na zboczach wzgórza. Czy dalej walczyli? A może udało im się uciec? Przez szczeliny do komnaty wlatywały zabłąkane płatki śniegu i leniwie opadały na posadzkę.

Do środka weszła kobieta niosąca tacę z chlebem, owocami, serem i wędliną. Żołądek Corbana głośno zaburczał, gdy Braith przystąpił do

posiłku.

– Masz – rzekł banita, podchodząc bliżej i podając mu kawałek chleba. – Po jatce, jaką ten wilkun oraz twoi przyjaciele urządzili moim ludziom, powinienem cię skazać na długą głodówkę, ale wydaje mi się, że Rhin będzie chciała z tobą porozmawiać, więc omdlewanie byłoby niewskazane.

Corban przeżuł podany mu kąsek. Chleb był nadal ciepły i smakował doprawdy wspaniale. Braith dał mu też łyka rozcieńczonego piwa.

– Dzięki – wyszeptał chłopak, gdy przełknął strawę i nabrał pewności, że jedzenie nie cofnie mu się z żołądka.

W międzyczasie Braith powrócił do wieczerzy.

– Uciekli? – wychrypiął Corban po chwili.

– Nie wiem – rzekł mężczyzna. – Przeżyło tylko dwóch spośród moich ludzi, w tym ten, którego posłałem, by przekazał Rhin, że jesteśmy blisko. Jeśli twoi przyjaciele rzucili się w porę do ucieczki, jeźdźcy zapewne nie ruszyli za nimi. Baliby się zasadzki wśród drzew.

Przetarł oczy. W komnacie zapadła cisza.

Z przeciwnego krańca pomieszczenia dobiegł stłumiony odgłos. To, co Corban w pierwszej chwili uznał za dekorację z nieoszlifowanych kamieni, okazało się drzwiami, które pchnięto od zewnątrz. Z ciemności wyłoniły się dwie osoby, obie dobrze chłopakowi znane.

Patrzył na Rhin, królową Cambrenu.

A także Narvonu i Ardanu, pomyślał.

Wydawała się jeszcze starsza niż podczas zgromadzenia na okoliczność Dnia Zimowego Przesilenia w Badun, kiedy Tull walczył z jej czempionem, Morcantem.

O tym, że Morcant nie pełni już tej funkcji, Corban przypomniał sobie dopiero na widok Conalla, który wszedł w ślad za królową.

Wojownik nie powiedział ani słowa, ale przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Conall odwrócił spojrzenie jako pierwszy. Corban nie miał pewności, co ujrzał w jego oczach. Bez wątpienia była tam duma, ale dopatrzył się też czegoś więcej. Niechęci, by dłużej patrzeć jeńcowi prosto w twarz? A może wstydu?

Corban przypomniał sobie dzień, gdy Conall wraz z Halionem przybyli do Dun Carreg. Pierwszy miecz Rhin wydawał się wówczas szczęśliwym,

niemalże beztroskim człowiekiem.

– Dobra robota, Braith – oznajmiła Rhin.

Banita padł przed nią na kolana i ucałował jej dłoń.

– Naprawdę się postarałeś – rzekła i dała mu znać, by powstał. – Nawet jeśli połowa moich jeźdźców leży teraz martwa na zboczach Vaner.

– Złapaliście jego towarzyszy? – spytał Braith.

– Nie. Rozesłałam ludzi na poszukiwania, ale nie mam ich wystarczająco wielu, by podołali zadaniu. Większość z nich zajmuje się teraz podbijaniem Domhainu.

– Mogę wziąć oddział i poszukać ich. Znam okolicę.

– Może to dobry pomysł. – Rhin pokiwała głową. – Jeśli Edana przebywa w pobliżu, szkoda by było pozwolić jej uciec.

A więc sądzi, że podróżuję z Edaną, przemknęło chłopakowi przez myśl.

– Czyli to ty jesteś Corban – powiedziała królowa, odwróciwszy się ku niemu. Nie było to pytanie. – Pamiętam cię z Badun. Choć w sumie nie tyle ciebie, co chłopca, który oswoił wilkuna.

Ona nie jest oswojona, pomyślał Corban.

– Powinnam była poświęcić ci więcej uwagi, ale miałam sporo spraw na głowie. Słyszałam, że twoja wilkunica podrosła i pasjami rozszarpuje ludzi na kawałki w moich lasach.

A więc żyje!

Serce Corbana zalała ulga. Nagle ośmielony, otworzył usta i zadał dręczące go pytanie:

– Gdzie jest Cywen?

– Cywen? – spytała Rhin.

Corban poczuł napływ rozpaczy. Królowa nie miała pojęcia, o kogo mu chodziło.

Wtedy Conall szepnął jej coś do ucha.

– Ach, twoja siostra, tak? Zmierza właśnie do Murias. Tu jej nie znajdziesz – rzekła królowa. – O to ci chodziło? Szukałeś sposobu, by odnaleźć swą siostrę, gdy Braith przydybał cię w górach? To niebywale szlachetne!

Podeszła bliżej i przesunęła ostrym paznokciem po jego szczęce, a potem w dół, po szyi i piersi. Chłopak cofnął się jak najdalej mógł i próbował ją kopnąć, ale żelazne kajdany przytrzymały jego kostki.

Murias.

– Cóż za walory! – szepnęła.

Stała na tyle blisko, że mógł wyczuć miód w jej oddechu.

Czyżby popijała? – zastanowił się.

– Co chcesz ze mną zrobić? – spytał na głos.

– Nie mam pewności – odparła Rhin. – Na razie. Ale znam ludzi, którzy wiele by za ciebie dali, a to wzbudziło moją ciekawość. Opowiedz mi o sobie, Corbanie z Dun Carreg. O swojej rodzinie i przyjaciółach. Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

* * *

Przebudził go pulsujący ból nadgarstków.

Gdzie ja jestem?

Zamrugał oczami i ujrzał kocioł nad niewielkim ogniem. W środku bulgotała woda.

Rhin.

Nagle powrócił do niego ból, najpierw nadgarstków – zwisał przecież na żelaznych kajdanach, które utrzymywały jego ciężar – a potem żeber i nerek, obitych przez Conalla.

– Trzeba było powiedzieć jej wszystko, co wiesz – poradził mu Braith.
– Ona i tak wydobędzie z ciebie wszystko, co jest jej potrzebne, a więc mógłbyś sobie po prostu oszczędzić bólu.

– Gdzie ona jest? – spytał Corban.

Rozprostował kolana i powstał, by ulżyć nadgarstkom. Czuł, jak krople krwi spływają po jego przedramionach.

– Nie martw się, niedługo wróci.

Do jego świadomości przedarł się nowy odgłos. Coś zastukało cicho o drewno. Uniósł głowę ku zamkniętym okiennicom znajdującym się wysoko na przeciwległej ścianie. Przez szczeliny przenikało światło, a od czasu do czasu zabłąkał się tamtędy płatek śniegu. Niespodziewanie przemknął tam też jakiś cień, który na moment zasłonił blask. Znów rozległ się stukot, a potem krakanie.

Craf?

Wtedy znów rozchyliły się sekretne drzwi i do środka weszła Rhin,

a wraz z nią Conall. Królowa podeszła do kotła i wrzuciła coś do środka. Buchnęła kwaśna para, a po komnacie rozszedł się intensywny zapach ziół.

– Przytrzymajcie kocioł blisko niego – przykazała Conallowi i Braithowi.

Mężczyźni złapali naczynie za uchwyty i podeszli z nim do jeńca. Corban chciał je kopnąć, ale powstrzymały go łańcuchy. Buchająca ze środka para owionęła jego twarz, wdarła się do ust i nosa, podrażniła oczy. Corban zacisnął wargi i wstrzymał oddech.

– Uparciuszek – oznajmiła Rhin z krzywym uśmiechem na ustach.

Po chwili płuca Corbana zaczęły płonąć z bólu, bicie serca stawało się coraz głośniejsze. W końcu nie mógł już wytrzymać i nabrał tchu, kręcąc przy tym gwałtownie głową w desperackiej próbie rozgonienia mgły. Nic to nie dało, bo wnet poczuł gorzki posmak w gardle, a w jego piersi rozlało się ciepło, promieniejące na całe ciało. Niespodziewanie ogarnął go niebiański wprost spokój. Nie przypominał sobie, kiedy po raz ostatni był tak odprężony.

– No i dobrze – oznajmiła Rhin. – Odstawcie kocioł. Corbanie, spójrz na mnie.

Chłopak uświadomił sobie, że odwrócił głowę i wbił wzrok w starą królową.

– Grzeczny chłopiec – rzekła. – A teraz powiedz mi, gdzie jest Edana.

Znów zacisnął usta. Nie miał najmniejszego zamiaru zdradzić jej niczego. Bez trudu zniósł razy Conalla, koncentrując się i oczyszczając swój umysł z wszelkich emocji, czego nauczył go Gar podczas tańca miecza. Był gotów znieść je ponownie.

Rhin niczego ze mnie nie wyciągnie, obiecał sobie.

– W Domhainie – usłyszał własny głos. – Z armią Ratha.

Rhin zachichotała.

Bynajmniej nie poprzestała na tej informacji. Zadawała mu pytanie za pytaniem, a Corban za każdym razem słyszał odpowiedzi wygłaszane własnym głosem, zupełnie jakby jego ciałem zawładnął zdrajca. Królowa kazała mu opowiadać o jego rodzinie i przyjaciółach, a Corban słuchał samego siebie, jak mówi jej o Garze, jego zakrzywionym mieczu i niezwykłym talencie szermierczym, o Dathu i Farrellu, a na końcu o Coralen.

Wówczas Rhin przerwała na moment przesłuchanie i przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

– Wszystko to jest bardzo ciekawe, ale wciąż nie wiem, dlaczego jesteś kimś tak szalenie interesującym dla Nathaira. Dlaczego on poświęca ci tyle uwagi? – zamyśliła się.

– Bo Gar uważa mnie za Seren Disglaira – usłyszał swój głos.

Rhin złapała go za podbródek zaskakująco silnymi palcami i spojrzała mu uważnie w oczy.

– Powtórz to – rozkazała.

Powtórzył.

Królowa otworzyła szeroko oczy i wypuściła go.

– Czy to możliwe? – szepnęła. Wydawała się jednocześnie podekscytowana, jak i przestraszona.

Przez dłuższą chwilę chodziła po komnacie, pogrążona w rozmyślaniach, aż powiedziała do siebie:

– Istnieje tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć.

Następnie nakazała, by kocioł znów zawieszono nad ogniem i wyszła z pomieszczenia. Powróciła, nim na powierzchni wody pojawiły się pierwsze bąble. Wrzuciła coś do środka, a wówczas para gwałtownie pociemniała, a po komnacie rozszedł się słodkawy zapach zgnilizny.

– Przysuńcie kocioł do niego – powiedziała, siadając na krześle obok Corbana. – Ale tak, byśmy tym razem mogli oboje wdychać opary.

Wyciągnęła zza pasa nóż i nacięła ramię chłopaka, po czym zlizwała jego krew, rozsmarowała sobie ją na wargach i wyszeptała kilka nierozpoznawalnych dla niego słów.

– Teraz oboje zaśniemy – zwróciła się do Conalla. – Dopilnuj, by nikt nas nie obudził.

W kotle znów zabulgotało. Para z sykiem rozchodziła się po komnacie, falowała, otaczała ich zewsząd. Corban próbował wstrzymać oddech i odwrócić się, ale nie był w stanie uniknąć pary, która otaczała go i wdzierала się do jego ciała. Widział coraz słabiej, zewsząd nadciągała ciemność.

* * *

Rozejrzał się. Znalazł się w szarym świecie, gdzie ziemię zasnuły mgły, a na niebie zawisły gęste chmury w kolorze żelaza.

Już tu kiedyś byłem, pomyślał. W moich snach.

Poczuł dreszcz na wspomnienie tego, co wtedy ujrzał. Przez jego umysł przemknął kalejdoskop scen, zasnutych mgłami krajobrazów oraz wojowników o srogich oczach.

Coś szarpnęło go za ramię. Spojrzał w bok i uświadomił sobie, że obwiązano je szkarłatnym sznurem, trzymanym przez piękną, surową kobietę z czarnymi włosami, które niczym rzeka spływały po jej ramionach. Uśmiechnęła się do niego krzywo, a wówczas ją rozpoznał.

Patrzył na Rhin.

– Tędy – oznajmiła i znów szarpnęła za sznur. Podążył za nią, a mgła rozstępowała się przed jego stopami. Próbował się opierać, ale uświadomił sobie, że nie jest w stanie.

Szli wzdłuż czarnej, płynącej prosto rzeki. Od czasu do czasu dostrzegał wśród jej wód jakiś ruch. Między falami prześlizgiwały się szerokie, wijące się kształty, co świadczyło o tym, że w głębinach kryje się jakaś wielka istota.

Spośród mgieł na horyzoncie wyłoniła się góra. W jej długim, mrocznym cieniu wyrastała ogromna, trudna do rozpoznania budowla.

Corban uniósł głowę. Na niebie uwijały się skrzydlate postacie, niektóre ledwie widoczne pośród chmur, inne bliższe, wyraźniejsze. Krążąc, opadały w dół, a wówczas chłopak dostrzegł, że są to wojownicy o jasnej skórze, uzbrojeni w tarcze, miecze lub włócznie. Ich skrzydła przypominały rozciągnięte, skórzaste błony.

Znam ich, pomyślał. Goniły mnie w moich snach, walczyły o mnie. Znalazłem się w Zaświecie.

Miał wrażenie, że lęk za moment całkiem go sparaliżuje. Ziemia drżała, gdy wojownicy z błoniastymi skrzydłami lądowali naokoło niego, a potem zbliżali się do nich, by uformować milczącą eskortę.

Wnet dotarli do budowli, wyrastającej w cieniu góry. Z bliska widać było, że to wielka kopuła ze zwieńczonymi łukiem wrotami, których strzegły wysokie kolumny. Zadziwiony Corban dotknął bliższej, ale natychmiast cofnął rękę, gdyż konstrukcja wydawała się pulsować, jakby była żywą, oddychającą istotą. Strząsnął maź, która została mu na palcach.

Weszli do długiego tunelu, gdzie odkrył, że cała budowla wydaje się być zbudowana z tego samego surowca. Przez cienkie ściany przenikało mętne światło. Grube kolumny wzmacniające ściany przypominały ogromne żebra, choć pulsowały, jakby przepływała przez nie krew.

Niebawem tunel się skończył i dwoje gości w Zaświecie trafiło do ogromnej, krytej kopułą sali. Tu i ówdzie wyrastały potężne, sięgające dachu słupy. Między nimi ujrzeli kolejne skrzydlate istoty, które milkły na widok Corbana oraz Rhin i ustępowały im z drogi.

Dotarli do szerokich schodów, które ciągnęły się na całą szerokość sali. Ruszyli ku górze, a zgroza w sercu chłopaka narastała z każdym pokonanym stopniem.

Zatrzymali się na samym szczycie. Rhin zrobiła jeszcze kilka kroków i uklękła przed znajdującym się tam tronem i zasiadającą na nim istotą. Oparła dłonie na ziemi i przytknęła do niej czoło.

Corban zaś wpatrywał się ze zgrozą w to, co ujrział. Tron wydawał się wykonany z tej samej materii co reszta budowli, a jego nogi i oparcie przypominały zwoje wielkiego węża bądź białożmija, którego widział w podziemiach pod Dun Carreg. Nie chciał spoglądać na istotę, zasiadającą na tronie, coś w jego duszy krzyczało, by odwrócił spojrzenie i uciekał co sił w nogach, ale lęk nie pozwolił mu na wykonanie choć kroku. Opierał się ze wszystkich sił, lecz w końcu uniósł głowę.

Na tronie zasiadał ogromny, skrzydlaty mężczyzna w czarnej, oleistej, niemalże płynnej kolczudze. Podobnie jak pozostali miał jasną, prawie alabastrową cerę, poznaczoną ciemnymi żyłami. Na jego kolanach spoczywał miecz, znad ostrza którego unosił się dym, ale dłuższych obserwacji Corban poczynić już nie zdołał, gdyż jego spojrzenie natychmiast przyciągnęła twarz nieznajomego. Była blada niczym mleko, ostra, kanciasta, wręcz wyczelowana, chłodna, a jednocześnie przystojna. Srebrne włosy siedzącego na tronie mężczyzny zostały splecione w warkocz wojownika, spływający po jego ramieniu. Uwagę chłopaka pochłonęły jednakże całkowicie jego oczy, czarne niczym toń leśnego jeziora o północy. Nie miały źrenic ani tęczówek; wydawały się składać całkowicie z pulsującej, tętniącej zawiści. Corban miał wrażenie, że czai się w nich śmiertelne niebezpieczeństwo, ledwie poskramiana furia.

Spojrzenie czarnych oczu obcego padło na kobietę oraz chłopaka.

Corbanowi wydawało się, że na jego brzuchu zacisnęła się lodowata dłoń.

– Na kolana! – warknął ktoś za nim i uderzył go w wewnętrzną część kolan. Chłopak padł na ziemię.

– Cóż mi przynosi moja wierna służka? – spytała istota na tronie.

– Wielki dar, mój panie – odparła kobieta, nie unosząc wzroku. – Wydaje mi się, że odnalazłam awatara naszego wroga. Oto Seren Disglair.

Istota pochyliła się, wpijając spojrzenie w Corbana. Pociągnęła nosem, a pomiędzy jej warg wysunął się czarny język, by posmakować powietrze.

– Tak, to on. Rozpoznaję jego smród! – oznajmił i roześmiał się. – Rhin, zostaniesz sownie wynagrodzona!

– Kim bądź czym jesteś? – szepnął Corban, choć w głębi duszy czuł, że zna odpowiedź. Imię zbliżało się do niego niczym mroczny ptak przedzierający się przez chmury.

– Już się kiedyś spotkaliśmy. Nie poznajesz mnie? – spytał obcy o czarnych oczach, po czym uniósł się z tronu.

Szedł z niewysłowionym wdziękiem, choć ziemia drżała pod każdym jego krokiem. Machnął dłonią, a wówczas jego ciało zamigotało i zaczęło ulegać przemianom. Po chwili chłopak patrzył już na starszego, wciąż przystojnego mężczyznę ze starannie przyciętą brodą. Jego oczy otaczały zmarszczki od częstych uśmiechów. Skrzydła znikły bez śladu, a ich miejsce zajął podniszczony, stary płaszcz. Oczy miał żółte.

Tak, Corban od razu go sobie przypomniał.

– Widziałem cię przy kamieniu przysięg w Baglunie.

– Tak, zaproponowałem ci wtedy przyjaźń. Patronat! Dałem ci szansę, byś stanął po mojej stronie. Cóż, szansa minęła raz na zawsze. Znalazłem sobie kogoś innego.

– Nie rozumiem.

– Och, rozumiesz, a jakże. Choć nie chcesz. Wy ludzie jesteście wszyscy tacy sami. Gotowi żyć w zakłamaniu i pogodzić się z każdym kłamstwem, które okaże się ładniejsze od prawdy. To jedna z cech, które w waszej rasie naprawdę kocham.

W jego dłoni kołysał się miecz.

– Kim jesteś? – powtórzył Corban, wciąż mając nadzieję, że nie usłyszy

tego, czego się spodziewa.

– Jestem Asroth. Zwań mnie Niosącym Światło, Upadłym i Śmiercią Narodów – rzekł nieznajomy. – Jestem śmiercią was wszystkich.

Wyciągnął rękę i położył dłoń ze zniszczonymi paznokciami na ramieniu Rhin. Ciało królowej przeszył dreszcz.

– Wstań – rzekł do niej. – Musisz powrócić do świata materialnego i zabić go. Musisz wyciąć serce z jego ciała. Ja zatrzymam tu jego duszę i zajmę ją rozmową do chwili, gdy zrobisz to, co do ciebie należy.

– Jak sobie życzysz, mój panie – rzekła Rhin.

Naraz ścianami kopuły wstrząsnął długi, niesamowity dźwięk, w którym dopiero po chwili Corban doszukał się podobieństwa do ryku rogów.

– Do broni! – krzyknął ktoś, gdy odgłos ucichł.

Rozległ się ogłuszający trzask – jakby naraz strzelono z tysiąca biczów – gdy wszystkie obecne w kopule istoty rozłożyły skrzydła.

To Kadoshim, uświadomił sobie Corban. Zastęp aniołów, który upadł wraz z Asrothem.

Gdzieś na kopule, wysoko nad ich głowami, rozległa się głucha eksplozja, a w dół poleciały odłamki tworzywa, z którego wykonano budowlę. Przez powstałą w suficie dziurę wpadła gromada wojowników z wielkimi, białymi skrzydłami. Jeden cisnął włócznią, która wbiła się w ziemię między Corbanem a istotą zwącą się Asrothem. Włócznia zakołysała się od impetu uderzenia.

Istota znów zamigotała, zmieniła kształt i rozłożyła skrzydła.

– Jak śmiecie się tu pojawiać! – warknął Asroth i wycelował czarnym mieczem w górę, a potem z dzikim wrzaskiem furii runął ku najeźdźcom.

Uszy Corbana zapiekły bólem.

Nowo przybyli, wyjąc jak szaleni, rzucili się na wojowników Asrotha. Było ich o wiele mniej od Kadoshim, ale mieli po swojej stronie przewagę wysokości i zaskoczenia, dzięki czemu przebili się przez pierwsze fale demonów. Nim Corban zdołał choćby drgnąć, kilku spośród nich wyładowało i utworzyło wokół niego krąg tarcz i ostrzy.

Poczuł szarpnięcie za ramię. Obrócił się i zobaczył, że Rhin, która zbiegła już kilka stopni w dół, ciągnie za czerwony sznurek, przywiązany do jego ramienia. Jeden z wojowników spostrzegł to i chlasnął sznur mieczem. Rozległ się trzask i sznur pękł w eksplozji krwi. Rhin padła na

plecy i stoczyła się po schodach, niktąc wśród walczących.

Corban zaś, drżąc na całym ciele, nabrał tchu i poczuł, jak przepelnia go nowa energia. Jeszcze chwilę temu był sparaliżowany strachem, ale teraz chciał tylko walczyć. Nieopodal upadł anioł z wielką raną w piersi, z której sączyło się coś ciemnego i śluzowatego. Obok jego drżących, białych skrzydeł leżała porzucona włócznia.

Corban pochwycił za broń. Była lżejsza, niż sądził, a drzewce okazało się gładkie i ciepłe. W twarz chłopaka uderzyła fala powietrza. Uniósł głowę i ujrzał jednego z Kadoshim, bijącego mocno skrzydłami, nurkującego, by wyrwać go z kręgu obrońców. Corban pchnął włócznią, przekłuł wyciągnięte ku niemu ramię i przeorał ostrzem wrogą pierś. Skrzydlaty demon wrzasnął, uderzył skrzydłami i wzniósł się błyskawicznie, a Corban wyrwał broń, uwalniając strugę jakiejś cieczy.

Wrzaski i okrzyki bojowe, niosące się echem pod kopułą, były tak głośne, że Corban naraz nabrał ochoty, by zwinąć się na podłodze i zasłonić uszy. Wszędzie trwała zaciekle bitwa, a przez dziurę wpadali coraz to kolejni wojownicy o białych skrzydłach.

To Ben-Elim, anioły Elyona. Czy mi się to śni? – zastanawiał się.

Jak na sen, wszystko wydawało się przerażająco realne. Mógł wszystkiego dotknąć, a nawet czuł zapachy towarzyszące walce. Skrzydlaci wojownicy zmagali się w powietrzu, szarpali, wirowali i cięli, co rusz któryś spadał na ziemię. Słudzy Asrotha z furią napierali na obrońców Corbana, zderzały się ostrza, spadały odcięte kończyny, a czarna jucha, która najwyraźniej pełniła u nich rolę krwi, lała się strumieniami.

Naraz nad jego głową pojawił się kolejny cień, a w twarz chłopaka znów uderzyły fale powietrza. Uniósł głowę i dostrzegł jasną skórę oraz ciemne włosy, a nad nimi wspaniałe, białe skrzydła. Chwilę później wystrzelił w górę tak szybko, że aż mu się zakreśliło w głowie. Pozostali wojownicy zlecieli się bliżej i uformowali klin, który pomknął ku dziurze w suficie kopuły.

Corban czuł, że demony uderzają w nich ze wszystkich stron. Kątem oka ujrzał jakieś skórzaste skrzydło, skądś dobiegał ochryply pisk, skądś indziej syk. Któryś z Ben-Elim, lecący blisko Corbana, runął w dół, pchnięty w plecy z taką siłą, że wrogie ostrze wyszło mu z piersi, ale reszta wzbijała się ku górze, coraz wyżej i wyżej, aż przemknęli przez dziurę w kopule

i popędzili ku niebu. Białe skrzydła tłukły powietrze i niebawem Corban miał już wrażenie, że zaraz będzie mógł dotknąć chmur. Osłaniała ich garstka Ben-Elim, a pozostałe wycofywały się znad dachu malejącej w oczach kolumny, nadal odcinając się odwiecznym wrogom.

Corban spojrzał na wojownika, który go niósł. Podobnie jak pozostali miał ciemne włosy i jasną skórę, pod którą rozchodziły się ciemne nici żył. Na twarzy, ostrej, z wysokimi kośćmi policzkowymi, ciągnęła się blizna po ciosie pazura. Jego oczy były również ciemne, ale nie czarne jak u Kadoshim. Dostrzegając w nich purpurową nutę, co obudziło w nim kolejne wspomnienie, niewyraźne, niemożliwe do przywołania.

– Kim jesteś? – spytał.

Wojownik przyglądał mu się przez moment, po czym rzekł:

– Przyjacielem w chwili rozpaczy.

Rozdział dziewięćdziesiąty

CORALEN

Coralen wpatrywała się z wściekłością w mury Dun Vaner, ledwie widoczne pośród śnieżycy.

Niewiele brakowało, by odbili Corbana! Nie mogła się pogodzić z tym, że po tak desperackim, wytężonym pościgu i zacieklej walce w lesie i na zboczach, ludzie Rhin sprzątnęli im chłopaka niemalże sprzed nosa. Była wycieńczona, zniechęcona, ale również wściekła.

Nie chciała teraz zawracać. Przecież byli tak blisko! W chwili, gdy zjawiły się posiłki z Dun Vaner, większość ich przeciwników wykrwawiała się już na śmierć w śniegu. Walka z jeźdźcami na otwartym terenie mogła się dla nich fatalnie skończyć, więc odwrócili się i umknęli między drzewa. Tam Burza zabiła jednego rumaka razem z jeźdźcem, Gar kolejnego, a Dath zdjął kilku innych strzałami. Sama Coralen również wskoczyła na plecy jednego z wojowników, ściągnęła go z siodła i rozszarpała mu gardło szponami wilkuna. Jeszcze ich nie zdjęła, a krew powoli schła na żelaznych ostrzach.

Co ja tu właściwie robię?, zastanawiała się.

Zgłosiła się na przewodniczkę, gdy tylko Rath powiedział jej, że Corban rusza na ratunek siostrze.

Ale dlaczego?

Wciąż nie chciała odpowiadać na to pytanie.

Nieopodal Gwenith szeptała o czymś z Briną, a Farrell rozmawiał z Dathem. Gar stał za nią i wpatrywał się w mury. Wyczuwała jego bezbrzeżny niepokój, który zdawał się wyciekać z pęknięć na jego chłodnej twarzy. Burza krążyła wokół niczym ranny niedźwiedź, nerwowa, przyczajona. Bez Corbana nie mogła znaleźć sobie miejsca, a z jej pyska

raz po raz dobywał się głuchy warkot. Coralen czuła dokładnie to samo co wilkunica – frustrację, strach, gniew.

Tę grupę spajała więź braterstwa, do której Coralen przywykła, przebywając wśród zabójców olbrzymów Ratha, ale tu zdawała się być znacznie głębsza. Bogatsza. Dziewczyna była pewna, że każda z należących do grupy osób jest gotowa zginąć za resztę, a Corban z jakiegoś powodu stał się sercem tej grupy. Jego nieobecność powodowała u niej głęboki niepokój. Wiedziała, że pozostali również źle to znosili. Chłopak znikł bez śladu gdzieś za tymi potężnymi murami, być może już leżał martwy. Na samą myśl o tym poczuła, jak wzbiera w niej bezbrzeżna wściekłość. Zacisnęła pięść, aż brzęknęły stalowe pazury.

Wszystko rozegrało się niebywale szybko. Ktoś się obudził i zauważył nieobecność Corbana, potem rozległo się wycie Burzy i wszyscy się poderwali. Chwilę później odnaleźli mokrą, ociekającą wodą wilkunicę nad trupem Ventosa, a Coralen natrafiła na ślady porywaczy. Potem był już tylko bieg, zakończony rozlewem krwi na śniegu.

I co teraz?

Coś zatrzepotało nad jej głową. Wirującą śnieżycę przebił ciemny kształt, który okazał się być Craferem, ptakiem uzdrowicielki. Kruk wylądował na gałęzi i zaczął podskakiwać.

– Cor-ban! – zakrakał. – Znalazłem! Znalazłem! Znalazłem!

– Gdzie? Nic mu nie jest? – zawołała Gwenith.

– Żyw! – odparł ptak. – Crafer pokaże!

– Ale jak się przedostaniemy przez te mury? – spytał Farrell.

– Może to się przyda? – odezwał się Dath i pokazał reszcie długą linę, zamocowaną do siodła konia, którego pochwycili na zalesionych stokach.

Gar uśmiechnął się szeroko, aż błysnęły mu zęby.

Rozdział dziewięćdziesiąty pierwszy

TUKUL

Tukul drzemał, gdy Meical się obudził. Nadal panował mrok, ale nad zboczami dolinki, w której rozłożyli obóz, jaśniał już brzask. Impet burzy śnieżnej najwidoczniej minął, a pomarańczowe płomienie ich ogniska słały roztańczone cienie na ściany dolinki.

Tukul usłyszał ostre westchnienie Meicala i ujrzał, jak ten podrywa się i opiera na łokciu. Blask płomieni padał na jego twarz, uwydatniając ostre rysy, zamieniając głębokie zmarszczki w ciemne rozpadliny. Po raz pierwszy od początku ich znajomości Tukul odniósł wrażenie, że jego przyjaciel wygląda staro.

– Co się dzieje? – usiadł, mrugając.

Meical zerwał się na równe nogi.

– Wiem, gdzie on jest! Corban! Musimy natychmiast ruszać w drogę, bo może już być za późno!

– O czym ty opowiadasz? Gdzie on jest? – spytał Tukul, podnosząc się i budząc pozostałych.

– Tam! – Meical wskazał ciemne, zwieńczone wieżycami mury pośród białych zboczy. – W Dun Vaner. Uwięziła go Rhin, która już poznała jego tożsamość. W każdej chwili grozi mu śmierć, o ile już go nie zabiła!

Jehar zrywali się i zwijali obozowisko, szybko, sprawnie i bezszelestnie. Nim słońce wychynęło z za horyzontu, gnali już przez śnieżną pustkę ku zboczom i drodze prowadzącej ku Dun Vaner.

– Mury są grube, a bramy zatrzaśnięte na głucho – zauważył Tukul.

– Tak – odparł Meical. Gorączkowy niepokój, z którym się zerwał, przycichł już, a na jego twarzy pojawiła się maska spokoju, ale Tukul nadal wyczuwał pod nią napięcie.

– No to jak dostaniemy się do środka?

– Wiemy, że Jehar towarzyszą Nathairowi i że przybyli wraz z Rhin na północ. Straż na murach również o tym wie.

Tukul zastanowił się.

– A więc uznają nas za sojuszników.

– Otóż to. Ja, jak sam wiesz, wyróżniam się spośród waszego grona, więc, żeby zwiększyć nasze szanse, będę udawał więźnia, którego Rhin ma przesłuchać.

– A co zrobimy, jeśli Nathair i Sumur są w środku?

– Nie ma ich tam. Wędrują na północ, a ja chyba wiem po co, ale to przemyślimy sobie później.

– Doskonale. A więc mamy sposób, by się dostać do Dun Vaner. A co dalej?

– Ten problem rozstrzygniemy, gdy znajdziemy się w środku.

– Z mieczami w ręku?

– Jeśli będzie trzeba.

– A więc lepiej zacznij udawać więźnia – rzekł Tukul.

Meical splótł ręce za plecami, pod płaszczem, żeby wyglądały na związane, a Tukul i kilkoro spośród jego ludzi otoczyli go ciasnym wieńcem, pozorując straż. Wkrótce znaleźli się na trakcie wiodącym do bram Dun Vaner, rozpoznawalnym tylko dzięki temu, że leżący na nim śnieg był bardziej wyrównany.

Gdy byli już blisko, Meical zwrócił się do nich:

– Pamiętajcie, że w twierdzy przebywa Seren Disglair. Jest przetrzymywany w niewoli i wkrótce zostanie stracony. Nie możemy popełnić błędu.

Słuchając jego słów, Tukul poczuł dreszcz na plecach. Wiedział, że jego bracia i siostry w mieczu podzielają jego wzruszenie.

A więc nadszedł moment, na który długo czekałem. Ojciec Ojców, nie zawiodę cię, powiedział sobie.

Świat był cichy i nieruchomy, a nieskazitelna biel ciągnęła się jak okiem sięgnąć. Nawet chmury wydawały się jaśnieć i mienić.

Idealny moment, pomyślał Tukul i nabrał głęboko tchu niczym przed rozpoczęciem tańca miecza. Byli już blisko bramy głównej Dun Vaner. Popędził konia i wysforował na czoło kolumny. Między blankami pojawiły

się głowy strażników.

– Czego tu szukacie?! – zawołał jeden z nich.

– Przywozimy dar od króla Nathaira! Szpiega pochwyconego na północnym trakcie. Nathair uznał, że wasza królowa ma większy talent do wyciągania z ludzi prawdy! – zawołał Tukul i skinął na Enkarę, by ta podprowadziła konia, na którym siedział Meical. Osłaniało ich kilkoro innych Jehar.

Cisza się przedłużała. Między blankami pojawiały się kolejne głowy, a na dół docierały strzępy prowadzonych półgłosem rozmów.

– Otwórzcie te bramy! – krzyknął Tukul. – Zimno tu!

Nadal nie było odpowiedzi.

– Chcecie, bym wrócił do Nathaira i zameldował, że przejechaliśmy pięćdziesiąt mil na próżno, bo sojusznik nie chciał otworzyć przed nami bramy?

Cisza trwała. Tukul czuł, że serce bije mu coraz szybciej. Skupił się, by opanować emocje, ale wtedy wielkie wrota wreszcie zaskrzypiały i zaczęły się otwierać. Ze spokojem przejechał przez nie, skinieniem głowy pozdrawiając strażników.

Czterech. Tylko czterech, pomyślał.

Wjechał na dziedziniec, gdzie wojownicy Rhin, uzbrojeni w drewniane łopaty, zajmowali się odśnieżaniem bruku i rozbijaniem lodu w beczkach.

Tuzin, dodał w myślach.

Wjechał dalej i spojrzał za siebie, na mury.

Jeszcze ośmiu, może dziesięciu, przeliczył.

Przed nim wyrosła ogromna wieża z dębowymi wrotami, a obok niej stały inne budowle z rzędami drzwi. Przez niewielkie okienka widział ludzi uwijających się w środku.

Niewykluczone, że to koszary. Czyli jeszcze więcej ludzi, pomyślał. Czyli w całej twierdzy jest ich nie mniej niż stu i nie więcej niż dwie setki.

Zsiedli z koni po przeciwnej stronie dziedzińca. W tej samej chwili skądś wyroiła się gromadka stajennych, która otworzyła wrota wielkiej stajni. Do Tukula i jego wojowników podeszło dwóch ludzi z oddziału pilnującego bramy. Zaprowadzono ich do sali biesiadnej.

Pomieszczenie okazało się niemalże puste. Przy palenisku siedziało kilkunastu mężczyzn i dojadło śniadanie, tu i tam kręciło się jeszcze

kilku innych.

– Twoi ludzie mogą tu coś przekąsić – rzekł jeden ze strażników. – Przekazaliśmy wiadomość o waszym przybyciu do królowej Rhin. Weźcie swojego więźnia, a wskażemy wam drogę do lochów.

– Gdzie są wszyscy? – spytał Tukul i skinął na pięciu wojowników, którzy otaczali Meicala. Reszta rozeszła się po całej sali; nalewali sobie piwa i raczyli się chlebem.

– Większość z nas jest na południu na wojnie z Domhainem.

– Och, racja – przytaknął Tukul i wyszarpnął miecz.

W tej samej chwili wszyscy jego ludzie uczynili to samo.

Obaj strażnicy sięgnęli po broń, a Tukul postanowił im na to pozwolić.

Niech wyruszy na most mieczy z orężem w rękę, pomyślał.

Wojownik usiłował zablokować uderzenie, ale ani zimno Cambrenu, ani pięćdziesiąt osiem lat na karku nie odebrały Tukulowi sprawności. Zgładził go błyskawicznie. Ich miecze nawet się nie zetknęły.

Drugi żołnierz jednocześnie wzniósł miecz i otworzył usta, by wezwać pomoc.

– Nie zabijaj go! – warknął Meical.

Ostrze Tukula w okamgnieniu dotknęło gardła strażnika.

– Decyzja należy do ciebie – oznajmił. – Wykrzykniesz choć słowo, a zginiesz. Będiesz milczał, a pożyjesz jeszcze trochę.

Strażnik rozejrzał się z przerażeniem po sali. Tukul nie musiał się oglądać, by wiedzieć, co ujrzał. Wiedział, że wszyscy wojownicy Rhin w pomieszczeniu nie żyją.

Mężczyzna opuścił miecz.

– Zaprowadź nas do lochów! – rzekł Meical.

Dwudziestu Jehar pozostało na straży, a reszta podążyła w ślad za Tukulem. Gdy opuszczali salę biesiadną, Tukul zerknął przez ramię i ujrzał, że drzwi otwierają się, a do środka wkracza grupka wojowników Rhin. Jehar opadli ich ze wszystkich stron, ale kilku spośród miejscowych udało się wyskoczyć na dziedziniec. Chwilę później zaryczały rogi.

– Szybciej! – rzucił do pojmanego strażnika, który wskazywał im drogę.

– Ilu wojowników pozostało w twierdzy? – zapytał Meical.

Człowiek Rhin nie odpowiedział, ale naraz poczuł ostrze miecza na swoich plecach.

– Trzy, może cztery setki. Wystarczy.

Kłamie, pomyślał Tukul. A nawet gdyby mówił prawdę, przecież my jesteśmy Jehar.

Biegli pustymi korytarzami, ścigani przez odgłosy walki, które znów rozległy się za ich plecami. Zbiegli po niekończących się, szerokich stopniach i zagłębili w kolejny korytarz. Tukul wykrzykiwał rozkazy i niewielkie grupki jego wojowników zatrzymywały się przy każdym kolejnym napotkanych drzwiach. Z pięćdziesięciu ludzi wkrótce pozostało trzydziestu.

– Musimy zabezpieczyć sobie drogę ucieczki – powiedział do Meicala.

Wciąż rozbrzmiewały rogi, grając na alarm. Skądś dobiegł tupot kroków wielu biegnących.

Niespodziewanie po drugiej stronie korytarza wyłoniła się grupa wojowników. Tukul nie był w stanie ich zliczyć, a za nimi już wybiegali kolejni. Pierwsi zawahali się na ułamek sekundy, po czym rzucili się do ataku. Tukul dobył miecza. Za sobą usłyszał syk dziesiątków ostrzy wysuwanych z pochew.

Wybudowany przez olbrzymy korytarz był szeroki i trzech ludzi mogło tu swobodnie walczyć ramię w ramię. Tukul rąbnął ich jeńca ręką miecza w głowę, przeskoczył nad osuwającym się na ziemię ciałem i przyjął pozycję letniej burzy z tańca miecza. Lewą dłoń wysunął do przodu, a ostrze zastygło nad jego prawym ramieniem. Kątem oka widział Meicala i Enkarę, którzy stanęli obok niego.

Niech moje serce nigdy nie zazna strachu, a ostrze nigdy się nie stępi, pomyślał.

Uderzenie serca później rzucił się do bitwy.

Miał wrażenie, że nagle znalazł się w domu. Uchyłał się, wirował, nachylał się i wypadał, a cały jego świat wypełniły tryskająca krew i krzyki umierających. Większość z napastników nie zdążyła nawet wrzasnąć, a inni osuwali się na kamienną podłogę z głuchymi stęknieniami. Ostre miecze Jehar w okamgnieniu zamieniały życie w śmierć, a pełne energii i emocji ciała w puste ochłapy mięsa i kości.

Bitwa szalała wokół niego, a obie grupy mieszały się ze sobą. Tukul wycinał sobie czerwoną ścieżkę przez wszystko, co stało na jego drodze. Odbił cios znad głowy, błyskawicznie przeszedł do poziomego cięcia,

kątem oka ujrzał, jak jego przeciwnik chwieje się i osuwa. Z rozciętej szyi tryskała krew, w oczach gasło życie.

I nagle wszystko się skończyło.

Meical i Enkara stali obok niego, zbryzgani krwią, która na pierwszy rzut oka wydawała się należeć tylko do przeciwników. Korytarz był zasłany zabitymi. Tukul spojrzął za siebie i odniósł wrażenie, że spośród jego braci i sióstr w mieczu nie padł nikt.

Potem znów usłyszeli szcęk oręża oraz krzyki, które tym razem dobiegały z przodu, a nie z tyłu. Coś się działo przed nimi.

Tukul i Meical spojrzeli po sobie i ruszyli, szybko, ale ostrożnie. Odgłosy walki przybliżyły się. Skręcili wraz z korytarzem, zbiegli po schodach w dół, a wtedy Tukul zatrzymał się jak wryty.

Wyraźnie słyszał teraz brzęk zderzających się mieczy, krzyki, potem wrzask. Przed sobą miał plecy przynajmniej tuzina wojowników Rhin, którzy toczyli zacieklą walkę z wojownikiem, którego nie mógł rozpoznać. Zauważył jednakże niebywałą grację, z jaką opadał jego miecz, dostrzegł też jego ruchy, szybkie, zwinne...

Meical przemknął obok Tukuła z wzniesionym mieczem i rzucił się na wroga. Tukul, niewiele się namyślając, skoczył w ślad za nim i jednym ciosem odrąbał głowę najbliższemu przeciwnikowi.

W wojowników Rhin wstąpiła panika. Niektórzy próbowali się odwrócić i stawić czoła nowemu niebezpieczeństwu, ale niewiele to dało. Wystarczyła chwila, by dwunastu strażników padło bez życia na zimną, kamienną podłogę.

Powstrzymywał ich tylko jeden człowiek, który wciąż walczył z ostatnim wojownikiem Rhin. Sparował rozpaczliwe uderzenie, zawinął i pchnięciem do tyłu wraził miecz w brzuch strażnika. Stali przez moment nieruchomo, połączeni niczym kochankowie, po czym zwycięzca uwolnił oręż i obrócił się ku Tukulowi.

Miał na sobie ubranie ze skóry i wełny, a na barki zarzucił futrzany płaszcz. W ręku trzymał luźno długi, zakrzywiony miecz. Tukul jednakże poczuł, że nie może oderwać oczu od jego twarzy.

Ogorzała skóra, ciemne, szczerze oczy, krzywy nos.

Garisan. Mój syn, pomyślał.

Po chwili uświadomił sobie, że Gar również go poznaje. W jego oczach

najpierw błysnęło z wątpienie, a potem przez usta przemknął niepewny, nieśmiały uśmiech.

Tukul bez słowa podszedł do syna i przytulił go do piersi.

Rozdział dziewięćdziesiąty drugi

CORBAN

Corban otworzył oczy. Nadal zwiślał bezwładnie na wyciągniętych w górę ramionach. Jego nadgarstki wciąż tkwiły w żelaznych kajdanach.

– Budzi się – odezwał się jakiś głos.

Chłopak uniósł głowę i poczuł potworny ból w czaszce, zupełnie jakby ktoś wraził w nią rozpaloną do białości igłę. Jęknął głośno, a wtedy ujrzał wpatrzonych w niego Conalla i Braitha.

Na krześle obok spoczywała pogrążona we śnie, oddychająca głęboko i powoli królowa. Jej głowa opadła na pierś.

Rhin, przemknęło mu przez myśl.

Zamknął oczy, usiłując opanować ból szalejący w jego głowie.

Zaświat. Czy to był tylko sen?

Niespodziewanie z mocą rwącej rzeki powróciły wspomnienia. Kopuła. Dwa zastępy skrzydlatych istot, powietrzna bitwa.

Asroth!

Widział Asrotha, który przemówił do niego i do Rhin. Kazał jej go zabić. Kazał jej wyciąć mu serce z ciała.

Przeszył go przejmujący strach. Uniósł głowę i wyprostował się, ignorując ból w nadgarstkach i czaszce. Królowa dalej spała, a Braith i Conall podchodzili coraz bliżej. Na ich twarzach malował się niepokój. Banita uklęknął obok Rhin i dotknął jej nadgarstka.

Nie budź jej! – przeszyła Corbana myśl niczym milczący krzyk.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił – odezwał się Conall. – Powiedziała, by jej nie budzić, a ja widziałem, co robi z tymi, którzy lekceważą jej rozkazy.

– Ja też – rzekł Braith i cofnął rękę.

Corban odetchnął w duchu z ulgą.

Śpij, Rhin, nie budź się! – błagał ją w myślach. Muszę się jakoś uwolnić z tych kajdan. Ale jak?

– Co tam się wydarzyło? – Braith odezwał się do chłopaka. – Dlaczego ty się obudziłeś, a ona nie?

Wtedy z oddali dobiegł wyraźny ryk rogu. Ogłoszono alarm.

Conall podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz, a potem je zamknął. Tymczasem odezwały się kolejne rogi, głośniejsze. Ich ryk niósł się po całej fortecy.

– Nie podoba mi się to – mruknął Conall, miotając się po komnacie.

– Mnie też nie – odezwał się Braith.

Rhin szepnęła coś niewyraźnie. Być może było to słowo, ale zabrzmiało bardziej jak westchnienie.

Och, nie..., pomyślał Corban.

– Zabij... – szepnęła nieco wyraźniej, ale kolejne słowa okazały się niezrozumiałe.

– Dajcie mi wody – odezwał się chłopak. – Proszę...

Braith pochylił się nad Rhin i próbował zrozumieć coś z jej szeptów.

– Proszę, wody! Wody! – Corban zagrzechotał łańcuchami.

– Zamknij się! – warknął Braith.

Conall porwał bukłak z wodą i przysunął go chłopakowi do ust. Była ciepła, ale smakowała cudownie, wręcz kojąco.

Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Musiał się uwolnić z tych kajdan, nim Rhin się przebudzi, ale jak? Żelazne obejmy więziły jego kostki i nadgarstki, a on nawet nie wiedział, kto ma klucz! Czuł panikę, która wzbierała niczym przypływ pośród skał Dun Carreg.

Powieki Rhin zatrzepotały. Poruszyła się.

– Moja pani! – Braith złapał ją za rękę. – Musisz się obudzić!

Zza drzwi dobiegło echo ciężkich kroków, potem krzyki, stłumiony wrzask. Gdzieś toczyła się zacięta walka i Conall znów wysunął głowę, by spojrzeć na korytarz.

– Co tam się dzieje?! – krzyknął Braith.

– Na korytarzu są wilkuny! – odparł Conall. – Jeden z nich tłucze ludzi młotem!

Farrell..., przemknęło Corbanowi przez myśl.

– To kompani tego chłopaka! – rzucił Braith. – Chcą go uwolnić!

– Rozbijają w pył cały oddział ludzi Rhin! – zawołał Conall. Rzucił raz jeszcze okiem, po czym zatrzasnął drzwi i zamocował zasuwę. – Musimy wydostać stąd Rhin! – dodał, podchodząc do przeciwległej ściany. Wsunął rękę w niewielką niszę, a wówczas Corban usłyszał cichy syk i w ścianie otworzyło się tajemne przejście.

Walka toczyła się już pod drzwiami, które przed chwilą zatrzasnął Conall. Rozległ się dziki wrzask, coś osunęło się na podłogę, przez szczelinę przeciekła kałuża ciemnej krwi.

– Wygląda na to, że to nasza straż – oznajmił Braith.

Coś rąbnęło w drzwi. Z rozdygotanej framugi buchnął kurz. Żelazna zasuwka oraz zawiasy zaskrzypiały.

– Łap Rhin! – Conall warknął do Braitha, a sam wyciągnął miecz oraz nóż.

Braith podniósł królową, a ta otworzyła oczy i rozejrzała się.

– Chłopak... – wyszeptała.

Banita szedł już w stronę sekretnych drzwi. Widząc to, Rhin zaczęła się miotać w jego objęciach.

– Twierdza została zaatakowana, moja pani! – zawołał Braith. – Zabieram cię w bezpieczne miejsce!

– Ale chłopak! – wymamrotała budząca się Rhin. – Chłopak! – warknęła. – Zabijcie go!

Kolejne uderzenie wyrwało zawias ze ściany.

Braith i Conall spojrzeli po sobie. Banita, nadal trzymając Rhin, skoczył w ciemność za ukrytymi drzwiami, a Conall ruszył w stronę Corbana.

Corban miotał się i szalał. Szarpał za łańcuchy, desperacko próbując się uwolnić, ale wszystko na marne. Kajdany trzymały mocno.

– Przykro mi, młody – rzekł Conall i podniósł nóż. – To nic osobistego, choć – zawahał się na moment – twoja siostra pewnie mi za to nie podziękuje.

Zaraz zginę, pomyślał Corban.

Uderzone po raz trzeci drzwi zerwały się z pozostałych zawiasów i z hukiem wpadły do środka, wzbijając istną kurzawę. Spośród kłębow pyłu wypadł dwunogi wilkun o ciemnej sierści, dzierżący ogromny młot wojenny. Za nim majaczyli kolejni.

Farrell!

Ogromny młodzieniec ujrzał Conalla i rzucił się na niego z furją, wznosząc wysoko młot. Conall ledwie zdołał uskoczyć, a opadający młot uderzył w ścianę i odrąbał garść skalnych odłamków.

Pierwszy miecz Rhin pchnął nożem, ale kolczuga Farrella zatrzymała ostrze. Przez moment toczyli wściekłe starcie – Farrell złapał młot oburącz i uderzał oboma końcami, a Conall uskakiwał, aż przypadł do przeciwnika, pochwycił i szarpnął. Farrell wyładował na plecach, a Conall wzniosł miecz do ciosu. Ostrze jego noża dotykało gardła Corbana.

– Con, nie! – wrzasnął ktoś głośno.

Mężczyzna zamarł i uniósł głowę w kierunku, z którego dobiegł krzyk. Patrzył na zbryzganą krwią Coralen, wciąż odzianą w skórę wilkuna.

– Cora – szepnął z niedowierzaniem.

– Nie rób tego, Con.

Czas zamarł. Dla Corbana jedno uderzenie serca trwało tyle co cały rok.

– Proszę – dodała Coralen.

Przez twarz wojownika przemknął grymas bólu. Opuścił broń i skoczył ku ukrytym drzwiom. Na moment zatrzymał się w progu, częściowo czając się w cieniu, i raz jeszcze na nią spojrzął.

– Con, zaczekaj!

Mężczyzna znikł w mroku.

Coralen podbiegła do drzwi i wykrzyknęła coś w ślad za nim, ale odpowiedziało jej tylko echo. Potem odwróciła się i wbiła wzrok w Corbana i Farrella. Ślady po łzach cięły jej twarz niczym blizny po pazurach. Przebiegła przez komnatę, przeskoczyła nad Farrellem i uścisnęła Corbana mocno, przyciskając czoło do jego szyi. Chłopak czuł wstrząsający ją szloch.

Farrell naraz poruszył się i Coralen odskoczyła, spuszczać wzrok. Do komnaty wpadła matka Corbana, która zajęła jej miejsce, uścisnęła chłopaka mocno i pogładziła jego twarz. W międzyczasie Farrell zdołał dźwignąć się na nogi. Na jego czole rysowała się głęboka zmarszczka.

– A klucze? – spytała Gwenith, która puściła syna i szukała sposobu, by go oswobodzić.

– Nie mam pojęcia.

Coralen przypadła do rozbitych drzwi i leżącego za nimi martwego

strażnika.

– Mam! – zawołała i potrząsnęła pękiem kluczy, odpiętym od paska mężczyzny.

Próbowali jednego po drugim, ale już trzeci szczęknął w zamku i obejmując wokół nadgarstków się rozchyliły.

Corban osunął się, ale złapał go Farrell.

Tym samym kluczem uwolniono jego nogi.

– A gdzie reszta? – spytał Corban.

– Brina, Dath i Burza pilnują liny, po której tu weszliśmy – odparła mama. – Ale Gar... Musimy do niego wracać! Odłączył się od nas, by powstrzymać pościg!

W jej oczach błysnął lęk, który powiedział więcej niż tysiąc słów.

– Biegnijmy mu na pomoc! – zawołał Corban.

– Nie ma takiej potrzeby – padła odpowiedź.

Gar stał na progu, a na korytarzu za jego plecami stali inni wojownicy. Corban odniósł wrażenie, że w jego nauczycielu zaszła jakaś przemiana i dopiero po chwili uświadomił sobie, na czym ona polega.

Gar się uśmiechał.

Obok niego stał mężczyzna podobnej budowy, trzymający w ręku niemalże identyczny miecz. Podobieństwa na tym się nie kończyły. Mieli identyczne nosy, takie samo poważne spojrzenie i równie ciemne włosy, choć towarzysz Gara mógł się już poszczycić siwizną na skroniach.

– Oto mój ojciec Tukul, władca Jehar – oznajmił Gar.

Wszyscy patrzyli na Tukula, który przeszedł przez komnatę, uklęknął przed Corbanem i ujął jego dłoń.

– Oddaję ci mój miecz, me serce i mą siłę na wieczną służbę – rzekł uroczyście.

Skrajnie zaskoczony Corban nie był w stanie wykrztusić ani słowa. Naraz do komnaty weszła kolejna osoba. Był to wysoki mężczyzna z długimi czarnymi włosami związanymi z tyłu. Miał piękną, wręcz wyczelowaną twarz pokrytą srebrnymi bliznami.

– Ja cię znam! – zawołał Corban. – Kim jesteś?

Ten uśmiechnął się i rzekł:

– Przyjacielem w chwili rozpaczy.

Rozdział dziewięćdziesiąty trzeci

LYKOS

Lykos stał na murach Jerolin i wpatrywał się w taflę jeziora, migoczącą w promieniach bladego zimowego słońca. Tego dnia na wodzie roiło się od okrętów, jego własnych okrętów. Na każdym przybyli wojownicy z rodzinami, niewolnicy wiosłarze oraz kupcy i handlarze z Trzech Wysp.

Ponad dwa tysiące zbrojnych. Nadciągali powoli, przez całe księżycy, by nie wzbudzać podejrzeń ani paniki. Lykos zaś w międzyczasie nakazał Fidele, by odesłała większą część orlej straży do rozmaitych twierdz i zamków Tenebralu, by nie stanowili zagrożenia dla jego planów. W chwili obecnej w Jerolin pozostawało ich zaledwie kilka setek, co dawało jego ludziom znaczną przewagę. A przecież zbrojni nie byli wszystkim, co sprowadził do Tenebralu.

Okręty, kołyszące się teraz na wodach jeziora, przywiozły również jego gladiatorów. Na łące w połowie drogi między fortecą a jeziorem powstawała właśnie drewniana konstrukcja na ich przyjęcie. Widział stąd okrągłe ściany wsparte o mocne drewniane kolumny.

Czeka nas nowy rodzaj walk, pomyślał i uśmiechnął się do siebie. Wreszcie, po tylu latach oczekiwania...

Odwrócił się już ku ciemnym, kamiennym budowłom Jerolin, nad którymi górowała ogromna, szpiczasta wieża.

To wszystko jest teraz moje, pomyślał. Jerolin to serce Tenebralu, które teraz należy do mnie. Z upoważnienia.

Jego dłoń wniknęła do płaszcza w poszukiwaniu kukielki wykonanej na podobieństwo królowej. Przez moment nie mógł jej odnaleźć i w jego sercu obudził się lęk, ale naraz wymacał to, czego szukał. Jego palce natrafiły na gładką glinę, z której sterczały kruche włosy.

Cóż to za moc..., zastanawiał się. Z Fidele jako kukielką pod mymi rozkazami władam Jerolin, a więc jednocześnie całym Tenebralem!

Na trakcie wiodącym na północ pojawili się jeźdźcy, ośmiu, może dziesięciu.

Lykos przyglądał się im przez moment, aż dojrzał białe orły na napierśnikach i tarczach.

A więc Peritus powrócił, a pierwszą rzeczą, której zażąda, będzie audyencja u Fidele, pomyślał.

Wraz z nimi z północy nadciągnął zimny wiatr. Lykos zadrżał i mocniej naciągnął płaszcz.

Na Wyspach jest cieplej, przypomniał sobie. Dobrze, że mam Fidele, by mnie grzała.

Jego serce zabiło mocniej na samą myśl o niej. Zacisnął powieki i nabrał tchu. Miał wrażenie, że wciąż wyczuwa jej zapach, osobliwe połączenie kobiecego potu i płatków róż. Nie przestając o niej myśleć, zawrócił i skierował się ku głównej wieży stolicy.

Ludzie odwracali głowy, gdy szedł. Nikt nie był już na tyle odważny czy głupi, by zmierzyć go ponurym, niechętnym spojrzeniem, do których był przyzwyczajony z początku. Gdy Fidele ogłosiła, że wybacza mu wszystkie zbrodnie i z radością wita go w sercu Jerolin, miejscowi nadal przyglądali mu się spode łba, ale w miarę, jak mijał czas, a on pokazywał, że może zrobić wszystko, na co mu przyjdzie ochota, gniewne spojrzenia znikły. Zaczął od tego, że kazał zawlec najgłośniejszych narzekających do lochów, co bez wątpienia odebrało innym ochotę do krytykowania, ale nadal wyczuwał wrogość. Ci ludzie nie bali się go jeszcze należycie. Potrzeba im było mocniejszej lekcji.

Minął wyznaczoną linami arenę ze śladami krwi na bruku. Walki w jamie już się zaczęły, na razie na niewielką skalę. Z początku urządził kilka zawodów na zaimprovizowanych arenach w osadzie nad brzegiem jeziora, ale potem przeniósł je do miasta. Oczywiście spotkało się to z wielkim protestem. Zewsząd napływały do Fidele setki petycji, ale królowa, pozostająca całkowicie pod jego kontrolą, ignorowała je wszystkie. Miejscowi zaś zaczęli przychodzić, oglądać, robić pierwsze zakłady. Na początku była to niewielka, onieśmielona grupka, która ze wszystkich sił próbowała nie zwracać na siebie uwagi, ale na każdym

kolejnych zawodach pojawiała się więcej ludzi. Lykos planował, że wkrótce walki staną się popularne w całym Tenebralu, ale najpierw chciał wykończyć swą nową arenę.

Trzeba też zdobyć nowych niewolników, bo niedługo skończą się gladiatorzy, pomyślał.

Liczył jednak na to, że zaspokoi swoją potrzebę w trakcie działań wojennych.

Znalazł Fidele w jej komnatach wysoko w wieży. Zmierzyła go spojrzeniem, w którym zmieszczała tyle nienawiści i pogardy, że Lykos mógł się tylko uśmiechnąć. Widywał już ludzi, którzy spoglądali tak na niego. Byli to na ogół wojownicy, których uczynił swoimi niewolnikami. Na ogół ta nienawiść w oczach z czasem przygasła, zlewając się z rozpaczą, potem następowało pogodzenie się z losem, a na końcu zjawiała się uległość. Wsunął rękę pod płaszcz, a wówczas na twarzy Fidele pojawił się lęk. Lykos znów się uśmiechnął.

– No, mów, co ci leży na sercu.

Fidele otworzyła usta, nie ufając swemu głosowi.

– Mój syn cię za to zabije – szepnęła. Wydawała się zaskoczona, że tym razem udało jej się powiedzieć to, co myśli.

– Nie, nie sędzę – rzekł Lykos.

Wkrótce będzie miał o wiele więcej problemów na głowie niż tylko rządzenie Tenebralem, pomyślał.

– A więc to ja cię zabiję – powiedziała królowa już głośniej. Wyprostowała się przy tym, zupełnie jakby odzyskując głos, wracała do pełni sił.

– Dość tego – zarządził Lykos.

Bo jeszcze twoja straż wszystko usłyszy, pomyślał.

W jej oczach i na twarzy widział walkę, która zawrzała w jej umyśle. Z desperacją walczyła o to, by zachować umiejętność swobodnego wypowiedzenia swoich myśli. Otworzyła usta i wykrzywiła wargi, ale nie padło ani jedno słowo. Lykos z rozbawieniem przyglądał się jej wewnętrznym zmaganiom, aż jej ramiona zwiśły, a ciało opadło na krzesło.

– Wkrótce będziemy mieli gościa – zaczął.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę wejść! – zawołała Fidele.

Zasiadała na krześle z wysokim oparciem, opatulona w futro z czarnych soboli, idealnie kontrastujące z jej mleczną cerą. Wargi umalowała na intensywną czerwień.

Jak już będzie po wszystkim, wezmę ją tu, na tym stole, pomyślał Lykos, który stał nieco dalej, skryty wśród cieni. Deinon stał po drugiej stronie krzesła Fidele, a w ciemnych kątach komnaty kryli się inni Vin Thalun.

Do środka weszło dwóch ludzi – stary wojewoda Peritus oraz Armatus, jego przyjaciel od czasów dzieciństwa, a także pierwszy miecz nieżyjącego króla Aquilusa. Obaj byli już starszymi mężczyznami i Lykos przypuszczał, że mieli grubo ponad czterdzieści lat. Ich twarze znaczyły głębokie zmarszczki, a ciemne włosy obu przyprószyła siwizna. Cieszyli się jednak reputacją dobrych szermierzy, a Lykos nie miał w zwyczaju lekceważyć swych przeciwników.

– Moja pani! – Peritus złożył ukłon Fidele, a potem zauważył Lykosa. Spojrzał znacząco na Armatusa.

– Witajcie w Jerolin – oznajmiła Fidele głosem pozbawionym ciepła. – Jak wygląda sytuacja na północy?

– Cisza i spokój – odparł Peritus. – Olbrzymy zaniechały rajdów i najazdów. Dobrze było pojechać w góry, ale postanowiłem, że wrócę szybciej, gdyż dotarły do nas osobliwe wieści. O Jerolin. – Urwał z niepewną miną.

– Jakie wieści? – zapytała Fidele.

– Gdzie jest Orcus? – odezwał się Armatus, który dostrzegł Deinona stojącego pośród cieni.

– Zwolniłam go do domu. W jego rodzinie panuje choroba.

Nie wierzy jej, pomyślał Lykos, który nie spuszczał oczu z Armatusa.

– O jakich to osobliwych wieściach chciałeś porozmawiać, Peritusie? – ciągnęła Fidele.

– Czy możemy porozmawiać na osobności? – Peritus zerknął na Lykosa.

– Nie, nie możemy – rzekła Fidele. – Mój syn, a wasz król, ufa Lykosowi. Ja również.

– Podczas naszej ostatniej rozmowy wyraziłaś inne przekonanie.

– Przekonania się zmieniają.

– A co z jamami, w których giną gladiatorzy? Co ze zmarłymi? Z Jace'em, tym chłopakiem wyciągniętym z jeziora? To przecież fakty, a nie przekonania czy opinie. Lykos i jego banda to mordercy i dobrze o tym wiesz.

Fidele wpatrywała się w Peritusa. Mięśnie na jej twarzy drżały. Otworzyła usta, ale miast dźwięku wydobył się z nich jedynie głuchy syk. Lykos ścisnął trzymaną w dłoni figurkę i Fidele jęknęła.

– Nic ci nie dolega, moja pani? – Peritus podszedł do niej.

– Ani kroku dalej! – Lykos wyłonił się z cieni.

Peritus zatrzymał się jak wryty, ale wtedy drgnął Armatus.

– Podczas mojej ostatniej wizyty w Jerolin żaden Vin Thalun nie wydawał rozkazów wojewodzie Tenebralu.

– Ale kilka rzeczy od tego czasu uległo zmianie – odparł Lykos i uśmiechnął się do obu wojowników.

– Doprawdy? – W głosie Peritusa pojawiła się nowa nuta, doskonale Lykosowi znana. Wojewoda z trudem panował nad emocjami. – Jak to możliwe?

– Ponieważ sobie tego zażyczyłam. – Fidele przerwała napiętą ciszę. – Musimy się rozwijać, a dawne urazy i przestarzałe zasady tylko nam w tym przeszkadzają. Sojusz z Vin Thalun jest niezbędny dla nas i naszej polityki, a Lykos wyświadczył nam wielką przysługę.

– Przestarzałe zasady? – szepnął Peritus. – Od kiedy karanie kogoś za morderstwo to przestarzała zasada?

– Postanowiłam, że wybaczę Vin Thalun ich przewiny – oświadczyła Fidele, w głosie której pojawił się gniew. Tylko Lykos wiedział, że jej emocje nie zostały bynajmniej wywołane przez pytania Peritusa.

– Fidele – odezwał się Peritus. – Co się z tobą dzieje? Dlaczego wygadujesz takie rzeczy? Przecież widziałaś tę ich jamę w Balarze! Widziałaś stosy zabitych!

– Dość! – warknął Lykos, który już tracił cierpliwość. – Powiedz im wszystko – zwrócił się do Fidele.

– By uczcić nasz nowy początek, zarządziłam, by odbyły się igrzyska. Będziemy świętować! Zleciłam wybudowanie wielkiej areny. Tenebral będzie się przyglądał, jak nasi wrogowie walczą na niej na śmierć i życie.

– Walki w jamach w Jerolin – zasyczał Peritus. – Całkiem ci odbiło albo ktoś rzucił na ciebie czar.

Ciało Fidele nagle drgnęło. Zacisnęła powieki.

– Co się z tobą dzieje?

Twarda suka, pomyślał Lykos. Jak jej się udaje to zwalczyć?

Zacisnął mocniej dłoń na figurce i zmusił Fidele do posłuszeństwa.

– Nic – powiedziała, drżąc.

– Coś ci dolega – rzekł Peritus. Znów wymienił się spojrzeniem z Armatusem. – Nie jesteś sobą. Nie jesteś w stanie sprawować rządów.

Z szybkością, jakiej Lykos nigdy by się po nim nie spodziewał, Armatus wyciągnął miecz i przytknął ostrze do jego piersi.

– Jako wojewoda Tenebralu przejmuję rządy regenta do czasu, gdy wydobrzejesz – oznajmił Peritus, nie spuszczając oczu z Deinona, który zbliżył się o krok, wyciągając miecz do połowy z pochwy, ale teraz zamarł.

Fidele spojrzała nad ramię Peritusa.

Wojownik zawirował, dobywając broni, ale Vin Thalun, którzy kryli się w cieniach, opadli go ze wszystkich stron. Zdołał dźgnąć jednego w ramię, ale nie miał szans. Byli to wszak Vin Thalun, z których aż czterech zdobywało szlify w jamach. Peritus w okamgnieniu wylądował na kolanach, częściowo zamroczony. Wojownicy złapali go za ramiona i postawili, a któryś przytknął mu ostrze do gardła.

– Rzuć miecz. – Lykos odezwał się do Armatusa. Ten zawahał się, ale pirat nawet nie drgnął. – Rzuć miecz! – powtórzył.

– Zabij go! – wybełkotał Peritus. Po jego twarzy spływała strużka krwi.

Na twarzy Armatusa przez moment szalał dylemat, ale Lykos wyczytał z jego oczu decyzję, nim ten zdołał choć drgnąć. Opuścił broń.

Deinon doskoczył i przyłożył mężczyźnie ostrze do szyi.

– Sentymentalny idiota – warknął Lykos.

Podszedł bliżej i rąbnął Armatusa pięścią w gardło. Stary wojownik opadł na kolano, z trudem łapiąc powietrze.

– Doprawdy, powinien mnie zabić – rzucił Lykos lekko do Peritusa, a potem zwrócił się do Fidele. – Moja pani, o ile się nie mylę, byliśmy właśnie świadkami aktu zdrady. Jaką karę przewidziano za taką zbrodnię w Tenebralu?

Fidele szarpała się, zmagając się, ale wycedziła przez zaciśnięte zęby:
– Egzekucję.

Rozdział dziewięćdziesiąty czwarty

CORBAN

Corban biegł korytarzami Dun Vaner, szlakiem śmierci. Miał otarte nadgarstki oraz kostki, obite żebra, obolałą szczękę oraz dziesiątki innych skaleczeń i obrażeń, ale nie mógł nacieszyć się odzyskaną wolnością i spotkaniem z matką i przyjaciółmi. Jeszcze chwilę temu był przekonany, że nie umknie śmierci. Był wszak związany, miał nóż na gardle i znikąd nie mógł spodziewać się ratunku. Trudno było mu uwierzyć, że zdołał się wyrwać, że nadal żył i oddychał. Czuł, jak przepełnia go euforia. Czuł, jakby się na nowo narodził.

I tyle się wydarzyło... Z początku myślał, że dołączył do nich jedynie ojciec Gara, ale w miarę, jak biegli tunelami twierdzy, przyłączali się do nich inni członkowie tajemniczego zakonu Jehar. Czterech czekało przy pierwszej klatce schodowej pośród zwałów trupów, wyżej kolejnych trzech, potem pięciu i znów dwóch. Ich liczebność rosła i wkrótce Corban miał wrażenie, że niespodziewanie z uciekającego więźnia stał się członkiem niewielkiego hufca.

Odgłosy walki, która toczyła się gdzieś z przodu, stawały się coraz głośniejsze, aż wpadli do sali biesiadnej, gdzie trwały zacięte zmagania. Kilkudziesięciu wojowników Rhin usiłowało dopaść niewielką grupę Jehar, ale ci wymykali się, szybcy, zwinni i śmiertelnie groźni, zostawiając za sobą jedynie martwych i konających. Mieli jednakże przeciwko sobie zbyt wielką przewagę. Corban widział zwałowisko trupów wokół wrót do sali, gdzie bitwa się rozpoczęła, ale Jehar zostali już odepchnięci, a do środka wpadali coraz to kolejni wojownicy Rhin.

Nowo przybyli Jehar, z Tukulem i Meicałem na czele, rzucili się na odsiecz. Wbili się w gąszcz wrogów, straszliwi, niepowstrzymani.

Gar zawahał się, ale powstrzymał żądzę krwi i stanął przy Corbanie. Gwenith, Farrell oraz Coralen osłonili go z pozostałych stron, odruchowo i bezwiednie.

Przybycie odsieczy błyskawicznie odwróciło losy starcia. Resztki wojowników Rhin umknęły na zewnątrz, a Jehar skoczyli w ślad za nimi. Bitwa wylała się na dziedziniec. Corban i pozostali również tam pośpieszyli.

Na dziedzińcu panował chaos. W powietrzu znów kłębił się śnieg, który pokrył bruk świeżą warstwą puchu. Na oczach Corbana Tukul wskoczył w gromadę wojowników. Machnął mieczem i odrąbana ręka wyfrunęła w powietrze, sikając krwią, wstrząsająco czerwoną na tle śnieżnej bieli.

Gar przebierał nogami w miejscu, pragnąc włączyć się do bitwy, ale nie musiał długo czekać, by bitwa sama ich ogarnęła. Runął na nich oddział siepaczy Rhin.

Gar ściał głowę najbliższemu przeciwnikowi. Jego korpus siłą rozpędu przebiegł jeszcze kilka kroków, nim runął na ziemię. Inny padł z nożami Gwenith w piersi, a wtedy do walki wkroczyli Farrell i Coralen. Corban również uniósł miecz, oddany mu przez Gara w podziemiach, i dołączył do przyjaciół.

Zablokował dzikie cięcie, obrócił nadgarstek i pchnął napastnika w gardło. Krew obryzgała mu twarz, gdy wyszarpnął ostrze. Skoczył naprzód, uniknął kolejnego cięcia, w odpowiedzi wymierzył serię ciosów, z których ostatni, piąty, przebił się przez słabnącą obronę i rąbnął w żelazny hełm, wginając go i oszalamiając przeciwnika. Następnie przewrócił go kopnięciem w kostkę, dźgnął i przeskoczył nad jego ciałem. W bitwie znalazł ukojenie. Wreszcie był wolny od wszelakich rozterek i mógł się skupić na prostych wyborach. Czuł jednocześnie spokój, jak i dziką radość, nad którą ledwie panował. Koncentrował się na każdym oddechu, każdej zmianie ciężaru ciała i ruchach mięśni, a bezimienni wojownicy padali przed nim jeden po drugim, aż naraz uświadomił sobie, że nie ma już nikogo, z kim mógłby skrzyżować broń. Odwrócił się i ciął po ramieniu mężczyznę, który walczył z Coralen, a dziewczyna wykończyła go szponami wilkuna.

Gwenith cofała się przed innym wojownikiem, parując uderzenia drzewcem włóczni. Corban i Gar dostrzegli to w tej samej chwili

i mężczyzna padł martwy, przebity dwoma mieczami jednocześnie.

Od strony stajni poniosły się krzyki i łomot kopyt. Wrota rozwarły się z hukiem, a ze środka wystrzeliły rumaki. Prowadziła Rhin, której towarzyszyli Braith, Conall i tuzin innych. Pędzili przez dziedziniec, trając jednocześnie swoich oraz wrogów.

Coralen biegła i wykrzykiwała imię Conalla. Ten zdołał ją usłyszeć nawet pomimo wrzawy bitewnej, gdyż ściągnął wodze w bramie i odwrócił głowę. Dostrzegł siostrę i patrzył na nią przez ułamek sekundy, a potem kopnął końskie boki.

Coralen biegła za nim, a Corban i reszta nie odstępowali jej ani na krok. Zatrzymali się dopiero w bramie, skąd patrzyli, jak Rhin i jej przybocznicy gnają po ośnieżonych zboczach Dun Vaner.

Jeden z jeźdźców nagle zeszywniał w siodle. W jego plecach wykwitła czarna strzała. Zsunął się z konia i runął w śnieg. Chwilę później uwagę Corbana przyciągnął jasny kształt, który mknął po śniegu znacznie szybciej od pędzących z wysiłkiem koni.

Burza!, pomyślał.

Bezszelestna jak obłok dymu wilkunica dopędziła uciekających jeźdźców i wyskoczyła w powietrze. Rozległo się chrupnięcie, które Corban równocześnie usłyszał i poczuł, po czym ostatni jeździec przewrócił się wraz ze swym koniem. Eksplodujący śnieg zakrył ich na moment, a gdy opadł, Corban dojrzał mężczyznę, który zdołał się podnieść i rzucić do ucieczki. Koń nawet nie drgnął.

Burza otrząsnęła się, skoczyła w ślad za człowiekiem, uderzyła go w plecy i zatopiła kły w jego głowie. Szarpnęła dziko, trysnęła krew.

– Burza! – krzyknął Corban.

Wilkunica odwróciła się w kierunku dźwięku i zastrzygła uszami. Ujrawszy chłopaka, popędziła ku niemu, a gdy wyhamowała tuż przed nim i skoczyła, Corban poczuł na swojej skórze jej gorący oddech i szorstki język. Zatoczył się pod ciężarem, ale wpił palce w zakrwawione futro, a twarz wtulił w szyję zwierzęcia.

Nagle uświadomił sobie, że wszelkie odgłosy ucichły. Odwrócił się i spojrzał na dziedziniec.

Bitwa dobiegła końca. Wszyscy ludzie Rhin padli w boju, a pośród poboju stało owych kilkunastu dziwnych Jehar, którzy wpatrywali

się w niego bez słowa. Jedynym źródłem ruchu był padający łagodnie śnieg.

Tukul podszedł bliżej i wzniosł miecz ku niebu.

– Oto Seren Disglair!

Wszyscy jego wojownicy powtórzyli okrzyk, po czym jak jeden mąż padli na kolano i pochylili głowy przed Corbanem.

* * *

Przeszukali całą fortecę i odkryli, że jest praktycznie pusta. W istocie pozostał w niej jedynie niewielki garnizon, gdyż ogromna część wojsk Rhin brała udział w inwazji na Domhain. Tukul osobiście zajrzał w każdy kąt i dopiero wtedy uznał twierdzę za bezpieczną. Zebrali wówczas poległych – w walce zginęło ośmiu Jehar – i wzniesli dla nich stos pogrzebowy na dziedzińcu. Gdy ich ciała objęły płomienie, Tukul odśpiewał dla nich uroczysty lament.

Śnieg padał coraz mocniej, a światła dziennego ubywało, przez co wojownicy zamknęli główne bramy, wyznaczyli warty i rozbili obóz w sali biesiadnej.

– A Ventos? – Corban powiedział do siebie, próbując odtworzyć wydarzenia, które doprowadziły go do tego miejsca. – Gdzie jest Ventos?

Skrajnie wyczerpany, siedział blisko paleniska i pogryzał zimny barani udziec, jeden z wielu znalezionych w zamkowej piwnicy.

– Nie żyje – odparł Dath. – Znaleźliśmy go z twoim nożem w brzuchu. Szkoda, że nie widziałeś wybuchu złości swojej matki. Chętnie by go przywróciła do życia, by móc go zabić raz jeszcze.

Corban uśmiechnął się, lecz na myśl o Ventosie poczuł smutek. Lubił tego człowieka i uznawał go za swego przyjaciela, ale został przez niego zdradzony.

– Jak tu dotarliście?

– Wspięliśmy się po północnym murze – rzekł Dath. – Stromo tam i niebezpiecznie, ale strażnicy nie byli szczególnie czujni. Nie mieli chyba tylu ludzi, by obsadzić każdy mur, a na pewno nie spodziewali się ataku. Brina zawiązała pętlę na linie, a Craf ją złapał, wyniósł na mury i zamocował do czegoś solidnego.

– Ale jak mnie znaleźliście? Skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać?

– Znów pomógł nam Craff – odparł Dath. – Zajrzał do każdej dziury w tej fortecy, aż na ciebie natrafił. Przydaje się to ptaszysko, naprawdę, choć na widok tego, co on je, nawet zmarły zwróciłby ostatni posiłek.

– Celnie to ująłeś – zgodził się Corban. Oderwał kawał mięsa i rzucił krukowi, który zadowolony siedział na oparciu krzesła Briny. Pochwycił kąsek w powietrzu i przełknął go bez trudu.

Brina wyściskała ocalonego chłopaka mocno, a potem zbesztła go za to, że dał się złapać. Corban nie miał jednak nic przeciwko. Na widok starej uzdrowicielki i reszty przyjaciół zalała go bowiem wielka radość. Nie mógł wprost uwierzyć w to, czego dla niego dokonali. Znów poczuł w sobie ogromną wdzięczność. Spojrzał na matkę, siedzącą w ciszy obok Briny, na Gara, rozmawiającego ze swoim ojcem – do tej rewelacji nadal nie mógł się przyzwyczać – na Datha i Farrella, których miał naprzeciwko siebie, oraz Coralen, która wybrała sobie miejsce nieco dalej i pogrążona w ponurych myślach czyściła pazury wilkuna z zaschniętej krwi.

Co za przyjaciele, pomyślał. Ścigali mnie przez góry, zaatakowali dla mnie bandę Braitha, wdarli się za mną do fortecy Rhin.

Wystarczyło, by na nich spojrzeł, by zawładnęło nim wzruszenie.

Ten świat jest pełen chciwości, mroku i ludzkich tragedii, ale skoro mam przy sobie takich ludzi, jestem szczęściarzem ponad miarę, pomyślał.

Spojrzał dalej, na grupki wojowników Jehar. Większość w milczeniu zajmowała się drobnymi pracami – igłami i nicią cerowali rozdarcia w skórzanej odzieży, wymieniali pierścienie w kolczugach, osełką wygładzali szczyrby na ostrzach, a niektórzy oczyszczali i opatrywali rany. Co chwila jednakże któryś z nich unosił głowę i wpatrywał się w niego, co odbierało mu pewność siebie. Czuł się nieswojo, bo w ich wzroku dostrzegał dziwne emocje. Głównie podziw.

Potem zauważył Meicala, który siedział w cieniu za paleniskiem, wyciągnąwszy przed siebie długie nogi. Jego twarz nikła w półmroku, ale Corban był niemalże pewien, że spogląda na niego. Przypomniał sobie swój sen – choć nie, to było zbyt rzeczywiste jak na sen – i rolę, jaką Meical w nim odegrał. Przecież z pałacu Asrotha uratował go Ben-Elim!

W lochach zamienili niewiele słów, gdyż Corban był zanadto oszołomiony, by cokolwiek zrozumieć. Wiedział jednak, że niebawem

czeka ich poważna rozmowa.

Odwrócił spojrzenie od cieni i zerknął na matkę, która również mu się przyglądała. Wstała i usiadła obok niego.

– Cóż – rzekła.

– Dziękuję ci, mammo.

– Za co?

– Za to, że przybyliście mi na ratunek.

Gwenith uścisnęła go mocno.

– Znam tego człowieka, bo widziałem go kiedyś w Dun Carreg, ale rozpoznaję go też z moich snów. – Corban przeniósł wzrok na Meicala.

– Tak, zrozumiałam to w lochach. I co? Wierzysz mi teraz?

Chłopak ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że Dath i Farrell pochylili się ku niemu, nasłuchując intensywnie.

– Ja... Moje sny, mammo... To tak naprawdę nie są sny. Ja się przeniosłem gdzieś indziej. Do Zaświatu.

– Tak. Doświadczasz tego od wielu lat. Ten sny urwały się jakiś czas temu.

– Ale w ostatnim widziałem Rhin. Zabrała mnie do Asrotha.

Gwenith zeszywniała i zacisnęła dłoń na jego kolanie.

– Byłem przerażony. Asroth... On chce mnie zabić! Miałaś rację.

– A więc wierzysz mi już?

Corban nie chciał o tym myśleć. Nie chciał się z tym mierzyć. Przez cały czas, gdy był czymś zajęty, świadomość rzeczy, o których próbowali mu opowiedzieć Gwenith z Garem, wisiała gdzieś nad nim. Odpychał ją, próbował zignorować, ale czuł, że nie może dłużej unikać tego tematu. Przecież dostał się do Zaświatu, stanął przed Asrothem i jego Kadoshim, widział Ben-Elim. Jak mógł dłużej temu przeczyć? Jak mógł utrzymywać, że wszystko to jest nieprawdą? Ujrzał to, co ujrzał, a więc istniały tylko dwa możliwe wytłumaczenia: oszalał razem z Garem albo wszystko, co od niego usłyszał, było prawdą. Nie istniało inne wyjaśnienie.

Westchnął ciężko.

– Wierzę, a jakże. Jak mógłbym teraz się wypierać? Po tym, co ujrzałem? Przepraszam, że ci nie zaufałem.

Gwenith uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Bywało, że sama nie mogłam w to wszystko uwierzyć.

– Mój problem leży w tym, że ja nie chcę w to wierzyć. Wolę o tym nie myśleć, a kiedy już zacznę, pojawia się mnóstwo pytań – rzekł Corban.

– Trudno się dziwić.

Nagle usłyszeli czyjś głos. Corban uniósł głowę i spostrzegł Meicala, który stanął blisko paleniska, niemalże przed nim.

– Co chcesz teraz począć? – spytał, patrząc prosto na niego.

– Ty mnie pytasz? – zdziwił się Corban.

– Wszyscy, których widzisz dookoła, zebrali się tu ze względu na ciebie, Corbanie. Jesteś Seren Disglaiem, Jasną Gwiazdą.

Chłopak wzdrygnął się w duchu, słysząc jego słowa. Kątem oka zauważył, że Dath wpatruje się w niego z szeroko rozwartymi oczami, a Farrell kiwa z zadumą głową. Coralen przyglądała mu się z uniesioną brwią.

– Będziemy podążać za tobą – ciągnął Meical. – Będę ci służył radą, a ty zrobisz z nią to, co uznasz za stosowne. Osobiście proponuję, byśmy udali się do Drassil w głębi lasu Forn.

– Dlaczego? – spytał Corban.

Brina zachichotała.

– Ponieważ przepowiednia Halvora mówi, że to tam powinieneś się udać i tam powstanie opór przeciwko Asrothowi i jego Czarnemu Słońcu.

Kim jest Halvor? Jaka przepowiednia?

W głowie Corbana roiło się od pytań i sam nie wiedział, które zadać w pierwszej kolejności, ale odepchnął je wszystkie i rzekł:

– Chcę się udać do Murias i odbić moją siostrę.

– Do Murias – powtórzył Meical. – To tam zmierza Nathair?

– Tak. Moja siostra Cywen jest jego więźniem.

– Trzyma ją w niewoli po to, by cię zwabić. Zdajesz sobie z tego sprawę, tak?

– Zaczynałem się już tego domyślać – odparł chłopak. – Ale nie ma to dla mnie znaczenia. Nie mogę jej porzucić.

Meical wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. Corban odwzajemnił spojrzenie.

– W porządku – rzekł mężczyzna. – Niech ci będzie. Udamy się do Murias.

– Nigdzie nie musicie jechać – zaprotestował Corban. Nie chciał mieć

na sumieniu żywotów tak wielu ludzi.

– To nasz wybór – odparł Meical. – Jesteś dla nas równie drogi jak twoja siostra dla ciebie.

Corban zastanowił się nad jego słowami. Przypomniał sobie, jak hufiec Ben-Elim natarł na hordy Kadoshim, by go ocalić, po czym pokiwał głową.

– A Nathairowi towarzyszy Sumur – dodał siedzący przy ogniu Tukul. – Chciałbym się z nim spotkać, bo mamy wiele spraw do obgadania.

Już sobie to wyobrażam, pomyślał Corban.

– Czego można się spodziewać w Murias? – spytał.

– Olbrzymów – rzekła Coralen.

– Ona ma rację – stwierdził Meical. – Tam mieszkają Benothi. Znajduje się tam również kocioł, który należy do Siedmiu Skarbów.

Do Siedmiu Skarbów?, pomyślał Corban. Pamiętam, jak Heb opowiadał o tym bajki.

– Kocioł? – spytał na głos.

– Tak – westchnął Meical. – Korzystał z niego Asroth przed Wojną Skarbów. Powstał po to, by służyć dobru, ale jak wiele innych przedmiotów można go wykorzystać również w innym celu. Wszystko zależy od tego, w czyich rękach się znajdzie. Choć to kocioł, może stać się potężną bronią.

– A do czego służył Asrothowi? – spytał Corban.

– Chciał przy jego pomocy wymordować wszystkie istoty stworzone przez Elyona.

– Kiepsko to brzmi – szepnął Dath do Farrella.

– No ale chyba nie zadziało, co? – odparł szeptem Farrell. – Przecież jakoś żyjemy, no nie?

– Żyjemy dlatego, że Elyon uwolnił Plagę – rzekł Meical, który usłyszał ich rozmowę. – Plaga jednakże okazała się straszliwym kataklizmem, a poza tym nie możemy już raczej liczyć na to, że Elyon ponownie zainterweniuje.

– A więc musimy uniemożliwić Nathairowi przejęcie tego kotła – oznajmił Farrell.

– Być może. Nie wiem tylko, czy jesteśmy w stanie. Poza tym kocioł na pewno jest chroniony. Wśród Benothi żyją jeszcze tacy, którzy

pamiętają spustoszenie wywołane przez Wojnę Skarbów. Jednym z nich jest Nemain, królowa Benothi. Widziała to wszystko i nie pozwoli, by znów wykorzystano kocioł do wszczęcia wojny.

– Ale Nathair ma ze sobą Jehar – wtrącił Tukul. – A to jedyna armia, z którą ma szansę odebrać kocioł olbrzymom.

– Dobrze, a więc ruszamy do Murias – rzekł Meical. – Mamy przed sobą sto mil drogi na północ. Musimy przemierzyć całe Cambren, nim przekroczymy granice Benothu.

– Czeka nas trudna podróż – rzekła Coralen. – Niewykluczone, że będziemy musieli przebijać się przez oddziały Rhin. Główna część jej sił udała się na południe i walczy z Domhainem, ale nie oznacza to, że północ jest bezbronna. Co więcej, przy najlepszych drogach leży wiele miast i wsi, gdzie ludzie nie będą spoglądać na was życzliwie. Będziecie więc musieli zboczyć z traktu i zapuścić się na wiele mil w głąb bezludzia. Już lepiej cofnąć się do Domhainu i stamtąd ruszyć prosto na północ. Może nawet zdołacie ich dogonić.

– Nie znam drogi, która wiedzie przez Domhain – powiedział Meical.

– Ale ja znam – stwierdziła dziewczyna. – Przez pół życia patroluję pogranicze. Znam każdą ścieżkę i ścieżynkę na przestrzeni stu mil. Co więcej, zapuściłam się nawet w pobliże Benothu. Zaprowadzę was.

Meical spojrział na Corbana, a potem na Tukula.

– Dziękuję – rzekł chłopak.

Coralen pokiwała głową, jakby uzgodnili coś, o czym myślała od dawna, po czym rozparła się na swojej ławce i skrzyżowała ramiona.

– A więc musimy zebrać zapasy na przeprawę przez góry – oznajmił Meical. – Wyruszamy o świcie.

Niedługo później ułożyli się do snu przy wciąż trzaskającym ogniu w palenisku. Burza wyciągnęła się przy Corbanie. Głosy Gara i Tukula, rozmawiających do późna, zlały się z innymi szelestami nocy.

W głowie chłopaka nadal panował chaos, ale był wyczerpany i sen owionął go niczym fala przypląwu. Co ciekawe, po wszystkim, co się wydarzyło tego dnia, najważniejszą myślą w jego głowie nie było wcale to, że stanął twarzą w twarz z Asrothem, spotkał jednego z Ben-Elim czy był świadkiem wypędzenia Rhin z jej własnej stolicy. Największe wrażenie zrobiła na nim Coralen, która objęła go, kiedy jeszcze wisiał

w łańcuchach. Nadal czuł muśnięcie jej włosów na twarzy i zapach jej skóry. Nadal pamiętał bicie jej serca i tłumiony szloch, gdy wtulała się w jego okaleczone, poranione ciało.

Rozdział dziewięćdziesiąty piąty

VERADIS

Veradis wpatrywał się w owiane mgłami mury Dun Taras. Spoglądał na nie od ponad miesiąca przez śnieg, deszcz i zimowe słońce. Jego ludzie oraz wojownicy Gerainta otoczyli fortecę ciasnym, szczelnym wieńcem, przez który nikt nie mógł się przedostać.

– Muszą już głodować – rzekł stojący obok niego Bos.

– Też mi się tak wydaje.

Geraint chciał natrzeć na mury twierdzy zaraz po przybyciu na miejsce, niedługo po tym, jak ostatni domhainscy maruderzy przebiegli przez bramy, ale Veradis nie chciał trwonić życia swoich ludzi w szturmach, których rezultat nie był niczym pewnym. Doradzał cierpliwość. Wolał otoczyć fortecę i czekać, choć wcale nie uśmiechało mu się czekanie na cokolwiek w środku zimy.

– Mamy póki co przewagę – rzekł, gdy Geraint usiłował nakłonić go do wzięcia udziału w szturmie. – Są pobici i pozbawieni ducha bojowego. Jeśli teraz zaatakujesz, stracisz setki ludzi i przypuszczalnie poniesiesz klęskę, przynajmniej na początku. Po co tracić dobrych ludzi i wzmacniać morale wroga, skoro możemy spokojnie siedzieć, dobrze jeść i patrzeć, jak umierają z głodu?

Geraint nie posłuchał. Przez cały dzień jego ludzie konstruowali tarany i drabiny, a nazajutrz ruszyli do szturm. Poległo ponad tysiąc wojowników i choć raz Cambreńcy zdołali wdrzeć się na mury, szybko ich odparto. Do drugiego uderzenia Geraint już nie przystąpił.

Rozbili więc obóz, otoczyli fortecę i czekali. Minął Dzień Zimowego Przesilenia, a dni oczekiwania zaczynały się dłużyć. Veradis z trudem nad sobą panował. Nie znosił bezczynności. Każdego dnia zapędzał swoich

ludzi do treningu – najpierw szkolił ich w walce w murze tarcz, a potem wyznaczał do indywidualnych potyczek. Rozmawiał też z kowalami, bo bitwa na granicy Domhainu podsunęła mu kolejne pomysły.

Przez cały czas nie przestawał jednak myśleć o Nathairze.

Gdzie on jest? Czy dotarł do Murias? Czy zdobył kocioł? Czy Cywen nic się nie stało?

– Ile to jeszcze ma trwać? – spytał Bos.

– Wszystko zależy od tego, jaką decyzję podejmą. Mogą się poddać. Mogą też uznać, że mają już dość głodu i nas zaatakować. – Veradis wzruszył ramionami. – Co ty byś zrobił?

– Nie cierpię być głodny. – Bos się skrzywił. – Robię się od tego zły. Pewnie wyszedłbym na zewnątrz w poszukiwaniu kogoś do zabicia.

Veradis się uśmiechnął. Niemalże mógł to sobie wyobrazić.

– Wiele zależy od ich króla. To sędziwy mężczyzna i słyszałem, że nie jest aż tak popularny wśród swoich poddanych. Wydaje mi się, że prędzej czy później pchnie swą armię do ataku, zanim ktoś uzna, że ma już go dosyć.

– To czemu jeszcze nie wyszli w pole? – zastanawiał się Bos.

– Myślę, że to przez nas – rzekł Veradis. – Ze względu na mur tarcz. Wiedzą, do czego jesteśmy zdolni, a ten teren jest dla nas idealny. Wyszedłbyś w pole, by raz jeszcze się z nami zmierzyć?

– Pewnie nie. Zwłaszcza jeśli nie miałbym pomysłu na zwycięstwo.

– Właśnie. A więc siedzą za murami i głodują.

Ich uwagę naraz przyciągnął tętent kopyt. Traktem olbrzymów zbliżali się galopem jacyś jeźdźcy, około pięćdziesięciu. Nad ich głowami powiewał proporzec Rhin ze złamaną gałęzią.

* * *

Veradisa wprowadzono do namiotu. Na krzesłach i ławach porozrzucano futra, a w żelaznym koszu płonął ogień. Rhin siedziała blisko płomieni i grzała dłonie. Wyglądała starzej niż kiedyś, choć niewykluczone, że był to efekt zmęczenia. Przez białą jak papier skórę prześwitywała mapa błękitnych żył. Spojrzała na wchodzącego wojownika i przesunęła się, wskazując mu miejsce.

Coś jest nie tak, pomyślał Veradis.

Niedaleko królowej siedział Geraint, popijając z kubka, a za nią stał Conall w płaszczu z niedźwiedziego futra.

– Gdzie Nathair? – spytał Veradis. – Moja pani – dodał, przypomniawszy sobie, do kogo się zwraca.

– Nathair jest w drodze do Murias. A przynajmniej był w chwili, gdy rozstaliśmy się pod Dun Vaner.

– Wszystko u niego w porządku?

– Tak, tak...

Veradis westchnął z ulgą i poczuł, jak uchodzi z niego napięcie.

– Mogę spytać, co cię dręczy, moja pani? – spytał.

– Czy to tak oczywiste? – Rhin zmarszczyła brwi.

Veradis wzruszył ramionami.

– W Dun Vaner przyprowadzono do mnie więźnia pochwyconego podczas przekraczania gór. Był to ów Corban, którego szuka wasz król.

– Cóż on tam robił?

– Ścigał swą siostrę. Skądś wiedział, że Nathair ją zabrał.

Cywen, pomyślał Veradis. Twarz dziewczyny niespodziewanie stanęła mu przed oczami, jak zwykle zalana łzami, smutna, wręcz zrozpaczona.

– Co z nim poczęłaś? Nathair będzie ci wdzięczny za pomoc!

– Nie sądzę. – Rhin skrzywiła się. – Został ocalony, a ja z trudem uszłam z życiem.

– Jak to możliwe?

Na twarzy królowej pojawiła się udręka granicząca z przestraczeniem.

– To już nie ma znaczenia. Pchnęłam na północ znaczną siłę, by uporała się z zagrożeniem. – W jej oczach na moment pojawiła się mgła. Wzdrygnęła się i wyprostowała. – Nic więcej nie jesteśmy w stanie na to poradzić. Powróćmy lepiej do podboju Domhainu... – Uśmiechnęła się, a w jej oczach błysnęła prawie taka sama iskra co kiedyś. – Geraint mówił mi, że złamałeś kręgosłup armii Eremona i popędziłeś ją do domu!

Veradis nie odpowiedział, a jedynie upił łyk miodu.

– Muszę chyba wymyślić jakiś sposób, by cię nagrodzić. – Rhin uśmiechnęła się szerzej.

Elyonie miłosierny, tylko nie to, pomyślał.

– A więc skoro mamy wszystkie szczury w pułapce, jak się z nimi

rozprawimy? – spytała Rhin. – Myślę, że kluczem do zwycięstwa jest Eremon. Słyszałam, że znalazł się pod przemożnym wpływem swej żony Roisin, która jest jeszcze mniej popularna od niego. Być może nadeszła pora, by porozmawiać z mieszkańcami? Może księżyc o pustym brzuchu sprawił, że stali się bardziej otwarci na negocjacje?

– Co masz na myśli? – spytał Veradis.

– Jego. – Królowa wskazała kościstym palcem Conalla. – To bękart Eremona. W jego żyłach płynie krew króla Domhainu. Czemu więc nie posadzić go na tronie? Domhainowi przyda się nowy władca, który oczywiście będzie klękał przede mną, Najwyższą Królową Zachodu. Jest młody, przystojny, silny, pełen... cóż, pasji i wigoru. – Urwała, a na jej ustach pojawił się przebiegły uśmiezek. – Rządy Eremona niebawem przerwie śmierć, a jego dziedzic to chłopiec raptem... czternastoletni?

– Ma już piętnaście lat – rzekł Conall.

– Myślę, że nasza propozycja okaże się kusząca dla mieszkańców Dun Taras. Roisin i jej dzieciak pewnie będą mieli inne zdanie, ale reszta dobrze sobie to przemyśli, zwłaszcza jeśli dorzucimy do oferty sporo jedzenia. No i obietnicę pokoju, rzecz jasna.

Trzeba na nią uważać, pomyślał Veradis. I nie wolno jej lekceważyć. Wątpię, czy w tym namiocie znalazłby się ktoś bystrzejszy od niej.

Rozdział dziewięćdziesiąty szósty

MAQUIN

Wojownicy Vin Thalun maszerowali przed Maquinem, a tłumy rozstępowały się przed nimi. Nie zwracał uwagi ani na ludzi, ani też na chmury koloru żelaza nad głową czy zimne powietrze kłuszące skórę. Wszystkie doznania zlały się ze sobą, ledwie wychwytywane przez jego podświadomość, gdy ujrzał dziedziniec pokryty zrytą, zdeptaną darnią i wznoszące się nad nim rzędy ławek, wypełnionych wrzeszczącymi ludźmi. Na samym środku areny tkwił wysoki słup, z którego zwisały żelazne łańcuchy. Obok niego stał kosz, z którego wystawało nieco broni. Widział miecz, włócznię, może jeszcze coś.

Po drugiej stronie dostrzegł kilku innych mężczyzn, przytrzymywanych przez Vin Thalun.

Popędził w stronę kosza.

Tamtych było przynajmniej trzech, być może więcej. Ujrzeni biegnącego Gadrai, a ten zarejestrował zaskoczenie w ich oczach, gdy uświadomili sobie, że biegnie w stronę kosza, a nie ku nim. Jeden z nich zorientował się w porę i również rzucił się do biegu, pozostali okazali się wolniejsi.

Maquin przypadł do kosza jako pierwszy. Złapał włócznię i cisnął nią w kierunku ryczących widzów. Nim spadła na ziemię, pochwycił miecz oraz nóż. Potem skoczył ku przeciwnikom.

Pierwszy zauważył, że jest już za późno. Próbował zwolnić i zawrócić, ale poślizgnął się na błocie. Maquin zdołał go rąbnąć mieczem w głowę, tuż nad uchem. Ostrze uwięzło w spękanej czaszce, a ciężar padającego ciała wyszarpnął broń z ręki Gadrai. Przeskoczył nad drgającym trupem i przerzucił nóż z lewej dłoni do prawej.

Wówczas przekonał się, że zostało mu jeszcze trzech przeciwników.

Otaczali go ostrożnie. Na ich nadgarstkach dojrzał świeże rany po sznurach, co oznaczało, że pochwycono ich niedawno i byli wciąż nowicjuszami w jamach Vin Thalun. Sam też miał podobne rany, ale już dawno zostały po nich jedynie srebrne blizny.

Rzucił się na mężczyznę w środku, nie chcąc pozwolić, by grupa go osaczyła. Przemknął pod opadającym ramieniem i zderzył się z przeciwnikiem, ignorując pięść, która odbiła się od jego barku. Wykorzystał swój pęd, by jak najgłębiej wbić nóż w brzuch mężczyzny. Szarpnął nim w górę i jednocześnie wychwycił pośpieszne kroki kolejnego napastnika. Odwrócił się ku niemu.

Przeciwnik był już blisko, naprawdę blisko. Maquin dostrzegł kątem oka wyprowadzany cios pięścią i odruchowo padł na kolana, by uniknąć potężnego haka. Rzucił się naprzód, przetoczył, ciął po drodze nożem i zerwał się znów na równe nogi. Na łydce mężczyzny pojawiło się krwawiące obficie skaleczenie. Nowicjusz nagle stracił serce do walki – wznosił ręce i zaczął cofać się obok człowieka, którego Maquin przed momentem wypatroszył, leżącego teraz pośród własnych lśniących wnętrzności. Za nim Gadrai dostrzegł kolejnego przeciwnika, wyszarpującego teraz miecz z czaszki trupa.

Mężczyzna, który przed chwilą unosił ręce, najwidoczniej spostrzegł, że uwagę Maquina na moment pochłonęła obserwacja i skoczył do ataku. Jedną ręką unieruchomił jego ramię z nożem, a drugim próbował złapać go za gardło.

Maquin padł na plecy i pociągnawszy zdesperowanego nowicjusza, przerzucił go nad sobą. Uderzenie serca później przekręcił ciało, zerwał się na równe nogi, skoczył na przeciwnika i wbił mu nóż w pierś.

Ostatni spośród napastników nadal mocował się z mieczem, tkwiącym w czaszce trupa. Maquin zbliżył się do niego.

Był młodym mężczyzną, który z pewnością niedawno przeszedł swą Długą Noc. Na jego podbródku widać było rzadkie włosy, które dopiero miały się rozrosnąć w brodę. Widząc nadchodzącego Maquina, szarpnął mocniej, oparłszy stopę o twarz trupa.

Niedaleko nóg młodzieńca wbiła się włócznia. Nad ich głowami buchnął ogłuszający śmiech, gdyż była to ta sama broń, którą Maquin wyrzucił wcześniej. Chłopak porzucił miecz i złapał włócznię, celując drżącym

ostrzem w Gadrai.

Ten szedł prosto na niego, nie przejmując się niczym. Młodzieniec rzucił się do szarży i zdołał zadrasnąć pierś i ramię Maquina, ale mężczyzna zawirował, złapał jedną ręką za drzewce włóczni i szarpnął. Przeciwnik również pociągnął, ale uderzenie serca później osunął się na ziemię z nożem Maquina w oku.

Stary wojownik patrzył, jak chłopak osuwa się i zamiera. Ostatnia iskierka życia zgasła i stał się jedynie zakrwawionym, pustym, pozbawionym duszy ochłapem.

Czym ja się stałem?, pomyślał Maquin.

* * *

Maquin siedział na ławce obok Javeda, drobnego wojownika z Tarbeshu. Wraz z grupą innych gladiatorów – elitą, jak ich ostatnio zwał Herak – spoglądali przez żelazne kraty na arenę, na której przed chwilą walczył. Starł coś z twarzy, błoto bądź krew. Nie miało to dla niego znaczenia.

Między słupami, na których wspierały się trybuny, widział szeroką równinę, a dalej wzgórze z fortecą Jerolin.

Byłem tu kiedyś na radzie zwołanej przez króla Aquilusa, pomyślał. Inaczej to wówczas wyglądało.

Od przybycia do Tenebralu upłynęło sporo czasu, a sama podróż również nie należała do łatwych. Po pokonaniu morza przez całą dziesięcionoc musieli wiosłować w górę rzeki, nim dotarli do jeziora, nad którym wyrastało Jerolin. Tam okazało się, że nie byli wcale pierwszym ani też ostatnim okrętem. Na wodach unosiła się niewielka flota galer wojennych Vin Thalun, a w fortecy i osadzie nad jeziorem roіło się od wojowników z Trzech Wysp.

Maquin nie miał pojęcia, jakie są zamysły Lykosa, ale pirat z pewnością miał chrapkę na Jerolin i być może cały Tenebral.

Gdzieś to mam, napomniał się Maquin. Ja mam przeżyć. Mam zabić każdego, kto przede mną stanie. Zasłużyć sobie na wolność. Odnaleźć Jaela i pokonać go.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób Lykos doprowadził do wzmocnienia swej pozycji w Tenebralu i nie chciał o tym myśleć, ale nie przestawało

go to intrygować.

Wszak podczas mojej ostatniej wizyty Vin Thalun nie byli szczególnie popularni. Teraz zaś wygląda na to, że tu rządzą!

Z początku wyczuwał gniew i niechęć wobec przybyszów. Niemalże natychmiast po przyjeździe wraz z innymi gladiatorami zostali zapędzeni do walki na zaimprovizowanych, ledwie otoczonych sznurami arenach. Starcia odbywały się początkowo w osadzie nad jeziorem, gdzie przyglądali się im głównie Vin Thalun. Pozostali gromadzili się gdzieś dalej i śledzili przebieg walk z dystansu, skryci wśród cieni.

Później walki przeniesiono na dziedzińce stolicy, gdzie tłumy widzów rosły, nabierały śmiałości i stawały się coraz głośniejsze. Do życia gladiatorów wkroczył niemalże identyczny porządek jak na Nerin – znów ćwiczyli każdego dnia, a potem zamykano ich w otwartych klatkach, na pokaz, niczym dorodne bydło. Na ich walki przybywało coraz więcej mieszkańców miasta i nabrzeżnych osad, którzy również z ochotą wypełniali nową arenę. Maquin widział na trybunach najróżniejszych ludzi – rybaków, kupców, myśliwych, kobiety, a nawet dzieci.

Czy ludzkie serca w istocie są aż tak niestałe? Tak chętne, by rozkoszować się złem?, pomyślał, ale zaraz parsknął. Spójrzcie tylko na mnie. Przecież jestem sercem tego zła! Jego korzeniem!

Tłumy ucichły, oczekując na kolejny punkt program. Na arenę wszedł Lykos.

Nie, to on jest korzeniem wszelkiego zła, a ja jedynie pionkiem w jego ręku. Posłusznym uczestnikiem jego igrzysk.

Za Lykosem szła kobieta. Była to Fidele, wdowa po zabitym królu i matka Nathaira. Być może była w zмовie z Lykosem, bo Nathair bez wątpienia ufał Vin Thalun i zawarł z nimi sojusz. Coś jednakże mówiło Maquinowi, że chyba myli się co do Fidele. Królowa szła bowiem zgarbiona, a wzrok, którym omiotła tłum, krył w sobie desperację i zaciekły gniew.

Ale muszą mieć przecież jakiś układ, pomyślał. Czy powitałaby Vin Thalun we własnym królestwie i pozwoliła im na tyle zła, gdyby tego nie chciała? Przecież na pewno miała ludzi, na których mogłaby się oprzeć w razie potrzeby.

Maquin widział sporo orlej straży w pałacu, choć ostatnio miał wrażenie, że ich liczebność maleje.

Za Lykosem i Fidele szło dwóch innych mężczyzn w kajdanach, otoczonych przez wojowników Vin Thalun, wśród których Maquin wypatrzył Deinona. Grupę zamykał Orgull, wyższy o głowę od reszty, oraz gladiator, którego zwano Pallasem, niższy i szczuplejszy od Gadrai, ale kroczący ze zwinnością i pewnością siebie. Jeśli wierzyć Javedowi, wygrał niezliczone pojedynki i był blisko wywalczenia sobie wolności. Orgull miał stoczyć z nim finałową walkę dnia.

Mężczyźni w kajdanach zostali przykuci do wielkiego słupa na środku areny, po czym strażnicy Vin Thalun otoczyli ich luźnym kręgiem. Orgull i Pallas stali nieopodal, cierpliwie czekając.

Fidele uniosła głowę i obróciła się wokół własnej osi, by przyjrzeć się całej widowni. Zapadła cisza.

– Ci ludzie to zdrajcy! – oznajmiła głośno. – Próbowali mnie zgładzić i odebrać mi koronę Tenebralu. Karą za zdradę jest śmierć.

Rozległy się krzyki i zniewagi, a obu skutych mężczyzn obrzucono kamieniami i jedzeniem. Widownia domagała się krwi, ale Maquin usłyszał również wykrzyczane głośno prośby o litość.

– Wypuścić ich! To niesprawiedliwe!

A więc to znani, rozpoznawalni ludzie, pomyślał. I popularni.

Fidele uniosła rękę.

– Najpierw jednak będziemy świadkami pokazu wielkich umiejętności w walce. Zwycięzca tego pojedynku dostąpi zaszczytu wymierzenia dwóm zdrajcom kary śmierci.

Lykos wyprowadził ją z areny i oboje udali się wśród rzędów ławek ku zacienionej ambonie, gdzie zasiedli. Tłum znów ucichł, przyglądając się Orgullovi i Pallasowi, którzy szli ku centrum areny. Z bocznej bramy wyszło kilku Vin Thalun niosących stół, na którym ułożono broń. Postawili go między dwoma gladiatorami i wyszli.

Na stole leżały dwa krótkie, zakrzywione miecze oraz wielki topór wojenny.

Pamiętam go! – przemknęło Maquinowi przez myśl.

Pallas chwycił dwa miecze, a Orgull podniósł topór.

To jego topór, pomyślał Gadrai. Znaleziony w grobowcu pod Haldis. Deinon musiał go przechować.

Pallas przeciął powietrze swymi krótkimi mieczami. Mięśnie gładko

prześlizgnęły się pod skórą.

– Nigdy nie widziałem takiej broni – stwierdził Maquin.

– Pallas pochodzi z Tarbeshu, tak jak ja – rzekł Javed. – To nasza tradycyjna broń.

– Nie nadaje się chyba zbyt do kłucia – zauważył Gadrai.

– O wiele lepiej jest nią ciąć, zwłaszcza z końskiego grzbietu.

– Dobrze więc, że ten cały Pallas jest pieszo.

Maquin był przekonany, że uwolnił się już od wszelkich sentymentów tudzież troski o innych, ale mimo to z zaskoczeniem uświadomił sobie, że ogarnia go napięcie. Zrozumiał, że nie chce patrzeć na śmierć Orgulla, ostatniego z jego braci Gadrai, ostatniego człowieka, który przypominał mu, czym jest honor i jak wyglądał świat przed niewolą. Drgnął odruchowo i rozejrzał się, ale nie było sposobu, by wskoczyć na arenę. Drogę blokowały żelazne kraty.

Tyle czasu minęło, a niektóre więzi nadal trwają, pomyślał.

Orgull zamachnął się swoim potężnym toporem, rozcinając powietrze ze świstem. Odpowiedziały mu gwizdy i wiwaty z widowni.

Walka rozpoczęła się nagle, bez żadnego sygnału czy ostrzeżenia. Pallas zamachnął się jednym z mieczy, próbując dosięgnąć stojącego po drugiej stronie stołu Orgulla, ale ten był przygotowany i uskoczył. Ostrze przecięło powietrze, a Gadrai, trzymając topór oburącz przy piersi, obiegł stół. Rozgorzała straszliwa walka – Pallas zasypał przeciwnika gradem ciosów, a ten sprawnie odbijał je drzewcem topora i odgryzał się z furją. Obaj poruszali się tak szybko, że Maquin nie mógł za nimi nadążyć wzrokiem. Wypad, uskok, cięcie, blok, atak, kolejny wypad, uskok.

Pallas nacierał bezustannie, wiedząc, że ogromny Orgull potrzebuje miejsca, by się zamachnąć swym ogromnym toporem i wstrząśnięty Maquin nie miał pojęcia, jak jego przyjaciel wytrzymuje grad ciosów szybkich jak uderzenia węża. Naraz uświadomił sobie, że stoi przy kracie i zaciska dłonie na prętach.

Nagle Pallas odskoczył, brocząc krwią z czoła, gdzie Orgull trafił go okutym żelazem końcem drzewca. On sam również odniósł kilka drobnych ran, broczących teraz krwią, ale skoczył w ślad za Pallasem, zataczając toporem wielkie kręgi.

Wojownik z Tarbeshu nachylił się nad jednym cięciem, przetoczył po

ziemi pod drugim, a trzecie zatrzymał skrzyżowanymi mieczami nad głową. Orgull kopnął Pallasa w chwili, gdy ten próbował uciec piruetem, na ułamek sekundy odebrał mu równowagę i znów opuścił topór. Ostrze rozorało ramię mężczyzny. Trysnęła krew, jeden z mieczy, wirując, wyleciał w powietrze, a ramię zwisło bezwładnie. Orgull zamachnął się i jednym cięciem zdjął przeciwnikowi głowę z ramion.

Przez chwilę trwała absolutna cisza, po czym tłum eksplodował owacjami. Maquin wrzeszczał równie głośno jak pozostali.

Orgull odwrócił się i bez żadnych wstępów podszedł do dwóch mężczyzn, przykutych do słupa. Wzniósł topór, zamachnął się i rąbnął, aż poszły iskry. Jeden z jeńców opadł na kolana, a rozcięte łańcuchy zsunęły się na ziemię. Nim zareagował, Orgull rozciął łańcuchy jego towarzysza.

Maquin patrzył na to z szeroko otwartymi ustami.

Naraz z tłumu widzów wyskoczyło kilku zamaskowanych ludzi z bronią, pochwyciło dwóch uwolnionych jeńców i pognało z nimi ku przeciwległemu wejściu. Orgull pognał za nimi. Drogę zastąpiła im grupa Vin Thalun i Gadrai znów wzniósł topór. Krew trysnęła na widownię, ale zewsząd biegli już kolejni. Niektórzy przeskakiwali przez ławki, próbując jak najszybciej znaleźć się na arenie. Lykos wykrzykiwał jakieś rozkazy, ale jego głos nikał w ryku tłumu.

Orgull i pozostali byli już przy wejściu. Przez dziki, ogłuszający wrzask przebijał się szczęk rozbijanych kłód, aż wrota rozwarły się.

Uciekaj, bracie w mieczu, pomyślał Maquin i uśmiechnął się.

Wówczas Orgulla znów opadli Vin Thalun, niczym opiłki żelaza lgnące do magnesu. Eksplodował chaos i ryk tłumu stał się wręcz ogłuszający. Niektórzy widzowie wyrwali drewniane ławki i ciskali nimi na arenę. Do walki, która trwała przy wyjściu, dołączali kolejni wojownicy. Maquin szarpał za żelazne pręty krat, dołączył do niego Javed, ale blokada nie ustąpiła.

Gadrai dostrzegł w tłumie łysą czaszkę Orgulla. Walczył na tyłach ich grupy, zwrócony do nich plecami, jakby osłaniał odwrót pozostałych. Za każdym razem, gdy opadał jego topór, tryskała nowa krew, strzelały w górę głowy, opadały odcięte kończyny. Towarzyszyło mu kilku innych wojowników, którzy wraz z nim usiłowali powstrzymać napór Vin Thalun, ale piraci nadal napływali zewsząd i obrońcy wkrótce mieli przeciwko

sobie ogromną przewagę liczebną. Nie trzeba było długo czekać, by Vin Thalun zalali ich niczym fala przyboju.

Na trybunach piraci, zbrojni w pałki, miecze i włócznie, przywracali powoli porządek. Inni układali poległych na arenie w stosy. Ten, na którym składano Vin Thalun, był o wiele wyższy.

Maquin ze zgrozą oczekiwał, aż ujrzy ciało Orgulla, rzucone na drugi stos. W istocie, zobaczył je po chwili, ale Vin Thalun ułożyli je z boku. Obok niego znalazł się jeden z jeńców, którego na początku starcia przykuto do słupa.

Wtem pojawił się Lykos. Podeszedł do nich i bez słowa wyciągnął miecz. Musiał uderzyć trzykrotnie, by odrąbać głowę człowiekowi leżącemu obok Orgulla. Wzniósł broń, by w ten sam sposób zakończyć życie Gadrai, ale przypadł do niego Deinon i zaczął mu coś szybko tłumaczyć. Lykos wysłuchał go, opuścił miecz i wytarł go o ciało trupa. Dwóch innych piratów pochwyciło Orgulla i wywlekło go za arenę.

Rozdział dziewięćdziesiąty siódmy

CYWEN

Cywen pochyliła głowę pod naporem lodowatego wiatru, który wywoływał nieprzyjemne dreszcze na jej ciele. Od kilku dni wędrowali przez przełęcz, otoczoną górami tak wysokimi, że przesłaniały niebo, aż znaleźli się wśród zaśnieżonych, łagodnych wzgórz. Tu i ówdzie spod śniegu wyrastały kępy wrzosów, a ziemię przecinały niezliczone, migotliwe strumienie.

Jak zwykle miała przy sobie Alcyona. Na czele ich grupy jechał zaś Nathair na draigu, za towarzyszy mając Calidusa i Sumura. Za nimi podążali wojownicy Jehar, rozciągający się w szeroką kolumnę, kończącą się jeszcze na przełęczy.

Wiatr przywiał wycie wilkunów, do czego Cywen zdążyła się już przyzwyczać. Z każdym dniem wędrówki na północ populacja tych drapieźników zdawała się rosnać, choć jak dotąd nie widziała żadnego z nich. Najwidoczniej dwa tysiące Jehar byli zbyt dużą uczcią nawet dla całej watahy wilkunów.

Buddai szedł po drugiej stronie dziewczyny z nosem nisko przy ziemi. On również nie przejmował się bliskością wilkunów, przynajmniej od chwili, gdy usłyszeli wycie po raz pierwszy. Miało to miejsce tego samego dnia, gdy wyjechali z Dun Vaner. Wycie przypominało żałosne, rozpaczliwe pożegnanie, a Buddai przez resztę dnia nie mógł dojść do siebie i często zatrzymywał się, by spojrzeć na góry. Przez krótką chwilę Cywen miała nadzieję, że może była to Burza, zmierzająca wraz z innymi jej na ratunek.

Ty idiotko!, zbeształa się w myślach. Nikt ci nie przyjdzie z pomocą! Tylko ty sama możesz sobie pomóc. Trzeba było uciekać z Pendathranem. Skoro szansa przepadła, nie ma co dłużej zawracać sobie nią głowy.

Teraz pozostawało jej czekać na kolejną okazję.
Szkoda tylko, że nie mam moich noży, myślała.

* * *

Obóz na noc rozbili w niedużej kotlinie, która jednakże niezbyt chroniła przed naporem wiatru. Lodowate podmuchy przenikały przez futro i skóry. Cywen drżała i próbowała się przysunąć do niewielkiego ognia, rozpalonego przez Alcyona. Ciepło przyrządzonej przez niego owsianki rozpływało się przez moment po jej ciele i zdawało się topić zimno niczym rozżarzony węgielek pośród szronu, ale jej dobroczynny wpływ już ustał.

– Nie czuję palców u nóg – oznajmiła.

– To spróbuj nimi poruszać – odparł olbrzym. Zawsze miał na podorędziu radę tego typu.

Z ciemności wyłonił się Calidus z wielkim jastrzębiem na ramieniu. Dostrzegł ich i podszedł bliżej. Nakarmił ptaka kawałkiem mięsa, wydobytym z sakiewki przy pasie, po czym uniósł ramię. Jastrząb zatrzepotał skrzydłami, wzbił się do lotu i znikł niczym szelest pośród nocy.

W ręku Calidusa wisiał wąski pasek pergaminu.

– To ostatnia noc, kiedy możemy zaryzykować palenie ognisk – powiedział i nachylił się nad ogniem, by w milczeniu odczytać treść listu.

Cudownie, pomyślała Cywen. Zamarznę na kość.

– Jakież wieści? – spytał Alcyon.

– O, tu jesteście! – zawołał naraz Nathair, który zbliżał się z Sumurem i Uthasem.

– Potem ci powiem – szepnął Calidus.

Nathair, Sumur i Uthas rozsiedli się wokół ognia, na co Cywen odsunęła się nieco, by nie musieć z nikim rozmawiać.

W zachowaniu Alcyona również zaszła zmiana. Wyprostował się i zeszywniał, co świadczyło o jego dyskomforcie.

– Wkrótce musimy się rozstać – rzekł Uthas. – Murias leży dziesięć noc drogi stąd, idąc waszym tempem.

– Wszystko już ustalone. Wiesz, co do ciebie należy? – spytał Calidus.

– Oczywiście. Bramy Murias będą przed wami otwarte, ale to wszystko, co mogę dla was zrobić. Sami będziecie musieli pokonać Benothi, którzy staną przeciwko wam. – Spojrzał na Calidusa i rzekł: – A wy macie uszanować nasze porozumienie i oszczędzić wszystkich Benothi, którzy staną po mojej stronie. Żadnemu z nich ma nie spaść włos z głowy.

– Oczywiście – odparł Calidus. – Wyświadczyłeś nam wielką przysługę, co na pewno nie zostanie zapomniane. Zostaniesz wynagrodzony.

– Dobrze. – Olbrzym pochylił głowę.

– Dasz sobie radę, Uthasie? Podołasz temu?

– Tak. Otworzę dla was bramy Murias i odciągnę moich stronników, ale to wszystko. Z Nemain i tymi, którzy pozostaną wobec niej lojalni, musicie uporać się osobiście. Nie będę rozlewał krwi moich pobratymców i nie podniosę ręki na zmijów.

Calidus wyciągnął dłoń nad ogniskiem i ujął przedramię Uthasa. Jego własny nadgarstek zniknął w ogromnej łapie olbrzyma.

– A więc oby do rana!

– Oby do rana – powtórzył Nathair. – I niech Elyon nad wami czuwa. Niech czuwa nad nami wszystkimi.

– Nieobecny bóg, co? – parsknął Uthas, a potem wstał i odszedł w mrok.

Cywen z oszołomieniem i zgrozą przysłuchiwała się rozmowie, bojąc się choćby odetchnąć.

Oni chyba zapomnieli o mojej obecności, pomyślała.

Uniosła wzrok i ujrzała Sumura, który odprowadzał olbrzyma spojrzeniem. Na czole wojownika rysowała się głęboka bruzda.

– Myślisz, że da sobie radę? – spytał Nathair Calidusa.

– Tak. Ale nawet jeśli nie podoła, nadal wypełnimy nasze zadanie. Mamy przecież dwa tysiące wojowników Jehar, mamy Alcyona i topór z gwiazdnego kamienia. Mamy wreszcie ciebie, Jasną Gwiazdę Elyona.

– Mamy też ciebie, przyjacielu – rzekł Nathair i zacisnął dłoń na ramieniu Calidusa. – Jednego z Ben-Elim, który stoi po mej stronie! – Zacisnął powieki i odetchnął głęboko. – Upłynęło tyle czasu, odkąd nawiedziły mnie pierwsze sny, usłyszałem głos Elyona i po raz pierwszy usłyszałem o kotle. A teraz... Teraz jesteśmy już tak blisko! Trudno mi w to wszystko uwierzyć.

– Koniec naszej misji jest tuż, mój panie. To ty doprowadziłeś ją do tego

momentu. Ojciec Ojców będzie z ciebie dumny.

Nathair uśmiechnął się do starca, po czym on i Sumur podnieśli się i odeszli.

Calidus spoglądał przez moment za nimi. Alcyon wpatrywał się w płomienie. Cywen robiła wszystko, by nawet nie drgnąć. Oddychała powoli i udawała, że śpi.

– Wygląda na to, że nasz manewr się powiódł. Przynęta zadziałała.

– Calidus przerwał ciszę i wrzucił trzymany w ręku świstek w ogień. Dziewczyna patrzyła, jak skręca się i staje w płomieniach.

Alcyon pokiwał głową. Przelotnie zerknął na Cywen.

– Są dwa dni za nami, może mniej. Myślę, że powinieneś zabrać ze sobą kilku ludzi i wyjechać im na spotkanie.

– Ilu ich jest?

– Ventos pisze, że sześciu. Mają też wilkuna tego chłopaka.

Mówią o Corbanie i Burzy, pomyślała Cywen.

– Weź ze sobą dwie dziesiątki Jehar – ciągnął Calidus. – Powinno wystarczyć.

Alcyon pokiwał głową.

– Dokąd?

– Nie tu, na otwartej przestrzeni. Droga do Murias biegnie przez lasy, które zaczynają się jakiś dzień drogi stąd. Tam na nich zaczekasz.

– Chcesz go żywcem?

– Nie – rzekł Calidus. – Pozabijaj ich wszystkich. – Wstał i dodał: – A gdy będzie już po wszystkim, ruszaj do mnie bezzwłocznie. Chcę się dowiedzieć o jego śmierci, zanim dotrzemy do Murias. Póki co będę miał oko na naszą przynętę.

Odszedł i znikł pośród nocy.

– Już możesz oddychać głośniejsze, dziecko – rzekł Alcyon. – I wracaj do ognia, bo przemarzniesz.

– Co on chciał przez to powiedzieć? – Cywen przypadła bliżej. Narastająca panika sprawiła, że przestała panować nad tym, co mówi. – Nie miał chyba na myśli Corbana, co? Mojego brata?

Alcyon nie odezwał się ani słowem, ale nie chciał spojrzeć jej w oczy.

– Kazał ci go zabić! – odezwała się Cywen. Mówiła coraz głośniejsze, a w jej słowach pobrzmiwał strach. – Wykorzystaliście mnie jako przynętę,

tak? By go zwabić do siebie? Niech cię szlag! Niech szlag trafi Calidusa i was wszystkich! Bądźcie przeklęci!

– Co do tego akurat nie ma wątpliwości – rzekł Alcyon, co bynajmniej nie uspokoiło Cywen.

– Niebawem się przekonasz, że Corbana wcale nie jest tak łatwo zabić! – syknęła dziewczyna. – Powiedziałabym, że to on raczej zabije ciebie!

Alcyon spojrział na nią nad płomieniami. W jego oczach błysnęły żal i współczucie.

Rozdział dziewięćdziesiąty ósmy

CAMLIN

Camlin stał na murach Dun Taras i wpatrywał się w jeźdźców, którzy nadciągali traktem olbrzymów. Roztrącane przez końskie kopyta poranne mgły sięgały wierzchowcom aż po kolana. Zdawało się, że przybysze płyną przez opary jak duchy, zamiast stąpać po szlaku. Nad ich głowami powiewał sztandar ze złamaną gałęzią Cambrenu, do którego przywiązano pasek białego materiału, co oznaczało, że zamiast walczyć, chcą rozmawiać.

Ich przybycie oznajmiły rogi z obozu cambreńskiego, a odpowiedziały im te z murów Dun Taras, ryczące aż po wieżę królewską.

Czy Eremon stawi się na ich wezwanie? – zastanawiał się Camlin.

Poczuł czyjąś obecność za sobą. Halion, Marrock, Vonn i Edana stali przy nim, a schodami nadciągały tłumy innych, zaalarmowanych i zaintrygowanych. Wszyscy byli wychudzeni i apatyczni, a niejeden z obecnych wydawał się zachmurzony, a nawet wściekły. Ponury nastrój spowijał całą fortecę niczym ciemna chmura.

Trzy miesiące o pustym żołądku zmieniają człowieka nie do poznania, myślał były banita.

Ludzie umierali z głodu i chorób, które szerzyły się pośród murów twierdzy. Trudno było zliczyć dolegliwości, które zabierały tych najsłabszych. Codziennie ulicami Dun Taras przetaczały się wozy ze zmarłymi.

Na ulicy pod nimi szła niewielka procesja – najpierw wojownicy, torujący drogę przez tłum, a za nimi jechał sporych rozmiarów powóz, ciągnięty przez dwa ogiery o czarnej, lśniącej sierści. W środku zasiadali Eremon i Roisin. Powóz zatrzymał się przy schodach niedaleko bramy

i para królewska wysiadła na zewnątrz. Pod eskortą wojska dotarli po schodach na mury.

Między Camlina i Haliona wcisnęła się drobna postać z jasnymi włosami. Była to Maeve, przyrodnia siostra Haliona, która swego czasu miała chrapkę na Corbana.

Camlin przeniósł wzrok na trakt gigantów i ujrzał, że zbliżająca się grupa jest już blisko. Przewodziła jej kobieta w czarnym futrze. Na jej ramiona opadały srebrne włosy, lśniące niczym płynne światło gwiazd.

– Rhin! – zasyczała stojąca obok Edana.

Otoczający ją wojownicy nosili płaszcze Cambrenu, z wyjątkiem jednego, który ubrany był w czerń i srebro Tenebralu. Inny spośród przybocznych jechał w kapturze, nie pokazując swej twarzy.

Rhin wstrzymała rumaka i spojrzała na strażnicę nad bramą.

– Eremonie, jesteś tam?! – zawołała. – Czy może nie dajesz już rady wejść po schodach?! Chodź, porozmawiaj z krewniaczką! Dawno nie ucieliśmy sobie pogawędki!

– Jestem tu! – odkrzyknął Eremon, który podszedł bliżej blank. Jego głos, donośny i głęboki, zadawał kłam sędziwemu wiekowi. – Choć wątpię, czy masz mi do powiedzenia coś, czego warto posłuchać!

– Czas to osądzi – odparła Rhin. – Wydajesz się zmęczony, krewniaku. Czyżby starość pukała do twych drzwi?

– Nie ja jeden się starzeję! – zawołał Eremon. – Masz tak pomarszczoną gębę, że można by ją pomylić z moim tyłkiem!

Nieźle, pomyślał Camlin, gdy na murach rozległy się śmiechy. Przynajmniej zachował cięty język.

Rhin skrzywiła się, ale nim zdążyła odpowiedzieć, na ulicach rozległy się krzyki. Camlin odwrócił się i ujrzał tłum zgromadzony wokół powozu Eremona i Roisin, szarpiący za konie i próbujący zerwać uprząż. Jeden z wierzchowców rżał dziko, stawał dęba i kopał z desperacją, drugi zataczał się, brocząc krwią z rany na karku. Wojownicy skoczyli, by ochronić zwierzęta przez głodną ciżbą.

– Problemy na ulicach? – spytała Rhin, gdy zgiełk ucichł.

Wojownicy szybko narzucali spokój.

– Tylko takie, które wiążą się z tobą.

– Mogę im zaradzić.

– Bez wątpienia mozesz. Podpowiem ci sposob. Wróc do Cambrenu. Juz pokonaliśmy twoich wojowników w polu. Oszczędź sobie długich, mroźnych nocy, Rhin, i wracaj do domu.

– Pokonaliście moich ludzi? Doprawdy? Wytłumacz zatem, dlaczego twoi wojownicy uciekli do twierdzy aż z granicy? I dlaczego chowacie się za murami?

– To nie twój hufiec zapewnił ci zwycięstwo. Zawdzięczasz je swoim sojusznikom z Tenebralu. Powiedz im, by się cofnęli, a wojownicy z Domhainu udzielą twoim Cambreńczykom drugiej lekcji!

Camlin widział, że słowa Eremona wywarły wpływ na ludzi z otoczenia Rhin. Jej przybocznicy skrzywili się i pokręcili głowami, a na murach poniosły się chrapliwe okrzyki tryumfu, powtórzone przez ludzi na ulicach.

– Nie przybyłam tu, by mówić o tym, co było. Musimy się skupić na przyszłości, nim twoi poddani wymrą z głodu. Możemy położyć temu kres. Teraz i na zawsze.

Na murach zapadła absolutna cisza. Nawet Camlin pochylił się, by nie uронić ani słowa, choć wiedział, że nie może ufać żadnym zapewnieniom wychodzącym z ust Rhin.

– Ustąp, Eremonie. Jesteś starym człowiekiem i niewiele czasu ci zostało. Pozwolę ci odejść z życiem, byś mógł spędzić ostatnie lata tak, jak ci się podoba. Zrzeknij się tylko tronu, a twój dziedzic...

– Nie! – krzyknęła przeraźliwie Roisin.

– Och, twoja żona też tu jest. Żona? A może raczej powinnam nazwać ją twoją panią? Ludzie mówią, że właściwie to ona włada Domhainem, a nie ty, Eremonie. Mam rozmawiać z nią czy z tobą?

– Milcz – syknął Eremon do Roisin, a sam zawołał: – Ja władam Domhainem i nikt poza mną!

– Władaj więc i zrób to, co najlepsze dla twoich poddanych. Ustąp! Nie jesteś w stanie wygrać. Domhain będzie mój, a ty ulegniesz moim wojskom. To jedyne możliwe rozwiązanie, a dotrzeć do niego można dwoma drogami. Jedna jest pokojowa. Druga zasłana trupami. Po co komu więcej śmierci? Oddaj koronę!

– Nie wydaje mi się, by lud Domhainu z radością uznał cię za swą panią! – odkrzyknął Eremon.

– Nie ja bym nimi rządziła, ale pozostawiony przeze mnie regent. Jeden z was, człowiek z Domhainu, wojownik, w którego żyłach płynie krew króla. Twoja krew, ściślej mówiąc.

Na jej znak zamaskowany jeździec zerwał kaptur.

Camlin zamrugał. Rozpoznał twarz, ale przez dłuższą chwilę nie mógł jej skojarzyć z osobą, aż ktoś stojący przy nim szepnął:

– Conall.

To Maeve rozpoznała go jako pierwsza, ale po niej uczyniło to wielu innych. Setki, tysiące ludzi zgromadzonych na murach powtórzyło imię wojownika. Szept niósł się niczym szeleszczący wiatr wśród suchych traw. Halion wpatrywał się w brata w milczeniu. Jego twarz była zimna i surowa.

– Zostawiam wam temat do przemyśleń – rzekła Rhin. – Wrócę jutro w południe, by usłyszeć waszą odpowiedź.

* * *

Camlin siedział przy stole i przywiązywał ścięgna żelazne groty do strzał, które osobiście naciął i pozostawił w miejscowej wędzarni, by wyschły. Pierzysko już zamocował. Zakończył pracę nad jedną strzałą, ułożył ją na stosie podobnych i wziął kolejną.

Po wizycie Rhin cała ich piątka – szóstka, jeśli liczyć Fecha – pośpiesznie udała się do domu przez ulice, na których wprost wrzało. Ujawnienie tożsamości tajemniczego jeźdźca miało ten sam efekt co wdepnięcie w mrowisko. Na ulicach, które jeszcze wczoraj były wyludnione, teraz gromadziły się tłumy rozprawiających, podekscytowanych, kłócących się ludzi.

– Powinniśmy się tego spodziewać – rzekła Edana. – Przecież Rafe powiedział nam, że Conall żyje i że został pierwszym mieczem Rhin.

– Sprytne posunięcie – uznał Marrock. – Domhaińczycy mogą uniknąć dalszego głodowania, a do tego nie stracą honoru. A Roisin jest powszechnie znienawidzona, co jeszcze pogarsza sprawę.

– Halionie, trzymasz się jakoś? – spytała Edana.

Wojownik siedział z twarzą skrytą w dłoniach. Gdy uniósł głowę, wszyscy ujrzeli, że policzki ma mokre od łez.

– To mój brat – powiedział. – Kiedyś wszystko było o wiele prostsze. Było nas dwóch przeciwko całemu światu. – Drżąc na całym ciele, nabrał tchu i się wyprostował.

Camlin poczuł współczucie w sercu.

Ile on ma lat?, zastanawiał się. Chyba nie skończył jeszcze trzydziestki, ale życie zmusiło go, by stał się kimś starszym. Pewnie był dla Conalla bardziej ojcem niż bratem. Podejmując każdą kolejną decyzję, musiał kierować się odpowiedzialnością.

– W sercu Conalla zawsze kryło się coś mrocznego – ciągnął Halion. – Widziałem w nim jakieś gorzkie ziarno, które zostało umiejętnie podlane przez Evnisa oraz Rhin i zakiełkowało. Nie wiem już, kim on tak naprawdę jest. Miałby rządzić Domhainem? Conall, którego znałem, wyśmiałby i odrzucił tę myśl. Kim on się stał?

– Wrogiem – rzekł wyraźnie Vonn. – Conall stał się wrogiem i tyle. Służy kobiecie, która uknuła spisek prowadzący do upadku Brenina, Alony i Edany. Ba, nie tylko upadku, ale i śmierci. Na pewno nadal marzy się jej śmierć Edany. Czasem więzy krwi to za mało.

Wszyscy spojrzeli na Vonna, który rzadko się odzywał, a zgoła nigdy nie wspominał o swoim ojcu, Ewnisie. Nie wypowiedział wprawdzie jego imienia, ale towarzysze wiedzieli, kogo miał na myśli.

Słyszając jego słowa, Fech podfrunął bliżej Edany, jakby chciał ją ochronić.

– Co pocznie Eremon? – spytał Vonn.

– Nie wiem – odparł Halion. – Gdybym sam znalazł się na jego miejscu i byłbym pewien lojalności swoich poddanych, poczekałbym dłużej. Miałbym nadzieję, że Cambreńczycy stracą cierpliwość i rzucają się do ataku na mury twierdzy. Nie sądzę jednak, by Rhin była taka głupia. Może Geraint, ale nie Rhin. Ona jest gotowa czekać, aż pozostaną po nas tylko kości.

– Poza tym nie sądzę, by twój ojciec mógł nadal liczyć na poparcie swoich ludzi – dodała Edana.

– Nie. Musi podjąć jakąś decyzję i to szybko. Być może trzeba będzie przypuścić atak.

– Najpierw jednakże trzeba wymyślić jakiś sposób, by rozbić ten ich mur tarcz – rzekł Marrock. – W przeciwnym razie pchnąby ludzi na pewną śmierć.

– Co ty byś zrobił, Fech? – Edana zwróciła się do kruka.

Ostatnimi czasy rozmawiała z krukiem coraz częściej, zupełnie jakby był człowiekiem, a ptak, co ciekawe, nieraz zaskakiwał ją swoją inteligencją. Camlin nie miał pewności, czy mu się to podoba.

– Zabić Rhin! – zakrakał Fech. – Odciąć głowę! Ciało podskoczy raz, drugi i umrze. – Zakłapał przy tym dziobem, jakby chciał w ten sposób podkreślić skuteczność swego pomysłu.

– Dobra rada – stwierdził Marrock. – Problem leży w tym, jak tego dokonać.

– Przykro mi, że was tu ściągnąłem – rzekł Halion. – Powinienem być ciebie posłuchać, Marrocku. Trzeba było udać się do Dun Crin.

Wpatrywali się w niego w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Nie obwiniaj się o to – odparł Marrock. – Przecież od samego początku robiłeś to, co twoim zdaniem było najsensowniejsze, i nie mogę mieć o to do ciebie pretensji. A poza tym kto nam zagwarantuje, że wyprawa do Dun Crin okazałaby się lepszym pomysłem? Nasze głowy mogłyby już tkwić na cambreńskich włóczyniach. Tymczasem żyjemy i mamy siebie. Mamy przysięgi i przyjaźń, która nas łączy. – Spojrzał Halionowi w oczy, a ten pokiwał głową.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Eremon chce was ujrzeć – rzekł wojownik przybyły z zamku. – Wszystkich.

* * *

Niemalże bezszelestnie wędrowali ulicami miasta, już cichymi i wręcz wymarłymi. Nie było na nich nikogo poza zabłąkanym szczurem. Camlin z zaskoczeniem zauważył, że liczebność zwierząt w Dun Taras maleje zauważalnie. Nawet psy i szczury znikwały w ludzkich żołądkach.

Niebawem usłyszeli odgłos w oddali, z początku słaby, ale przybierający na sile. To szemrał tłum ludzi. Naraz dało się wyczuć dym z płonących ognisk, a za kolejnym zakrętem ujrzeli na niebie pomarańczową lunę, wydobywającą z mroku okoliczne budynki. W powietrzu wisiało napięcie, sztywne niczym rozciągnięta lina, w każdej chwili grożąca pęknięciem. Przyśpieszyli kroku i po chwili weszli do zamku, eskortowani przez

czujnych wojowników z pochodniami. Wkrótce zaprowadzono ich do komnat Eremona.

Eremonowi i Roisin towarzyszył Rath, którego rany już się zaleczyły, choć Camlin nadal dostrzegał sztywność w jego ruchach. Obok nich stała para służek – jedną z nich była Maeve, która naląła królowi miodu do opróżnionego kielicha. Eremon miał zapadłe, przekrwione oczy.

– Dziękuję wam za przybycie – rzekł król i wyciągnął rękę do Edany, która podeszła o krok i ujęła jego dłoń z szacunkiem. – Musicie stąd wyjechać i to jeszcze dziś – oznajmił władca Domhainu bez ogródek. – Wysłałem już posłańców. Na wybrzeżu czeka na was okręt. Baird was poprowadzi.

– Co takiego? – spytała Edana.

– Jutro muszę zebrać armię i wydać Rhin bitwę – rzekł Eremon. – Rozsądek nakazywałby chować się za murami jeszcze jakiś czas, ale myślę, że mieszkańcy miasta straciliby cierpliwość i otworzyliby bramy przed Rhin. Nie sądzę, byśmy odnieśli zwycięstwo. Nie mamy sposobu na ten ich mur tarcz.

– Zostaniemy z wami i będziemy walczyć – oznajmiła Edana.

– Nie. Ja cię o nic nie proszę, Edano. Ja właśnie wydaję jeden z ostatnich rozkazów jako król Domhainu – rzekł Eremon i poklepał dziewczynę po dłoni. – Jesteś młoda, ale mądra i dzielna. Jesteś jedyną nadzieją dla tych, którzy staną przeciwko Rhin. Nie wolno ci ryzykować życiem, bo masz jeszcze wiele do zrobienia.

– Ale dokąd mam się udać?

– Mój okręt zabierze cię tam, gdzie będziesz sobie życzyć. Sugeruję wrócić na południowy zachód Ardanu, na bagna w okolicy Dun Crin, gdzie podobno już powstaje ruch oporu przeciwko Rhin. Wróć do swoich ludzi i stań na ich czele.

Edana zastanowiła się nad słowami starego króla, marszcząc przy tym czoło.

– Zrobię tak, jak każesz – powiedziała, po czym pochyliła się i ucałowała jego dłoń. – Dziękuję ci za wszystko, co dla mnie uczyniłeś. Wierzę w to, że osiągniesz zwycięstwo. Masz pod swymi rozkazami dzielnych wojowników, a Rath to mądry dowódca.

– Gdyby zastępy Rhin walczyły jak na ludzi honoru przystało, już

dawno osiągnęlibyśmy zwycięstwo – mruknął Baird.

– Nie myśl jednak, że jestem bezinteresownym dobrodziejem – ciągnął Eremon. – Chciałbym, byście zrobili coś dla mnie. Zabierzcie ze sobą naszego syna Lorcana. – Zerknął na Roisin. – Wiem, że zgodziłaś się na zrękowiny z nim, ale jeśli Domhain upadnie, a ja zginę, sama zadecydujesz, czy podtrzymać tę decyzję czy też nie. Tak czy owak, zabierz go stąd w jakieś bezpieczne miejsce. – Uśmiechnął się i dodał: – Choć sam mam nadzieję, że pobierzecie się z Lorcanem. Masz dobre biodra. Jestem pewien, że doczekacie się sporej gromadki dzieci.

Ten człowiek byłby niezłym kompanem do kielicha, pomyślał Camlin.

– Zrobię to, o co mnie prosisz – rzekła Edana, rumieniąc się. – Ale dlaczego nie udasz się z nami? Przecież moglibyśmy wyjechać stąd wszyscy.

Camlin przyglądał się im uważnie. Zauważył zaczerwienione oczy Roisin i wzrok Eremona, który padł na podłogę.

Już to omówili, pomyślał. I bynajmniej nie doszli do porozumienia.

– Ja nie mogę uciec – rzekł Eremon. – Moi poddani właśnie się zastanawiają, czy nie wybrać kogoś innego w moje miejsce, ale nie podjęli jeszcze decyzji, a ja nie mogę ich po prostu porzucić.

– Ale jeśli wydasz Rhin bitwę, zginie wielu ludzi – powiedziała Edana. – Jeśli jej unikniesz, oszczędzisz ich przed śmiercią. Zbierz swoich lojalnych przybocznych i uciekaj. Kiedy indziej stoczycie tę bitwę!

– Nie mogę uciekać jak skopany pies! – warknął Eremon. – Nie ma mowy!

Ech, ten honor, pomyślał Camlin. Ma swoje wady, nie da się ukryć. Ja bym się nie zastanawiał, gdybym miał możliwość dać nogę.

Spojrzał na Edanę.

A może jednak miałbym wątpliwości...

W sali zapadła cisza. Maeve podeszła z dzbanem i napełniła kielich ojca. Camlin zauważył, że jej ręka się trzęsie. Rozlała nieco piwa, a potem upuściła naczynie, które roztrzaskało się na kamiennej posadzce.

Na ułamek sekundy uwagę wszystkich przyciągnął dzban. Potem Camlin ujrzał coś błyszczącego w dłoni Maeve. Nim zdążył zareagować, dziewczyna przypadła do króla i wbiła mu nóż w gardło. Krew buchnęła strugą.

Naraz czar prysł i do wszystkich powróciło życie. Maeve przeskoczyła nad nogami wierzgającego króla i runęła ku Edanie. Rath, Baird i Halion skoczyli jej naprzeciw. Roisin się podniosła.

Edana odruchowo uniosła ramiona, ale okazało się, że Maeve nie jest nią zainteresowana. Zderzyły się, lecz służka odbiła się od młodej królowej i skoczyła na Roisin, raniąc ją nożem po żebrach. Nim zdążyła wyrządzić jej większą krzywdę, przypadł do niej Rath, złapał ją w talii i odciągnął na bok. Nóż wypadł z wykręconego nadgarstka i spadł z trzaskiem na podłogę.

Eremon był blady jak ściana, a jego skóra wydawała się przezroczysta. Życie na moment migotało jeszcze w jego oczach, po czym zgasło. Roisin wrzasnęła i przypadła do jego ciała, tuląc je ze wszystkich sił. Głowa starego króla opadła.

– Dlaczego to zrobiłaś? – warknął Rath, nie puszczając Maeve.

– Bo chciał skazać tylu ludzi na śmierć! Bo sam był stary i śmierć groziła mu lada chwila! Bo nienawidzę Roisin i jej szczeniaka! Bo chcę, by Conall został królem! – wyrzuciła z siebie Maeve, bez strachu wpatrując się w pogromcę olbrzymów.

Rath wyrwał własny nóż, wbił jej w pierś i trzymał do chwili, gdy opuściło ją życie, a potem powoli położył ją na podłodze. W jego oczach błysnęły łzy, gdy odwracał się ku nim.

Roisin powstała nieśpiesznie i cofnęła się od Eremona. Jej suknię plamiła krew.

– Myślę, że to zmienia postać rzeczy – oznajmiła.

* * *

– Tędy – powiedział Baird i wprowadził konia w dziurę w ścianie stajni, która pojawiła się dosłownie chwilę temu.

Te olbrzymy były nieufną bandą, pomyślał Camlin. Dobrze pamiętał tunele pod Dun Carreg, gdzie na każdym kroku znajdowały się kryjówki i otwory strzeleckie.

Znajdowali się w stajniach Dun Taras. Edana i jej przyboczni stali obok Roisin, Lorcana, Quinna i około dwóch dziesiątek wojowników, co do lojalności których Rath nie miał żadnych zastrzeżeń.

– To jedyna droga ucieczki stąd – powiedziała Roisin o tunelu, w który się zagłębili.

Nachylony pod łagodnym kątem, prowadził w dół, wysoki i szeroki na tyle, by ludzie mogli iść wraz z końmi. Wokół słycać było stłumione stukanie owiniętych płótnem kopyt.

Tunel ciągnął się przez jakąś milę, po czym znów zaczął piąć się w górę. Uciekinierzy mieli nadzieję, że uda im się wyjść na powierzchnię za obozowiskiem cambreńskim. Rath nie chciał uchodzić wraz z nimi. Powiedział, że jego obecność w fortecy pomoże chwilowo zataić śmierć Eremona i da im czas na ucieczkę. Nikt nie był w stanie wpłynąć na jego decyzję. Halion na odchodnym uściśnął serdecznie starego wojownika.

Szli długo w ciemnościach, podążając za migotliwym ognikiem pochodni prowadzącego ich Bairda, aż wreszcie Camlin wyszedł w noc. Nadal było ciemno, a na niebie wisały tysiące gwiazd.

Edana szła przed nim, a Fech siedział na jej siodle. Były banita zauważył, że młoda królowa wyciągnęła rękę, a wtedy ptak usadowił się na niej i potarł dziobem o policzek dziewczyny.

– Chcę cię prosić o wielką przysługę. – Edana zwróciła się do ptaka. – Znajdź Corbana i opowiedz mu o tym, co się zdarzyło. Powiedz mu, że płynę do Dun Crin i że mam nadzieję jeszcze go kiedyś ujrzeć.

Kruk z początku protestował, ale Edana ponowiła prośbę i wkrótce Fech zatrzepotał skrzydłami, by po chwili zniknąć pośród nocy. Dziewczyna odwróciła się i ujrzała na sobie wzrok byłego banity. W jej oczach błyszczały łzy.

– Wygląda na to, że znów uciekamy, Camlinie.

– Jak za dawnych czasów – odparł i uśmiechnął się, by dodać jej odwagi, choć sam wcale jej nie czuł.

Rozdział dziewięćdziesiąty dziewiąty

CORBAN

Rozbili obozowisko nad brzegiem wartkiego strumienia o czystych, lodowato zimnych wodach. Ich grupa składała się z siedemdziesięciu jeden ludzi, nie licząc Burzy i Crafa. Przekroczyli góry w drodze powrotnej do Domhainu, a wtedy Coralen powiodła ich ostrym tempem na północ. Od chwili, gdy opuścili Dun Vaner, minął ponad księżyc i pogoda zaczęła się zmieniać. Śnieg ustąpił miejsca deszczom, a w nadal zimnym powietrzu czuć było już pierwsze tchnienie wiosny. Corban odczuwał to wyraźnie. Nadchodziło nowe życie. Odrodzenie.

Zbliża się dzień mego imienia, myślał. Minął już prawie rok, odkąd uciekliśmy z Dun Carreg.

Coralen powiedziała, że niebawem przekroczą północną granicę Domhainu i wejdą na ziemie olbrzymów, a stamtąd wystarczyło już dziesięć dni drogi, by dotrzeć pod Murias.

Do Cywen.

Corban miał mnóstwo czasu na przemyślenia i wciąż miał wrażenie, że jego wyprawa do Zaświatu była czymś realnym, a gdyby jego wiara osłabła, tuż obok miał człowieka, który przypominał mu, że niczego sobie nie wymyślił.

Meical trzymał się cały czas blisko niego. Z początku wydawał się osobą zimną, wyniosłą i nieprzystępną, ale w miarę upływu dni rozmawiali coraz częściej i dłużej. Głównie to Corban zadawał pytania, a Meical na nie odpowiadał. Chłopaka ciekawił przede wszystkim Nathair, uwarunkowania polityczne Ziem Wygnanych i stanowisko, jakie obiorą królowie i królowe wobec intryg Tenebralu. Meical najwyraźniej znał ich wszystkich, a nawet jeśli nie spotkał ich osobiście, to przynajmniej słyszał

o nich. Corban zaś robił wszystko, by unikać tematu Zaświatu, Asrotha, Elyona, Ben-Elim oraz Kadoshim, choć w jego głowie aż kipiało od pytań. Wiedział jednak, że w chwili, gdy zacznie je zadawać, będzie musiał pogodzić się z prawdą, a to, że przyznał rację matce, wcale niczego nie ułatwiało. Czuł się bowiem nieswojo na myśl o zaakceptowaniu filozofii bandy fanatyków, którzy byli gotowi odrąbywać głowy na samo jego skinienie. Poza tym nie był po prostu gotów, by pogodzić się z tym, co twierdzili Meical i Jehar.

I co dalej? Co ja mam właściwie począć?, zastanawiał się.

Nie, po prostu nie mógł jeszcze wkroczyć na tę ścieżkę. Na samą myśl o tym ogarniało go przerażenie. Miał wrażenie, jakby stał na skraju klifu i spoglądał w dół, walcząc z coraz silniejszymi zawrotami głowy. Wolał skupić się na zadaniu bliższym jego sercu, konkretniejszym. Musiał odebrać Cywen Nathairowi. To mu na razie wystarczało.

Jeśli mi się uda i przeżyję, będę miał mnóstwo czasu, by zastanowić się nad poważniejszymi kwestiami, mówił sobie.

Wystarczyło, by pomyślał o Cywen, a jego serce zalewały kolejne emocje – nadzieja, troska, lęk.

Elyonie w niebie, pozwól nam ją ocalić!, przemknęło mu przez głowę, po czym się uśmiechnął. Dziwne to czasy, skoro znów zaczynamy się modlić, nawet do nieobecnego boga. Cóż, lepszy chyba strzęp nadziei niż nic.

Po chwili ujrzał Coralen, która stała nieco dalej na skale i wpatrywała się w dal.

– Na co spoglądasz? – spytał, podchodząc do niej.

– Na Benoth. – Dziewczyna wskazała mu kierunek. – Między tymi szczytami znajduje się szeroka dolina i wystarczy ją przebyć, by znaleźć się w krainie olbrzymów. Stamtąd od Murias dzieli nas już tylko żabi skok, o ile nie wpadniemy na oddział Benothi, patrolujący granice.

– Czy to prawdopodobne?

– Możliwe. – Coralen wzruszyła ramionami. – Benothi są nieprzewidywalni. Bywa, że siedzą w swojej twierdzy przez całe lata, a potem nagle zaczynają urządzać najazd za najazdem.

Dziewczyna nadal miała na sobie skórę wilkuna. Corban również przywykł do noszenia własnej, która okazała się cieplejsza od jego płaszcza. Stali we dwoje i wpatrywali się w przejście między górami,

a granatowe niebo nad ich głowami ciemniało. Tu i ówdzie budziły się już gwiazdy.

– Chciałem ci podziękować – rzekł Corban po chwili milczenia.

Coralen nabrała tchu.

– Za co?

– Za wszystko. Za to, że jesteś naszym przewodnikiem. Że ryzykowałeś życiem w Dun Vaner. Że przybyłaś, by mnie ocalić. Że poprowadziłaś nas na północ. Za to, co jeszcze chcesz dla nas zrobić. Nie dotarlibyśmy tu, gdyby nie ty.

Było jeszcze coś, co chciał jej powiedzieć, coś, o czym ostatnimi czasy myślał coraz częściej, ale nie umiał tego wyrazić słowami.

– Pewnie wciąż nie możesz pogodzić się z tym, co się dzieje z Conallem – wykrztusił po chwili.

– To prawda – przyznała.

Cisza przedłużała się i Corban uznał, że Coralen nie odezwie się już ani słowem, ale nagle usłyszał:

– Con zawsze był moim ulubionym bratem. Cóż, chyba nie powinnam się do tego przyznawać. Halion był serdeczny, rozsądny i zawsze się o mnie troszczył, ale z Conem człowiek po prostu nie mógł się nudzić. Tyle się wokół niego działo, mówię ci. Na pewno mogłabym sobie znaleźć lepsze towarzystwo, ale z nikim nie było tak fajnie jak z nim.

Corban czuł, że rozumie jej wywód. Conall należał do ludzi, których można było zarówno kochać, jak i nienawidzić, czasem jednocześnie.

– Pomyślałem, że po tym, jak Conall umknął z Rhin, udasz się na południe. Wydaje mi się, że oboje pojechali na południe, by dołączyć do armii w Domhainie.

– Pewnie tak – szepnęła Coralen.

– Wydawało mi się, że to tam chcesz się znaleźć – ciągnął chłopak.

Coralen odwróciła się, by na niego zerknąć. Jej spojrzenie było mocne, niewzruszone. Miała zielone oczy.

Corban miał wrażenie, że lada moment usłyszy od niej coś ważnego, ale wtem rozległy się kroki i głosy. Zbliżali się Dath oraz Farrell.

– Chyba nie przepadam za tymi Jehar – oznajmił Dath.

– Uratowali nas z opresji – rzekł Corban.

– A ja ich lubię – stwierdziła Coralen.

– Nie wydawało mi się, że mogłabyś ścierpieć spotkanie z kobietami twardszymi od ciebie – rzekł Dath.

– Budzą mój podziw – odparła Coralen.

– Cóż, mój również, ale nie przestają mnie przy tym przerażać i...

– Ciebie wszystko przeraża – wtrącił Farrell.

– A poza tym Gar jest jednym z nich – podkreślił Corban.

– Tak, ale również jest jednym z nas!

– I nie patrzy na ciebie tak jak pozostali. Ci gapią się, jakbyś był ulany ze złota – wytknął Farrell.

Corban nie mógł temu zaprzeczyć. Z dnia na dzień czuł się przez to bardziej nieswojo.

– Wcale się tak nie gapią – bąknął niewyraźnie pod nosem.

– A właśnie, że się gapią, i dobrze o tym wiesz! – Dath się rozpromienił.

– Mają cię za tego całego Syren Dyska.

– Seren Disglaira – poprawił go odruchowo Corban.

– A może ty jesteś ulany ze złota, co? Jest tam coś błyszczącego pod tą skórą? – Dath szarpnął za futro Corbana.

– Zostaw! – Chłopak pacnął przyjaciela w dłoń.

Nim się zorientował, Farrell uwięził go w mocnym uścisku, a Dath próbował podnieść mu koszulę. Szamocząca się trójka zwała się na ziemię.

– Idioci! – parsknęła Coralen i odeszła. Przygnieciony przez przyjaciół Corban dostrzegł tylko jej oddalające się pięty.

* * *

Zbudził się przed świtem, szturchnięty przez Gara. Nie protestował, bo był już do tego przyzwyczajony, a ostatnimi czasy nie trenował przecież sam. Nikt z Jehar już nie spał, a niektórzy już ćwiczyli.

Pierwszy poranek po ocaleniu z niewoli w Dun Vaner był dziwnym przeżyciem. Corban czuł się jak aktor na scenie, bo wszyscy Jehar zgromadzili się, by obserwować jego trening pod okiem Gara. Wyczuwał, że nawet Gar jest spięty jak nigdy wcześniej.

Twarze Jehar były nieprzeniknione, ale po nierównym, nieco nerwowym początku Corban zapomniał o ich obecności i zatracił się

w tańcu miecza. Chwilę później Tukul poklepał syna po ramieniu i wyszeptał mu kilka słów do ucha. Chłopak nie miał pojęcia, co usłyszał jego nauczyciel, ale wyprostował się, promieniejąc dumą.

Corban nadal nie mógł się przyzwycząić do tego, że widzi Gara na tle jego rodaków. Przypominał ich pod wieloma względami – podobnie jak oni był opanowany, powściągliwy, zachowywał chłodną twarz i stąpał z osobliwą gracją. W każdym jego kroku zdawała się kryć nagromadzona siła. Po kilku dniach podróży Corban zaczął jednak widzieć różnice. W przeciwieństwie do pobratymców Gar był człowiekiem otwartym, łagodniejszym i częściej się uśmiechał. Corban nigdy by nie uwierzył, że powie kiedyś coś takiego o byłym stajennym króla Brenina, ale prawda wyglądała tak, że jedynym Jehar, który uśmiechał się równie często jak Gar – lub zgoła częściej – był Tukul. Polubił go i wiedział już, że maska opanowania skrywa ognisty, wybuchowy charakter. Tukul robił wrażenie człowieka zdolnego zarówno do wielkiej serdeczności, jak i ogromnego gniewu, przez co nieco przypominał mu własnego ojca, Thannona. Nie było też wątpliwości, że Tukul i Gar przepadają za sobą. Corban czuł ukłucie zazdrości, gdy patrzył, jak się śmieją i rozmawiają. Żałował, że jemu nie jest już to dane.

Jehar nie byli jedynymi, którzy zerwali się ze snu. Brina gotowała coś w kociołku nad ogniem, a Gwenith i Coralen ćwiczyły z przyboczną Tukula, która nazywała się Enkara. Skutecznie blokowała ciosy obu kobiet, płynnie zamieniając każdy blok w atak.

Wiele czasu na obserwację jednakże nie miał, gdyż Gar szturchnął go ponownie. Przybrał postawę nurkującego sokoła i był gotów rozpocząć trening.

* * *

Po wschodzie słońca uformowali kolumnę i wyruszyli w stronę przejścia między górami. Corban jechał obok matki.

- Tam gdzieś jest Cywen, mamó – rzekł.
- Daleko dotarliśmy, co?
- Daleko.
- Gdyby nie ty, nigdy byśmy tego nie dokonali.

– To nieprawda, mamó. Wyruszyłabyś na poszukiwanie Cywen chwilę po tym, jak byś dowiedziała się, że żyje.

– Ja? Tak, przypuszczalnie tak. Ale byłabym sama i nie wydaje mi się, bym dotarła tak daleko bez pomocy innych, prawda?

– Ja również nie dałbym sobie rady sam. Bez was nadal bym gnił w celi w Dun Vaner.

Albo spoczął w grobie z sercem wyciętym z ciała, dodał w myślach.

Gwenith uśmiechnęła się do niego.

– Wyrastasz na dobrego człowieka, Ban. Człowieka z głową na karku, kogoś, komu mam ochotę zaufać, bez względu na to, czy jest moim synem czy też nie. Zawierzyłabym ci, ruszyłabym za tobą ślepo i nie byłabym sama. Spójrz na pozostałych! Oni też są gotowi wskoczyć za tobą w ogień.

– Obawiam się, że jesteś nieco stronnicza, mamó. Zresztą, jak przystało na matkę.

– Cóż, nie mogę zaprzeczyć – odparła i parsknęła ciepłym, szczerym śmiechem, który sprawił, że Corban też się uśmiechnął.

– A mimo to... – Wesołość na twarzy Gwenith błyskawicznie ustąpiła miejsca smutkowi. – Mimo to żałuję, że twój ojciec tego nie widzi. Byłby z ciebie taki dumny, Ban. Mam wrażenie, że serce by mu się roztopiło.

Corban poczuł silny ucisk w środku, a w jego oczach pojawiły się łzy.

Wspomnienia mają dziwną moc, pomyślał. Zawsze dopadną cię wtedy, gdy się ich nie spodziewasz. Jak cios Gara.

– Mnie też go brakuje – powiedział drżącym głosem i uśmiechnął się do matki.

– Przynajmniej wkrótce odzyskamy Cywen – rzekła i też się uśmiechnęła.

Lub zginiemy, próbując ją uwolnić, pomyślał Corban.

Rozdział setny

MAQUIN

Kolejną dziesięcionoc po starciu na arenie Maquin spędził, zadreńczając się w kwaterach gladiatorów, które znajdowały się w kamiennym budynku blisko stajni w Jerolin.

Pięciu wojowników, którzy przeżyli z dziesiątki szkolonej na Nerin, pozostawiono samych sobie. Zazwyczaj podczas sesji treningowych odwiedzał ich Herak bądź któryś z jego zaufanych strażników, ale od szokującego incydentu, którego dopuścił się Orgull, nie zaglądał do nich nikt inny. Nadal donoszono im jedzenie i picie, ale na tym się kończyło.

Maquin miał wrażenie, że niedługo zacznie wariować. Nuda doprowadzała go na skraj obłądu. Nie miał pojęcia, czy Orgull nadal żyje, choć raczej nie miał na to wielkiej nadziei. Wiedział tylko tyle, że to Deinon powstrzymał Lykosa przed zadaniem mu śmiertelnego ciosu, czym ocalił Orgullovi życie.

Z pewnością nie był to akt miłosierdzia, co do tego nie było wątpliwości. Deinon uratował Orgulla zapewne po to, by móc go gdzieś powiesić i torturować w wolnych chwilach.

Maquin siedział właśnie na kamiennej ławce, gdy usłyszał zgrzyt klucza w zamku głównego wejścia. Do wnętrza wpadło światło, gdy ktoś pchnął drzwi. W progu zamajaczyła postać, której nie sposób było pomylić z kimkolwiek innym.

– Wstańcie, wojownicy! – oznajmił Herak.

Szybko zgromadzili się wokół niego – Maquin, Javed i pozostali, którym udało się przeżyć tak długo.

W każdym z nich kotłowała energia przemieszana z rozpaczą.

Niebezpieczne połączenie, pomyślał Maquin.

– Za mną! – rzucił Herak i odwrócił się na pięcie.

Słońce było słabe, przesłonięte częściowo chmurami koloru żelaza, ale mimo to Maquin zamrugał, oślepiiony jego blaskiem. Zauważył strażników, którzy zeszli się z wszystkich stron, gdy grupka gladiatorów wyszła z więzienia. Jednym z nich był Emad, wysoki wojownik z Pelset.

Herak prowadził ich szerokimi ulicami miasta. Maquin na każdym kroku widział Vin Thalun, natomiast strażnicy w czerni i srebrze należeli już do rzadkości. Wiele czasu na obserwacje nie miał, gdyż niebawem wkroczyli do zamku, przeszli salę biesiadną i ruszyli w górę po wijących się spiralnie schodach. Na samej górze Herak skinął strażnikowi, który otworzył przed nimi drzwi. Wprowadzono ich do wielkiej komnaty, gdzie Maquin przystanął jak wryty.

Do ściany był przykuty Orgull. Rozebrano go niemalże do naga, jeśli nie liczyć poplamionej przepaski biodrowej. Jego ciało było istnym gobelinem wszelakich ran i skaleczeń. Jedna część twarzy była poparzona od ognia i pokryta pęcherzami, a z oka pozostała jedynie miazga. Korpus i nogi przecinały niezliczone blizny, pozostawione przez ostrza i bicz. Ktoś najwidoczniej poświęcił mu sporo czasu. Na szczęście był nieprzytomny. Jego głowa zwisała nisko, a pierś unosiła się i opadała miarowo.

Maquin odwrócił wzrok, czując jak przewraca mu się w żołądku, po czym spojrzął z powrotem na Orgulla, wstydząc się za siebie. Przecież to był jego brat w mieczu, najbliższa mu osoba ze wszystkich, które pozostały. Orgull, jakby poczuł na sobie jego wzrok, drgnął.

Jęknął i przeniósł ciężar ciała na nadgarstki, które miał związane nad głową. Jego uda poruszyły się, kark wyprostował się z trudem.

Śpij dłużej, bracie. Nie budź się, pomyślał Maquin.

– Witajcie! – rozległ się nowy głos, który przyciągnął jego uwagę.

Lykos opierał się w swobodnej pozie o biurko. Na ziemi przed nim znajdowało się pięć kufrów. W półmroku stał Deinon.

– Wybaczcie, że zaniedbywałem was przez ostatnią dziesięć noc – rzekł Lykos. – Mieliśmy jednak sporo do roboty.

– Co konkretnie? – spytał Javed.

Któregoś dnia za takie pytanie zarobisz nożem w brzuch, pomyślał Maquin.

– To już nie twoje zmartwienie – odparł Lykos. – Tym bardziej, że

daliśmy sobie ze wszystkim radę. Przejmować się powinniście natomiast tym, co teraz ode mnie usłyszycie.

Urwał i wsunął jedną dłoń pod płaszcz. Była niewidoczna, ale Maquin miał wrażenie, że zaciska ją na jakimś małym przedmiocie. Lykos najprawdopodobniej nie zdawał sobie z tego sprawy, a jego gest wydawał się całkowicie odruchowy.

– Walczyliście bardzo dobrze – ciągnął pirat. – Ba, rzekłbym nawet, że wspaniale, skoro przeżyliście jamy i wciąż żyjecie. Jesteście bardzo blisko wywalczenia sobie wolności. Widzicie te kufry?

Podszedł bliżej i otworzył każdy z nich kopnięciem. Skrzynie były po brzegi wypełnione złotymi monetami.

– Tyle dzięki wam zarobiliśmy – wyjaśnił. – Staliśmy się bogaczami!

Podszedł do biurka, nalał sobie wina i pociągnął długi łyk.

Wolność.

Słowo to uderzyło Maquina niczym rozpędzona pięść. Zakręciło mu się w głowie, a oczami wyobraźni ujrzał rozmytą twarz Jaela, jak zwykle wykrzywioną w szyderczym uśmiechu.

– Czeka was jeszcze jedna walka. Jeśli zwyciężycie, staniecie się wolnymi ludźmi, a ja nagrodzę każdego z was sakwą złota z tych oto kufrów! Co więcej, złożę wam również propozycję, którą będziecie sobie musieli przemyśleć. Chcę bowiem, byście do mnie przystali. Byście stali się moimi wojownikami i żeglowali ze mną. Chcę, byście złożyli mi przysięgę krwi. To, co widzicie w tych kufrach, to nic w porównaniu do tego, co czeka was w przyszłości. Ci, którzy trzymają się mnie, zostają bogatymi ludźmi i nie mam na myśli jedynie złota. Myślę o ziemiach, przybocznych, kobietach, szacunku i sławie!

– Jeszcze jedna walka – rzekł Maquin.

– Tak, zgadza się. Gotowi?

– A kiedy? – spytał Javed.

– Za dziesięć dni, może później. Jutro wracacie do treningów.

– A z kim będziemy walczyć? – spytał Maquin.

– Z tymi, których wam wyznaczę – rzekł Lykos. – Pamiętajcie, że wystarczy być mi posłusznym, a otrzymacie to. – Trącił butem jedną z otwartych skrzyń. – Ten zaś, który mnie zirytuje, skończy tak jak on – dodał i wskazał Orgulla. – To wszystko, co chciałem wam powiedzieć.

Herak otworzył drzwi i machnął dłonią, dając im sygnał, by wyszli. Nim przestąpił próg, Maquin spojrział za siebie. Orgull wpatrywał się w niego ocalałym okiem. Jego usta poruszyły się, ale wyrwało się z nich jedynie westchnienie.

– Szybciej! – nakazał Herak i wypchnął Maquina na korytarz, po czym zatrzasnął drzwi.

* * *

Maquin leżał na pryczy z dłońmi splecionymi za głową i wpatrywał się w sufit. Chciał spać, ale ledwie zamykał oczy, widział zmasakrowaną twarz Orgulla. Widział, jak jego usta poruszały się, wygłaszając niemą prośbę. Nie słyszał słów, ale był przekonany, że wie, co Orgull chciał mu przekazać.

„Zabij mnie”.

Rozdział sto pierwszy

VERADIS

Veradis stał obok Rhin i Conalla. Za nim ciągnęły się szeregi połączonych hufców Cambrenu i Tenebralu, a wśród nich znajdowały się dwa tuziny załadowanych chlebem wozów, widocznych dla obrońców Dun Taras.

Z kilku miejsc za murami miasta sączył się dym. Przez noc kilkakrotnie dochodziły do nich odgłosy zamieszek, a przy bramie słyszano nawet szczęk oręża. Postawiono więc wojowników w stan gotowości, by rzucili się do ataku na bramę, ledwie ta zaczęła się otwierać.

– Długo to nie potrwa – rzekła Rhin do Veradisa. – Conall okazał się decydującym argumentem.

Trudno jej odmówić racji, pomyślał Veradis. To bystra, przenikliwa, dobra sojuszniczka, ale straszliwy przeciwnik.

Z nastaniem dnia wrzawa zamieszek ulicznych przybrała na sile. Bywało, że cichła, by po jakimś czasie znów nabrać mocy. W końcu około południa usłyszeli odgłosy zaciętej bitwy, która toczyła się tuż za murami, aż wreszcie skrzydła bram drgnęły i zaczęły się rozchyłać. Cambreńczycy zaczęli wyć i wiwatować.

– Powoli! – huknęła Rhin. – Jesteśmy ich wybawicielami, a nie zdobywcami!

Królową otoczyli jeźdźcy i w ich asyście wjechała do Dun Taras, witana okrzykami i wiwatami. Wozy z jedzeniem ruszyły za nią. Conall i kilku innych wojowników wybierało bochny chleba i rzucało nimi w tłum.

Veradis szedł za wozami na czele trzystu ludzi. Wszyscy byli spięci i rozglądali się uważnie, a za nimi Cambreńczycy wnikali w ciżbę, przeszukiwali boczne uliczki, schody oraz mury. Wozy zatrzymywały się, ich zawartość szybko rozdawano pchającym się, napierającym ze

wszystkich stron tłumom, a potem zawracały i powoli wyjeżdżały poza fortecę, gdzie napełniano je ponownie. Rhin i Veradis tymczasem nadal zmierzali w stronę zamku i wieży, a grupy ludzi wokół nich rzedniały.

Póki co witają nas z otwartymi ramionami, powiedział sobie Veradis, ale nie sędzę, by wszyscy tu uważali tak samo.

Pomyślał to w złym momencie, gdyż niepodziwianie z cieni bocznej uliczki wypadła grupa wojowników i natarła na przybocznych Rhin. Doszło do krótkiej potyczki, w której kilku Cambreńczyków zostało ściągniętych z siodeł, ale napastnicy zostali szybko odparci. Veradis i jego ludzie maszerowali w ciasnych szeregach. Nie uformowali jeszcze muru tarcz, ale mogli to zrobić w każdej chwili.

I nagle wyrósł przed nimi zamek królewski.

Spowijała go cisza, która wywołała gęsią skórkę na plecach Veradisa. Miał wrażenie, że nastał ów moment przed atakiem nawałnicy, kiedy przycicha wiatr.

– Gotujcie się – rzucił do Bosa.

Rhin zatrzymała się na dziedzińcu. Przyboczni osłonili ją, rozstawieni w wachlarz.

Wrota prowadzące do zamku wydawały się zamknięte, ale nie stawiały oporu wojownikom, którzy próbowali je otworzyć. Rozchyliły się z głuchym stęknieniem. Kilkunastu Cambreńczyków wniknęło do środka, a za nimi kolejni i następni.

Wtedy rozległa się ogłuszająca eksplozja. Przez rozwartą bramę buchnęła fala powietrza, a za nią płomień. Ze środka wypadło kilku zataczających się, płonących ludzi. Po dziedzińcu poniósł się smród palonych ciał. Veradis z trudem utrzymał zawartość żołądka.

– O tym wejściu możemy na jakiś czas zapomnieć – rzekł Bos.

Pojawił się Geraint z kolejnymi wojownikami. Rozesłał zwiadowców w poszukiwaniu innych wejść do zamku, ale ci wrócili po chwili z meldunkami o następnych zasadzkach i pułapkach, zabarykadowanych korytarzach i ogniu. Mimo to Conall dobrał sobie kilka dziesiątek wojowników i wdarł się do środka przez jedno z wejść. Veradis rozstawił swoich ludzi na dziedzińcu. Choć był dumny z tego, że bierze udział w bitwie, gdzie reprezentuje Nathaira i umacnia sojusz, nie miał zamiaru poprowadzić swych podwładnych prosto w zasadzkę. Stał więc i czekał.

Ognie w sali biesiadnej przygasły nieco przed zachodem słońca. Zwiadowcy donosili, że ludzie Conalla i Gerainta, wdzierający się w głąb zamku, toczą zaciekle walki z obrońcami.

– Pora na nas – rzekł Veradis.

Dobył krótkiego miecza i uniósł wysoko tarczę, a jego ludzie uczynili to samo.

Drewniane belki w sali biesiadnej nadal dymiły, a między nimi leżały poczerwiałe szczątki wojowników Rhin. Veradis dostrzegł zwieńczone łukiem wejście i poprowadził tam swój oddział. Po chwili szli już szerokim, wysokim korytarzem. Mijali po drodze drzwi do komnat i inne korytarze, z których dobiegały odgłosy walki. Veradis nie zatrzymywał się. Jego ludzie otwierali po drodze wszystkie drzwi i przeszukiwali pokoje. Jak dotąd nie znaleźli nic wartego uwagi. W miarę, jak zapuszczali się coraz głębiej, uderzyła go nowa myśl.

Ten korytarz nie jest zabarykadowany ani broniony ze względu na ogień w sali biesiadnej. Sam pożar, wywołany przez eksplozję, był wystarczającą przeszkodą, ale przecież ten, kto go rozpałił, musiał wiedzieć, że prędzej czy później ogień się wypali.

I wtedy wszystko zrozumiał.

To nie są ostatnie fortele zdesperowanych obrońców, pomyślał. To taktyka opóźniająca.

Dotarli do końca korytarza. Przed sobą mieli szerokie schody, prowadzące w górę oraz w dół. Obok nich znajdowały się ostatnie drewniane drzwi.

– Zajrzyj do środka, Bos – rozkazał Veradis. – Potem podzielimy oddział. Połowa uda się w górę schodów, a druga połowa w dół, choć zaczynam dochodzić do wniosku, że nikogo tu nie znajdziemy. Myślę, że staruszek Eremon dał nogę.

Bos złapał żelazny pierścień, pchnął drzwi i wszedł do środka. Po chwili przerwy rozległo się mokre łupnięcie i stęknięcie bólu. Kątem oka Veradis ujrzał, jak wojownik osuwa się na podłogę.

Och, nie!

Czas zwolnił. Młodzieniec ujrzał czyjeś ostrze, wbijające się w plecy Bosa między jego łopatkę a szyję, oraz spazmatycznie drgające nogi przyjaciela. Usłyszał własny krzyk, poczuł, jak wpada na drzwi, odrzuca

je na bok, przeskakuje nad ciałem Bosa i odpycha jego napastnika. Wokół głowy jego towarzysza broni rozlewała się kałuża krwi.

Uniósł wysoko tarczę, poczuł na niej wrogie uderzenie i uskoczył przed drzwi, instynktownie robiąc miejsce dla kolejnych wojowników. Wiedział, że wpadną do komnaty w ślad za nim.

Przeciwnik zamierzył się mieczem prosto na jego głowę. Veradis znów przyjął uderzenie na tarczę i sam ciął szeroko, mierząc w brzuch. Jego ostrze odbiło się od wrogiej kolczugi. Pchnął więc wyżej i trafił Domhaińczyka w gardło. Ten runął na podłogę, brocząc obficie krwią.

Komnata była spora. Po drugiej stronie stało kilku wojowników, dziesięciu, może dwunastu. Jeden z nich był starszym mężczyzną z zabandażowanym ramieniem. W jednym ręku trzymał długi miecz, a w drugim nóż. Utykając, zrobił kilka kroków naprzód.

Podłoga w komnacie zasłana była meblami – przewróconymi krzesłami, stołami, wielkimi kuframi.

- Nie dacie tu rady stworzyć tego waszego muru – stwierdził mężczyzna.
- Przekonajmy się, czy potraficie walczyć jak prawdziwi wojownicy.
- Odważne słowa jak na taką garstkę – rzekł Veradis.
- Nazywam się Rath, a to są Degad, moi zabójcy olbrzymów. Walczyliśmy z wielokroć gorszymi od was.

Do komnaty wdarło się już ponad dwudziestu orlich gwardzistów i Veradis uświadomił sobie, że zaraz zapanuje tu morderczy ścisk jak przed jego murem tarcz. Odwrócił się i zatrzymał kolejnych głośnym rozkazem. W międzyczasie omiótł wzrokiem nieruchome ciało Bosa na ziemi.

- My też zabijaliśmy olbrzymy – oznajmił i skoczył naprzód.

Pogromcy olbrzymów zawyli dziko i rzucili się do natarcia z wzniesionymi mieczami. Starli się z jego orlą gwardią z ogłuszającym hukiem.

Czyjś miecz rozrąbał tarczę Veradisa. Ostrze wyszło niedaleko nadgarstka, a młodzieniec odrzucił bezużyteczną już osłonę i uderzył przeciwnika w brzuch, po czym przepchnął się obok niego. Błyskawicznie przerzucił oręż do lewej ręki, a prawą wyszarpnął dłuższy miecz, który nosił przy pasie. Zawładnęła nim ekstaza. Wreszcie walczył z godnym siebie wojownikiem, wreszcie spoglądał wrogowi w oczy ze świadomością, że za kilka uderzeń serca któryś z nich padnie i już się nie podniesie,

a drugi zostanie zwycięzcą. Nie walczył w ten sposób od dawna i naraz odkrył, że w takich zmaganiach kryje się piękno i pasja, której na próżno by szukać w wyrachowanej, morderczej machinie, jaką był mur tarcz. Wokół niego szalała wściekła bitwa, ludzie krzyczeli i wrzeszczeli, miecze zgrzytały, sypały rojem iskier, a podłoga była śliska od krwi.

Przeciwników pozostało już tylko czterech, przypartych plecami do zamkniętych drzwi. Jednym z nich był stary Rath. Zarówno jego miecz, jak i nóż ociekały krwią. Ciężko dyszał, ale uśmiechał się. Wiedział, że nadchodzi jego koniec, ale pogodził się z tą świadomością. Veradis spojrzął za siebie i ujrzał podłogę zasłaną dziesiątkami trupów, w większości należących do jego orlej gwardii.

Wtedy rozległ się czyjś głos:

– Gdzie oni są?

Wojownicy Veradisa rozstąpili się przed Conallem, również zbrojnym w miecz oraz nóż, oba zbroczone krwią. Podążali za nim siepacze Rhin.

– Gdzie oni są, wuju? – powtórzył Conall, stając przed starcem.

– Na tę wiedzę będziesz musiał sobie zapracować – odparł Rath.

– Opuść broń, wuju. Nie masz szans wygrać tej walki.

– Czasem w życiu nie chodzi wcale o zwycięstwo, Con, a o to, w jaki sposób przegrywasz.

– Nie. Zawsze chodzi o zwycięstwo – odparł młodzieniec.

– Przez całe swoje życie nie miałeś racji w tej kwestii i nadal się mylisz.

– Rath pokręcił głową ze smutkiem.

– Daję ci ostatnią szansę – rzekł Conall. – Wydadaj mi tego dziada i jego smarkacza, a uczynię cię moim wojewodą.

– On był moim bratem, Con, a twoim ojcem. Jak śmiesz?

– Był? – Conall zmarszczył brwi, a potem nagle skoczył do ataku.

Nacierał z taką prędkością, że Veradis ledwie mógł nadążyć za nim spojrzeniem. Ostrza zderzały się z furją, krzesząc iskry. Miecze zwarły się, a obaj walczący napaarli na nie ze wszystkich sił. Żył nabrzmiały im na czołach i ramionach, aż Rath zdołał wsunąć stopę za kostkę Conalla i popchnąć go do tyłu. Conall zatoczył się, ale odzyskał równowagę i jednocześnie wyslizgnął się poza zasięg Ratha. Nóż starego pogromcy olbrzymów śmignął w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą było gardło młodzieńca.

To Rath uczył go walki, uświadomił sobie Veradis.

Naraz stało się to dla niego oczywiste. Dostrzegając dziesiątki podobieństw – pominąwszy to, że obaj woleli walczyć mieczem i nożem, to jeszcze identycznie utrzymywali równowagę, zadawali ciosy pod tym samym kątem i ani na moment nie zwalniali, natychmiast przechodząc z obrony do ataku. Nóż Conalla wystrzelił naprzód, Rath zablokował cios, oba miecze jednocześnie śmignęły w powietrzu, zderzyły się. Rath zrobił unik, zawirował, przypadł bliżej, pchnął. Rozległo się głucho uderzenie, po nim stęknienie. Walczący odsunęli się od siebie. Conallowi pozostał jedynie miecz.

Jego nóż sterczał z piersi wuja.

Przez chwilę obaj wojownicy wpatrywali się w siebie, po czym Rath westchnął, drżąc na całym ciele, i osunął się na ziemię.

Pozostali obrońcy skoczyli z furią na Conalla, ale orla straż i ludzie Rhin zatrzymali ich w porę. Zacięta walka trwała jeszcze przez chwilę, aż ostatni pogromcy olbrzymów ulegli i padli, zasieczeni.

Conall pchnął drzwi, których bronili, i wkroczył do znajdującego się za nimi pomieszczenia. Veradis podążył tam w ślad za nim i ujrzał, że młody Domhainczyk wpatruje się w łożo. W pomieszczeniu unosił się słodkawym zapach rozkładu.

Król Eremon spoczywał na łożu z dłońmi splecionymi na piersi. Sądząc po zapachu, nie żył już od pewnego czasu. Conall podszedł bliżej i obrzucił ojca pozbawionym emocji spojrzeniem.

– Wygląda na to, że Domhain jest już twój – stwierdził Veradis.

– Nie i nie będzie, póki nie ujrzę trupa Lorcana.

Pobojowisko było powoli sprzątane. Ranni otrzymywali pomoc, a zabici byli wynoszeni na zewnątrz. Veradis poczuł, jak w jego sercu wzbiera ogromny żal, ale odetchnął parokrotnie głęboko i odepchnął emocje na bok.

Później, pomyślał.

Rozległy się kroki wielu ludzi i do komnaty weszła Rhin w asyście swoich przybocznych. Ci prowadzili jakiegoś brudnego, posiniaczonego młodzieńca, w którym Veradis rozpoznał Rafe'a, chłopaka sprowadzonego z Ardanu, by pomógł w poszukiwaniach Corbana.

Rhin obrzuciła zwłoki Eremona pogardliwym spojrzeniem, a potem

podeszła do Conalla.

– Mamy kilka informacji – rzekła i skinęła na Rafe’a.

– Trzymano mnie z innymi więźniami w budynku przy stajniach – powiedział chłopak. – Wczoraj późno w nocy usłyszałem jakieś odgłosy. Wyjrzałem przez lukę w okiennicach i ujrzałem Edanę, która wchodzi do stajni. Był z nią Halion – zerknął przy tych słowach na Conalla – i wielu innych, głównie wojowników. Towarzyszyła im też kobieta z ciemnymi włosami oraz młody chłopak...

– Roisin i Lorcan – szepnęła Conall. – To na pewno oni. Którędy się udali?

– Nie wiem! Nigdy z tych stajni nie wyjechali!

* * *

Veradis wyniósł ciało Bosa z twierdzy i ułożył je na wozie obok trupów innych towarzyszy broni. Na równinie wzniesli nad nimi kurhan. Orła gwardia zgromadziła się wokół niego w półkręgu, a Veradis opowiadał o ich braciach w mieczu. Mówił o ich honorze, odwadze, męstwie i lojalności. Potem wyciągnął miecz i zasalutował poległym, a wśród nich swemu przyjacielowi. Reszta wojowników uczyniła to samo, a zgrzyt setek mieczy wysuwanych z pochew przywodził na myśl huk załamującej się fali. Jego myśli krążyły wokół Bosa i układały się w niekompletną, chaotyczną mozaikę wspomnień. Przypomniał sobie dzień, gdy po raz pierwszy spotkali się na dziedzińcu treningowym w Jerolin, przypomniał sobie jego wielki apetyt, dobroduszną naturę i szczerą lojalność. Stracił ich obu, najpierw Raucę, a potem Bosa. Obaj polegli za Nathaira, realizując jego wielkie zadania. Oczy Veradisa wypełniły łzy. Odwrócił głowę ku murom Dun Taras.

Po rewelacjach Rafe’a Rhin i Conall kazali przeszukać stajnie. Prędko odkryto sekretne wejście stworzone przez olbrzymy, a za nim długi tunel. Conall na czele setki wojowników ruszył w pościg. Veradis zaś przystąpił do przeczesywania równin za Dun Taras, szukając śladów po uciekinierach, ale widział jedynie puste, pozbawione życia łagodne wzgórza, niknące w oddali.

Jesteśmy tu obcy, myślał. To nie nasz kraj, nie nasze ziemie. Rozlewamy krew, zabijamy, giniemy. Za co?

Spojrzał na swą dłoń i odnalazł białą bliznę, pozostałość po przysiędze krwi, złożonej Nathairowi.

Za to. Walczę, bo złożyłem przysięgę. Bo wiem, jaki cel nam przyświeca. Bo wiem, że za ten cel dobrze jest oddać życie.

Znów spojrzał na północ, zaabsorbowany myślami o Nathairze, gdy inna twarz nagle stanęła mu przed oczami, wyraźna i piękna.

Twarz Cywen.

Rozdział sto drugi

UTHAS

Uthas kroczył ciemnymi korytarzami, przemierzając ogromne sale, które przywodziły na myśl jaskinie. Wszędzie królowały cienie, odpędzane migotliwym blaskiem błękitnych pochodni, słychać też było nieustające kapanie wody. Obok niego podążali Salach i Eisa. Minęli palenisko, wokół którego zgromadziło się kilku olbrzymów. Jeden z nich wykrzyknął jego imię i wznosił rękę na powitanie. Był to Balur Jednooki z lśniącymi, siwymi włosami i ciemnymi spiralami cierni, pokrywającymi oba ramiona.

Ile żywotów on zgasił?, zastanawiał się Uthas.

– Ethlinn powiedziała, że niedługo powrócisz – rzekł sędziwy wojownik.

– I nie pomyliła się – odparł Uthas.

Co jeszcze powiedziała?, pomyślał. Śniła o mnie?

Balur zerknął na Salacha i Eisę.

– Pamiętam, że opuściłeś Murias w większej kompanii.

– Tak. Wyprawa nie przebiegła gładko.

– Zasłużyłam na pierwsze ciernie, Jednooki! – Eisa uniosła ramię, by pokazać je Balurowi.

Muszę mieć na nią oko, pomyślał Uthas. Czczą go, jakby był jakimś bogiem.

– Dobrze – rzekł Balur. – To pierwsze z wielu.

– Marzę o tym – odparła Eisa.

– Jak się czuje Ethlinn? – spytał Uthas.

– Śni częściej niż kiedyś i rzadko się budzi. – Balur potarł swe zdrowe oko.

Przejmuje się nią jak matka swym pierwszym dzieckiem. Ethlinn jest jego słabością, pomyślał Uthas.

– Twierdzi, że nadciąga bitwa – dodał starzec. – Że Czarne Słońce nadciąga, by odebrać nam kocioł.

– A więc lepiej bacz, by twój topór nie stępsiał – odparł Uthas i odszedł.

– On jest zawsze ostry! – zawołał za nim Balur.

Uthas zapuścił się głębiej w trzewia fortecy, gdzie mijał kolejne grupy pobratymców, skupione wokół ognia. Od czasu do czasu nawiązywał z kimś kontakt wzrokowy i pozdrawiał go skinieniem. Wielu olbrzymów popierało go i było gotowych walczyć po jego stronie w decydującej chwili.

Ale wciąż nie jest to większość, pomyślał.

W końcu stanął przed zwieńczonymi łukiem drzwiami, strzeżonymi przez dwóch wojowników. Skinęli mu na powitane i pozwolili wejść do środka, choć Salach i Eisa musieli poczekać na zewnątrz.

Komnata była ogromna, nawet jak na standardy olbrzymów, a wysoko sklepiony sufit niknął w ciemnościach. Wzdłuż ścian zatknięto szereg pochodni, które płonęły błękitnym blaskiem, a po podłodze wiły się liczne żmije, co rusz znikając pośród cieni.

W samym środku komnaty stał święty kocioł. Na pierwszy rzut oka był to zaledwie pękaty przedmiot z pobrużdżonego, pogiętego metalu. Zdawał się jednakże pochłaniać światło, a według Uthasa wyglądał, jakby oddychał. Jego krawędzie były rozmyte, migotały.

Przed kotłem stał Morc, nadzorca żmijów, otoczony swymi ukochanymi gadami, ostatnimi i najgroźniejszymi strażnikami kotła. Ten miot przyszedł na świat jakieś dwa lata temu, a Morc opiekował się nim z nieustanną troską. Dbał o nie i karmił je, a żmije wydawały się odwzajemniać uczucie. Co rusz Uthas widział, jak kolejny ogromny potwór o mleczej skórze, składający się, zdawałoby się, jedynie z mięśni i kłów, ociera się o opiekuna z uwielbieniem. Jeden nawet uniósł łeb, ogromny jak korpus Morca, i potarł łuskowatą szczęką o jego pierś. Morc poklepał go po głowie.

– Nie wiedziałem, że już wróciłeś – rzekł. – Witaj w domu.

W domu, parsknął w myślach Uthas.

– Dziękuję – odparł. Zawsze lubił Morca. Nie był najbystrzejszym olbrzymem w plemieniu, ale jednał innych swą szczerością.

– Musisz tu teraz być? – spytał Morc. – To pora karmienia.

Pokazał mu wielki wóz, wtoczony do komnaty. Znajdowała się na nim klatka, w której upchnięto ponad tuzin tłustych, kudłatych wieprzów z malutkimi oczkami. Zwierzęta piszczały i kwiczały, przyglądając się nieufnie żmijom, wijącym się wokół wozu.

– Nie, ja tylko...

Właśnie, co ja tu robię? Dlaczego wciąż mnie tu ciągnie?

– Kocioł, jak widzisz, jeszcze tu jest. – Morc spojrział przez ramię na artefakt.

– Widzę. Dobra, pójdę dalej. Cieszę się, że mogłem cię zobaczyć, Morc.

– Tak, idź już, to dobry pomysł. Zaraz zrobi się tu niezły bałagan.

* * *

Uthas stał na balkonie jednej z wież Murias i wpatrywał się w krajobraz Benothu. Jak okiem sięgnąć widział niekończące się wrzosowiska, z których niekiedy wyłaniały się szare, granitowe skały.

Nathair gdzieś tam jest, pomyślał. I Calidus.

Przeszedł go dreszcz.

Ile jeszcze nocy trzeba będzie czekać, nim dotrzecie pod te mury? Osiem? Dziesięć?

– Wypocząłeś? – spytał ktoś za nim.

Odwrócił się i ujrzał Nemain, królową Benothi, niegdyś żonę Skalda, pierwszego króla oraz pierwszej ofiary Wojny Skarbów. Minęło ponad dwa tysiące lat, a w jej oczach nadal widział żal i rozpacz. Zawsze lekko wykrzywiła usta, nigdy się nie prostowała. Ciemne włosy ocieniały twarz, która wydawała się składać z ostrych kątów i plam cienia. Wszystkie olbrzymy miały jasną cerę, ale jej skóra była biała jak papier, niemalże przezroczysta. Znać było po niej brzemień lat, ale pomimo znużenia w oczach, nadal emanowała energią i siłą. Nie miało to nic wspólnego z muskulaturą – Nemain po prostu wciąż była straszliwą, budzącą grozę olbrzymką.

Na dźwięk jej głosu kruki, które drzemały w gniazdach wydrążonych w skalnej ścianie wokół balkonu, natychmiast przebudziły się do życia. Drąc się i trzepocząc skrzydłami, utworzyły wokół królowej chmurę tak gęstą, że przez moment zgoła nie było jej widać. Wyglądała, jakby

przywdziała przejrzysty płaszcz z trzepoczących skrzydeł. Po chwili stado kruków rozpięchło się – niektóre ptaki powróciły do gniazd, inne szybowały na wietrze. Nemain patrzyła na nie z uśmiechem.

Ona naprawdę je lubi, pomyślał Uthas i przypomniał sobie, jak przebił nożem Fecha. Uff, sprawiło mu to sporo radości.

– Masz za sobą trudną podróż – dodała Nemain, podchodząc bliżej.

Sreng, jej przyboczna, trzymała się jej niczym cień.

– Tak. Pięciu naszych poległo.

– Południe stało się niebezpiecznym miejscem.

– To prawda.

– Jakie wieści przynosisz?

– Liczne – rzekł Uthas. – Mogę już potwierdzić to, co do nas dotarło bądź sami podejrzewaliśmy. Rhin rozciąga swoje rządy na zachodzie. Podporządkowała sobie Ardan i Narvon, a gdy rozpocząłem drogę powrotną, ruszała właśnie na Domhain. Na czele tamtejszej armii stanął Rath, który znów jest wojewodą Eremona.

– Może pozabijają się nawzajem. Jeśli Rath miałby dać głowę w tej bitwie, przynajmniej coś dobrego by z tego wyniknęło.

– Tak. Miejmy nadzieję.

– A co z Czarnym Słońcem? Ethlinn znów śni i ostrzega przed jego nadejściem. Widziałeś coś? Natknąłeś się na jakieś znaki?

Uthas pokręcił głową.

– Nie, nic.

Nemain podeszła bliżej, tak blisko, że ich ciała niemalże się dotykały. Wbiła wzrok w jego oczy, po czym uniosła rękę i dotknęła jego policzka. Odwzajemniał jej spojrzenie najdłużej jak mógł, aż odwrócił głowę.

Co ona widzi? Czy dostrzega pragnienia mego serca?, myślał.

– Widziałeś mury Dun Taras. Widzę, że ciąży ci to wspomnienie.

– Widziałem. Było to tak dawno, ale spojrzałem i znów sobie przypomniałem... – Urwał.

– Wspomnienia są jak obosieczny miecz, Uthasie. Dodają ci siły w trudnych momentach, ale mogą również cię okaleczyć, osłabić, uwięzić w chwili, która już dawno minęła. – Jej oczy przesłoniła mgła, jakby sama sięgała pamięcią wiele lat wstecz.

To prawda, moja pani, pomyślał. Wszystko to prawda. Twe wspomnienia

krępują cię i odbierają ci swobodę. Nie pozwalają ci sięgnąć po Skarby, więżą cię w pajęczynie strachu. Ja jestem od tego wolny. Ja zrobię to, co zrobić należy.

Nemain opuściła dłoń i się cofnęła.

– Wypocznij, odzyskaj siły, a wtedy znów porozmawiamy. Ethlinn mówi, że zbliża się czas próby. Musimy być gotowi.

Próba już się rozpoczęła, przemknęło mu przez myśl.

– Prawda, musimy.

Wtedy Nemain wyszła, a Sreng udała się w ślad za nią. Chwilę po tym, jak zamknęła za sobą drzwi, z zacienionego kąta wyszedł Salach.

– Podejrzewa coś? – zapytał.

Uthas odetchnął głęboko, drżąc.

– Nie. Nie sędzę. – Wzruszył ramionami i dodał: – Kości zostały rzucone. Nie ma już odwrotu.

Rozdział sto trzeci

TUKUL

Impet uderzenia przeszył ramię Tukula od nadgarstka aż po bark i rozszedł się po jego piersi oraz plecach. Obrócił się na pięcie i przemknął obok przeciwnika, wykorzystując impet do zadania ciosu, który niechybnie by zabił, gdyby dosięgnął ciała.

Tak się jednak nie stało, bo jego przeciwnik odbił uderzenie z gracją. Jego siła wyparowała, a Tukul na moment stracił równowagę.

– Dobra robota – oświadczył i poklepał Gara po ramieniu.

To mój syn! – pomyślał. Mój syn!

Gar rozpromienił się, słysząc pochwałę.

– Dość już męczenia starszego mężczyzny – oświadczył Tukul i zdjął płótno oraz owczą wełnę, którą owinął ostrze, by uniknąć hałasu oraz dodatkowych szczyrb. Uśmiechnął się do siebie.

Jestem szczęśliwy, uzmysłowił sobie.

Podróż na północ okazała się wspaniałą przygodą. Jechał wszak w towarzystwie swego syna oraz braci i sióstr w mieczu, a na czele ich kolumny podążał sam Seren Disglair.

Znów połączyłem ścieżkę z moim synem. Z moim wspaniałym synem, który przekroczył najśmielsze nadzieje i marzenia, pielęgnowane przeze mnie od wielu lat. Jest zdolny, opanowany, silny i pełen współczucia, różny od nas, Jehar, którzy od dawna chowają się przed światem. Jest też bardziej otwarty, a w jego sercu dostrzegam połączenie dumy i pokory. Ba, co więcej, wreszcie jadę w towarzystwie Seren Disglaira. Wreszcie, po tylu latach czekania, mogę przystąpić do działania. Wreszcie robię krok na drodze do pokonania Czarnego Słońca!

Uśmiechnął się do chmur na niebie. Naprawdę cieszył się z życia.

Obozowali w niewielkiej dolince, której niewysokie zbocza bynajmniej nie chroniły przed wiatrem, który tu, na jałowych wrzosowiskach, zdawał się wiać bez ustanku. Jehar kończyli walki treningowe i przystępowali do zwijania obozowiska. Tukul zauważył, że jego syn zerka na dwie osoby.

Corban i Gwenith. Kochasz ich oboje, prawda?, pomyślał.

Łatwo to było zrozumieć, gdyż spędził z nimi siedemnaście lat. Corban zaś był centrum jego świata.

Ale Gwenith... Tukul zmarszczył brwi. Matka Seren Disglaira...

Tukul czekał na spotkanie z Seren Disglaiem przez całe swe życie. Wydawało mu się, że jest on kimś o wiele więcej niż tylko prostym człowiekiem, a więc jego matka również powinna być kimś niezwykłym. Był nieco zaskoczony, gdy uzmysłowił sobie, że nic ich nie różni od normalnych ludzi.

Gar zaś jest dla Corbana czymś pomiędzy starszym bratem a ojcem, myślał. A dla Gwenith... Cóż, widziałem, jak na nią patrzy.

Wzruszył ramionami z fatalizmem, który towarzyszył mu przez większość życia.

Co ma być, to będzie.

Gdy walki ćwiczebne dobiegły końca, stara uzdrowicielka Brina podeszła bliżej, trzymając księgę pod pachą. Skinęła na Corbana, a młodzieniec natychmiast udał się za nią.

Czego ona od niego chce?, zastanawiał się Tukul.

Jego ciekawska natura wzięła górę i udał się za nimi, sprawdzając przy okazji stan swego rumaka. Jak zwykle rano obejrzał jego kopyta i upewnił się, czy nie tkwią w nich kamienie. Obejrzał też uważnie sprzączki oraz popręgi, a także sprawdził, czy uprząż nie jest za ciasna. Byli gotowi do wymarszu. Czekali jedynie na powrót Coralen, która wyruszyła na zwiad o pierwszym brzasku, co czyniła każdego dnia od chwili wkroczenia do Benothu. Zabrała ze sobą wilkuna, a Tukul wysłał z nią jeszcze Enkarę.

Usłyszał rozmowę Briny i Corbana, po czym młody człowiek wypowiedział słowa w pierwszej mowie. Nastąpiła długa chwila ciszy. Corban stał całkowicie nieruchomo, aż wreszcie zgarbił się z rezygnacją.

Wtedy zjawił się Meical, który usiadł na głazie obok niego.

– Uczysz się mocy ziemi – stwierdził.

– Tak. Brina jest moją nauczycielką.

– I jak idzie?

Corban wzruszył ramionami.

– Właśnie próbowałem wezwać mgłę, ale nic się nie stało.

– Jeśli chcesz posługiwać się mocą ziemi, nie masz co próbować. Albo robisz to, co chcesz zrobić, albo nie. Kluczem do sukcesu jest wiara.

– Cóż, pewno łatwo ci mówić, zważywszy na to, że kumplujesz się z Ojcem Ojców. Dla mnie cała zabawa okazuje się nieco trudniejsza.

Meical roześmiał się, co mu się rzadko zdarzało. Tukul spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Trudno ci odmówić racji! – stwierdził.

– Zastanawiałem się ostatnio nad tym całym zamieszaniem z Seren Disglaiem. – Chłopak odwrócił się ku Meicalowi.

– Cóż, mów, proszę.

O, chyba mamy postęp, pomyślał Tukul.

Od chwili, gdy ujrzał chłopaka po raz pierwszy w Dun Vaner, obserwował go często i długo. Corban przypadł mu do gustu. Ciężkie doświadczenia oraz osobiste tragedie uczyniły z niego młodzieńca poważnego i ostrożnego, ale Tukul wyczuwał w nim dociekliwość, inteligencję oraz szacunek dla innych. Widział też w nim siłę, nie tylko fizyczną. W Dun Vaner przeciwstawił się przecież samemu Meicalowi. Wolał wyruszyć na poszukiwanie siostry, zamiast wracać do Drassil. Sprawiał kłopoty i nie lubił trzymać się planów, ale Tukul lubił go przez to jeszcze bardziej. Trzeba było mieć w sobie sporo odwagi, by przeciwstawić się jednemu z Ben-Elim.

Zauważył natomiast, że gdy Corban wypytywał go o coś – jak często się zdarzało – nigdy nie interesowało go to, kim był. Nie pytał też o Elyona czy Asrotha. Intrygowali go głównie królowie i królowe, polityka oraz strategia.

To dobre tematy, jeśli o mnie chodzi, pomyślał Tukul.

Wyczuwał jednak niechęć Corbana do wypytywania o cokolwiek, co miało związek z kwestiami natury duchowej. Nigdy dotąd nie słyszał, by chłopak dobrowolnie poruszył ten temat.

– Gdy ostatnim razem Asroth przekroczył granicę między naszym światem a Zaświatem, Elyon zainterweniował i go powstrzymał, tak? – spytał teraz Corban.

– Tak. Uwolnił wówczas Plagę, która pociągnęła za sobą wielkie zniszczenia.

– Niemniej Asroth został pokonany. Czemu Elyon nie zrobi tego ponownie? Wydaje mi się to oczywistym wyborem. Uniknęlibyśmy wówczas wojny oraz rzezi, która z pewnością nastąpi.

– Byłaby to najlepsza i najpewniejsza metoda pozbycia się Asrotha – odparł Meical, a na jego twarzy pojawił się smutek. – Ale Elyon odszedł. Znikł. Po zesłaniu Plagi ogarnął go ogromny, niemożliwy do opisanja żal. Oddał się żałobie i ukrył w miejscu, którego nie sposób znaleźć, stąd tym razem nie zainterweniuje. Z tych względów nazywa się go czasami nieobecnym bogiem. Od wielu, wielu lat modłę się, by w końcu do nas powrócił.

– Och... – Corban zamilkł, najwyraźniej poruszony tym, co usłyszał. – Słyszałem, jak nazywacie mnie Seren Disglaiem, ale co to właściwie oznacza? Co ja mam niby zrobić?

– Istnieje pewna przepowiednia, spisana przez Halvora, olbrzyma żyjącego niedługo po Pladze, gdy zniszczony, poraniony świat powoli dochodził do siebie. Przepowiednia mówi o powrocie Asrotha i jego Kadoshim, o odnalezieniu Siedmiu Skarbów i pojawieniu się dwóch awatarów. Jeden, zwany Jasną Gwiazdą, ma reprezentować Elyona, a drugi, Czarne Słońce – Asrotha. Ziemie Wygnanych podzielą się na pół i wedle przepowiedni rozgorzeje straszliwa wojna.

Meical wzruszył ramionami.

– Nie sądzę, by dalej trudno było w to uwierzyć. Wojna przecież obejmuje kraj za krajem.

– To prawda – szepnął Corban.

Chyba go zmartwił ten wniosek, pomyślał Tukul.

Zadudniły kopyta. Na szczycie wzgórza daleko na wrzosowiskach pojawiły się Coralen i Enkara, a Burza bezszelestnie biegła obok nich. Obie wojowniczkę ściągnęły wodze przed Corbanem i Meicałem.

– Ktoś się tam czai – rzekła Coralen i machnęła ręką za siebie.

– Kto? – spytał Meical.

– Nie wiem, ale Burzy nie spodobał się ich zapach. Dalszą drogę do Murias przecinają gęste lasy i ci, których wyczuła wilkunica, dobrze się ukryli.

- Widzieli was? – spytał Tukul.
- Chyba nie – odparła Coralen. – Burza wywęszyła ich z wielkiej odległości, a więc zeskoczyliśmy z koni i podkradliśmy się bliżej.
- Bardzo uważaliśmy, by nie rzucić się w oczy – dodała Enkara.
- Ilu ich jest? – spytał Corban.
- Widziałam przynajmniej tuzin spośród nich między drzewami, ale być może jest ich więcej.
- Możemy ich obejść?
- Moglibyśmy, ale wówczas nadłożylibyśmy wiele mil drogi, a owi nieznajomi i tak by nas zauważyli. Na otwartych wrzosowiskach nie ma gdzie się skryć.
- Może to nie jest istotne – rzekł Corban. – Skąd mamy pewność, że czekają na nas? Brino, a może Craff zrobiłby dla nas mały zwiad?
- Zrobi, a jakże – powiedziała Brina. – W przeciwnym razie może zapomnieć o kolacji.

* * *

Tukul zbliżał się do drzew. Poprawił kaptur płaszczą z niedźwiedziej skóry, który znalazł dla siebie w Dun Vaner, gdyż nie chciał, by ktoś rozpoznał jego twarz. Po jednej stronie siodła przypiął miecz, a po drugiej topór, oba w zasięgu ręki. Niebo nad jego głową było stalowoszare, a ciężkie chmury płynęły nisko.

Nastało już południe.

Craff powrócił z informacją, że w lesie kryje się około dwudziestu wojowników oraz przynajmniej jeden olbrzym. Trzymali się z dala od traktu i nie palili ognisk.

Tukul wjechał między pierwsze drzewa, a światło dnia natychmiast przygasło. Zewsząd otoczyły ich cienie.

To nic w porównaniu do Fornu, pomyślał.

Wbił wzrok przed siebie. Za jego plecami jechali Dath, Farrell oraz pół tuzina jego braci w mieczu. Oddział podążał w ciszy przez jakiś czas. Słysząc było jedynie stukot kopyt na traktach i skrzypnięcia gałęzi nad ich głowami.

Naraz Tukul odniósł wrażenie, że dostrzega jakiś ruch. Coś przemknęło

wśród cieni. Z trudem opanował odruch dotknięcia miecza.

Zaszeleściły zarośla, trzasnęły pękające gałęzie. Las niespodziewanie ożył, zewsząd wyskakiwały na nich postacie, dziesięć, piętnaście, po nich kolejne. Tukul błyskawicznie dobył ostrza i niemalże jednocześnie cisnął toporem. Uśmiechnął się krzywo, słysząc chrzęst miażdżonych kości, a potem nagle znieruchomiał.

Napastnikami byli Jehar.

Stanął w strzemionach, odrzucił płaszcz i odsłonił kolczugę oraz ciemne szaty.

– Stać! – ryknął.

Jego potężny głos zatrzymał nadbiegających. Patrzył teraz na około dwudziestu Jehar, którzy otaczali ich kręgiem z wzniesionymi mieczami. Wpatrywali się w niego i w jego towarzyszy, jakby byli duchami.

To poplecznicy Sumura!, pomyślał. Nie ma innego wyjaśnienia. Nie będę zabijał moich pobratymców!

– Bracia i siostry, zostaliście oszukani! – wykrzyknął. – Odłóżcie broń! Nie powinno dojść między nami do żadnego rozlewu krwi!

Jehar wahali się. Stali przez moment i wpatrywali się w niego, aż z cieni wypadł kolejny wojownik, potężny, barczysty, muskularny niczym byk.

Olbrzym.

Szarżował prosto na Datha i Farrella z wzniesionym toporem o czarnych ostrzach.

Dath posłał w kierunku napastnika strzałę, która odbiła się od jego kolczugi. Olbrzym w okamgnieniu przypadł do jeźdźców i z rykiem zakręcił toporem. Dath szarpnął za wodze i jego koń odskoczył w bok. Farrell zaś kopnął w boki swojego wierzchowca i wjechał na olbrzyma. Ten padł na jedno kolano, ale szybko się poderwał i wyprowadził cios znad głowy. Mierzył w chłopaka.

Jeden z Jehar Tukula popędził konia i wpadł między walczących. Wzniósł miecz, by zatrzymać opadający topór. Trysnęły iskry, ostrze miecza pękło, a toporzysko uderzyło prosto w głowę jeźdźca. Buchnęła krew.

To wystarczyło, by pozostali otrząsnęli się z szoku wywołanego słowami Tukula i z dzikim rykiem rzucili się do ataku. Tukul odbił cios przeciwnika, ciął w odpowiedzi i kątem oka ujrzał, jak napastnik się chwieje. Potem

z obu stron lasu wyskoczyli kolejni wojownicy. Przewodziła im Burza, która ruszyła na najbliższego Jehar i powaliła go na ziemię, szarpiąc go i raniąc. Zjawił się Meical, a za nim Corban i Coralen w futrach wilkunów, przy nich Gar i kolejni Jehar Tukula. Starcie było gwałtowne, ale krótkie. Otoczeni ze wszystkich stron Jehar Sumura walczyli z zaciekłością i wprawą, ale nie mieli żadnych szans.

Olbrzym rzucił się do ucieczki, przebijając się przez walczących. Dwóch Jehar osłaniało jego odwrót, powstrzymując przez chwilę napastników. Padli, ale olbrzym zdołał uciec.

Rozdział sto czwarty

FIDELE

Fidele siedziała przy biurku z piórem w dłoni. Drugą ręką przytrzymywała zwijający się arkusz pergaminu. Jej ciało spływało potem.

Napisz to i tyle, myślała. Napisz, że Lykos zawładnął tobą przy pomocy jakiegoś czaru. By nie ufali temu, co mówię. By zabili Lykosa.

Tylko tyle chciała napisać. Dobywała wszystkich sił z ciała i umysłu, by zmusić swą dłoń do nakreślenia tych kilku słów, ale ręka nie chciała jej słuchać, zupełnie jakby była oddzielnym, rozumnym bytem. Wisiała nad pergaminem i drżała, szarpana wolą Fidele, rozsiewając kropelki atramentu.

Ze zduszonym krzykiem królowa cisnęła piórem daleko od siebie i osunęła się na biurko, oddychając ciężko.

Lykos...

Nawet teraz czuła jego obecność. Miała wrażenie, że pięści jej umysł i wpatruje się w nią z cieni. Że pełza po jej skórze niczym ogromna larwa. Zrobiło jej się niedobrze. Przez moment wydawało jej się, że dłonie pirata przesuwają się po jej ciele, a w powietrzu unosi się jego kwaśny oddech. Targnęły nią nudności.

Usiadła. Pergamin leżący przed nią wciąż był czysty, a pozostałe, zapisane jej pięknym charakterem pisma, leżały porozrzucane na biurku. W większości były to rozkazy wysłania kolejnych oddziałów orlej straży w odległe zakątki Tenebralu. Pozbywała się swoich obrońców. Rozrzucała lojalnych sobie wojowników daleko od siebie. Znów wezbrała w niej frustracja.

Wstała i podeszła do okna, skąd roztaczał się widok na jezioro oraz równinę. Zima powoli opuszczała Tenebral i w powietrzu czuć już było

powiew nadciągającej wiosny. Wzrok Fidele przyciągnęła arena, leżąca między miastem a osadą nad jeziorem, złośliwa narośl psująca niegdyś wspaniały widok, symbol tego, co działo się z mieszkańcami Tenebralu.

Nie mogła uwierzyć w to, jak jej poddani przyjęli nowość. Nie mogła pogodzić się z tym, jak szybko uznali walki w jamach za rozrywkę. Kiedyś nigdy nie uwierzyłaby w to, że będą wyć i wrzeszczeć wniebogłosy na widok krwi, niczym wataha oszalałych ogarów.

Czy ja naprawdę byłam taka naiwna? – zastanawiała się. Czy w każdym sercu w istocie bije mrok?

Nagle przypomniała sobie wyraźnie walkę, której była świadkiem, pojedynkę między topornikiem a przybyszem z Tarbeshu, zbrojnym w dwa miecze. Jej serce podskoczyło z radości, gdy ogromny wojownik z toporem rozkuł łańcuchy Peritusa i Armatusa, a na arenę wskoczyli inni wojownicy, by osłonić jej starych przyjaciół. Potem ze wszystkich stron opadli ich Vin Thalun, a Lykos odrąbał Armatusowi głowę.

Peritus jednakże zdołał uciec. Lykos szalał z gniewu przez wiele dni i rozsyłał swoich wojowników na długotrwałe poszukiwania, ale Peritus znikł bez śladu. Fidele podejrzewała, że udał się do domu, do swojej wioski w górach na północy, gdzie Vin Thalun nie mieli szans go odnaleźć.

Ich okręty nadal kotwiczyły na wodach jeziora. Każdego dnia przybywały kolejne. Fidele nie miała pojęcia, ilu Vin Thalun zeglowało po morzu Tethys, ale miała wrażenie, że do Jerolin ściągnęli dosłownie wszyscy. Lykos i jego zgraja przypominali jej pasożyta, który przylegał do ciała gospodarza, wgryzał się w nie, składał w nim jaja i wyżerał od środka.

Sama tak się właśnie czuła. Miała wrażenie, że coś zjada ją od środka, a cały świat wiruje w oceanie permanentnej rozpacz. Teraz, gdy spoglądała przez okno, naszała ją ochota, by uczynić jeszcze jeden krok, by wkroczyć w nicość, spadać, spadać i spadać. Wiedziała jednak, że nawet to jest ponad jej siły. Już przecież próbowała odebrać sobie życie. Zrobiłaby wszystko, by uwolnić się od niego, ale wola Lykosa więziła jej umysł niczym klatka, z której nie potrafiła uciec.

Naraz Lykos wszedł do komnaty. Wystarczył jego widok, by żołądek Fidele ścisnął strach. Otaksował ją wzrokiem, podchodząc bliżej.

– Mam dla ciebie dobre wieści – rzekł, muskając palcem jej policzek. –

Czas żałoby nad Aquilusem dobiegł końca.

Nigdy nie przestanę go opłakiwać, pomyślała.

– Co ciekawe, na tym etapie swego życia znów odnalazłaś miłość i jesteś wdzięczna Elyonowi za ten rzadki dar.

Drogi Ojczy Ojców, nie, tylko nie to! Niech to wszystko okaże się tylko złym snem, koszmarem! Pozwól, bym się zbudziła!

– Weźmiemy ślub za dziesięć nocy i cały Tenebral będzie świętował twoje nowo odnalezione szczęście. Na twą cześć urządzimy wspaniałe igrzyska. Arena spłynie krwią! – Wyszczrzył zęby i dodał: – No, możesz się uśmiechnąć.

Fidele poczuła, jak mięśnie jej ust drgają i rozciągają je na boki. Walczyła z tym ze wszystkich sił.

– Naprawdę tylko na to cię stać? – Lykos skrzywił się. – Przecież bywasz ładniejsza.

Nathairze, gdzie jesteś? Proszę, wróć do domu i zakończ ten koszmar! – błagała Fidele w myślach.

Nie po raz pierwszy dziwiła się bezczelności Lykosa. Dlaczego pirat dopuszczał się takich czynów, wiedząc, że Nathair niebawem powróci?

– Cóż takiego kryje się w tych oczach? – spytał Lykos. – Mów śmiało.

– Jak możesz pozwalać sobie na to wszystko? – wykrztusiła. – Przecież Nathair... On powróci!

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Sprawowanie władzy królewskiej zmienia ludzi, moja pani. Odpowiedzialność, stres... Różne rzeczy dzieją się z człowiekiem, a Nathair będzie miał znacznie więcej na głowie niż to, z kim jego matka dzieli łożo. Nie sądzę, byś rozpoznała swego syna po powrocie.

Rozdział sto piąty

CYWEN

Cywen zatupała i zatarła dłonie. Było zimno i wilgotno. Wokół jej ust kłębiła się para, a ziemię spowijała gęsta mgła. Dziewczyna ukucnęła i podrapała Buddaia za uchem. Ogar oparł się o nią, niemalże ją przewracając.

– Na koń! – zarządził Calidus, wyjeżdżając z mgieł.

Dziewczyna znalazła się na czele kolumny i smród wierzchowca Nathaira wdzierał jej się w nozdrza.

Już pięć dni minęło od chwili, gdy Alcyon opuścił ich zastęp i zaszył się w mijanych przez nich lasach. Calidus okazał się kiepskim partnerem do rozmowy i nie odpowiedział na żadne z jej pytań, choć bynajmniej nie zrażało jej to przed zadawaniem kolejnych.

– Alcyon zaczął się na mego brata, prawda? – spytała ponownie siwowłosego towarzysza.

Ten obrócił ku niej żółte oczy. Była to jego pierwsza reakcja na pytania dziewczyny.

– Dziś czeka nas wielki dzień – rzekł cicho, a Cywen, która usłyszała w jego głosie groźbę, naraz poczuła lęk. – Jesteś już dla mnie tylko ciekawostką. Niczym ponad to. Nie jesteś mi już do niczego potrzebna. Zawróć mi głowę choć raz, a obiecuję, że wepchnę ci sztylet w oko i będę się przyglądać, jak umierasz. Wpatrywał się w nią uważnie. – Rozumiemy się?

– Ja... – bąknęła Cywen. Jej gniew wyparował, a wraz z nim ochota na konfrontację.

Z tyłów kolumny dobiegł okrzyk. Calidus ściągnął wodze i zawrócił konia. Z mgieł wyłoniła się potężna postać Alcyona.

Olbrzym zbliżał się do siwowłosego starca z pochyloną głową. Cywen

dostrzegła, że był wycieńczony, a jego zazwyczaj jasną cerę powlekła trupia bladość. Na jego ramionach widniały świeże rany, na włosach zastygła zaschnięta krew. Przybliżał się, aż opadł przed Calidusem na jedno kolano.

– Zawiodłem – wychrypiał, zdyszany. – Moje życie straciło sens.

– Straci sens dopiero, gdy nie będę miał dla ciebie nic do roboty – parsknął Calidus. – Wstawaj i chodź za mną.

Calidus przekazał pieczę nad Cywen innemu wojownikowi, a sam oddalił się wraz z Alcyonem, by go wysłuchać. Dziewczyna zeskoczyła z konia i wytężyła słuch, ale usłyszała jedynie kilka oderwanych od siebie słów.

– Pół dnia za nami, może więcej – powiedział w pewnym momencie Alcyon.

– A więc trzeba się tym zająć, tu i teraz – oznajmił Calidus i pognał na czoło kolumny.

– Mówiłam ci. – Cywen zwróciła się do Alcyona.

– Co takiego? – warknął olbrzym.

– Że to Corban będzie zabijał, nie ty.

– Naprzód – warknął Alcyon.

Cywen dosiadła Tarczy, a wtedy ujrzała, że olbrzym wyciąga swe długie ramię i oplata liną jej talię. Drugi koniec przymocował sobie do pasa.

– A to po co? – spytała.

– Czeka nas dzisiaj walka i nie będę w stanie cię pilnować przez cały czas. Nie chcę, byś wykorzystwała zamieszanie i uciekła.

– Walka? Dziś?

– Tak.

– Oddasz mi noże?

– Nie.

– A czemu nie? Może będę musiała się bronić?

Alcyon się uśmiechnął.

– Wiem, czemu przypadłaś do gustu Veradisowi – rzekł. – Masz niezły charakterek.

Veradisowi?, pomyślała Cywen i naraz ucichła.

– Wybij sobie z głowy noże. Prędzej dobrowolnie wejdę do Zaświata Asrotha, niż dam ci cokolwiek ostrego do ręki. Lubię cię, ale ci nie ufam.

I nie bój się, w razie potrzeby sam cię obronię.

Cywen nie była w stanie wymyślić żadnej odpowiedzi, a więc jedynie się skrzywiła.

Jehar dookoła niej byli gotowi do działania. Konie rżały, skrzypiała uprząż, pobrzękiwały kolczugi, aż skądś dobiegła pieśń rogu, złowieszcza i stłumiona w porannej mgle. Dwa tysiące wojowników ruszało do bitwy.

– Ta walka odbędzie się pod Murias, tak?

– Żadnych pytań – warknął Alcyon. W jego głosie pojawiła się ostrzegawcza nuta i dziewczyna zrozumiała, że lepiej nie naciskać.

– Cieszę się – powiedziała.

– Cieszysz się? – Olbrzym uniósł brew.

– Że ciągle żyjesz. Że mój brat cię nie zabił.

– Dalej, chodźmy – rozkazał i przyśpieszył. Mijał rzędy Jehar, zmierzając w stronę czoła kolumny. Tarcza zwolnił na widok draiga, ale Cywen dodała mu otuchy i niebawem zrównali się z Nathairem i jego przybocznymi.

Parę godzin później mgły rozeszły się, a oczom wędrowców ukazały się niewysokie wzgórza i doliny porośnięte wrzosami. Krajobraz nie zmienił się więc od paru dni z wyjątkiem samotnej góry, która wyrosła na horyzoncie. Ciemne klify pięły się aż po niebo.

– To Murias – oświadczył Calidus.

* * *

Dopiero, gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, zbliżyli się na tyle, by Cywen mogła wypatrzeć wieże oraz mury. Murias w niczym nie przypominało innych fortec olbrzymów, które dotąd widziała. Wieżycy zdawały się wyrastać prosto z góry, jakby skała została stopiona, a potem ktoś nadał jej nowy kształt. Miała wrażenie, że spogląda bardziej na dzieło natury niż czyichś rąk.

Teren podnosił się ku zboczom. Cywen dostrzegła też szeroką drogę, niknącą wśród cieni rzucanych przez górę. Prowadziła do wielkiej, zwieńczonej łukiem bramy wykutej z kamienia. Wrota były zatrzaśnięte.

– Czyli nie planujecie ataku znienacka, co? – Cywen zwróciła się do Alcyona.

– Ja jestem Jasną Gwiazdą – odezwał się z grzbietu draiga Nathair, który

podszuchał jej słowa. – Jestem Seren Disglaiem. Czuję, że czekam na ten moment przez całe moje życie i nie mam zamiaru go psuć, podkradając się pod Murias jak złodziej w środku nocy! To moje przeznaczenie! – Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

Jak sobie życzysz, pomyślała Cywen. Choć naprawdę jestem ciekawa, jak chcesz się dostać do środka. Chyba nie pojedziesz i nie zastukasz, co?

Z oddali dobiegło wycie wilkuna, jakby zwiastując nadejście nocy. Buddai zaskomlał, a Tarcza zwolnił, obracając łeb do tyłu.

– Dalej! – popędziła go Cywen i uderzyła piętami w końskie boki.

Buddai jeszcze nie otrząsnął się z szoku. Stał i wpatrywał się w dal, aż niespodziewanie wystrzelił i popędził w kierunku, z którego przybyli. Szybko znikł w mroku. Cywen zawołała go, ściągając wodze.

– Nie możemy się zatrzymywać. – Alcyon szarpnął za linę wokół jej talii.

– Ale Buddai...

– Nie podoba mu się Murias – stwierdził olbrzym. – Mądre zwierzę. Będzie na ciebie czekał.

– Ale...

– Jedziemy! – tym razem warknął Calidus.

Cywen po raz ostatni rzuciła okiem za siebie i pognała Tarczę.

Rozdział sto szósty

CORALEN

– Oto Murias. – Coralen wskazała wysoki szczyt, wyrastający przed nimi, pierwszy w łańcuchu gór, który niknął w oddali.

Od zasadzki w lasach, która miała miejsce dwa dni temu, nie szczydzili wierzchowców. Z początku dziewczyna myślała, że może uda im się dogonić olbrzyma, ale ten nie zatrzymywał się nawet w nocy i każdego dnia rano przestrzeń między nimi nieco się powiększała.

Spotkanie z innymi Jehar było szokiem i wszyscy już wiedzieli, czego należy się spodziewać, gdy dogonią Nathaira i jego hufiec. Z twarzy Tukula ani na moment nie schodziła ponura mina.

Zanosilo się na rozlew krwi.

Przecież wiedziałam o tym od samego początku, pomyślała Coralen.

Dostrzegła Corbana, wpatrującego się w hufiec Nathaira, rozciągnięty w długą, czarną linię, zmierzający ku górom. Sami stali za grupką targanych wiatrami drzew, których poskręcane, powykrzywiane gałęzie wyciągały się ku niebu. Każdy spośród nich wykorzystał okazję, by zeskoczyć z siodła, rozprostować nogi, napić się wody czy zjeść coś.

– To Nathair – szepnął Corban.

Coralen podeszła do niego.

– Tak, to on – powiedział Meical, stając z tyłu.

– Zabił mego ojca. Wepchnął mu miecz w pierś, o, tu! – Corban wskazał palcem miejsce na skórzanej kamizeli.

Meical przyjrzał mu się uważnie.

– Chodzi ci o ratunek, a nie zemstę – oznajmił. – Prawda?

Coralen ujrzała, jak Corban zamyka oczy i zaciska powieki. Po chwili odetchnął głęboko.

– Liczy się tylko Cywen – odparł.

– To dobrze. Jest ich zbyt wielu, by z nimi walczyć. Trzeba będzie poczekać na inny moment. Oczywiście, jeśli nadarzy się okazja, by ściąć Nathairowi głowę...

– Albo Sumurowi – wtrącił Tukul.

Stojąca nieopodal Burza węszyła powietrze, aż nagle uniosła głowę i zawyła. Dath podskoczył, a Coralen zamarła, przekonana, że lada chwila ujrzy szeregi nadciągających jeźdźców Nathaira.

– Czy ona właśnie próbuje przekazać wszystkim w zasięgu dnia drogi stąd, gdzie się znajdujemy? – spytał Tukul.

– Nie mam pojęcia, czemu zawyła. – Corban zmarszczył brwi.

– Jeśli popędzimy konie, dognamy do nich przed zmierzchem – stwierdził Tukul.

– I co wtedy? – tym razem odezwał się Dath.

– Odnajdziemy Cywen i zabierzemy ją stamtąd. – Na ustach Gwenith pojawił się delikatny uśmiech, gdy wymówiła imię córki.

Coralen znów spojrzała na hufiec Nathaira, który powoli, niczym strumień mrówek, piał się ku górom. Przed nimi wyrastały ostre nagie klify, a za nimi sięgające chmur szczyty.

Nie podoba mi się to, pomyślała. Mury Murias są grube, a bramy mocne. Jak oni mają zamiar się tam wedrzeć?

Nagle Craf zaczął krakać i podskakiwać na siodle Briny. Spoglądał w niebo, gdzie pojawił się czarny punkt, który opadał ku nim, zataczając kręgi. Po chwili przeistoczył się w dużego, czarnego ptaka.

– To Fech! – oznajmiła Brina.

Wyglądało na to, że kruk przygląda im się uważnie. Taksował wzrokiem niemałą, liczącą około siedemdziesięciu ludzi grupę, aż odnalazł Corbana. Wówczas zanurkował i usiadł na gałęzi nieopodal.

– Corban! – oznajmił i zaczął gładzić swe piórka.

– Fech, to ty? – spytała Brina.

Craf zakrakał.

– Fech, tak – odparł przybysz. – Wiadomość od Edany. Dla Corbana.

– Co się dzieje?

– Eremon nie żyje. Domhain padł. Edana żegluję do Dun Crin.

Krew w żyłach Coralen zamieniła się w lód.

– Co? – wysyczała.

Nagle zakręciło jej się w głowie i zachwiała się na nogach.

– A co z Edaną i resztą? – spytał Corban. – Żyją?

– Żyli, gdy odlatywałem – zakrakał ptak.

– Jesteś pewien, że Eremon nie żyje? – odezwała się Coralen.

– Tak. Widziałem, jak umiera. Dziewczyna go zabiła. Maeve.

Maeve, pomyślała Coralen. Moja przyrodnia siostra jest zabójczynią mego ojca...

To działo się zbyt szybko. Dziewczyna miała wrażenie, że śni, a Fech przybywa prosto z Zaświatu, by oznajmić straszne nowiny.

– Czy to wszystko? Czy możesz nam powiedzieć coś więcej? – spytał Meical.

– Rhin tam jest. Zrobiła z Conalla władcę Domhainu.

Coralen jęknęła, odwróciła się i weszła między drzewa.

Rozdział sto siódmy

MAQUIN

Maquin siedział w swej komnacie i wpatrywał się we własne dłonie. Czekał przez cały dzień. Wszyscy jego towarzysze, cała elita Heraka, miała stoczyć swą ostatnią bitwę. W oddali słyszał ryk tłumów i wiedział, że na arenie przelewana jest krew.

Ale czyja?, zastanawiał się.

Mimo wszystko miał nadzieję, że Javed przeżyje. Unikał zawierania przyjaźni wśród gladiatorów. Wiedział, że gdy w jamie na Nerin podjął decyzję, by walczyć o przetrwanie, w jego życiu zabrakło miejsca na przyjaźń. Istniał tylko Jael. Zemsta była jego jedynym celem i usprawiedliwieniem wszystkiego, co zrobił i wszystkiego, co zrobić zamierza.

Ale Javeda, z jego miłym uśmiechem i otwartą naturą, nie dało się nie lubić. Maquin miał nadzieję, że wojownik zdoła przeżyć, zarobi sakiewkę złota i odzyska wolność.

Nadal wpatrywał się w swe dłonie.

Dłonie zabójcy. Dłonie mordercy.

Stałem się wszystkim tym, czego nienawidziłem, ale jeśli dotrę dzięki temu do Jaela i odbiorę mu życie, będę szczęśliwy, myślał.

Odruchowo uniósł rękę, by podrapać się po swędzącym uchu, ale dotknął jedynie resztek małżowiny, pozostałości po ostrzu Deinona.

Zabawne, że coś, co nie istnieje, nadal może swędzieć, przemknęło mu przez myśl.

W drzwiach do celi zazgrzytał klucz. Do środka wszedł Emad wraz z dwoma innymi Vin Thalun.

– Pora na ciebie, stary wilku – oznajmił Emad.

Maquin wstał i podszedł do drzwi, a chwilę później zmrużył oczy przed blaskiem słońca. Na dziedzińcu zalegały płatki róż, które podrywały się z każdym jego krokiem, gdy zmierzał ku arenie. Słyszał już dziś wiwaty tłumów, zgromadzonych wzdłuż głównych ulic, którymi przejeżdżali Lykos oraz Fidele. Dziś wieczorem miał nastąpić kulminacyjny punkt uroczystości – ich zrękowiny.

Jak Lykos tego dokonał?

Maquin nie znał Fidele. Widział ją wcześniej tylko kilkakrotnie, głównie podczas rady u Aquilusa, ale nawet wtedy nie przyszłoby mu do głowy, że kobieta mogłaby ulec czarowi pirata z Trzech Wysp.

Gadrai zbliżał się już do trybun, a zgiełk zgromadzonych tłumów był coraz głośniejszy. Vin Thalun znajdowali się wszędzie – stali na łąkach, gromadzili się wokół areny, tkwili przy każdym wejściu. Nie zwracał na nich uwagi. Przeszedł przez bramę i zagłębił się w tunelu, prowadzącym na arenę. Dołączyli do niego kolejni strażnicy, by pomóc mu przepychać się przez ciżbę.

I nagle znalazł się na miejscu, na zrytym, zabłoconym pobojowisku, gdzie tego dnia toczyło się już wiele walk. Po lewej widział plamę krwi, pamiątkę po ostatnim starciu.

Przybył na miejsce jako pierwszy i nie widział jeszcze swego przeciwnika. Podszedł więc do worka, pozostawionego na środku areny, gdzie znalazł dwa zakrzywione noże o grubych ostrzach. Wyciągnął je, obrócił między palcami, rozejrzał się powoli dookoła siebie. Ludzie krzyczeli i wiwatowali. Nic dziwnego, zdobył już sobie wielką sławę.

Na osobnej ambonie zasiadali Lykos oraz Fidele. Pirat wydawał się rozluźniony i najwyraźniej dobrze się bawił. W jednym ręku trzymał kielich, a drugą wsunął pod płaszcz. Pozycja, w której siedział, zdradzała Maquinowi, że zaciskał coś w dłoni, tak jak wcześniej.

Co to takiego?, zastanawiał się.

Fidele siedziała obok niego, a na jej twarzy przez cały czas widniał ni to uśmiech, ni to grymas. Sprawiała wrażenie, jakby jej oblicze zastygło w bezruchu, wręcz zamarzło.

Stary Gadrai odwrócił gwałtownie głowę, zaalarmowany nowym dźwiękiem. Po przeciwnej stronie areny otwierano właśnie kolejne wrota, z których wyszło kilku strażników oraz jego przeciwnik.

Maquin zmrużył oczy.
Miał walczyć z Orgullem.

Rozdział sto ósmy

CORBAN

Corban zastał Coralen samą pośród drzew. Gwałtownymi szarpnięciami mocowała rękawicę z pazurami wilkuna, a po jej twarzy spływały łzy.

Usłyszała jego kroki i odwróciła się.

– Czego chcesz?

– Przykro mi.

– Tobie? Dlaczego miałoby ci być przykro? – spytała Coralen. – A co ty niby takiego zrobiłeś?

– No wiesz, chciałbym ci jakoś pomóc, a nie potrafię. Przykro mi, że nie potrafię załagodzić twego bólu.

– Nikt nie może mi w tym pomóc – warknęła dziewczyna. – Nie zawracaj sobie głowy.

– Ale to był twój ojciec!

– Tak, to był mój ojciec – wymamrotała. W jej słowach pobrzmiwał wielki smutek. – Choć nigdy jakoś nie poczuwał się do tej roli.

Jej oczy zaszyły mgłą, zupełnie jakby nagle zaczęła widzieć inne rzeczy niż tylko Corbana i drzewa wokół siebie. Niespodziewanie przeszył ją dreszcz i jej wzrok odzyskał ostrość.

– Wracaj do reszty.

– Chodź ze mną. Jesteś wśród przyjaciół.

– Zaraz przyjdę – burknęła i starła łzy z policzków.

Corban wiedział, o co jej chodzi. Nie chciała, by ktokolwiek dowiedział się o jej ogromnym smutku. Zwykła chować emocje głęboko na dnie serca i starannie je maskować. Odwrócił się więc, by odejść.

– Corban.

Zatrzymał się jak wryty.

– Zapytałeś mnie raz, dlaczego się z wami wybrałam.

– To prawda. – Chłopak odwrócił się i przez długą, zawieszoną w czasie chwilę stali i spoglądali na siebie.

Coralen uśmiechnęła się lekko, jakby z zawstydzeniem.

– Przyczyną...

Naraz z oddali dobiegła pieśń rogów, długa i chrapliwa.

– To chyba coś ważnego – oznajmiła Coralen i przeszła obok Corbana, kierując się ku pozostałym. Chwila słabości znikła bez śladu.

Ich towarzysze siedzieli już w siodłach i czekali na ich powrót. Rogi nadal ryczały, choć Corban nie miał pojęcia, kto w nie dmie – wojownicy Nathaira czy może olbrzymy na murach Murias. Nie miało to jednak żadnego znaczenia. Istotne było to, że pod murami fortecy zanosilo się na bitwę.

Corban wspiął się na siodło i spojrzał na matkę.

– Cywen! – rzucił i ruszyli z kopyta.

Gnali przez wrzosowiska, a na horyzoncie roztapiało się słońce. Feh leciał nad nimi, ale szybko zyskał przewagę i niebawem zlał się z plamą ciemności, która za dnia była fortecą Benothi. Nikt nie odzywał się ani słowem, oczy wszystkich wbiły się w ciemne zbocza przed nimi.

Naraz Corban dostrzegł jakiś ruch pośród wrzosowisk. Coś gnało ku nim z wielką prędkością. Był to ogar.

Czyżbyśmy zostali spostrzeżeni przez zwiadowców Nathaira?

Nim jednak powiedział choć słowo, Burza wystrzeliła naprzód i pognąła ku pędzącemu ku nim zwierzęciu. Corban rozejrzał się w poszukiwaniu innych zwiadowców. Nie miał wątpliwości, że wilkunica poradzi sobie z psem, choćby największym.

Burza uderzyła w psa. Ich ciała splotły się, przetoczyły, białe futro wilkuny wyraźnie kontrastowało z ciemną sierścią ogara. Oba zwierzęta odskoczyły od siebie i znów się zwały. Corban zmrużył oczy.

Co tam się dzieje?, pomyślał.

Nie było warczenia i parskania, nie widział odsłoniętych kłów ani pierwszych ran. Dostrzegł za to, jak Burza przewraca się na grzbiet, a pies skacze wokół niej z dziką radością.

I wtedy wszystko zrozumiał.

– To Buddai!

Wraz z matką zsunęli się z siodeł i podbiegli do wilkunicy oraz ogara. Buddai skakał wokół Burzy jak szczeniak, lizał ją po pysku i próbował pochwycić zębami jej uszy, a Burza, wciąż leżąc na grzbiecie, trącała psa łapami. W końcu Buddai dostrzegł Corbana i Gwenith, zamarł, wciągnął nosem powietrze i skoczył ku nim. Z nieposkromioną radością uwijał się wokół nich, opierał o nich łapami, lizał i obwąchiwał.

Minęła dłuższa chwila, nim Corban przypomniał sobie o reszcie. Uniósł głowę i ujrzał siedemdziesięciu Jehar, na twarzach których widniało łagodne zdumienie. Wyjątkiem był Gar, który uśmiechał się do nich szeroko.

– Wilkuny, gadające kruki, teraz ogary – oznajmił Tukul. – Co jeszcze nas czeka?

– Cywen jest gdzieś tam! – zawołała Gwenith. – Teraz nie ma co do tego wątpliwości!

– Wiem! Ruszajmy po nią!

Znów wskoczyli na konie i pognali ku Murias. Wtedy od górskiej fortecy dobiegła ogłuszająca wrzawa, potężna niczym wichur, a potem w oddali usłyszeli pierwsze wrzaski.

Rozdział sto dziewiąty

UTHAS

Uthas stał na balkonie obok Nemain i spoglądał na armię zbliżającą się do Murias. Wokół na powietrznych prądach unosiły się kruki, które przypominały czarne liście porwane przez trąbę powietrzną. Za nimi stali Sreng i Salach, oboje gotowi do walki. Uthas widział już Nathaira, który jechał na swoim draigu na czele kolumny, po bokach mając Calidusa i Alcyona.

Droga do Murias była szeroka i wiła się łagodnymi zakolami między granitowymi skałami i rumowiskami. Balkon, na którym stali Uthas i Nemain, wykuto w skalnym występie, dzięki czemu widać było z niego zarówno podejście do Murias, jak i bramy samej twierdzy. Wrota, wysokie na dziesięciu olbrzymów, a szersze od dwudziestu stojących w szeregu, wykonane były z tego samego kamienia co wszystko inne w Murias, i tak jak reszta stanowiły ostatni wielki wyczyn kamieniarzy sprzed wieków. Oczywiście były zamknięte.

Nadejście Nathaira nie było dla nikogo zaskoczeniem. Ethlinn, zwana Śniącą, obudziła się poprzedniego dnia, spocona i zdezorientowana, i zapowiedziała rychłe przybycie Czarnego Słońca i jego Czarnego Serca. Byli więc gotowi, a raczej tak gotowi, jak mogli być. Kocioł został otoczony strażą, białozmije wiły się niespokojnie, niekarmione przez Morca od chwili ogłoszenia rewelacji Ethlinn i wszyscy Benothi chwycili za broń. Uthas z dumą patrzył na pięć setek olbrzymów ze swego klanu, przypominających mu dawne, lepsze czasy i hufiec, który stawił czoła przodkom Eremona na równinach wokół Dun Taras. Ich klan był podówczas liczniejszy, ale mimo to bitwa zakończyła się klęską. Czasem miał wrażenie, że od czasów Rozdzielenia życie ich ludu było niekończącą

się spiralą, prowadzącą ku rozpacz.

Westchnął, czując, jak znów ogarnia go stara melancholia, jak znów budzi się w nim fatalizm, a przeznaczenie oplata się wokół niego niczym łuskowate ciało żmija.

Czyjś głos wyrwał go z zamyślenia. Był to Nathair, który stanął pod murami twierdzy.

– Jestem Nathair ben Aquilus, Jasna Gwiazda, o którym mówią proroctwa. Przybyłem po kocioł! – wołał, a jego głos odbijał się echem od klifów. – Nie ma potrzeby, byśmy przelewali krew! Otwórzcie bramy i pogódźcie się z tym, co nieuniknione. Stańcie po mej stronie w nadciągającej wojnie. Zewrzyjmy szyki przeciwko Asrothowi i jego Czarnemu Słońcu.

Echo jego słów ucichło. Nemain wpatrywała się w przybysza.

– Czy ja dobrze słyszę? – odezwała się. – Czy on właśnie nazwał się Jasną Gwiazdą, awatarem Elyona?

– Tak – potwierdził Uthas.

– Oszalał czy ktoś mu nakładł bzdur do głowy?

– Może jedno i drugie. – Uthas wzruszył ramionami.

– Otwórzcie swe bramy przede mną! – krzyczał Nathair, a przekonanie o swej racji dodawało mocy jego słowom.

Nemain przymknęła powieki i wyszeptała kilka ledwie słyszalnych słów. Potem nagle otworzyła oczy szeroko.

– Tam jest! – wskazała. – Oto Czarne Serce.

Jedną z postaci niedaleko Nathaira otoczyła czarna aura, jakby stał na progu bramy do piekła. Uniosły się nad nim skrzydła, półprzejrzyste, niczym utkane z cienia.

Calidus.

– Widzę cię, Czarne Serce! – ryknęła Nemain. W jej głosie pobrzmiwał gniew gromadzony przez wieki. – Nie zdobędziesz kotła tak łatwo! Nie jesteśmy dziećmi, które można łatwo wyprowadzić w pole!

Calidus wpatrywał się w nią, nie mówiąc ani słowa.

– Nie rozumiem cię! – odkrzyknął Nathair. – Nie jestem żadnym czarnym sercem! Ja walczę z Asrothem i jego ciemnością!

– Słodkimi zapewnieniami i kłamstwami nie otworzysz sobie bram Murias – odparła Nemain. – U twego boku stoi Czarne Serce. To wszystko,

co ci mogę powiedzieć.

Nathair rozejrzył się i zmarszczył brwi, wpatrując się w Calidusa.

– Ona cię okłamuje, Nathairze! – oświadczył starzec, którego głos również poniósł się echem. – Ona służy Asrothowi i trzyma swój kocioł tylko dla niego.

– On o niczym nie wie! – szepnęła Nemain. Potrząsnęła głową, a na jej twarzy pojawiło się współczucie. Potem wzniosła ramiona i zaczęła mówić.

W powietrzu nagle zaroilo się od kruków. Rój potężniał z każdą chwilą, zasilany przez kolejne ptaki, wyfruwające ze skalnych gniazd i spadające z nieba. Wówczas olbrzymka wycelowała dłonie w Nathaira i Calidusa. Ptaki runęły ku nim, tworząc gigantyczną włócznię dziobów, piór i pazurów.

Calidus uniósł jedną dłoń i powietrze zamigotało. Pierwsze ptaki eksplodowały na strzępy, a kolejne odbiły się od niemalże niewidzialnej bariery powietrznej, która wyrosła im na drodze, chroniąc Calidusa, Nathaira oraz ich asystę. Całej armii zasłonić jednakże nie był w stanie. Kolejne fale czarnego ptactwa zakreśliły i wbiły się w szeregi wojowników stojących dalej. Poniosły się dzikie wrzaski, gdy formację Jehar zalał czarny rój. Konie stawały dęba, a wojownicy z rozpaczą cięli powietrze.

Calidus i Nathair są bezpieczni, ale to nie wystarczy! – myślał Uthas. Same kruki są gotowe rozstrzygnąć losy tej bitwy. Jehar nie mogą wyginąć! Potrzebujemy ich, jeśli chcemy zabrać stąd kocioł!

Zerknął na Nemain, a potem na ptaki, które nadal kłębiły się w powietrzu, zasilane przez nowe stada, i opadały na wrogą armię, zalewając Jehar czarnym, drgającym kobiercem. Krew i pióra eksplodowały w setkach miejsc jednocześnie, gdy Jehar próbowali się odcinać ptakom, a mimo to Uthas widział konie i ludzi osuwających się na ziemię, rozdzieranych na strzępy przez bezlitosną falę dziobów i szponów.

Teraz! Muszę coś zrobić! To ostatni moment!

Znów spojrział na Nemain, która skupiła całą swą uwagę na scenie rozgrywającej się u bram twierdzy. Na jej czole pojawiły się krople potu, które ściekały jej na twarz. Dłoń Uthasa opadła na rękojeści noża, ale się zawahał. Nemain była królową od trzech tysięcy lat. Jakże mógł ją

zabić?

Stoi mi na drodze!, pomyślał. Szkodzi moim rodakom! Przez nią wszyscy znajdziemy się w grobach! Trzeba ją zabić!

Zacisnął mocno powieki. Miał wrażenie, że całe jego życie, dwa tysiące lat spędzone na tym padole, sprowadza się właśnie do tej jednej chwili.

Nie mogę jej zabić. Muszę z nią porozmawiać! Muszę ją przekonać...

– Nemain...

Nie usłyszała go, skupiona całkowicie na bramach. Powtórzył jej imię głośniej, a wówczas zerknęła na niego.

Naraz gdzieś blisko rozległ się łopot skrzydeł. Z nieba opadł kruk, rozpostarł skrzydła i usiadł na ramieniu królowej. Przysunął dziób do jej ucha.

Czy to Fech? – zastanawiał się Uthas. To przecież niemożliwe...

Nemain smagnęła go wzrokiem i otworzyła usta.

– Sreng! – krzyknęła.

Uthas wyciągnął nóż i skoczył na nią.

– *Greim* – powiedziała Nemain, a Uthas poczuł, jak powietrze wokół niego gęstnieje i krzepnie niczym rozlana krew, spowalnia go i więzi. Próbował się przebić i wepchnąć nóż w jej ciało, ale miał wrażenie, że grzęźnie w gęstym piasku. Skądś dobiegł do niego stłumiony szcęk oręza.

Salach walczy ze Sreng, przemknęło mu przez głowę.

Zastygł całkowicie. Wciąż próbował ciąć nożem, a jego pięść drżała, ale niewidzialny napór więził go i dusił.

– *Fuasgail* – szepnął ostatkiem sił.

Jego życie na moment zawisło na włosku. Czuł narastający napór w głowie i szalejące płomienie w płucach, ale nagle krępujący go ucisk znikł. Szcęk oręza za nim stał się donośniejszy, wręcz ogłuszający, a sam Uthas zatoczył się i runął na Nemain. Królowa pochwyciła go jedną ręką za nadgarstek i wykręciła go, a drugą sięgnęła ku jego szyi. Nie miał pojęcia, że Nemain jest taka silna. Zaskoczony, cofnął się gwałtownie, ale zdołał złapać dłoń, która mierzyła w jego gardło, nim zacisnęły się na nim jej palce. Zwarci w zacieklej walce, przetaczali się po balkonie, roztrącając krzesła, aż wpadli na stół.

– Zdrajca! – syknęła do niego królowa.

Uthas zawahał się, widząc bezmiar bólu w jej oczach.

Salach zabił Sreng albo ona jego, pomyślał.

Podświadomie czekał, aż topór Sreng wbije mu się w plecy, ale niespodziewanie ciało Nemain przeszył spazm, a jakaś siła pchnęła mu królową w ramiona. Trwali tak przez chwilę, wpatrując się sobie w oczy, a potem z ust królowej buchnęła krew. Wówczas Salach szarpnął za stylisko topora, który przed chwilą wbił jej w plecy, a umierająca Nemain przeleciała przez cały balkon i znieruchomiała na poręczy.

Uthas wpatrywał się w jej nieruchome ciało i ogromną ranę na plecach.

Co ja narobiłem...

Potykając się, przypadł do niej, złapał za nogi i wypchnął ją z balkonu w instynktownej próbie przegnania własnego wstydu, dziecięcego odżegnania się od winy. Nemain, obracając się w powietrzu, pomknęła na spotkanie ziemi. Uthas wychylił się i patrzył na jej upadek.

– Uthasie, nie ma chwili do stracenia! – Głos Salacha zdawał się dobiegać z wielkiej dali.

Olbrzym oderwał wzrok od ciała królowej, zmasakrowanego upadkiem na skalną ścianę, i omiótł wzrokiem hufiec Nathaira. Jeźdźcy zaprowadzali porządek we własnych szeregach, a dezorientowane kruki odlatywały, zapomniawszy o celu ataku. Uthas zawrócił i wypadł z pomieszczenia.

* * *

Jego pobratymcy rozstępowali się przed nim, gdy parł przez wielką komnatę prowadzącą ku bramom Murias. Ścigały go szepty i pomruki, ale ignorował je wszystkie, zwracając uwagę jedynie na wiernych sobie, tych, których przeciągnął na swoją stronę. Ci w milczeniu skupiali się za nim, aż ich liczba sięgnęła czterdziestu, pięćdziesięciu wojowników.

Nikt ich nie zatrzymywał, nikt o nic nie pytał.

Myślą, że wypełniam rozkazy Nemain, pomyślał. Że być może przyszedłem, by do nich przemówić. By ich pokrzepić, dodać odwagi, przypomnieć o honorze.

W końcu dotarł do bram, stanął z boku i odwrócił się ku skłębionej masie olbrzymów Benothi.

– Gdzie jest Nemain?! – zawołał Jednooki, występując przed szereg. Jego

siwe włosy związane były w ciasny warkocz, a po obnażonych ramionach spływały gęste kolczaste sploty. W rękach trzymał młot wojenny.

– Nie żyje! – zawołał Uthas.

Przez tłum przeszedł szmer, tu i ówdzie poniosły się jęki żalu.

– Stańliśmy na krawędzi! – wykrzyknął Uthas. – To, co się teraz wydarzy, zadecyduje o przeznaczeniu Benothi. Zadecyduje o tym, czy czeka nas zagłada czy też odrodzenie. Dołączcie do mnie! Stańcie wraz z nami!

Wskazał olbrzymy za swoimi plecami, które uformowały szereg przed bramą.

– A jeśli do ciebie nie dołączymy? – spytał Jednooki.

– Wówczas zostaniecie pogrzebani i zapomnieni wraz z resztą poległych! – ryknął Uthas i dał znać swoim poplecznikom.

Ci wespół podważyli kłody z dębowego drewna, które zamykały wrota, i z głuchym łoskotem opuścili je na ziemię. Skrzydła bramy rozchyliły się, wpuszczając do środka coraz szerszą strugę gasnącego blasku dnia. Uthas wyjrzał na zewnątrz i ujrzał Nathaira na swym draigu i masy Jehar za nimi.

Draig zaryczał i rzucił się do szarży.

Rozdział sto dziesiąty

CYWEN

Cywen poprowadziła Tarczę za Alcyonem, starając się nie wylądować w samym środku bitwy, a jednocześnie szukając okazji do ucieczki. Olbrzym trzymał się z tyłu, po tym jak Nathair ruszył do szarży przez bramy Murias na czele fali Jehar. Cywen miała wrażenie, że Alcyon oddałby wszystko, byle tylko móc zamachnąć się toporem na Benothi, ale kazano mu troszczyć się o nią, a skok w gęszcz nieprzyjaciół raczej by w tym nie pomógł. Co więcej, walka z innymi olbrzymami z zapalczą dziewczyną uwiązaną do pasa, nie należała do łatwych zadań.

Sama Cywen dopiero co doszła do siebie po przerażającym ataku kruków. Stała blisko Calidusa i została osłonięta jego magiczną barierą, ale widziała skutki powietrznej szarży dookoła siebie. Kruków, wielkich ptaków z ostrymi dziobami i pazurami, było po prostu zbyt wiele, by ktokolwiek mógł się przed nimi obronić. Widziała, jak Jehar ścinają ich dziesiątki, ale mimo to nie wytrzymują naporu setek innych, oblażających ich, dziobiących, wydzierających oczy. A te nieszczęsne konie... Na zboczu przed bramami leżały setki martwych bądź umierających zwierząt.

Atak zakończył się równie nagle, jak się rozpoczął. Ptaki straciły zainteresowanie ludźmi i zawróciły ku niebu, zdezorientowane.

Wydawać by się mogło, że minęło jedynie kilka uderzeń serca, nim bramy Murias stanęły otworem. Od potężnego ryku draiga Nathaira zadygotała ziemia, a potem armia runęła naprzód. Cywen widziała galopujące konie i ludzi wyciągających miecze, a potem Alcyon pociągnął ją za sobą.

Stali teraz w obrębie bram, na skraju ogromnej, podziemnej sali, zbyt wielkiej, by można ją było oświetlić pochodniami, a przez to spowitej

mrokiem. Dobiegający z niej zgiełk był ogłuszający – Cywen słyszała wrzaski umierających, pełne furii okrzyki bojowe, rżenie koni i niski ryk draiga. Żelazo uderzało o żelazo, młoty wojenne z chrzęstem rozbijały kolczugi i łamały kości.

Zdołała jednak dojrzeć Nathaira, który przedzierał się przez olbrzymy i wymachiwał mieczem. U jego boku jechali Calidus oraz Sumur, we trzech tworząc ostrze klina, wdzierającego się coraz głębiej w szyki wroga.

– Nie mogę po prostu tak stać! – oznajmił Alcyon. – Trzymaj się blisko mnie. – Uniósł swój czarny topór. – Ale nie za blisko.

Z tymi słowami ruszył naprzód, krocząc wśród ofiar szarży Nathaira. W walce z konnymi przeciwnikami olbrzymy traciły przewagę wzrostu, a komnata była tak wielka, że bez trudu mieścili się tu wszyscy jeźdźcy.

Alcyon zamachnął się toporem na Benothi, który jedną ręką złapał konia za uprzęż, a drugą unosił młot, by rozbić czaszkę zwierzęciu. Czarny topór odrąbał tamtemu ramię, nawrócił i wbił się w jego plecy. Olbrzym runął na ziemię wśród eksplozji krwi. Alcyon przestąpił nad jego trupem, minął zabitego konia i jeźdźca przygniecione jego ciężarem i rozejrzał się w poszukiwaniu kolejnego przeciwnika.

Niemalże wpadły na nich dwa olbrzymy, zwarte w śmiertelnym starciu. Cywen szarpnęła za wodze Tarczy. Ogier stanął dęba i zamachnął się kopytami. Trafieni runęli na ziemię i przetoczyli się wśród poległych.

Byli już blisko Nathaira. Dziewczyna widziała, jak toczy pojedynek z jasnowłosym olbrzymem, zbrojnym w wielki topór wojenny. Wspierało go kilku innych Benothi, którzy strzegli wejścia do jakiegoś tunelu.

Olbrzym zablokował opadający miecz króla Tenebralu i ciął w niego toporem, ale Nathair odchylił się w siodle i przemykające ostrze nie zrobiło mu krzywdy. Wówczas draig stanął na tylnych nogach i zamachnął się przednimi, roztrącając zarówno białowłosego, jak i inne olbrzymy równie łatwo, jakby były zwiędłymi gałązkami. Białowłosy uderzył w skałę i zaległ bezwładnie na ziemi, martwy bądź nieprzytomny.

Przy Nathairze naraz wyrósł Uthas, wykrzykując coś ponad zgiełkiem bitwy.

Król odwrócił się ku swoim wojownikom i wskazał mieczem korytarz.

Uthas ruszył nim jako pierwszy w asyście innego olbrzyma, zbrojnego w topór. Za nim podążył draig Nathaira oraz setki Jehar.

Calidus odwrócił głowę i dostrzegł Alcyona.

– Trzymaj się blisko – rozkazał mu, po czym wjechał w korytarz.

Alcyon zerknął na Cywen, sprawdził węzeł na linie i ruszył za Calidusem. W wielkiej sali nadal trwała bitwa, ale droga przed nimi wydawała się czysta. Z korytarza dobiegał jedynie stukot wielu kopyt.

Cywen miała wrażenie, że spędzili w podziemiach pod Murias całe wieki. Korytarze, którymi wędrowali, czasem otwierały się na wielkie sale o wysokich sklepieniach. Tu i ówdzie rozlegały się odgłosy zaciętej walki, gdy Nathair i jego przyboczni natrafiali na kolejne grupy obrońców fortecy. Starcia były zawsze niezwykle krwawe, ale krótkie, a król Tenebralu, jego draig oraz Jehar parli nieubłaganie naprzód. Alcyon zwiększył tempo, a Cywen kopnęła Tarczę, by za nim nadążyć. Wkrótce dołączyli do grupy Nathaira.

Korytarz skręcił i nagle znaleźli się przed ogromnymi wrotami. Oddział wyhamował.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł Uthas. – Kocioł znajduje się w środku.

Zapadła głęboka cisza, przerywana jedynie niskim, chrapliwym oddechem draiga. Nathair uniósł wodze, chcąc popędzić swego wierzchowca, ale Uthas go powstrzymał:

– Poczekaj! Kocioł jest chroniony!

– Wybiję cały naród olbrzymów, by go dorwać! – warknął Nathair.

– Ale tam czeka cię coś więcej niż tylko olbrzymy.

– Dotarłem zbyt daleko, by się wahać! Nic mnie nie powstrzyma przed moim przeznaczeniem! – oznajmił Nathair.

Ponaglony komendą draig podszedł bliżej, stanął na tylnych łapach i rąbnął pazurami przednich łap o wrota. Oba skrzydła, wyrwane z zawiasów, runęły z hukiem do środka.

Nathair, nie oglądając się za siebie, wkroczył do sali.

Rozdział sto jedenasty

MAQUIN

Maquin wpatrywał się w Orgulla stojącego po drugiej stronie areny. Jego brat w mieczu, członek Gadrai i dawny towarzysz broni szedł wyprostowany, choć powoli, oszczędzając jedną nogę.

Jak to możliwe? – pomyślał Maquin. Przecież on powinien być martwy bądź przynajmniej okaleczony!

Jego myśli powróciły do chwili, gdy widział go po raz ostatni. Wojownik wisiał przykuty łańcuchami do ściany komnaty, pobity, wręcz zmasakrowany, z poranioną twarzą.

Czyżby doszedł do siebie tak szybko? To niemożliwe!

Bezwiednie zrobił krok naprzód. Strażnicy wokół Orgulla cofnęli się, ale pojawił się Emad, dźwigający jego topór, ten sam, który Gadrai zabrał z grobowców pod Haldis.

Orgull nie powinien być w stanie go unieść, nie mówiąc już o walce! – przemknęło Maquinowi przez myśl.

Łysy wojownik pochwycił topór oburącz, podniósł go i ruszył naprzód.

Zgiełk tłumów przybierał na sile. Gdzieś w pobliżu Maquin usłyszał szczęk szarpanych krat. Popatrzył w tamtym kierunku i dostrzegł szereg gladiatorów, którzy śledzili wydarzenia na arenie. Był wśród nich Javed. Maquin spojrział z powrotem na Orgulla.

Dzieliło ich zaledwie kilkanaście kroków, gdy obaj się zatrzymali. Z bliska widać było, że Orgull nie był wcale w tak dobrej formie, jak Maquin z początku uznał. Lewa część jego twarzy nadal nosiła ślady okropnych poparzeń, a po oku pozostał jedynie wypełniony ropą oczodół. Brakowało mu kilku zębów, na ciele widniało mnóstwo ran, a choć stał prosto, ściskając swój topór, Maquin widział, że kosztowało go to wiele

wysiłku. Na jego czole perlił się pot, a ręce i nogi drżały.

– Dobrze cię ujrzyć, bracie – rzekł. Popękane wargi i szczyrby w uzębieniu sprawiły, że nawet jego głos się zmienił. Z człowieka, którym był kiedyś, nie pozostało praktycznie nic.

– Orgull, cóż to za obłąd?

– Chcą, byś mnie zabił. By jedyny człowiek, który powstał przeciwko nim, został zgładzony przez byłego brata w mieczu. Podali mi nasiona maku na ból, ale nie jestem już tak silny jak kiedyś.

– Po co to robisz?

– Ponieważ śmierć będzie dla mnie słodkim wybawieniem. Każdy człowiek ma swoje granice, Maquinie, a mnie się wydaje, że oni właśnie odnaleźli moje. – Jego głosem wstrząsnął dreszcz. – A poza tym chciałem cię ujrzyć. I porozmawiać.

Wiwaty przybrały na sile. Maquin zauważył Lykosa, który wszedł na arenę w asyście Deinona oraz kilku innych przybocznych. Zmierzał ku nim.

– Jeśli masz mi coś do powiedzenia, to się pośpiesz – syknął Maquin.

– Zabij mnie i uwolnij z tego piekła. Uwolnij się z niewoli. Wiem, że chcesz odnaleźć Jaela i życzę ci powodzenia, ale jeśli ci się uda, zrób dla mnie jedną rzecz.

– Co takiego?

– Odnajdź Meicala, człowieka, o którym ci opowiadałem. Powiedz mu, że dochowałem wierności do samego końca.

Lykos był już przy nim. Uniósł ręce i obracał się wokół własnej osi, pozdrawiając tłumy.

Proszę, stał się artystą, pomyślał Maquin. Cóż, z pewnością wie, jak manipulować ludźmi i jak ich kontrolować.

Przyszło mu do głowy, by go zabić. Po tym, co ten łajdak mu zrobił, zdecydowanie zasługiwał na śmierć. Skazał go przecież na koszmar podróży z Dun Kellen, napiętnował go, obciął mu warkocz wojownika i zmusił do mordowania innych ludzi. Torturował i złamał jednego z jego braci Gadrai. Już zacisnął dłoń na rękojeści noża, gdy dostrzegł strażników Lykosa – Deinona, Heraka, Emada oraz paru innych, którzy nie spuszczaali z niego oczu, czujni, napięci, gotowi na każdy jego ruch, jakby mogli czytać mu w myślach.

Nie uda mi się, przemknęło mu przez głowę. Nie podejść na tyle blisko. Chwilę później szansa minęła. Lykos stał już zwrócony do nich twarzą, choć jego dłoń nadal tkwiła pod płaszczem, szukając czegoś.

Czyżby noża?, zastanawiał się Maquin. Czy naprawdę aż tak bardzo się boi, że ktoś lada chwila może go zaatakować?

– Oto ostatnia walka tego dnia, najwspanialszego i najszcześniejszego ze wszystkich! – ryknął Lykos, a tłum natychmiast przycichł. – Naprzeciwko siebie stanie dwóch braci i towarzyszy broni. Jeden z nich to zdrajca i renegat, a drugi to stary wilk, wojownik, który ocalił swój honor i pokonał każde niebezpieczeństwo, które stanęło mu na drodze. Jeden z nich przeżyje walkę, a drugi padnie. Nie ma innej drogi ucieczki z jamy!

Lykos uznaje doprawdy osobliwą definicję honoru, pomyślał Maquin.

– Zaczynajcie! – zawołał pirat.

Orgull ruszył do natarcia i pchnął tępym końcem topora. Maquin bez trudu zszedł mu z drogi i odruchowo uniósł oba noże. Nawyki, wyrobione w nim podczas treningu, nakazały mu rzucić się do ataku, ale w porę się opamiętał.

Orgull dźgnął go ponownie, a potem z zaciśniętymi zębami złapał topór oburącz i rąbnął nim z góry. Maquin nachylił się, a ostrze świsnęło nad jego głową. Tłum ryknął z aprobatą. Maquin odskoczył przed kolejnym ciosem, a wtedy usłyszał pierwsze gwizdy.

– Co ty wyprawiasz? – zasyczał Orgull. – Musimy urządzić przekonujące widowisko.

Przeszedł do ataku, wymachując toporem nad głową, choć Maquin – i nikt poza nim – widział spazmy bólu na jego twarzy. Sam cofał się i w odpowiednich momentach rąbał nożami w trzonek topora, nie po to, by przyjąć cały impet uderzenia, ale by zmienić jego tor. Dzięki tej sztuczce, której nauczył go Vandil, można było łatwo odbić opadający cios olbrzyma i wykorzystać jego impet przeciwko niemu.

Tłumu szalały z zachwytu, brawami kwitując każdą szarżę nieustępliwego Orgulla.

Zabij go i tyle, pomyślał Maquin i przeniósł ciężar ciała, by uniknąć kolejnego opadającego uderzenia. Niespodziewanie ujrzał okazję, by wbić Orgullowi nóż między żebra. Jakież to byłoby proste. Przecież on chce, bym go zabił. Zależy mu na ciosie miłosierdzia. A potem będę już wolny.

Będę mógł odnaleźć Jaela, zemścić się, a przede wszystkim zostawić to piekło za sobą.

Spojrzał na twarz Orgulla, który wkładał tytaniczny wręcz wysiłek w każdy kolejny cios. Z kącików jego ust ściekała ślina.

Co oni ci zrobili...

Przez umysł Maquina przesłakiwały obrazy, wspomnienia. Przypomnił sobie Orgulla, dowodzącego patrolem wzdłuż brzegów rzeki Rhenus, walczącego z Hunen pod murami Haldis, odciągającego go w bezpieczne miejsce znad trupa Kastella, siedzącego przy ogniu i opowiadającego historie z młodości.

To mój przyjaciel. Mój ostatni przyjaciel. Jak mam wepchnąć ci nóż w serce, Orgullu? Jak mam patrzeć, jak tve życie wycieka z ciebie i miesza się z błotem? Ale muszę cię zabić! Muszę, bo nie ma innej drogi ucieczki stąd.

Naraz przepełnił go kotłujący się gniew. Przypomnił sobie o Lykosie.

To ty nam to zrobiłeś, pomyślał. Odebrałeś nam wszystko, łącznie z tym, co czyni nas ludźmi. Zrobiłeś z nas zwierzęta. Po co? Dla zabawy? Dla rozrywki? Gram w twoją grę tylko i wyłącznie dla Jaela. Pozwoliłem, byś mnie upokorzył, dlatego że to jedyna szansa, by znów go ujrzeć. Muszę to dokończyć. W przeciwnym razie wszystko, co zrobiłem, wszystkie życia, które zgasilem, pójdą na marne.

Skrzywił się, gdy uświadomił sobie, że od tego, co robi, nie będzie odwrotu. Ostateczność tej decyzji przygniotła go do ziemi niczym ciężki, duszący płaszcz.

Muszę cię zabić, bracie, pomyślał.

Orgull tracił już siły. Szeroko otwartymi ustami łapał powietrze, by wykonać każdy następny ruch. Maquin widział, jak jego towarzysz gaśnie, dostrzegał, że jego ciosy stają się coraz mniej celne, coraz bardziej chaotyczne. Tracił nad nimi kontrolę i jedynie siłą woli zmuszał swe ciało do dalszego posłuszeństwa. Jego walka dobiegała końca.

Teraz. Jeśli mam to zrobić, muszę to zrobić teraz, pomyślał Maquin.

Warknął, bardziej na siebie i na to, czym się stał, niż z jakiegokolwiek innego powodu, po czym nachylił się przed kolejnym ciosem, cofnął, umknął na prawo, a potem rzucił się naprzód, przetoczył po ziemi i ciął po drodze nożem po nodze Orgulla.

Usłyszał stęknienie przeciwnika i łoskot, z jakim zwalił się na ziemię, jeszcze nim podniósł się z przewrotu.

Wstał i obrócił się powoli. Orgull leżał na brzuchu w błocie. Topór wyslizgnął mu się z ręki i szukał go dłonią na ślepo. Z rany na jego nodze tryskała krew i Maquin poczuł winę na myśl o tym, że zadał temu człowiekowi jeszcze więcej bólu.

To mój brat w mieczu, mój dowódca, mój przyjaciel, pomyślał. Zakończę to szybko.

Tłum zaryczał, gdy Maquin przypadł do Orgulla, który w ostatniej chwili zdołał się odwrócić, by spojrzeć zwycięzcy w oczy. Patrzyli na siebie przez ułamek sekundy i stary Gadrai zawahał się. Znów przypomniał sobie o ich braterstwie, o przyjaźni, którą wykuć może tylko walka na śmierć i życie o ten sam cel, która wykształca się jedynie między ludźmi ratującymi się z opresji.

Poblížnione, napuchnięte wargi Orgulla drgnęły, gdy spróbował się uśmiechnąć. Skinął lekko głową.

Jestem gotów, mówiły jego oczy. I dziękuję.

Maquin wzniósł nóż i znów się zawahał, patrząc na przyjaciela.

Zabij go, pomyślał. Bo w przeciwnym razie wszystko, co poświęciłeś, pójdzie na marne.

Chwila przeciągała się. Nad areną zawisła całkowita cisza.

Maquin warknął raz jeszcze, podniósł się i upuścił noże.

– Nie zabiję cię, bracie – powiedział. – Ani dziś, ani kiedykolwiek indziej.

Rozdział sto dwunasty

CORBAN

Falujące wrzosowiska skończyły się jakiś czas temu i Corbana otaczały teraz skały. Długo rozmawiali o tym, jak wyrwać Cywen spomiędzy dwóch tysięcy Jehar.

– Ona jest przynętą, na którą masz się złapać – oznajmił Meical. – Będzie trzymana blisko Nathaira, a więc trzeba w pierwszej kolejności odnaleźć jego.

– Forteca wygląda na sporą – skomentował wówczas Corban.

– Nathair przybył tu po kocioł. Jeśli znajdziemy kocioł, odnajdziemy Nathaira, a wraz z nim również Cywen. O wiele trudniejsze pytanie brzmi: i co potem?

Plan, który w końcu uzgodnili, był stosunkowo prosty. Skoro nadal trwała bitwa między olbrzymami a siłami Jehar, w fortecy panował chaos, a więc trzeba było działać szybko i bez namysłu. Druga równie dogodna okazja mogła już nigdy nie nadejść.

Pędzili na złamanie karku ku murom Murias, które rosły w ich oczach. Księżyc był jedynie wątlą poświatą, skrytą za strzępami chmur. Corban zerknął w bok i ujrzał Gara wraz z Gwenith, a dalej Tukula, Meicala, Datha, Brinę, Farrella i Coralen. W mroku sadziły susami Burza i Buddai, a za nimi gnały trzy dziesiątki wojowników Jehar. Jego rodzina, przyjaciele i wielu innych ludzi zgromadziło się tu ze względu na niego. Ich życie zależało od jego decyzji.

Skup się, zganił się w myślach. Skup się, tak jak tysiąc razy pokazywał ci Gar. Liczy się tylko tu i teraz, tylko ten moment oraz kolejny, który nastąpi po nim.

Potem minął pierwsze trupy ludzi oraz koni. Ich ciała były podarte na

strzępy, ogryzione wręcz do kości. Wierzchowce zwolniły nieco, ostrożnie wybierając kierunek przez pobojuwisko. Rzeź przyprószyły czarne pióra, które lepiły się do krwi i unosiły na wietrze.

Otwarte bramy były coraz bliżej, aż Corban zauważył jakiś ruch na lewo od wrót, między głazami. Był to ogromny czarny kruk, który siedział na granitowej skale, pochylony nad jakimś trupem. Dziobał sam siebie i mruczał cicho.

– Fech, to ty?

– Tak, to ja! Fech, Fech, Fech! Samolubny, nielojalny ptak! Samolubny! Samolubny! – wykrakał i powrócił do dziobania własnego ciała.

Corban dostrzegł plamkę krwi między jego atramentowo czarnymi piórkami.

– Przestań! – warknęła Brina, która zsunęła się z siodła i ruszyła ku niemu między skałami. Craf z furkotem skrzydeł wylądował na pobliskim głazie.

Tukul na czele Jehar otoczyli ich ciasnym pierścieniem, chroniąc przed ewentualnym niebezpieczeństwem.

– Nie rób sobie krzywdy! – Brina pochwyciła kruka mocno.

– Zasłużyłem, zasłużyłem, zasłużyłem! – wymamrotał ptak.

Jeśli ptaki potrafią wyrażać emocje, to ja chyba właśnie usłyszałem skrajną rozpacz, pomyślał Corban.

Meical stanął obok Briny i przyjrzał się ciału, nad którym rozpaczał Fech. Bez wątpienia zmarły należał do plemienia olbrzymów i przypuszczalnie był kobietą, o czym świadczyły długie, czarne włosy, ale poza tym nie było innych wskazówek. Twarz bowiem uległa zmiażdżeniu i trudno było rozpoznać jej rysy.

– Czy to Nemain? – spytał Meical.

– Tak! – zaszlochał ptak. – Nemain, Nemain, Nemain!

Meical uniósł głowę. Corban spojrział w ślad za jego wzrokiem i ujrzał znajdujący się wysoko balkon, do którego prowadziły zwieńczone łukiem drzwi.

– Nemain nie skoczyła sama – rzekł Meical. – No i ktoś otworzył bramy Murias.

– Uthas! – parsknął Fech. – Uthas ją zabił. Uthas zdrajca! Wydziobię mu oczy! Zjem je! Trzeba było wrócić wcześniej! Wcześniej, wcześniej!

Znów próbował się dziobnąć, ale Brina złapała go za dziób. Craf podleciał bliżej i wylądował na głazie, na którym siedział Fech. Spojrzał na drugiego ptaka, przybliżył się i zaczął wygładzać dziobem jego zmierzwione piórka.

Czy Craf właśnie się o niego troszczy?, zdziwił się Corban. Okazuje uprzejmość?

– Pomożesz nam? – spytał.

– Jak? – zakrakał wypuszczony przez Brinę Fech. Przechylił główkę na bok.

– Musimy odnaleźć kocioł. Zaprowadź nas do niego.

– Kocioł jest niedobry – odparł ptak. – Po co?

– Bo tam będzie Nathair, a on ma moją siostrę. Przybyliśmy jej na ratunek.

– Wiem – mruknął ptak. – Uratować Cywen. Fech pamięta.

– To dobrze. Pomożesz nam?

– Ale wy pomóżcie mi zabić Uthasa.

– Pewnie będzie z Nathairem – rzekł Meical.

– Nathair przy kotle! – zakrakał Fech. – Zabiorę was do kotła. Ty znajdź siostrę. Razem zabijemy Uthasa.

– Zgoda – rzekł chłopak.

Nie miał ochoty dać się wciągnąć w szukanie i zabijanie kogokolwiek, ale jeśli w ten sposób miał szybko odnaleźć Cywen, warto było spróbować.

– Za mną! – zakrakał Fech i uderzył parokrotnie skrzydłami w powietrzu, kierując się ku Murias.

Przejechali w ślad za lecącym ptakiem przez bramy, gdzie uderzył w nich zgiełk bitwy. Walki toczyły się nadal, choć głównie wzdłuż przeciwnego końca wielkiej sali. Bez wątpienia poległych było wielu – widzieli liczne ciała ludzi, olbrzymów i koni, nieruchome na kamiennej podłodze, broczące krwią z licznych ran. Corban zauważył, że Gar i Tukul zastygają na widok Jehar pogrążonych w zaciętej walce z olbrzymami.

– Za dużo! Nie tędy! – wykrakał Fech, który wykonał zwiad i właśnie zawracał. – Za mną! Dalej! Dalej!

I pomknął w stronę odległej ściany, gdzie znajdowały się szerokie, prowadzące w górę spiralne schody. Nikt nie ruszył za nimi. Nawet jeśli ktoś zauważył Corbana i jego towarzyszy, był zbyt zajęty, by zainterweniować.

Wystarczyło kilka sekund, by przybysze zeskoczyli z koni, po czym biegli już w górę schodów, usiłując nadążyć za ptakiem. Corban wyciągnął miecz i zacisnął pięść drugiej dłoni, do której przytroczył pazury wilkuna.

Cywen, nadciągamy, pomyślał.

Rozdział sto trzynasty

CAMLIN

Camlin ściągnął wodze.

– O, tam! – krzyknęła Roisin i wskazała palcem.

Znad wzniesienia, po którym pięła się droga, wystawał biały żagiel. Za nim ciągnęło się targane wiatrami, falujące morze, które w oddali zlewało się z horyzontem. Camlin ucieszył się na ten widok. Po dziesięcionocy ostrej jazdy na południowy zachód czuł ból w mięśniach, z istnienia których nie zdawał sobie do tej pory sprawy. Ich kolumna, licząca około pięćdziesięciu jeźdźców, znów ruszyła w drogę. Camlin wstrzymał jeszcze na moment konia i odnalazł wzrokiem jasne włosy Edany, którą osłaniali Marrock i Vonn.

Choć to przecież nie koniec, pomyślał. A jedynie początek kolejnego wyścigu. Na szczęście będziemy mogli trochę odetchnąć.

Spojrzał za siebie w poszukiwaniu śladów ich prześladowców.

Od trzech dni od czasu do czasu widywał podążających za nimi jeźdźców, a wisząca nad nimi chmura pyłu zdradzała, że ich grupa jest o wiele liczniejsza. Teraz zasłoniły ich zielone wzgórza, a gęste chmury wisiały nisko, przez co trudno też było dostrzec pył.

Są tam gdzieś za nami, pomyślał. Ale wystarczy, że wskoczmy na okręt i tyle będą nas widzieć!

Pochylił głowę nad końskim karkiem i zmusił wierzchowca do rozwinięcia większej prędkości.

Powiedział Marrockowi i Halionowi o pościgu, a ci przekazali informację Edanie i Roisin, ale wieści szybko rozniosły się wśród reszty wojowników. W ich sercach zagościła rozpacz, gdyż pościg oznaczał, że Dun Taras padło. Baird wszczął bójkę z jednym z ludzi Quinna

i znokautował go tylko za to, że spoglądał na niego odrobinę zbyt długo. Halion musiał zainterweniować, nim Baird rzucił się na pozostałych. Quinn oczywiście wyzwał Bairda na pojedynek, ale Halion zabronił im walki i przypomniał, że wszyscy są po tej samej stronie.

„Zachowajcie gniew na wrogów!” – powiedział. – „O ile ci nas dopędzą!”.

Camlin przypuszczał, że Quinn tak naprawdę nie miał wielkiej ochoty na walkę z Bairdem, bo wycofał się z pomysłu aż nader chętnie, ale po interwencji Haliona długo mierzył go ponurym spojrzeniem. Camlinowi niezbyt się to podobało. Słyszał pogłoski, jakoby Baird był człowiekiem dumnym i aroganckim i jak dotąd wszystko, co ujrzał podczas podróży ku morzu, potwierdzało te plotki. Poza tym nikt, kto cieszył się tytułem pierwszego miecza, nie przyjmował chętnie rozkazów od innego wojownika.

W nocy po starciu Camlin przyglądał się Quinnowi, który czyścił i ostrzył rozłożoną przed sobą broń – długi miecz oraz dwa noże. Gdy skończył, polał je ciemną cieczą, którą następnie wtarł w stal.

– Co to? – zapytał Camlin.

– Coś, czego nikt się nie spodziewa – odparł Quinn i uśmiechnął się. – A co ciut spowolni każdego przeciwnika.

To też się Camlinowi nie spodobało. Przypomniała mu się noc, kiedy Farrell walczył z Quinnem na rękę i ranka na dłoni chłopaka.

– Uważaj, żeby się przypadkiem nie zaciąć – rzekł.

– Ja nigdy nie ciąłem nikogo przez przypadek.

– Nie wygląda mi to na honorowy sposób walki – oznajmił Vonn, który siedział w pobliżu, cichy i milczący jak zwykle.

– Honor dobrze się miewa tylko w bajkach dla dzieci – stwierdził Quinn. – Mnie chodzi o to, by żyć i zwyciężać.

– Mój ojciec mawiał podobnie – rzekł Vonn. – Kiedyś miałem wrażenie, że się myli. Wydawało mi się, że każdy człowiek żyje wedle zasad honoru, a dobro zawsze powinno przeciwstawiać się złu.

– To dobrze myślałeś – rzekł Marrock.

– Doprawdy? Nie jestem już tego taki pewien.

Wjechali na szczyt wzniesienia, z którego roztaczał się widok na cały ocean. Trakt, którym podążali, wił się w dół po zielonym zboczu, a przed sobą mieli strome, kamieniste zejście ku zatoczce i sporemu okrętowi,

kotwiczącemu przy wychodzącym w wodę pomoście.

To nasz okręt! Wreszcie chwila wytchnienia! – pomyślał Camlin.

Wiodący w dół trakt odbijał w pewnym momencie w bok, zataczał szeroki łuk i powracał na wąską, piaszczystą plażę. Wzdłuż niej stało kilka chat, między którymi rozwieszono sieci. Na piasku ciągnęły się głębokie bruzdy po wciąganych na ląd łodziach.

Uciekinierzy dotarli na miejsce. Piasek i morska woda strzelały spod kopyt koni, które galopem pokonały ostatni odcinek do pomostu. Powstało zamieszanie, gdy jeźdźcy zaczęli zeskakiwać z siodeł, wyciągać broń oraz zapasy i piąć się po wąskich, drewnianych schodach na pomost.

Camlin zarzucił sobie na ramię torbę, wypełnioną głównie strzałami, w drugą rękę pochwycił łuk i popędził w stronę pomostu. Minął przy tym Haliona, który pilnował schodów z mieczem w dłoni. Nie spuszczał oczu z traktu prowadzącego na plażę. Towarzyszyło mu pół tuzina wojowników, a pozostali pośpiesznie wsiadali na pokład. Pod drewnianymi deskami pomostu przemykały fale. Camlin biegł w stronę burty, od której dzieliło go zaledwie kilkadziesiąt kroków.

Roisin stała już na pokładzie i wyciągała ręce w stronę Lorcana. Edana również dotarła już na okręt, a obok niej stali Vonn i Marrock. Ten ostatni zauważył Camlina i ponaglił go gestem. Quinn stał przy Lorcanie i czekał na swą kolej, by dostać się na okręt, a wokół niego kłębili się inni wojownicy. Camlin miał wrażenie, że jest ich o wiele za dużo, by zmieścić się na pokładzie. Okręt nie był wystarczająco duży.

Niespodziewanie rozległ się ostrzegawczy krzyk.

Camlin spojrzął za siebie i dostrzegł rząd jeźdźców gnających w dół zbocza. Z każdą chwilą pojawiali się kolejni. Jeden z nich wrył rumaka i podjechał na skraj klifu. Spod końskich kopyt potoczyły się w dół kamyki.

Był to Conall.

– Oddawajcie chłopaka! – huknął.

– Nigdy! – wrzasnęła Roisin.

– Oddajcie chłopaka i dziewczkę Eremona, a daruję wam wolność, a co więcej, wynagrodzę was! Jestem teraz regentem Domhainu! Mam władzę i bogactwa, którymi chętnie się podzielę. Drugi raz tej szansy nie dostaniecie. Stańcie po mojej stronie lub zjadę na dół, by wyrznąć was co

do jednego!

Wśród zebranych na pomoście wojowników poniosły się szmery niepewnych rozmów. Camlin poczuł ukłucie niepokoju. Skoro sam doszedł do wniosku, że okręt jest za mały dla nich wszystkich, pozostali zapewne również się zorientowali. Ludzie uświadamiali sobie, że jeśli podejmą niewłaściwą decyzję, zostaną porzuceni i skazani na pewną śmierć. Roisin wrzeszczała na Lorcana, by jak najszybciej wszedł na pokład.

Camlin zatrzymał się, odwrócił ku plaży i zrobił kilka kroków w jej kierunku. Wtedy na pomost wspiął się jeszcze ktoś, kto najwyraźniej chciał, by Conall go ujrzał.

Był to Halion.

Conall dostrzegł go i pobladł.

– Myślałem, że nie żyjesz, Con! – zawołał do niego Halion.

– Ja? Mnie jest trudno zabić! Powinieneś to dobrze wiedzieć.

– Co ty właściwie robisz, Con?

– To, co już dawno powinniśmy zrobić we dwóch! Naprawiam wszystkie niegodziwości naszego ojca i tej morderczej suki! – Wycelował palcem w Roisin. – Pytanie brzmi, Hal, co ty właściwie robisz? Chronisz ją i jej szczeniaka? Zapomniałeś już, że przez nich zginęła nasza matka? Przez nich żyliśmy jak uciekinierzy dłużej, niż sięgam pamięcią! Stań po mojej stronie, bracie! Razem możemy wyrzucić zemstę, a potem rządzić Domhainem! – Uśmiechnął się szeroko i dodał: – Jeśli o mnie chodzi, to dobra zapłata za dzień pracy!

Wyciągnął rękę ku bratu. W jego oczach zalśniła prośba.

Camlin zamarł, czekając na odpowiedź Haliona. Miał wrażenie, że wszyscy robią to samo, nawet wiatr i fale przycichły.

– Złożyłem przysięgę Breninowi i nie złamię jej, Con. Nie zrobię tego ani dla ciebie, ani dla kogokolwiek innego. Ale ty nie musisz nic robić. Po prostu pozwól nam odejść. Odpłyniemy i nigdy już nas nie zobaczysz. Na Elyona, człowieku, to kobieta z dzieckiem!

– Nie ma takiej możliwości, Hal. Jesteś ze mną bądź przeciwko mnie.

– A więc jestem przeciwko tobie – rzekł Halion i wzniósł miecz.

Conall warknął wściekle i szarpnął za wodze. Wrócił na trakt wiodący ku plaży i pomknął w dół, prowadząc swój hufiec.

Za plecami Camlina, niedaleko okrętu, rozległy się krzyki i wrzaski.

Odwrócił się i ujrzał Quinna, otoczonego grupką wojowników, prącego naprzód, ku plaży. Pierwszy miecz Domhainu niósł nieprzytomnego Lorcana, którego przerzucił sobie przez ramię. Roisin wrzeszczała, próbowała przeskoczyć przez burtę, ale ktoś ją zatrzymał. Miecze wysuwały się z pochew, ostrza zderzały się ze sobą. Camlin dostrzegł, jak Baird ścina jednego z ludzi Quinna, a potem przypada do kolejnego, a Marrock wskakuje z powrotem na pomost.

Quinn, mając ze sobą czterech czy pięciu ludzi, biegł już ku Conallowi, niosąc chłopaka. Reszta jego stronników, o wiele liczniejsza grupa, usiłowała powstrzymać Marrocka, Bairda i pozostałych.

Camlin napiął łuk i zwolnił strzałę. Któryś z przybocznych Quinna zatoczył się i runął we wzburzone fale. Wypuścił kolejną strzałę i położył następnego.

Wówczas drogę zastąpili im Halion wraz z resztą. Zgrzytnęła stal, strzeliły iskry. Quinn zrzucił Lorcana, złapał za miecz i nóż. Na ramieniu walczącego z nim wojownika pojawiła się otwarta rana. Ich ostrza znów się zwarły, ale stronnik Haliona po chwili osłabł i zatoczył się, jakby był pijany.

Truczna na ostrzu Quinna, pomyślał Camlin.

Quinn przypadł do rannego i cięciem miecza rozpruł mu brzuch.

Camlin zarzucił łuk na ramię i popędził ku walczącym, wyciągając miecz.

Jak w zwolnionym tempie ujrzał Haliona, który zastępuje drogę Quinnowi. Otworzył usta, by krzyknąć i ostrzec wojownika przed zatrutymi ostrzami, ale obaj mężczyźni zwarli się już we wścieklej walce i szcęk oręża zagłuszył wszelkie inne dźwięki. Halion napierał, uderzał i niespodziewanie nóż Quinna wyfrunął z jego dłoni i z cichym stuknięciem wbił się w deski pomostu ledwie krok od ciała Lorcana.

Camlin był coraz bliżej, dwadzieścia kroków, piętnaście... Przeskoczył nad Lorcanem, kątem oka zauważając, że chłopak nadal oddycha. Dziesięć kroków. Halion uniknął ciosu Quinna, przypadł do niego i rąbnął go rękojeścią miecza w usta. Buchnęła krew zmieszana z zębami. Pierwszy miecz Domhainu zatoczył się, zamachał rękami, a wtedy ostrze miecza Haliona wystrzeliło z jego pleców, obryzgując nadbiegającego Camlina krwią. Halion wyszarpnął broń, a Quinn opadł na kolana i runął na

twarz.

Camlin poczuł, jak ulga zalewa mu serce.

– Dalej! Czas odpływać! – zawołał do Haliona.

I wtedy dostrzegł ranę na jego ramieniu.

Rozdział sto czternasty

CYWEN

Cywen zeskoczyła z Tarczy i została niemalże zawleczonej do kolejnej sali przez Alcyona. W pierwszej chwili nie miała pojęcia, co się dzieje, bo dostrzegała jedynie urywane, szybko zmieniające się obrazy. Zauważyła tylko, że sala była ogromna, a na jej środku wznosiło się podwyższenie ze schodami, na którym spoczywał ogromny kocioł. Miała wrażenie, że przedmiot w jakiś sposób pulsuje, otoczony czarną aurą. Wokół niego widziała ludzi i olbrzymy, zwartych w bezlitosnej, krwawej walce, opadające ciosy, tryskającą krew, ale szybko doszła do wniosku, że to nie wszystko, że w sali jest coś jeszcze. Po posadzce wiły się ogromne kształty, szaroskóre niczym trupy, ale pokryte łuską. Naraz jeden z nich uniósł się i pokazał ogromny łeb z płaskim pyskiem, niewielkie oczka i język, wysuwający się miarowo spomiędzy warg. A potem kły, ogromne, długie i zakrzywione.

Pojawiły się żmije.

Na oczach Cywen, która przyglądała się scenie z mieszaniną fascynacji i odrazy, potwór runął naprzód, rozchylił szczęki i po prostu pochłoniął głowę wraz z ramionami najbliższego jeźdźca. Napiął mięśnie, wyrwał mężczyznę z siodła i cisnął na ziemię, a potem jego ciało zafalowało, gdy zaczął go pożerać. Cywen zrobiło się niedobrze i zwymiotowała.

Żmije były wszędzie. Wijąc się, nadciągały z każdego zakamarka sali, a trzy spośród nich opadły wierzchowca Nathaira. Draig zdołał przygnieść jednego pazurzastą łapą, a potem kłapnął szczęką i wyrwał ochłap mięsa z jego ciała, ale w tejże chwili zaatakowały go dwa inne. Jeden wraził kły w udo tylnej łapy bestii, a drugi oplótł przednią i sięgnął ku szyi draiga, próbując się wokół niej opleść. Nathair rąbał go mieczem,

wycinając czerwone ślady na łusce potwora, lecz ten zdołał otoczyć splotami kark draiga i zacisnął mięśnie, ściągając szyję i łapę draiga ze sobą. Wierzchowiec zaryczał i runął na ziemię. Siedzący na jego grzbiecie Nathair zamachał rozpaczliwie rękami.

Żmij uniósł łeb, gotowy do uderzenia, ale naraz spod ziemi wyrósł Calidus i zamierzył się trzymanym oburącz mieczem. Niemalże odcięty łeb węża zwisał na skrawku skóry, a jego ciało z łoskotem osunęło się na ziemię. Ucisk wokół szyi i łapy draiga osłabł. Wierzchowiec podniósł się i obrócił łeb ku trzeciemu żmijowi, wgrzyzionemu w jego tylną nogę. Pochwyił go szczękami i poderwał, a Nathair wespół z Calidusem zaczęli go wściekle rąbać, aż niemalże przecięli go na pół. Draig ruszył naprzód, wlokąc za sobą odrąbany łeb żmija, wciąż wpity w jego udo, zostawiający za sobą czerwony ślad.

Cywen wpatrywała się jak oczarowana w krwawe sceny, aż nagle runęła w sam środek walk, pociągnięta przez Alcyona, który zrobił unik przed opadającym łbem żmija. Zdołał odzyskać równowagę i wbił topór w czaszkę potwora. Długie cielsko zadygotało, wstrząsane przedśmiertnymi spazmami, i osunęło się na ziemię, a Alcyon uwolnił ostrze.

Cywen z trudem odzyskała równowagę, ale kątem oka dostrzegła gwałtowny ruch. Odruchowo przypadła do ziemi, a ogromne szczęki żmija zatrzęsły się w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się jej głowa. Potwór skoczył ku niej gwałtownym wyrzutem splotów i zderzył się z nią z taką siłą, że dziewczyna wystrzeliła w powietrze. Zatrzymała ją lina – szarpnięta Cywen z łoskotem spadła na ziemię, a sekundę później oplótł ją żmij, przyciskając jej ramiona do boków. Potem zwarł mięśnie, wyciskając resztki powietrza z jej płuc. Usłyszała, jak trzeszcza jej kości, a potem uświadomiła sobie, że bestia uniosła ją nad ziemię. Ujrzała, jak rozchyła paszczę i odsłania rzędy długich zakrzywionych kłów, a dalej szeregi innych, mniejszych.

Naraz gdzieś z tyłu rozległo się dzikie rżenie. Cywen dostrzegła końskie kopyta, opadające na czaszkę węża. Ten potrząsnął głową niczym pięściarz na arenie, dochodzący do siebie po szczególnie mocnym ciosie, a potem zauważył Tarczę, który stał obok dziewczyny i rozchyłał nozdrza.

Uciekaj, koniku, uciekaj stąd!, pomyślała Cywen. Najszybciej jak możesz,

najdalej jak zdołasz!

Czarne plamki migotały przed jej oczami. Ujrzała, jak żmij cofa łeb, szykując się do kolejnego ataku, tym razem na Tarczę, ale wtedy czaszka bestii eksplodowała, rozpruta ciosem topora. Dziewczynę obryzgała krew, masa mózgowa i odłamki kości. Osunęła się na kolana, łapczywie wciągając hausty powietrza. Jej gardło płonęło, jakby stało w ogniu.

Alcyon podniósł ją i obejrzał, marszcząc brwi.

– Możesz mówić? – spytał.

– Przetnij tę cholerną linę! – wychrypiała.

– Nic ci nie jest! – Olbrzym uśmiechnął się i poklepał ją ogromną dłonią, niemalże przewracając. – Masz dzielnego konia.

Nathair wraz z Jehar zyskiwali powoli przewagę i parli w kierunku podwyższenia, wokół którego zgromadziło się kilka olbrzymów i stado syczących żmijów, gotowych do ostatniej, desperackiej obrony.

Cywen z zaskoczeniem zauważyła, że olbrzymy i żmije walczyli wspólnie. Stali ciasnym kręgiem wokół podwyższenia, stykając się ciałami, broń lśniła obok długich kłów. Zupełnie jakby byli sojusznikami, braćmi, towarzyszami broni. Cóż takiego kryło się w tym kotle, że wszyscy byli gotowi na śmierć, by go obronić?

Z rykiem, od którego zatrzęsała się ziemia, draig runął ku stopniom prowadzącym ku kotłowi. Jednego olbrzyma wyrzucił w powietrze, najbliższemu żmijowi przeorał tors pazurami, a szczęki zacisnął na ciele kolejnego olbrzyma. Nathair ciął mieczem zarówno w jednego, jak i drugiego. Za nim jechali Calidus i Sumur, których broń opadała i wznosiła się, wyszarpując krwawe strugi z ciał przeciwników, a dalej podążały setki Jehar. Żmije i olbrzymy skoczyły im na spotkanie, ciałami roztrącając jeźdźców i konie, wznosząc młoty i topory w desperackiej obronie swojego największego skarbu.

Atakującym towarzyszył Uthas wraz ze swym przybocznym Salachem. Niespodziewanie dostrzegł go któryś z obrońców i rzucił się na niego z twarzą wykrzywioną skrajną furią. Pochwycił go, wpił dłonie w jego gardło i razem stoczyli się po stopniach podwyższenia.

Wciąż zwarci w walce, przeturlali się po podłodze, aż wyrósł nad nimi Salach, wznosząc topór. Zawahał się na moment, gdyż obaj walczący byli nazbyt blisko siebie, ale obrócił topór i rąbnął drzewcem. Przeciwnik

Uthasa zaległ nieruchomo. Uthas dźwignął się na nogi, korzystając z pomocy Salacha.

– Przykro mi, Morc – rzekł.

Cywen uświadomiła sobie, że w wielkiej sali nagle zapadła cisza. Bitwa dobiegła końca.

Jehar szli wśród poległych, tu i ówdzie uciszając ciosem drgający ogon żmija. Niekiedy przystawali, by ująć dłoń rannego towarzysza bądź ostrzem zakończyć jego ból i posłać w podróż po moście mieczy. Nathair zsiadł z draiga i stanął przed kotłem.

Zwalisty, nieforemny artefakt był niemalże tak wysoki jak on i bez wątpienia emanował złą mocą. Nathair wpatrywał się w niego z ekstazą. Po chwili u jego boku stanął Calidus, który wyciągnął w stronę kotła rękę, powoli, niepewnie. Gdy palce królewskiego doradcy wreszcie zetknęły się z czarnym metalem, przeszył go spazm. Stał przez moment nieruchomo, z pochyloną głową i dłonią wspartą o bok kotła, po czym nagle odwrócił się, na powrót pełen energii.

– Nie będziemy zwlekać. Przeprowadzimy tę ceremonię tu i teraz.

– Czy to aby na pewno mądra decyzja? Przecież nie jesteśmy tu jeszcze bezpieczni! – rzekł Nathair.

– Sam kocioł jest bronią, a więc wykorzystajmy go! Możemy w każdej chwili otworzyć bramę do Zaświatu.

– Nie od razu. Potrzeba innych Skarbów, by było to możliwe – rzekł Uthas.

– Mamy topór z gwiazdnego kamienia – powiedział Calidus i wskazał Alcyona. – Brama będzie wąska, ale powinna wystarczyć.

– Brama, przez którą przejdą Ben-Elim? – spytał Nathair, który naraz stracił pewność siebie.

– Tak, Ben-Elim. Z zastępami aniołów u swego boku bez trudu zmiażdżysz Czarne Słońce. Możesz być pewien zwycięstwa.

Nathair wpatrywał się w niego przez moment, a potem skinął lekko głową.

– Dobrze. Potrzeba mi krwi z wciąż bijącego serca. – Calidus rozejrzył się po sali.

Alcyon zrobił kilka kroków i stanął między Calidusem a Cywen. Dziewczyna ujrzała, że olbrzym sięga do pasa, dobywa noża i przecina

łączącą ich linię. Ich spojrzenia na moment się spotkały.

Ktoś jęknął głucho. Był to olbrzym, który walczył z Uthasem.

– Ten się nada – stwierdził Calidus. – Przyprawdźcie go do mnie.

– Jego zostaw w spokoju – rzekł Uthas.

– Potrzeba mi ofiary, i to teraz. Możesz być to ty bądź twój przyboczny.

Calidus zrobił krok ku Uthasowi, który przez moment stał bez ruchu, po czym Cywen ujrzała, jak jego sprzeciw się kruszy. Wraz z Salachem dźwignęli półprzytomnego olbrzyma i wnieśli go po schodach.

Cywen wyrzała zza ogromnego ciała Alcyona, nie mogąc opanować ciekawości. W międzyczasie Calidus przeciął ofierze gardło.

– Co ty wyrabiasz?! – wykrzyknął Nathair.

– Wrzucić go do środka! – zakomenderował Calidus, ignorując króla.

Uthas oraz Salach unieśli ciało wciąż krwawiącego olbrzyma i cisnęli je do kotła.

Wtedy rozbrzmiały słowa Calidusa, głośnie i chrapliwe:

– *Fuil de beatha gen oscail an bealach, dorcha aingeal eiri feoil!*

Zapadła cisza, cięższa od góry nad ich głowami. Calidus powtórzył słowa głośnie, dobitnie.

Cywen poczuła u stóp wibracje, które przeniosły się na całe jej ciało, a jednocześnie rozległ się niski pomruk. Narastało ciśnienie, które zatykało jej uszy. Naraz odkryła, że nie jest w stanie zaczerpnąć oddechu, zupełnie jakby powietrze zostało wysane z sali. Kocioł utracił ostrość, jego kontury rozmyły się. Otoczyła go naraz ciemność, jakby z jego wnętrza wylewała się noc.

– Gromadźcie się przed tymi, którzy zostali zrodzeni jako pierwsi! – wykrzyknął Calidus. Na tle niskiego pomruku, pulsującego w podziemnej sali, jego głos wydawał się niemalże piskliwy. – Witajcie w świecie śmiertelników! – zawołał i skinął na Jehar, by podeszli bliżej.

Setki wojowników ocalałych z dwóch tysięcy, którzy tego dnia stanęli pod bramami Murias, niepewnie zbliżyły się do podwyższenia. Wśród nich był Sumur, który wpatrywał się w kocioł z zachwytem na twarzy.

Nad krawędzią naczyńia zgęstniała ciemność, która naraz zaczęła się przelewać niczym gęsta, gotująca się ciecz, ale zamiast spłynąć na ziemię, uniosła się ku górze i utworzyła ciemną, falującą, kotłującą się chmurę, w której migotały błyskawice.

– Ukłońcie się przed Ben-Elim! – oznajmił Calidus.

Sumur padł na kolana, a po nim zrobiła to reszta Jehar.

Z chmury wystrzeliła uformowana z mroku błyskawica, która przebiła Sumura. Wojownik rozrzucił ramiona, a jego ciało zadygotało, przeszyte konwulsjami. Kolejne błyskawice, których były setki, jednocześnie przeszyły ciała pozostałych Jehar. Po chwili wszyscy co do jednego wili się, trafieni mrocznymi pociskami. Z ich ust wyrwały się przeraźliwe wrzaski.

Cywen była przerażona. Paralizująca, pochłaniająca wszelkie emocje zgroza otępiła jej umysł i przepełniła żyły lodem. Tarcza rżał i tłukł kopytami o ziemię, kładąc płasko uszy po sobie.

Naraz dziewczyna kątem oka ujrzała jakiś ruch wysoko w górze. Zamrugwała.

Czy to był ptak?

W istocie, w ciemnościach nad jej głową przemykał ciemny, łopoczący skrzydłami kształt. Nie, dwa kształty! Zatoczyły łuk i runęły na Uthasa z wyciągniętym szponami.

Olbrzym nie spodziewał się ataku. Jeden z ptaków wpił się w jego twarz i drapał ją pazurami, a drugi pochwycił pazurami szyję i rąbał głowę dziobem. Uthas zamachał dziko ramionami, a z jego ust wyrwał się okrzyk przerażenia i bólu. Oba ptaki po chwili wzbiły się w powietrze, poza zasięg ramion olbrzyma, i zatoczyły krąg, szukając kolejnej okazji, by zaatakować.

Wówczas Cywen usłyszała, jak jeden z nich powtarza:

– Zdrajca! Zdrajca!

Rozdział sto piętnasty

MAQUIN

Maquin upuścił broń na ziemię. Na widowni przez moment panowała cisza, aż nagle buchnęły dzikie wrzaski i okrzyki niezadowolenia. Stary Gadrai usiadł w błocie obok Orgulla.

– Wybacz – rzekł. – Nie dam rady.

Kilku Vin Thalun z wielkim Emadem na czele biegło już ku niemu.

– Wstawaj! – krzyczał Emad. – Załatwcie go!

Maquin, wciąż siedząc, wpatrywał się w nich z niechęcią.

Emad kopnął go, lecz Maquin odtoczył się w bok, zerwał, uniknął haka w szczękę, a potem odtrącił drugiego kopniaka.

– Wykończcie go! – krzyczał Emad.

Tłumy ryczały ogłuszająco. Maquin zerknął w prawo i w lewo, ujrzał kolejnych Vin Thalun, którzy zmierzali ku niemu. Emad wykorzystał ten moment nieuwagi i powalił Gadrai ciosem w pierś. Ten zwałił się na ziemię, próbując złapać oddech. Ogromny strażnik stanął nad nim z nożem w garści.

– Ostatnia szansa – oznajmił. – W jamie żyjesz bądź giniesz. Nie ma innej opcji.

– Pies ci mordę lizał – odparł Maquin.

I wtedy Emad eksplodował.

Ostrze topora, które spadło nań z nienacka, rozpruło jego ciało od ramienia aż po brzuch, obryzgując Maquina krwią i kawałkami kości. Trup osunął się powoli na ziemię, a stojący za nim Orgull wyszarpnął broń z rany i wyciągnął dłoń do swego towarzysza. Ten złapał ją i powstał, podnosząc nóż Emada. Strażnicy cofali się przed nimi, choć z trybun wybiegali już kolejni. Gdzieś w zamieszaniu stary wojownik zauważył

wykrzywioną furią twarz Lykosa.

– Ja też mam już ochotę, by położyć temu wszystkiemu kres – oznajmił Maquin i uśmiechnął się do Orgulla.

– Zobaczmy więc, ilu z nich uda nam się zabrać na drugą stronę mostu – odparł Orgull i wzniósł topór.

Stali zwrócenii do siebie plecami, gotowi na wszystko. Maquin pochwycił dłoń pierwszego napastnika, wykręcił ją, dwukrotnie przebił nożem skórzany kaftan oraz ciało i odepchnął konającego. Zdążył jeszcze wyłuskać miecz z jego słabnącej dłoni i z warknięciem zwrócił się ku kolejnemu Vin Thalun, który przesłonił mu świat. Czuł, że Orgull również rzucił się do walki. Usłyszał świst jego topora, ohydne młaśnięcie, z jakim ostrze przerąbywało się przez mięśnie i kości, a po nich urwany wrzask.

Czas niespodziewanie zamienił się w sekwencję pojedynczych momentów – blok, pchnięcie, rozciągnięte mięśnie, gorący oddech na twarzy. Maquin spodziewał się, że każda kolejna chwila może być jego ostatnią.

Niespodziewanie do jego świadomości przeniknął nowy odgłos – przybierający na sile, otaczający go zewsząd szum, przywodzący na myśl szum morza, gdy jeszcze tyrał jako niewolnik za wiosłem. Z wrzawy wyłoniły się okrzyki, tym razem nie zachęcające do rozlewu krwi, ale pełne strachu, chaotyczne. Potem przez zgiełk przebił się ryk rogów, szalony, dziki, niemający nic wspólnego ze świętami czy tryumfem.

A następnie szczęk oręża.

Walka! Gdzieś toczy się walka! – pomyślał.

Nagle uświadomił sobie, że Vin Thalun przestali ich atakować, a zamiast tego pędzą w stronę skraju areny. Na jego oczach z trybun wyleciała ciężka ławka i przygniotła dwóch spośród piratów do ziemi. Wszędzie dookoła trwało zamieszanie – na trybunach toczyły się wściekłe walki, a niżej mężczyźni w ciemnych płaszczach z białymi orłami na napierśnikach przeskakowali przez bariery i rzucali się na Vin Thalun.

Przybyła orla straż!, pomyślał Maquin. A przynajmniej jej część!

Vin Thalun jednakże tym razem nie byli nieprzygotowani – z tuneli prowadzących na arenę wybiegali coraz to nowi piraci, odrzucając po drodze płaszcze.

– Tędy! – krzyknął mu Orgull do ucha i pociągnął go za sobą.

Olbrzymi wojownik utykał i przyciskał ramię do talii, jakby próbował zatamować krwotok z rany. Był zbryzgany krwią od stóp do głów, częściowo własną.

Dotarli do klatek, z których inni gladiatorzy obserwowali przebieg starcia na arenie. Orgull wzniosł topór i zamachnął się nim. Ostrze wbiło się w gruby łańcuch i rozpruło go, wzniecając snop iskier. Drzwi stanęły otworem. Na progu pojawił się Javed.

– A moje złoto? – zapytał.

– Lepiej samemu wywalczyć sobie wolność, niż pozwolić, by twój pan cisnął ci ją jak ochłap psu – oznajmił Maquin i objął Orgulla ramieniem, by pomóc mu iść.

Javed uśmiechnął się szeroko i wybiegł w ślad za nimi. Dołączyło doń paru innych.

Maquin rozejrzał się, ale wszędzie dookoła widział walczących. Dostrzegł Lykosa i Fidele, otoczonych grupką wojowników, którzy wyrąbywali im drogę do wyjścia.

– Drugi raz już takiej szansy nie dostanę! – zawołał i popędził w ślad za nimi.

Przebijał się przez tłum. Rozrąbał kolano jednemu Vin Thalun, innego rąbnął w głowę, trzeciemu wbił nóż pod żebra, odepchnął paru następnych i już biegł wśród ławek. Od eskorty Lykosa dzieliło go dosłownie kilka kroków.

Jako pierwszy dostrzegł go Herak, który odwrócił się ku niemu i płynnym ruchem wyciągnął długi, zakrzywiony nóż. Rozpędzony Maquin usiłował wyhamować w błocie. Przechylił ciało do tyłu i nóż Heraka przeciął powietrze, pozostawiając jedynie czerwoną rysę na piersi napastnika.

Hamujący Maquin uderzył Vin Thalun piętami. Wpadli na siebie, przetoczyli się, Maquin wypuścił miecz, ale zdołał trafić Heraka głową. Usłyszał trzask pękającej chrząstki, lecz w tej samej chwili poczuł twarde kolano wbijające się w jego brzuch. Kątem oka zauważył innych gladiatorów, którzy rzucali się do walki z przybocznymi Lykosa.

Nagły atak bólu przypomniał mu o Heraku, który zacisnął zęby na jego ramieniu. Zaklął wściekle i napał ramieniem prosto w usta Heraka, zmuszając go do rozchylenia ust. Parł do chwili, gdy mężczyzna zaczął się dławić, a potem błyskawicznie przetoczył się, zerwał, złapał Vin Thalun

za włosy i przeciągnął mu nożem po gardle.

Podniósł się sprężysto. Nieopodal Javed kopnięciem w kostkę przewrócił jakiegoś Vin Thalun i przebił go mieczem. Maquin doskoczył do Orgulla, który walczył z innym piratem, i pchnął nożem w plecy wroga. Zdyszany Orgull podziękował mu skinieniem.

Potem stary Gadrai dostrzegł Lykosa, Deinona oraz Fidele, która siedziała pokornie za nimi, złożonywszy dłonie na kolanach. Nie zdążył się jej przyjrzeć, gdyż Lykos natarł na niego z furją. Uzbrojony w nóż Maquin z trudem odbijał błyskawiczne cięcia krótkiego miecza i cofał się, nie mogąc wytrzymać tej wściekłej nawałnicy ciosów. Mimo to dostrzegł, że pirat przez cały czas zaciska na czymś drugą dłoń. Obok niego przemknął Deinon. Maquin instynktownie wyczuł, że mężczyzna zamierza zaatakować Orgulla.

Zebrał siły i sam runął do ataku, skupiając na stojącym przed nim człowieku gniew i upokorzenie z ostatnich kilku miesięcy. Zdołał zatrzymać pirata, a nawet zmusił go do cofnięcia się. Odskoczył, zaryzykował spojrzenie w bok i ujrzał, jak jego przyjaciel potyka się o ławkę i pada w dół. Deinon skoczył w ślad za nim, ale wtedy znikąd pojawił się Javed, który napadł na pirata. Obaj przetoczyli się między ławkami.

Lykos przeszedł do kontrataku. Maquin unikał, ciął i znów blokował. Król piratów był zabójczo szybki i przechodził płynnie z jednego natarcia w drugie. Jedno z ud Maquina eksplodowało bólem, a potem przeciwne ramię. Lykos coraz łatwiej znajdował luki w obronie starego Gadrai.

Już wolę walczyć z olbrzymem niż z kimś tak szybkim, przeszło Maquinowi przez myśl. Nie mogę mu oddać przestrzeni! Wtedy będzie już po mnie!

Gadrai rzucił się naprzód, przebił się przez gardę Lykosa, ciął go po żebrach, przykucnął i rąbnął go pięścią w kolano. Pirat na moment stracił równowagę, a wówczas Maquin pchnął go w gardło.

Król Vin Thalun w ostatniej chwili odbił cios gladiatora, ale stary wojownik zdołał pochwycić go za ramię trzymające miecz. Lykos odruchowo złapał rękę przeciwnika, ale wówczas przedmiot, na którym zaciskał dłoń, spadł na ziemię i został z chrzęstem rozgnieciony.

Kilka uderzeń serca później Fidele rzuciła się na nich z twarzą

wykrzywioną bezgraniczną furia.

Maquin drgnął, przekonany, że królowa wzięła sobie jego na cel, ale ta z dzikim wrzaskiem wpadła na Lykosa.

A ja sądziłem, że to miał być dzień jej zaślubin! – przemknęło Maquinowi przez myśl.

Całą trójką zwalili się na ziemię, wypuszczając broń. Fidele darła paznokciami twarz Lykosa, pozostawiając krwawe bruzdy na jego policzkach.

– Już nie masz nade mną władzy! – parsknęła.

Tyle w kwestii szczęśliwego małżeństwa, pomyślał Maquin.

Maquin sięgnął po upuszczoną broń, ale Fidele zdążyła ją podnieść i dźgnąć Lykosa w plecy, tuż pod żebrami. Król piratów, jak nakazywała ślubna tradycja, miał na sobie jedynie jedwabną koszulę i nóż wszedł w jego ciało aż po rękojeść. Lykos wrzasnął niczym ranione zwierzę i opadł na jedno kolano.

Maquin złapał Fidele i odciągnął ją. Król piratów próbował się podnieść, Deinon stał nad nieruchomym Javedem, a Orgull odzyskiwał świadomość między ławkami. Wówczas Deinon przestąpił nad ciałem Javeda i wbił miecz w pierś Orgulla.

Z ust Maquina wyrwał się zwierzęcy ryk. Wskoczył, zderzył się z Deinonem i przebił jego ciało mieczem. Potem przypadł do przyjaciela, który wciąż oddychał, choć z ust sączyła mu się krew zmieszana z pianą. Jego pierś unosiła się i szybko opadała, a oddech był chrapliwy.

Maquin utulił jego głowę.

– Wybacz mi, bracie. Wybacz! Byłem zbyt powolny!

Jego świat rozmyły łyzy, które pomknęły po policzkach i w dół nosa. Orgull wpatrywał się w niego. Usta wojownika drgnęły, ale wydobył się z nich jedynie bulgoczący syk. Sięgnął po dłoń Maquina i ścisnął ją, a potem odetchnął po raz ostatni.

Czas rozplynął się, przestał mieć znaczenie. Nie liczyło się, czy mijają minuty czy też całe dni. Maquin siedział, ściskając dłoń przyjaciela, aż poczuł czyjąś rękę na swoim ramieniu. Świat odzyskał ostrość. Stary wojownik uniósł głowę i ujrzał Fidele.

Wokół nich nadal trwała bitwa, choć przeniosła się dalej. Po Lykosie pozostał jedynie krwawy ślad na ziemi, ale jego Vin Thalun byli wszędzie,

walcząc z tłumem oraz z orlimi gwardzistami.

– Gdzie on jest? – wydyszała królowa ze zgrozą i obrzydzeniem. – On nadal żyje!

– Nie da się tego wykluczyć – mruknął Maquin, ale zrozumiał, że Fidele nie ma najmniejszej ochoty ponownie spotkać się z Lykosem. – Zajmę się tobą.

Ujął topór Orgulla i ułożył go na piersi przyjaciela, zaciskając jego dłonie na trzonku.

– Zabierz go ze sobą w drodze przez most mieczy, bracie. – powiedział. – I kroczyć dumnie. Zasłużyłeś sobie na to.

Potem złapał Fidele za rękę i pociągnął ją za sobą, porwany przez tłum uciekający ku łąkom. Dopiero gdy znaleźli się za areną, pojął ogrom dokonującej się rebelii. Zmagania toczyły się jak okiem sięgnąć i znalezienie jakiegokolwiek bezpiecznego miejsca graniczyło teraz z cudem. Z bram Jerolin wylewali się Vin Thalun, kolejni przybywali z osady nad jeziorem, jeszcze inni płynęli na łodziach z okrętów.

Maquin zatrzymał się i wciągnął głęboko powietrze w płuca.

Wolność. Jestem już wolny. Wyrwałem się.

Zakręciło mu się w głowie, ale uśmiechnął się szeroko. Odwrócił się i poprowadził Fidele ku lasom na skraju łąk.

Rozdział sto szesnasty

CAMLIN

Camlin spojrział na Haliona, a potem na czerwoną ranę na jego ramieniu. Otaczała ich garstka wojowników, którym Rath powierzył zadanie eskortowania Roisin i Lorcana.

Ostrze Quinna było zatrute, pomyślał Camlin. Sam widziałem, co trucizna zrobiła z człowiekiem, z którym walczył. W najlepszym razie Halion lada moment straci przytomność. W najgorszym umrze.

– Wracamy na okręt! – zawołał.

Lorcan nadal leżał nieprzytomny tam, gdzie upuścił go Quinn, a za nim walczyli ostatni ludzie Quinna, oddzielając Camlina od towarzyszy. Zauważył Bairda i Marrocka, usłyszał też wołanie swego przyjaciela.

Tętent kopyt przybierał na sile. Conall i jego ludzie dotarli już na plażę i gnali ku nim. Spod końskich kopyt strzelał piach.

– Łap Lorcana, Cam! – zarządził Halion. – Weź kilku ludzi i przebijcie się na okręt! My zatrzymamy Cona na moment! Damy wam trochę więcej czasu na ucieczkę! – Spojrział przy tych słowach na swoich wojowników. Każdy z nich skinął głową.

– Chyba ci odbiło, jeśli myślisz, że tak po prostu cię zostawię! – oznajmił Camlin, po czym sięgnął do kołczanu i wyciągnął z niego garść strzał. Wbił jedną po drugiej w miękkie drewno desek pomostu.

Ciałem Haliona wstrząsnął dreszcz. Zachwiał się i wsparł na mieczu.

– Ostrze Quinna było zatrute. Nie wiem czym. Może to tylko coś, co tępi refleks na moment, a potem ustępuje. Jeśli zaś nie... – Camlin wzruszył ramionami. – Tak czy owak, nic tu po tobie. Wracaj na okręt.

– Nie będę uciekał przed Conallem! Nigdy nie da mi o tym zapomnieć! – Halion próbował się uśmiechnąć.

Camlin wpatrywał się w niego.

– Muszę spojrzeć mu w oczy – dodał Halion. – To mój brat, a w jego sercu wciąż tkwi dobro.

– Jeśli tak, to zostało dobrze ukryte.

– Muszę spróbować.

Camlin znów wzruszył ramionami.

– Długo czekać nie będziesz.

Conall znajdował się w odległości zaledwie kilkuset kroków. Galopował po plaży, prowadząc za sobą przynajmniej stu wojowników. Halion, powłócząc nogami, dotarł do schodów, które prowadziły na dół. Towarzyszący mu zbrojni utworzyli półkrąg.

Góra dziesięć bądź dwanaście stopni, ale to i tak dobre miejsce, by ich zatrzymać, pomyślał Camlin.

Wyrwał strzałę, nałożył na cięciwę i napiął łuk.

Wystarczy odrąbać głowę, by umarło ciało! – przemknęło mu przez myśl.

Wycelował w pierś Conalla, wstrzymał oddech i zwolnił cięciwę.

W tejże chwili koń wpadł w obniżenie terenu. Strzała przemknęła nad głową jeźdźca i trafiła kogoś innego w gardło. Wojownik, brocząc krwią, runął z siodła.

Cholera!

Conall znajdował się w odległości zaledwie dwustu kroków. Łoskot kopyt jego hufca zagłuszał zarówno szum fal, jak i zgiełk starcia na pomoście. Camlin sięgnął po kolejną strzałę, wykonał ten sam automatyczny rytuał i wycelował grot w pierś młodego wojownika. Wstrzymał oddech i wypuścił strzałę.

Tym razem Conall wjechał na niewielką wydnię i strzała z młaśnięciem wbiła się w ciało konia, który zarżał przeraźliwie, stanął dęba i runął w tył, wzbijając eksplozję piachu.

Może chociaż go przygniótł, pomyślał Camlin.

Sięgnął po następną strzałę i chwilę później zmiotł innego wojownika z siodła, ale pozostali dopadali już schodów prowadzących na pomost, osadzali konie, łapali za miecze i zeskakiwali z siodła. Pierwszy ze śmiałków padł ścięty przez Haliona, który niemalże odrąbał mu głowę, a potem zepchnął kopniakiem na resztę, tłoczącą się u dołu.

Camlin napinał łuk i słał strzałę za strzałą w kotłujący się tłum.

Tłoczą się jak ryby w beczce, pomyślał.

Kątem oka dostrzegł jednak, że Halion się ślania, a wojownicy walczący obok próbują go podtrzymać. Zerknął też na statek i ujrzał, że Marrock nadal desperacko usiłuje się przebić na pokład.

Kolejni ludzie Conalla wdzierali się na schody, próbując przytłoczyć obrońców przewagą liczebną. Ci jednakże rąbali bez litości, co chwila posyłając trupa za trupem na zbrojnych pnących się w górę. Niektórzy z atakujących próbowali doskoczyć do desek z dołu lub wspiąć się po palach podtrzymujących pomost, ale ludzie Haliona przygniatali im dłonie i odrąbywali palce.

Halion pchnął kolejnego wojownika w pierś. Ten runął w dół, a Halion szarpnął, usiłując uwolnić miecz, lecz siły go opuściły. Zatoczył się i runął z pomostu w ślad za zgładzonym przeciwnikiem. Część jego towarzyszy skoczyła w ślad za nim, siekąc jak szaleni. Camlin wciąż puszczał strzałę za strzałą, w końcu zmuszając wojowników Conalla do wycofania się. Ujrzał wówczas Haliona, który nadal stał i wymachiwał trzymanym oburącz mieczem, osłaniany przez kilku przybocznych.

Napastnicy cofnęli się, zbierając odwagę do ostatecznego uderzenia, a wtedy przepchnął się wśród nich Conall.

Do trzech razy sztuka, pomyślał Camlin, po czym napiął łuk i wycelował.

Teraz już mi nie uciekniesz.

Niespodziewanie poczuł mocne uderzenie w lewe ramię. Obrócił się wokół własnej osi, a jego strzała pomknęła ku niebu. Zachwiał się, o mało nie upadł, spojrzał na rękę.

I ujrzał sterczącą z niej strzałę.

Widok ten wyzwolił w nim falę obezwładniającego niemalże bólu, ale zmusił się, by odwrócić głowę i odszukać miejsce, z którego wyleciał grot. Odnalazł wzrokiem postać, zbiegającą po zboczu wzgórza z łukiem w ręku.

Był to Braith.

– Dobrze cię widzieć, Cam, ty zdradziecka łajzo!

– Zawsze wiedziałem, że co jak co, ale strzelać to ty nie potrafisz! – odkrzyknął Camlin.

– Oddaj mi sprawiedliwość, chłopie. Przecież ja ześlizguję się po zboczu!

Camlin złapał kolejną strzałę i próbował naciągnąć łuk, ale w jego ramieniu znów eksplodował ból, a przed oczami zatańczyły mu mroczki. Odrzucił więc łuk i złapał za miecz. Kątem oka widział walkę toczącą się na piasku. Conall wymieniał ciosy z którymś z ludzi Haliona, a on sam ścinał kogoś u dołu schodów.

Braith nadal się ześlizgiwał i był już w połowie zbocza. Camlin gnał ku niemu. Wiedział, że musi dopaść przeciwnika, nim ten znajdzie się na równym terenie i odzyska równowagę. Wszak jego były herszt przez wiele lat nie znalazł sobie równego w walce na miecze w całym Ciemnym Borze, a kiedyś pokonał przecież samego Rhagora, wojewodę Ardanu.

I ja mam teraz z nim walczyć? Ze strzałą w ramieniu? Kiepsko to widzę, pomyślał.

Ich miecze zwały się. Braith napierał bez litości i zasypywał Camlina gradem ciosów, nie zwalniając ani na moment. Były banita zaś cofał się, zasłaniał, unikał. Robił wszystko, co mógł i sięgał po każdą wyuczoną sztuczkę, by przeżyć choć kilka sekund dłużej, ale wystarczył gwałtowniejszy ruch, by przeszyte strzałą ramię znów wybuchło bólem. Próbował napierać i przebić się przez gardę Braitha, ale ten tylko uśmiechnął się – z wyższością, jakby rozumiał jego desperację – a potem przypadł bliżej, złapał drzewce strzały i szarpnął za nie.

Camlin wrzasnął i o mało nie zemdlał z bólu. Wypuścił miecz, który z brzękiem spadł na ziemię. Braith pchnął go ze wzdrganiem. Ranny wojownik padł na deski, tuż obok nieprzytomnego Lorcana. Jęknął, zamrugał i spróbował się podnieść.

Wtedy ujrzał coś, co tkwiło między nim a chłopakiem. Nóż wbity w deski.

Zatruty nóż Quinna.

– Wstawaj, Cam. Skoro już przyszło ci umierać, nie płaszcz się na dupie, ale zgiń na stojąco!

Camlin siłą woli zacisnął dłoń na rękojeści noża, wyrwał go z desek pomostu i cisnął nim w Braitha, celując w serce.

Banita był szybki. Odruchowo zasłonił się mieczem, a Camlin usłyszał brzęk odbitego noża.

Czyli już po wszystkim, pomyślał.

Zacisnął na moment powieki, spróbował się dźwignąć, ale zdołał

jedynie uklęknąć na jedno kolano.

Braith szedł ku niemu. Camlin uniósł głowę i nagle przekonał się, że jednak trafił. Nóż sterczał z ramienia herszta.

– Trzeba czegoś więcej, by mnie zatrzymać! – oznajmił mężczyzna.

Złapał za rękojeść noża, wyszarpnął go z rany i cisnął do morza, a potem wycelował mieczem w Camlina.

– Masz coś do powiedzenia przed śmiercią? – spytał.

– Zgnij w piekle.

– Powiedziałem ci, żebyś trzymał ze mną, co nie, Cam?

– Tak. Powiedziałeś mi też wiele innych rzeczy, z których większość okazała się kłamstwem.

Braith zamarł. Jego ciałem wstrząsnął spazm.

Już go bierze, pomyślał Camlin. Szybciej niż Haliona. Może dlatego, że rana była o wiele głębsza. Halion został jedynie draśnięty! Podniósł się i cofnął o krok.

– Kiepsko się czujemy, co? – spytał.

– Co? – Braith zamrugnął i potrząsnął głową. W jego oczach pojawiła się mgła.

Camlin skoczył naprzód i poderwał swój miecz. Braith zamachnął się, ale chybił haniebnie. Camlin obrócił się, ciął, lecz herszt banitów najwyraźniej odzyskiwał już panowanie nad sobą. Mgła z oczu ustąpiła i znów napierał, spychając Camlina w kierunku schodów. Górował nad nim jako szermierz nawet wtedy, gdy musiał się zmagać z trucizną w swej krwi.

Przypadli do siebie. Ostrze Braitha pozostawiło krwawą ranę na piersi Camlina, która zabolęła niczym wypalona ogniem. Były banita odruchowo rąbnął herszta w żołądek i odskoczył, ale wtedy Braith znów się zachwiał, a czubek jego miecza zadrżał. Wpatrywał się w Camlina z oszołomieniem, a ten zrozumiał, że drugiej takiej szansy może już nie dostać. Zamachnął się i ze wszystkich sił rąbnął przeciwnika mieczem w szyję. Bryzgnęła krew. Braith zatoczył się i runął z pomostu w fale.

Przez moment Camlin stał nieruchomo, nie wierząc w to, że udało mu się ujść z życiem.

Potem naszła go nowa myśl. Halion.

Odwrócił się i ujrzał Haliona na kolanach, wspartego na własnym

mieczu.

Jak on w ogóle zachował przytomność? – przemknęło mu przez myśl.

Wojownika otaczał krąg poległych, a za nimi znajdowała się kolejna grupa przeciwników. Na ich czele stał Conall.

– Poddaj się, Hal. Przegrałeś.

Halion powstał z ogromnym trudem. Jego kolana drżały, a chrapliwy oddech słychać było aż na pomoście.

– Wróć do mnie, Con. Bądź tym, kim byłeś kiedyś. Moim bratem. Naprawdę chcesz zostać krzywoprzysięzcą z obsesją na punkcie czego? Siebie samego? Zemsty?

Conall parsknął pogardliwie.

– W przeszłości byłem żalonym człowiekiem. Twoją maskotką, kukiełką. Nie chcę już do tego wracać. Dotarłem wysoko bez twojej pomocy. Ewnis miał rację. To ty mnie zawsze ograniczałeś, Hal. Ty nie pozwalałeś mi się rozwinąć. Dość tego. Teraz zejź mi z drogi! Chcę uciąć sobie pogawędkę z młodym Lorcanem.

– Con, posłuchaj sam siebie. Znam cię i wiem, że stać cię na wiele więcej. Proszę...

Conall zawahał się, wpatrzony w brata. Do jego spojrzenia na moment wkradła się łagodność, ale zamrugał i znów przybrał chłodną minę. Zrobił krok naprzód, na co Halion uniósł miecz, mierząc ostrzem w pierś brata. Conall parsknął śmiechem.

– Jeśli sam nie przejrzysz na oczy, Con, będę musiał cię zatrzymać w inny sposób – rzekł Halion.

– Nie bądź głupcem, Hal. Spójrz na siebie, ledwie stoisz na nogach.

– Wolę zginąć, niż patrzeć na to, jak stajesz się tym, kogo od zawsze obaj nienawidziliśmy.

– Ostrożniej z życzeniami, bracie.

Halion zamachnął się mieczem. Conall sparował uderzenie i odepchnął broń brata na bok. Ostrze wbiło się w piasek, na co Halion wykonał chwiejny krok naprzód i uderzył Conalla w twarz.

Ten zatoczył się i starł krew z ust.

– Drugi raz cię nie ostrzeżę, Hal. Zejź mi z drogi.

Camlin usłyszał za swymi plecami kroki biegnących. Zmierzało ku nim kilku wojowników, których prowadził Marrock.

A więc wszyscy ludzie Quinna zginęli, pomyślał.

Conall również ich zauważył.

Halion cofnął się ku schodom. Wyciągnął za siebie rękę, by złapać się poręczy.

– Póki żyję, nikt z was nie wejdzie po tych schodach! – oznajmił. – Złożyłem przysięgę.

– Oszalałeś! Z drogi! – Conall ruszył ku niemu.

Halion znów zamachnął się mieczem. Jego brat zablokował uderzenie i rąbnął wojownika rękojeścią w twarz. Zamarł, najwyraźniej wstrząśnięty tym, co właśnie zrobił, a Halion osunął się na ziemię i zastygł u dołu schodów.

– Weźcie mi go stąd! – rozkazał Conall.

Wojownicy podbiegli, unieśli ciało Haliona i ułożyli je dalej na piasku. Conall wraz innymi ruszył w górę schodów.

– Pomóż mi – szepnął ktoś.

Camlin odwrócił głowę i ujrzał Lorcana, który próbował się podnieść. Złapał swój łuk i pomógł chłopakowi wstać. Razem, zataczając się, ruszyli po pomoście w kierunku okrętu. Wtedy przypadli do nich Marrock i Baird.

– A co z Halionem? – syknął Marrock.

– Jest na plaży. Conall go ma – odparł Camlin. Ujrzał błysk w oczach Marrocka i dodał: – Już za późno. Nie ocalimy go. Tamtych jest zbyt wielu!

– Zostaw szczeniaka! – ryknął Conall, biegnąc po pomoście.

– Zabieramy się stąd! – warknął Marrock i pchnął Camlina w ramiona Bairda.

Stary wojownik z pokrytą bliznami twarzą pochwycił Camlina i Lorcana i niemalże powlókł ich za sobą w stronę burty.

Deski pomostu zadudniły pod butami ścigających ich ludzi, gdzieś z tyłu rozległ się szczęk oręża. Załoga już wciągała trap. Baird zarzucił sobie wciąż oszołomionego Lorcana na ramię i skoczył na pokład, a w ślad za nim Camlin, którego złapał Vonn.

Ktoś potężnym głosem wykrzykiwał rozkazy, żeglarze odpychali pomost drągami, z pluskiem zanurzali wiosła.

– A Halion?! Gdzie Halion?! – krzyczała Edana, kryjąc twarz w dłoniach.

– Conall go ma! – szepnął Camlin.

Na twarzy Edany pojawiło się przerażenie.

– A Marrock?

Camlin nie odpowiedział. Odwrócił zamiast tego głowę w kierunku oddalającego się pomostu, gdzie nadal trwała zacięta walka. Ktoś z wrzaskiem wpadł do wody.

Marrock ich zatrzymał, pomyślał. Dał nam czas na ucieczkę.

Wtedy ujrzeli Conalla, który szedł po pomoście, wlokąc za sobą poranionego, zmaltretowanego Marrocka.

– Oddajcie mi Lorcana! – ryknął nad falami.

– Nigdy! – wrzasnęła Roisin.

Conall przyciągnął Marrocka bliżej i przyłożył nóż do jego gardła.

– Edano, czy to ty? Dobrze rozpoznaję te twoje śliczne, jasne włosy? Oddaj mi Lorcana. Pohandlujmy!

Edana nie odpowiedziała, ale Camlin widział, jak rozgląda się po okręcie i ocenia szanse.

Może liczyć tylko na mnie i Vonna, może na Bairda i paru innych lojalnych wobec Eremona. Reszta to ludzie Roisin, prawie cztery dziesiątki chłopów, pomyślał.

Wyraz twarzy Edany mówił, że doszła do tego samego wniosku.

– Ostatnia szansa! – ryknął Conall. Jego głos był coraz słabszy. – Marrock to twój jedyny krewny, a ja go lubię! Naprawdę chcesz, bym go zabił?

– Camlin, wbij Conallowi strzałę w oko! – syknęła Edana z furją.

Były banita zerknął na pocisk sterczący mu z ramienia.

– Nie dam rady. Przebito mi ramię – powiedział z żalem.

Przykro mi, Marrocku, pomyślał. Byłeś dla mnie dobrym przyjacielem. Pierwszym, jakiego miałem.

– To ty ponosisz za to winę! – wrzasnął Conall, po czym przeciągnął nożem po gardle Marrocka i wepchnął go w fale.

Edana wrzasnęła.

Rozdział sto siedemnasty

CORBAN

Corban gnał korytarzami Murias. Fech i Craflopotwały skrzydłami w oddali.

Nie natknęli się po drodze na nikogo. Korytarze wydawały się wyludnione.

Każdy, kto mieszka w tej twierdzy, walczy teraz o nią, myślał Corban.

Schody, którymi biegli, prowadziły do komnaty, na środku której migotało pojedyncze palenisko. Fech bez wahania skierował się ku drzwiom po przeciwnej stronie. Byli już prawie przy nich, gdy gdzieś z tyłu rozległy się dzikie krzyki. Innym wyjściem wypadł zastęp olbrzymów, tuzin, może więcej, prowadzony przez białowłosego starca z twarzą pokrytą zaschniętą krwią, który dzierżył młot wojenny, a jego ramiona całkowicie zakrywała gęstwina wytatuowanych cierni.

Białowłosey ujrzał Corbana i jego towarzyszy i wyryczał okrzyk, powtórzony przez resztę, po czym rzucił się do ataku.

Jehar pochwycili za broń. Tukul stanął na ich czele, trzymając miecz w jednej ręce i topór w drugiej.

Kątem oka Corban ujrzał Brinę z długim, cienkim mieczem.

Skąd ona to wzięła?, pomyślał.

Wtedy usłyszał mamrotane przez nią słowa, osobliwe, gardłowe, a ostrze jej miecza nagle stanęło w płomieniach. Uzdrowicielka mrugnęła do niego.

Zbliżające się olbrzymy wpatrywały się w nią z nieufnością.

Wtedy między dwoma grupami stanął Meical.

– Znam cię – zwrócił się do białowłosego. – Zwiesz się Balur Jednooki.

Balur Jednooki, pomyślał Corban. Nawet ja o nim słyszałem.

– Balur Jednooki! – szepnął Dath. – Ten to jest naprawdę sędziwy!

Starszy nawet od Briny!

– Słyszałam to – warknęła staruszka.

Białowłosey zwolnił, zauważywszy Meicala. Zrobił jeszcze kilka niepewnych kroków.

– Spotkaliśmy się dawno temu – stwierdził.

– Tak. W czasach ognia i wody.

– I co tu teraz robisz? Walczysz dla Czarnego Słońca? Czyżbyś Upadł?

– Nie. Dokonałem wyboru. Ciemne Słońce ma więźnia, kogoś dla nas ważnego. Kogoś bliskiego dla Jasnej Gwiazdy. – Meical wskazał Corbana.

I po co on to powiedział?, pomyślał chłopak.

Balur i pozostali spojrzeli na niego badawczo.

– On ma moją siostrę. – Corban usłyszał swój głos. – Chcę mu ją odebrać.

– Nie jesteśmy wrogami – dodał Meical.

– Szybko, szybko, szybko! – zakrakał Fech.

Balur wbił w niego wzrok.

– To Fech? – Potrząsnął głową.

– Tak! Prowadzi nas do kotła! To tam znajdziemy Nathaira! Czarne Słońce!

– A pozostali? – Balur spoglądał podejrzliwie na Jehar. – Właśnie walczyliśmy z ich pobratymcami w wielkiej sali!

– To skomplikowane – odparł Tukul. – I nie mamy czasu na wyjaśnienia. W skrócie historia wygląda tak, że ci, z którymi walczyliście, zostali oszukani.

– Ruszajmy razem! – zaproponował Meical. – Gdybyśmy pragnęli waszej śmierci, już byśmy was zabijali.

Olbrzymy najeżyły się i spochmurniały.

Prawda, choć mógł ująć to innymi słowami, pomyślał Corban.

Balur powoli pokiwał głową.

– Staniemy po waszej stronie, ale wy idźcie przodem – rzekł i się uśmiechnął.

– Zgoda. Prowadź, Fech.

I znów popędzili korytarzami. Niebawem Corban zdał sobie sprawę z tego, że dociera do niego jakiś dźwięk, niski i monotony, choć osobliwy, bo wydawało mu się, że bardziej go wyczuwa, niż słyszy. Ziemia wibrowała pod jego nogami, podobnie jak skalne ściany dookoła. Dźwięk narastał,

przybierał na sile, aż wypełnił cały świat i przytłumił wszystkie zmysły.

– To tu! – odezwał się Fech.

Drzwi prowadzące do kolejnej komnaty były potężne i szerokie, jak wszystko inne w tej podziemnej fortecy. W przejściu mogłoby stanąć obok siebie kilkunastu ludzi.

Minęło kilka uderzeń serca, nim oczy Corbana przystosowały się do warunków panujących w środku. W sali, do której doprowadził go Fech, zalegały głębokie cienie, rozświetlane co chwila eksplozjami żarzącego się światła, które wypalało obrazy w umyśle. Fakty układały się w całość. Najpierw Corban dostrzegł rozrzucone wszędzie ciała ludzi, koni, olbrzymów, a także zmijów, w większości pociętych na kawałki.

Na wielkim podwyższeniu, znajdującym się w centrum pomieszczenia, znajdował się ogromny kocioł, nad którym unosiła się czarna, kłębiąca się chmura. Strzelały z niej błyskawice, które wnikały w ciała ludzi, setek ludzi klęczących na ziemi.

Jehar.

Wojownicy ewidentnie cierpieli. Większość z nich wiła się, jęczała, wyciągała ramiona ku górze. Co więcej, pasma czerni, które wbiły się w ich ciała, wydawały się pulsować i falować niczym wąż, który przełykał jajko, ale szybciej. Corban odniósł wrażenie, że coś przepływa z chmury w ich ciała.

– Nie – syknął Meical.

Corban nie słyszał zbyt wiele, gdyż w tejże chwili dostrzegł dwóch ludzi – srebrnowłosego starca z uniesieniem na twarzy oraz Nathaira, zabójcę swego ojca. Król Tenebralu wpatrywał się w kocioł, ale w jego spojrzeniu malowała się zgroza. Corban zamknął oczy i na moment znów znalazł się w sali biesiadnej Dun Carreg. Znów widział, jak Nathair wbija miecz w serce Thannona.

Obiecałem mu, że go zabiję, pomyślał.

Rozejrzał się i naraz ujrzał kogoś jeszcze.

Cywen!

Jego siostra stała po lewej stronie, między nim samym a klęczącymi Jehar. Obok niej czekał koń, który drapał kopytem kamienną podłogę.

Tarcza! To Tarcza!

Naraz Corban zapomniał o Nathairze, gdyż widok siostry przepełnił

jego serce ogromną nadzieją i jeszcze większym lękiem.

Jesteśmy tak blisko... Tak niebywale blisko! Wielki Ojciec Ojców, nie pozwól nam teraz zawieść!

Poczuł na ramieniu zaciskającą się dłoń matki. Gwenith uśmiechała się, choć po jej policzku płynęły łzy.

– I co teraz? – szepnął Corban do Meicala.

Naraz rozległo się krakanie, a potem tubalne okrzyki. Olbrzym, którego Corban nie zauważył, wymachiwał rękami, opędzając się od Fecha i Crafa.

– To Uthas – warknął Balur.

Corban bez namysłu wskoczył do sali, skręcił w lewo i pognął prosto ku Cywen.

Ktoś biegł obok niego. Odwrócił na moment głowę i ujrzał matkę z determinacją skrzącą w spojrzeniu. Jedną dłoń zacisnęła na drzewcu włóczni, drugą na rękojeści noża. Z jednej strony wyprzedziła ich Burza, a z drugiej Buddai. Oba zwierzęta bezszelestnie mknęły ku Cywen, a Corban skądś wiedział, że inni również podążają za nim. Kątem oka zobaczył Balura, biegnącego w stronę Uthasa.

Olbrzym stojący przed Cywen naraz się odwrócił. Ujrzał napastników, wlewających się do komnaty, otworzył szeroko oczy i wzniósł topór. Czarne ostrza wydawały się lśnić i pulsować jak sam kocioł.

– Balurze! On ma topór z gwiazdowego kamienia! – dobiegło skądś wołanie Meicala.

Olbrzym skręcił i popędził prosto na topornika. Reszta jego oddziału skoczyła za nim.

Topornik ryknął, odepchnął Cywen na bok i zakręcił bronią nad głową. Dziewczyna padła na ziemię, przetoczyła się i poderwała, by znów spojrzeć na olbrzyma. Nie dostrzegła jeszcze Corbana ani swej matki, ale Tarcza zauważył ich oboje. Łomocząc kopytami, podbiegł do chłopaka i wtulił w niego łeb, niemalże przewracając go na ziemię.

– Ale się cieszę, że cię widzę! – Uradowany Corban poklepał ogiera po karku.

– Topór! – wrzeszczał Meical. – To przerwie czar!

Któraś z towarzyszek Balura przypadła do olbrzyma zbrojnego w topór z gwiazdowego kamienia. Ten zadał straszliwy cios znad głowy. Kobieta

zasłoniła się młotem, ale ciemne ostrze przerąbało grube stylisko i opadło na twarz oraz pierś wojowniczkę. Osunęła się bezwładnie na ziemię, a jej przeciwnik uwolnił topór i odwrócił się ku kolejnemu z atakujących.

Był nim Balur.

Olbrzym nachylił się przed kolejnym ciosem topora, który ze świstem przemknął nad jego głową, i rąbnął przeciwnika młotem w brzuch. Ten zgął się wpół, a wówczas Balur poderwał broń, trafiając wojownika prosto w twarz. Cios okazał się tak potężny, że oderwał przeciwnika od ziemi i rzucił do tyłu. Olbrzym spadł prosto na zwłoki żmija, gdzie zaległ bez ruchu.

Balur podbiegł, pochwycił czarny topór i spojrzał na Meicala, który zawołał:

– Uciekaj stąd co sił w nogach! W ten sposób przerwiesz działanie czaru!

Jednookiemu nie trzeba było po dwakroć powtarzać. Skoczył ku wejściu i zniknął wśród tych, którzy próbowali właśnie dostać się do sali. Cywen zaś zerwała się i rzuciła do biegu. Nie ku Corbanowi, ale w stronę olbrzyma, który uległ w walce z Balurem. Uklękła przy jego nieruchomym ciele i przytknęła rękę do szyi.

Szuka pulsu!, przemknęło Corbanowi przez głowę.

Potem przypadli do niej Buddai i Burza. Corban ujrzał, jak siostra zarzuca ramiona na szyję psa i zamiera na widok Burzy. W pierwszym odruchu chciała odskoczyć jak najdalej, ale chwilę później zdała sobie sprawę z tego, na co patrzy. Powoli i ostrożnie wyciągnęła ku wilkownicy rękę. Burza obwąchała ją, przysunęła łeb, by polizać ją po twarzy, a potem szturchnąć. Cywen straciła równowagę, ale zerwała się, rozejrzała i dostrzegła jego oraz matkę.

Rozdział sto osiemnasty

CYWEN

Ja chyba śnię, pomyślała.

Do sali wpadały nowe postacie, zwinne i bezszelestne. Wszelkie odgłosy zakłócało dudnienie bijące od kotła. Na czele przybyszów biegli kobieta oraz młody mężczyzna. Cywen wbiła w nich wzrok i rozpoznała ich natychmiast pomimo zmian, jakie w nich zaszły. Byli starsi, szczuplejsi, a w ich oczach widniała zaciętość.

A także radość.

Mama. I Corban.

Serce jej podskoczyło i nim się zorientowała, pędziła ku nim jak szalona. Wtuliła się w nich, objęła, płakała. Nie padło ani jedno słowo. Całą trójką zawładnęła obezwładniająca, odbierająca dech euforia.

Matka ujęła jej twarz i całowała ją z radością.

– Tak mi przykro! – powtarzała. – Tak mi przykro!

– Zostawiliście mnie! – Oszołomiona Cywen nagle przypomniała sobie chwilę, gdy przebudziła się w Dun Carreg i uświadomiła sobie, że jest samotna i porzucona. Przez jej umysł przemknęły wspomnienia tego, co się z nią działo później. W jej sercu wezbrały świeże emocje. – Zostawiliście mnie! – powtórzyła.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz! – wyjąkała Gwenith. – Powiedziano nam, że zginęłaś.

Corban wpatrywał się w siostrę smutnymi, pełnymi łez oczami.

– Co tu robicie? – zapytała wówczas Cywen.

– Przybyliśmy tu po ciebie, Cy! – odparł Corban.

Gorące łzy znów popłynęły po jej policzkach. Uścisnęła ich oboje mocno, tak mocno, jakby już nigdy nie chciała ich puścić.

– Nie! – Dudniące pulsowanie przeszły przeraźliwy głos.

Cywen uniosła głowę i ujrzała Calidusa, który stał blisko kotła. Oczy miał szeroko otwarte, a jego twarz zniekształciła wściekłość.

Wokół nich zachodziły zmiany. Pulsowanie cichło, a ciemne błyskawice z nie-światła kurczyły się i wnikały z powrotem do wnętrza chmury wznoszącej się nad kotłem. Ta zabulgotała, zakotłowała się, kurcząc i rozrastając, a w jej wnętrzu zamigotały świetlne refleksy. Niespodziewanie eksplodowała z ogłuszającym hukiem. Strzępy ciemnej pary strzeliły na boki, przewracając ludzi na ziemię, a dudnienie ustało, nagle zastąpione głuchą, pustą ciszą. Strach, który Cywen odczuwała jeszcze przed chwilą, nagle powrócił.

Nie miała wątpliwości, że zaraz stanie się coś złego.

– Wynośmy się stąd – powiedziała.

Rozdział sto dziewiętnasty

CORBAN

Corban wpatrywał się w Cywen jeszcze przez chwilę. Emocje przemykały przez jej twarz niczym targane wiatrem chmury, przesłaniające księżyc.

Udało się. Znaleźliśmy cię, myślał.

Wciąż nie mógł w to uwierzyć.

Teraz tylko musimy się jakoś stąd wydostać.

Spojrzał za siebie i ujrzał resztę ich grupy. Najbliżej stał Gar, a za nim Dath, Farrell i Coralen. Gar obrócił się ku Cywen, delikatnie musnął jej policzek i uśmiechnął się łagodnie.

– Pora brać nogi za pas – oznajmił.

– To chyba najlepszy pomysł, jaki dziś usłyszałem – syknął Dath.

– Czy ja śnię? – Zapłakana Cywen uśmiechnęła się szeroko.

Naraz ich uwagę przyciągnęły odgłosy z głębi sali.

– Nie wiem, czy na ucieczkę aby nie jest już za późno – oznajmił Farrell.

Jehar powoli unosili głowy i powstawali, począwszy od tych, którzy leżeli najbliżej kotła. Już na pierwszy rzut oka dawało się w nich wyczuć coś odmiennego. Choć byli nadal tego samego wzrostu i tej samej budowy, ich sylwetki wydawały się przepełnione nową mocą, o wiele większą, niż było to zauważalne gołym okiem.

Jeden z nich odwrócił się ku Corbanowi.

– To Sumur – szepnął Gar.

Jehar przeciągnął się jak kot. Z jego twarzą działo się coś niedobrego – pozostawała w ciągłym ruchu, jakby pod skórą pełzały jakieś owady. Złapał swe odzienie – napierśnik z mocnej skóry, a pod nim kolczugę – i rozdarł je równie łatwo jak człowiek rozszarpuje bochenek chleba.

Inni, którzy podnieśli się po nim, robili to samo. Nieznajomy zwany

Sumurem uśmiechnął się, obmacując swoje ciało, blade, o niemalże przezroczystej skórze i ciemnych, pulsujących żyłach. Później Corban ujrzał jego oczy, czarne, bez źrenic.

Naraz Sumur odrzucił głowę do tyłu i zawył.

Pozostali, a było ich kilka setek, poszli w jego ślady. Corban zacisnął dłonie na uszach, ale mimo to okropny dźwięk niczym para wniknął w jego ciało, zdusił zmysły i zalał go udręką.

Inni Jehar, którzy padli dalej, również zdążyli się już podnieść. Ci wyglądali tak jak poprzednio, choć na ich twarzach malowało się skrajne oszołomienie. Jeden z nich spojrzał na Gara i zmarszczył brwi.

– Garisan? – zapytał.

– Akar? – Gar przyjrzał mu się uważnie.

Jehar wyciągnął miecz i zrobił krok w kierunku Gara.

– Zgaduję, że nadal podążasz za swoim szalonym ojcem idiotą?

– Kto tu jest szalony, Akarze? Kto jest głupi? Spójrz tylko, za kim wyście podążali.

Akar zamarł i spojrzał w stronę kotła. Natychmiast dostrzegł przemianę, jaka zaszła wśród jego braci i sióstr. Pobladał jak ściana.

– Staliście się sługami Czarnego Słońca!

– Nie, to niemożliwe!

– Zjeżdżamy stąd! W tej chwili! – huknął Meical, który z mieczem w dłoni stał i wpatrywał się w istotę, kiedyś będącą Sumurem.

Naraz wielu spośród pobratymców Sumura odwróciło głowy ku Meicalowi. Ruszyli do biegu. W pierwszych chwilach sadzili niezgrabnymi susami, ale z każdym uderzeniem serca nabierali większej wprawy – niczym błyskawicznie uczące się nowo narodzone zwierzęta – aż ich ruchy stały się płynne.

Inni Jehar stanęli im na drodze. Pierwszy, który był naprzeciwko Sumura, wyfrunął, wirując, w powietrze. Przy drugim Sumur zwolnił nieco, poderwał go z ziemi z siłą, która wydawała się przerastać możliwości każdego człowieka, i z ohydny chrzęstem rozerwał na pół. Zalany krwią, odrzucił obie części trupa na boki.

– Oni są nawiedzeni przez demony! – wrzasnął Meical. – To Kadoshim!

Na dźwięk jego słów Jehar otrząsnęli się z szoku, wywołanego straszliwym czynem Sumura. Jak jeden mąż dobyli mieczy i wraz

z Tukulem oraz jego drużyną zwrócili się ku nowemu zagrożeniu.

Corban ujrzał uśmiech na twarzy Tukula.

To bitwa, na którą czekali przez całe życie! – uświadomił sobie.

Oba hufce zderzyły się ze sobą. Kadoshim parli niczym tajfun zniszczenia, a Jehar wirowali w tańcu śmierci. Corban ujrzał Tukula, który wbija jednemu z przeciwników topór w pierś, a potem, w tym samym ataku, przeszywa mu serce mieczem. Demon zachwiał się na moment i zadrzał, ale sekundę później jednym uderzeniem posłał Tukula w powietrze. Corban z szeroko otwartymi ustami patrzył, jak istota wrywa sobie miecz z ciała i odrzuca go od siebie.

Oni nie mogą umrzeć!

Dziki ryk poniósł się echem po sali, gdy draig z legend wskoczył między walczących.

Nie wygramy tej bitwy! Musimy uciekać!, przemknęło Corbanowi przez myśl.

Obrócił się i spojrzał na matkę, Cywen oraz przyjaciół.

– W nogi! – zawołał.

Wtedy coś wpadło na nich i rozrzuciło ich na wszystkie strony.

Corban przetoczył się po ziemi i zerwał na równe nogi. Roztrącił ich jeden z Kadoshim, ścigany przez kilku Jehar, który rąbali i kłuli bez litości. Odniósł kilkanaście ran, ale nawet cieknąca z nich krew wydawał się inna od ludzkiej – była ciemna i gęsta, jakby częściowo zakrzepła. Kadoshim był rozwścieczony i szalał, próbując pochwycić któregokolwiek ze zwinnych, nieuchwytnych przeciwników. Uniósł głowę, zaryczał i zamachnął się pięściami, posyłając jednego z Jehar na ziemię. Wtedy w jego piersi utkwiała strzała i demon się zatoczył.

Dath!

Chłopak stał kilka kroków za Corbanem. Napiął łuk i posłał kolejną strzałę, która trafiła nawiedzonego Jehar prosto w gardło. Ten złapał za drzewce i wyszarpnął je z rany.

Wtedy do ataku przystąpili Farrell i Coralen. Farrell rąbnął młotem w kolano przeciwnika, a Coralen przemknęła za jego plecy i wbiła mu kły wilkuna pod łopatkę. To rozjuszyło Kadoshim jeszcze bardziej. W jego ustach pojawiła się piana.

Naraz jak spod ziemi wyrósł Gar, a obok niego Akar, tworzący teraz

zgrany duet. Corban również pochwycił za miecz, naciągnął rękawicę z kłami wilkuna i rzucił się do ataku. Kątem oka ujrzał białą błyskawicę. Burza skoczyła na Kadoshim, z rozpędu uderzyła go w pierś, zacisnęła szczęki na jego głowie. Obaj zwalili się na ziemię. Istota wiła się, szalała, jej mięśnie przeszywały spazmy, ale Burza nie puszczała. Opętany Jehar wbił dłonie w jej futro, głęboko, aż wokół każdego palca pojawiły się plamki krwi. Wilkunica zaskomlała, ale nadal zaciskała paszczę.

Buddai również wbił kły w kolano istoty. Corban ujrzał, jak Kadoshim napina mięśnie i naraz przypomniał sobie człowieka rozdartego na pół. Z wrzaskiem przypadł do opętanego, ciął go po brzuchu, a potem po udzie. Burza targnęła łbem. Rozległ się odgłos ohydneho darcia i naraz wilkunica odskoczyła w bok, wypluwając głowę potwora.

Ciało Kadoshim przeszyły gwałtowne konwulsje. Kopał, wymachiwał ramionami, a z rozprutego karku ciekła gęsta, oleista krew. Z wszystkich porów w jego ciele buchała czarna para, która skupiła się i utworzyła chmurę nad konającym. Przybrała na moment kształt istoty podobnej do człowieka, ale uzbrojonej w wielkie, skórzaste skrzydła. Jego oczy, jaśniejące bursztynowym blaskiem niczym rozżarzone węgle, omiotły ich uważnie, po czym eteryczna postać wydała z siebie wrzask dzikiej frustracji i rozplynęła się. Ciało znieruchomiało.

– A więc tak się je zabija – rzekł Farrell.

– Głowy! – ryknął Gar. – Ścinajcie im głowy!

Inni wojownicy powtórzyli wrzask, którzy poniosł się dalej i odbił echem od ścian sali.

– Ban, ze mną! – zawołał Gar do chłopaka, a potem popchnął Cywen i Gwenith ku wyjściu. Rzucił się do biegu, wołając po drodze Farrella, Datha i Coralen.

Burza, utykając, gnała u ich boku, a przy niej Buddai. Uciekając, Corban dostrzegł następne eteryczne postacie, które wzbijały się w powietrze.

Jehar ścinają im głowy! – pomyślał.

Demony rozplywały się z wrzaskiem i uciekały do Zaświatu po zaledwie kilku chwilach w świecie śmiertelników.

Corban wraz z towarzyszami przemykał między walczącymi ku wyjściu. Naraz dostrzegł Brinę, nadal uzbrojoną w płonący miecz, która przypadła do jakiegoś Kadoshim, wrywającego kończyny obezwładnionemu Jehar,

i wbiła mu oręż w ramię. Płomienie spłynęły z ostrza i w jednej chwili objęły całego nawiedzonego wojownika, który porzucił zmasakrowanego trupa i niczym żywa pochodnia odbiegł z przeszywającym wrzaskiem.

Szczęk oręża za plecami Corbana przybrał na sile. Chłopak zerknął przez ramię i ujrzał, jak z tłumu walczących wyłania się wysoki, siwowłosy mężczyzna z czerwonym mieczem. Tańczyły za nim cienie, a jego ciemny płaszcz łopotał niczym skrzydła. Odnalazł wzrokiem Corbana.

Któryś z Jehar zawirował przed nim, rąbiąc mieczem. Starzec odbił cięcie bez wysiłku i chlasnął, a Jehar zatoczył się, brocząc krwią z rozprutej szyi. Siwowłosy, jakby tego nie zauważył, szedł prosto na Corbana.

Muszę uciekać! Uciekać!, myślał chłopak, ale coś trzymało go w miejscu, nie pozwalało mu na ucieczkę. Uświadomił sobie, że odwraca się, unosi miecz, zaciska dłoń w rękawicy, rozstawia nogi i gotuje się do walki.

Inni Jehar przypadali do starca, ale ten odsyłał ich na boki, zataczających się, krwawiących.

Corban rzucił się do natarcia z wzniesionym mieczem. Miał wrażenie, że czas zwolnił wokół niego. Któryś z Kadoshim zaatakował go z rykiem, a on odruchowo uskoczył, ciał oburącz i kątem oka ujrzał odciętą głowę, która wystrzeliła w powietrze. Ciało istoty runęło na ziemię, a ciemna para uformowała skrzydlatą postać.

I nagle stanął przed starcem, który wpatrywał się w niego bursztynowymi oczami.

– Witaj, Jasna Gwiazdo! – oznajmił. Uniósł miecz i skinął mu na powitanie.

– Kim jesteś? – spytał Corban.

– Twoją śmiercią.

Corban słyszał, jak ktoś go woła, ale nie reagował. Jego ostrze przesunęło się i zablokowało cios szybszy, niż wydawało się to możliwe. Odepchnął klingę przeciwnika wysoko ponad jego głowę i bez wahania przypadł bliżej, by chlasnąć go pazurami po brzuchu. Te zazgrzytały o kolczugę i zdołały jedynie zerwać kilka ogniw.

Starzec uśmiechnął się. Teraz to Corban się cofał, a miecze zderzały się, ciągnąc za sobą świetliste smugi. Brzdęk metalu układał się w chaotyczną melodię śmierci i agresji.

Corban potknął się i starzec natychmiast skrócił dystans. Złapał

chłopaka za gardło i przyciągnął go do siebie.

– Wiedziałem, że się zjawisz! – wycedził. – Jesteście żalosnymi istotami! Zrobicie wszystko dla miłości!

Corban wpakował mu kolano w krocze. Ucisk nieco zelżał, a chłopak wyrwał się, znów potknął i padł na plecy. Starzec skoczył za nim, ale coś uderzyło go w ramię. Cofnął się o krok. Z ręki sterczała mu strzała.

Znów Dath.

Nad Corbanem stanął Gar z wzniesionym mieczem. Starzec warknął z rozdrażnieniem i zasypał go serią oszałamiająco szybkich ciosów. Strzała tkwiąca w jego ramieniu najwyraźniej nie robiła na nim żadnego wrażenia. Gar uskoczył w lewo, próbując odciągnąć starca od Corbana. Zablockował około tuzina ciosów, po czym sam przeszedł do ataku. Corban usłyszał, jak ich ostrza zderzają się ze sobą parokrotnie, a gdy walczący odskoczyli od siebie, starzec krwawił z cięcia na czole, a Gar na łokciu.

Wówczas starzec dotknął rany, oblizał palce i z nieprawdopodobną wprost prędkością skoczył naprzód z wzniesioną bronią, mierząc w głowę Gara. Ten przyjął cios na swój miecz. Stał na szeroko rozstawionych nogach i przez kilka długich sekund wytrzymywał napór. Corban miał wrażenie, że starzec próbuje wbić Gara w ziemię, ale mężczyzna trwał niewzruszenie niczym dąb pośród burzy. Potem zniemacka pojawił się Farrell, który wpadł na nich i pociągnął ich obu na ziemię. Przetoczyli się we trójkę, ale starzec poderwał się jako pierwszy, zauważył Farrella, który dźwignął się na jedno kolano, i uderzeniem pięści posłał go z powrotem na podłogę. Uderzenie serca później odrzucił Gara celnym kopnięciem w żołądek i znów namierzył wzrokiem Corbana.

Chłopak uświadomił sobie, że nadal leży na ziemi. Dźwignął się na spotkanie idącego na niego starca. Ich miecze znów się zwały w krótkiej wymianie ciosów, aż Corban potknął się o jakiegoś trupa i osunął na kolano.

Starzec warknął i uśmiechnął się z satysfakcją. Wzniósł broń do ostatniego uderzenia, ale nagle zamarł, wpatrzony we własną pierś. Sterczała z niej rękojeść noża. Coś śmignęło w powietrzu i drugi nóż utkwiał w jego ramieniu.

Mama! – pomyślał Corban.

Gwenith przemknęła obok niego, celując ostrzem włóczni w starca.

Przy Corbanie pojawiły się Cywen i Coralen, które złapały go pod ramiona i dźwignęły na nogi.

– Ależ to ujmujące! – odezwał się starzec i znów rzucił się do ataku.

Gwenith pchnęła go włócznią ze wszystkich sił, ale ten ciął mieczem raz, przerabując drzewce, a potem rąbnął ponownie. Corban usłyszał chrzęst, z jakim stal wdziera się w ciało. Spojrzał na matkę i ujrzał, jak zatacza się i osuwa na ziemię.

Wrzasnął, wyrwał się dziewczętom, ale nim zdołał rzucić się do ataku, przed starcem wyrósł ktoś inny.

– Witaj, Calidusie! – oznajmił Meical.

– Znów wtrącasz się w nie swoje sprawy? – odparł starzec z grymasem nienawiści na twarzy.

Natarli na siebie z dzikością, jakiej Corban nigdy dotąd na oczy nie widział.

– Zabierzcie stąd chłopaka! – krzyknął Meical, po czym znów skupił uwagę na Calidusie. Po chwili zasłonili ich inni walczący.

Corban przypadł do matki. Wraz z Cywen próbowali ją podnieść, ale Gwenith krzyknęła i zatrzepotała powiekami. Na jej ustach pojawiły się krople krwi. Była śmiertelnie blada. Od ramienia aż po jej pierś ciągnęła się straszliwa, buchająca krwią rana, z której sterczały fragmenty kości.

– Mamo! – zaszlochał Corban.

Cywen płakała obok niego.

Corban pogładził mamę po twarzy. Spróbował zetrzeć jej krew z ust, ale wciąż pojawiała się jej więcej.

Gwenith otworzyła oczy i spojrzała na nich oboje.

– Moje ukochane dzieci – szepnęła i wydała ostatnie tchnienie.

Corban zawył przeraźliwie, porwany gwałtowną rzeką rozpacz. Niemalże zapomniał o Cywen, która klęczała obok niego i ścisnęła dłoń mamy, jakby chciała na powrót przelać w nią życie.

– Nie opuszczaj mnie, proszę, mamó, proszę! – powtarzała.

Otoczył ją ramieniem. Cywen wtuliła się w niego mocno.

– Szybko! – huknął ktoś.

W pobliżu załomotały głośno końskie kopyta.

Corban poczuł na sobie dłonie Briny, która podniosła go z ziemi. Kątem oka ujrzał Farrella, który przerzuca Cywen przez grzbiet Tarczy, i siedzącą

w siodle Coralen, która spina rumaka i rusza przed siebie. Gar pochylił się, uniósł Gwenith i przytulił ją do piersi. Po jego twarzy płynęły łzy. Chwilę później wszyscy biegli już ku wyjściu, otoczeni coraz większym tłumem.

Na progu Corban zatrzymał się i odwrócił.

Między Kadoshim a Jehar nadal trwała bitwa, choć wielu spośród ludzkich wojowników uformowało już tylną straż i rozpoczynało odwrót. Kocioł był nadal widoczny. Na prowadzących ku niemu stopniach siedział wciąż wstrząśnięty Nathair. Potem grupa Jehar wypchnęła ich na zewnątrz.

Rozdział sto dwudziesty

CORBAN

Corban nie zarejestrował wielu szczegółów podczas ucieczki korytarzami Murias. Słyszał tylko cichnące odgłosy walki i łomot kopyt, a wokół siebie widział ludzi. Czas uwolnił się ze swojej definicji, stracił znaczenie, aż naraz chłopak uświadomił sobie, że znalazł się w wielkiej sali przed bramami fortecy. Wszędzie zalegały trupy. Czekał tam na nich białowłosa Balur z garstką pobratymców, w tym bladą olbrzymką, która wpatrywała się intensywnie w Corbana, oraz grupką dzieci. Olbrzymy zgromadziły dla nich konie, które wałęsały się na zboczach góry. Chłopak czuł, jak inni pomagają mu dosiąść wierzchowca i wciskają mu wodze do ręki. Obojętnie zarejestrował to, że do sali dotarli również Tukul, Meical i kolejni Jehar.

I wtem znaleźli się na zewnątrz. Zbliżało się południe, a powietrze, po wilgotnej duchocie podziemi, wydawało się czyste i świeże.

Niewielka grupa jeźdźców wraz z towarzyszącymi im olbrzymami zjechała po zboczu góry i pognała wśród fioletowych wrzosowisk. Nisko nad nimi leciały dwa ptaki.

Na tę chwilę nikt nie wiedział, co począć. Gnali więc przed siebie, jak najdalej od twierdzy. Wiatr smagał Corbana po twarzy. Obok niego jechał Gar, który trzymał przed sobą ciało Gwenith. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że kobieta siedzi, oparta o pierś Gara, może śpi. Wojownik jednakże nie przestawał płakać. Z drugiej strony Corbana jechała Cywen, nadal siedząca za Coralen na grzbiecie Tarczy, oplatająca ramionami talię pogromczyni olbrzymów. Ich spojrzenia spotkały się na moment, przepełnione rozpaczą.

Meical, który podążał na czele, skręcił w lewo i powiodł ich grupę ku

wzgórzom ciągnącym się na wschodzie. Corban zerknął w dół i ujrzał mknącą obok niego Burzę oraz dotrzymującego jej tempa Buddaia. Pochylił się nad końskim karkiem i zatracił się w rytmie galopu.

Gdy się zatrzymali, słońce chyliło się ku zachodowi i rzucało długie cienie. Znajdowali się między wzgórzami, ku którym prowadził ich Meical, ale Corban nadal widział Murias, sterczącą niczym ciemny kolec na horyzoncie. Krążące nad nią ptaki tworzyły czarną aureolę.

Tukul wziął na siebie rozbijanie obozowiska. Wyznaczył wojowników, którzy wyruszyli na patrol, innych przydzielił do budowy zaimprovizowanej zagrody niedaleko bystrego strumienia, a jeszcze innym zlecił wykopanie dziury pod palenisko.

Corban rozejrzał się i zrozumiał, że ich grupa jest teraz znacznie liczniejsza. Na ich oddział składali się obecnie Jehar, którzy podróżowali wraz z nim z Dun Vaner, oraz ci, którzy uciekli spod władzy kotła, przynajmniej dwustu ludzi, może więcej. Doliczył się też ponad tuzina olbrzymów, w tym białowłosego starca, pokazującego reszcie zdobyty w walce topór, oraz olbrzymki o dziwnym spojrzeniu. Towarzyszyła im spora grupka dzieci. Pokręcił głową.

Gar zsunął się z siodła, wciąż tuląc ciało Gwenith. Zaniósł ją na brzeg strumienia i delikatnie ułożył na trawie. Corban podszedł do niego i stanął nad matką. Jej oczy były zamknięte, a skóra blada, przeźroczysta niczym воск. Krew na jej ranie schła i przybierała czarną barwę. Corban poczuł za sobą czyjaś obecność; od razu wiedział, że to Cywen.

We troje stali w milczeniu i wpatrywali się w ciało Gwenith. Burza obwąchała jej dłoń i zaskomlała przeraźliwie, a Buddai skulił się u jej stóp. Cywen odwróciła się od reszty, podeszła do strumienia, gdzie zamoczyła rąbek swego płaszcza w lodowatej wodzie, i wróciła, by zetrzeć krew z ust matki. Corban i Gar dołączyli do niej i bez słowa obmywali ciało zmarłej, przygotowując je do pochówku. W końcu otulili ją płaszczem Corbana i zaczęli znosić kamienie ze strumienia, by uformować kurhan nad jej ciałem.

Czas płynął. Do Corbana powoli docierało, że dołączyli do nich inni. Najpierw za kamienie złapali jego przyjaciele: Dath, Coralen, Farrell i Brina, a potem pozostali, w tym Tukul i Meical. Na końcu wsparł ich sam Balur, który dźwignął ze strumienia ogromny głaz i ułożył go na przedzie

kurhanu. Gdy praca dobiegła końca, wszyscy zebrali się wokół, milcząc i pochylając głowy.

Naraz rozległ się łopot skrzydeł i na ramieniu Corbana usiadł Craff, zaciskając lekko pazury.

– Smutny – wykrakał.

– Tak – szepnął Corban. Po jego policzku spłynęła łza. Cywen pociągnęła nosem.

Zapadła cisza, w której słyszeć było jedynie plusk strumienia i szelest wiatru wśród wrzosów, aż przerwał ją głos, stary, szorstki, ale mocny. To Brina śpiewała pierwsze wersy lamentu dla poległych. Jako pierwszy dołączył do niej Gar, a po nim pozostali i echo śpiewu poniosło się wśród wzgórz. Śpiewał nawet Balur z innymi olbrzymami.

Oni nie śpiewają dla mojej matki, pomyślał chłopak. Opłakują wszystkich, których utracili.

Pamięć Corbana uwolniła tysiące pięknych, pełnych czułości wspomnień o matce, zakończonych jej ostatnimi słowami, wypowiedzianymi zbroczonymi krwią ustami.

„Moje ukochane dzieci”.

Naraz wezbrała w nim rozpacz tak potężna, iż pochłonęła wszystko z wyjątkiem twarzy matki. Ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że osunął się na kolana, a inni dotykali go, podtrzymywali, pocieszali. Jego ciałem wstrząsnął gwałtowny płacz. Ból i cierpienie, które znosił od śmierci ojca, znów powróciły, zalewając go i pogrążając.

Nie miał pojęcia, jak długo klęczał na ziemi przed kurhanem matki. W końcu uniósł głowę i otarł łzy. Kilka osób nadal stało przy nim. Cywen i Gar, podobnie jak on, mieli zaczerwienione, zapuchnięte oczy. Ich przyjaciele – Dath, Farrell i Coralen – przyglądali im się ze współczuciem.

Corban podniósł się powoli i spojrzał za siebie, na pokonane przez nich mile. Ujrzał ostatnie promienie słońca, odbijające się od klifów i wież Murias. Widok znów rozmazały mu łzy.

Przypomniał sobie kocioł i unoszącą się nad nim czarną chmurę. Przypomniał sobie opętanych Jehar, rozrywających ludzi na strzępy, Nathaira siedzącego na stopniach podestu i wreszcie starca, z którym walczył. Człowieka, który zabił jego matkę.

Meical nazwał go Calidusem, przypomniał sobie.

W jego głowie, niczym czarny ptak okrążający szczyty Murias, krążyła jedna myśl.

Trzeba ich powstrzymać.

Postacie

Ardan

Anwarth – wojownik z Dun Carreg, ojciec Farrella. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg.

Brenin – zamordowany król Ardanu.

Brina – uzdrowicielka z Dun Carreg, pani zręczliwego kruka Crafa. Uciekła z Edaną z rzezi Dun Carreg.

Corban – wojownik z Dun Carreg, syn Thannona i Gwenith, brat Cywen. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg.

Cywen – z Dun Carreg, córka Thannona i Gwenith, siostra Corbana. Uznana za zabitą podczas rzezi Dun Carreg.

Dath – rybak z Dun Carreg, syn Mordwyrza i przyjaciel Corbana. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg.

Edana – księżniczka Ardanu, córka Brenina. Po śmierci Brenina przypuszczalna królowa Ardanu, obecnie na wygnaniu.

Evnis – były doradca i zabójca króla Brenina, ojciec Vonna. Współpracuje z królową Rhin z Cambrenu.

Farrell – wojownik, syn Anwartha i przyjaciel Corbana. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg.

Gar – stajenny. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg.

Gwenith – żona Thannona, matka Corbana i Cywen. Uciekła z Edaną z rzezi Dun Carreg.

Heb – znawca obyczajów z Dun Carreg. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg.

Marrock – wojownik i tropiciel, kuzyn Edany. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg.

Mordwyr – rybak z Dun Carreg, ojciec Datha i Bethan. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg.

Pendathran – wojewoda króla Brenina. Przetrzymywany w niewoli

przez Evnisa w Dun Carreg.

Rafe – młody wojownik z drużyny Evnisa. W dzieciństwie rywal Corbana.

Thannon – mąż Gwenith, ojciec Corbana i Cywen. Zabity przez króla Nathaira, władcę Tenebralu, w czasie rzezi Dun Carreg.

Vonn – wojownik, syn Evnisa. Uciekł z Edaną z rzezi Dun Carreg.

Benoth

Aric – olbrzym z plemienia Benothi, towarzysz Uthasa.

Balur Jednooki – olbrzym z plemienia Benothi.

Eisa – olbrzymka z plemienia Benothi, towarzysza Uthasa.

Ethlinn – olbrzymka z plemienia Benothi, towarzysza Uthasa. Córka Balura Jednookiego, zwana również Śniącą.

Fray – olbrzym z plemienia Benothi, towarzysz Uthasa.

Kai – olbrzym z plemienia Benothi, towarzysz Uthasa.

Morc – olbrzym z plemienia Benothi, hodowca żmijów.

Nemain – królowa olbrzymów Benothi.

Salach – olbrzym z plemienia Benothi, przyboczny Uthasa.

Sreng – olbrzymka z plemienia Benothi, przyboczna królowej Nemain.

Struan – olbrzym z plemienia Benothi, towarzysz Uthasa.

Uthas – olbrzym z plemienia Benothi, tajny sojusznik i współspiskowiec królowej Rhin z Cambrenu.

Cambren

Braith – wojownik. Swego czasu przywódca banitów z Ciemnego Boru, a obecnie łowczy królowej Rhin.

Geraint – wojownik, wojewoda królowej Rhin.

Morcant – wojownik, pierwszy miecz królowej Rhin.

Rhin – królowa Cambrenu.

Carnutan

Mandros – król Carnutanu, zabity przez Veradisa, przekonanego, iż Mandros jest mordercą Aquilusa, władcy Tenebralu.

Domhain

Baird – wojownik, jeden z Degad, zabójców olbrzymów Ratha.

Conall – wojownik, nieślubny syn króla Eremona. Brat Haliona i przyrodni brat Coralen. Przyłączył się do Evnisa podczas rzezi Dun Carreg.

Coralen – wojowniczką, towarzyszką Ratha. Nieślubna córka króla Eremona, siostra przyrodnia Haliona i Conalla.

Eremon – król Domhainu.

Halion – wojownik, pierwszy miecz Edany z Ardanu. Nieślubny syn króla Eremona, brat Conalla i przyrodni brat Coralen.

Lorcan – młody książę Domhainu, syn Eremona i Roisin.

Maeve – nieślubna córka króla Eremona, siostra przyrodnia Coralen, Haliona i Conalla.

Nara – matka Coralen.

Quinn – pierwszy miecz króla Eremona.

Rath – wojewoda Domhainu, łowca olbrzymów.

Roisin – królowa Domhainu, żona Eremona, matka Lorcana.

Helveth

Braster – król Helvethu, ranny podczas bitwy z Hunen w Haldis.

Lothar – wojewoda Helvethu.

Ventos – wędrowny kupiec.

Isiltir

Eboric – wojownik, łowczy Gerdy.

Gerda – żona króla Romara żyjąca z nim w separacji, pani na Dun Kellen, matka Haelana.

Gramm – handlarz końmi i drewnem, pan twierdzy na północy Isiltiru. Ojciec Orgulla i Wulfa.

Jael – wojownik z Isiltiru, siostrzeniec króla Romara i kuzyn Kastella. Sprzymierzony z Nathairem z Tenebralu.

Kastell – wojownik z Isiltiru, należący do elitarnych Gadrai. Bratanek króla Romara i kuzyn Jaela.

Maquin – wojownik z Isiltiru, należący do elitarnych Gadrai, przyboczny Kastella.

Orgull – wojownik z Isiltiru, kapitan Gadrai. Syn Gramma.

Romar – król Isiltiru, zabity w bitwie z Hunen w Haldis.

Tahir – wojownik z Isiltiru, członek Gadrai.

Thoris – wojownik, wojewoda Gerdy w Dun Kellen.

Ulfilas – wojownik, przyboczny Jaela.

Varick – pan na Dun Kellen, brat Gerdy i wuj Haelana.

Wulf – wojownik, syn Gramma i brat Orgulla.

Narvon

Camlin – banita z Ciemnego Boru. Od niedawna służący królowi Breninowi i Edanie z Ardanu.

Drust – wojownik, przyboczny Owaina.

Owain – król Narvonu, zdobywca Ardanu (z pomocą Nathaira, króla Tenebralu).

Uthan – książę Narvonu, syn Owaina. Zamordowany przez Evnisa na rozkaz Rhin.

Tarbesh

Akar – kapitan świętych wojowników Jehar, podróżujących z Veradisem.

Enkara – wojowniczką należącą do świętych wojowników Jehar. Jedna

z Setki podróżującej z Tukulem.

Javed – niewolnik i gladiator Vin Thalun.

Sumur – przywódca świętych wojowników Jehar.

Tukul – jeden spośród świętych wojowników Jehar, przywódca Setki.

Tenebral

Aquilus – zamordowany król Tenebralu.

Armatus – wojownik, były pierwszy miecz króla Aquilusa.

Bos – wojownik orlej straży, mistrz walki w murze tarcz, przyjaciel Veradisa.

Ektor – syn Lamara z Ripy, brat Krelisa i Veradisa.

Fidele – wdowa po Aquilusie, a obecnie królowa-regentka Tenebralu, matka Nathaira.

Krelis – wojownik, syn Lamara z Ripy oraz brat Ektora i Veradisa.

Lamar – baron Ripy, ojciec Krelisa, Ektora i Veradisa.

Marcellin – baron Ultas.

Meical – doradca Aquilusa, króla Tenebralu.

Nathair – król Tenebralu, syn Aquilusa i Fidele. Sprzymierzony z królową Rhin z Cambrenu.

Orcus – wojownik orlej straży, przyboczny Fidele.

Peritus – wojewoda Tenebralu.

Rauca – wojownik, dowódca orlej straży i przyjaciel Veradisa. Zabity przez Gara podczas rzezi Dun Carreg.

Veradis – pierwszy miecz i przyjaciel króla Nathaira. Syn Lamara z Ripy, brat Ektora oraz Krelisa.

Trzy Wyspy

Alazon – skutnik.

Calidus – szef wywiadu Lykosa, władcy Vin Thalun, a później doradca Nathaira, króla Tenebralu.

Deinon – wojownik, przyboczny Lykosa i brat Thaana.

Emad – przyboczny Heraka. Strażnik i trener gladiatorów.

Herak – trener gladiatorów.

Jace – członek załogi okrętu Lykosa.

Lykos – władca Vin Thalun, pirackiego narodu, który zamieszkuje Trzy Wyspy: Panos, Pelset i Nerin.

Thaan – wojownik, przyboczny Lykosa i brat Deinona.



ziemie
wyciąńców